

JACK HIGGINS

ORZEL WYLĄDOWAŁ

SCAN-DAL

Rozdział I

Kiedy wchodziłem przez bramę, ktoś kopał grób w rogu cmentarza. Utkwiło mi to w pamięci, bo stanowiło jakby zapowiedź prawie wszystkich późniejszych wydarzeń.

Gdy szedłem w tamtą stronę, klucząc między nagrobkami i podnosząc kołnierz trencza dla ochrony przed zacinającym deszczem, z buków rosnących pod zachodnią ścianą kościoła poderwało się z gniewnym krakaniem pięć czy sześć gawronów, wyglądających jak czarne gałgany.

Człowiek, który kopał dół, mówił coś do siebie półgłosem. Nie można było zrozumieć słów. Obszedłem świeżo usypany kopiec, unikając wyrzucanej łopatą ziemi, i zajrzałem do środka.

- Fatalna pogoda na taką robotę.

Podniósł wzrok, opierając się na łopacie. Był to bardzo stary człowiek w szmacianej czapce i zniszczonej, zabłoconej marynarce, z przewiązonym na ramionach workiem. Miał zapadnięte, wychudłe, pokryte siwym zarostem policzki i wilgotne, zupełnie pozbawione wyrazu oczy.

- Pada - dodałem, próbując nawiązać rozmowę.

Okazał coś w rodzaju zrozumienia. Spojrzał na zachmurzone niebo i podrapał się po brodzie.

- Po mojemu będzie jeszcze gorzej, zanim się wypogodzi.

- Nie ułatwia to panu pracy - stwierdziłem. Na dnie dołu było co najmniej sześć cali wody.

Pogmerał łopatą w drugim końcu mogiły. Ziemia zapadła się, jakby coś zmurszałego rozsypało się w proch.

- Nie jest tak źle. W przeszłości na tym cmentarzysku pochowano już tylu, że teraz nie grzebie się nikogo w ziemi, ino w ludzkich szczątkach.

Roześmiał się, odsłaniając bezzębne dziąsła, a potem się schylił, poszperał w ziemi pod nogami i podniósł kość ludzkiego palca. - Widzi pan? Fascynacja życiem, z całą jego nieskończoną różnorodnością, ma granice nawet dla zawodowego pisarza, zdecydowałem więc, że pora zmienić temat.

- O ile się nie mylę, to kościół katolicki?

- Tu są sami katolicy - odparł. - Zawsze tak było.

- Więc może zdoła mi pan pomóc. Szukam pewnego grobu, a może nawet pomnika w

środku kościoła. Niejaki Gascoigne. Charles Gascoigne. Kapitan marynarki.

- Nigdy o nim nie słyszałem - stwierdził. - A jestem tu kościelnym czterdzieści jeden lat. Kiedy go pochowano?

- Około roku tysiąc sześćset osiemdziesiątego piątego. Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

- A, to jeszcze przede mną - odpowiedział z niezmaconym spokojem. - Może ojciec Yereker będzie coś wiedział.

- Znajdę go w kościele?

- Tak, albo na plebanii. To za drzewami, po drugiej stronie muru. W tej właśnie chwili siedzące na bukach nad naszymi głowami stado gawronów z niewiadomego powodu zerwało się do lotu. Dziesiątki ptaków kołowało w padającym deszczu, wypełniając powietrze jazgotem. Starzec spojrział w górę i cisnął znaną kość w kierunku gałęzi. A potem powiedział coś bardzo dziwnego.

- Hałaśliwe kanalie! - zawołał. - Wracajcie do Leningradu! Miałem właśnie odejść, ale przystanąłem zaintrygowany.

- Do Leningradu? - zapytałem. - Dlaczego pan tak mówi?

- Właśnie stamtąd przylatują. Szpaki też. Obrączkują je w Leningradzie, a w październiku pojawiają się tutaj. Tam w zimie marzną.

- Naprawdę? - spytałem.

Ożywił się wyraźnie, wyjął zza ucha połówkę papierosa i wetknął do ust.

- W zimie tam takie mrozy, że człowiekowi odpadają jaja. W czasie wojny w Leningradzie zginęło wielu Niemców. Wcale ich nie zastrzelili, nic z tych rzeczy. Zwyczajnie zamarli na śmierć.

Słuchałem zafascynowany.

- Skąd pan to wszystko wie? - zapytałem.

- O ptakach? - odparł i nagle całkowicie się zmienił, a jego twarz nabrała szelmowskiego wyrazu. - No, od Wenera. Wiedział o nich wszystko.

- Kim był Wener?

- Wener? - Zamrugał parę razy powiekami, a jego spojrzenie stało się znów bezmyślne, choć równie dobrze mógł tylko udawać. - Z tego Wenera był dobry chłopak. Nie powinni byli tak się z nim obejść.

Pochylił się nad łopatą i zaczął znowu kopać, całkowicie ignorując moją obecność. Stałem jeszcze przez chwilę, było jednak oczywiste, że nic więcej nie powie, niechętnie więc - gdyż zanosilo się na ciekawą historię - odwróciłem się i poszedłem między nagrobkami w

stronę głównej bramy.

Zatrzymałem się w kruchcie kościoła. Na ścianie była tablica oprawiona w ciemne drewno, z wyblakłymi złożonymi literami. Napis u góry głosił: Kościół Najświętszej Marii Panny i Wszystkich Świętych w Studley Constable, poniżej podano godziny mszy i spowiedzi. A u dołu można było przeczytać: ojciec Philip Yereker, S. J.

Bardzo stare dębowe drzwi trzymały się na żelaznych sztabach i zaopatrzone były w zasuwę. Klamka z brązu miała kształt głowy lwa z ogromnym pierścieniem w paszczy. Aby dostać się do środka, należało ten pierścień przekręcić. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc tajemniczo.

Spodziewałem się mrocznego i ponurego wnętrza, tymczasem zobaczyłem coś w rodzaju małej średniowiecznej katedry, pełnej światła i zaskakująco przestronnej. Nawa miała przepiękne arkady, a ogromne normandzkie kolumny wznosiły się ku wspianemu sufitowi z drewna, bogato zdobionemu płaskorzeźbami, które przedstawiały ludzkie i zwierzęce postaci i zachowały się w zadziwiająco dobrym stanie. Rząd okrągłych okien po obu stronach głównej nawy na wysokości dachu sprawiał, że do wnętrza wpadało tak zaskakująco dużo światła.

W kościele stała piękna, kamienna chrzcielnica, a na ścianie obok niej wymieniono na tablicy nazwiska wszystkich księży, którzy służyli w nim Bogu na przestrzeni lat. Listę rozpoczynał niejaki Rafę de Courcey pod datą 1132 rok, a kończył Yereker, sprawujący swój urząd od 1943 roku.

Dalej znajdowała się niewielka, ciemna kaplica. Płomyki świec migotały przed wizerunkiem Najświętszej Marii Panny, który w półmroku wydawał się zawieszony w powietrzu. Minąłem go i poszedłem między ławkami przez środek kościoła. Było bardzo cicho. Rubinowe światło znaczyło obecność Najświętszego Sakramentu, wysoko nad ołtarzem wisiała XV- wieczna figura ukrzyżowanego Chrystusa, a w okna u góry bębnił deszcz.

Usłyszałem za sobą szuranie butów po kamiennej posadzce i czyjś chłodny, stanowczy głos:

- Czym mogę służyć?

Odwróciwszy się ujrzałem stojącego u wejścia do kaplicy księdza, wysokiego, chudego człowieka w wyblakłej czarnej sutannie. Miał bardzo krótko przystrzyżone, szpakowate włosy i oczy tak głęboko zapadnięte, jakby niedawno chorował. Wrażenie to pogłębiała jeszcze napięta skóra na policzkach. Dziwna twarz. Mógł równie dobrze być wojskowym albo uczonym, co wcale mnie nie zaskakiwało, skoro napis na tablicy informo-

wał, że jest jezuitą. Jeśli się jednak nie myliłem, twarzy tej towarzyszyło również nieustanne cierpienie. Gdy podszedł bliżej, spostrzegłem, że opiera się ciężko na lasce z tarniny i powłóczy lewą nogą.

- Ojciec Yereker?

- Tak, słucham.

- Rozmawiałem z tym staruszką na cmentarzu, z kościelnym...

- A tak, to Laker Armsby.

- Możliwe, że tak się nazywa. Powiedział, że może zdoła mi ksiądz pomóc.- Wyciągnąłem rękę. - Skoro już o tym mowa, nazywam się Higgins. Jack Higgins. Jestem pisarzem.

Zawahał się przez chwilę, zanim uściśnął mi dłoń, ale tylko dlatego, że musiał przełożyć laskę z prawej ręki do lewej. Odnosił się do mnie jednak z wyraźną rezerwą, na to przynajmniej wyglądało.

- A w czym mógłbym być pomocny, panie Higgins?

- Piszę cykl artykułów dla amerykańskiego pisma - odpowiedziałem. - Na tematy historyczne. Wczoraj byłem w kościele Świętej Małgorzaty w Cley.

- Piękny kościół. - Usiadł w najbliższej ławce. - Proszę wybaczyć, ostatnio szybko się męczę.

- Na tamtejszym cmentarzu jest pewna płyta nagrobkowa - kontynuowałem. - Może ksiądz wie, co tam jest napisane? „Pamięci Jamesa Greeve'a...”

Przerwał mi natychmiast.

- „... który pomógł sir Cloudesley Shovelowi spalić okręty w porcie Tripoly w Barbary, dnia czternastego stycznia tysiąc sześćset siedemdziesiątego szóstego roku”. - Okazało się, że Yerekera stać na uśmiech. - To znany napis w tych stronach.

- Z moich poszukiwań wynika, że kiedy Greeve dowodził okrętem „Orange Tree”, jego zastępcą był niejaki Charles Gascoigne, który został później kapitanem marynarki. Zmarł z powodu niewyleczonej rany w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku i wygląda na to, że Greeve kazał przywieźć go do Cley i tam pochować.

- Rozumiem - odparł uprzejmie, ale nie okazał szczególnego zainteresowania. Prawdę mówiąc, w jego głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

- Na cmentarzu w Cley nie ma po nim śladu - powiedziałem. - Ani w księgach parafialnych. Szukałem też w kościołach w Wiveton, Glandford i Blakeney... z podobnym skutkiem.

- I sądzi pan, że może być tutaj?

- Przeglądałem ponownie notatki i przypomniałem sobie, że w dzieciństwie wychowywano go w wierze katolickiej. Przyszło mi do głowy, że mógł zostać pochowany jako katolik. Mieszkam w hotelu Blakeney. Jeden z tamtejszych barmanów powiedział mi, że w Studley Constable jest kościół katolicki. To naprawdę odległy od świata zakątek. Szukałem go przez dobrą godzinę.

- Obawiam się, że niepotrzebnie. - Podźwignął się z ławki. - Jestem w parafii Najświętszej Marii Panny od dwudziestu ośmiu lat i zapewniam pana, że nigdy nie słyszałem żadnej wzmianki o tym Charlesie Gascoigne.

To była moja ostatnia szansa i musiał chyba zauważyć, jak bardzo jestem rozczarowany. Nie dałem jednak za wygraną.

- Czy ma ksiądz całkowitą pewność? A księgi parafialne z tamtego okresu? Może jest jakiś zapis w rejestrze zgonów?

- Tak się składa, że historia tego regionu szczególnie mnie interesuje - powiedział z pewnym przekąsem. - Znam na pamięć wszystkie dokumenty dotyczące kościoła i zapewniam pana, że nigdzie nie ma wzmianki o Charlesie Gascoigne. A teraz proszę mi wybaczyć. Pora na obiad.

Kiedy ruszył się z miejsca, poślizgnęła mu się laska. Potknął się i o mało nie upadł. Chwyciłem go za łokieć, przydeptując mu niechcący lewą stopę. Nawet się nie skrzywił.

- Przepraszam, jestem cholernie niezręczny - powiedziałem. Ponownie się uśmiechnął.
- To już nie boli. - Postukał laską w stopę. - To moje przekleństwo, ale, jak mówią, nauczyłem się z tym żyć.

Podobnych uwag zwykle się nie komentuje i najwyraźniej nie czekał na odpowiedź. Szliśmy razem między ławkami, nie spiesząc się ze względu na jego nogę.

- Wyjątkowo piękny kościół - stwierdziłem.

- Tak, jesteśmy z niego bardzo dumni. - Otworzył przede mną drzwi. - Żałuję, że nie mogłem być pomocny.

- Trudno - odparłem. - Czy pozwoli mi ksiądz rozejrzeć się po cmentarzu, skoro już tu jestem?

- Widzę, że trudno pana przekonać. - Powiedział to bez złośliwości. - Czemu nie? Mamy tu parę bardzo ciekawych nagrobków. Polecałbym szczególnie zachodnią część cmentarza. Początek osiemnastego wieku, najwyraźniej robota miejscowego kamieniarza, który wykonał podobne prace w Cley.

Tym razem on wyciągnął rękę. Kiedy się z nim żegnałem, powiedział:

- Wie pan, pańskie nazwisko wydało mi się znajome. Czy w zeszłym roku nie napisał

pan książki o zamieszkach w Ulsterze?

- Zgadza się - odpowiedziałem. - Żle się tam dzieje.

- Jak to na wojnie, panie Higgins. - Twarz miał bladą. - Ujawnia się wtedy najokrutniejsze oblicze człowieka. Dowidzenia panu.

Zamknął drzwi, a ja znalazłem się w kruchcie. Co za dziwne spotkanie. Zapaliłem papierosa i wyszedłem na deszcz. Kościelny gdzieś zniknął i przez chwilę byłem na cmentarzu sam, nie licząc oczywiście gawronów. „Gawrony z Leningradu”. Zastanowiła mnie ta sprawa, zdecydowałem jednak nie zaprzętać nią sobie głowy. Miałem zadanie do wykonania. Po rozmowie z ojcem Yerekerem straciłem nadzieję, że znajdę w tym miejscu grób Charlesa Gascoigne, ale prawdę mówiąc nie było już gdzie go szukać.

Zacząłem od zachodniej części cmentarza, oglądając wszystko po kolei i zauważając po drodze nagrobki, o których wspominał ksiądz. Były rzeczywiście interesujące. Na płaskorzeźbach i rycinach widniały wyraziste, ale dość prymitywne motywy zdobnicze w postaci kości, czaszek, uskrzydłonych klepsydr i archaniołów. Ciekawe, ale zupełnie nie z epoki Gascoigne.

Obejście całego cmentarza zajęło mi godzinę i dwadzieścia minut. Kiedy skończyłem, zdałem sobie sprawę z porażki. Przede wszystkim ten cmentarz, w odróżnieniu od większości podobnych miejsc na wsi, utrzymany był w idealnym porządku. Skoszona trawa, przyszyty krzewy, prawie żadnych zarośli czy ukrytych zakamarków, nic z tych rzeczy.

A więc nie ma Charlesa Gascoigne. Gdy w końcu pogodziłem się z porażką, zauważyłem, że stoję obok świeżo wykopanego grobu. Stary kościelny przykrył go brezentem dla ochrony przed deszczem i jeden koniec plandeki wpadł do środka. Przykucnąłem, by go poprawić, a podnosząc się dostrzegłem coś dziwnego.

O krok dalej, w pobliżu ściany kościoła, nad którą wznosiła się wieża, leżała w kępie zielonej trawy płyta nagrobkowa. Pochodziła z początku XVIII wieku i była kolejnym dziełem miejscowego kamieniarza, o którym już wspomniałem. U góry miała wspaniałą czaszkę z pieszczelami. Był to nagrobek kupca wełnianego nazwiskiem Jeremiah Fuller, jego żony i dwojga dzieci. Dzięki temu, że przykucnąłem, dostrzegłem pod spodem jeszcze jedną płytę.

Łatwo bierze we mnie górę natura Celta. Poczulem nagle irracjonalne podniecenie, jakbym był świadom, że stoję u progu jakiegoś odkrycia. Przyklęknąłem obok płyty i próbowałem wetknąć pod nią palce, co okazało się dość trudne. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, poruszyła się.

- No, Gascoigne... - powiedziałem cicho. - Obyś to był ty!

Płyta ześlizgnęła się i osunęła na bok mogiły, odsłaniając wszystko, co przykrywała. Była to chyba jedna z najbardziej zdumiewających chwil w moim życiu. Na zwykłym kamieniu zobaczyłem u góry niemiecki krzyż, który większość ludzi określiłaby jako krzyż żelazny, a poniżej niemieckojęzyczny napis: Hier ruhen Oberstleutnant Kurt Steiner und 13 Deutsche Follschirmjäger gefallen am 6 November 1943.

Na ogół marnie radzę sobie z niemieckim, głównie z braku wprawy, ale na to wystarczyło mi umiejętności. „Leży tu podpułkownik Kurt Steiner i 13 niemieckich spadochroniarzy, poległych w walce 6 listopada 1943 roku”.

Skulony na deszczu, raz jeszcze dokładnie przetłumaczyłem napis. Nie, nie myliłem się, choć nie miało to najmniejszego sensu. Przede wszystkim wiedziałem przypadkiem, bo pisałem kiedyś artykuł na ten temat, że w 1967 roku otwarto w Cannock Chase, w hrabstwie Stafford, niemiecki cmentarz wojskowy i tam przeniesiono prochy czterech tysięcy dziewięciuset dwudziestu pięciu niemieckich żołnierzy, którzy zginęli w Wielkiej Brytanii podczas obu światowych wojen.

Napis głosił, że polegli w walce. Nie, to bzdura. Czyjś niewybredny żart. Z całą pewnością.

Moje dalsze rozmyślenia na ten temat przerwał nagle pełen oburzenia okrzyk.

- Co pan, do diabła, wyprawia?

Ojciec Yereker kuśtykał między nagrobkami w moim kierunku, trzymając nad głową czarny parasol.

- Myślę, że to ojca zaciekawi - wykrzyknąłem radośnie. - Dokonałem zdumiewającego odkrycia.

Kiedy podszedł bliżej, zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Coś było nawet bardzo nie w porządku, bo twarz pobladła mu z emocji i cały dygotał z oburzenia.

- Jak pan śmiał odsunąć tę płytę? To świętokradztwo! Tylko tak można to nazwać!

- No dobrze - odparłem. - Przepraszam, że to zrobiłem, ale proszę spojrzeć, co pod nią znalazłem.

- Cholernie mało mnie obchodzi, co pan tam znalazł. Niech pan natychmiast przesunie płytę na miejsce.

Zaczynało mnie to już drażnić.

- Proszę nie mówić głupstw. Nie rozumie ksiądz, co tu jest napisane? Jeżeli nie potrafi ksiądz czytać po niemiecku, mogę pomóc. „Leży tu podpułkownik Kurt Steiner i trzynastu niemieckich spadochroniarzy, poległych w walce szóstego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku”. Czyż to nie jest cholernie fascynujące?

- Nie bardzo.

- A więc już to ksiądz widział?

- Nie, oczywiście, że nie. - Wydawał się przerażony, a w jego głosie pojawiła się nuta rozpacz, gdy dodał: - Niech pan, z łaski swojej, położy tę płytę na miejsce.

Ani przez chwilę nie uwierzyłem, że mówi prawdę.

- Kim był ten Steiner? - spytałem. - Co się właściwie stało?

- Już panu powiedziałem, że nie mam zielonego pojęcia - stwierdził. Robił wrażenie jeszcze bardziej przerażonego.

W tym momencie o czymś sobie przypomniałem.

- Był ksiądz tutaj w czterdziestym trzecim, prawda? Wtedy właśnie objął ksiądz parafię. Tak jest napisane na tablicy w kościele.

Wybuchnął, nie mogąc się już opanować.

- Po raz ostatni proszę, żeby pan przesunął płytę tam, gdzie była!

- Nie - odparłem. - Niestety, nie mogę tego zrobić.

O dziwo, w tym momencie jakby odzyskał panowanie nad sobą.

- Dobrze - powiedział spokojnie. - Proszę więc natychmiast stąd odejść.

Biorąc pod uwagę jego wzburzenie, nie było sensu się spierać, odpowiedziałem więc krótko:

- W porządku, jeśli tego ojciec sobie życzy... Kiedy dotarłem do ścieżki, zawołał za mną:

- I niech pan tu nie wraca, bo nie zawaham się wezwać policji!

Wyszedłem przez cmentarną bramę, wsiałem do Peugeota i odjechałem. Nie przejąłem się jego pogrozkami. Byłem zanadto podekscytowany i zaciekawiony. Całe Studley Constable intrygowało mnie. Takie miejsce można spotkać tylko w północnym Norfolk i nigdzie więcej. Do takiej wsi trafia się przypadkiem, a potem nie sposób jej już nigdy odnaleźć, zaczyna się więc wątpić, czy kiedykolwiek istniała.

Nie było tam zresztą niczego szczególnego. Kościół, stara plebania w ogrodzie otoczonym murem, piętnaście czy szesnaście niepodobnych do siebie domków stojących nad strumieniem, stary młyn z potężnym kołem wodnym i Studley Arms, wiejska gospoda po drugiej stronie łąki.

Stałem na skraju drogi przy strumieniu, zapaliłem papierosa i próbowałem spokojnie przemyśleć całą sprawę. Ojciec Yereker kłamał. Byłem pewien, że widział już ten kamień i wiedział, jakie ma znaczenie. Uświadomiłem sobie ironię całej sytuacji. Znalazłem się przypadkiem w Studley Constable, szukając Charlesa Gascoigne, tymczasem odkryłem

coś o wiele bardziej fascynującego, prawdziwą tajemnicę. Problem polegał na tym, co z nią zrobić?

Niemal natychmiast pojawiło się rozwiązanie w osobie kościelnego. Laker Armsby wyłonił się z wąskiej alejki między dwoma domami. Nadal był cały w błocie, a na ramionach miał ten sam stary worek. Przeszedł przez drogę i zniknął w drzwiach Studley Arms. Wsiadłem natychmiast z Peugeotem i poszedłem za nim.

Z tabliczki nad wejściem wynikało, że właścicielem gospody jest niejaki George Henry Wilde. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w korytarzu z kamienną posadzką i ścianami wyłożonymi boazerią. Drzwi na lewo były uchylone. Dochodził stamtąd gwar, rozlegały się salwy śmiechu.

Wewnątrz nie było baru, tylko duża, wygodna sala, a w niej kilka ław z wysokimi oparciami i dwa drewniane stoły. Na kamiennym palenisku płonął ogień. Żaden z sześciu czy siedmiu znajdujących się tam ludzi nie był młody. Wszyscy mieli około sześćdziesiątki. W dzisiejszych czasach taka średnia wieku na wsi jest niepokojąco powszechnym zjawiskiem.

Byli wieśniakami z krwi i kości, mieli twarze ogorzałe od wiatru, tweedowe czapki i gumki. Trzech z nich grało w domino, dwaj inni przyglądali się grze. Jakiś staruszek siedział przy ognisku, grając cicho na organkach. Wszyscy spojrzeli na mnie z tym szczególnym zainteresowaniem, jakie zawsze wzbudza obcy przybysz w gronie znających się już ludzi.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Dwaj czy trzej mężczyźni dość nawet przyjaźnie skinęli głowami, natomiast potężnie zbudowany typ z czarną brodą przyprószoną siwizną nie robił zbyt dobrego wrażenia. Laker Armsby siedział sam przy stole, pracowicie skręcając w palcach papierosa. Przed nim stał kufel piwa. Włożył papierosa do ust. Podeszedłem i podałem mu ogień.

- Znowu się widzimy.

Popatrzył obojętnie, lecz zaraz potem twarz mu się rozjaśniła.

- A, to pan. Znalazł pan ojca Yrekera? Skinąłem potakująco głową.

- Napije się pan jeszcze?

- Nie odmówię. - Kilkoma łykami opróżnił kufel. - Pół kwarty ciemnego piwa dobrze człowiekowi robi. Georgy!

Odróciłem się i zobaczyłem za sobą niskiego, krępego człowieka w samej koszuli. Był to zapewne właściciel, George Wilde. Miał na oko tyle samo lat, co pozostali, i wyglądałby całkiem przystojnie, gdyby nie pewna osobliwa cecha. Ktoś kiedyś z bliska strzelił mu w twarz. Widziałem w życiu wystarczająco dużo ran postrzałowych, by nie mieć

co do tego wątpliwości. W jego przypadku kula wyłobiła bruzdę w lewym policzku, najwyraźniej uszkadzając także kość. Miał sporo szczęścia.

Uśmiechnął się uprzejmie. - A co dla pana?

Powiedziałem, że proszę o dużą wódkę z tonikiem, co wyraźnie rozbawiło farmerów, czy kim tam oni byli. Nie przejąłem się tym zanadto. Tak się składa, że wódka to jedyny alkohol, który pijam z jaką taką przyjemnością. Laker Armsby szybko wypalił swojego skrepta, poczęstowałem go więc papierosem, z czego skwapliwie skorzystał. Podano drinki. Pchnąłem kufel piwa w jego stronę.

- A więc od jak dawna jest pan kościelnym w parafii Najświętszej Marii Panny?

- Czterdzieści jeden lat. Opróżnił swój kufel.

- Proszę, niech się pan jeszcze napije i opowie mi o Steinerze - zagadnąłem.

Organki przestały nagle grać, ucichły rozmowy. Stary Laker Armsby gapił się na mnie znad kufła, a jego twarz przybrała znów szelmowski wyraz.

- Steiner? - odparł. - No cóż, Steiner był...

Gorge Wilde przerwał mu w pół zdania, sięgnął po pusty kufel i przetarł ścierką stół.

- Zamykamy, proszę pana.

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do trzeciej.

- Myli się pan - powiedziałem. - Do zamknięcia jeszcze pół godziny. Podniósł mój kieliszek z wódką i podał mi go.

- W tym lokalu wszystko wolno, proszę pana. W takiej spokojnej wiosce jak nasza robimy, co nam się podoba, i nikt nie ma o to specjalnych pretensji. Skoro mówię, że zamykam o wpół do trzeciej, to znaczy o wpół do trzeciej. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Na pańskim miejscu skończyłbym tego drinka.

W powietrzu wyczuwało się prawie namacalne napięcie. Wszyscy mi się przyglądali. Widziałem surowe, pozbawione wyrazu twarze, kamienne spojrzenia. Olbrzym z czarną brodą podszedł do stołu i oparł się o blat, wlepiając we mnie wzrok.

- Słyszał pan, co powiedział - przemówił niskim, budzącym lęk głosem. - Więc niech pan grzecznie wypije i idzie do domu, gdziekolwiek go pan ma.

Nie wdawałem się w dyskusję, gdyż atmosfera pogarszała się z każdą chwilą. Wypiłem wódkę z tonikiem, ociągając się nieco, choć nie jestem pewien, czy chciałem im coś udowodnić, czy sobie, a potem wyszedłem.

O dziwo, nie byłem wściekły, lecz po prostu zafascynowany całą tą niewiarygodną sprawą. W owej chwili, rzecz jasna, wciągnęła mnie już za bardzo, bym miał się wycofać. Musiałem znaleźć odpowiedzi na parę pytań i przyszło mi do głowy, że jest na to dość

oczywisty sposób.

Wsiadłem do Peugeota, zawróciłem przez most, a wyjechawszy z wioski minąłem kościół oraz plebanię i znalazłem się na szosie do Blakeney. Kilkaset jardów za kościołem skręciłem w polną drogę, zostawiłem tam Peugeota i zacząłem wracać na piechotę, zabierając ze schowka w samochodzie niewielki aparat fotograficzny marki Pentax.

Nie odczuwałem strachu. Pewnego pamiętnego dnia eskortowali mnie z hotelu Europa w Belfaście na lotnisko uzbrojeni faceci, którzy twierdzili, że dla własnego dobra powinienem wsiąść do najbliższego samolotu i nigdy nie wracać. A jednak wróciłem, i to parę razy. Napisałem nawet dzięki temu książkę.

Kiedy dotarłem z powrotem na cmentarz, zastałem nagrobek Steinera i jego ludzi dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Raz jeszcze odczytałem napis, żeby się upewnić, czy nie robię z siebie dumnia, obfotografowałem go z kilku stron, po czym udałem się spieszenie w kierunku kościoła i wszedłem do środka. Przestrzeń u podstawy wieży przegradzała kotara. Kiedy za nią wszedłem, zobaczyłem zawieszane starannie szkarłatne sutanny i białe komże chłopców z chóru. Stał tam poza tym kufer z żelaznymi okuciami, a z mroku dzwonnicy zwisało kilka lin. Tablica na ścianie informowała cały świat, że 22 lipca 1936 roku uderzono w kościelne dzwony pięć tysięcy pięćdziesiąt osiem razy. Z zainteresowaniem odnotowałem, że Laker Armsby został wymieniony jako jeden z uczestniczących w tym wydarzeniu dzwonników.

Jeszcze ciekawszy był szereg przecinających tablicę dziur, które ktoś zagipsował i zamalował. Dało się je zauważyć również na tynku i wyglądały najwyraźniej na ślady po serii z karabinu maszynowego, choć myśl ta wydawała się obrazoburcza.

Szukałem rejestru zgonów, ale nie natrafiłem na żadne księgi ani dokumenty. Wyszedłem zza kotary i niemal od razu zauważyłem za chrzcielnicą niewielkie drzwi w ścianie. Kiedy chwyciłem za klamkę, otworzyły się z łatwością. Wszedłem do środka i znalazłem się w niedużym, zdobionym dębową boazerią pomieszczeniu, w którym najwidoczniej mieściła się zakrystia. Stał w nim wieszak, a na nim wisały dwie sutanny oraz komże i kapy. Był tam również dębowy kredens i ogromne, staromodne biurko.

Zacząłem od kredensu i od razu trafiłem w dziesiątkę. Na jednej z półek leżały starannie poukładane wszelkiego typu dokumenty. Znalazłem wśród nich trzy księgi zgonów. Drugi tom obejmował rok 1943. Przekartkowałem go pobieżnie i doznałem ogromnego zawodu.

W listopadzie 1943 roku odnotowano śmierć dwóch osób i to wyłącznie kobiet. Przejrzałem jeszcze szybko cały rocznik, co nie zajęło zresztą wiele czasu, a potem

zamknąłem księgę i włożyłem ją z powrotem do kredensu. Tak więc jeden z najprostszych sposobów rozwiązania zagadki zawiódł. Gdyby Steinera, kimkolwiek on był, pochowano tutaj, jego nazwisko powinno było znaleźć się w księgach. Takie prawo obowiązywało w Anglii. Co więc, u diabła, mogło oznaczać to wszystko?

Otworzyłem drzwi od zakrystii i wyszedłem. Zamknąwszy je za sobą, natknąłem się na dwóch ludzi z gospody. Byli to George Wilde i człowiek z czarną brodą, który - co skonstatowałem z niepokojem - miał przy sobie dubeltówkę.

- Przyzna pan, że radziłem panu się stąd wynieść - powiedział cicho Wilde. - Jest pan nierozsądny.

- Na co czekamy, do cholery? - odezwał się brodac. - Trzeba z tym skończyć.

Poruszając się zadziwiająco szybko, jak na człowieka jego postury, chwycił mnie za poły płaszcza. W tej samej chwili za moimi plecami otworzyły się drzwi zakrystii i wyszedł z niej Yereker. Bóg raczy wiedzieć, skąd się wziął, ale ucieszyłem się bardzo na jego widok.

- Co się tu dzieje, do diabła? - spytał.

- Sami to załatwimy, ojcze - odparł brodac.

- Niczego nie będziesz załatwiał, Arthurze Seymour - stwierdził Yereker. - Odejdź stąd.

Seymour wpatrywał się w niego tępym wzrokiem, nadal mnie trzymając. Znałem kilka sposobów, żeby dać mu nauczkę, ale nie było sensu tego robić.

- Seymour - powiedział ponownie Yereker i tym razem jego głos zabrzmiał naprawdę stanowczo.

Seymour powoli rozluźnił uścisk, a Yereker oświadczył:

- Niech pan tu więcej nie wraca, panie Higgins. Chyba widać, że nie jest to w pańskim interesie.

- Dobrze powiedziane.

Po interwencji Yerekera nie spodziewałem się, co prawda, żadnej pogoni, pozostanie na miejscu byłoby jednak mało rozsądne, popędziłem więc co tchu do samochodu. Na razie cała ta tajemnicza sprawa mogła poczekać.

Dotarwszy do polnej drogi, ujrzałem Lakera Armsby'ego, który siedział na masce mojego Peugeota, skręcając papierosa. Wstał, kiedy podszedłem bliżej.

- A, jest pan - powiedział. - Więc udało się panu uciec?

Znów miał ten sam szelmowski wyraz twarzy. Wyjąłem papierosy i poczęstowałem go.

- Wie pan co? - odezwałem się. - Nie jest pan chyba wcale takim prostakiem, na

jakiego wygląda.

Uśmiechnął się chytrze i wydmuchał chmurę dymu w padający deszcz.

- Ile?

Wiedziałem od razu, o czym mówi, ale przez chwilę udawałem, że nie rozumiem.

- Co ile?

- Ile są dla pana warte informacje o Steinerze?

Oparł się o samochód, patrząc na mnie wyczekująco. Wyjąłem portfel, wyciągnąłem pięciofuntowy banknot i trzymając go między palcami podsunąłem mu pod nos. Armsby sięgnął po niego z błyskiem w oczach, cofnąłem jednak rękę.

- O, nie. Najpierw parę pytań.

- W porządku. Co chce pan wiedzieć?

- Kim był ten Kurt Steiner?

Wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu, spoglądając z ukosa.

- To proste - odparł. - To był facet z Niemiec, który przyleciał tu ze swoimi ludźmi, żeby zastrzelić pana Churchilla.

Byłem tak zdumiony, że wpatrywałem się w niego bez słowa. Wyrwał mi z ręki piątkę, odwrócił się i zniknął.

Czasem docierające do nas informacje powodują tak wielki wstrząs, że z trudem przyjmujemy je do wiadomości. Dzieje się tak choćby wtedy, gdy obcy głos w słuchawce telefonu mówi, że ktoś, kogo bardzo kochałeś, właśnie zmarł. Słowa przestają mieć znaczenie, umysł przez chwilę nie rejestruje rzeczywistości, trzeba zaczerpnąć oddechu, by stawić czoło temu, co się zdarzyło.

Po zdumiewającym oświadczeniu Lakera Armsby'ego byłem w takim mniej więcej stanie. Nie tylko dlatego, że brzmiało ono tak niewiarygodnie. Życie nauczyło mnie jednego: gdy coś wydaje się niemożliwe, zdarzy się zapewne w przyszłym tygodniu. Jeżeli Armsby nie kłamał, wynikały z tego faktu tak poważne konsekwencje, że chwilowo mój umysł nie potrafił ich ogarnąć.

Byłem na tropie. Czułem, że tak jest, choć jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Wróciłem do hotelu Blakeney, spakowałem bagaże i po zapłaceniu rachunku wyruszyłem w drogę do domu. Nie wiedziałem wówczas, że będzie to pierwszy przystanek podróży, która zabierze mi rok z życia. Rok wypełniony przeglądaniem setek akt, dziesiątkami wywiadów, wozami przez pół świata. San Francisco, Singapur, Argentyna, Hamburg, Berlin, Warszawa, a nawet - jak na ironię - Falls Road w Belfaście. W każdym z tych miejsc miałem nadzieję znaleźć jakąś najmniejszą choćby wskazówkę, która mogła doprowadzić do odkrycia prawdy,

a szczególnie do poznania i zrozumienia zagadki, jaką był Kurt Steiner, centralna postać w tej całej sprawie.

Rozdział II

Wszystko zaczęło się w pewnym sensie od jednej z najbardziej błyskotliwych i brawurowych akcji II wojny światowej, jaką przeprowadził ze swymi komandosami w niedzielę dwunastego września 1943 roku człowiek nazwiskiem Otto Skorzeny. Udowodnił tym samym raz jeszcze, ku wielkiemu zadowoleniu Adolfa Hitlera, że to właśnie Fuhrer, jak zwykle, miał rację, a Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych było w błędzie.

Hitler zaczął się któregoś dnia dopytywać, dlaczego armia niemiecka nie ma - podobnie jak Anglicy - jednostek do zadań specjalnych, które z ogromnym powodzeniem działały już od początku wojny. Aby go usatysfakcjonować, Naczelne Dowództwo postanowiło utworzyć taką jednostkę. W Berlinie przebywał w tym czasie Skorzeny, młody porucznik SS, zwolniony właśnie z wojska ze względów zdrowotnych i nie mający żadnego zajęcia. Awansowano go na kapitana i mianowano szefem Niemieckich Sił Specjalnych. Nic to w praktyce nie oznaczało, a o to właśnie chodziło Naczelnemu Dowództwu.

Mieli jednak pecha, bo Skorzeny okazał się znakomitym żołnierzem, wyjątkowo uzdolnionym do zadań, które mu powierzono. Dzięki zaistniałym okolicznościom mógł to wkrótce udowodnić.

Trzeciego września 1943 roku doszło do kapitulacji Włoch, Mussoliniego odsunięto od władzy, a marszałek Bodoglio kazał go aresztować i ukryć. Hitler nalegał, by odnaleźć i uwolnić dawnego sojusznika. Zadanie wydawało się niewykonalne i nawet sam wielki Erwin Rommel skrytykował pomysł Fuhrera, wyrażając nadzieję, że nie każe mu go realizować.

Rzeczywiście tak się nie stało. Hitler osobiście zlecił wykonanie zadania Skorzeny'emu, który zabrał się do rzeczy energicznie i z determinacją. Dowiedział się wkrótce, że Mussolini - strzeżony przez 250 ludzi - przebywa w hotelu Sports, zbudowanym na szczycie Gran Sasso w górach Abruzzi, na wysokości dziesięciu tysięcy stóp.

Skorzeny wylądował szybowcem z pięćdziesięcioma spadochroniarzami, wziął szturmem hotel i uwolnił Mussoliniego. Niewielkim zwiadowczym Storchem przewieziono go do Rzymu, a stamtąd odtransportowano Dornierem do Wilczego Szańca, wschodnioeuropejskiej kwatery Hitlera, położonej koło Rastenburga, w dzikim porośniętym podmokłymi lasami rejonie Wschodnich Prus.

Wyczyn ten przyniósł Skorzeny'emu całą masę odznaczeń, w tym także Krzyż Rycerski, i zapoczątkował karierę, w której nie zabrakło również wielu śmiałych akcji. Stał się dzięki nim legendą swoich czasów. Na Naczelnym Dowództwie, które równie

podejrzliwie odnosiło się do jego nieszablonowych metod, jak wyżsi oficerowie na całym świecie, nie robiło to wrażenia.

Zupełnie inaczej zareagował Fuhrer. Był w siódmym niebie, nie posiadał się z zachwytu, tańczył jak nigdy od upadku Paryża i pozostał w takim nastroju aż do środowego wieczoru, kiedy to po przybyciu Mussoliniego do Rastenburga zorganizował zebranie w pawilonie konferencyjnym, aby omówić wydarzenia we Włoszech i przysłać rolę Duce.

Sala narad, której ściany i sufit ozdobione były sosnową boazerią, sprawiała zaskakująco przyjemne wrażenie. Znajdowały się tam dwa stoły: jeden okrągły, z wazonem kwiatów na środku i jedenastoma wyplatanymi fotelami wokół, drugi podłużny, z rozłożoną mapą. Stojący przy niej mężczyźni omawiali sytuację na włoskim froncie. Był w tym gronie sam Mussolini, a także Joseph Goebbels, minister propagandy Rzeszy i minister wojny totalnej. Heinrich Himmler, Reichsführer SS i - obok innych funkcji - szef państwowej policji i tajnej policji kraju oraz admirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry, czyli wojskowego wywiadu.

Kiedy Hitler wszedł do pokoju, wszyscy stanęli na baczność. Był w dobrym humorze, oczy mu błyszczały, a z ust nie znikał lekki uśmiezek. Potrafił doprawdy być czarujący jak nikt. Podeszedł do Mussoliniego, serdecznie ujmując w obie ręce jego dłoń.

- Lepiej pan dziś wygląda, Duce. Zdecydowanie lepiej! Zdaniem wszystkich obecnych włoski dyrektor wyglądał fatalnie. Był zmęczony i apatyczny, niewiele miał w sobie dawnego ognia.

Zdobył się na ledwie dostrzegalny uśmiech. Fuhrer klasnął w rękę.

- No cóż, panowie, jaki będzie nasz następny ruch we Włoszech? Co niesie przyszłość? Jak pan sądzi, Herr Reichsführer?

Himmler zdjął srebrne binokle i czyszcząc starannie szkła odparł:

- Całkowite zwycięstwo, mój wodzu. A cóż by innego? Obecność Duce wśród nas jest wymownym dowodem, że uratował pan zręcznie sytuację, gdy ten zdrajca Badoglio podpisał zawieszenie broni.

Hitler przytaknął z poważną miną, po czym zwrócił się do Goebbelsa. - A co ty na to, Joseph?

Ciemne, szalone oczy Goebbelsa płonęły entuzjazmem.

- Zgadza się, wodzu. Uwolnienie Duce odbiło się szerokim echem i u nas, i w innych krajach. Przyjaciele i wrogowie są równie pełni podziwu. Dzięki pańskiemu natchnionemu przywództwu możemy świętować pełne moralne zwycięstwo.

- Nie zawdzięczamy go jednak moim generałom. - Hitler zwrócił się do Canarisa,

który stał wpatrzony w mapę, z lekkim, ironicznym uśmiechem na twarzy. - A pan, admirale? Czy pan także uważa, że to pełne moralne zwycięstwo?

Są chwile, kiedy opłaca się mówić prawdę, ale nie zawsze tak bywa. W przypadku Hitlera nigdy nie było łatwo zorientować się, co lepsze.

- Wodzu, włoska flota wojenna stoi teraz zakotwiczona pod działami fortecy na Malcie. Musieliśmy opuścić Korsykę i Sycylię. Mamy informacje, że nasi dawni sojusznicy przygotowują się już, by walczyć po stronie wroga...

Hitler zbladł jak ściana, oczy mu zabłyśły, a na brwiach pojawiły się krople potu. Canaris mówił jednak dalej.

- A jeśli chodzi o nową, Socjalistyczną Republikę Włoską, którą proklamował Duce...
- W tym miejscu wzruszył ramionami. - Jak dotąd żaden neutralny kraj nie zgodził się ustanowić z nią stosunków dyplomatycznych. Nawet Hiszpania. Z przykrością stwierdzam, wodzu, że moim zdaniem nie dojdzie do tego.

- Pańskim zdaniem?! - Hitler wybuchnął wściekłością. - Pańskim zdaniem! Jest pan równie dobry jak moi generałowie, a co się dzieje, kiedy ich słucham? Wszędzie niepowodzenia! - Podeszedł do Mussoliniego, który wydawał się mocno przerażony, i objął go ramieniem. - Czy Duce jest tutaj dzięki Naczelnemu Dowództwu? Nie. Jest tutaj, ponieważ nalegałem na utworzenie jednostki do zadań specjalnych. Intuicja podpowiedziała mi, że tak należy postąpić.

Goebbels wydawał się zaniepokojony, Himmler był opanowany i nieprzenikniony jak zawsze, Canaris nie dawał się jednak zbić z tropu.

- Nie miałem zamiaru pana krytykować, wodzu.

Hitler podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, zaciskając dłonie za plecami.

- W takich sprawach kieruję się instynktem i wiedziałem, że ta operacja się powiedzie. Garstka odważnych ludzi gotowych na wszystko... - Odwrócił się twarzą do nich. - Beze mnie nie byłoby Gran Sasso, bo nie byłoby Skorzeny'ego. - Powiedział to tak, jakby cytował Biblię.
- Nie chcę być dla pana zbyt surowy, admirale, ale co osiągnęliście ostatnio pan i pańscy ludzie z Abwehry? Wygląda na to, że potraficie tylko dostarczać nam zdrajców, takich jak Dohnanyi.

Hans von Dohnanyi, który pracował w Abwehrze, został w kwietniu aresztowany za zdradę stanu.

Canaris, znalazłszy się na bardzo niebezpiecznym gruncie, był teraz blady jak nigdy.

- Wodzu - odezwał się - nie miałem zamiaru... Hitler zignorował go, zwracając się do Himmlera.

- A pan, Herr Reichfuhrer? Co pan sądzi?

- Całkowicie się z panem zgadzam, wodzu - odparł Himmler. - Całkowicie. Mam jednak również swoje uprzedzenia. Skorzeny jest w końcu oficerem SS. Z drugiej strony uważam, że takimi sprawami jak akcja na Gran Sasso, powinni zajmować się Brandenburczycy.

Miał na myśli Dywizję Brandenburską, utworzoną na początku wojny unikalną jednostkę do zadań specjalnych. Jej działalnością kierował przypuszczalnie Drugi Wydział Abwehry, specjalizujący się w sabotażu. Mimo wysiłków Canarisa ta elitarna jednostka trwonila na ogół siły w mało skutecznych wypadach za linię frontu w Rosji.

- Właśnie - odparł Hitler. - Co osiągnęli ci pańscy bezcenni Brandenburczycy? Nic, o czym warto by mówić.

Znowu wpadł w gniew i jak bywało zawsze przy takich okazjach, potrafił wykazać się zupełnie fenomenalną pamięcią.

- Kiedy utworzono tę jednostkę brandenburską, nazwano ją Kompanią do Zadań Specjalnych. Pamiętam, jak von Hippel, jej pierwszy dowódca, mówił swoim ludziom, że kiedy skończą szkolenie, będą mogli wydostać z piekła samego diabła. Jak na ironię, panie admirale, o ile dobrze pamiętam, nie byli w stanie przywieźć mi Duce. Musiałem sam o to zadbać.

Mówił coraz głośniej, w oczach miał ogień, a jego twarz była mokra od potu.

- Nic nie zdziałaliście! - wrzasnął. - Niczego od was nie dostałem, a mając takich ludzi i takie możliwości, powinniście być w stanie przywieźć mi z Anglii samego Churchilla!

Zapanowała na chwilę kompletna cisza, gdy Hitler rozglądał się po twarzach. - Czyż nie tak?

Mussolini wydawał się przerażony, Goebbels skwapliwie przytaknął. Himmler dołączył oliwy do ognia, mówiąc cicho:

- Czemu nie, wodzu? W końcu wszystko jest możliwe, choćby graniczyło z cudem. Udowodnił pan to, wydostając Duce z Gran Sasso.

- Bardzo słusznie. - Hitler był znów opanowany. - Panie admirale, to znakomita okazja, żeby Abwehra pokazała nam, na co ją stać.

Canaris był zdumiony.

- Wodzu, czy mam rozumieć...

- W końcu angielscy komandosi zaatakowali kwaterę Rommla w Afryce - odparł Hitler. - Podobne jednostki wielokrotnie uderzały na wybrzeżu Francji. Czy mam uważać, że naszych niemieckich chłopców na to nie stać? - Poklepał Canarisa po ramieniu i rzekł

uprzejmie: - Niech pan się tym zajmie, admirale. Niech pan ruszy sprawę z miejsca. Jestem przekonany, że coś pan wymyśli. - Zwrócił się do Himmlera. - Zgodzi się pan, Herr Reichsführer?

- Oczywiście - odparł bez wahania Himmler. - Można przynajmniej zbadać, czy taka akcja jest wykonalna. Na tyle Abwehrę na pewno stać.

Uśmiechnął się lekko do Canarisa, który wyglądał jak rażony piorunem. Zwilżył wyschnięte wargi i powiedział ochryple:

- Jak pan rozkaże, wodzu. Hitler objął go ramieniem.

- Dobrze. Wiedziałem, że jak zawsze mogę na pana liczyć.- Wyprostował rękę, jakby chciał ich wszystkich odepchnąć, i pochylił się nad mapą. - A teraz, panowie, sytuacja we Włoszech.

Canaris i Himmler wracali tej nocy Dornierem do Berlina. Wyjechali z Rastenburga o tej samej porze w osobnych samochodach, mając do pokonania dziewięćmiłowy odcinek drogi na lotnisko. Canaris spóźnił się kwadrans i kiedy wreszcie wszedł po schodkach do samolotu, nie był w najlepszym nastroju. Himmler siedział już z zapiętymi pasami. Po chwili wahania Canaris usiadł obok.

- Jakieś kłopoty? - zapytał Himmler, gdy samolot ruszył po pasie startowym i skierował się pod wiatr.

- Złapaliśmy gumę. - Canaris oparł się wygodnie. - Przy okazji dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

- Zawsze do usług - odparł Himmler.

Byli już w powietrzu, a w miarę wznoszenia się odgłos silników potężniał.

- Boże, ale on miał dzisiaj pomysły! - stwierdził Canaris. - Porwać Churchilla! Słyszał pan kiedyś coś równie szalonego?

- Wszystko się zmieniło, odkąd Skorzeny uwolnił Mussoliniego z Gran Sasso. Führer wierzy teraz, że cuda naprawdę się zdarzają, a to będzie coraz bardziej utrudniało życie i mnie, i panu, admirale.

- Mussolini to co innego - stwierdził Canaris. - Nie umniejszam sukcesu Skorzeny'ego, ale porwać Winstona Churchilla to nie to samo.

- No, nie wiem - odparł Himmler. - Oglądałem, tak samo jak pan, kroniki filmowe wroga. Churchill jest jednego dnia w Londynie, następnego w Manchesterze albo Leeds. Chodzi po ulicach z tym idiotycznym cygarem w zębach i rozmawia z ludźmi. Powiedziałbym, że ze wszystkich wielkich przywódców ma chyba najslabszą obstawę.

- Jeśli pan w to wierzy, uwierzy pan we wszystko - powiedział sucho Canaris.-

Anglikom można wiele zarzucić, ale nie są głupcami. Wywiad wojskowy zatrudnia wielu znakomitych młodych ludzi, którzy skończyli Oxford albo Cambridge, i w mgnieniu oka mogą panu wpakować kulkę w brzuch. Zresztą starszysk też nosi pewnie pistolet w kieszeni płaszcza, a założę się, że jeszcze nieźle strzela. Ordynans przyniósł im kawę.

- Nie ma pan więc zamiaru zająć się tą sprawą? - zapytał Himmler.

- Wie pan równie dobrze jak ja, co się stanie - odparł Canaris. - Dziś jest środa. Do piątku zapomni o tym szalonym pomysle.

Himmler skinął powoli głową, popijając kawę.

- Tak, chyba ma pan rację. Canaris podniósł się z miejsca.

- W każdym razie, jeśli pan pozwoli, trochę się zdrzemnę. Przeniósł się na inne miejsce, przykrył kocem i ułożył najwygodniej jak mógł. Miał jeszcze przed sobą trzygodzinną podróż.

Himmler obserwował go z fotela po drugiej stronie chłodnym, nieruchomym, uporczywym spojrzeniem. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Wyglądałby jak trup, gdyby nie nieustanny tik prawego policzka.

Prawie świtało, gdy Canaris dotarł na Tirpitz Ufer w Berlinie, gdzie pod numerami 74 - 76 mieścił się urząd Abwehry. Kierowca, który przyjechał po niego na lotnisko Tempelhof, zabrał ze sobą dwa ulubione jamniki admirała. Płatały mu się teraz pod nogami, kiedy wysiadł z samochodu i szedł szybkim krokiem, mijając wartowników.

Udał się prosto do biura. Wchodząc rozpiął płaszcz i podał go ordynansowi, który otworzył mu drzwi.

- Kawy - powiedział. - Dużo kawy.

Ordynans miał już zamknąć drzwi, ale Canaris przywołał go z powrotem.

- Nie wiesz, czy jest pułkownik Radl?

- Chyba spał dziś w nocy w swoim gabinecie, panie admirale.

- Dobrze. Przekaż mu, że chcę się z nim widzieć.

Drzwi zamknęły się. Został sam i nagle poczuł się znużony. Opadł na fotel za biurkiem. Canaris nie otaczał się przepychem. Miał staromodny gabinet z podniszczonym dywanem, stosunkowo niewiele mebli. Na ścianie wisiał portret Franco z dedykacją. Na biurku stał marmurowy przycisk do papieru z trzema małpami z brązu. Jedna zatykała sobie łapami uszy, druga zasłaniała oczy, a trzecia usta. Nie słyszały, nie widziały ani nie mówiły nic złego.

- Zupełnie jak ja - powiedział cicho, poklepując je po głowach. Zaczerpnął powietrza, żeby odzyskać równowagę. W tym szalonym świecie balansował wciąż na skraju przepaści.

Podjeżdżał rzeczy, o których nawet on nie powinien był wiedzieć. Na przykład tegoroczna próba wysadzenia przez dwóch wyższych oficerów samolotu Hitlera na trasie ze Smoleńska do Rastenburga, no i ta ciągła obawa, co by się stało, gdyby von Dohnanyi i jego koledzy załamali się i zaczęli sypać.

Zjawił się ordynans z tacą, na której stał dzbanek kawy, dwie filiżanki i dzbanuszek prawdziwej śmietanki, która w tym czasie była w Berlinie rarytasem.

- Zostaw- powiedział Canaris. - Sam sobie poradzę. Ordynans wyszedł, a gdy Canaris wlewał do filiżanki kawę, rozległo się pukanie do drzwi. Człowiek, który się zjawił, miał tak nieskazitelny mundur, jakby wracał wprost z defilady. Był to podpułkownik oddziałów wysokogórskich. Nosił baretkę Kampanii Zimowej, srebrną odznakę za rany odniesione w walce, a pod szyją Krzyż Rycerski. Nawet opaska na prawym oku miała regulaminowy wygląd, podobnie jak czarna skórzana rękawica na lewej ręce.

- A, jesteś, Max - powiedział Canaris. - Napij się ze mną kawy i pomóż mi odzyskać równowagę. Za każdym razem, gdy wracam z Rastenburga, czuję coraz bardziej, że potrzebuję opieki, a jeśli nie ja, to ktoś inny.

Max Radl miał trzydziestkę, a wyglądał na dziesięć lub piętnaście lat więcej, w zależności od dnia i pogody. Stracił prawe oko i lewą dłoń podczas Kampanii Zimowej w 1941 roku, a odkąd zwolniono go do domu, pracował dla Canarisa. Był wówczas szefem Sekcji Trzeciej, będącej urzędem Wydziału Z, centralnego wydziału Abwehry, i podlegającej bezpośrednio admirałowi. Sekcja Trzecia zajmowała się szczególnie trudnymi zadaniami i z tego względu Radl miał prawo wtykać nos w sprawy każdej innej sekcji Abwehry, jeśli przyszła mu na to ochota, co zdecydowanie nie przysparzało mu sympatii kolegów.

- Jest aż tak źle?

- Jeszcze gorzej - odpowiedział Canaris. - Mussolini zachowywał się jak chodzący robot, a Goebbels swoim zwyczajem przeskakiwał z nogi na nogę, jak dziesięciolatek, który chce siusiu.

Radl skrzywił się, bo zawsze czuł się zdecydowanie nieswojo, gdy admirał mówił w ten sposób o tak ważnych osobach. Choć w biurach sprawdzano codziennie, czy nie ma podsłuchu, nigdy nie miało się stuprocentowej pewności.

Canaris mówił dalej: - Himmler zachowywał się tradycyjnie jak sympatyczny nieboszczyk, a jeśli chodzi o Fuhrera...

Radl przerwał mu raptownie.

- Jeszcze kawy, panie admirale? - Canaris ponownie usiadł.

- Mówił ciągle tylko o Gran Sasso, jaki to był cholerny cud i dlaczego Abwehry nie

stać na coś równie efektownego.

Zerwał się, podszedł do okna i wyjrzał przez zasłony na szarzejący świat.

- Wiesz, co dla nas obmyślił, Max? Mamy mu przywieźć Churchilla. - Radl gwałtownie podskoczył.

- Mój Boże, chyba nie mówi serio?

- Kto wie? Raz tak, raz nie. Nie sprecyzował właściwie, czy chce go żywego, czy martwego. Odbiło mu po tej sprawie z Mussolinim. Myśli chyba teraz, że nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli trzeba, porwijcie diabła z piekła - zacytował te słowa ze sporym przekonaniem.

- A pozostali... jak to przyjęli?- zapytał Radl.

- Goebbels był jak zwykle uprzejmy, Duce wyglądał na przerażonego. Himmler przysporzył mi kłopotów. Poparł Fuhrera w całej rozciągłości. Stwierdził, że możemy przynajmniej rozpoznać sprawę. Mamy zbadać, czy taka akcja jest wykonalna. Tak to określił.

- Rozumiem - Radl zawahał się. - Czy naprawdę pan sądzi, że Fuhrer mówi serio?

- Oczywiście, że nie. - Canaris podszedł do stojącego w rogu wojskowego łóżka, odrzucił pościel, usiadł i zaczął rozwiązywać buty. - Już pewnie o tym zapomniał. Wiem, jak się zachowuje, kiedy jest w takim nastroju. Przychodzą mu do głowy różne bzdurne pomysły. - Wszedł do łóżka i przykrył się kocem. - Nie, martwi mnie tylko Himmler. Chce mojej głowy. Przypomni Fuhrerowi o całej tej nieszczęsnej sprawie kiedyś, gdy będzie mu to na rękę, aby tylko pokazać, że nie wykonuję poleceń.

- Co więc można zrobić?

- Dokładnie to, co zaproponował Himmler. Zbadać, czy akcja jest wykonalna. Napisz długie, ładne sprawozdanie, z którego będzie wynikało, że naprawdę się staraliśmy. W tej chwili, na przykład, Churchill jest w Kanadzie, prawda? Będzie zapewne wracał statkiem. Niech wygląda na to, że poważnie rozważałeś możliwość użycia w odpowiednim czasie i miejscu łodzi podwodnej. W końcu, jak sam Fuhrer zapewnił mnie osobiście niecałe sześć godzin temu, cuda się zdarzają, ale tylko za sprawą odpowiedniego boskiego natchnienia. Powiedz Krogelowi, żeby obudził mnie za półtorej godziny.

Naciągnął koc na głowę, a Radl zgasił światło i wyszedł. Wracając do gabinetu nie czuł się bynajmniej szczęśliwy i to wcale nie z powodu idiotycznego zadania, jakie mu przydzielono. Takie rzeczy nie należały do rzadkości. Prawdę mówiąc, często określał Sekcję Trzecią jako Wydział Absurdów.

Nie, martwiło go to, co mówił Canaris. A ponieważ należał do ludzi, którzy lubią być

bezkompromisowo uczciwi wobec samych siebie, Radl miał dosyć cywilnej odwagi, by przyznać się, że nie martwi się jedynie o admirała. Myślał w równym stopniu o sobie i swojej rodzinie.

Formalnie biorąc, ludzie w mundurach nie podlegali władzy Gestapo. Zbyt wielu jego znajomych zniknęło po prostu z powierzchni ziemi, żeby miał w to wierzyć. Niesławny Dekret Nocy i Mgły, na mocy którego różni nieszczęśnicy najdosłowniej znikali w mrokach nocy, dotyczył ponoć wyłącznie mieszkańców podbitych ziem, ale Radl doskonale wiedział, że w obozach koncentracyjnych przebywało w owym czasie ponad pięćdziesiąt tysięcy niemieckich obywateli, którzy nie byli Żydami. Od roku 1933 zmarło ich prawie dwieście tysięcy.

Kiedy wszedł do biura, jego asystent, sierżant Hofer, przeglądał nocną pocztę, którą właśnie doręczono. Był to spokojny, ciemnowłosy mężczyzna, oberżysta z gór Harzu, doskonały narciarz, który nie przyznał się do swoich czterdziestu ośmiu lat, żeby mógł pójść do wojska, i służył razem z Radlem w Rosji.

Radl usiadł za biurkiem i wpatrywał się smętnie w zdjęcie żony i trzech córek, które mieszkały bezpiecznie w górach Bawarii. Hofer, wiedząc w czym rzecz, podał mu papierosa i nalał szklaneczkę brandy z butelki Courvoisiera, trzymanej w dolnej szufladzie biurka.

- Aż tak źle, Herr Oberst?

- Tak, Karl - odparł Radl, po czym łyknął brandy i opowiedział mu to, co najgorsze.

Sprawa mogła nie mieć dalszego ciągu, gdyby nie niezwykle zbieg okoliczności. Rankiem 22 września, dokładnie w tydzień po rozmowie z Canarisem, Radl siedział przy biurku, zawalony papierkową robotą, która nagromadziła się podczas jego trzydniowej wizyty w Paryżu.

Nie był w najlepszym nastroju, kiedy więc otworzyły się drzwi i wszedł Hofer, spojrzał na niego z niechęcią i powiedział zniecierpliwiony:

- Na Boga, Karl, prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać. O co chodzi tym razem?

- Przepraszam, Herr Oberst. Dostałem właśnie raport, który powinien pana zainteresować.

- Skąd przyszedł?

- Z Pierwszego Wydziału Abwehry.

Wydział ten zajmował się działalnością szpiegowską za granicą. Radl zdał sobie sprawę, aczkolwiek niechętnie, że wzbudziło to jego zainteresowanie. Hofer czekał, przyciskając do piersi tekturową teczkę. Radl z westchnieniem odłożył pióro.

- No dobrze, powiedz mi, o co chodzi. Hofer położył przed nim teczkę i otworzył ją.

- To ostatni raport od agentki z Anglii. Nosi kryptonim Szpak. Radl rzucił okiem na pierwszą stronę, sięgając do pudełka na stole po papierosa. - Pani Joanna Grey.

- Mieszka na północy Norfolk, blisko wybrzeża, Herr Oberst. W wiosce o nazwie Studley Constable.

- Ależ oczywiście - stwierdził Radl, okazując nagle więcej entuzjazmu.- Czy to nie ta osoba, która dostarczyła nam informacji na temat Oboju? - Przejrzał pobieżnie pierwsze dwie czy trzy strony i zmarszczył brwi. - Cholernie tego dużo. Jak ona to robi?

- Ma znakomitą wtyczkę w ambasadzie Hiszpanii. Przekazuje swoje materiały kanałami dyplomatycznymi. To nie gorsze niż regularna poczta. Otrzymujemy zwykle przesyłkę w ciągu trzech dni.

- Zdziwiał się - stwierdził Radl.- Jak często przesyła raporty?

- Raz w miesiącu. Ma także kontakt radiowy, ale rzadko z niego korzysta, chociaż zgodnie z rutynową procedurą jest na nasłuchu przez godzinę trzy razy w tygodniu, na wypadek, gdyby była potrzebna. Z naszej strony ma z nią kontakt kapitan Mayer.

- W porządku, Karl - powiedział Radl. - Przynieś mi trochę kawy. Przeczytam to.

- Zaznaczyłem na czerwono najciekawszy fragment, Herr Oberst. Znajdzie go pan na trzeciej stronie. Dołączyłem też brytyjską mapę sztabową tego obszaru w dużej skali - powiedział Hofer i wyszedł.

Raport był znakomicie opracowany, przejrzysty i pełen cennych informacji. Zawierał ogólny opis warunków panujących na tym terenie, lokalizację dwóch nowych amerykańskich eskadr B17 na południe od zatoki Wash i eskadry B24 w pobliżu Sheringham. Stanowiło to wszystko dobry, użyteczny materiał, mimo że niezbyt fascynujący. Gdy jednak doszedł do strony trzeciej i krótkiego fragmentu podkreślonego na czerwono, żołądek skurczył mu się z nerwowego podniecenia.

Informacja była krótka. W sobotę, 6 listopada, brytyjski premier Winston Churchill miał wizytować miejsce stacjonowania Dywizjonów Bombowców RAF w pobliżu zatoki Wash. Na ten sam dzień zaplanowano zwiedzanie fabryki koło King's Lynn i krótkie przemówienie do robotników.

Dalej następował najciekawszy fragment. Zamiast wracać do Londynu, Churchill zamierzał spędzić weekend w domu sir Henry'ego Willoughby, Studley Grange, pięć mil od wioski Studley Constable. Była to całkiem prywatna wizyta, a jej szczegóły chciano utrzymać w tajemnicy. Z pewnością nikt we wsi nie wiedział o tych planach, ale sir Henry, emerytowany komandor marynarki, najwyraźniej nie mógł się oprzeć pokusie, by zwierzyć się Joannie Grey, która była zapewne jego bliską przyjaciółką.

Radl siedział przez chwilę wpatrzony w raport i zastanawiał się nad nim, potem wyjął mapę sztabową, którą zostawił mu Hofer, i rozłożył ją. Otworzyły się drzwi. Hofer przyniósł kawę. Postawił tacę na stole, napełnił filiżankę i czekał z kamienną twarzą.

Radl spojrzał na niego.

- No dobrze, do cholery. Pokaż mi, gdzie to jest. Pewnie wiesz.

- Oczywiście, Herr Oberst. - Hofer wskazał palcem zatokę Wash, po czym przesunął nim na południe wzdłuż wybrzeża. - To Studley Constable, a tutaj, nad morzem, Blakeney i Cley. Tworzą razem trójkąt. Przejrzałem przedwojenny raport pani Grey na temat tego miejsca. To bezludna, typowo wiejska okolica. Puste wybrzeże, pełne rozległych plaż i słonych bagien.

Przez chwilę Radl przyglądał się mapie, po czym podjął decyzję.

- Sprowadź Hansa Meyera. Chcę z nim porozmawiać. Tylko nie wspomnij ani słowem, o co chodzi.

- Oczywiście, Herr Oberst. Hofer ruszył do drzwi.

- I przynieś mi, Karl, wszystkie jej raporty - dodał Radl. - Co tylko mamy na temat tej okolicy.

Drzwi zamknęły się i nagle w pokoju zrobiło się jakoś cicho. Radl sięgnął po papierosa. Palił zawsze rosyjskie - pół na pół tytoń z tekturą. Wielu ludzi, walczących kiedyś na Wschodzie, paliło je dla pozy. Radlowi po prostu smakowały. Były zdecydowanie za mocne i przyprawiły go o kaszel. Nie zwracał na to uwagi. Lekarze i tak go ostrzegali, że ze względu na liczne rany nie pożyje długo.

Podszedł do okna, czując dziwne zniechęcenie. Wszystko było właściwie farsą. Fuhrer, Himmler, Canaris - jak cienie za prześcieradłem w chińskim teatryku. Nic znaczącego. Nic realnego. A teraz ta idiotyczna sprawa Churchilla. Kiedy na wschodnim froncie ginęły tysiące wspaniałych ludzi, on zajmował się tak cholernie głupią grą, z której nic nie mogło wyniknąć.

Z niewiadomego powodu czuł odrazę do siebie i złość. Nagłe pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia. Człowiek, który wszedł, był średniego wzrostu i nosił tweedowy garnitur. Siwe włosy miał w nieładzie, a okulary w rogowej oprawie nadawały mu nieokreślony wygląd.

- A, jest pan, Meyer. Dobrze, że się pan zjawił.

Hans Meyer miał wówczas pięćdziesiąt lat. Podczas I wojny światowej był dowódcą łodzi podwodnej, jednym z najmłodszych w niemieckiej marynarce. Od 1922 roku pracował etatowo w wywiadzie. Był o wiele bystrzejszy, niż na to wyglądał.

- Herr Oberst - odezwał się oficjalnie.

- Siadaj, człowieku, siadaj. - Radl wskazał mu krzesło. - Czytałem ostatni raport jednej z naszych agentek. Kryptonim Szpak. To fascynujące.

- A, tak. - Meyer zdjął okulary i oczyścił je zabrudzoną chusteczką. - To Joanna Grey. Niezwykła kobieta.

- Niech pan o niej opowie.

Meyer zastanawiał się, z lekka marszcząc brwi.

- Co chciałby pan wiedzieć, Herr Oberst?

- Wszystko - odparł Radl.

Meyer wahał się przez chwilę, najwyraźniej mając zamiar zapytać, po co, ale po namyśle zrezygnował. Nałożył z powrotem okulary i zaczął mówić.

- Joanna Grey urodziła się jako Joanna van Oosten w marcu 1875 roku w miasteczku Yierskop w Orange Free State. Jej ojciec był farmerem i pastorem holenderskiego Kościoła Zreformowanego. W wieku dziesięciu lat uczestniczył w tak zwanej Wielkiej Wędrówce, emigracji dziesięciu tysięcy Burów, którzy między rokiem 1836 a 1838 przenieśli się z Cape Colony na nowe tereny na północ od Pomarańczowej Rzeki, aby uniknąć brytyjskiej dominacji.

W wieku dwudziestu lat wyszła za mąż za farmera nazwiskiem Dirk Jansen. Miała tylko jedno dziecko, córkę urodzoną w 1898, na rok przed wybuchem konfliktu z Brytyjczykami, znanego później jako wojna burska.

Jej ojciec sformował specjalny oddział konnicy i zginął koło Bloemfontein w maju 1900 roku. W tym samym miesiącu wojna praktycznie się skończyła, ale dwa następne lata okazały się najtragiczniejsze w ciągu całego konfliktu. Dirk Jansen, jak wielu jego rodaków, brał nadal udział w zaciętej walce partyzanckiej, którą prowadziły niewielkie grupy ludzi, korzystając ze schronienia i wsparcia położonych na pustkowiu farmach.

Jedenastego czerwca 1901 roku w gospodarstwie Jansenów pojawił się patrol brytyjskiej kawalerii, poszukujący Dirka. Jak na ironię jego żona nie wiedziała, że już dwa miesiące wcześniej zmarł wskutek odniesionych ran w górskim obozowisku. W domu była tylko Joanna, jej matka i dziecko. Odmówiła odpowiedzi na pytania kaprała, zabrano ją więc na przesłuchanie do stodoły, co skończyło się dwukrotnym zgwałceniem.

Skargę skierowaną do miejscowego komendanta odrzucono, zresztą Brytyjczycy w owym czasie próbowali zwalczać partyzantkę paląc farmy, pustosząc całe obszary i umieszczając ludność w miejscach, które wkrótce nazwano obozami koncentracyjnymi.

Funkcjonowały one fatalnie, może nie tyle ze złej woli, lecz na skutek nieumiejętnego

zarządzania. Z powodu szerzących się chorób w ciągu czternastu miesięcy zmarło ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, wśród nich matka i córka Joanny. Jak na ironię, ona sama przeżyła tylko dzięki temu, że zajął się nią troskliwie angielski lekarz, niejaki Charles Grey, którego sprowadzono do obozu, by uzdrowić sytuację, gdy ujawnienie panujących tam warunków spowodowało protesty angielskiej opinii publicznej.

Jej nienawiść do Brytyjczyków stała się wręcz chorobliwa, była jak wypalone piętno. A jednak wyszła za Greya, kiedy poprosił ją o rękę. Miała już przecież dwadzieścia osiem lat i los ciężko ją doświadczył. Straciła męża i dziecko, wszystkich swoich bliskich, pozostała bez grosza przy duszy.

Grey bez wątpienia ją kochał. Był od niej piętnaście lat starszy, nie miał wielkich wymagań, traktował ją serdecznie i życzliwie. Z czasem zaczęła darzyć go uczuciem, w którym nie brakowało jednak nieustannego rozdrażnienia i zniecierpliwienia, z jakim traktuje się niesforne dziecko.

Grey przyjął pracę w Londyńskim Towarzystwie Biblijnym jako lekarz - misjonarz i przez kilka lat pełnił tę funkcję kolejno w Rodezji, Kenii, a wreszcie wśród Zulusów. Nigdy nie rozumiała jego troski o los ludzi, którzy dla niej byli tylko Kaframami, ale godziła się z tym, podobnie jak z mozolnym nauczaniem, którym musiała się zajmować, żeby pomóc mu w pracy.

W marcu 1925 roku Grey zmarł na zawał, a kiedy podsumowano jego majątek, okazało się, że w wieku pięćdziesięciu lat Joannie zostało na życie niewiele ponad sto pięćdziesiąt funtów. Los raz jeszcze okazał się dla niej niełaskawy, ale nie poddała się, przyjmując posadę guwernantki w rodzinie angielskiego urzędnika w Cape Town.

Wtedy właśnie zaczęła interesować się nacjonalizmem Burów. Brała udział w regularnych zebraniach jednej z najbardziej skrajnych organizacji, prowadzących kampanie na rzecz oderwania Południa Afryki od Imperium Brytyjskiego. Podczas któregoś z tych zebrań spotkała niemieckiego inżyniera, Hansa Meyera. Był od niej o dziesięć lat młodszy, a jednak szybko nawiązali romans. Od czasu pierwszego małżeństwa nie czuła do nikogo tak autentycznego, fizycznego pociągu.

Meyer był w rzeczywistości agentem niemieckiej marynarki. Przebywał w Cape Town, żeby zdobyć jak najwięcej informacji na temat urządzeń portowych w Afryce Południowej. Przypadkowym zbiegiem okoliczności pracodawca Joanny Grey był zatrudniony w admiralicji, mogła więc, niewiele ryzykując, zabrać z sejfów jego domu pewne interesujące dokumenty, które Meyer skopiował, zanim je zwrócił.

Robiła to chętnie, bo darzyła go prawdziwym uczuciem, ale nie tylko dlatego. Po raz

pierwszy w życiu zadawała cios Anglii. Był to swoisty rewanż za wszystko, czego sama doznała.

Meyer powrócił do Niemiec i nadal do niej pisywał. A potem, w 1929 roku, kiedy Europa znalazła się dnie kryzysu i dla większości ludzi świat rozpadał się na tysiąc kawałków, do Joanny Grey po raz pierwszy w życiu naprawdę uśmiechnął się los.

Dostała list z firmy adwokackiej w Norwich z informacją, że zmarła ciotka jej nieżyjącego męża, pozostawiając w spadku dom w pobliżu wioski Studley Constable, na północy Norfolk, wraz z rocznym dochodem W wysokości nieco powyżej czterech tysięcy funtów. Był tylko jeden warunek. Starsza pani darzyła ten dom szczególnym sentymentem i testament wyraźnie określał, że Joanna Grey musi w nim zamieszkać.

Mieszkać w Anglii! Na samą myśl cierpła jej skora, ale jakie było inne wyjście? Nadal występować w roli wytwornej służącej, mając w perspektywie jedynie starość w nędzy? Pożyczyła z biblioteki książkę na temat Norfolk i przeczytała ją uważnie, szczególnie te fragmenty, w których była mowa o pomocnym wybrzeżu.

Nie mogła się połapać w nazwach. Stiffkey, Morston, Blakeney, Cley - next - the - Sea, słone bagna, kamieniste plaże. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała, napisała więc o swoich problemach do Hansa Meyera, który odpisał natychmiast, namawiając ją do wyjazdu i obiecując, że wkrótce ją odwiedzi.

Był to najlepszy krok, jaki w życiu zrobiła. Dom okazał się czarujący, w stylu georgiańskim, miał z pięć sypialni. Stał w otoczonym murem ogrodzie o powierzchni pół akra. W tym czasie Norfolk było wciąż najbardziej rolniczym hrabstwem w Anglii, w którym stosunkowo niewiele się zmieniło od dziewiętnastego wieku, toteż w wiosce takiej jak Studley Constable uważano Joannę za kobietę zamożną, cieszyła się pewnym prestiżem. Stało się też coś jeszcze dziwniejszego. Zafascynowały ją słone bagna i kamieniste plaże, zakochała się w tej okolicy i poczuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Meyer przyjechał do Anglii jesienią tego roku i odwiedzał ją kilkakrotnie. Chodzili razem na długie spacery. Pokazywała mu wszystko: ciągnące się w nieskończoność plaże, słone bagna, wydmy na półwyspie Blakeney. Nie wspomniał ani słowem o czasach z Cape Town, kiedy pomagała mu zdobywać potrzebne informacje, a ona ani razu nie zapytała, co aktualnie robi.

Nadal pisywali do siebie, a w 1935 roku odwiedziła go w Berlinie. Pokazał jej, co narodowy socjalizm czyni dla Niemiec. Upajało ją wszystko, co zobaczyła: potężne wiece, wszechobecne mundury, przystojni chłopcy, roześmiane, szczęśliwe kobiety i dzieci. Godziła się bez zastrzeżeń, że taki jest nowy porządek. Tak właśnie powinno być.

I wtedy, gdy pewnego wieczoru wracali wzdłuż Unter den Linden z opery, w której zobaczyła w loży samego Fuhrera, Meyer powiedział jej spokojnie, że pracuje dla Abwehry, i zapytał, czy chciałaby być ich agentem w Anglii.

Zgodziła się od razu. Nie musiała się nawet zastanawiać. Cała drżała z emocji, jakiej nie zaznała nigdy przedtem. Tak więc w wieku sześćdziesięciu lat została szpiegiem. Ona, angielska dama z wyższych sfer - bo za taką ją uważano - kobieta o sympatycznej twarzy, spacerująca po okolicy w swetrze i tweedowej spódnicy, z czarnym myśliwskim psem u nogi. Miła, siwowłosa pani, która w swoim gabinecie miała w niewielkim schowku za boazerią urządzenie nadawczo - odbiorcze, a w ambasadzie hiszpańskiej w Londynie łącznika, przekazującego kanałami dyplomatycznymi duże przesyłki do Madrytu, skąd trafiały do rąk niemieckiego wywiadu.

Uzyskiwała niezmiennie dobre wyniki. Jako członkini Żeńskiej Służby Ochotniczej miała dostęp do wielu obiektów wojskowych i mogła przekazywać szczegóły, dotyczące większości baz ciężkich bombowców RAF- u w Norfolk, oraz sporo innych, istotnych informacji. Największy sukces osiągnęła na początku 1943 roku, kiedy RAF wprowadził dwa nowe urządzenia do bombardowań w ciemności, które dawały nadzieję na znaczne zwiększenie skuteczności nocnych nalotów w Niemczech.

Najważniejsze z tych urządzeń, Obój, działało w powiązaniu z dwiema stacjami naziemnymi w Anglii. Stacja w Dover nosiła kryptonim „Mysz”. Druga znajdowała się w Cromer, na wybrzeżu północnego Norfolk, i nazywała się „Kot”.

Zadziwiające, jak wiele informacji personel RAF-u był skłonny przekazać przemiej pani z ruchu kobiet - ochotniczek, wydającej książki w bibliotece i filiżanki herbaty. A podczas kilkakrotnego zwiedzania instalacji Oboju w Cromer zdołała zrobić dobry użytek z jednego ze swoich miniaturowych aparatów fotograficznych. Potem wystarczył tylko jeden telefon do seniora Lorki, urzędnika ambasady hiszpańskiej, który był jej łącznikiem, jednodniowy wypad pociągiem do Londynu i spotkanie w Green Park.

W ciągu dwudziestu czterech godzin informacje na temat Oboju opuszczały Anglię w hiszpańskiej poczcie dyplomatycznej. Po trzydziestu sześciu godzinach zachwycony Hans Meyer kładł je na biurku samego Canarisa w jego gabinecie na Tirpitz Ufer.

Kiedy Hans Meyer skończył, Radl odłożył pióro, którym robił krótkie notatki.

- Fascynująca dama - stwierdził. - Zupełnie niezwykła! Niech mi pan powie jedno: jakie szkolenie przeszła?

- Odpowiednie, Herr Oberst- powiedział Meyer. - Spędzała wakacje w Rzeszy w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym roku. Za każdym razem

uczono ją pewnych podstawowych umiejętności. Kodowanie, korzystanie z radia, ogólna obsługa aparatu fotograficznego, zasady techniki sabotażu. Nic szczególnego, poza alfabetem Morse'a, który opanowała do perfekcji. Z drugiej strony, nigdy nie stawiano jej zadań, wymagających szczególnej sprawności fizycznej.

- Oczywiście, to rozumiałe. A korzystanie z broni?

- Nie trzeba było jej szkolić. Wychowała się w stepie. Zanim skończyła dziesięć lat, umiała trafić w oko jelenia z odległości stu jardów.

Radl pokiwał głową i marszcząc brwi wpatrywał się w przestrzeń.

- Czy chodzi o coś specjalnego, Herr Oberst? - zagadnął ostrożnie Meyer. - Czy mógłbym pomóc?

- Jeszcze nie teraz - odparł Radl. - Ale w najbliższej przyszłości może pan mi być potrzebny. Dam panu znać. Tymczasem wystarczy, jeśli prześle mi pan do biura wszystkie akta dotyczące Joanny Grey. I żadnej łączności radiowej aż do odwołania.

Meyer stanął jak wryty i nie był w stanie się opanować.

- Herr Oberst, bardzo proszę, jeśli Joannie grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo...

- Bynajmniej - odparł Radl. - Proszę mi wierzyć, rozumiem pańską troskę, ale na razie naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej. To ściśle tajne, Meyer.

Meyer odzyskał równowagę na tyle, że zaczął się usprawiedliwiać.

- Oczywiście, Herr Oberst. Proszę o wybaczenie, ale jako stary przyjaciel tej damy...

Wyszedł, a w parę chwil potem zjawił się Hofer, niosąc pod pachą kilka teczek i dwie zwinięte mapy.

- Informacje, o które pan prosił, Herr Oberst. Przyniosłem też dwie mapy Brytyjskiej Admiralicji - numer sto osiem i sto sześć. Obejmują obszar wybrzeża.

- Poleciałem Meyerowi, żeby przekazał ci wszystko, co ma, na temat Joanny Grey, i zakazałem wszelkiej łączności radiowej - powiedział Radl. - Od tej chwili przejmujesz sprawę.

Sięgnął po jeden z nieśmiertelnych rosyjskich papierosów, a Hofer wyjął zapalniczkę, zrobioną z rosyjskiej łuski kaliber siedem, sześćdziesiąt dwa milimetry.

- Czy bierzemy się za to, Herr Oberst? Radl wypuścił obłok dymu i spojrzał w sufit.

- Znasz dzieła Junga, Karl?

- Wie pan, Herr Oberst, że przed wojną sprzedawałem dobre piwo i wino.

- Jung mówi o czymś, co nazywa synchronicznością. Bywa, że pewne wydarzenia przypadkowo zbiegają się w czasie, i dlatego odnosi się wrażenie, że kryje się za tym jakaś głębsza motywacja.

- Słucham? - powiedział uprzejmie Hofer.

- Weźmy tę sprawę. Fuhrer, którego oczywiście niebiosa mają w opiece, doznaje olśnienia i wysuwa śmieszną i absurdalną sugestię, że powinniśmy powtórzyć wyczyn Skorzeny'ego z Gran Sasso i dostarczyć mu Churchilla. Nie precyzuje tylko, czy ma być żywy, czy martwy. I oto w rutynowym raporcie Abwehry synchroniczność ujawnia swe paskudne oblicze. Jest tam krótka wzmianka o tym, że Churchill spędzi weekend zaledwie siedem czy osiem mil od morza, w wiejskim domku położonym na pustkowiu, na wymarzonej dla nas odludziu. Rozumiesz, co mam na myśli? W każdym innym momencie ten raport pani Grey byłby bez znaczenia.

- A więc bierzemy się za to, Herr Oberst?

- Chyba los tak zdecydował, Karl - odparł Radl. - No więc, jak szybko raporty pani Grey docierają hiszpańską pocztą dyplomatyczną?

- W ciągu trzech dni, Herr Oberst, jeśli ktoś czeka w Madrycie, żeby je przejąć. Ale nawet w niesprzyjających okolicznościach nie idą dłużej niż tydzień.

- Kiedy macie następny kontakt radiowy?

- Dziś wieczorem, Herr Oberst.

- To dobrze. Prześlij jej tę wiadomość. - Radl znów spojrzął w sufit, zastanawiając się głęboko i próbując zebrać myśli. - Interesuje nas bardzo gość, który odwiedzi panią szóstego listopada. Chcemy wysłać mu na spotkanie kilku przyjaciół. Mamy nadzieję, że nakłonią go, by z nimi wrócił. Oczekujemy szybkiego przesłania zwykłą drogą pani uwag i wszelkich istotnych informacji.

- To wszystko, Herr Oberst?

- Myślę, że tak.

Rozmowa ta miała miejsce w środę. W Berlinie padał wtedy deszcz. Ale następnego ranka, gdy ojciec Philip Yereker wychodził kuśtykając przed cmentarną bramę z kościoła Najświętszej Marii Panny i Wszystkich Świętych w Studley Constable i szedł przez wioskę, świeciło słońce i był przepiękny jesienny dzień.

Philip Yereker miał wówczas trzydzieści lat. Był wysoki i wychudzony. Jego mizerny wygląd podkreślała jeszcze bardziej czarna sutanna. Kiedy kuśtykał, opierając się ciężko na lasce, twarz miał napiętą i wykrzywioną bólem. Zaledwie cztery miesiące wcześniej wypisano go z wojskowego szpitala.

Był młodszym synem lekarza z Harley Street i jako student w Cambridge wykazywał się zdolnościami, które wróżyły mu wielką przyszłość. Pewnego dnia, ku niezadowoleniu rodziny, postanowił zostać księdzem, poszedł do Akademii Angielskiej w Rzymie i wstąpił do Towarzystwa Jezusowego.

W wojsku znalazł się jako kapelan w 1940 roku. Przydzielono go ostatecznie do pułku spadochroniarzy. Brał udział w walce tylko raz, w Tunezji, w listopadzie 1942 roku. Zrzucono go z jednostkami Pierwszej Brygady Spadochronowej. Mieli rozkaz przejąć lotnisko w Oudna, dziesięć mil od Tunisu. Zostali jednak zmuszeni do odwrotu i przedzierali się pięćdziesiąt mil w otwartym terenie, ostrzeliwani przez cały czas z powietrza i nękani ciągłymi atakami z ziemi.

Ocalało stu osiemdziesięciu. Dwustu sześćdziesięciu się nie powiodło. Yereker mógł mówić o szczęściu, pomimo kuli, która zmiażdżyła mu kostkę w lewej stopie. Zanim dotarł do polowego szpitala, nastąpiło zakażenie. Amputowano mu lewą stopę i wypisano do domu.

W tym czasie od Yerekera trudno było oczekiwać pogody ducha. Uporczywy ból nie ustępował. A jednak zdobył się na uśmiech, kiedy zbliżając się do Park Cottage zobaczył Joannę Grey. Szła właśnie, z psem przy nodze, prowadząc rower.

- Jak się masz, Philip?- zapytała. - Nie widziałam cię od paru dni.

Miała na sobie tweedową spódnicę, sweter polo pod żółtym nieprzemakalnym płaszczem, a na siwych włosach jedwabny szal. Wyglądała doprawdy czarująco z tą swoją południowoafrykańską opalenizną, której nigdy nie traciła.

- Och, wszystko w porządku - powiedział Yereker. - Tyle, że umieram z nudów. Dostałem pewną wiadomość, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Mówiłem ci o mojej siostrze, Pameli, pamiętasz? O dziesięć lat młodsza ode mnie. Jest kapralem Żeńskiej Służby Pomocniczej Lotnictwa.

- Oczywiście, że pamiętam - odpowiedziała Joanna Grey. - Co się stało?

- Przydzielono ją do bazy bombowców w Pangbourne, zaledwie piętnaście mil stąd, a więc będziemy mogli się widywać. Wpadnie w czasie weekendu. Przedstawię ci ją.

- Chętnie ją poznam. - Joanna Grey wsiadła na rower.

- Zagramy wieczorem w szachy? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Czemu nie? Wpadnij koło ósmej, zjesz ze mną kolację. Teraz muszę już wracać.

Pojechała wzdłuż strumienia, a pies Patch biegł za nią w podskokach. Twarz miała teraz poważną. Wiadomość, którą otrzymała przez radio poprzedniego wieczoru, całkowicie ją zaszokowała. Prawdę mówiąc, rozszyfrowywała ją trzykrotnie, żeby się upewnić, czy nie popełniła błędu.

Prawie nie zmrużyła oka, a już na pewno nie zasnęła na dobre przed piątą. Leżąc nasłuchiwała, jak Lancastery wyruszają przez morze do Europy, a potem wracają po paru godzinach. Co najdziwniejsze, zdrzemnąwszy się w końcu, wstała o wpół do ósmej pełna życia i wigoru.

Wyglądało na to, że pierwszy raz ma do wykonania naprawdę ważne zadanie. To było... tak niewiarygodne! Porwać Churchilla, zdmuchnąć go sprzed nosa tym, którzy mieli go strzec!

Roześmiała się na głos. Och, tym cholernym Anglikom nie będzie to w smak. Ani trochę im się to nie spodoba, gdy cały świat oniemieje ze zdumienia.

Kiedy zjeżdżała ze wzgórza w kierunku głównej drogi, rozległ się z tyłu dźwięk klaksonu i niewielka limuzyna, wyprzedziwszy ją, zatrzymała się na poboczu. Kierowca miał długie, siwe wąsy i rumianą twarz człowieka, który wypija codziennie spore ilości whisky. Ubrany był w mundur podpułkownika Jednostek Obrony Kraju.

- Dzień dobry, Joanno - zawołał jowialnie.

To spotkanie było jej wyjątkowo na rękę. Prawdę mówiąc, musiałaby inaczej złożyć tego dnia wizytę w Studley Grange.

- Dzień dobry, Henry - odparła zsiadając z roweru.

- W sobotę wieczorem będzie u nas parę osób - powiedział, wysiadłszy z samochodu.
- Pogramy w brydża, i tak dalej. Potem będzie kolacja. Nic szczególnego. Jean pomyślała, że może zechcesz wpaść.

- To bardzo ładnie z jej strony. Z wielką przyjemnością - odpowiedziała Joanna Grey.
- Ma pewnie mnóstwo pracy, szykując się już na przyjęcie ważnego gościa.

Sir Henry wydawał się trochę spłoszony i zniżywszy nieco głos zapytał:

- Nie wspomniałaś o tym nikomu, prawda? Joanna Grey znakomicie udął oburzenie.

- Oczywiście, że nie! Powiedziałeś mi to przecież w tajemnicy, pamiętasz?

- Właściwie nie powinienem był w ogóle o tym wspominać, ale wiedziałem, Joanno, że tobie mogę zaufać. - Objął ją w pasie. - W sobotę wieczorem nie piśnij ani słówka, moja droga. Zrób to dla mnie, dobrze? Jeśli ktoś z tego towarzystwa zorientuje się, co wisi w powietrzu, dowie się o tym całe hrabstwo.

- Wiesz, że dla ciebie zrobiłabym wszystko - powiedziała cicho.

- Naprawdę, Joanno? - Głos mu zachrypł. Poczula, że przywiera do niej udem, lekko drżąc. Nagle się odsunął. - Cóż, muszę już lecieć. Mam zebranie dowództwa okręgu w Holt.

- Perspektywa goszczenia premiera musi być dla ciebie bardzo emocjonująca - powiedziała Joanna.

- Rzeczywiście. To wielki zaszczyt. - Sir Henry rozpromienił się. - Zamierza on poświęcić trochę czasu na malowanie, a wiesz, jakie piękne są widoki z farmy. - Otworzył drzwiczki i wsiadł do samochodu. - A ty dokąd się właściwie wybierasz? Czekala właśnie na to pytanie.

- Och, chcę jak zwykle przyjrzeć się trochę ptakom. Może pojedę do Cley albo na bagna. Jeszcze się nie zdecydowałam. Jest teraz w okolicy trochę przelotnych gatunków.

- Musisz cholernie uważać. - Twarz miał poważną. - Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Jako dowódca lokalnych oddziałów samoobrony dysponował planami, na których zaznaczono wszystko, co dotyczyło systemu obrony wybrzeża w tej okolicy, a między innymi szczegółowe informacje o zaminowanych plażach i, co istotniejsze, o plażach, które tylko pozornie zaminowano. Któregoś dnia, w trosce o bezpieczeństwo Joanny, spędził z nią dwie długie godziny na studiowaniu map, pokazując jej szczegółowo, gdzie nie powinna chodzić, gdy chce podglądać ptaki.

- Wiem, że sytuacja stale się zmienia - stwierdziła. - Może wpadłbyś do mnie znowu z tymi swoimi mapami i udzielił mi kolejnej lekcji?

- Miałabyś ochotę? - spytał patrząc nieco zamglonym wzrokiem.

- Oczywiście. Właściwie dziś po południu jestem w domu.

- A więc po obiedzie - powiedział. - Będę około drugiej. Spuścił ręczny hamulec i szybko odjechał.

Joanna Grey wsiadła ponownie na rower i zaczęła zjeżdżać ze wzgórza w kierunku głównej drogi. Patch biegł za nią. Biedny Henry. Naprawdę go lubiła. Był jak dziecko, którym można do woli manipulować.

W pół godziny później skręciła z szosy biegnącej wzdłuż wybrzeża i pojechała po grobli przez bagniste putkowie, znane w okolicy jako Hobs End. Był to dziwny, obcy świat, pełen morskich zatoczek, błotnistych nizin i rosnących gęsto białych trzciny, wyższych od człowieka, świat zamieszkały jedynie przez ptaki - kuliki, bekasy i bernikle - przylatujące z Syberii na południe, żeby przezimować na bagnach.

W połowie długości grobli stał dom ukryty za rozsypującym się kamiennym murem i osłonięty kilkoma pojedynczymi sosnami. Wyglądał dość solidnie, miał przybudówki i dużą stodołę, ale z zamkniętymi okiennicami sprawiał wrażenie opuszczonego. Mieszkał w nim kiedyś nadzorca bagien, którego nie było już od 1940 roku.

Joanna wjechała na porośnięty sosnami szczyt wzgórza. Zsiadła z roweru i oparła go o drzewo. Poniżej znajdowały się piaszczyste wydmy i rozległa, gładka plaża, sięgająca podczas odpływu ćwierć mili w stronę morza. W oddali, po drugiej stronie ujścia rzeki, widziała półwysep Blakeney, jak wielki zgięty palec, zamykający obszar kanałów, ławic piasku i mielizn, z pewnością równie niebezpiecznych podczas przyływu, jak całe wybrzeże hrabstwa Norfolk.

Wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła całą serię zdjęć. Kiedy skończyła, pies przyniósł

kij do aportowania, kładąc go jej ostrożnie pod nogi. Przykucnęła i pieszczotliwie pogłaskała go za uszami.

- Tak, Patch - powiedziała czule. - Myślę, że to zupełnie wystarczy. Rzuciła kij ponad kolczastym drutem, który zagrażał wstęp na plażę.

Patch popędził za nim, mijając tablicę z napisem UWAGA, MINY! Dzięki Henry'emu Willoughby wiedziała na pewno, że ta plaża nie jest zaminowana.

Po lewej stronie znajdował się betonowy bunkier i stanowisko karabinów maszynowych. Oba te miejsca były wyraźnie zniszczone. Zasadzkę przeciwczołgową w prześwicie między sosnami zasypał piasek. Trzy lata temu, kiedy doszło do pogromu pod Dunkierką, można tu było spotkać żołnierzy. Nawet przed rokiem trafiały się jeszcze jednostki spadochroniarzy. Teraz nie było nikogo.

W czerwcu 1940 roku pas wybrzeża o szerokości dwudziestu mil w głąb lądu na obszarze od zatoki Wash do Rye ogłoszono Strefą Obrony. Mieszkańcy tych terenów nie podlegali żadnym ograniczeniom, ale przyjezdni musieli mieć ważne powody, aby się tam znaleźć. Wszystko to uległo znacznym zmianom i obecnie, w trzy lata później, nikt właściwie nie zwracał sobie głowy przestrzeganiem tych przepisów, bo prawdę mówiąc nie było już takiej potrzeby.

Joanna Grey pochyliła się, by raz jeszcze pogłaskać psa za uszami.

- Wiesz co, Patch? Anglicy po prostu nie spodziewają się już żadnej inwazji.

Rozdział III

Raport Joanny Grey dotarł na Tirpitz Ufer we wtorek. Hofer dał mu absolutne pierwszeństwo. Zabrał go wprost do Radia, który otworzył przesyłkę i obejrzał jej zawartość.

Były tam zdjęcia bagien w Hobs End i dojsć na plażę, których położenie Wskazywały jedynie zaszyfrowane odnośniki do mapy. Radl przekazał Hoferowi sam raport.

- Sprawa jest wyjątkowo pilna. Daj do rozszyfrowania i zaczekaj, aż to zrobią.

Abwehra wprowadziła właśnie nowy deszyfrator typu Sonlar, który w ciągu paru minut wykonywał zadanie, wymagające poprzednio kilku godzin. Urządzenie miało klawiaturę jak normalna maszyna do pisania. Operator wpisywał po prostu zaszyfrowaną wiadomość, która była automatycznie odczytywana i dostarczana w zaplombowanej rolce. Nawet on nie widział treści informacji.

Hofer wrócił do gabinetu w ciągu dwudziestu minut, a potem czekał w milczeniu, aż pułkownik skończy czytać. Radl spojrział na niego z uśmiechem i pchnął raport na drugą stronę biurka.

- Przeczytaj, Karl. Tylko przeczytaj! Znakomite, naprawdę znakomite! Cóż za kobieta!

Zapalił papierosa i czekał niecierpliwie, aż Hofer skończy. Wreszcie sierżant podniósł wzrok znad raportu.

- Wygląda dość obiecująco.

- Obiecująco? Tylko na tyle cię stać? Boże, człowieku, toż to konkretna możliwość! Bardzo realna!

Już od wielu miesięcy nie był tak podekscytowany. Nie wychodziło mu to na dobre, zwłaszcza jego sercu, straszliwie nadwężonemu wskutek rozległych obrażeń. Zaczęło go rwać w pustym oczodole pod czarną opaską, aluminiowa dłoń w rękawicy jakby ożyła, każde ścięgno było napięte jak cięciwa łuku. Opadł na fotel, próbując złapać oddech.

Hofer wyjął natychmiast z dolnej szuflady butelkę Courvoisiera, nalał pół szklanki i przytknął ją pułkownikowi do ust. Radl przełknął niemal wszystko, zakaszłał głęboko, po czym jakby powrócił do równowagi.

- Nie mogę sobie zbyt często na to pozwalać, co, Karl?- Uśmiechnął się ciepło. - Zostały tylko dwie butelki. W dzisiejszych czasach to płynne złoto.

- Herr Oberst, nie powinien pan tak się emocjonować - stwierdził Hofer, dodając bez osłonek: - Na to właśnie nie może pan sobie pozwolić.

Radl przełknął jeszcze trochę brandy.

- Wiem, Karl, wiem, ale sam zobacz. Zaczęło się od żartu, od pomysłu, który Fuhrer podsunął w złości w środę, żeby do piątku o nim zapomnieć. Himmler zaproponował ocenę szans powodzenia takiej akcji i to wyłącznie dlatego, że chciał zaszkodzić admirałowi. Admirał polecił mi przygotować coś na piśmie. Cokolwiek, żeby tylko wykazać, że nie zaniedbujemy swoich obowiązków.

Wstał i podszedł do okna.

- Teraz wszystko się zmieniło, Karl. To już nie żarty. To da się zrobić. Hofer stał niewzruszony po drugiej stronie biurka, nie okazując żadnych emocji.

- Tak jest, Herr Oberst. Tak sędzę.

- I ta perspektywa w ogóle cię nie porusza? - Radla przeniknął dreszcz. - Boże, jestem przerażony. Przynies mi te mapy admiralicji i mapę sztabową.

Hofer rozłożył je na biurku. Radl odszukał Hobs End i porównał to miejsce ze zdjęciami.

- Czegóż więcej chcieć? Idealny obszar, żeby zrzucić spadochroniarzy, a w ciągu weekendu przyplływ nadejdzie przed świtem i zatrze wszelkie ślady akcji.

- Ale nawet niewielką jednostkę trzeba by przerzucić samolotem transportowym albo bombowcem - zauważył Hofer. - Wyobraża pan sobie, że jakiś Dornier czy Junkers utrzyma się długo nad wybrzeżem Norfolk, skoro jest tam teraz tyle baz bombowców, osłanianych przez regularne patrole nocnych myśliwców?

- Zgoda, to jest pewien problem - powiedział Radl. - Ale da się go rozwiązać. Z mapy taktycznej Luftwaffe wynika, że na tym konkretnym odcinku wybrzeża nie ma radarów do wykrywania nisko lecących obiektów, co oznacza, że na wysokości poniżej sześciuset stóp samolot nie zostanie zauważony. Ale tego typu szczegóły są teraz bez znaczenia. Można się nimi zająć później. Na tym etapie, Karl, trzeba tylko zbadać, czy taka akcja jest wykonalna. Zgadzasz się, że zrzucenie na plażę grupy komandosów byłoby teoretycznie możliwe?

- Przyjmuję to jako propozycję - odparł Karl - ale jak ich stamtąd wydostaniemy? Łodzią podwodną?

Radl patrzył przez chwilę na mapę, po czym pokręcił głową.

- Nie, to niezbyt realne. Grupa byłaby zbyt liczna. Wiem, że mogliby się jakoś pomieścić na pokładzie, ale spotkanie musiałoby nastąpić z dala od brzegu i pojawiłby się problem, jak mają się tam dostać. Trzeba znaleźć prostsze, bardziej oczywiste rozwiązanie. Może łódź torpedowa? Na wodach przybrzeżnych w tym rejonie pływa sporo takich łodzi. Z pewnością jedna mogłaby się wślizgnąć między plażę a półwysep. Byłoby to i w czasie

przyływu, a według raportu kanał nie jest zaminowany, co by : znacznie uprościło sprawę.

- Trzeba by poradzić się marynarki - powiedział ostrożnie Hofer. - Pani Grey wspomina w raporcie, że to niebezpieczne wody.

- A od czego są dobrzy żeglarze? Czy jeszcze coś cię martwi?

- Proszę wybaczyć, Herr Oberst, ale moim zdaniem sukces całej operacji może zależeć w znacznym stopniu od czynnika czasu. Prawdę mówiąc, nie widzę tu żadnego rozwiązania. - Hofer wskazał Studley Grange na mapie sztabowej. - Punkt docelowy znajduje się tutaj, około ośmiu mili od miasta zrzutu. Biorąc pod uwagę nieznamość terenu i ciemności, zakładam, że oddział będzie potrzebował dwóch godzin, aby tam dotrzeć. Tyle samo zajmie powrót, jeżeli szybko uporają się z zadaniem. Oceniam czas akcji na sześć godzin. Jeśli zgadzamy się, że ze względów bezpieczeństwa trzeba będzie dokonać zrzutu około północy, spotkanie z łodzią torpedową nastąpiłoby o świcie, albo i później, co jest zupełnie nie do przyjęcia. Łódź musi płynąć przynajmniej przez dwie godziny w ciemności, żeby nie groziło jej wykrycie.

Radl rozsiadł się wygodnie w fotelu, z twarzą zwróconą do sufitu i zamkniętymi oczami.

- Świetnie powiedziane, Karl. Szybko się uczysz. - Podniósł się. - Masz całkowitą rację. Właśnie dlatego zrzut musi nastąpić o dzień wcześniej.

- Słucham? - zapytał Hofer ze zdumieniem na twarzy. - Nie rozumiem.

- To proste. Churchill zjawi się w Studley Grange po południu albo wieczorem szóstego listopada i zostanie tam na noc. Naszych ludzi zrzucimy piątego, o dzień wcześniej.

Hofer zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym.

- Widzę, oczywiście, zalety takiego rozwiązania, Herr Oberst. Dysponując dodatkowym czasem mieliby pole do manewru na wypadek nieoczekiwanych okoliczności.

- Nie byłoby też wtedy żadnego problemu z łodzią - stwierdził Radl. - Można by wziąć ich na pokład w sobotę już o dziesiątej czy jedenastej. - Uśmiechnął się i wziął z pudełka kolejnego papierosa. - A więc zgadzasz się, że i to dałoby się zrobić?

- W sobotę byłby poważny problem z ukryciem grupy - zauważył Hofer. - Zwłaszcza, jeśli będzie liczna.

- Masz absolutną rację. - Radl wstał i znowu zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju. - Ale jest na to chyba prosty sposób. Spytam cię jak doświadczonego leśnika, Karl: gdybyś chciał ukryć sosnę, jakie miejsce byłoby najbezpieczniejsze na świecie?

- Pewnie sosnowy las.

- Właśnie. W takim dalekim i odosobnionym miejscu każdy cudzoziemiec rzuca się w oczy, szczególnie podczas wojny. Pamiętaj, że nie ma tam turystów. Brytyjczycy, podobnie

jak dobrzy Niemcy, spędzają wakacje w domu, żeby dopomóc w prowadzeniu wojny. A jednak, Karl, z raportu pani Grey wynika, że kręcą się tam ciągle po drogach i wioskach obcy ludzie, których obecność nikogo nie dziwi. - Hofer wydawał się zaintrygowany. Radl ciągnął dalej: - To żołnierze na ćwiczeniach, Karl. Bawią się w wojnę, strzelają do siebie zza żywopłotów. - Sięgnął na biurku po raport Joanny Grey i odwrócił parę kartek. - Na przykład tutaj, na stronie trzeciej, mówi o miejscu zwanym Meltham House, osiem mil od Studley Constable. Przez ostatni rok cztery razy odbywały się tam ćwiczenia jednostek specjalnych. Dwukrotnie korzystali z tego miejsca komandosi brytyjscy, raz podobny oddział złożony z Polaków i Czechów pod dowództwem angielskich oficerów i raz desant amerykański.

Podał raport Hoferowi, który mu się przyjrzał.

- Żeby bez trudności poruszać się po okolicy, potrzebują tylko brytyjskich mundurów. Jednostka polskich komandosów - to znakomity pomysł.

- To z pewnością załatwiłoby problem języka - stwierdził Hofer. - Ale polska jednostka, o której wspomina pani Grey, miała angielskich oficerów, a nie tylko mówiących po angielsku. Proszę wybaczyć, Herr Oberst, ale to nie to samo.

- Tak, masz rację - odparł Radl. - To zupełnie nie to samo. Gdyby dowódca był Anglikiem albo mógł uchodzić za Anglika, wyglądałoby to o wiele lepiej.

Hofer spojrzał na zegarek.

- Pozwolę sobie przypomnieć, Herr Oberst, że dokładnie za dziesięć minut w gabinecie admirała ma się zacząć cotygodniowe zebranie szefów sekcji.

- Dziękuję, Karl. - Radl poprawił pas i wstał. - A więc wygląda na to, że nasz raport jest praktycznie gotowy. Chyba pomyśleliśmy o wszystkim.

- Z wyjątkiem najważniejszej może sprawy, Herr Oberst. Radl zatrzymał się w pół drogi do drzwi.

- No dobrze, Karl, zaskocz mnie.

- Dowódca takiej grupy, Herr Oberst. Musiałby to być człowiek o niezwykłych zdolnościach.

- Następny Otto Skorzeny - zasugerował Radl.

- Właśnie - stwierdził Hofer. - Ale to nie wystarczy. Musi jeszcze umieć bezbłędnie udawać Anglika.

Radl uśmiechnął się szczerze.

- Znajdź mi go, Karl. Daję ci czterdzieści osiem godzin. Otworzył szybko drzwi i wyszedł.

Tak się złożyło, że następnego dnia Radl musiał nieoczekiwanie udać się do

Monachium i dopiero w czwartek po obiedzie zjawił się ponownie w biurze na Tirpitz Ufer. Był wykończony, bo poprzedniej nocy w Monachium niewiele spał. Bombowce RAF-u szczególnie dotkliwie dawały się miastu we znaki.

Hofer natychmiast podał mu kawę i nalał brandy.

- Czy podróż była dobra, Herr Oberst?

- Znośna - odparł Radl. - Prawdę mówiąc, najciekawiej było wczoraj przy lądowaniu. Do naszego Junkersa podleciał amerykański Mustang. Zapewniam cię, że nie obyło się bez strachu. Potem zobaczyliśmy, że ma swastykę na ogonie. Pewnie lądował awaryjnie. Luftwaffe go naprawiła i sprawdzali, jak lata.

- To niezwykle, Herr Oberst. Radl pokiwał głową.

- Nasunęło mi to pewną myśl, Karl. Martwiłeś się trochę, czy Dornieri albo Junkersy przeleciałyby nad wybrzeżem Norfolk. - W tym momencie spostrzegł na biurku nową zieloną teczkę. - Co to?

- Zadanie, które mi pan przydzielił, Herr Oberst. Oficer, mogący uchodzić za Anglika. Zapewniam, że wymagało to trochę zachodu. Jest też raport na temat jakiegoś sądu wojennego. Już poleciłem, by go dostarczono. Powinien tu być dziś po południu.

- Sąd wojenny? - powtórzył Radl. - To nie brzmi dobrze. Kim, u licha, jest ten człowiek? - zapytał otwierając teczkę.

- Nazywa się Steiner. Podpułkownik Kurt Steiner - odparł Hofer. - Wyjdę, żeby pan spokojnie o nim poczytał. To ciekawa historia.

Historia okazała się nie tylko ciekawa, ale wręcz fascynująca.

Steiner był jedynym synem generała - majora Karla Steinera, obecnie komendanta w Bretanii. Urodził się w 1916 roku, kiedy jego ojciec służył w artylerii w randze majora. Matka była Amerykanką, córką bogatego kupca z Bostonu, który ze względu na interesy w handlu wełną przeniósł się do Londynu. W tym samym miesiącu, gdy urodziła syna, jej jedyny brat zginął nad Sommą jako kapitan pułku piechoty z Yorkshire.

Chłopiec kształcił się w Londynie. W czasie gdy jego ojciec był attache wojskowym w niemieckiej ambasadzie, chodził przez pięć lat do szkoły St. Paul's i płynnie mówił po angielsku. Po tragicznej śmierci matki w wypadku samochodowym w 1931 roku wrócił z ojcem do Niemiec, ale aż do 1938 roku nadal odwiedzał krewnych w Yorkshire.

Przez jakiś czas, będąc na utrzymaniu ojca, studiował sztukę w Paryżu. Umówili się, że jeśli nie będzie mu dobrze szło, wstąpi do wojska. Właśnie tak się stało. Służył krótko jako podporucznik w artylerii, a w 1936 zgłosił się jako ochotnik na szkolenie dla spadochroniarzy w Stendhal. Chodziło bardziej o ucieczkę od nudy wojskowego życia niż cokolwiek innego.

Natychmiast stało się oczywiste, że miał talent do takiej pełnej przygód wojaczki. Był świadkiem walk w Polsce, a podczas kampanii w Norwegii wylądował na spadochronie pod Narwikiem. Jako porucznik przeżył awaryjne lądowanie szybowca i został ranny w rękę. Jego grupa zajęła wtedy, podczas wielkiego natarcia na Belgię w 1940 roku, kanał Alberta.

Potem była Grecja, Kanał Koryncki i nowe piekło. W maju 1941 roku, już jako kapitan, został poważnie ranny w trakcie ciężkich walk o lotnisko Maleme, po wielkim desancie na Krecie.

Później Kampania Zimowa. Radl zdał sobie sprawę, że na samo wspomnienie tej nazwy ciarki chodzą mu po plecach.

„Boże - pytał w myślach sam siebie - czy zapomnimy kiedyś Rosję, ci z nas, którzy tam wtedy byli?”

Pełniąc obowiązki majora Steiner dowodził specjalną grupą szturmową, złożoną z trzystu ochotników, których zrzucono w nocy, aby odszukali i wyprowadzili z okrążenia dwie dywizje, odcięte podczas bitwy o Leningrad. Wyszedł z tej akcji z kulą w prawej nodze, wskutek czego zaczął lekko utykać, z Krzyżem Rycerskim i opinią eksperta od tego typu działań.

Dowodził jeszcze dwiema podobnymi operacjami, a potem awansował na podpułkownika, akurat w porę, by trafić pod Stalingrad. Stracił tam połowę ludzi, ale odwołano go na kilka tygodni przed klęską, kiedy jeszcze latały samoloty. W styczniu, razem z tymi stu sześćdziesięcioma siedmioma ludźmi z grupy szturmowej, którzy przeżyli, wylądował w pobliżu Kijowa, żeby raz jeszcze odszukać i wyprowadzić dwie odcięte dywizje piechoty. W efekcie nastąpił trzystumilionowy odwrót, znaczone krwawymi śladami walk. W ostatnim miesiącu kwietnia Kurt Steiner dotarł do linii niemieckiego frontu. Z całej jednostki szturmowej ocalało tylko trzydziestu ludzi.

Do Krzyża Rycerskiego dodano mu natychmiast Liście Dębu, po czym wsadzono go pospiesznie razem z jego ludźmi do pociągu jadącego do Niemiec. Rankiem 1 maja mieli postój w Warszawie. Wieczorem tego samego dnia Steiner i jego ludzie wysiedli z pociągu, aresztowani na rozkaz Jurgena Stroopa, Brigadeführera SS i generała - majora policji.

W tydzień później odbył się sąd wojenny. W aktach brakowało szczegółów, był tylko wyrok. Steinera i jego ludzi skazano na pobyt w karnej kompanii na okupowanej przez Niemców wyspie Alderney w kanale La Manche. Mieli brać udział w tak zwanej „Operacji Miecznik”.

Radl przez chwilę przyglądał się aktom, potem zamknął je i nacisnął dzwonek, by wezwać Hofera, który od razu się zjawił.

- Słucham?

- Co się zdarzyło w Warszawie?

- Nie wiem na pewno, Herr Oberst. Mam nadzieję dostać dziś po południu dokumentację rozprawy.

- W porządku - powiedział Radl. - Co oni robią na tych wyspach w kanale?

- O ile zdołałem się dowiedzieć, Herr Oberst, „Operacja Miecznik” to coś w rodzaju jednostki samobójców. Mają za cel zniszczenie floty aliantów - w kanale.

- Jak to robią?

- Wygląda na to, Herr Oberst, że siadają na torpedzie z wyjętym ładunkiem, osłonięci szklaną kopułą, która ma ich zabezpieczać. Pod spodem umocowana jest właściwa torpeda, którą w czasie ataku operator odpala, uciekając w ostatniej chwili.

- Wielki Boże! - powiedział z przerażeniem Radl.- Nic dziwnego, że to musi być karna kompania!

Siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc w akta. Hofer chrząknął i spytał niezobowiązująco:

- Sądzi pan, że on by się nadał?

- Czemu nie - odparł Radl.- Wyobrażam sobie, że wszystko uznałby za lepsze niż to, co robi teraz. Nie wiesz, czy admirał jest u siebie?

- Dowiem się, Herr Oberst.

- Jeśli jest, spróbuj umówić mnie z nim na popołudnie. Czas, żebym mu pokazał, do czego doszliśmy. Przygotuj mi krótkie sprawozdanie. Tylko na jedną stronę, i przepisz je sam. Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Nawet w Wydziale.

Dokładnie w tej samej chwili podpułkownik Kurt Steiner znajdował się po pas w lodowatej wodzie kanału La Manche. Nigdy w życiu nie odczuwał tak dotkliwego zimna, nawet w Rosji. Skulony za szklaną osłoną torpedy miał wrażenie, że zimno przenika go do szpiku kości.

Znajdował się prawie dwie mile na pomocny wschód od położonego na wyspie Alderney portu Braye i na północ od mniejszej, leżącej z dala od brzegu wysepki Burhou. Otaczała go jednak tak gęsta mgła, że z równym powodzeniem mógł być na końcu świata. Na szczęście nie był sam. Niknące z dwóch stron we mgle konopne liny ratownicze łączyły go niczym pępowiny z sierżantem Otto Lemke po lewej i porucznikiem Ritterem Neumannem po prawej.

Steiner był zaskoczony, że wezwano go tego popołudnia. Jeszcze dziwniejszy był sygnał radaru, informujący o obecności okrętu tak blisko brzegu, ponieważ główny szlak

przez kanał prowadził o wiele bardziej na północ. Jak się później okazało, statek ten, ośmiotysięcznik „Joseph Johnson”, płynął z Bostonu do Plymouth z ładunkiem materiałów wybuchowych i trzy dni wcześniej, podczas sztormu w pobliżu Land's End, doznał uszkodzenia steru. Z powodu tych komplikacji i gęstej mgły zboczył z kursu.

Na północ od wyspy Burhou Steiner zwolnił, szarpnięciem liny dając znak swym towarzyszom. W parę chwil później wyłonili się z mgły po obu stronach, przyłączając się do niego. Twarz Rittera Neumanna, osłonięta czarnym kapturem gumowego kombinezonu, była sina z zimna.

- Jesteśmy blisko, Herr Oberst - powiedział. - Jestem pewien, że ich słyszę.

Sierżant Lemke podpłynął w ich kierunku. Ponieważ rosyjski pocisk z broni szybkostrzelnej zniekształcił mu poważnie podbródek, za specjalnym pozwoleniem Steinera nosił kędzierzawą, czarną brodę, z której był bardzo dumny. Okazywał spore podniecenie, wzrok mu płonął i najwyraźniej traktował całą sprawę jak wielką przygodę.

- Ja też ich słyszę, Herr Oberst.

Steiner podniósł dłoń w uciszającym geście i nasłuchiwał. Przytłumiony warkot dochodził teraz z bliskiej odległości. „Joseph Johnson” posuwał się rzeczywiście wolno.

- Łatwa sprawa, Herr Oberst. - Lemke uśmiechnął się szeroko, choć szcząkał zębami z zimna. - Najlepszy cel, jaki nam się trafił. Nie będzie nawet wiedział, czym dostał.

- Mówcie za siebie, Lemke - stwierdził Ritter Neumann. - W moim krótkim i niefortunnym życiu nauczyłem się jednego: niczego nie oczekiwać i odnosić się szczególnie podejrzliwie do tego, co wydaje się zbyt łatwe.

Jakby na potwierdzenie jego słów gwałtowny podmuch wiatru zrobił wyłom w ścianie mgły. Za nimi znajdowały się szarozielone połacie Alderney, stary falochron marynarki wojennej, wysunięty jak granitowy palec tysiąc jardów od Braye i wyraźnie widoczne umocnienia portowe wiktoriańskiego Fortu Alberta.

„Joseph Johnson” był w odległości najwyżej stu pięćdziesięciu jardów i płynął w kierunku północno - zachodnim, w stronę otwartych wód kanału, ze stałą prędkością ośmiu do dziesięciu węzłów. Za parę chwil musiano ich zauważyć. Steiner błyskawicznie zdecydował:

- Dobra, naprzód. Odpalić torpedy z pięćdziesięciu jardów i zmykać. I żadnych bohaterskich wyczynów, Lemke. Pamiętajcie, że w karnych kompaniach nie dają medali. Tylko trumny.

Przyspieszył i popędził przed siebie, chowając się za osłonę, gdy fale zaczęły rozpryskiwać się nad jego głową. Widział, że Ritter Neumann jest po prawej stronie i nie pozostaje w tyle, za to Lemke wysforował się naprzód i był już piętnaście czy dwadzieścia

jardów dalej.

Głupi gówniarz! - pomyślał Steiner. - Myśli, że to szarża lekkiej brygady.

Dwóch ludzi przy relingu okrętu trzymało w rękach karabiny, a oficer, który wyszedł ze sterówki, stał na mostku i strzelał z thompsona, erkaemu z bębenkowym magazynkiem.

„Joseph Johnson” nabierał teraz szybkości, przepływając przez zasłone rzadkiej mgły, która znowu zaczynała gęstnieć. Za parę chwil zupełnie przestałby być widoczny. Karabinierzy przy relingu nie mogli trafić z kołyszącego się pokładu do celu, który znajdował się nisko w wodzie, i ich strzały miały ogromny rozrzut. Thompson, nie strzelający zbyt precyzyjnie nawet w najlepszych warunkach, nie spisywał się lepiej i robił tylko mnóstwo hałasu.

Lemke znalazł się pięćdziesiąt jardów od okrętu o kilka długości przed swymi kompanami i pędził dalej. Steiner był bezsilny. Karabinierzy zaczęli celniej strzelać i jedna z kul odbiła się o korpus torpedy tuż przed osłoną.

Steiner odwrócił się, dając znak ręką Neumannowi.

- Teraz! - krzyknął i odpalił torpedę.

Ta, na której siedział, pozbawiona nagle obciążenia, skoczyła naprzód z nową energią. Skręcił szybko w prawo, płynąc za Neumannem, który zataczał wielki łuk, aby znaleźć się jak najszybciej z dala od okrętu.

Lemke także już zawracał. „Joseph Johnson” znajdował się teraz od niego w odległości najwyżej dwudziestu pięciu jardów, a ludzie zza relingu strzelali bez opamiętania. Prawdopodobnie któryś z nich trafił, choć Steiner nigdy nie był tego pewien. Jedno nie budziło wątpliwości: w pewnym momencie Lemke siedział okrakiem na torpedzie, umykając przed niebezpieczeństwem, a po chwili już go nie było.

W sekundę później jedna z trzech torped trafiła w cel w pobliżu rufy, gdzie leżały setki ton bomb z silnym ładunkiem wybuchowym, przeznaczonych dla latających fortów grup bombardujących 1 Dywizjonu Lotnictwa amerykańskiej 8 Jednostki Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Gdy okręt zniknął we mgle, nastąpił wybuch, którego odgłos odbił się od wyspy zwielokrotnionym echem. Steiner pochylił się nisko, czując podmuch eksplozji, i zrobił unik, gdy tuż przed nim runął do morza ogromny kawał poskręcane metalu.

Z nieba sypała się kupa złomu. W powietrzu było go pełno i coś spadając uderzyło Neumanna w głowę. Z krzykiem podniósł do góry ręce i runął w tył do morza, pozostawiając torpedę, która zanurzyła się w następnej fali i zniknęła.

Utrzymał się na powierzchni dzięki nadmuchiwanej kamizelce, ale był nieprzytomny, a paskudne rozcięcie na czole krwawiło. Steiner podpłynął do niego, przywiązał koniec liny

do kamizelki porucznika i ruszył dalej, kierując się w stronę falochronu i portu Braye, który przestawał już być widoczny, gdyż mgła znów przesuwała się nad wyspę.

Szybko następował odpływ. Steiner nie miał najmniejszej szansy na dotarcie do portu i dobrze o tym wiedział, walcząc na próżno z falą, która musiała w końcu znieść ich w głąb kanału, skąd nie było już nadziei powrotu.

Nagle zdał sobie sprawę, że Ritter Neumann znów odzyskał przytomność i przygląda mu się.

- Zostaw mnie - powiedział słabym głosem. - Odetnij linę. Samemu ci się uda.

Początkowo Steiner nie raczył mu odpowiedzieć, zajęty kierowaniem torpedy w prawą stronę. Gdzieś w tym nieprzeniknionym całunie mgły leżała wyspa Burhou. Istniała szansa, że odpływ ich tam zepchnie, szansa niewielka, ale lepsze to niż nic.

- Od jak dawna jesteście razem, Ritter? - zapytał opanowanym głosem Steiner.

- Cholernie dobrze wiesz - odpowiedział Ritter. - Zobaczyłem cię pierwszy raz nad Narwikiem, kiedy bałem się wyskoczyć z samolotu.

- Teraz sobie przypominam - stwierdził Steiner. - Udało mi się cię przekonać.

- Można i tak powiedzieć - odparł Ritter. - Po prostu mnie wypchnąłeś.

Szczękał zębami, było mu bardzo zimno. Steiner schylił się, by sprawdzić linę.

- Tak, zasmarkany osiemnastolatek z Berlina, świeżo po szkole. Zawsze z tomikiem poezji w tylnej kieszeni. Synalek profesora, który czołgał się pod ostrzałem pięćdziesiąt jardów, żeby przynieść mi apteczkę, kiedy zostałem ranny nad kanałem Alberta.

- Powinienem był cię tam zostawić - odezwał się Ritter. - Zobacz, w co mnie wpakowałeś. Kreta, potem przydział, którego nie chciałem, Rosja, a teraz to. Co za interes! - Zamknął oczy i dodał cicho: - Przykro mi, Kurt, ale to bez sensu.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, porwała ich wielka fala odpływu i uniosła w stronę skał L'Equet na cyplu wyspy Burhou. Był tam statek, a raczej jego połowa, wszystko, co zostało z francuskiej jednostki żeglugi przybrzeżnej, która parę miesięcy wcześniej wpadła podczas burzy na rafę. Resztki pokładu rufowego zanurzyły się w głęboką wodę. Steiner zeskoczył z torpedy, gdy znalazła się wysoko na grzbiecie niosącej ich fali. Jedną ręką pochwycił reling statku, a drugą trzymał linę, przywiązaną do kamizelki Neumanna.

Fala cofnęła się, zabierając ze sobą torpedę. Steiner stanął na nogi i wspiał się po pochyłym pokładzie do zrujnowanej sterówki. Przecisnął się przez rozbite drzwi, wciągając za sobą swego towarzysza. Przycupnęli w pozbawionym dachu szkielecie sterówki. Zaczął siąpić deszcz.

- Co teraz? - zapytał słabym głosem Neumann.

- Nie ruszamy się stąd - powiedział Steiner. - Jak tylko mgła się trochę przerzedzi, Brandt przyplynie łodzią ratunkową.

- Zapaliłbym papierosa - stwierdził Neumann, po czym nagle znieruchomiał, wskazując coś za rozbitymi drzwiami. - Spójrz tam.

Steiner podszedł do relingu. Odpływ sprawiał, że ruchy wody były teraz szybsze. Wirowała i zmieniała kierunek wśród raf i skał, przynosząc ze sobą wojenne odpady, pływający kobierzec ze szczątków okrętu „Joseph Johnson”.

- A więc dopadliśmy go - powiedział Neumann, po czym próbował się podźwignąć. - Kurt, tam jest człowiek, w żółtej kamizelce. Zobacz, pod rufą.

Steiner ześlizgnął się po pokładzie do wody i podpłynął pod rufę, przedzierając się przez gąszcz desek w stronę człowieka, który z odchyłoną do tyłu głową i zamkniętymi oczami unosił się na powierzchni. Był bardzo młody. Jasne włosy przylegały mu do głowy. Steiner chwycił go za kamizelkę ratunkową i zaczął holować w bezpieczne miejsce, w kierunku strzaskanej rufy. Chłopak otworzył oczy i popatrzył na niego, po czym pokręcił głową, próbując coś powiedzieć.

Steiner zatrzymał się przy nim na chwilę.

- O co chodzi? - spytał po angielsku.

- Proszę - wyszeptał chłopak. - Niech mnie pan zostawi. - Znow zamknął oczy, a Steiner podpłynął z nim do rufy. Neumann, obserwując wszystko ze sterówki, widział, jak Steiner zaczyna wyciągać go na pochylony pokład. Nagle przerwał na chwilę, a potem ostrożnie spuścił chłopaka z powrotem do wody. Popłynął z prądem i zniknął za rufą. Steiner z wysiłkiem wdrapał się z powrotem na pokład.

- Co się stało? - zapytał cicho Neumann.

- Obie nogi urwane poniżej kolan. - Steiner usiadł bardzo ostrożnie, opierając stopy o reling. - Jak to było w tym wierszu Eliota, który cytowałeś zawsze pod Stalingradem? Tym, który tak mi się nie podobał.

- Myślę, że jesteśmy w szurzej alei - odparł Neumann. - Gdzie umarli stracili kości.

- Teraz to rozumiem - powiedział Steiner. - Teraz wiem dokładnie, co miał na myśli.

Siedzieli w milczeniu. Zrobiło się jeszcze zimniej. Deszcz się wzmagał, rozpraszając szybko mgłę. Jakies dwadzieścia minut później usłyszeli bliski odgłos silnika. Steiner wyjął z kieszeni na prawej nodze niewielki sygnalizacyjny pistolet, załadował go wodoodpornym nabojem i wystrzelił rękę.

W parę chwil później wyłoniła się z mgły szalupa ratunkowa i zwolniony dryfowała w ich kierunku. Na dziobie stał starszy sierżant Brandt, gotów do rzucenia liny. Był potężnie

zbudowany, miał ponad sześć stóp wzrostu i barczyste ramiona. Zupełnie mu nie pasował żółty, nieprzemakalny płaszcz z napisem na plecach: Królewska Narodowa Organizacja Ratownictwa Wodnego. Resztę załogi stanowili wyłącznie ludzie Steinera. Sierżant Sturm był przy sterze, starszy szeregowy Briegel i szeregowy Berg pełnili funkcję marynarzy. Brandt wyskoczył na pochylony pokład wraku i przywiązał linę do relingu, gdy tymczasem Steiner i Neumann zjechali w dół, by do niego dołączyć.

- Nie spudłował pan, Herr Oberst. Co się stało z Lemke?

- Jak zwykle zgrywał bohatera - odparł Steiner. - Tym razem przesadził. Ostrożnie z porucznikiem Neumannem. Ma paskudnie rozbitą głowę.

- Sierżant Altmann jest na drugiej łodzi z Riedlem i Meyerem. Może go gdzieś zauważą. Ten facet ma piekielne szczęście. - Brandt z zadziwiającą siłą podniósł Neumanna ponad relingiem. - Dajcie go do kabiny.

Neumann nie chciał tam jednak iść. Osunął się na pokład, oparty plecami o reling rufy. Steiner usiadł obok niego, a gdy motorówka ruszyła, Brandt poczęstował ich papierosami. Steiner czuł się zmęczony. Od dawna nie był tak wyczerpany. „Pięć lat wojny”. Czasami odnosiło się wrażenie, że wypełniała ona nie tylko cały ten czas, ale że nigdy nie działo się nic innego.

Okrzykli cypel falochronu marynarki wojennej i podpłynęli wzdłuż jego nabrzeża długości tysiąca jardów do portu Braye. Było tam zaskakująco dużo statków, głównie francuskich jednostek żeglugi przybrzeżnej, wożących z kontynentu materiały budowlane dla nowych fortyfikacji, które wznoszono na całej wyspie.

Niewielka przystań została rozbudowana. Cumowała tam łódź torpedowa i kiedy motorówka podpływała tyłem, marynarze z pokładu podnieśli radosną wrzawę, a młody, brodaty porucznik w grubym swetrze i poplamionej od soli czapce stanął elegancko na baczność i zasalutował.

- Dobra robota, Herr Oberst.

Przeszedłszy przez reling, Steiner także zasalutował.

- Wielkie dzięki, Koenig.

Wszedł po schodach na górny pomost przystani, a za nim Brandt, podtrzymujący silnym ramieniem Neumanna. Kiedy dotarli do góry, na przystań wjechała, hamując gwałtownie, duża czarna limuzyna, stary Wolseley. Kierowca wyskoczył i otworzył tylne drzwi.

Jako pierwszy ukazał się człowiek pełniący w tym czasie obowiązki komendanta wyspy, pułkownik artylerii Hans Neuhoff. Podobnie jak Steiner był weteranem Kampanii

Zimowej. Został ranny w pierś pod Leningradem i z powodu nieodwracalnie zniszczonych płuc nigdy nie odzyskał zdrowia. Na twarzy miał stale wyraz rezygnacji, jak człowiek, który stopniowo umiera i dobrze o tym wie. Za nim wysiadła z samochodu jego żona.

Ilse Neuhoff miała wówczas dwadzieścia siedem lat i była szczupłą blondynką o wyglądzie arystokratki, szerokich, wydatnych ustach i kształtnych kościach policzkowych. Większość ludzi oglądała się za nią nie tylko dlatego, że była piękna, ale i z tego powodu, że jej twarz na ogół wydawała się im znajoma. Odnosiła sukcesy jako gwiazdka filmowa, pracując dla Studia UFA w Berlinie. Była jedną z tych dziwnych osób, które wszyscy lubią, i berlińska śmietanka towarzyska zabiegała o jej względy. Przyjaźniła się z Goebbelsem. Podziwiał ją nawet sam Fuhrer.

Wyszła za Hansa Neuhoffa z autentycznej sympatii. Oznaczało to coś więcej niż zmysłową miłość, do której i tak nie był już zdolny. Pielęgnowała go po powrocie z Rosji, pomagając mu stanąć na nogi, wspierała na każdym kroku, używała wszelkich wpływów, żeby zapewnić mu obecne stanowisko, a dzięki poparciu samego Goebbelsa uzyskała nawet przepustkę, by go odwiedzić. Znakomicie się rozumieli. Było to serdeczne, wzajemne zrozumienie, dzięki któremu mogła podejść do Steinera i otwarcie pocałować go w policzek.

- Martwiliśmy się o ciebie, Kurt. Neuhoff uściśnął mu dłoń, szczerze ucieszony.

- Wspaniała robota, Kurt. Dam zaraz znać do Berlina.

- Nie rób tego, na miłość boską! - powiedział Steiner z udanym przerażeniem.- Jeszcze postanowię wysłać mnie z powrotem do Rosji!

Ilse wzięła go pod rękę.

- Nie było tego w kartach, kiedy ostatnio dla ciebie wróżyłam, ale jeśli chcesz, sprawdzę dziś wieczorem jeszcze raz.

Z dolnego pomostu przystani rozległ się okrzyk powitania. Podeszli do brzegu akurat w chwili, gdy wpływała druga łódź ratunkowa. Na rufie leżały przykryte kocem zwłoki. Ze sterówki wyszedł sierżant Altmann, jeden z ludzi Steinera.

- Herr Oberst?- zawołał, czekając na rozkazy.

Steiner skinął głową i Altman uniósł na chwilę koc. Neumann podszedł do Steinera i stwierdził z goryczą:

- Lemke. Kreta, Leningrad, Stalingrad... tyle lat i teraz taki koniec.

- Kiedy kula jest komuś przeznaczona, na pewno go nie ominie - powiedział Brandt.

Steiner odwrócił się, patrząc na zatroskaną twarz Ilse Neuhoff.

- Moje biedactwo, zostaw lepiej te swoje karty w pudełku. Jeszcze parę takich dni jak dzisiejszy, a nie będziemy pytać o to, czy nadejdą gorsze czasy, lecz kiedy.

Wziął ją pod rękę, uśmiechając się pogodnie, i poprowadził do samochodu.

Canaris miał po południu spotkanie z Ribbentropem i Goebbelsem, dopiero więc po szóstej mógł przyjąć Radia. Dokumenty na temat sądu wojennego Steinera jeszcze nie dotarły.

Za pięć szóstą Hofer zapukał do drzwi i wszedł do gabinetu Radia.

- Czy już są?- spytał zaniepokojony Radl.

- Niestety nie, Herr Oberst.

- Dlaczego, na Boga?! - Radl był wściekły.

- Cały incydent spowodował skargę ze strony SS, a więc akta są na Prinz Albrechtstrasse.

- Masz sprawozdanie, o które prosiłem?

- Proszę. - Hofer wręczył mu zapisaną starannie kartkę papieru. Radl szybko ją przejrzał.

- Znakomicie, Karl. Naprawdę znakomicie. - Uśmiechnął się i poprawił i tak już nienagannie leżący mundur. - Skończyłeś służbę, prawda?

- Wolalbym zaczekać, aż Herr Oberst wróci - odparł Hofer. Radl uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- W porządku. Doprowadzimy to do końca.

Kiedy Radl wszedł, ordynans podawał właśnie admirałowi kawę.

- A, jesteś, Max - usłyszał radosne powitanie.- Zechcesz mi towarzyszyć?

- Dziękuję, panie admirale.

Ordynans napełnił jeszcze jedną filiżankę, poprawił zasłony w zaciemnionych oknach i wyszedł. Canaris westchnął, usadowił się wygodnie w fotelu i sięgnął ręką, żeby pogłaskać za uszami swego jamnika. Wydawał się znużony. W oczach i wokół ust widać było oznaki wyczerpania.

- Jest pan zmęczony - powiedział Radl.

- Też byś był, gdyby zamknęli cię na całe popołudnie z Ribbentropem i Goebbelsem. Za każdym razem, gdy ich widzę, są coraz bardziej nieznośni. Zdaniem Goebbelsa nadal wygrywamy wojnę, Max! Słyszałeś kiedyś coś bardziej absurdalnego?- Radl nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, ale admirał sam wybawił go z opresji, ciągnąc dalej.- Właściwie w jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć?

Radl położył na biurku przygotowany przez Hofera maszynopis. Canaris zaczął go czytać. Po chwili przerwał, najwyraźniej zdumiony.

- Co to jest, na Boga?

- Raport na temat przeprowadzenia akcji, o który pan prosił, panie admirale. Sprawa Churchilla. Prosił pan, żeby było coś na piśmie.

- A, tak. - Na twarzy admirała pojawiło się zrozumienie. Spojrzał znowu na kartkę, a po chwili uśmiechnął się.- Tak, bardzo dobrze, Max. To oczywiście zupełny absurd, ale na papierze ma swoją szaleńczą logikę. Miej to pod ręką, gdyby Himmler przypomniał Fuhrerowi, że ma mnie spytać, czy coś w tej sprawie zrobiliśmy.

- A więc to wszystko, panie admirale?- zapytał Radl. - Nie chce pan, żebym się tym dalej zajmował?

Canaris otworzył akta i spojrzał na niego w tym momencie z wyraźnym zdziwieniem.

- Drogie Maxie, chyba nie zrozumiałeś. W tej grze im bardziej absurdalne pomysły mają twoi zwierzchnicy, z tym większym entuzjazmem powinieneś je przyjmować, choćby były nie wiem jak szalone. Podchodź do ich projektów z całym zapałem - oczywiście pozornym. Z czasem niech się ujawnią trudności, tak by stopniowo twoi szefowie sami odkryli, że to nie wyjdzie. A ponieważ nikt nie lubi doznawać porażek, jeżeli może ich uniknąć, z projektu dyskretnie się rezygnuje. - Lekko się roześmiał, postukując palcem w raport. - Wiesz co, nawet Fuhrer musiałby mieć bardzo kiepski dzień, żeby uwierzyć w możliwości takiej szaleńczej eskapady.

- To by się dało przeprowadzić, panie admirale - stwierdził Radl. - Mam nawet odpowiedniego człowieka.

- Nie wątpię, Max, jeśli okazałeś się tak skrupulatny jak zawsze. - Uśmiechnął się i pchnął raport na drugą stronę biurka.- Widzę, że za bardzo się tym przejąłeś. Może zmartwiły cię moje uwagi na temat Himmlera. Zapewniam, że niepotrzebnie. Dam sobie z nim radę. Masz już dość na papierze, żeby ich zadowolić, jeśli zajdzie potrzeba. A teraz możesz zająć się wieloma innymi sprawami...naprawdę ważnymi.

Pożegnał go skinieniem głowy i wziął do ręki pióro. Radl powiedział z uporem:

- Ale, panie admirale, jeśli Fuhrer życzy sobie tego... - Canaris wybuchnął gniewem, rzucając pióro.

- Wielkie nieba, człowieku, zabijać Churchilla, kiedy przegraliśmy już wojnę? A co to pomoże?

Zerwał się na równe nogi i pochylił się nad biurkiem, zaciskając dłonie. Radl stał sztywno na baczność, patrząc bez wyrazu w przestrzeń nad głową admirała. Canaris poczerwieniał, uświadamiając sobie, że posunął się za daleko, że jego podyktowane złością słowa pobrzmiwały zdradą i że było za późno, by je cofnąć.

- Spocznij - powiedział. Radl wykonał rozkaz.

- Słucham, panie admirale.

- Znamy się od dawna, Max.

- Tak jest.

- A więc zaufaj mi. Wiem, co robię.

- Tak jest, panie admirale - odparł lakonicznie Radl.

Postąpił krok do tyłu, strzelił obcasami, odwrócił się i wyszedł. Canaris pozostał na miejscu, zaciskając ręce na biurku. Wydawał się nagle wymizerowany i stary.

- Boże - wyszeptał. - Jak długo jeszcze?

Kiedy usiadł i chciał napić się kawy, ręka drżała mu tak bardzo, że filiżanka dzwoniła o spodek.

Gdy Radl wszedł do gabinetu, Hofer porządkował papiery na jego biurku. Sierżant odwrócił się z zainteresowaniem i wtedy zobaczył wyraz twarzy Radia.

- Czy pomysł nie spodobał się admirałowi, Herr Oberst?

- Powiedział, że jest w tym jakaś szaleńcza logika, Karl. Właściwie wydawał się rozbawiony.

- Co teraz, Herr Oberst?

- Nic, Karl - odparł Radl znużonym głosem i usiadł za biurkiem. - Raport, o który prosili i którego mogą już więcej nie potrzebować, jest na papierze. Tylko tego od nas oczekiwano. Zajmiemy się teraz czymś innym.

Sięgnął po rosyjskiego papierosa, a Hofer podał mu ogień.

- Przynieść panu coś, Herr Oberst?- zapytał życzliwie, ale ostrożnie.

- Nie, dziękuję, Karl. Idź teraz do domu. Zobaczymy się rano.

- Herr Oberst! - Hofer strzelił obcasami i zawahał się przez moment.

- No już, Karl, dobry z ciebie chłopak, dziękuję.

Hofer wyszedł, a Radl przesunął ręką po twarzy. Pusty oczodół palił go, bolała martwa ręka. Miał czasami wrażenie, że źle go pozszywali, kiedy składali go do kupy. Zadziwiająco, jak bardzo czuł się rozczarowany. Jakby poniósł autentyczną, osobistą porażkę.

- Może to i dobrze - powiedział cicho.- Zaczynałem brać całą tę cholerną sprawę zbyt serio.

Usiadł, otworzył akta Joanny Grey i zabrał się do czytania. Po chwili sięgnął po mapę sztabową i zaczął ją rozwijać. Nagle przerwał. Jak na jeden dzień miał już dość tego małego gabinetu, dość Abwehry. Wyjął spod biurka teczkę, włożył do niej akta i mapę i zabrał wiszący za drzwiami skórzany płaszcz.

Kiedy opuszczał główne wyjście, miasto wydawało się nienaturalnie spokojne. Było

za wcześnie na naloty RAF-u. Postanowił skorzystać z chwilowego spokoju i pójść piechotą do swojego niewielkiego mieszkania, zamiast wzywać służbowy samochód. Zresztą głowa mu pękała, a padająca mżawka działała doprawdy orzeźwiająco. Zszedł po schodach, odpowiadając na salutowanie wartownika, po czym minął przyciemnioną latarnię na dole. Gdzieś na Tirpitz Ufer ruszył samochód i zatrzymał się przy nim.

Był to czarny Mercedes, tak czarny jak mundury dwóch ludzi z Gestapo, którzy wysiedli przednimi drzwiami i czekali. Kiedy Radl zobaczył naszywki tego, który stał bliżej, serce niemal przestało mu bić. HFSS. Reichsführer der SS. Był to znak rozpoznawczy ludzi Himmlera.

Młody człowiek, który wysiadł tylnymi drzwiami, nosił kapelusz z opuszczonym rondem i czarny skórzany płaszcz. W jego uśmiechu był ten diaboliczny urok, jaki mają tylko ludzie naprawdę pozbawieni skrupułów.

- Pułkownik Radl? - zapytał. - Cieszę się, że zdążyliśmy pana złapać, zanim pan wyszedł. Reichsführer przesyła pozdrowienia. Byłby wdzięczny, gdyby zechciał pan poświęcić mu trochę czasu. - Zręcznie odebrał Radiowi teczkę. - Pozwoli pan, że się tym zajmę.

Radl zwilżył wyschnięte wargi i zdobył się na uśmiech.

- Ależ oczywiście - powiedział, wsiadając z tyłu do Mercedesa.

Młody człowiek usiadł przy nim, a drugi zajął miejsce z przodu, po czym ruszyli. Radl zauważył, że ten obok kierowcy trzyma na kolanach policyjny erkaem typu erma. Zacerpnął powietrza, próbując opanować narastający strach.

- Papierosa, Herr Oberst?

- Dziękuję - odparł Radl. - Dokąd właściwie jedziemy?

- Na Prinz Albrechtstrasse. - Młody człowiek podał mu ogień i uśmiechnął się. - Do siedziby Gestapo.

Rozdział IV

Kiedy Radia wprowadzono do gabinetu na pierwszym piętrze na Prinz Albrechtstrasse, zastał Himmlera siedzącego za dużym biurkiem. Przed nim leżała sterta akt. Miał na sobie kompletny mundur Reichsführera SS i w przygaszonym świetle wyglądał jak diabeł w czerni. Kiedy podniósł wzrok, zza srebrnych binokli patrzyła zimna i pozbawiona uczuć twarz.

Młody człowiek w czarnym płaszczu, który wprowadził Radia, podniósł rękę w faszystowskim pozdrowieniu i położył na stole teczkę.

- Na pańskie rozkazy, Herr Reichsführer.

- Dziękuję, Rossman - odpowiedział Himmler.- Poczekaście na zewnątrz. Możecie mi być później potrzebni.

Rossman wyszedł, a Radl nadal czekał. Tymczasem Himmler bardzo starannie przesunął akta na jedną stronę biurka, jakby przygotowywał pole do działania. Sięgnął po teczkę i spojrzał na nią z namysłem. O dziwo, Radl odzyskał nieco zimnej krwi. Ujawnił się też jego czarny humor, który już nieraz ratował go z opresji.

- Nawet skazaniec ma prawo do ostatniego papierosa, Herr Reichsführer.

Himmler autentycznie się uśmiechnął, co było nie lada wydarzeniem, biorąc po uwagę, że do tytoniu miał szczególną awersję.

- Czemu nie?- machnął ręką. - Mówiono mi, że jest pan odważnym człowiekiem, Herr Oberst. Zdobył pan Krzyż Rycerski w czasie Kampanii Zimowej?

- Tak jest, Herr Reichsführer. - Radl jedną ręką wyjął papierośnicę i zręcznie ją otworzył.

- I od tamtej pory pracuje pan dla admirała Canarisa?

Radl czekał, paląc papierosa i starając się, by nie zgasł, gdy tymczasem Himmler znów przyglądał się teczce. W przyciemnionym świetle pokój robił całkiem przyjemne wrażenie. Na kominku płonął jasno ogień, a wyżej wisiał w złoczonej oprawie portret Fuhrera z autografem.

- Niewiele z tego, co dzieje się obecnie na Tirpitz Ufer, uchodzi mojej uwagi - stwierdził Himmler. - Czy to pana dziwi? Wiem, na przykład, że w tym miesiącu, dwudziestego drugiego, pokazano panu rutynowy raport agentki Abwehry w Anglii, niejkiej pani Joanny Grey, w którym pojawiło się magiczne nazwisko Winstona Churchilla.

- Nie wiem, co powiedzieć, Herr Reichsführer - odparł Radl.

- Co ciekawsze, kazał pan przekazać sobie wszystkie jej akta z Pierwszego Wydziału Abwehry i zwolnił pan z obowiązków kapitana Meyera, który od lat był łącznikiem tej damy. O ile wiem, bardzo się tym zmartwił. - Himmler położył rękę na teczce. - No dobrze, Herr Oberst, jesteśmy za starzy, żeby bawić się w kotka i myszkę. Wie pan, o czym mówię. A zatem, co pan ma mi do powiedzenia?

Max Radl był realistą. W tym przypadku nie miał żadnego wyboru. Powiedział więc:

- Wszystko znajdzie pan w tej teczce, Reichsfuhrer. Brakuje tylko jednego.

- Dokumentacji sądu wojennego podpułkownika Kurta Steinera z pułku spadochroniarzy? - Himmler wziął akta, leżące na szczycie sterty z boku biurka, i wręczył je Radiowi. - Uczciwa wymiana. Proponuję, żeby przeczytał pan to na zewnątrz. - Otworzył teczkę i zaczął wyjmować jej zawartość. - Poślę po pana, kiedy będzie mi pan potrzebny.

Radl omal nie podniósł w górę ręki, ale ostatni okruczeństwo dla samego siebie zmienił ten gest w staranne, acz tradycyjne salutowanie. Obrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wyszedł do poczekalni.

Rossmann leżał rozwalony w klubowym fotelu, czytając egzemplarz „Sygnału”, pisma Wehrmachtu. Ze zdziwieniem podniósł wzrok.

- Już pan nas opuszcza?

- Nie mam tego szczęścia. - Radl rzucił teczkę z aktami na niski stolik do kawy i zaczął rozpinać pas. - Wygląda na to, że mam trochę lektury.

Rossmann uśmiechnął się przyjaźnie.

- Rozejrzę się za kawą dla nas obu. Coś mi się zdaje, że zostanie pan u nas dłużej.

Wyszedł, a Radl zapalił kolejnego papierosa, usiadł i otworzył teczkę.

Dnia dziewiętnastego kwietnia planowano zetrzeć ostatecznie z powierzchni ziemi warszawskie getto. Dwudziestego Hitler obchodził urodziny i Himmler miał nadzieję, że taka dobra wiadomość będzie odpowiednim prezentem. Niestety, kiedy dowodzący akcją SS Oberfuhrer von Sarnttiern Frankenegg i jego ludzie weszli do getta, zostali odparci przez Żydowską Organizację Bojową pod wodzą Mordechaja Anielewicza.

Himmler natychmiast mianował nowego dowódcę, Brigadefuhrera SS i generała - majora policji, Jurgena Stroopa, który, wspomagany przez połączone oddziały SS oraz polskich i ukraińskich zdrajców, wziął się na serio za postawione mu zadanie: nie pozostawić ani jednej cegły w murze, ani jednego żywego Żyda, by móc donieść osobiście Himmlerowi, że „warszawskie getto już nie istnieje”. Zajął mu to dwadzieścia osiem dni.

Steiner i jego ludzie dotarli do Warszawy w trzynastym dniu powstania o świcie szpitalnym pociągiem, który jechał z frontu wschodniego do Berlina. Postój miał trwać

godzinę lub dwie, zależnie od tego, ile czasu zajmie usunięcie awarii w systemie chłodzenia lokomotywy. Przez głośniki obwieszczono, że nikomu nie wolno opuszczać stacji. Wykonania rozkazu miały dopilnować patrole żandarmerii przy wejściach.

Ludzie Steinera zostali w większości w wagonie, ale on sam wysiadł, aby rozprostować nogi, a Ritter Neumann poszedł z nim. Steiner miał na sobie zdarte buty, jego skórzany płaszcz nie prezentował się najlepiej, biały szalik był zaplamiony, a furażerka upodabniała go bardziej do podoficera niż oficera.

Żandarm pilnujący głównego wejścia położył mu karabin na piersi i powiedział ostro:

- Słyszałeś rozkaz, nie? Zawracaj!

- Zdaje się, że z jakiegoś powodu chcą nas trzymać w ukryciu, Herr Oberst - stwierdził Neumann.

Żandarm otworzył usta ze zdumienia i pośpiesznie stanął na baczność.

- Proszę o wybaczenie, Herr Oberst. Nie zdawałem sobie sprawy. - Z tyłu rozległy się szybkie kroki i chrapliwy głos zapytał:

- Schultz, o co chodzi?

Steiner i Neumann nie zwrócili na to uwagi i wyszli na zewnątrz. Nad miastem unosiła się chmura czarnego dymu, w oddali słychać było dudnienie artylerii i terkot ręcznej broni. Ktoś położył Steinerowi rękę na ramieniu, zmuszając go, by się odwrócił. Zobaczył przed sobą człowieka w nienagannym mundurze majora. Na szyi zawieszony miał łańcuch ze lśniąca mosiężną plakietką żandarmerii. Steiner westchnął i odwinął biały szalik, odsłaniając nie tylko naszywkę na kołnierzu, świadczące o jego stopniu, ale także Krzyż Rycerski i Liście Dębu, które dostał za drugim razem.

- Steiner - przedstawił się. - Pułk spadochroniarzy. Major zasalutował uprzejmie, ale tylko z obowiązku.

- Przykro mi, Herr Oberst, ale rozkaz to rozkaz.

- Jak pan się nazywa?- zapytał Steiner.

Mimo leniwego uśmiechu głos pułkownika brzmiał teraz uszczypliwie i scysja wisiała w powietrzu.

- Otto Frank, Herr Oberst.

- Dobrze, skoro to już ustaliliśmy, zechce mi pan dokładnie wyjaśnić, co się tu dzieje? Sądziłem, że polska armia poddała się w trzydziestym dziewiątym?

- Równają z ziemią warszawskie getto - odparł Frank.

- Kto?

- Specjalne jednostki. SS i różne inne grupy, dowodzone przez Brigadeführera Jurgena

Stroopa. Ci żydowscy bandyci, Herr Oberst, walczą o każdy dom, w piwnicach, w kanałach, już od trzynastu dni. Więc ich palimy. To najlepszy sposób na pozbycie się wszy.

Kiedy Steiner został ranny pod Leningradem i otrzymał urlop na powrót do zdrowia, odwiedził ojca we Francji i uznał, że bardzo się zmienił. Generał miał od dłuższego czasu wątpliwości co do nowego porządku. Pół roku temu odwiedził w Polsce obóz koncentracyjny w Oświęcimiu.

- Komendantem był wieprz o nazwisku Rudolf Hoess. Uwierzysz, Kurt: morderca, odsiadujący dożywocie i zwolniony z więzienia na mocy amnestii z 1928 roku. Zabijał Żydów tysiącami w specjalnie skonstruowanych komorach gazowych, pozbywając się ich ciał w wielkich piecach. Po wyjęciu takich drobiazgów jak złote zęby i tym podobne rzeczy.

Stary generał był już wtedy zalany, a jednak mówił trzeźwo.

- Czy o to walczymy, Kurt? Żeby chronić takie świny jak Hoess? A co powie świat, kiedy przyjdzie na to czas? Że wszyscy jesteśmy winni? Że Niemcy są winne, bo przyglądaliśmy się temu beczynnice? Uczciwi i prawi ludzie stali z boku i nie kiwnęli palcem? Nie ja, na Boga! Nie mógłbym znieść samego siebie.

Kiedy wspomnienie tamtych słów ożyło mu w pamięci przed wejściem na warszawską stację, twarz Kurta Steinera przybrała taki wyraz, że major wołał cofnąć się o parę kroków.

- Tak już lepiej - stwierdził Steiner. - I byłbym wdzięczny, gdyby jeszcze ustawił się pan z wiatrem.

Wyraz zdumienia na twarzy majora Franka zmienił się szybko we wściekłość, gdy Steiner przeszedł obok niego razem z Neumannem.

- Spokojnie, Herr Oberst. Spokojnie - mówił Neumann.

Na peronie po drugiej stronie torów grupa esesmanów ustawiała w rzędzie pod murem obdartych i brudnych ludzi. Nie sposób było odróżnić, jakiej są płci. Steiner zobaczył, że wszyscy zaczynają się rozbierać.

Obserwował to żandarm, stojący na skraju peronu. Steiner zapytał go:

- Co się tam dzieje?

- To Żydzi, Herr Oberst - usłyszał w odpowiedzi. - Poranna dostawa z getta. Wyślą ich do Treblinki i wykończą jeszcze dziś. Kazał im się rozbierać przed rewizją głównie ze względu na kobiety. Niektóre noszą w majtkach naładowaną broń.

Z drugiej strony torów rozległ się brutalny śmiech i okrzyk bólu. Steiner odwrócił się z obrzydzeniem w stronę Neumanna i zobaczył, że porucznik spogląda wzdłuż peronu na tył wojskowego pociągu. Pod wagonem przycupnęła czternasto czy piętnastoletnia dziewczynka z potarganymi włosami i osmaloną twarzą, ubrana w skrócony męski płaszcz, przewiązany

sznurkiem. Wymknęła się zapewne z grupy po drugiej stronie torów i najwidoczniej miała zamiar wydostać się na wolność, czepiając się od dołu pociągu sanitarnego, kiedy ten ruszy.

W tej samej chwili zobaczył ją stojący na skraju peronu żandarm. Podniósł alarm, skacząc na tory i próbując ją schwytać. Z wrzaskiem wyslizgnęła mu się z rąk, wygramoliła na peron i pobiegła w kierunku wejścia, wprost w ramiona opuszczającego biuro majora policji Franka.

Chwycił ją za włosy, potrząsając jak szczurem.

- Ty brudna, żydowska dziwko! Nauczę cię manier.

Steiner ruszył do przodu. Neumann zdążył powiedzieć:- Nie, Herr Oberst! - ale było już za późno.

Steiner chwycił Franka mocno za kołnierz, tak że ten stracił równowagę i omal nie upadł, po czym pociągnął dziewczynkę za rękę i postawił za sobą.

Major Frank z trudem stanął na nogi. Wściekłość wykrzywiła mu twarz. Sięgnął ręką po walthera do kabury przy pasie, ale Steiner wyciągnął z kieszeni swego skórzanego płaszcza lugera i przytknął mu go między oczy.

- Zrób to – powiedział - a odstrzelę ci łeb. Prawdę mówiąc, wyświadczyłbym przysługę ludzkości.

Co najmniej kilkunastu żandarmów podbiegło w ich kierunku. Niektórzy mieli pistolety maszynowe, inni karabiny. Stanęli półkolem w niewielkiej odległości. Wysoki sierżant zaczął mierzyć z karabinu, ale Steiner chwycił Franka za mundur i przyciągnął go do siebie, przyciskając mocno lufą pistoletu.

- Nie radziłbym tego robić.

Przez stację przejeżdżała lokomotywa, ciągnąc z prędkością pięciu lub sześciu mil na godzinę rząd otwartych, załadowanych węglarek. Steiner odezwał się do dziewczynki, nie patrząc na nią:

- Jak się nazywasz, mała?

- Brana - odpowiedziała. - Brana Lezemnikof.

- No cóż, Brana - odparł. - Jeśli jesteś choć w połowie tak dzielna, jak myślę, chwyć się jednej z tych węglarek i nie puszczaj, póki się stąd nie wydostaniesz. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. - Pobiegła jak strzała, a Steiner oznajmił głośno: - Jeśli ktoś do niej strzeli, majorowi też się dostanie.

Dziewczynka wskoczyła na jeden z wagonów, chwyciła się mocno i podciągnęła w górę. Pociąg odjechał z dworca. Zapanowała kompletna cisza.

- Zdejma ją na pierwszej stacji - powiedział Frank. - Osobiście tego dopilnuję.

Steiner odepchnął Franka od siebie i schował lugera do kieszeni. Natychmiast otoczyli go żandarmi, ale Ritter Neumann krzyknął:

- Nie dzisiaj, panowie.

Steiner odwrócił się i zobaczył porucznika z pistoletem maszynowym MP- 40. Za nim stała reszta jego ludzi, uzbrojonych po zęby. W tym momencie wszystko mogło się zdarzyć, gdyby nie nagle zamieszanie przy głównym wejściu. Na stację wpadła grupa esesmanów z gotowymi do strzału karabinami. Zajęli stanowiska, formując szyk w kształcie litery V, a w chwilę później wszedł Brigadefuhrer SS i generał - major policji, Jurgen Stroop, w otoczeniu trzech czy czterech oficerów SS o różnych stopniach. Wszyscy trzymali odbezpieczone pistolety. Stroop, w polowej czapce i przepisowym mundurze, miał dziwnie trudny do opisanego wygląd.

- Co tu się dzieje, Frank?

- Proszę jego zapytać, Herr Brigadefuhrer - odparł Frank z grymasem wściekłości na twarzy. - Ten człowiek, oficer niemieckiej armii, pozwolił właśnie uciec żydowskiej terrorystce.

Stroop przyjrzał się Steinerowi, zauważając naszywki, Krzyż Rycerski i Liście Dębu, po - czym zapytał:

- Kim pan jest?

- Kurt Steiner. Pułk spadochroniarzy - odparł Steiner. - A kim pan może być?

Jurgen Stroop nigdy ponoć nie tracił panowania nad sobą.

- Nie wolno panu odzywać się do mnie w ten sposób, Herr Oberst - odpowiedział zachowując spokój. - Doskonale pan wie, że jestem generałem - majorem.

- Tak jak mój ojciec - odparł Steiner - więc nie robi to na mnie szczególnego wrażenia. Ale skoro już o tym mowa, czy to pan jest Brigadefuhrer Stroop, człowiek odpowiedzialny za tę masakrę w mieście?

- Owszem, ja tu dowodzę. - Steiner zmarszczył nos.

- Tak też myślałem. Wie pan, co mi pan przypomina?

- Nie, Herr Oberst - odparł Stroop. - Proszę mi powiedzieć.

- Coś takiego, co czasem przylepia mi się do buta w rynsztoku - wygarnął Steiner. - W upalny dzień jest bardzo nieprzyjemne.

Jurgen Stroop, nadal lodowato spokojny, wyciągnął rękę. Steiner westchnął, wyjął z kieszeni lugera i podał mu. Spojrzał przez ramię na swoich ludzi.

- W porządku, chłopcy, wystarczy. - Odwrócił się do Stroopa. - Z jakiegoś nie znanego mi powodu stają po mojej stronie. Czy jest szansa, żeby zadowolili się pan moją

osobą i zapomniał o ich udziale w tej sprawie?

- Nie ma mowy - odparł Brigadeführer Jurgen Stroop.

- Tak myślałem - powiedział Steiner. - Chlubię się tym, że zawsze rozpoznam na miłe stuprocentowego sukinsyna.

Skończywszy czytać sprawozdanie z sądu wojennego, Radl długo jeszcze siedział z teczką na kolanach. Steiner miał szczęście, że ominął go pluton egzekucyjny. Pomogły pewnie wpływy ojca, poza tym i on, i jego ludzie byli w końcu bohaterami wojennymi. Rozstrzelanie człowieka, odznaczonego Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębu, wpłynęłoby źle na morale armii. A „Operacja Miecznik” na wyspach kanału La Manche gwarantowała na dłuższą metę pozbycie się całej grupy. Ktoś popisał się tu przebłyskiem geniuszu.

Rossmann rozsiadł się w fotelu naprzeciwko. Czarny kapelusz z opuszczonym rondem miał nasunięty na oczy i wyglądało na to, że śpi. Kiedy jednak przy drzwiach zapaliło się światło, zerwał się na nogi. Wszedł bez pukania i za chwilę był z powrotem.

- Chcę pana widzieć.

Reichsführer nadal siedział za biurkiem. Miał teraz rozłożoną przed sobą mapę sztabową. Podniósł wzrok i zapytał:

- No i jak pan ocenia warszawską eskapadę naszego przyjaciela Steinera?

- Niezwykła historia - odparł ostrożnie Radl. - To... to wyjątkowy człowiek.

- Rzekłbym, że jeden z najdzielniejszych, jakich można spotkać - powiedział ze spokojem Himmler. - Obdarzony wybitną inteligencją, odważny, bezwzględny, znakomity żołnierz... i romantyczny głupiec. To pewnie dlatego, że jest półkrwi Amerykaninem. - Reichsführer pokręcił głową. - Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębu. Po tej historii w Rosji Fuhrer zażyczył sobie osobiście go poznać. A on co robi? Odrzuca to wszystko: karierę, przyszłość - wszystko, dla jakiejś żydowskiej siksy, której nigdy przedtem nie widział.

Spojrzał na Radia, jakby czekając na odpowiedź, a Radl odrzekł niepewnie:

- To niezwykle, Herr Oberst.

Himmler przytaknął, a potem, jakby zmieniając całkowicie temat, zatarł ręce i pochylił się nad mapą.

- Raporty tej Grey są doprawdy znakomite. To niezrównana agentka. - Pochylił się jeszcze bardziej, zbliżając wzrok do mapy.

- Tak sędzę - odpowiedział bez namysłu Radl.

- A admirał? Co sądzi admirał?

Radl myślał intensywnie, próbując sformułować stosowną odpowiedź.

- To trudne pytanie.

Himmler usiadł z założonymi rękami. Przez chwilę Radl poczuł się tak, jakby znów stał w krótkich spodenkach przed starym dyrektorem wiejskiej szkoły.

- Nie musi mi pan mówić, chyba się domyślam. Doceniam lojalność, ale w tym przypadku dobrze pan zrobi nie zapominając, że przede wszystkim jest pan ją winien Niemcom i swojemu Fuhrerowi.

- Naturalnie, Herr Reichsfuhrer - odparł spiesznie Radl.

- Niestety, są tacy, którzy by się z tym nie zgodzili - ciągnął dalej Himmler. - Na każdym szczeblu naszej społeczności są elementy wywrotowe. Nawet wśród generałów samego Naczelnego Dowództwa. Czy to pana dziwi?

Autentycznie zaskoczony Radl odparł:

- Ależ, Herr Reichsfuhrer, trudno mi uwierzyć...

- Że ludzie, którzy ślubowali wierność Fuhrerowi, mogą postępować tak nieszczepnie?

- Pokręcił głową niemal ze smutkiem. - Mam wszelkie powody sądzić, że w marcu tego roku wysocy oficerowie Wehrmachtu podłożyli w samolocie Fuhrera bombę, która miała eksplodować podczas lotu ze Smoleńska do Rastenburga.

- Wielki Boże! - powiedział Radl.

- Bomba nie wybuchła i sprawcy później ją usunęli. To, oczywiście, pozwala rozumieć wyraźniej niż kiedykolwiek, że nie możemy przegrać, że ostateczne zwycięstwo musi należeć do nas. Wydaje się oczywiste, że Fuhrera ocaliła ingerencja jakiejś boskiej mocy. To mnie, rzecz jasna, nie dziwi. Zawsze wierzyłem, że za siłami przyrody stoi jakaś wyższa istota. Zgodzi się pan z tym?

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer - odparł Radl.

- Tak, gdybyśmy tego nie uznawali, nie bylibyśmy lepsi od marksistów. Domagam się, żeby wszyscy członkowie SS wierzyli w Boga. - Zdjął na chwilę binokle i potarł lekko palcem grzbiet nosa. - Tak, wszędzie są zdrajcy. W armii, a także w marynarce, na najwyższym szczeblu.

Włożył z powrotem binokle i spojrzał na Radia.

- A więc widzi pan, Radl - kontynuował Himmler. - Mam wszelkie powody, aby być pewnym, że admirał Canaris nie zgodzi się na pański plan.

Radl patrzył na niego oniemiały. Krew zastygła mu w żyłach. Himmler powiedział cicho:

- Nie byłoby to zgodne z jego ogólnymi celami, a zapewniam pana, że nie stawia sobie za cel zwycięstwa Rzeszy Niemieckiej w tej wojnie.

Szef Abwehry miałby działać na szkodę państwa? Brzmiało to nieprawdopodobnie.

Ale też Radl przypomniał sobie złośliwe komentarze admirała. Poniżające uwagi na temat wysokich urzędników państwowych, a czasem i samego Fuhrera. Albo jego dzisiejsza reakcja: „Przeegraliśmy wojnę”. I to szef Abwehry!

Himmler nacisnął guzik dzwonka. Wszedł Rossman.

- Mam do załatwienia ważny telefon. Oprowadźcie pana trochę, a za dziesięć minut bądźcie z powrotem. - Zwrócił się do Radia. - Nie widział pan jeszcze naszych podziemi, prawda?

- Nie, Herr Reichsfuhrer.

Mógł dodać, że podziemia budynku Gestapo na Prinz Albrechtstrasse to ostatnie miejsce na ziemi, jakie miałyby ochotę zwiedzać. Wiedział jednak, że go to czeka bez względu na chęci. Lekki uśmiech na ustach Rossmana dowodził, że wszystko zostało już zaplanowane.

Na parterze poszli wzdłuż korytarza, który prowadził na tyły gmachu. Znajdowały się tam żelazne drzwi, strzeżone przez dwóch gestapowców ubranych w stalowe hełmy i uzbrojonych w pistolety maszynowe.

- Spodziewacie się wojny czy jakiegoś wydarzenia? - zapytał Radl. Rossman szeroko się uśmiechnął.

- Powiedzmy, że to robi wrażenie na klientach.

Gdy otwarto zamki, poprowadził Radia na dół. Znajdujący się tam korytarz był rzęsiście oświetlony. Miał cegły pomalowane na biało, a na prawo i na lewo znajdowały się drzwi. Było niezwykle cicho.

- Możemy właściwie zacząć tutaj - oznajmił Rossman, otwierając najbliższe drzwi i zapalając światło.

Piwnica wyglądała dość tradycyjnie. Pomalowano ją w całości na biało, z wyjątkiem przeciwległej ściany, którą w zaskakująco prymitywny sposób pokryto betonem. Jej powierzchnia była nierówna i źle wykończona. W pobliżu ściany biegła pod sufitem belka, z której zwisały łańcuchy z przymocowanymi na końcach strzemionami w kształcie sprężyn.

- Podobno ostatnio odnoszą dzięki temu spore sukcesy. - Rossman wyjął pudełko papierosów i poczęstował Radia. - Moim zdaniem to strata czasu. Co za sens doprowadzać kogoś do obłądu, skoro się chce, żeby mówił?

- Co robią?

- Zawieszają podejrzanego na tych strzemionach, a potem po prostu włączają prąd. Na betonową ścianę leją wiadrami wodę, żeby zwiększyć przewodnictwo, czy coś w tym rodzaju. Zdziwiająca, co to robi z ludźmi. „ Jeśli dobrze się pan przyjrzy, zobaczy pan, o czym mówię.

Zbliżywszy się do ściany Radl zauważył, że to, co wziął za niestarannie wykończoną powierzchnię, było w rzeczywistości labiryntem odcisków dłoni w zastygłym betonie, który ofiary rozdrapywały z bólu.

- Inkwizycja byłaby z was dumna.

- Niech pan nie będzie uszczypliwy, Herr Oberst. To się nie opłaca, zwłaszcza tutaj. Widywałem tu generałów, błagających na klęczkach o litość. - Rossman uśmiechnął się dobrodusznie. - Ale to nie ma nic do rzeczy. - Podszedł do drzwi. - Co jeszcze chciałby pan zobaczyć?

- Nic, dziękuję - odparł Radl. - Dał mi pan coś do zrozumienia, czy nie o to chodziło? Teraz może mnie pan zabrać z powrotem.

- Jak pan sobie życzy, Herr Oberst. - Rossman wzruszył ramionami
I zgasił światło.

Kiedy Radl wrócił do gabinetu, zastał Himmlera zajętego pisaniem czegoś w aktach. Podniósł wzrok i powiedział spokojnie:

- Straszne jest to, co trzeba robić. Biorą mnie mdłości. Nie znoszę przemocy w żadnej postaci. To przekleństwo wielkości, Herr Oberst, że musi iść po trupach, by tworzyć nowe życie.

- Herr Reichsfuhrer - odezwał się Radl. - Czego pan ode mnie oczekuje?

Himmler z pewnością się uśmiechnął, choć było to ledwo zauważalne. Wyglądał w tym momencie jeszcze bardziej złowieszczo.

- Cóż, to doprawdy bardzo proste. Chodzi o sprawę Churchilla. Chcę, żeby się nią zająć.

- Ale admirał tego nie chce.

- Ma pan sporą swobodę działania, prawda? Prowadzi pan własne biuro. Dużo pan podróżuje. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Monachium, Paryż, Antwerpia. - Himmler wzruszył ramionami. - Nie widzę powodu, dla którego nie mógłby pan zająć się tym bez wiedzy admirała. Większość spraw da się załatwić przy okazji innych rzeczy.

- Ale dlaczego, Herr Reichsfuhrer, dlaczego ma to aż takie znaczenie, żeby postępować w ten sposób?

- Przede wszystkim dlatego, że moim zdaniem admirał całkowicie się w tej kwestii myli. Ten pański plan może się udać, jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, tak jak udało się Skorzeny'emu na Gran Sasso. Jeśli się powiedzie, jeśli Churchill zginie albo zostanie uprowadzony - a osobiście wolałbym, żeby nie przeżył - będziemy mieli sensację na skalę światową. Niewiarygodny wyczyn z bronią w ręku.

- Do którego nigdy by nie doszło, gdyby admirał postawił na swoim - stwierdził Radl.
- Teraz rozumiem. Jeszcze jeden gwóźdź do jego trumny?
- Czy nie zgodzi się pan, że w takich okolicznościach by na to zasługiwał?
- Cóż mogę powiedzieć?
- Czy tego typu ludziom powinno to uchodzić płazem? Czy tego pan chce, Radl, jako lojalny niemiecki oficer?

- Musi pan jednak zauważyć, Herr Reichsfuhrer, w jak niezręcznej sytuacji mnie to stawia - powiedział Radl. - Miałem zawsze znakomite stosunki z admirałem. - Zbyt późno przyszło mu do głowy, że w zaistniałej sytuacji nie była to zbyt fortunna uwaga, dodał więc pospiesznie: - Naturalnie, moje oddanie dla sprawy nie podlega dyskusji, ale z czyjego upoważnienia miałbym realizować tego rodzaju plan?

Himmler wyjął z szuflady biurka kopertę z grubego papieru. Otworzył ją i wyciągnąwszy list, bez słowa wręczył go Radiowi. W nagłówku był złoty niemiecki orzeł z Krzyżem Żelaznym.

OD PRZYWÓDCY I KANCLERZA PAŃSTWA ŚCIŚLE TAJNE

Pułkownik Radl wypełnia moje bezpośrednie i osobiste rozkazy w sprawie najwyższej wagi dla Rzeszy. Odpowiada tylko przede mną. Wszyscy cywile i wojskowi, bez względu na stopień, mają udzielić mu pomocy w takiej formie, jaką uzna za stosowną.

Adolf Hitler

Radl był oszołomiony. Nigdy nie trzymał w ręku równie niewiarygodnego dokumentu. To był klucz, który otwierał każde drzwi w tym kraju. Nikt nie mógł niczego odmówić. Radlowi ścierpła skóra i przebiegł go dziwny dreszcz.

- Jak pan widzi, jeśli ktoś zechce zakwestionować ten dokument, może mieć do czynienia z samym Fuhrerem. - Himmler energicznie zatarł ręce. - A więc załatwione. Czy jest pan gotów podjąć się zadania, które zleca panu Fuhrer?

Odpowiedź mogła być tylko jedna:

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer.

- Dobrze. - Himmler był najwyraźniej zadowolony. - A zatem do rzeczy. Ma pan rację co do Steinera. To najwłaściwszy człowiek do tej roboty. Proponuję, żeby bezzwłocznie się pan z nim zobaczył.

- Przyszło mi do głowy - powiedział ostrożnie Radl - że ze względu na to, co się ostatnio przydarzyło, takie zadanie może go nie interesować.

- W tej sprawie nie będzie miał wyboru - oznajmił Himmler. - Cztery dni temu aresztowano jego ojca. Jest podejrzany o zdradę stanu.

- Generał Steiner? - zapytał zdumiony Radl.

- Tak, ten stary głupiec najwyraźniej zadaje się z nieodpowiednimi ludźmi. Właśnie wiozą go do Berlina.

- Na... na Prinz Albrechtstrasse?

- No jasne. Niech pan zwróci uwagę Steinerowi, że powinien teraz jak najlepiej służyć Rzeszy nie tylko we własnym interesie. 'Taki dowód lojalności mógłby wpłynąć na wynik sprawy jego ojca. - Radl był autentycznie przerażony, ale Himmler ciągnął dalej. - A teraz parę faktów. Chciałbym, żeby omówił pan ze mną szczegółowo sposób zamaskowania naszych ludzi, o którym wspomina pan w sprawozdaniu. To mnie interesuje.

Radl miał wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Nikt nie był bezpieczny. Nikt. Wiedział o ludziach, o całych rodzinach, które znikaly po wizycie Gestapo. Pomyślał o swojej żonie, Trudi, o trzech ukochanych córkach i znów poczuł przyływ tej samej niepohamowanej odwagi, która pozwoliła mu przetrwać Kampanię Zimową. „Dla nich - pomyślał - dla nich muszę przeżyć. Za wszelką cenę”.

Zaczął mówić, zaskoczony spokojnym brzmieniem własnego głosu:

- Jak pan wie, Reichsfuhrer, Brytyjczycy mają niejedną pułk komandosów, a największe sukcesy odnosiła chyba grupa utworzona przez brytyjskiego oficera, niejakiego Stirlinga. Miała działać za linią naszego frontu w Afryce, jako jednostka Specjalnych Sił Powietrznych.

- A tak, to człowiek, którego nazywano „niewidzialnym majorem”, Rommel miał o nim wysokie mniemanie.

- Schwymano go w styczniu tego roku, Herr Reichsfuhrer. O ile wiem, jest teraz w Colditz, ale działalność, którą rozpoczął, jest kontynuowana, a nawet nabiera rozmachu. Według naszych aktualnych informacji Pierwszy i Drugi Pułk Specjalnych Sił Powietrznych oraz Trzeci i Czwarty Francuski Batalion Spadochroniarzy mają wkrótce powrócić do Wielkiej Brytanii, zapewne po to, by przygotować się do inwazji w Europie. Dysponują nawet Polską Samodzielną Kompanią Spadochronową.

- A do czego pan zmierza?

- W konwencjonalnym wojsku niewiele się wie o takich jednostkach. Przyjmuje się, że ich zadania są tajne, jest więc mało prawdopodobne, by ktoś chciał je sprawdzać.

- A więc nasi ludzie podawaliby się za Polaków należących do tej jednostki?

- Właśnie, Herr Reichsfuhrer.

- A co z mundurami?

- Bojowy ubiór większości tych ludzi to panterka i spodnie, podobne do noszonych

przez SS. Zakładają też czerwony beret angielskich spadochroniarzy ze specjalnym znaczkim. Jest na nim uskrzydłony sztylet z napisem: „Śmiali zwyciężają”.

- Jakież to wzniosłe - zauważył oschle Himmler.

- Abwehra ma spore zapasy mundurów, które należały do żołnierzy wziętych do niewoli podczas działań Specjalnych Sił Powietrznych na wyspach Grecji, w Jugosławii i Albanii.

- A sprzęt?

- Nie ma problemu. Władze Brytyjskich Służb Specjalnych ciągle jeszcze nie zdają sobie sprawy, jak głęboko przeniknęliśmy do holenderskiego ruchu oporu.

- To działalność terrorystyczna - poprawił go Himmler. - Ale niech pan mówi dalej.

- Niemal co noc zrzucają dalsze dostawy broni, sprzęt do sabotażu, połowe radia, nawet pieniądze. Nadal nie wiedzą, że wszystkie komunikaty radiowe, które do nich docierają, pochodzą z Abwehry.

- Mój Boże - odezwał się Himmler - a jednak dalej przegrywamy wojnę. - Wstał, podszedł do kominka i zagrzał ręce. - Z tym przebraniem się w mundury wroga trzeba zachować ostrożność. Zabrania tego Konwencja Genewska. Kara jest tylko jedna: pluton egzekucyjny.

- To prawda, Herr Reichsfuhrer.

- W tym przypadku należałoby, moim zdaniem, pójść na kompromis. Nasz desant będzie miał pod przebraniem normalne mundury. W ten sposób będą walczyć jako niemieccy żołnierze, a nie gangsterzy. Tuż przed akcją mogliby pozbyć się przebrania. Zgadza się pan?

Zdaniem Radlę był to chyba najgorszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszał, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu się spierać.

- Jak pan sobie życzy, Herr Reichsfuhrer.

- Dobrze. Wszystko poza tym to tylko kwestia organizacji. Luftwaffe i marynarka zapewnią transport. Z tym nie ma problemu. Pełnomocnictwo Fuhrera otworzy przed panem wszystkie drzwi. Czy chciałby pan omówić ze mną coś jeszcze?

- A jeśli chodzi o Churchilla - zapytał Radl. - Czy mamy go wziąć żywcem?

- O ile to możliwe - odparł Himmler. - Jeśli nie będzie innego wyjścia, niech zginie.

- Rozumiem.

- Dobrze, mogę więc spokojnie pozostawić sprawę w pańskich rękach. Rossman da panu przy wyjściu specjalny numer telefonu. Proszę mi codziennie meldować o postępach przygotowań. - Włożył raporty i mapę z powrotem do teczki i podsunął w jego kierunku.

- Tak jest, Herr Reichsfuhrer.

Radl włożył bezcenny list i umieścił go z powrotem w kopercie, którą wsunął do wewnętrznej kieszeni munduru. Wziął teczkę i skórzany płaszcz po czym ruszył do drzwi.

Himmler, który tymczasem zaczął znów coś pisać, odezwał się:

- Pułkowniku Radl. Radl odwrócił się:

- Słucham, Herr Reichsfuhrer?

- Pamięta pan przysięgę, którą składał pan jako niemiecki żołnierz Fuhrerowi i państwu?

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer.

Himmler spojrział na niego z chłodnym i zagadkowym obliczem.

- Niech pan ją powtórzy.

- Składam przed Bogiem tę świętą przysięgę. Będę okazywał bezwzględne posłuszeństwo Wodzowi Niemieckiej Rzeszy i Narodu, Adolfowi Hitlerowi, Naczelnemu Dowódcy Sił Zbrojnych oraz będę gotów, jako odważny żołnierz, w każdej chwili przypieczętować to ślubowanie własnym życiem.

Pusty oczodół znów mu płonął, a martwa ręka sprawiała ból.

- Znakomicie, pułkowniku Radl. I proszę pamiętać o jednej rzeczy. Niepowodzenie to oznaka słabości.

Himmler opuścił głowę i dalej pisał. Radl otworzył sobie drzwi najszybciej jak potrafił i wyszedł niepewnym krokiem.

Zdecydował się nie wracać do domu. Poprosił Rossmanna, żeby wysadził go na Tirpitz Ufer, wszedł na górę do biura i położył się na małym polowym łóżku, które miał na takie okazje. Niewiele zresztą pospał. Kiedy tylko zamykał oczy, pojawiał się srebrny binokl, zimne oczy i opanowany, beznamiętny głos, wypowiadający różne okropności.

Jedno było pewne, a przynajmniej tak sobie powiedział o godzinie piątej, kiedy w końcu sięgnął z rezygnacją po butelkę Courvoisiera. Musi się zająć tą sprawą, nie dla siebie, lecz dla Trudi i dzieci. Dla większości ludzi nadzór ze strony Gestapo był wystarczającym zagrożeniem.

- Ale nie dla mnie - powiedział gasząc ponownie światło. - Ja muszę mieć na karku samego Himmlera.

Potem zasnął, a o ósmej zbudził go Hofer, przynosząc kawę i gorące bułki. Radl wstał i przeszedł do okna, jedząc bułkę. Był szary poranek i padał ulewny deszcz.

- Czy nalot był ciężki, Karl?

- Nie zanadto. Podobno zestrzelili osiem Lancasterów.

- W wewnętrznej kieszeni mojego munduru znajdziesz kopertę - powiedział Radl. -

Chcę, żebyś przeczytał list, który jest w środku.

Czekał, patrząc na deszcz za oknem, a po chwili się odwrócił. Hofer wpatrywał się w list, najwyraźniej poruszony.

- Ale co to oznacza, Herr Oberst?

- Sprawa Churchilla, Karl. Trzeba się nią zająć. Fuhrer tak sobie życzy. Wczorajszej nocy oświadczył mi to sam Himmler.

- A co z admirałem, Herr Oberst?

- Ma o niczym nie wiedzieć.

Hofer wpatrywał się w niego z niekłamanym zdumieniem, trzymając w ręku list. Radl mu odebrał.

- Ty i ja jesteśmy nic nie znaczącymi ludźmi, których usidliła ogromna pajęczyna, musimy więc stąpać ostrożnie. Mając ten list nie potrzebuję niczego więcej. To rozkaz samego Fuhrera. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak.

- I ufasz mi?

Hofer sprężył się stanął na baczność.

- Nigdy w pana nie wątpiłem, Herr Oberst. Nigdy. - Radl poczuł przyływ wzruszenia.

- Dobrze, a zatem zajmujemy się sprawą dalej, tak jak mówiłem i w absolutnej tajemnicy.

- Tak jest, Herr Oberst.

- W porządku, Karl. Przynieś mi więc wszystko. Wszystko, co mamy. Przejrzymy to jeszcze raz.

Podszedł do okna, otworzył je i głęboko odetchnął. Pożary minionej nocy pozostawiły w powietrzu gryzący zapach dymu. Rejony miasta, które widział, stanowiły wyludnione rumowisko. Dziwne, jak bardzo czuł się podniecony.

- Ona potrzebuje mężczyzny, Karl.

- Słucham? - odparł Karl.

Pochylali się nad biurkiem, a przed nimi leżały rozłożone raporty i mapy.

- Pani Grey - wyjaśnił Radl. - Potrzebuje mężczyzny.

- A, teraz rozumiem, Herr Oberst - stwierdził Karl. - Kogoś o szerokich barach. Tępe narzędzie?

- Nie. - Radl zmarszczył brwi i wyjął z pudełka na stole jeden ze swoich rosyjskich papierosów. - Musi też umieć myśleć. To podstawowa sprawa.

Hofer zapalił mu papierosa.

- Trudne do pogodzenia.

- Zawsze tak jest. Kto pracuje teraz w Anglii dla Sekcji Pierwszej i mógłby pomóc?

Jest ktoś absolutnie pewny?

- Można to powiedzieć o siedmiu i ośmiu agentach. Tacy ludzie jak Królowna Śnieżka, na przykład. Od dwóch lat pracuje w urzędzie Departamentu Marynarki w Portsmouth. Otrzymujemy od niego regularne, cenne informacje o konwojach na północnym Atlantyku.

Radl pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie, nie ktoś taki. Tego typu robota jest zbyt ważna, by miał ryzykować. Na Boga, muszą być przecież inni?

- Co najmniej pięćdziesięciu. - Hofer wzruszył ramionami. - Niestety, w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy sekcja BIA z MI5 miała wyjątkowo dobrą passę.

Radl wstał i podszedł do okna. Stojąc, niecierpliwie postukiwał obcasem. Nie odczuwał złości, był raczej zmartwiony. Joanna Grey miała 68 lat i bez względu na to, jak była oddana i niezawodna, potrzebowała mężczyzny. Tępego narzędzia, jak określił to Hofer. Bez niego całe przedsięwzięcie mogło wziąć w łeb.

Radla bolała lewa ręka - ręka, której już nie miał - co było nieomylnym objawem stresu. Odczuwał też potworny ból głowy. „Niepowodzenie jest oznaką słabości, pułkownika”. Tak powiedział Himmler, patrząc tymi swoimi ciemnymi, zimnymi oczami. Radl mimo woli zadrżał, a wnętrzności niemal wywracały mu się ze strachu na wspomnienie lochów przy Prinz Albrechtstrasse.

- Oczywiście, zawsze jest jeszcze Sekcja Irlandzka - rzekł bez przekonania Hofer.

- Co powiedziałeś?

- Sekcja Irlandzka, sir. Irlandzka Armia Republikańska.

- To zupełnie bezużyteczne - odparł Radl. - Wiesz, że wszelkie stosunki z IRA zostały dawno zerwane, po niepowodzeniach z Goertzem i innymi agentami. To całe przedsięwzięcie okazało się absolutnym fiaskiem.

- Niezupełnie, Herr Oberst.

Hofer otworzył szafkę z dokumentacją, przejrzał szybko jej zawartość i wyjął tekturową teczkę, którą położył na biurku. Radl usiadł ze zmarszczonym czołem i otworzył ją.

- Ależ oczywiście! I on ciągle jest tutaj? Na uniwersytecie?

- Tak mi się zdaje. W razie potrzeby zajmuje się też trochę tłumaczeniami.

- A jak się teraz nazywa?

- Devlin. Liam Devlin.

- Sprowadź go.

- Teraz, Herr Oberst?

- Słyszałeś, co powiedziałem. Chcę go tu widzieć w ciągu godziny. Nieważne, czy będziesz musiał przewrócić Berlin do góry nogami. Możesz nawet zwrócić się do Gestapo.

Hofer strzelił obcasami i szybko wyszedł. Radl drżącymi rękami zapalił kolejnego papierosa i zaczął studiować akta.

Niewiele się mylił w tym, co powiedział. Wszelkie czynione przez Niemców od początku wojny próby dojścia do porozumienia z IRA nie dały rezultatu, a w kartotekach Abwehry nie było chyba sprawy równie pełnej niepowodzeń.

Żaden z wysłanych do Irlandii niemieckich agentów niczego istotnego nie osiągnął. Tylko jeden, kapitan Goertz, utrzymał się przez dłuższy czas. Zrzucano go na spadochronie z Heinkla nad Meath w maju 1940 roku. Udało mu się pozostać na wolności przez dziewiętnaście miesięcy, ale był to stracony czas.

Goertz stwierdził, że ludzie z IRA to beznadziejni amatorzy, nieskłonni do słuchania żadnych rad. Jak określił to wiele lat później, potrafili umierać za Irlandię, ale nie umieli dla niej walczyć, rozwiały się zatem nadzieje Niemców, że brytyjskie obiekty wojskowe w Ulsterze będą regularnie atakowane.

O tym wszystkim Radl wiedział. Tak naprawdę interesował go człowiek, który przedstawiał się jako Liam Devlin. Na polecenie Abwehry wylądował w Irlandii i nie tylko przeżył, ale wrócił w końcu do Niemiec, co było nie lada wyczynem.

Liam Devlin urodził się w Lismore w County Down, na północy Irlandii, w lipcu 1908 roku. Był synem drobnego dzierżawcy folwarku, którego stracono w 1921 roku podczas wojny angielsko- irlandzkiej za to, że służył w lotnej kolumnie IRA. Matka chłopca wyjechała prowadzić dom swemu bratu, katolickiemu księdzu, który mieszkał w Belfaście, w rejonie Falls Road. To on załatwił Devlinowi miejsce w jezuickiej szkole z internatem na południu. Stamtąd chłopak przeniósł się do Trinity College w Dublinie, gdzie z doskonałą oceną uzyskał dyplom z literatury angielskiej.

Opublikował parę wierszy, interesował się dziennikarstwem i zostałby zapewne wziętym pisarzem, gdyby nie pewien incydent, który zmienił całe jego życie. Kiedy w 1931 roku, w okresie poważnych rozruchów na tle wyznaniowym, odwiedził swój dom w Belfaście, był świadkiem, jak tłum „pomarańczowych” splądrował kościół jego wuja. Starego księdza pobito tak dotkliwie, że stracił oko. Od tej chwili Devlin poświęcił się całkowicie sprawie Republiki.

W 1932 roku, biorąc udział w napadzie na bank w Derry, którego celem było zdobycie funduszy dla organizacji, został ranny w trakcie strzelaniny z policją i skazany na dziesięć lat więzienia. W 1934 uciekł z zakładu karnego na Crumlin Road i ukrywając się dowodził obroną katolickich dzielnic w Belfaście podczas rozruchów w 1935 roku.

W tym samym roku wysłano go do Nowego Jorku, aby wykonał wyrok na konfidencie, którego policja dla jego własnego dobra wsadziła na statek do Ameryki, gdy sprzedane przez niego informacje doprowadziły do ujęcia, i powieszenia młodego ochotnika z IRA o nazwisku Michael Reilly. Devlin wywiązał się z zadania tak sprawnie, że jego legendarna już postać zyskała jeszcze większy rozgłos. Powtórzył swój wyczyn w tym samym roku w Londynie, a potem znów w Ameryce, tyle że miejscem porachunków był Boston.

W 1936 roku trafił do Hiszpanii, gdzie służył w brygadzie Lincolna Waszyngtona. Został ranny i wpadł w ręce włoskich żołnierzy. Uniknął rozstrzelania, gdyż Włosi mieli nadzieję wymienić go na kogoś ze swoich oficerów. Nigdy do tego nie doszło, ale w ten sposób przeżył wojnę. Rząd Franco skazał go w końcu na dożywocie.

Jesienią 1940 roku został zwolniony dzięki interwencji Abwehry i przewieziony do Berlina. Niemiecki wywiad miał nadzieję, że okaże się im przydatny. Właśnie wtedy sprawy fatalnie się pogmatwały. Jak wynikało z akt, Devlin nie darzył wprawdzie sympatią komunistów, ale był zdecydowanym antyfaszystą, co dało do zrozumienia aż nadto wyraźnie w trakcie przesłuchania. Postąpił ryzykownie. Uznano, że może zajmować się tylko mało ważnymi tłumaczeniami i nauczaniem angielskiego na uniwersytecie w Berlinie.

Ale sytuacja gwałtownie się zmieniła. Abwehra próbowała kilkakrotnie wydostać z Irlandii Goertza, co im się nie udało. Gdy nie było już innego wyjścia, wezwano Devlina do Sekcji Irlandzkiej i poproszono, żeby wylądował w Irlandii ze sfalszowanymi dokumentami, odszukał Goertza i wywiózł go jakimś portugalskim statkiem albo podobną jednostką z innego neutralnego państwa. Osiemnastego października 1941 roku został zrzucony nad County Meath, ale w parę tygodni później, zanim zdołał skontaktować się z Goertzem, Niemca aresztował irlandzki Wydział Specjalny.

Devlin ukrywał się przez kilka pełnych udręki miesięcy, zdradzany na każdym kroku, gdyż rząd irlandzki internował w Curragh tylu zwolenników IRA, że niewiele pozostało pewnych kontaktów. W czerwcu 1942 roku, otoczony przez policję na farmie w Kerry, zranił dwóch ludzi, a potem stracił przytomność, gdy kula rozcięła mu czoło. Uciekły z szpitala, udał się do Dun Laoghaire i zdołał wsiąść na brazylijski statek, płynący do Lizbony. Stamtąd znanymi sobie kanałami przedostał się przez Hiszpanię, aż w końcu trafił ponownie do biura na Tirpitz Ufer. Od tamtej pory Irlandia stanowiła dla Abwehry martwy punkt, a Liama

Devlina odesłano, by nadal marnował czas na tłumaczenia i z rzadka - o ironio! - prowadził seminaria z literatury angielskiej na Uniwersytecie Berlińskim.

Hofer wrócił do biura tuż przed południem.

- Mam go, Herr Oberst.

Radl podniósł wzrok i odłożył pióro.

- Devlin?

Wstał i podszedł do okna, poprawiając mundur i starając się ubrać w słowa to, co miał do powiedzenia. Musiało się udać. Devlin wymagał jednak ostrożnego traktowania. Był w końcu z neutralnego kraju. Słyszając, że drzwi się otwierają, Radl odwrócił się.

Liam Devlin był niższy, niż sobie wyobrażał. Miał najwyżej 160 czy 165 centymetrów wzrostu, ciemne, falujące włosy, bladą twarz i oczy tak intensywnie błękitne, że Radl nigdy nie widział podobnych. W kącikach ust igrał mu lekki, ironiczny uśmiech. Wyglądał na człowieka, który uznał życie za kiepski dowcip, i uważa, że najlepiej się z niego śmiać. Miał na sobie czarny, ściągnięty paskiem trenz. Po lewej stronie czoła widać było paskudną, pofałdowaną bliznę od kuli, której dorobił się podczas ostatniej podróży do Irlandii.

- Panie Devlin - Radl obszedł biurko i wyciągnął rękę. - Nazywam się Radl. Max Radl. Cieszę się, że pan przyszedł.

- Miło to słyszeć - odparł bezbłędną niemczyzną Devlin. - Odniosłem wrażenie, że nie pozostawiono mi w tej sprawie większego wyboru. - Przeszedł dalej, rozpinając płaszcz. - A więc to jest ta Sekcja Trzecia, gdzie tyle się dzieje?

- Proszę, panie Devlin. - Radl podsunął krzesło i poczęstował go papierosem.

Devlin pochylił się, by skorzystać z ognia. Zakaszłał i zakrztusił się, gdy ostry dym z papierosa podrażnił mu gardło.

- Na Boga, pułkowniku, wiedziałem, że jest kiepsko, ale żeby aż tak! Co w nich jest? A może nie powinienem pytać?

- Rosyjskie - wyjaśnił Radl. - Rozsmakowałem się w nich podczas Kampanii Zimowej.

- Nie musi pan mówić więcej - stwierdził Devlin. - Pewnie tylko dzięki nim nie zasnął pan w śniegu.

Radl uśmiechnął się, czując nagle sympatię dla tego człowieka.

- Całkiem możliwe. - Wyjął butelkę Courvoisiera i dwa kieliszki. - Koniaku?

- Teraz jest pan zbyt miły. - Devlin przyjął kieliszek i pociągnął łyk, zamykając na chwilę oczy. - Nie jest irlandzki, ale da się pić. Kiedy przejdziemy do nieprzyjemnych spraw? Gdy byłem poprzednio na Tirpitz Ufer, kazali mi skakać po ciemku z Dorniera pięć tysięcy

stóp nad Meath, a ja mam straszny lęk wysokości.

- W porządku, panie Devlin - oznajmił Radl. - Mam nadzieję, że pana zajęcie, jeśli to pana interesuje.

- Mam swoją pracę.

- Na uniwersytecie? No nie, człowiek pańskiego pokroju musi się tam czuć jak czystej krwi koń wyścigowy, który ciągnie wózek z mlekiem.

Devlin odrzucił do tyłu głowę i głośno się roześmiał.

- Ach, pułkowniku, trafił pan od razu w mój czuły punkt. Próżność, próżność! Jeszcze trochę pochwał, a będę mruczał jak stary kocur mego wuja Seana. Czy chce pan dać mi delikatnie do zrozumienia, że mam wracać do Irlandii? Jeśli tak, to nie ma o czym mówić. W dzisiejszych czasach nie zaryzykowałbym tego ani na chwilę. Nie mam ochoty przez pięć lat siedzieć na tyłku w Curragh. Na jakiś czas wystarczy mi więziennych doświadczeń.

- Irlandia jest nadal neutralna. Pan de Yalera stwierdził wyraźnie, że jego kraj nie będzie się angażował.

- Tak, wiem - odparł Devlin. - I dlatego sto tysięcy Irlandczyków służy w brytyjskiej armii. I jeszcze coś: za każdym razem, gdy samolot RAF-u ląduje przymusowo w Irlandii, załoga w ciągu paru dni jest przekazywana za granicę. A ilu niemieckich pilotów odesłali wam ostatnio? - Devlin uśmiechnął się szeroko. - Zresztą, biorąc pod uwagę wspaniałe tamtejsze masło, śmietanę i dziewczyny, uważają pewnie, że lepiej im tam, gdzie są.

- Nie, panie Devlin, nie chcemy wysłać pana z powrotem do Irlandii - powiedział Radl. - Chodzi o coś innego.

- A więc czego chcecie, do cholery?

- Najpierw o coś pana zapytam. Czy dalej jest pan zwolennikiem IRA?

- Jestem żołnierzem IRA - poprawił go Devlin. - Gdy raz wszedłeś, nigdy nie wyjdiesz. Tak się u nas mówi, pułkowniku.

- Więc waszym ostatecznym celem jest pokonanie Anglii?

- Jeśli ma pan na myśli zjednoczoną Irlandię, wolną i stojącą na własnych nogach, chętnie temu przyklasnę. Ale uwierzę w to, kiedy tak się stanie, rozumie pan? Nie wcześniej.

Radl był zdumiony.

- Po co więc walczyć?

- Na Boga, czy nie za wiele pan pyta? - Devlin wzruszył ramionami. - Lepsze to niż walka na pięści przed barem Murphy'ego w sobotni wieczór. A może po prostu lubię w to grać.

- A cóż to za gra?

- Czyżby pan nie wiedział, pracując w tej branży?

Z jakiegoś powodu Radl poczuł się dziwnie nieswojo, powiedział więc pospiesznie:

- Nie pochwała pan zatem działalności pańskich rodaków, na przykład w Londynie?

- Płatać się po Bayswater i przyrządzać Paxo w garnkach gospodyni? - stwierdził Devlin. - Mnie to nie bawi.

- Paxo? - Radl nie wiedział, o co chodzi.

- Żartuję. Paxo to ogólnie znany sos w proszku. Chłopcy nazywają tak mieszanekę wybuchową, którą sami przygotowują. Chloran potasu, kwas siarkowy i parę innych specjalów.

- Niezły koktajl.

- Szczególnie, kiedy wybucha prosto w twarz.

- Zamachy bombowe zaczęły się od ultimatum, które wasi ludzie wysłali do brytyjskiego premiera w styczniu 1939...

Devlin roześmiał się.

- Także do Hitlera, Mussoliniego i każdego, kto ich zdaniem mógł być zainteresowany sprawą, nie wyłączając wuja Toma Cobleya.

- Wuja Cobleya?

- Znowu żartuję - odparł Devlin. - To moja słabość. Nigdy nie byłem w stanie traktować niczego zbyt poważnie.

- Dlaczego, panie Devlin? To mnie ciekawi.

- Niech pan posłucha, pułkowniku - odparł Devlin. - Świat to kiepski żart, który wymyślił Wszechmocny, gdy miał fatalny dzień. Zawsze mi się zdaje, że tego ranka musiał być na kacu. Ale dlaczego pytał pan o zamachy bombowe?

- Czy pan je pochwalał?

- Nie. Nie lubię atakować bezbronnych. Kobiety, dzieci, przechodnie... Jeśli chce się walczyć, jeśli wierzy się w swoją sprawę i jest ona słuszna, trzeba stanąć i bić się jak mężczyzna.

Twarz miał bladą i spiętą, a blizna po kuli na czole była rozpalona jak pochodnia. Raptem odprężył się i roześmiał.

- No proszę, odsłania pan to, co we mnie najlepsze. Za wczesna pora na poważną rozmowę.

- A więc jest pan moralistą - stwierdził Radl. - Anglicy nie zgodziliby się z panem. Co noc rozrywają bombami serce Rzeszy.

- Rozplącę się, jeśli pan nie przestanie. Proszę pamiętać, że walczyłem po stronie

Republiki w Hiszpanii. A co, do cholery, robiły niemieckie Stukasy, które latały dla Franco? Słyszał pan kiedyś o Barcelonie albo Guernice?

- To dziwne, panie Devlin. Pan wyraźnie nas nie lubi, a ja sądziłem, że nienawidzi pan Anglików.

- Anglików? - Devlin roześmiał się. - Pewnie, są jak teściowa. Są czymś, co trzeba znosić. Nie, to nie chodzi o nich. Nienawidzę przeklętego brytyjskiego imperium.

- Chce pan więc, żeby Irlandia była wolna?

- Tak. - Devlin poczęstował się jeszcze jednym rosyjskim papierosem.

- Czy zgodziłby się pan zatem, że z pańskiego punktu widzenia najlepszym sposobem na osiągnięcie tego celu byłoby zwycięstwo Niemiec w tej wojnie?

- Może pewnego dnia świny zaczną latać - odparł Devlin - ale nie bardzo w to wierzę.

- Więc po co siedzi pan w Berlinie?

- Nie sądziłem, że mam jakiś wybór.

- Ależ tak, panie Devlin - powiedział spokojnie pułkownik Radl. - Mogę pana wysłać do Anglii.

Devlin przyglądał mu się w zdumieniu, pierwszy raz w życiu zbity z tropu.

- Na Boga, ten człowiek oszalał!

- Nie, panie Devlin, zapewniam, że jestem przy zdrowych zmysłach. - Radl pchnął butelkę Couvoisiera na drugą stronę biurka i położył obok niej teczkę z aktami. - Niech pan się jeszcze napije i przeczyta to, potem porozmawiamy.

Powiedziawszy te słowa wstał i wyszedł.

Kiedy po upływie dobrych dwudziestu minut Devlin nie zjawił się, Radl zdobył się na odwagę, by otworzyć drzwi i wejść z powrotem do gabinetu. Devlin siedział z nogami na stole, w jednej ręce trzymając raporty Joanny Grey, a w drugiej kieliszek Courvoisiera. Butelka wyglądała na skutecznie opróżnioną.

- A, jest pan? - odezwał się podnosząc wzrok. - Zaczynałem się już zastanawiać, co się z panem stało.

- No i co pan powie? - zapytał z naciskiem Radl.

- Przypomina mi to pewną historię, którą słyszałem w dzieciństwie - odparł Devlin. - Coś, co zdarzyło się podczas wojny z Anglikami w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Bodajże w maju. Chodziło o człowieka nazwiskiem Emmet Dalton. Tego samego, który był później generałem w armii Wolnego Kraju. Słyszał pan o nim kiedyś?

- Nie, chyba nie - odparł Radl ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem.

- My, Irlandczycy, nazywamy takich wspaniałymi facetami. Służył jako major w armii

brytyjskiej przez całą wojnę, dostał Krzyż Wojenny za odwagę, a potem wstąpił do IRA.

- Przepraszam, panie Devlin, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Devlin jakby nie dosłyszał.

- W więzieniu Mountjoy w Dublinie siedział niejaki McEoin. To też był wspaniały facet, ale czekała go już tylko szubienica. - Devlin dolał sobie jeszcze Courvoisiera. - Emmet Dalton miał inny pomysł. Wykradł brytyjski wóz pancerny, założył dawny mundur majora, przebrał paru chłopaków za Angoli, dostał się podstępem do więzienia i wprost do gabinetu komendanta. Uwierzy pan w to?

W tym momencie, jakby wbrew własnej woli, Radl okazał zainteresowanie.

- I co, uratowali tego McEoina?

- Pech chciał, że właśnie wtedy odmówiono mu wizyty u komendanta.

- A ci ludzie? Co się z nimi stało?

- Och, było trochę strzelaniny, ale udało im się prysnąć. Trzeba przyznać, że mieli cholerny tupet. - Uśmiechnął się szeroko i uniósł raport Joanny Grey w górę. - To podobna sprawa.

- Jak pan sądzi, czy to by się udało? - dopytywał się natarczywie Radl. - Uważa pan, że to możliwe?

- To dość zuchwałe przedsięwzięcie. - Devlin rzucił raport na biurko. - A ja myślałem, że to Irlandczycy uważani są za wariatów. Wyciągnąć z łóżka w środku nocy wielkiego Winstona Churchilla i w nogi! - Zaśmiał się głośno. - Byłoby na co popatrzeć. Cały świat osłupiałby ze zdumienia.

- Chciałby pan tego?

- Pewnie, że to wyborna ekspedycja. - Devlin uśmiechnął się szeroko i nadal się uśmiechał, gdy dodał: - Oczywiście, nie miałyby to najmniejszego wpływu na losy wojny. Anglicy mianują po prostu Attlee na wakujące stanowisko, nocą będą nadal przylatywały Lancastery, a w ciągu dnia latające fortece.

- Jednym słowem jest pan przekonany, że mimo wszystko przegramy wojnę? - zapytał Radl.

- Stawiam pięćdziesiąt marek, kiedy tylko pan zechce. - Devlin wyszczerzył zęby. - Z drugiej strony, nie chciałbym stracić tej wycieczki, o ile mówi pan poważnie.

- Więc jest pan gotów lecieć? - Radl był w tym momencie totalnie zaskoczony. - To niepojęte! Dlaczego?

- Wiem, jestem głupcem - stwierdził Devlin. - Proszę spojrzeć, z czego rezygnuję. Przyjemna, bezpieczna praca na Uniwersytecie Berlińskim, naloty RAF-u nocą, a jankesów w

dzień, braki żywności, załamujący się Front Wschodni.

Radl, śmiejąc się, podniósł obie ręce do góry.

- W porządku, nie będę więcej pytał. Najwyraźniej Irlandczycy to wariaci. Już mi to mówiono, a teraz muszę się z tym zgodzić.

- To najlepsze, co pan może zrobić. No i oczywiście nie możemy zapominać o dwudziestu tysiącach funtów, które zdeponuje pan na rachunku w wybranym przeze mnie banku w Genewie.

Radl poczuł ogromny zawód.

- A więc ma pan swoją cenę, tak jak my wszyscy, panie Devlin?

- Ruch, któremu służę, ma ciągle kłopoty finansowe - Devlin szeroko się uśmiechnął. - Widziałem rewolucje, które rozpoczynano dysponując sumami mniejszymi niż dwadzieścia tysięcy funtów, panie pułkowniku.

- W porządku - odpowiedział Radl. - Załatwię to. Dostanie pan potwierdzenie wpłaty na konto, zanim pan wyjedzie.

- Świetnie - odparł Devlin. - A więc kiedy startujemy?

- Dziś jest pierwszy października. Mamy zatem dokładnie pięć tygodni.

- A jaka będzie moja rola?

- Pani Grey to pierwszorzędna agentka, ale ma już sześćdziesiąt osiem lat. Potrzebny jej mężczyzna.

- Ktoś, kto pokreśli się po okolicy i zajmie się grubszą robotą?

- Właśnie.

- A jak mam się tam dostać? Tylko niech mi pan nie wmawia, że jeszcze się pan nad tym nie zastanawiał.

Radl uśmiechnął się.

- Muszę przyznać, że dobrze to przemyślałem. Zobaczymy, jak się to panu spodoba. Jest pan obywatelem irlandzkim, który służył w brytyjskim wojsku. Został pan poważnie ranny i zwolniono pana do domu. Ta blizna na czole przyda się.

- A co mam wspólnego z panią Grey?

- Jest dawną znajomą rodziny i znalazła panu pracę w Norfolk. - Będziemy musieli jej to zasugerować i zobaczymy, co wymyśli. Uzupełnimy tę historię o szczegóły, damy panu wszelkie możliwe dokumenty, od irlandzkiego paszportu do zwolnienia z wojska. Co pan na to?

- Brzmi znośnie - stwierdził Devlin. - Ale jak się tam dostanę?

- Zrzucimy pana na spadochronie w północnej Irlandii, możliwie blisko granicy z

Ulsterem. Przypuszczam, że w łatwości przejdzie pan na drugą stronę omijając odprawę celną.

- Z tym nie ma problemu - stwierdził Devlin. - Co dalej?

- Nocny rejs z Belfastu do Heysham i pociąg do Norfolk, wszystko legalnie i z biletami.

Devlin przyciągnął do siebie mapę sztabową i przyjrzał się jej uważnie.

- Dobra, kupuję to. Kiedy mam wyruszyć?

- Za tydzień, najpóźniej za dziesięć dni. Na razie obowiązuje pana, oczywiście, zachowanie całkowitej tajemnicy. Musi pan też zrezygnować z pracy na uniwersytecie i zwolnić mieszkanie. Niech pan zniknie. Hofer załatwi panu inne lokum.

- A co potem?

- Mam spotkać się z człowiekiem, który prawdopodobnie będzie dowódcą grupy szturmowej. Jutro albo pojutrze, zależnie od tego, jak szybko uda mi się załatwić przelot na Wyspy Normandzkie. Może pan też przyjść. Znajdziecie wspólny język. Zgoda?

- Czemu nie, pułkowniku. Czyż wszystkie kiepskie, stare drogi nie prowadzą w końcu do piekła? - powiedział i wlał do kieliszka resztkę Courvoisiera.

Rozdział V

Alderney to ta spośród Wysp Normandzkich, która leży najbardziej na północy i najbliżej wybrzeży Francji. Kiedy latem 1940 roku armia niemiecka parła nieubłaganie na zachód, mieszkańcy uznali, że należy opuścić wyspę. Gdy 2 lipca 1940 roku pierwszy samolot Luftwaffe wylądował na niewielkim, trawiastym pasie na szczycie urwiska, miejsce było opustoszałe, a wąskie brukowane uliczki St. Annę niepokojąco ciche.

Do jesieni 1942 roku mieścił się tam już mniej więcej trzytysięczny garnizon, złożony z żołnierzy wojsk lądowych, marynarki i Luftwaffe, oraz kilka obozów śmierci, w których wykorzystywano do niewolniczej pracy ludzi z kontynentu, kazać im budować potężne, betonowe stanowiska strzelnicze nowych fortyfikacji. Był tam również obóz koncentracyjny, prowadzony przez SS i Gestapo, jedyne tego rodzaju miejsce na brytyjskiej ziemi.

W niedzielę, tuż po dwunastej w południe, Radl i Devlin wylecieli z Jersey samolotem zwiadowczym typu Storch. Lot zajął zaledwie pół godziny, a ponieważ Storch nie był uzbrojony, pilot trzymał się cały czas na poziomie morza, wzbijając się na wysokość siedmiuset stóp dopiero w ostatniej chwili.

Kiedy samolot znalazł się nagle nad ogromnym falochronem, zobaczyli Alderney jak na rozłożonej mapie. Zatoka Braye, port, St. Annę i sama wyspa, długa na jakieś trzy mile, a szeroka na półtorej, żywa zieleń, z jednej strony ogromne urwiska, a z drugiej łagodne zbocza, opadające w stronę wielu piaszczystych zatok i zatoczek.

Samolot zrobił skręt i opadł na jeden z trawiastych pasów startowych położonego na urwisku lotniska, które z trudem zresztą zasługiwało na to miano. Radlowi wydało się wyjątkowo małe. Niewielka wieża kontrolna, parę budynków z prefabrykatów i żadnych hangarów.

Obok wieży stał zaparkowany czarny Wolseley. Kiedy Radl i Devlin podeszli, kierowca - sierżant artylerii - wysiadł i otworzył tylne drzwi.

- Pułkownik Radl? - upewnił się salutując. - Komendant prosi o przyjęcie wyrazów szacunku. Mam pana zabrać wprost do Feldkommendantury.

- Znakomicie - odparł Radl.

Wsiedli i odjechali, skręcając niebawem w wiejską drogę. Był piękny, ciepły i słoneczny dzień, typowy bardziej dla późnej wiosny niż wczesnej jesieni.

- Na oko to całkiem przyjemne miejsce - stwierdził Radl.

- Dla niektórych. - Devlin wskazał głową na lewo, gdzie widać było z daleka setki

robotników z obozów śmierci, pracujących przy czymś, co wyglądało na ogromne, betonowe umocnienia.

Zabudowa St. Annę stanowiła mieszaninę francuskiego prowincjonalizmu i angielskiego stylu georgiańskiego: brukowane ulice, ogrody otoczone wysokimi murami dla ochrony przed nieustannymi podmuchami wiatru. Widać było liczne oznaki wojny: betonowe schrony, druty kolczaste, stanowiska karabinów maszynowych, zniszczenia od bomb w położonym w oddali porcie. Radia fascynował jednak angielski klimat tego miejsca. Nie pasowali do niego dwaj esesmani, których zobaczył w gaziku zaparkowanym na Connaught Square, ani szeregowiec z Luftwaffe, podający ogień koledze pod szyldem „Królewskiej Poczty”.

Feldkommendantura 515, czyli cywilna niemiecka administracja Wysp Normandzkich, miała swą lokalną siedzibę w starym gmachu banku Lloyda na Yictoria Street. Kiedy samochód zatrzymał się przed wejściem, w drzwiach stanął Neuhoff we własnej osobie.

- Pułkownik Radl? - zapytał, podchodząc z wyciągniętą na powitanie ręką. - Jestem Hans Neuhoff. Pełnię tu tymczasowo obowiązki dowódcy. Miło mi pana widzieć.

- Ten pan jest moim kolegą - powiedział Radl.

Nie starał się nawet przedstawić Devlina w inny sposób. W oczach Neuhoffa pojawił się natychmiast niepokój. W cywilnym ubraniu i czarnym, skórzanym płaszczu wojskowym, który Radl dla niego zdobył, Devlin wyglądał dość osobliwie. Logicznie rozumując, musiał być z Gestapo. W czasie podróży z Berlina do Bretanii, a potem na Guernsey, Irlandczyk widział ten sam wyraz zaniepokojenia na wielu innych twarzach

1 sprawiało mu to złośliwą satysfakcję.

- Herr Oberst - przywitał się, nie podając ręki.

- Proszę tędy, panowie - powiedział pospiesznie Neuhoff, zmieszany jak nigdy.

W budynku pracowało przy mahoniowym kontuarze trzech urzędników. Za nimi wisiał na ścianie nowy plakat Ministerstwa Propagandy, przedstawiający orła ze swastyką w szponach, który patrzył dumnie znad napisu Am Ende steht der Sieg, u kresu czeka zwycięstwo.

- Mój Boże! - westchnął Devlin. - Są ludzie, którzy uwierzą we wszystko.

Neuhoff wprowadził ich do pomieszczenia, w którym musiał się kiedyś znajdować dyrektorski gabinet. Przy drzwiach stał żandarm. Pokój miał niewiele mebli. Przypominał raczej pracownię niż cokolwiek innego. Neuhoff przysunął dwa krzesła. Radl usiadł, natomiast Devlin zapalił papierosa i stanął koło okna.

Neuhoff popatrzył na niego niepewnie, próbując się uśmiechnąć.

- Czy macie, panowie, ochotę na drinka? Schnapps, a może koniak?

- Prawdę mówiąc, chciałbym przejść do sedna sprawy - powiedział Radl.

- Ależ oczywiście, Herr Oberst.

Radl rozpiął bluzę munduru, wydobyl z wewnętrznej kieszeni kopertę i wyjął z niej list.

- Proszę to przeczytać.

Neuhoff, marszcząc z lekka brwi, wziął kartkę do ręki i przebiegł ją wzrokiem.

- Rozkaz samego Fuhrera! - Zdumiony spojrzal na Radia. - Nie rozumiem jednak, czego oczekuje pan ode mnie?

- Pełnej współpracy, pułkowniku Neuhoff - odparł Radl. - I żadnych pytań. O ile wiem, ma pan tu karną kompanię. „Operacja Miecznik”.

Devlin spostrzegł natychmiast, że w oczach Neuhoffa pojawiła się innego rodzaju obawa. Pułkownik jakby zeszywniał.

- Tak, Herr Oberst, wszystko się zgadza. Dowodzi nimi pułkownik Steiner z pułku spadochroniarzy.

- Tak myślałem - stwierdził Radl. - Pułkownik Steiner, porucznik Neumann i dwudziestu dziewięciu ludzi.

- Pułkownik Steiner, Ritter Neumann i czternastu ludzi - poprawił go Neuhoff. Radl patrzył na niego zaskoczony.

- Co pan mówi? A gdzie pozostali?

- Nie żyją, Herr Oberst - odpowiedział wprost Neuhoff. - Słyszał pan o „Operacji Miecznik”? Wie pan, co robią ci ludzie? Siadają okrakiem na torpedzie i...

- Wiem. - Radl wstał, sięgnął po pełnomocnictwo Fuhrera i włożył je z powrotem do koperty. - Czy na dzisiaj są zaplanowane jakieś akcje?

- To zależy, czy radar coś pokaże.

- Już dość - zarządził Radl. - Od tej chwili koniec. - Podniósł do góry kopertę. - To mój pierwszy rozkaz na podstawie tego pełnomocnictwa.

Neuhoff wyraźnie się uśmiechnął.

- Takim rozkazem jestem zachwycony.

- Ach tak - mruknął Radl. - Czy pułkownik Steiner to pański przyjaciel?

- Mam ten zaszczyt - odparł wprost Neuhoff. - Gdyby go pan znał, wiedziałby pan, co mam na myśli. Można też spojrzeć na sprawę z innej strony: ktoś o tak niezwykłych zdolnościach wart jest więcej dla Rzeszy żywy niż martwy.

- Właśnie dlatego tu jestem - stwierdził Radl. - No dobrze, gdzie mogę go znaleźć?
- Tuż przed portem jest gospoda. Steiner i jego ludzie mają tam swoją bazę.

Zaprowadzę pana.

- Nie trzeba - odpowiedział Radl. - Chcę sam się z nim zobaczyć. Czy to daleko?
- Ćwierć mili.

- Dobrze, więc pójdziemy pieszo. Neuhoff podniósł się.

- Czy potrafi pan powiedzieć, jak długo tu pozostaniecie?

- Samolot ma po nas przylecieć wczesnym rankiem- wyjaśnił Radl. - Musimy być na lotnisku na Jersey najpóźniej o jedenastej. O tej porze odlatujemy do Berlina.

- Załatwię nocleg dla pana i pańskiego... przyjaciela. - Neuhoff spojrział na Devlina. - Może zechcielibyście też panowie zjeść ze mną kolację? Moja żona byłaby zachwycona, a niewykluczone, że i pułkownik Steiner mógłby nam towarzyszyć.

- Świetny pomysł- pochwalił Radl. - Chętnie przyjdę.

Kiedy szli po Yictoria Street, obok pozamykanych sklepów i opuszczonych domostw, Devlin odezwał się:

- Co w pana dzisiaj wstąpiło? Trochę pan chyba przeholował. Ponosi pana nadmiar energii?

Radl roześmiał się, jakby nieco zawstydzony.

- Za każdym razem, kiedy wyciągam ten cholerny list, dziwnie się czuję. Opanowuje mnie jakieś poczucie władzy. Jestem jak biblijny centurion: robią to, co im mówię, i idą tam, gdzie im każę.

Kiedy skręcili w Braye Road, minął ich gazik prowadzony przez tego samego sierżanta artylerii, z którym przyjechali z lotniska.

- Pułkownik Neuhoff przekazał wiadomość o naszej wizycie - podsumował Radl. - Zastanawiałem się, czy to zrobi.

- Pewnie myślał, że jestem z Gestapo - stwierdził Devlin. - Był przestraszony.

- Możliwe - przyznał Radl. - A pan, panie Devlin? Nigdy się pan nie boi?

- Nie przypominam sobie. - W śmiechu Devlina nie było radości. - Powiem panu coś, czego nigdy nie mówiłem żadnemu człowiekowi. Nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa, a Bóg jeden wie, jak wiele zaznałem ich w życiu, nawet gdy zaglądam śmierci prosto w ślepią, doznaję przedziwnego uczucia. Mam jednak ochotę wyciągnąć rękę i pochwycić jej dłoń. Słyszał pan kiedyś coś bardziej zabawnego?

Ritter Neumann, ubrany w czarny gumowy skafander, siedział okrakiem na torpedzie przycumowanej do łodzi ratunkowej numer jeden i dłużał przy jej silniku, kiedy na molo

wjechał z hałasem gazik, gwałtownie wyhamowując. Kiedy Neumann spojrzał w górę, osłaniając oczy od słońca, w polu widzenia pojawił się starszy siarżant Brandt.

- Skąd ten pośpiech?! - krzyknął Neumann. - Skończyła się wojna?

- Kłopoty, panie poruczniku - oznajmił Brandt. - Z Jersey przyleciał jakiś oficer sztabowy. Pułkownik Radl. Chodzi mu o naszego pułkownika. Dostaliśmy właśnie cynk z Victoria Street.

- Oficer sztabowy? - powtórzył Neumann, przechodząc przez reling łodzi ratunkowej i biorąc ręcznik, który podał mu szeregowy Riedel. - Skąd jest?

- Z Berlina! - odparł ponuro Brandt. - Jest z nim ktoś, kto wygląda na cywila, ale tylko na oko.

- Gestapo?

- Wszystko na to wskazuje. Właśnie tu idą.

Neumann włożył wojskowe buty i wdrapał się po drabince na molo.

- Czy chłopaki wiedzą?

Brandt skinął głową. Jego twarz miała dziki wyraz.

- I wcale im się to nie podoba. Jeżeli się okaże, że ten facet przyjechał, żeby przykręcić śrubę pułkownikowi, są zdolni zepchnąć go z mola razem z jego kumplem, obwiązując im kostki sześćdziesięcioma funtami żelastwa.

- Dobrze - kontynuował Neumann. - Wracaj najszybciej jak możesz do gospody i zatrzymaj ich. Ja wezmę samochód i pojedę po pułkownika. Przechadza się po falochronie z panią Neuhoff.

Steiner i Ilse Neuhoff byli na samym końcu falochronu. Pani Neuhoff siedziała na murku ze spuszczonej nogami, a wiatr od morza targał jej jasne włosy i szarpał spódnicę. Śmiała się do Steinera, który odwrócił głowę, gdy z piskiem opon zatrzymał się przy nich gazik.

Wygramolił się z niego Neumann. Steiner spojrzał mu w twarz i uśmiechnął się cierpko.

- Złe wieści, Ritter, i to w taki piękny dzień!

- Szuka pana jakiś oficer sztabowy z Berlina, pułkownik Radl - poinformował ponuro Neumann. - Podobno jest z nim ktoś z Gestapo.

Steiner nie wydawał się bynajmniej wytrącony z równowagi.

- Dzień będzie więc z pewnością interesujący - podniósł ręce, aby pomóc Ilse zeskoczyć z murku, i przez chwilę trzymał ją w objęciach. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

- Na miłość boską, Kurt, czy ty nigdy nie traktujesz niczego poważnie?

- Pewnie jest tu tylko po to, żeby sprawdzić, ilu nas zostało. Powinniśmy już wszyscy nie żyć. Tych z Prinz Albrechtstrasse musi to cholernie irytować.

Stara gospoda stała przy drodze prowadzącej do portu, nad piaszczystą zatoką Braye. Kiedy Radl dotarł z Irlandczykiem na miejsce, panował tam dziwny spokój.

- Całkiem sympatyczna gospoda - stwierdził Devlin. - Myśli pan, że można tu się będzie jeszcze czegoś napić?

Radl spróbował otworzyć frontowe drzwi. Weszli do środka i znaleźli się w ciemnym korytarzu. Gdzieś za sobą usłyszeli odgłos otwieranych drzwi.

- Tutaj, Herr Oberst - odezwał się spokojny, kulturalny głos. Sierżant Hans Altmann oparł się o drzwi prowadzące do wyjścia, jakby zagradzając im drogę. Radl zobaczył baretkę za Kampanię Zimową, Krzyż Żelazny I i II klasy, srebrną odznakę, którą przyznawano za co najmniej trzy rany odniesione w walce, odznakę desantu powietrznego i najzaszczytniejsze dla spadochroniarza wyróżnienie: naszywki na rękawie, noszone dumnie przez tych, którzy rozpoczynali inwazję na Krecie w 1941 roku.

- Pańskie nazwisko? - zapytał lakonicznie Radl.

Altmann nic nie odpowiedział, a jedynie pchnął nogą drzwi z napisem „Bar”, tak że otworzyły się na oścież. Radl, wyczuwając coś, czego nie potrafił określić, wysunął głowę i wszedł do środka.

Pomieszczenie było niezbyt duże. Na lewo znajdował się kontuar baru, za nim puste półki, na ściankach wisiało sporo oprawionych zdjęć starych wraków, a w kącie stało pianino. Kilkunastu znajdujących się w różnych miejscach spadochroniarzy patrzyło na niego z wyraźną wrogością. Radl, lustrując ich chłodnym spojrzeniem, był pełen podziwu. Nigdy dotąd nie widział u żadnej grupy ludzi tylu odznaczeń. Wszyscy mieli Krzyż Żelazny I klasy, a takie drobiazgi jak odznaki za rany odniesione w walce czy zniszczenie czołgu można by liczyć na tuziny.

Stał na środku, z teczką pod pachą, z rękami w kieszeniach i ciągle podniesionym kołnierzem płaszcza.

- Chciałbym zauważyć - odezwał się cicho - że za takie zachowanie rozstrzeliwano już ludzi.

Rozległ się gromki śmiech. Sierżant Sturm, który stał za kontuarem czyszcząc lugera, stwierdził:

- A to dobre, Herr Oberst! Chce pan usłyszeć coś zabawnego? Kiedy dziesięć tygodni temu weszliśmy do akcji, było nas trzydziestu jeden, razem z pułkownikiem. Zostało

piętnastu, mimo że wiele razy dopisywało nam szczęście. Czy pan i ten śmieć z Gestapo możecie nam zaoferować coś gorszego?

- Mnie w to nie mieszajcie - odezwał się Devlin.- Jestem neutralny.

Sturm, który już .w wieku dwunastu lat pracował na barkach w Hamburgu i miał zwyczaj walić prosto z mostu, ciągnął dalej:

- Niech pan posłucha, bo nie będę się powtarzał. Pułkownik nigdzie nie pójdzie. Ani z panem, ani z nikim innym. - Pokręcił głową. - Wszystko bardzo ładnie, Herr Oberst, ale od tak dawna wyciera pan tyłkiem fotel w Berlinie, że zapomniał pan, co czują prawdziwi żołnierze. Źle pan trafił, jeśli ma pan nadzieję usłyszeć tu chór z „Horst Wessel”.

- Znakomicie - odparł Radl. - Pańska błędna ocena sytuacji świadczy jednak o braku inteligencji, co u kogoś tak wysokiego rangą uważam za godne ubolewania.

Cisnął teczkę na kontuar, rozpiął zdrową ręką płaszcz i rozchylił go niedbałym ruchem. Sturmowi opadła szczeka, gdy ujrzał Krzyż Rycerski i baretkę za Kampanię Zimową. Radl ruszył natychmiast do ataku.

- Bacność! - warknął. - Wszyscy wstać! - Zrobił się nagle ruch i w tej samej chwili drzwi otworzyły się szeroko i wpadł Brandt. - Pan także, sierżancie! - burknął Radl.

Zapadła głucha cisza. Wszyscy stali sztywno na bacność, a Devlin, wielce zadowolony z nowego obrotu spraw, usiadł na kontuarze i zapalił papierosa.

- Uważacie się za niemieckich żołnierzy, ale jesteście w błędzie - oznajmił Radl. - Starczy spojrzeć na wasze mundury. - Przechodził od jednego do drugiego, jakby próbował zapamiętać każdą twarz. - Mam wam powiedzieć, kim jesteście?

Zrobił to doskonale i bez owijania w bawełnę, tak iż Sturm wypadł przy nim jak nowicjusz. Kiedy po dwóch czy trzech minutach przerwał, żeby nabrać powietrza, w otwartych drzwiach rozległo się znaczące chrząknięcie. Odwróciwszy się zobaczył Steinera, a za nim Ilse Neuhoff.

- Sam bym tego lepiej nie ujął, pułkowniku Radl. Mogę tylko mieć nadzieję, że zechce pan złożyć wszystko, co się tutaj wydarzyło, na karb ich nadgorliwości, i zapomnieć o całej sprawie. Obiecuję, że kiedy się za nich wezmę, nie będą czuli nóg. - Wyciągnął rękę i uśmiechnął się ujmująco. - Jestem Kurt Steiner.

Radl zapamiętał na zawsze to pierwsze spotkanie. Steiner posiadał tę dziwną cechę, którą można dostrzec u żołnierzy wojsk desantowych na całym świecie: jakąś wyniosłą niezależność, nabytą dzięki obcowaniu z niebezpieczeństwami swojego fachu. Miał na sobie lotniczą bluzę stalowego koloru z żółtymi naszywkami na kołnierzu, na których widniał wieniec i dwa stylizowane skrzydła, symbol jego stopnia. Nosił poza tym spodnie skoczka

spadochronowego i tak zwany „Schiff”, rodzaj furazerki, do której żołnierze starej daty byli szczególnie przywiązani. Cała reszta, jak na człowieka posiadającego wszelkie możliwe odznaczenia, zaskakiwała prostotą. Miał naszywki za lądowanie na Krecie, baretkę za Kampanię Zimową oraz srebrno- złotego orła na odznace sprawności spadochroniarza. Przewiązany luźno wokół szyi jedwabny szalik zasłaniał Krzyż Rycerski i Liście Dębu.

- Mówiąc szczerze, pułkownik Steiner, przywołanie do porządku tych pańskich zabijaków sprawiło mi nawet pewną przyjemność.

Ilse Neuhoff stłumiła śmiech.

- Znakomite przedstawienie, Herr Oberst, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Steiner dokonał stosownej prezentacji, a Radl pocałował Ilse w rękę.

- Ogromnie mi miło, pani Neuhoff - powiedział, po czym zmarszczył czoło. - Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

- Niewątpliwie - powiedział Steiner, - wypychając przed siebie Rittera Neumanna, który krył się z tyłu, ubrany w wodoodporny gumowy kombinezon. - To nie jest, Herr Oberst, schwytna w Atlantyku foka, jak pan sobie zapewne wyobraża, tylko Oberleutnant Ritter Neumann.

- Bardzo mi miło, poruczniku - Radl rzucił na Neumanna krótkie spojrzenie, przypominając sobie wniosek o przyznanie mu Krzyża Rycerskiego, który został odrzucony z powodu procesu przed sądem wojskowym. Zastanawiał się, czy on o tym wie.

- A ten pan? - Steiner odwrócił się w stronę Devlina, który zeskoczył z kontuaru i podszedł do nich.

- Zdaje się, że wszyscy uważają mnie tutaj za pańskiego przyjaciela z Gestapo - stwierdził Devlin. - Nie powiem, żeby mi to szczególnie schlebiało. - Wyciągnął rękę na powitanie. - Nazywam się Devlin, pułkownik Liam Devlin.

- Herr Devlin jest moim kolegą - wyjaśnił szybko Radl.

- A pan? - zapytał uprzejmie Steiner.

- Pracuję w sztabie Abwehry. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym pomówić z panem na osobności o sprawie nie cierpiącej zwłoki.

Steiner zmarszczył czoło i w barze znów zapanowała martwa cisza. Po chwili odezwał się do Ilse:

- Ritter odprowadzi cię do domu.

- Nie, wolę poczekać, aż załatwisz sprawę z pułkownikiem. - Jej oczy zdradzały, jak bardzo się niepokoi.

- To chyba nie potrwa długo - powiedział cicho Steiner. - Zajmij się nią, Ritter. -

Zwrócił się do Radia. - Proszę tędy, Herr Oberst.

Radl skinął głową na Devlina i obaj poszli za Steinerem.

- Dobra, spoczniij - odezwał się Ritter Neumann. - Co za cholerni głupcy!

Napięcie opadło. Altmann usiadł przy pianinie i zaczął grać znaną piosenkę, której słowa zapewniały cały świat, że wszystko zmierza ku lepszemu.

- Pani Neuhoff! - zawołał. - Może nam pani zaśpiewa? Ilse siedziała na starym stołku przy barze.

- Nie jestem w nastroju - odrzekła. - Wiecie co, chłopcy? Mam dość tej cholernej wojny. Chcę tylko porządnego papierosa i drinka, ale pewnie i to graniczyłoby z cudem.

- No, nie wiem, pani Neuhoff - Brandt przeskoczył przez bar i odwrócił się w jej stronę. - Dla pani wszystko da się załatwić. Papierosy albo londyński gin, na przykład...

Sięgnął pod kontuar i wyciągnął stamtąd karton papierosów Gold Flake i butelkę Beefeatera.

- Teraz proszę nam zaśpiewać, pani Neuhoff! - krzyknął Hans Altmann.

Devlin i Radl stali oparci o balustradę, patrząc w wodę, głęboką i przejrzystą w bladych promieniach słońca. Steiner siedział na słupku na końcu mola, studiując zawartość teczek Radla. Po przeciwnej stronie zatoki majaczył na skraju przylądka Fort Albert, a poniżej widać było urwiska upstrzone ptasim łajnem. W powietrzu krążyły chmary mew, kormoranów, alek i ostrygojadów.

- Pułkowniku Radl! - zawołał Steiner.

Radl ruszył w jego kierunku. Devlin zrobił to samo, przystając w odległości dwóch kroków, żeby oprzeć się o murek.

- Skończył pan? - spytał Radl.

- O, tak. - Steiner włożył plik papierów z powrotem do teczek. - Zakładam, że mówi pan serio?

- Oczywiście.

Steiner wyciągnął rękę i wskazującym palcem dotknął baretki za Kampanię Zimową na mundurze Radla.

- Więc pozostaje mi tylko stwierdzić, że rosyjskie mrozy musiały paść panu na mózg, przyjacielu.

Radl wydobył z wewnętrznej kieszeni munduru grubą kopertę i wyjął rozkaz Fuhrera.

- Lepiej niech pan to zobaczy.

Steiner przeczytał, nie okazując emocji, po czym oddał kartkę i wzruszył ramionami.

- I co z tego?

- Ależ pułkownikowi Steiner! - oburzył się Radl. - Jest pan niemieckim żołnierzem! Składaliśmy tę samą przysięgę. To bezpośredni, osobisty rozkaz Fuhrera!

- Zapomina pan o jednej ważnej sprawie - odparł Steiner. - Jestem w karnej kompanii, z wyrokiem śmierci w zawieszeniu, oficjalnie zhańbiony. Prawdę mówiąc, zachowałem swój stopień tylko ze względu na szczególny charakter naszych akcji. - Wyjął z kieszeni spodni zgniecioną paczkę francuskich papierosów i włożył jednego do ust. - Tak czy inaczej, nie lubię Adolfa. Wrzeszczy i ma nieprzyjemny oddech.

Radl puścił tę uwagę mimo uszu.

- Musimy walczyć. Nie mamy wyboru.

- Do ostatniego człowieka?

- A co innego możemy zrobić?

- Nie wygramy.

Radl zacisnął zdrową rękę w pięść, mocno zdenerwowany.

- Ale możemy ich zmusić do zmiany poglądów. Niech dojdą do wniosku, że porozumienie jest lepsze niż ta nie kończąca się rzeź.

- I załatwienie Churchilla ma w tym pomóc? - zapytał Steiner z wyraźnym sceptycyzmem.

- Dowiedlibyśmy im, że jeszcze potrafimy kasać. Proszę zobaczyć, ile było szumu, kiedy Skorzeny wydostał Mussoliniego z Gran Sasso. Sensacja na cały świat.

- Słyszałem, że miał w tym też swój udział generał Student i paru spadochroniarzy - dorzucił Steiner.

- Na miłość boską - ciągnął zniecierpliwiony Radl. - Niech pan sobie wyobrazi, jak by to wyglądało. Nie dość, że niemieccy żołnierze lądują w Angli, to jeszcze z takim zadaniem! A może pan po prostu nie wierzy, że da się je wykonać?

- Czemu nie? - odpowiedział spokojnie Steiner. - Jeśli informacje w tych papierach, które przeglądałem, są ścisłe i jeśli spisał się pan, jak należy, wszystko mogłoby pójść jak w szwajcarskim zegarku. Zaskoczylibyśmy Angolii z opuszczonymi portkami. Zanim zorientowałyby się, kto ich napadł, już by nas nie było. Ale nie o to chodzi.

- Więc o co? - zapytał z naciskiem Radl, wyprowadzony całkowicie z równowagi. - Czy z powodu sądu wojennego uważa pan za stosowniejsze pokazać Fuhrerowi figę? Dlatego że znalazł się pan tutaj? Steiner, pan, i pańscy ludzie nie macie szans przeżycia, jeśli tu pozostaniecie. Osiem tygodni temu było was trzydziestu jeden. A ilu zostało? Piętnastu? Pańscy ludzie zasługują na to, i pan także, żeby skorzystać z tej ostatniej szansy i ocaleć.

- Albo umrzeć w Anglii. - Radl wzruszył ramionami.

- To mógłby być tylko krótki wypad, tam i z powrotem. Jak w szwajcarskim zegarku. Sam pan to powiedział.

- Najgorsze, że kiedy nawala choćby najdrobniejszy element, cały cholerny mechanizm przestaje działać - wtrącił Devlin.

- Dobrze powiedziane, panie Devlin - pochwalił Steiner. - Niech mi pan powie jedną rzecz. Dlaczego pan się zgodził?

- To proste - odparł Devlin. - Bo tak. Jestem ostatnim z wielkich poszukiwaczy przygód.

- Znakomite. - Steiner roześmiał się radośnie. - Z tym się mogę zgodzić. Wziąć udział w grze. Największej ze wszystkich. Ale, widzi pan, to niczego nie zmienia - ciągnął dalej. - Pułkownik Radl twierdzi, że należy się to ode mnie moim ludziom, bo ocalę ich w ten sposób od pewnej śmierci tutaj. Cóż, mówiąc zupełnie szczerze, nie uważam, bym miał wobec kogoś jakiegokolwiek zobowiązania.

- Nawet wobec swojego ojca? - zapytał Radl.

W ciszy, która nastąpiła, słychać było teraz morze obmywające skały w dole. Steiner pobałdł, skórę na policzkach miał napiętą, oczy mu pociemniały.

- Dobrze, niech mi pan powie.

- Gestapo trzyma go na Prinz Albrechtstrasse. Podejrzenie o zdradę. - Steiner, przypomniawszy sobie tydzień spędzony w kwaterze ojca we Francji w czterdziestym drugim roku i słowa staruszka, uświadomił sobie od razu, że to prawda.

- A, teraz rozumiem - powiedział cicho. - Jeżeli będę grzeczny i zrobię, co mi każą, to pomoże jego sprawie. - Twarz mu się nagle zmieniła, przybierając wyjątkowo niebezpieczny wygląd. Kiedy pochwycił Radia, stało się to jakby w zwolnionym tempie.

- Ty łajdaku! Wszyscy jesteście łajdaki!

Trzymał Radla za gardło. Devlin podbiegł szybko i musiał użyć całej siły, żeby go odciągnąć.

- To nie jego wina, głupcze! Jest pod obcasem tak samo jak ty. Jeżeli chcesz kogoś zastrzelić, zastrzel Himmlera. To o niego chodzi.

Radl, oparty o balustradę, usiłował złapać oddech. Wyglądał bardzo źle.

- Przepraszam. - Steiner położył mu rękę na ramieniu, naprawdę zatroskany. - Powinienem był wiedzieć.

Radl podniósł sztuczną rękę.

- Widzi pan to, Steiner? I moje oko? A to jeszcze nie wszystko. Lekarze dają mi dwa lata, jeśli dopisze mi szczęście. Nie o mnie chodzi. Robię to dla żony i córek, bo zrywam się

po nocach zlany potem na myśl, co może im się przydarzyć. Oto dlaczego tu jestem.

Steiner pokiwał głową.

- Tak, oczywiście, rozumiem. Wszyscy szukamy wyjścia z tej samej ciemnej alei. - Głęboko zaczerpnął powietrza. - W porządku, wracamy. Powiem chłopakom.

- Nie o celu akcji - ostrzegł Radl. - Jeszcze nie teraz.

- Więc chociaż o miejscu. Mają prawo to wiedzieć. Resztę omówię na razie tylko z Neumannem.

Zamierzał już odejść, kiedy Radl dodał:

- Steiner, muszę być z panem szczerzy. - Steiner odwrócił się w jego stronę. - Mimo tego, co powiedziałem, też uważam, że warto spróbować. Devlin ma rację: nie wygramy wojny, dostając Churchilla, żywego czy martwego, ale może to będzie dla nich wstrząs. Może pomyślą o zawarciu pokoju.

- Drogi panie Radl - odparł Steiner. - Jeśli wierzy pan w to, uwierzy pan we wszystko. Powiem panu, co nam zaoferują Brytyjczycy, nawet jeśli ta akcja się uda. Żeby nas wszystkich trafił szlag!

Odwrócił się i poszedł wzdłuż mola.

W barze było pełno dymu. Hans Altmann grał na pianinie, a pozostali mężczyźni stłoczyli się wokół Ilse, która siedziała przy kontuarze ze szklaneczką ginu w ręce, opowiadając kolejny raz znaną w wyższych sferach pikantną historyjkę o miłosnych przygodach marszałka Rzeszy, Hermanna Goeringa. Właśnie w chwili gdy Steiner, a za nim Radl i Devlin, weszli do środka, rozległ się gromki śmiech. Steiner spojrzał ze zdumieniem na całą scenę, a zwłaszcza na szereg butelek na kontuarze.

- Co się tu dzieje, do cholery?

Mężczyźni odsunęli się na bok, a Ritter Neumann, stojący za kontuarem razem z Brandtem, poinformował:

- Altmann znalazł dziś rano pod tą starą plecioną matą za barem wejście do piwniczki, o której nie wiedzieliśmy, sir. Dwa kartony papierosów, nawet nie rozpakowane. W każdym po pięć tysięcy sztuk. - Wskazał ręką na kontuar. - Gordon, Beefeater, White Horse, Haig and Haig. - Podniósł jedną z butelek, z trudem wymawiając angielskojęzyczną nazwę. - Irlandzka whisky Bushmills. Z prawdziwej destylarni.

Liam Devlin zawył z zachwytu i chwycił butelkę.

- Zastrzelę tego, kto wypije choć kroplę - oświadczył. - Przysięgam. To jest tylko dla mnie!

Wszyscy zaczęli się śmiać. Steiner uciszył ich podnosząc rękę.

- Spokojnie, mamy coś do omówienia. Interesy. - Zwrócił się do Ilse Neuhoff. - Przepraszam, kochanie, ale to ściśle tajne.

Jako żona żołnierza rozumiała, że nie należy się spierać.

- Poczekam na zewnątrz. Ale nie spuszczę z oka tego ginu! - Wyszła z butelką Beefeatera w jednej ręce i szklanką w drugiej. W barze panowała teraz cisza. Wszyscy nagle wytrzeźwieli, czekając, co ma im do powiedzenia.

- Sprawa jest prosta - zaczął Steiner. - Mamy szansę się stąd wydostać. Misja specjalna.

- Co trzeba robić, Herr Oberst? - zapytywał sierżant Altmann.

- To, co zawsze. To, do czego was przeszkolono. - Zrobiło się gwarno, wszystkich ogarnęło podniecenie. Ktoś szepnął:

- Czy to znaczy, że będziemy znowu skakać?

- Właśnie o tym mówię - odparł Steiner. - Ale potrzebuję tylko ochotników. Każdy z was musi sam zdecydować.

- Rosja, Herr Oberst? - spytał Brandt. Steiner pokręcił głową.

- Miejsce, gdzie niemieccy żołnierze jeszcze nigdy nie walczyli. - Twarze, którym się kolejno przyglądał, były zaciekawione, napięte, wyczekujące. - Ilu z was mówi po angielsku? - spytał cicho.

Nastąpiła pełna konsternacji cisza. Ritter Neumann tak dalece się zapomniał, że powiedział zachrypniętym głosem:

- Na Boga, Kurt, chyba żartujesz? Steiner pokręcił głową.

- Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej. To, co teraz usłyszycie, jest oczywiście ściśle tajne. Mówiąc krótko, za około pięciu tygodni mamy lądować w słabo zaludnionym rejonie angielskiego wybrzeża, gdzieś za Morzem Pomocnym, na wysokości Holandii. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, następnej nocy zabiorą nas stamtąd.

- A jeśli nie? - spytał Neumann.

- Będziesz martwy, rzecz jasna, więc nie będzie to miało znaczenia. - Rozejrzał się wokół. - Są jeszcze jakieś pytania?

- Czy możemy znać cel tej misji, Herr Oberst? - zapytał Altmann.

- Ma to być coś w rodzaju akcji, jaką przeprowadził na Gran Sasso Skorzeny i jego chłopcy z Batalionu Szkolenia Spadochroniarzy. Tylko tyle mogę powiedzieć.

- Cóż, mnie to wystarczy. - Brandt rozglądał się wokół z ogniem w oczach. - Jeśli polecimy, możemy zginąć, jeśli tu zostaniemy, zginiemy na pewno. Skoro pan leci, my też.

- Ja się zgadzam - zawtórował mu Ritter Neumann, stając na baczność.

Wszyscy obecni poszli w jego ślady. Steiner przez dłuższą chwilę stał w miejscu, wpatrzony w jakiś ciemny, tajemniczy punkt we własnej wyobraźni, po czym skinął głową.

- A więc dobrze. Czy ktoś wspominał tu o whisky?

Cała grupa ruszyła do baru, a Altmann usiadł przy pianinie i zaczął grać Marsz na Anglię. Ktoś rzucił w niego czapkę, a Sturm zawołał:

- Daj sobie spokój z tym patosem. Zagraj coś, czego warto posłuchać. - W otwartych drzwiach pojawiła się Ilse Neuhoff.

- Czy mogę już wejść?

Podniosła się wrzawa, a po chwili postawiono Ilse na kontuarze, domagając się jednomyślnie piosenki.

- W porządku - odpowiedziała ze śmiechem. - Co mam zaśpiewać? - Steiner odezwał się pierwszy, wyraźnie i zdecydowanie.

- Alles ist erruckt.

Zapanowało nagle milczenie. Spojrzała na niego z góry, poblądła.

- Jest pan pewien?

- To jak najbardziej stosowne - odpowiedział. - Proszę mi wierzyć. Hans Altmann zaczął od przygrywki, wczuwając się w muzykę. Ilse przechadzała się wolno wzdłuż kontuaru, trzymając dłonie na biodrach, i śpiewała tę dziwną, nastrojową piosenkę, którą znał każdy, kto uczestniczył w Kampanii Zimowej.

- „Co tu robimy? O co chodzi? Alles ist erruckt. To wszystko szaleństwo. Wszystko diabli wzięli”.

W oczach miała teraz łzy. Rozpostarła szeroko ramiona, jakby chciała ich objąć, i nagle wszyscy, wpatrzeni w nią, zaczęli śpiewać, powoli, niskimi głosami. Steiner, Ritter, wszyscy bez wyjątku, nawet Radl.

Devlin przyglądał się ze zdumieniem ich twarzom, potem odwrócił się, otworzył drzwi i wymknął się z baru, szepcząc:

- Kto tu oszalał, ja czy oni?

Z powodu zaciemnienia na tarasie panował mrok, Radl i Steiner wyszli tam jednak, głównie po to, żeby w ciszy i spokoju wypalić po obiedzie cygaro. Przez grube zasłony na oszklonych drzwiach słyszeli głos Liama Devlina oraz wesoły śmiech Ilse Neuhoff i jej męża.

- Czarujący człowiek - odezwał się Steiner. Radl przytaknął.

- Ma też inne zalety. Więcej takich jak on, a Brytyjczycy już dawno z chęcią by się wynieśli z Irlandii. Przypuszczam, że panów popołudniowe spotkanie, kiedy się rozstaliśmy, było obustronnie korzystne?

- Można chyba powiedzieć, że się rozumiemy - stwierdził Steiner. - No i obejrzelismy dokładnie mapę. Niech mi pan wierzy, że powinien bardzo się przydać, jeśli znajdzie się tam przed nami.

- Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć?

- Tak, młody Werner Briegel zna już ten teren.

- Briegel? - zdziwił się Radl. - Kto to jest?

- Starszy szeregowy. Ma 21 lat. Od trzech lat jest w wojsku. Pochodzi z Barth nad Bałtykiem. Twierdzi, że niektóre miejsca są tam podobne do wybrzeży Norfolk. Ogromne, puste plaże, piaszczyste wydmy i chmary ptaków.

- Ptaków? - zdziwił się Radl. Steiner uśmiechnął się w mroku.

- Powinienem wyjaśnić, że ptaki to pasja Wenera. Kiedyś, pod Leningradem, uniknęliśmy zasadzki partyzantów, bo spłoszyli wielkie stado szpaków. Leżeliśmy z Wernerem dość długo pod ostrzałem na otwartej przestrzeni, z twarzami w błocie. Wypełniał czas robiąc mi wykład - o tym, że szpaki przylatują najprawdopodobniej na zimę do Anglii.

- Fascynujące - stwierdził ironicznie Radl.

- Cóż, może się pan śmiać, ale dzięki temu pół godziny szybko nam minęło w tej parszywej sytuacji. Nawiasem mówiąc, to właśnie z powodu ptaków pojechał z ojcem w trzydziestym siódmym roku do północnego Norfolk. Słynie z nich ponoć całe tamtejsze wybrzeże.

- No dobrze - zakończył Radl. - Każdy ma swoje upodobania. Czy wyjaśniło się, kto mówi po angielsku?

- Porucznik Neumann, sierżant Altmann i młody Briegel mówią całkiem dobrze, oczywiście z obcym akcentem. Nie ma szans, żeby uchodzili za rodowitych Anglików. Co do pozostałych, Brandt i Klugl mówią łamaną angielszczyzną. Wystarczająco, żeby sobie poradzić. Nawiasem mówiąc, Brandt był w młodości marynarzem na statkach handlowych. Na szlaku z Hamburga do Hull.

Radl skinął głową.

- Mogło być gorzej. Proszę mi powiedzieć, czy Neuhoff o coś pana pytał?

- Nie, ale widać, że pali go ciekawość. A biedna Ilse potwornie się martwi. Będę musiał dopilnować, żeby nie starała się pójść z całą sprawą do Ribbentropa, próbując nieopatrznie ocalić mnie od Bóg wie czego.

- W porządku - powiedział Radl. - Niech pan więc nie rusza się z miejsca i czeka. Dostanie pan rozkaz wyjazdu za tydzień, a najpóźniej za dziesięć dni, zależnie od tego, jak szybko uda mi się znaleźć odpowiednią bazę w Holandii. Jak pan wie, Devlina przerzucimy

chyba za jakiś tydzień. Teraz wejdźmy już lepiej do środka.

- A co z moim ojcem? - zapytał Steiner, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie byłbym uczciwy, gdybym kazał panu wierzyć, że mam jakikolwiek wpływ na tę sprawę - odparł Radl. - Zajmuje się nią osobiście Himmler. Mogę jedynie - i zrobię to na pewno - powiedzieć mu wyraźnie, jak chętny jest pan do współpracy.

- I naprawdę pan myśli, że to wystarczy?

- A pan? - powtórzył pytanie Radl.

Śmiech Steinera pozbawiony był zupełnie wesołości.

- On nie ma pojęcia o honorze.

Ta uwaga zabrzmiała dziwnie staroświecko. Radl był zaintrygowany.

- A pan? - spytał. - Czy pan ma?

- Może i nie. Może to za duże słowo na określenie tego, o czym myślę. Takie zwykłe sprawy, jak dotrzymanie danego słowa czy nieopuszczanie przyjaciół w potrzebie. Czy to wszystko składa się na honor?

- Nie wiem, przyjacielu - przyznał Radl. - Mogę tylko potwierdzić niewątpliwy fakt, że do świata Reichsführera jest pan za dobry. Niech mi pan wierzy. - Otoczył Steinera ramieniem. - A teraz naprawdę już wejdźmy do środka.

Ilse, pułkownik Neuhoff i Devlin siedzieli przy okrągłym stoliku obok kominka. Ilse układała pracowicie z kart „celtycki krąg”, trzymając talię tarota w lewej ręce.

- Proszę, niech mnie pani czymś zaskoczy! - mówił Devlin.

- A więc pan w to nie wierzy, panie Devlin? - zapytała.

- Taki uczciwy katolik jak ja? Dumny owoc usilnej pracy jezuitów, Frau Neuhoff? - Szeroko się uśmiechnął. - A jak pani myśli?

- Myślę, że jest pan bardzo przesądny, panie Devlin. - Jego uśmiech trochę przygasł. - Widzi pan - ciągnęła dalej - ja mam dar jasnowidzenia. Karty nic nie znaczą. To tylko narzędzie.

- A więc proszę.

- Znakomicie, pańska przyszłość jest na jednej karcie, panie Devlin. Na siódmej z kolei.

Policzyła je szybko i odwróciła siódmą kartę. Leżała do góry nogami i przedstawiała kościotrupa trzymającego kosę.

- Czyż nie jest uroczy? - powiedział Devlin, starając się na próżno, by zabrzmiało to beztrąsko.

- Tak, Śmierć - przyznała. - Ale w odwróconej pozycji nie oznacza tego, co pan sobie

wyobraża. - Przez całe pół minuty wpatrywała się w kartę, po czym rzekła pospiesznie: - Będzie pan żył długo, panie Devlin. Wkrótce zacznie się dla pana długi okres bezczynności, nawet stagnacji, a potem, w ostatnich latach życia, dojdzie do wstrząsu, może i zabójstwa. - Spokojnie podniosła wzrok. - Czy to pana satysfakcjonuje?

- Długie życie i owszem - odparł wesoło Devlin. - Co do reszty... zaryzykuję.

- Czy mogę się przyłączyć, Frau Neuhoff? - spytał Radl.

- Jeśli pan ma ochotę...

Odliczyła karty. Tym razem na siódmej pozycji była odwrócona Gwiazda. Znow przyglądała się karcie przez dłuższą chwilę.

- Z pańskim zdrowiem nie jest dobrze, Herr Oberst.

- To fakt - zgodził się Radl.

- Myślę, że pan wie, co tu jest? - powiedziała wprost, podnosząc na niego wzrok.

- Dziękuję, chyba tak - odpowiedział, uśmiechając się pogodnie. Atmosfera stała się w tym momencie nieco przygnębiająca, jakby zapanował nagły chłód.

- No dobrze, Ilse, a co ze mną? - odezwał się Steiner. Sięgnęła po karty, jakby chcąc je pozbierać.

- Nie, Kurt, nie teraz. Chyba na jeden wieczór wystarczy.

- Bzdura - odpowiedział Steiner. - Ja nalegam! - Podniósł karty. - Proszę, przekładam talię lewą ręką. Tak trzeba, prawda?

Wzięła ją, bardzo niezdecydowana i spojrzawszy na niego z niemym wyrzutem zaczęła liczyć. Odwróciła tylko na chwilę siódmą kartę, by rzucić na nią okiem, po czym położyła ją z powrotem na kupce.

- Wygląda na to, Kurt, że w kartach też masz szczęście. Wyciągnąłeś Się. To oznacza sporo szczęścia, zwycięstwo mimo przeciwności losu, nieoczekiwany sukces. - Uśmiechnęła się promiennie. - A teraz, jeśli panowie pozwolą, przygotuję kawę - powiedziała i zostawiła ich samych.

Steiner wyciągnął rękę i odwrócił leżącą na wierzchu kartę. Przedstawiała Wisielca.

- Kobiety bywają czasem bardzo głupie - stwierdził z ciężkim westchnieniem. - Czyż nie mam racji, panowie?

Rano zaskoczyła ich mgła. Neuhoff kazał obudzić Radla o świcie i zakomunikował mu przy kawie złe nowiny.

- Typowy problem, niestety - stwierdził. - Nic na to nie poradzimy. Ogólne prognozy są fatalne. Nie ma szans, żeby coś się tu ruszyło przed wieczorem. Może pan czekać tak długo?

Radl pokręcił głową.

- Do tego czasu muszę być w Paryżu, a to oznacza konieczność wyjazdu z Jersey o jedenastej, żeby zdążyć na połączenie w Bretanii. Co jeszcze może mi pan zaproponować?

- Jeśli pan nalega, mógłbym załatwić łódź torpedową - powiedział Neuhoff. - Ale ostrzegam, że może pan mieć sporo wrażeń. Nie jest to zbyt bezpieczne. Mamy w tym rejonie więcej problemów z Królewską Marynarką niż z RAF-em. Jeżeli jednak chce pan zdążyć do St. Helier, musiałby pan natychmiast wyruszyć.

- Znakomicie - odparł Radl. - Proszę zaraz wszystko załatwić, a ja obudzę Devlina.

Tuż po siódmej Neuhoff odwiózł ich osobiście do portu służbowym samochodem. Devlin siedział skulony na tylnym siedzeniu, wykazując wszelkie objawy potężnego kaca. Łódź torpedowa czekała przy dolnym mołu. Kiedy zeszli po schodkach, zobaczyli Steinera w marynarskich butach i dwurzędowej kurtce. Stał oparty o reling i rozmawiał z młodym, brodatym porucznikiem marynarki, ubranym w gruby sweter i czapkę z plamami od soli.

Odwrócił się, by ich powitać.

- Ładny poranek na wyprawę. Upewniałem się właśnie, czy Koenig wie, jak cenny ładunek ma zabrać.

- Herr Oberst! - zaszalutował porucznik.

Devlin stał trzymając ręce głęboko w kieszeniach. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy.

- Nie za dobrze się pan czuje, panie Devlin? - zainteresował się Steiner.

Devlin jęknął.

- Wino to pestka. Urządziłem się czymś mocniejszym.

- Więc tego nie będzie pan chciał? - spytał Steiner, pokazując butelkę. - Brandt znalazł jeszcze jedną sztukę Bushmills.

Devlin natychmiast mu ją zabrał.

- Nie mogę pozwolić, żeby załatwiła kogoś tak samo jak mnie. - Podał rękę Steinerowi. - Miejmy nadzieję, że kiedy będzie pan odchodził, zdołam jeszcze trzymać głowę do góry. - Wspiął się przez reling i usiadł na rufie.

Radl pożegnał się z Neuhoffem, a potem powiedział do Steinera:

- Wkrótce dostanie pan ode mnie wiadomość. Co do tej drugiej sprawy, zrobię, co będę mógł.

Steiner milczał. Nie próbował nawet podać mu ręki. Radl zawahał się, a po chwili przeszedł przez reling. Koenig zaczął wydawać lakoniczne rozkazy, wychylając się przez otwarte okienko sterówki. Rzucono liny i łódź zanurzyła się w portowej mgle.

O płynęli cypel falochronu i nabrali szybkości. Radl rozglądał się z zainteresowaniem. Załogę stanowiły podejrzane typy. Co drugi nosił brodę, a wszyscy odziani byli w bluzy albo grube rybackie swetry, drelichowe spodnie i marynarskie buty. Prawdę mówiąc, nie bardzo przypominali marynarzy, a i sam statek, gdy już dobrze mu się przyjrzał, obwieszony dziwnymi antenami, nie był podobny do innych łodzi torpedowych.

Kiedy Radl wszedł na mostek, zobaczył Koeniga pochylonego nad mapą. Przy sterze stał dobrze zbudowany, brodaty wilk morski w wyblakłej, dwurzędowej kurtce z podoficerskimi naszywkami. W zębach trzymał cygaro, co również nie pasowało Radiowi do obyczajów panujących w marynarce.

Koenig zasalutował dość starannie.

- A, to pan, Herr Oberst. Czy wszystko w porządku?

- Mam nadzieję. - Radl pochylił się nad mapą. - Jak daleko jeszcze?

- Jakieś pięćdziesiąt mil.

- Będziemy na czas? Koenig spojrzął na zegarek.

- Powinniśmy dotrzeć do St. Helier tuż przed dziesiątą, Herr Oberst. O ile nie wejdzie nam w drogę Królewska Marynarka.

Radl wyjrzał przez okno.

- Poruczniku, czy pańscy ludzie zawsze chodzą ubrani jak rybacy? O ile wiem, łodzie torpedowe to duma marynarki.

Koenig uśmiechnął się.

- Ale to nie jest łódź torpedowa, Herr Oberst. Tak ją tylko sklasyfikowano.

- Więc co to jest, do diabła? - spytał Radl zaintrygowany.

- Właściwie sami nie bardzo wiemy, prawda, Muller? - Podoficer uśmiechnął się szeroko, a Koenig dodał: - Jak pan widzi, Herr Oberst, jest to kanonierka, zbudowana w Wielkiej Brytanii dla Turków i zarekwirowana przez Królewską Marynarkę.

- Co to za historia?

- W czasie odpływu osiadła na mieliźnie w Bretanii w pobliżu Morlaix. Kapitan nie mógł jej zatopić, więc zapalił lont, zanim zszedł z pokładu.

- No i?

- Do wybuchu nie doszło, a nim zdołał wrócić na statek, żeby naprawić błąd, nadpłynęła łódź torpedowa i razem z załogą dostał się w ich ręce.

- Biedaczysko - powiedział Radl. - Prawie mi go żal.

- Nie wie pan jeszcze najważniejszego, Herr Oberst - kontynuował Koenig. - Ponieważ w ostatnim komunikacie kapitan przekazał, że opuszcza i wysadza statek, brytyjska

admiralicja uważa oczywiście, że tak się stało.

- Dzięki czemu może pan pływać między wyspami łodzią która w istocie należy do Brytyjczyków? Teraz rozumiem.

- Właśnie. Patrzył pan wcześniej na nasze flagi i pewnie zdziwiło pana, że trzymamy w pogotowiu białą banderę Królewskiej Marynarki.

- Uratowało was to już kiedyś?

- Wiele razy. Wciągamy banderę, wysyłamy kurtuazyjny sygnał i płyniemy dalej. Bez kłopotów.

Radl poczuł, że ogarnia go znów lekkie podniecenie.

- Niech mi pan coś powie o tej łodzi - poprosił. - Jaką osiąga szybkość?

- Początkowo wyciągała najwyżej dwadzieścia pięć węzłów, ale w stoczni marynarki w Breście popracowano nad nią wystarczająco, żeby doszła do trzydziestu. Nie dorównuje jeszcze, rzecz jasna, łodzi torpedowej, ale to już coś. Ma sto siedemnaście stóp długości, a jeśli chodzi o uzbrojenie, ma jedno działo sześciofuntowe, jedno dwufuntowe, dwa podwójne karabiny maszynowe kaliber zero pięć i podwójne dwudziesto-milimetrowe działko przeciwlotnicze.

- Nieźle - przerwał mu Radl. - To prawdziwa kanonierka. A jaki ma zasięg?

- Tysiąc mil przy szybkości dwudziestu jeden węzłów. Oczywiście z założonymi tłumikami spala znacznie więcej paliwa.

- A po co to wszystko? - Radl wskazał na porozwieszane na kanonierce anteny.

- Niektóre z nich służą do nawigacji. Reszta to anteny do łączności radiowej. Mikrofalówka umożliwia telefoniczny kontakt między płynącym statkiem a agentem na lądzie. Trudno o coś lepszego. Agenci korzystają z niej, oczywiście, żeby ustalać miejsce spotkania. Mam już dość wychwalania zalet tego sprzętu w Dowództwie Marynarki na Jersey. Nikogo to nie obchodzi. Nic dziwnego, że...

Przerwał w samą porę. Radl spojrział na niego i zapytał ze spokojem:

- Jaki zasięg ma to чудо?

- Przy dobrej pogodzie do piętnastu mil. Gwarantowałbym połowę tej odległości, ale wtedy działa nie gorzej niż telefon.

Radl przez dłuższą chwilę stał w miejscu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał, a potem, skinąwszy nagle głową, powiedział „dziękuję, Koenig” i odszedł.

Devlin był w kajucie Koeniga. Leżał na wznak, z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi na butelce Bushmills. Radl zmarszczył brwi. Obudził się w nim niepokój, a nawet strach, zobaczył jednak, że butelka jest zapieczętowana.

- Wszystko w porządku, drogi pułkowniku - odezwał się Devlin, jakby wcale nie otwierając oczu. - Diabeł jeszcze mnie nie opętał.

- Przyniósł pan moją teczkę?

Devlin wykręcił się na łóżku, wyciągając coś spod siebie.

- Osłaniam ją własnym ciałem - stwierdził.

- To dobrze. - Radl podszedł z powrotem do drzwi. - W sterówce mają radio. Chcę, żeby je pan zobaczył, zanim zejdziemy na ląd.

- Radio? - mruknął Devlin.

- Nieważne - stwierdził Radl. - Wyjaśnię to później.

Kiedy wrócił na mostek, Koenig siedział na obrotowym krześle przy stole z mapą, popijając kawę z cynowego kubka. Muller nadal trzymał ster. Koenig wstał, wyraźnie zaskoczony.

- Jak nazywa się dowódca marynarki z Jersey? - zapytał Radl.

- Kapitan Hans Olbricht.

- Rozumiem. Czy możemy dopłynąć do St. Helier pół godziny przed planowanym czasem?

Koenig spojrzał niepewnie na Mullera.

- No, nie wiem, Herr Oberst. Moglibyśmy się postarać. Czy to ważne?

- Bardzo. Muszę mieć czas, żeby załatwić z Olbrichtem pańskie przeniesienie.

Koenig popatrzył na niego zdumiony.

- Przeniesienie, Herr Oberst? Pod czyją komendę?

- Moją. - Radl wydobył z kieszeni sztywną kopertę i wyjął z niej rozkaz Fuhrera.- Niech pan to przeczyta.

Odwrócił się zniecierpliwiony i zapalił papierosa. Kiedy ponownie zrobił w tył zwrot, Koenig szeroko otwierał oczy, szepcząc: - Mój Boże!

- Nie przypuszczam, żeby On miał coś wspólnego z tą sprawą. - Radl odebrał list i włożył z powrotem do koperty. - Czy temu bykowi można ufać? - spytał, wskazując głową na Mullera.

- Bezgranicznie, Herr Oberst.

- To dobrze - stwierdził Radl. - Przez dzień albo dwa zostanie pan na Jersey, aż nadejdą rozkazy. Potem chcę, żeby pan popłynął wzdłuż wybrzeża do Boulogne i tam czekał na moje instrukcje. Da się to zrobić bez problemów?

Koenig skinął głową.

- Sądzę, że tak. Dla takiej łodzi rejs wzdłuż brzegu to prosta sprawa. - Zawahał się

przez chwilę. - A dokąd potem, Herr Oberst?

- Och, gdzieś na północne wybrzeże Holandii, w pobliżu Den Helder. Nie znalazłem jeszcze odpowiedniego miejsca. Zna pan te tereny?

- Przepraszam za śmiałość, Herr Oberst - wtrącił się Muller chrząkając - ale ja znam to wybrzeże jak własną kieszeń. Byłem oficerem okrętowym na holenderskim holowniku w Rotterdamie.

- Świetnie. Znakomicie!

Opuściwszy ich, poszedł na dziób i stanął z papierosem obok sześćofuntowego działa.

- Wszystko gra - powiedział cicho. - Wszystko gra! - Poczul, że w żołądku ssie go z emocji.

Rozdział VI

W środę, szóstego października, tuż przed dwunastą w południe, Joanna Grey otrzymała dużą kopertę, włożoną w egzemplarz Timesa, który jej stały łącznik z ambasady Hiszpanii zostawił na jednej z ławek w Green Park.

Mając już przesyłkę, poszła z powrotem wprost na stację Kings Cross i złapała pierwszy ekspres, który jechał na północ. W Petersborough przesiadła się na lokalny pociąg do King's Lynn, gdzie wcześniej zaparkowała samochód, wykorzystując na dojazd paliwo zaoszczędzone z przydziału, jaki przysługiwał za działalność w Żeńskiej Służbie Ochotniczej.

Była prawie szósta, kiedy wjechała na dziedziniec za Park Cottage. Czowała się potwornie zmęczona. Weszła przez kuchnię, gdzie radośnie powitał ją Patch. Nie odstępował jej na krok, gdy znalazła się w salonie, nalewając sobie dużą szklankę szkockiej. Miała spore zapasy whisky. Sir Henry Willoughby dbał o to, jak należy. Z salonu weszła po schodach do niewielkiej pracowni obok sypialni.

Pokój zdobiła jakobińska boazeria. Ukryte drzwi w rogu nie były dziełem pani Grey, lecz istniały tam od zawsze, jako typowy wytwór epoki. Skonstruowano je tak, by przypominały fragment boazerii. Pani Grey zdjęła klucz z łańcuszka na szyi i otworzyła zamek. Kilka drewnianych schodków prowadziło do kryjówki na poddaszu. Tam właśnie trzymała nadajnik. Usiadła przy starym stoliku z sosnowego drewna, otworzyła szufladę i odsuwając na bok naładowanego lugera zaczęła w niej szperać, żeby znaleźć ołówek. Następnie wyjęła książkę szyfrów i zabrała się do pracy.

Kiedy w godzinę później wyprostowała się na krześle, twarz paliła ją z emocji. - Mój Boże! - powiedziała do siebie w języku afrikaans. - Więc mówili serio. Naprawdę mówili serio!

Głęboko zaczerpnęła powietrza i otrząsnąwszy się z wrażenia, zeszła z powrotem po schodach. Patch czekał cierpliwie przy drzwiach i towarzyszył jej aż do salonu, gdzie podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer Studley Grange. Sir Henry Willoughby odebrał osobiście.

- Henry, mówi Joanna Grey - odezwała się. Jego głos natychmiast zabrzmiał ciepłej.

- Jak się masz, moja droga! Chyba nie dzwonisz z wiadomością, że nie przyjdiesz na brydża czy coś w tym rodzaju? Nie zapomniałaś, prawda? O wpół do dziewiątej.

Zapomniała, ale to było bez znaczenia.

- Oczywiście, że pamiętam, Henry. Chodzi o to, że mam do ciebie małą prośbę.

Chciałam o tym porozmawiać tylko z tobą.

Głos mu spoważniał.

- No to mów, moja droga. Zrobię, co będę mógł.

- Cóż, miałam wiadomości od irlandzkich przyjaciół mojego zmarłego męża. Proszą, żebym postarała się pomóc ich bratankowi. Prawdę mówiąc już go tu wysłali. Ma przyjechać za parę dni.

- W czym masz mu pomóc?

- Nazywa się Devlin. Liam Devlin. Chodzi o to, Henry, że ten biedak został poważnie ranny, kiedy służył w armii brytyjskiej we Francji. Zwolnili go ze względu na stan zdrowia i przez prawie rok dochodził do siebie. Teraz jest już w niezłej formie i może pracować, ale musi to być praca na świeżym powietrzu.

- I pomyślałaś, że mógłbym mu coś załatwić? - zapytał jowialnie sir Henry. - Nie ma problemu, moja droga. Wiesz, jak trudno znaleźć dziś ludzi do pracy w gospodarstwie.

- Na początku nie będzie mógł robić wiele - powiedziała. - Zastanawiam się, prawdę mówiąc, czy nie zostałby nadzorcą bagien w Hobs End. To miejsce zwolniło się, kiedy młody Tom King poszedł dwa lata temu do wojska i jest tam nie zamieszkanym domem, prawda? Byłoby dobrze, gdyby ktoś go zajął, bo popadnie w ruinę.

- Wiesz, Joanno, może masz rację. Musimy to dokładnie przeanalizować. Nie ma sensu omawiać sprawy przy brydżu w obecności innych ludzi. Masz czas jutro po południu?

- Oczywiście - odpowiedziała. - Wiesz, Henry, to bardzo ładnie z twojej strony, że tak mi pomagasz. Ciągłe zawracam ci głowę swoimi problemami.

- Głupstwo - powiedział z naganą w głosie. - Po to tu jestem. Kobieta potrzebuje mężczyzny, który usuwa jej spod nóg przeszkody. - Głos drżał mu nieco.

- Chyba już muszę kończyć - stwierdziła. - Zobaczymy się wkrótce.

- Do widzenia, moja droga.

Odłożyła słuchawkę i poklepała po głowie psa, który znów jej towarzyszył, gdy szła z powrotem na górę. Zasiadła do nadajnika i wysłała na częstotliwości holenderskiej radiolatarni króciutki komunikat, który miał być przekazany dalej do Berlina. Potwierdziła otrzymanie instrukcji i informowała za pomocą umówionego hasła, że sprawa zatrudnienia dla Devlina jest załatwiona.

W Berlinie padało. Nad miastem wisiały czarne chmury i przechodziła ulewa, gnana zimnym wiatrem, który był tak przenikliwy, jakby wiał aż z Uralu. Max Radl i Devlin siedzieli naprzeciw siebie w poczekalni obok gabinetu Himmlera na Prinz Albrechtstrasse. Czekali już ponad godzinę.

- Co się dzieje, do cholery?- niecierpliwiał się Devlin. - Chce nas w końcu przyjąć czy nie?

- Niech pan zapuka i spyta - zaproponował Radl.

W tej właśnie chwili otworzyły się wejściowe drzwi i wszedł Rossman, otrzępując zmoknięty kapelusz z opuszczonym rondem. Jego płaszcz ociekał wodą.

- Panowie jeszcze tutaj? - odezwał się, promiennie uśmiechnięty.

- Bystry facet, co? - powiedział Devlin do Radia.

Rossman zapukał i wszedł do środka. Nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć drzwi.

- Mam go, Herr Reichsfuhrer.

- To dobrze - usłyszeli głos Himmlera.- Teraz chcę widzieć Radla i tego Irlandczyka.

- Co to jest, do diabła? - mruknął Devlin. - Występy na zamówienie?

- Niech pan trzyma język za zębami i pozwoli mi mówić - poradził Radl.

Wszedł do środka pierwszy, a Devlin podążył jego śladem. Rossman zamknął za nimi drzwi. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak tamtej nocy. Półmrok w pokoju, strzelający na kominku ogień i Himmler siedzący za biurkiem.

- Dobrze pan się spisał, Radl - odezwał się Reichsfuhrer.- Jestem więcej niż zadowolony z postępu przygotowań. A to jest Herr Devlin?

- We własnej osobie - odparł ochoczo Devlin. - Biedny, stary, irlandzki chłop prosto z bagien. To właśnie ja, wasza wysokość.

Himmler zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

- O czym ten człowiek mówi, u licha? - spytał Radla.

- Irlandczycy są szczególnym gatunkiem ludzi, Herr Reichsfuhrer - odpowiedział niepewnie Radl.

- To z powodu deszczu - zapewnił go Devlin.

Himmler patrzył na niego zdumiony, po czym zwrócił się do Radia:

- Czy jest pan pewien, że to odpowiedni człowiek?

- Całkowicie.

- Kiedy wyrusza?

- W niedzielę.

- A pozostałe przygotowania? Wszystko idzie dobrze?

- Jak dotąd tak. Połączyłem wyjazd na Alderney z załatwianiem spraw Abwehry w Paryżu i mam całkiem uzasadnione powody, żeby w przyszłym tygodniu być w Amsterdamie. Admirał nie wie o niczym. Jest zajęty innymi sprawami.

- To dobrze. - Himmler siedział wpatrzony w przestrzeń, najwyraźniej nad czymś

rozmyślając.

- Czy jest coś jeszcze, Herr Reichsfuhrer? - spytał Radl, widząc zniecierpliwienie Devlina.

- Tak. Poprosiłem tu panów dzisiaj z dwóch powodów. Przede wszystkim chciałem osobiście poznać pana Devlina. Ale pozostaje jeszcze kwestia składu grupy szturmowej Steinera.

- Może powinienem wyjść? - zasugerował Devlin.

- Bzdura - rzucił opryskliwie Himmler. - Będę zobowiązany, jeśli zechce pan po prostu usiąść w kącie i posłuchać. A może Irlancków nie stać na taki wyczyn?

- O, to się zdarzało - odparł Devlin. - Ale nieczęsto. Podeszedł do kominka, usiadł i zapalił papierosa. Himmler rzucił mu gniewne spojrzenie, miał zamiar coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił. Ponownie odwrócił się w stronę Radia, który spytał:

- Pan coś mówił, Herr Reichsfuhrer?

- Owszem. Wydaje mi się, że grupa Steinera ma jeden słaby punkt. Czterech czy pięciu ludzi mówi jako tako po angielsku, ale tylko Steiner może uchodzić za Anglika. To nie wystarczy. Moim zdaniem potrzebny mu jeszcze ktoś o podobnych umiejętnościach.

- Ale o takich ludzi nie jest łatwo.

- Mam chyba dla pana rozwiązanie - oznajmił Himmler. - Człowiek, który nazywa się Amery. John Amery. Jest synem znanego angielskiego polityka. Dostarczał broń Franco. Nie znosi bolszewików. Pracuje dla nas od pewnego czasu.

- Przydaje się na coś?

- Raczej nie, ale wpadł na pomysł założenia, jak to określił, Brytyjskiego Legionu Świętego Jerzego. Chodziło o werbowanie angielskich jeńców wojennych, głównie do walki na Froncie Wschodnim.

- Znalazł chętnych?

- Tak, ale niewielu, poza tym to w większości ciemne typy. Amery nie ma z tym aktualnie nic wspólnego. Przez jakiś czas jednostką dowodził Wehrmacht, ale teraz zajmuje się nią SS.

- Ilu jest tych ochotników?

- Ostatnio słyszałem o pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu. Tworzą obecnie tak zwany Niezależny Korpus Brytyjski. - Himmler otworzył leżącą przed nim teczkę i wyjął jakieś akta.

- Tacy ludzie czasami się przydają. Na przykład ten człowiek, Harvey Preston. Kiedy złapano go w Belgii, był w mundurze kapitana brytyjskiej gwardii, a ponieważ mówi i zachowuje się podobno jak angielski arystokrata, przez jakiś czas nikt nie kwestionował jego tożsamości.

- A nie jest tym, za kogo się podaje?

- Niech pan sam oceni.

Radl zapoznał się z kartą. Harvey Preston urodził się w Harrogate, w hrabstwie York, w 1916 roku. Był synem kolejowego tragarza. Mając czternaście lat opuścił dom, żeby pracować w rekwizytorni wędrownego teatryku rewiowego. W wieku osiemnastu lat występował na scenie w Southport. W 1937 roku skazano go w Winchester na dwa lata więzienia za cztery przypadki oszustwa.

W styczniu 1939 roku został zwolniony, a miesiąc później aresztowano go ponownie. Dostał następnie dziewięć miesięcy za to, że wyłudzał pieniądze, podając się za oficera RAF-u. Wyrok zawieszono pod warunkiem, że Preston pójdzie do wojska. Wyjechał do Francji jako urzędnik kancelarii z kompanią zaopatrzenia i transportu, a kiedy dostał się do niewoli, był w randze kaprała.

Ocena jego zachowania w obozie jenieckim zależy od punktu widzenia. Co najmniej pięć razy donosił władzom o próbach ucieczki więźniów. W końcu dowiedzieli się o tym jego kompani. Gdyby nie zgłosił się na ochotnika do Niezależnego Korpusu, tak czy inaczej musiano by go przenieść, dla jego własnego bezpieczeństwa.

Radl podszedł do Devlina i podał mu kartkę, po czym odezwał się do Himmlera.

- I pan chce, żeby Steiner zabrał tego... tego...

- Oszusta, na którego życiu nam nie zależy, ale który nieźle udaje angielskiego arystokratę - powiedział Himmler. - On naprawdę ma prezencję, Radl. To typ człowieka, przed którym policjanci salutują, gdy tylko otworzy usta. O ile mi wiadomo, angielski proletariat z daleka rozpoznaje oficera i dżentelmena. Preston znakomicie się nada.

- Ale Steiner i jego ludzie to żołnierze, Herr Reichsfuhrer, prawdziwi żołnierze. Zna pan ich przeszłość. Czy taki człowiek do nich pasuje? Czy będzie słuchał rozkazów?

- Zrobi, co mu się każe - odparł Himmler. - Co do tego nie ma wątpliwości. Zaraz go tu przyprowadzą.

Nacisnął dzwonek i po chwili w drzwiach ukazał się Rossman.

- Wezwij Prestona - rozkazał Himmler.

Rossman wyszedł, zostawiając otwarte drzwi, a za moment zjawił się w pokoju Preston. Zamknął za sobą drzwi i podniósł rękę w faszystowskim pozdrowieniu.

Miał wówczas 27 lat. Był wysoki, przystojny, miał na sobie znakomicie skrojony, szary mundur. Szczególnie ten mundur zafascynował Radia. Na czapce z daszkiem widniała trupia czaszka SS, a na kołnierzu naszywki, przedstawiające trzy leopardy. Na lewym rękawie, pod wizerunkiem orła, miał emblemat z brytyjską flagą, a czarno-srebrne zdobienia

mankietów nosiły gotycki napis „Britisches Freikorps”.

- Bardzo piękny - Devlin powiedział to tak cicho, że usłyszał go tylko Radl.

Himmler dokonał prezentacji.

- Untersturmfuhrer Preston, pułkownik Radl z Abwehry i pan Devlin. Z dokumentów, które dałem panu dziś do przejrzenia, wynika, jaką rolę ma odegrać w całej sprawie każdy z tych dżentelmenów.

Preston zrobił pół obrotu w stronę Radla, skłonił głowę i strzelił obcasami. Wyglądał jak wzór żołnierza, jak ktoś grający w sztuce pruskiego oficera.

- Miał pan więc sporo czasu, żeby zastanowić się nad tą sprawą - oznajmił Himmler. - Rozumie pan, czego od pana oczekujemy?

- Wnioskuje, że pułkownik Radl szuka ochotników do tej akcji - powiedział ostrożnie Preston. Mówił dobrze po niemiecku, choć akcent pozostawiał nieco do życzenia.

Himmler zdjął binokle, wskazującym palcem potarł lekko grzbiet nosa, po czym starannie założył je z powrotem. Było w tym geście coś nieskończenie złowieszczonego. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał jak szelest liści, wymiatanych podmuchem wiatru.

- Co właściwie chce pan przez to powiedzieć, Untersturmfuhrer?

- Chodzi o to, że znalazłem się w trudnej sytuacji. Jak pan wie, Reichsfuhrer, członkowie Niezależnego Korpusu otrzymali gwarancję, że nigdy nie będą musieli walczyć przeciwko Wielkiej Brytanii czy Koronie, ani nawet wspierać żadnych działań, szkodzących interesom narodu brytyjskiego.

- Może ten pan byłby szczęśliwszy, gdyby służył na Froncie Wschodnim, Herr Reichsfuhrer? - odezwał się Radl. - Armia Południe, feldmarszałek von Manstein. Jest tam sporo gorących miejsc dla tych, którzy tęsknią za prawdziwą akcją.

Preston, zrozumiałszy nagle, że popełnił fatalny błąd, próbował pospiesznie go naprawić.

- Zapewniam pana, Herr Reichsfuhrer, że... Himmler nie dał mu szansy.

- Mówi pan o zgłaszaniu się na ochotnika, gdy ja widzę tu tylko wypełnianie świętego obowiązku. Okazję przysłużenia się Fuhrerowi i Rzeszy.

Preston wyprężył się na baczność. Było to znakomite przedstawienie i Devlin doskonale się bawił.

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer. To mój najszczytniejszy cel.

- Chyba się nie mylę zakładając, że składał pan przysięgę tej treści? I to świętą przysięgę?

- Tak jest, Herr Reichsfuhrer!

- A więc nie ma już o czym mówić. Od tej chwili przechodzi pan pod rozkazy pułkownika Radla.

- Jak pan sobie życzy, Herr Reichsfuhrer.

- Pułkowniku Radl, chciałbym zamienić z panem słowo na osobności. - Himmler rzucił okiem na Devlina. - Panie Devlin, zechce pan przejść do poczekalni z Untersturmfuhrerem Prestonem.

Preston pożegnał się krótkim „Heil Hitler”, odwrócił się na pięcie z precyzją, która nie przyniosłaby wstydu gwardii grenadierów, i opuścił pokój. Devlin wyszedł za nim, zamykając drzwi.

Rossmann nie było. Preston kopnął ze złością jeden z foteli i rzucił czapkę na stół. Poblądł z wściekłości, a kiedy wyjmował srebrną papierośnicę i wydobywał z niej papierosa, drżała mu ręka.

Devlin podszedł do niego i poczęstował się papierosem, zanim Preston zdążył zamknąć papierośnicę.

- Mój Boże, ten staruch ma cię w garści - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Mówił po angielsku i Preston, patrząc na niego gniewnie, odpowiedział w tym samym języku.

- O co panu chodzi, do cholery?

- Nie udawaj, synu - odparł Devlin. - Słyszałem o twoich wyczynach. Legion Świętego Jerzego, Niezależny Korpus Brytyjski. Jak oni cię kupili? Wódki, ile dusza zapagnie, i tyle kobiet, z iloma dasz sobie radę? Oczywiście pod warunkiem, że nie jesteś zbyt wymagający. Teraz trzeba za to wszystko płacić.

Mając ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, Preston mógł pogardliwie spoglądać na Irlandczyka z góry. Aluzyjnie pociągnął nosem.

- Mój Boże, z jakimi ludźmi człowiek musi się zadawać. Zapach prosto z bagien. A teraz niech pan się wynosi i odgrywa gdzie indziej parszywego Irlandczyka. Radzę być grzecznym albo będę musiał pana sprać.

Zapalając papierosa Devlin poczęstował Prestona precyzyjnie wymierzonym kopniakiem pod prawe kolano.

Tymczasem w gabinecie Radl skończył właśnie sprawozdanie na temat postępu przygotowań.

- Świetnie - pochwalił Himmler. - Irlandczyk odlatuje w niedzielę?

- Tak, Dornierem z bazy Luftwaffe w Laville, pod Brestem. Biorąc kurs na północny zachód dotrą do Irlandii bez konieczności przelatywania nad terytorium Anglii. Większość

trasy pokonają na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp, nie powinni więc mieć kłopotów.

- A irlandzkie lotnictwo?

- Jakie lotnictwo, Herr Reichsfuhrer?

- Rozumiem. - Himmler zamknął akta. - A więc sprawa wreszcie posuwa się do przodu. Jestem z pana bardzo zadowolony, Radl. Proszę na bieżąco mnie informować.

Podniósł pióro dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona, ale Radl nie wyszedł.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział.

- Cóż takiego? - spytał Himmler, podnosząc wzrok.

- Chodzi o generała - majora Steinera. Himmler odłożył pióro.

- A w czym rzecz?

Radl zawahał się, ale uznał, że musi wspomnieć o tej sprawie. Miał dług wobec Steinera. Właściwie, biorąc pod uwagę okoliczności, sam się dziwił, że tak bardzo zależało mu na dotrzymaniu słowa.

- Sam pan proponował, Reichsfuhrer, aby powiedzieć wyraźnie pułkownikowi Steinerowi, że jego postawa może mieć znaczący wpływ na sprawę ojca.

- Tak było - potwierdził chłodno Himmler. - Ale w czym problem?

- Obiecałem pułkownikowi Steinerowi, Herr Reichsfuhrer - powiedział bez przekonania Radl. - Zapewniłem go, że... że...

- Nie miał pan do tego prawa - przerwał mu Himmler. - Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, może pan złożyć mu to zapewnienie w moim imieniu. - Ponownie chwycił za pióro. - Teraz jest pan wolny. I proszę powiedzieć Prestonowi, żeby nie odchodził. Chcę z nim jeszcze porozmawiać. Każę mu się jutro do pana zgłosić.

Kiedy Radl wyszedł do poczekalni, Devlin stał przy oknie, wyglądając przez szparę w zasłonie, a Preston siedział na jednym z foteli.

- Leje jak z cebra - stwierdził ochoczo Devlin. - Może dzięki temu tym z RAF-u nie będzie się chciało ruszyć z domu. Idziemy?

Radl przytaknął i zwrócił się do Prestona:

- Pan zostaje. Chce z panem rozmawiać. I proszę jutro nie przychodzić do dowództwa Abwehry. Skontaktuję się z panem.

Preston zerwał się na nogi, podnosząc rękę w przepisowym geście.

- Tak jest, Herr Oberst. Heil Hitler!

Radl i Devlin ruszyli do drzwi, a kiedy wychodzili, Irlandczyk podniósł kciuk i

uśmiechnął się promiennie.

- Niech żyje Republika, synku!

Preston opuścił rękę i wściekle zaklął. Devlin zamknął drzwi i zszedł po schodach za Radiem.

- Gdzie oni go znaleźli, do cholery? Himmler musiał zupełnie stracić rozum.

- Bóg raczy wiedzieć - stwierdził Radl, gdy przystanęli obok wartowników przy głównym wejściu, żeby podnieść kołnierze dla ochrony przed zacinającym deszczem. - To niezły pomysł, żeby mieć jeszcze jednego oficera, który wygląda na Anglika, ale ten Preston... - Pokręcił głową. - Człowiek bez charakteru. Podrzędny aktorzyzna i drobny aferzysta. Facet, który spędza większość życia w świecie stworzonym przez własną wyobraźnię.

- A my jesteśmy na niego skazani - powiedział Devlin. - Ciekawe, co Steiner z tym zrobi?

Kiedy podjechał służbowy samochód, przebiegli po deszczu i usiedli z tyłu.

- Steiner sobie poradzi - odparł Radl. - Tacy ludzie jak on zawsze dają sobie radę. Ale przejdźmy do rzeczy. Jutro po południu lecimy do Paryża.

- A co potem?

- Mam do załatwienia ważną sprawę w Holandii. Jak już panu powiedziałem, baza całej operacji będzie w Landsvoort. To odpowiednie miejsce na końcu świata. Podczas akcji będę tam osobiście, więc nadając komunikat będzie pan wiedział, przyjacielu, kto go odbierze. Jak mówiłem, kiedy polecę do Amsterdamu, zostawię pana w Paryżu. Pan z kolei przyplynie promem na lotnisko w Laville koło Brestu. Odlot w niedzielę o dziewiątej w nocy.

- Będzie pan tam?

- Postaram się, ale nie wiem, czy mi się uda.

W chwilę później dotarli na Tirpitz Ufer i pobiegli do wejścia, żeby nie zmoknąć. Hofer właśnie wychodził. Miał na sobie czapkę i gruby płaszcz. Zasalutował, a Radl spytał go:

- Skończyłeś dyżur, Karl? Jest coś dla mnie?

- Tak, Herr Oberst. Informacja od pani Grey. Radia ogarnęło podniecenie.

- Co takiego, człowieku, co przekazuje?

- Wiadomość otrzymałam i zrozumiałam, Herr Oberst, a sprawa zatrudnienia pana Devlina jest załatwiona.

Radl odwrócił się do Devlina z wyrazem triumfu na twarzy. Z daszku czapki kapąły krople deszczu.

- I co pan na to, przyjacielu?

- Niech żyje Republika! - powiedział posepnie Devlin. - Niech żyje! Czy to brzmi dla pana wystarczająco patriotycznie? Skoro tak, czy mogę wejść do środka i napić się czegoś?

Kiedy drzwi gabinetu otworzyły się, Preston siedział w kącie czytając angielskojęzyczne wydanie Sygnału. Podniósł wzrok znad lektury i zobaczywszy, że patrzy na niego Himmler, zerwał się na równe nogi.

- Przepraszam, Herr Reichsfuhrer.

- Za co? - zdziwił się Himmler. - Proszę ze mną. Chcę panu coś pokazać.

Preston był zdziwiony i trochę zaniepokojony, schodząc za nim po schodach, a potem idąc wzdłuż korytarza na parterze do żelaznych drzwi, strzeżonych przez dwóch gestapowców. Jeden z nich otworzył drzwi, po czym obaj stanęli na baczność. Himmler skinął głową i zaczął schodzić po schodach.

W pomalowanym na biało korytarzu panowała cisza. Nagle Preston usłyszał tępe, rytmiczne uderzenia, dziwnie odległe, jakby dochodzące z bardzo daleka. Himmler zatrzymał się przy drzwiach celi i otworzył metalową pokrywę. Było tam okienko ze zbrojonego szkła.

Siwy mężczyzna około sześćdziesiątki, w podartej koszuli i wojskowych spodniach, leżał rozciągnięty na ławie, a dwóch muskularnych esesmanów biło go systematycznie gumowymi pałkami po plecach i pośladkach. Rossman, z podwiniętymi rękawami koszuli, obserwował całą scenę paląc papierosa.

- Nie znoszę takiej bezmyślnej przemocy - stwierdził Himmler. A pan, Herr Untersturmfuhrer?

Prestonowi zaschło w gardle i zbierało mu się na mdłości.

- Ja także, Herr Reichsfuhrer. To straszne.

- Gdyby tylko ci głupcy chcieli słuchać. To przykre, ale jak inaczej traktować zdradę stanu? Rzesza i Fuhrer domagają się absolutnej i bezwzględnej lojalności, a ci, których na nią nie stać, muszą liczyć się z konsekwencjami. Rozumie pan?

Preston zrozumiał aż za dobrze. Kiedy Reichsfuhrer odwrócił się i wszedł z powrotem na schody, podążył za nim, potykając się i trzymając chusteczkę przy ustach, żeby nie wymiotować.

Na dole, w mrocznej celi, generał - major artylerii Karl Steiner poczołgał się w kąt i skulił, składając ręce jakby w obawie, że rozpadnie się na kawałki.

- Ani słowa - powiedział ledwo dosłyszalnie przez spuchnięte wargi. - Ani słowa, przysięgam...

W sobotę nad ranem dziewiątego października, dokładnie o godzinie drugiej

dwadzieścia, kapitan Peter Gericke z siódmej grupy nocnych myśliwców, mającej bazę w Grandjeim u wybrzeży Holandii, stracił swój trzydziesty ósmy samolot. Lecił w gęstych chmurach na Junkersie 88, jednej z tych pozornie niezdarnych, czarnych, dwusilnikowych maszyn, obwieszonych dziwnymi antenami radarów i atakujących z takim powodzeniem bombowce RAF-u, które brały udział w nocnych nalotach na Europę.

Gericke nie miał bynajmniej tej nocy szczęścia. Z powodu blokady dopływu paliwa do lewego silnika musiał pozostać na ziemi przez trzydzieści minut, podczas gdy reszta eskadry wystartowała, żeby dopaść dużą grupę brytyjskich bombowców, wracających do bazy nad wybrzeżem Holandii po nalocie na Hanower.

Zanim Gericke doleciał na miejsce, jego koledzy w większości zawracali już na lotnisko. Ponieważ jednak zawsze trafiali się maruderzy, pozostał jeszcze przez jakiś czas w powietrzu.

Gericke miał 23 lata. Był przystojnym, małomównym raczej chłopakiem, którego ciemne oczy wydawały się pełne zniecierpliwienia, jakby życie toczyło się dla niego zbyt wolno. Gwizdał sobie właśnie przez zęby pierwsze takty Symfonii Pastoralnej.

Nagle rozległ się z tyłu pełen przejęcia krzyk Haupta, pochylonego nad wskaźnikami operatora radaru.

- Mam jednego!

W tej samej chwili włączyła się spokojnie baza i przez trzaski w słuchawkach dotarł do Gericke'a znajomy głos majora Hansa Bergera z kontroli lotów NJG 7.

- Wędrowiec Cztery, tu Czarny Księżę. Mam dla ciebie Kuriera. Czy mnie słyszysz?

- Głośno i wyraźnie - odpowiedział Gericke.

- Kierunek zero – osiem - siedem stopni. Cel w odległości dziesięciu kilometrów.

Zaledwie parę sekund później Junkers wyleciał z chmur i Bohmler, obserwator pokładowy, dotknął ramienia Gericke'a, który natychmiast dostrzegł swój łup. Bombowiec typu Lancaster leciał wolno do bazy w jasnym świetle księżyca, wlokąc za sobą smugę dymu z zewnętrznego lewego silnika.

- Czarny Księżę, tu Wędrowiec Cztery - zameldował Gericke. - Widzę cel i nie potrzebuję dalszej pomocy.

Wpadł z powrotem w chmury, obniżył pułap o pięćset stóp, po czym zrobił ostry skręt w lewo, wyłaniając się w odległości dwóch mil za lecącym wyżej uszkodzonym Lancasterem, Bombowiec stanowił łatwy cel. Płynął ponad nimi jak szara zjawa, a smuga dymu unosiła się lekko w powietrzu.

W drugiej połowie 1943 roku wiele niemieckich nocnych myśliwców zaczęło

stosować tajną broń, znaną jako „Schraege Musik”. Była to para zamontowanych na kadłubie dwudziestomilimetrowych działek, które mogły strzelać do góry pod kątem dziesięciu - dwudziestu stopni. Dzięki tej broni nocne myśliwce mogły atakować od dołu. W takim położeniu bombowiec stanowił ogromny i praktycznie bezbronny cel. Ponieważ nie stosowano pocisków smugowych, strącono mnóstwo bombowców, a ich załogi nie wiedziały nawet, kto do nich strzela.

Tak było i tym razem. Przez ułamek sekundy Gericke miał cel na muszce, a potem, gdy zrobił zwrot w lewo, Lancaster skręcił gwałtownie i zaczął spadać do morza z wysokości trzech tysięcy stóp. Po chwili pojawił się spadochron, później następny. Zaraz potem samolot eksplodował lśniąca, pomarańczową kulą ognia. Kadłub runął do morza, a jeden ze spadochronów zapalił się i wystrzelił krótkotrwałym płomieniem.

- Wielki Boże! - wyszeptał z przerażeniem Bohmler.

- Czego chcesz od Boga? - zapytał brutalnie Gericke. - Podaj bazie namiar tego nieszczęsnego skurwysyna, żeby ktoś się nim zajął, i wracamy do domu.

Kiedy Gericke i dwaj jego ludzie zameldowali się w sali wywiadu Wydziału Operacyjnego, był tam tylko major Adler, starszy oficer wywiadu, jowialny pięćdziesięciolatek o sztywnej nieco, jakby mocno poparzonej twarzy. W czasie pierwszej wojny sam także latał w eskadrze von Richthoffena i nosił pod szyją Błękitnego Maxa.

- A, jesteś wreszcie, Peter - przywitał go. - Lepiej późno niż wcale. Łódź torpedowa potwierdziła przez radio twoje trafienie.

- Co z tym pilotem, który wyskoczył? - dopytywał się Gericke. - Znaleźli go?

- Jeszcze nie, ale szukają. Jest tam też ekipa ratownictwa morskiego. Podsunął na drugą stronę biurka pudełko z drzewa sandałowego w którym były bardzo długie i cienkie holenderskie cygara. Gericke sięgnął po jedno z nich.

- Wyglądasz na zmartwionego, Peter - stwierdził Adler. - Nigdy nie sądziłem, że jesteś taki wrażliwy.

- Bo nie jestem - powiedział otwarcie Gericke, przykładając zapalną do cygara. - Ale jutro to się może przydarzyć mnie. Chcę wiedzieć, że ci dranie z ratownictwa są na nogach.

Kiedy się odwrócił, Adler oznajmił:

- Prager chce cię widzieć.

Podpułkownik Otto Prager był dowódcą dywizjonu w Grandjeim, odpowiedzialnym za trzy eskadry, w tym także za tę, do której należał Gericke. Był zwolennikiem żelaznej dyscypliny i żarliwym narodowym socjalistą. Żadna z tych cech nie przypadła Gericke'owi szczególnie do gustu. Te drobne powody do zdenerwowania rekompensował jednak fakt, że

Prager był sam znakomitym pilotem, dbającym bezgranicznie o interesy załóg ze swego dywizjonu.

- Czego on chce? - zapytał Gericke. Adler wzruszył ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć, ale kiedy dzwonił, dał wyraźnie do zrozumienia, że masz się zjawić jak najszybciej.

- Ja wiem, o co chodzi - odezwał się Bohmler. - Telefonował Goering. Jesteś zaproszony na weekend do Karinhall.

Wszyscy wiedzieli, że kiedy pilot Luftwaffe otrzymywał Krzyż Rycerski, Marszałek Rzeszy, jako były lotnik, lubił osobiście go wręczyć.

- Może kiedyś - stwierdził Gericke z niechęcią w głosie. Było faktem, że otrzymywali to cenione odznaczenie ludzie, którzy mieli mniej strąceń niż on. Bardzo nad tym bolał.

- Nie przejmuj się, Peter - krzyknął za nimi Adler, kiedy wyszli. - Przyjdzie na to czas.

- Jeśli pożyję dość długo - powiedział Gericke do Bohmlera, gdy zatrzymali się na schodach przy głównym wejściu do Wydziału Operacyjnego. - Masz ochotę na drinka?

- Nie, dziękuję - odparł Bohmler. - Potrzebna mi tylko gorąca kąpiel i osiem godzin snu. Wiesz, że nie jestem zwolennikiem picia o tak wczesnej porze, nawet jeśli liczymy czas do tyłu.

Haupt już ziewał i Gericke stwierdził smętnie:

- Cholerny luteranin! Dobrze, pieprzę was obu! - Kiedy ruszył do wyjścia, Bohmler zawołał:

- Pamiętaj, że Prager chce cię zobaczyć!

- Później - odparł Gericke. - Później się z nim zobaczę.

- Bardzo o to prosił - rzucił Haupt w ślad za odchodzącym Gericke. - Co w niego ostatnio wstąpiło?

- Za często ląduje i startuje, tak jak my wszyscy - odpowiedział Bohmler.

Gericke szedł ciężkim krokiem do oficcerskiego kasyna, stukając obcasami o płytę lotniska. Był dziwnie przygnębiony, znużony, jakby pozbawiony chęci do życia. Nie wiadomo dlaczego ciągle myślał o tym Angolu, który uratował się z Lancastera. Musiał się czegoś napić. Filiżankę kawy, bardzo gorącej, i dużego Schnappsa albo Steinhagera.

Wszedł do sali i pierwszą osobą, którą zobaczył, był pułkownik Prager, siedzący w klubowym fotelu w odległym kącie w towarzystwie innego oficera. Mówili przyciszonymi głosami, a ich głowy niemal się stykały. Gericke przystanął niezdecydowanie, zastanawiając się, czy nie zrobić w tył zwrot, gdyż dowódca dywizjonu był szczególnie uczulony na punkcie noszenia w kasynie lotniczych skafandrów. Prager podniósł jednak wzrok i zobaczył go.

- Jesteś, Peter. Podejdź tu do nas.

Pstryknął palcami kelnera, który kręcił się w pobliżu, i zamówił kawę, gdy Gericke dochodził do stolika. Nie pochwalał picia alkoholu przez pilotów.

- Dzień dobry, Herr Oberst - powiedział z ożywieniem Gericke, zaintrygowany obecnością drugiego oficera, podpułkownika oddziałów wysokogórskich z czarną opaską na oku i Krzyżem Rycerskim.

- Gratuluję - odezwał się Prager. - Słyszę, że zaliczyłeś następne strącenie.

- Tak, Lancastera. Jeden człowiek się uratował, widziałem, jak skoczył na spadochronie. Szukają go właśnie.

- To pułkownik Radl - Prager dokonał prezentacji. Radl wyciągnął zdrową rękę i Gericke krótko ją uścisnął.

- Herr Oberst!

Prager wydawał się zgaszony jak nigdy dotąd. Był wyraźnie spięty i kiedy kelner przyniósł na tacy dzbanek świeżo zaparzonej kawy i trzy filiżanki, próbował usadowić się w fotelu, jakby coś go dotkliwie uwierało.

- Zostaw to, człowieku, zostaw! - rozkazał szorstko.

Po odejściu kelnera zapanowała na moment niezręczna cisza, którą przerwał nagle dowódca dywizjonu.

- Herr Oberst jest z Abwehry. Ma dla ciebie nowe rozkazy.

- Nowe rozkazy? - Prager wstał od stolika.

- Pułkownik Radl będzie ci w stanie powiedzieć więcej niż ja, ale wszystko wskazuje na to, że będziesz miał niezwykłą okazję przysłużyć się Rzeszy. - Gericke wstał, a Prager po chwili wahania podał mu rękę. - Dobrze się tu spisywałeś, Peter. Jestem z ciebie dumny. Co do tej drugiej sprawy, podawałem twoją kandydaturę już trzy razy, więcej nic nie mogę zrobić.

- Wiem, Herr Oberst - powiedział życzliwie Gericke. - I jestem panu wdzięczny.

Prager odszedł, a Gericke ponownie usiadł przy stoliku.

- Razem z tym Lancasterem ma pan trzydzieści osiem potwierdzonych zestrzeleń, czy tak? - spytał Radl.

- Jest pan, zdaje się, znakomicie poinformowany, Herr Oberst - stwierdził Gericke. - Napije się pan ze mną?

- Czemu nie? Chyba poproszę o koniak. - Gericke przywołał kelnera i złożył zamówienie.

- Trzydzieści osiem potwierdzonych zestrzeleń i nie ma pan jeszcze Krzyża

Rycerskiego? - zastanawiał się głośno Radl. - Czy to nie dziwne? - Gericke poruszył się niespokojnie.

- Czasem tak bywa.

- Wiem - stwierdził Radl. - Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że w lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, kiedy latał pan na ME sto dziewięć z bazy w rejonie Calais, wizytujący eskadrę Marszałek Rzeszy Goering usłyszał, iż pańskim zdaniem Spitfire jest lepszą maszyną. - Uśmiechnął się łagodnie. - Ludzie jego pokroju nie zapominają młodszym oficerom takich uwag.

- Chciałbym z całym szacunkiem zauważyć, Herr Oberst - powiedział Gericke- że w mojej robocie mogę liczyć tylko na dzień dzisiejszy, bo nie wiadomo, czy jutro będę żył. Byłbym więc dzięczny, gdyby powiedział mi pan pokrótce, o co chodzi.

- To całkiem proste - oświadczył Radl. - Potrzebuję pilota do dość szczególnej akcji.

- Pan potrzebuje?

- No dobrze, Rzesza - poprawił się Radl. - Czy to bardziej panu odpowiada?

- Nieszczególnie. - Gericke pokazał kelnerowi pustą szklankę po Schnappsie i zamówił następną. - Tak się składa, że całkiem mi tu dobrze.

- I o czwartej nad ranem pije pan takie ilości Schnappsa? To dziwne. Zresztą w tej sprawie nie ma pan wyboru.

- Czyżby? - Gericke powiedział to ze złością.

- W każdej chwili może pan zapytać dowódcę dywizjonu - odparł Radl.

Kelner przyniósł drugą szklankę Schnappsa. Gericke opróżnił ją jednym szybkim haustem i skrzywił się.

- Boże, jak ja nie cierpię tego świństwa!

- Więc po co pan pije? - spytał Radl.

- Nie wiem. Może za dużo przebywam w ciemnościach albo za długo latam. - Uśmiechnął się pogardliwie. - A może po prostu potrzebuję zmiany, Herr Oberst.

- Nie przesadzę, jeśli powiem, że to właśnie mogę panu zaoferować.

- Świetnie. - Gericke dopił resztę kawy. - Jaki jest następny ruch?

- O dziewiątej mam spotkanie w Amsterdamie. Potem musimy dotrzeć do miejsca, które znajduje się jakieś dwadzieścia mil na północ od miasta, na trasie do Den Helder. - Rzucił okiem na zegarek. - Trzeba stąd wyruszyć najpóźniej o siódmej trzydzieści.

- A więc zdążę zjeść śniadanie i wziąć kąpiel - podsumował Gericke. - Prześlę się trochę w samochodzie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Kiedy wstał od stolika, otworzyły się drzwi i wszedł ordynans. Zasalutowawszy,

wręczył młodemu kapitanowi depezę. Gericke przeczytał ją i uśmiechnął się.

- Coś ważnego? - zapytał Radl.

- Znaleźli Angola z tego Lancastera, którego zestrzeliłem. Wyskoczył na spadochronie. To oficer, pilot - nawigator.

- Ma szczęście - zauważył Radl.

- To dobry znak - stwierdził Gericke. - Miejmy nadzieję, że i mnie się powiedzie.

Landsvoort leżało w odludnej okolicy około dwudziestu mil na północ od Amsterdamu, między Schagen a morzem. Gericke spał mocno przez całą drogę i obudził się dopiero, gdy Radl potrząsnął go za ramię.

Był tam stary dom i stodoła, dwa hangary pokryte przerdzewiałym dachem i pojedynczy pas startowy z kruszejącego betonu, którego szczeliny porastała trawa. Teren otaczała zwyczajna drucziana siatka, a przy wahadłowej bramie ze stali i drutu, która robiła wrażenie nowej, stał na straży sierżant z przewieszoną na szyi charakterystyczną plakieta wojсковej żandarmerii. Uzbrojony był w automatyczny schmeissera, a na stalowym łańcuchu trzymał groźnie wyglądającego wilczura.

Sprawdził obojętnie ich papiery. Pies przez cały czas złowieszczo warczał. Radl przejechał przez bramę i zatrzymał się naprzeciwko hangaru.

- No cóż, to tutaj - oznajmił wreszcie.

Niewiarygodnie równinny pejzaż rozciągał się aż do odległych wydm oraz widocznego za nimi Morza Północnego. Kiedy Gericke otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, wiatr przyniósł od morza delikatną mgiełkę deszczu, który miał posmak soli. Podszedł na skraj rozsypującego się pasa startowego i parę razy kopnął nogą, aż oderwał się kawałek betonu.

- Zbudował to na własny użytek jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu pewien magnat okrętowy z Rotterdamu - wyjaśnił Radl wychodząc z samochodu, żeby mu towarzyszyć. - No i co pan powie?

- Brakuje nam tylko braci Wright. - Gericke spojrział w kierunku morza, zadrżał z zimna i wcisnął ręce głęboko do kieszeni skórzanego płaszcza. - Co za śmietnik! Bóg musiał chyba zupełnie zapomnieć o tym miejscu!

- Właśnie dlatego jest idealne dla nas - zauważył Radl. - A teraz przejdźmy do rzeczy.

Poprowadził Gericke'a do pierwszego hangaru, którego pilnował jeszcze jeden żandarm z wilczurem. Radl skinął głową i strażnik otworzył przesuwane drzwi.

Wewnątrz było wilgotno i dość zimno. Przez dziurę w dachu wpadał deszcz. Stojący w środku dwusilnikowy samolot wydawał się samotny i opuszczony i był zdecydowanie

daleko od domu. Gericke szczyił się tym, że już od dawna nic go w życiu nie dziwiło. Tym razem stało się jednak inaczej.

Maszyną, którą zobaczył, był Douglas DC 3, sławna Dakota, jeden z najbardziej chyba udanych samolotów transportowych, jakie kiedykolwiek zbudowano. Alianci wykorzystywali go podczas wojny równie często, jak armia niemiecka Junkersa 52. Co ciekawe, ten miał na skrzydłach znaki Luftwaffe, a na ogonie swastykę.

Peter Gericke kochał samoloty, tak jak niektórzy mężczyźni kochają konie, z bezgraniczną i nie słabnącą namiętnością.

- Jesteś piękny - powiedział pieszczotliwie, dotykając delikatnie skrzydła.

- Zna pan ten samolot? - zapytał Radl.

- Lepiej niż jakąkolwiek kobietę.

- Sześć miesięcy w Lotniczym Towarzystwie Przewozowym Landrosa w Brazylii, od czerwca do listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, dziewięćset trzydzieści godzin lotów. Nieźle jak na dziewiętnastolatka. To musiała być ciężka praca.

- Więc dlatego mnie wybrano?

- Pan najlepiej się nadaje.

- Skąd go macie?

- Z Dywizjonu Transportowego RAF-u. Cztery miesiące temu leciał ze zrzutami dla holenderskiego ruchu oporu. Zestrzelił go nocny myśliwiec, jeden z pańskich przyjaciół. Miał tylko lekko uszkodzony silnik. O ile wiem, coś z pompą paliwową. Obserwator był zbyt poważnie ranny, żeby skakać, więc pilot zdołał posadzić maszynę na zaoranym polu. Miał pecha, że wylądował tuż obok koszar SS. Kiedy wy dostał swojego przyjaciela, nie starczyło mu już czasu, żeby wysadzić samolot.

Drzwiczki były otwarte i Gericke wcisnął się do środka. Usiadł za sterami w kabinie i na chwilę znalazł się znowu w Brazylii. W dole rozciągała się zielona dżungla, przecięta wodami Amazonki, która wiła się jak wielki, srebrny wąż od Manaus aż do morza.

Radl zajął miejsce obok. Wyjął srebrną papierośnicę i poczęstował Gericke'a rosyjskim papierosem.

- Poleci pan zatem na tej maszynie?

- Dokąd?

- Niedaleko. Do Norfolk, przez Morze Północne. Tylko tam i z powrotem.

- W jakim celu?

- Trzeba zrzucić szesnastu spadochroniarzy.

Gericke był tak zaskoczony, że zbyt głęboko wciągnął powietrze i o mało się nie

udławił, gdy dym z mocnego rosyjskiego tytoniu wpadł mu do gardła.

Roześmiał się dziko.

- A więc nareszcie Operacja „Lew Morski”. Nie sądzi pan, że na inwazję Anglii jest już w tej wojnie ciut za późno?

- Na tym akurat odcinku wybrzeża radary nie kontrolują niskich pułapów - kontynuował spokojnie Radl. - Jeśli zejdzie pan poniżej sześciuset stóp, nie będzie żadnych problemów. Oczywiście każe doprowadzić samolot do porządku i dać z powrotem na skrzydła znaki RAF-u. Jeśli nawet ktoś go zauważy, będzie widział brytyjską maszynę, odbywającą zapewne normalny lot.

- Ale dlaczego? - dopytywał się Gericke. - Co oni mają robić, do diabła, kiedy się tam dostaną?

- To nie pańska sprawa - odparł stanowczo Radl. - Pan jest tylko szoferem, przyjacielu.

Wstał z fotela i wysiadł, a Gericke poszedł za nim.

- Proszę posłuchać, chyba stać pana na coś więcej?

Radl podszedł w milczeniu do Mercedesa. Przystanął, patrząc w morze przez płytę lotniska.

- Czy to dla pana za trudne? - spytał.

- Niech pan nie będzie głupcem! - odparł ze złością Gericke. - Chcę po prostu wiedzieć, w co się pakuję, nic więcej.

Radl rozsunął płaszcz i rozpiął marynarkę. Z wewnętrznej kieszeni wyjął sztywną kopertę, która mieściła bezcenny list, i podał go Gericke'owi.

- Niech pan to przeczyta - powiedział lakonicznie. Kiedy Gericke spojrzał na niego ponownie, twarz miał bladą.

- To aż takie ważne? Nic dziwnego, że Prager był zdenerwowany.

- Właśnie.

- W porządku. Ile mam czasu?

- Około czterech tygodni.

- Będę chciał, żeby poleciał ze mną Bohmler, mój obserwator. Nigdy nie miałem lepszego nawigatora.

- Wszystko, czego pan sobie życzy. Trzeba tylko powiedzieć. Oczywiście cała sprawa jest ściśle tajna. Mogę panu załatwić tydzień urlopu, jeśli pan chce. Potem zostanie pan tutaj, na farmie, pod ścisłym nadzorem.

- Mogę zrobić próbny lot?

- Jeśli to konieczne, ale wyłącznie nocą i wolałbym tylko jeden raz. Będę dysponował zespołem najlepszych mechaników, jakich ma Luftwaffe. Dostanie pan wszystko, co potrzebne. I będzie pan za to odpowiedzialny. Nie życzę sobie żadnej awarii silników z powodu jakiegś bzdurnej mechanicznej usterki, kiedy znajdziecie się na wysokości czterystu stóp nad bagnami Norfolk. A teraz wracamy do Amsterdamu.

Następnego dnia rano, dokładnie o drugiej czterdzieści pięć, Seumas O'Broin, hodowca owiec z Conroy w hrabstwie Monaghan, próbował trafić do domu przez rozległe wrzosowiska. I zupełnie mu to nie wychodziło.

Nic dziwnego, bo kiedy ma się siedemdziesiąt sześć lat, opuszczają człowieka po kolei przyjaciele i Seumas O'Broin wracał do domu właśnie z pogrzebu. Czuwanie przy zwłokach trwało siedemnaście godzin.

Nie wystarczyłoby powiedzieć, że O'Broin - jak to ładnie określają Irlandczycy - trochę wypił. Wlał w siebie takie ilości alkoholu, że nie był pewien, czy jest jeszcze na tym świecie. Kiedy więc z ciemności nad jego głową wyleciało bezgłośnie coś, co wziął za wielkiego, białego ptaka i opadło na pole za następnym murem, nie odczuwał w ogóle strachu, a tylko lekkie zdziwienie.

Devlin wylądował po mistrzowsku. Przywiązany do pasa worek z ekwipunkiem wisiał na linie długości dwudziestu stóp i pierwszy uderzył w ziemię, ostrzegając go, że powinien być gotowy. On sam opadł o ułamek sekundy później, koziołkując w miękkim, irlandzkim torfie. Natychmiast stanął na nogi i odpiął uprząż spadochronu.

W tym momencie chmury rozstały się, odsłaniając księżyc w kwadrze, dzięki czemu Devlin miał dość światła, żeby zrobić to, co powinien. Otworzył worek, wyjął małą saperkę, ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, tweedową czapkę, parę butów i sporą skórzaną torbę.

Nie opodal był ciernisty żywopłot, a obok niego rów, w którego dnie Devlin szybko wygrzebał łopatką dziurę. Potem rozpiął lotniczy kombinezon, pod którym miał tweedowy garnitur, i przełożył wetkniętego za pas walthera do prawej kieszeni. Zmienił obuwie, a następnie wcisnął kombinezon, spadochron i wysokie buty do worka, wrzucił go do dziury i przysypał szybko ziemią. Żeby dokończyć dzieła, przykrył wszystko mnóstwem suchych liści i gałązek, po czym cisnął saperkę do pobliskiego zagajnika.

Włożył płaszcz przeciwdeszczowy, wziął torbę i odwróciwszy się zobaczył Seumana O'Broina, który obserwował go, oparty o mur. Devlin zareagował błyskawicznie, kładąc rękę na kolbie walthera. Ale w tym samym momencie zapach dobrej irlandzkiej whisky i niewyraźny bełkot wyjaśniły mu wszystko.

- Kim ty jesteś, człowiekiem czy diabłem? - zapytał stary farmer, wymawiając powoli

i dobitnie każde słowo. - Z tego świata, czy z tamtego?

- Niech nas Bóg zachowa, staruszk, ale sądząc z zapachu, który od ciebie dolatuje, obaj trafilibyśmy szybko do piekła, gdyby któryś z nas potarł teraz zapalną. Co do twojego pytania, jestem po trochu i jednym, i drugim. Widzisz przed sobą prostego, irlandzkiego chłopaka, który próbuje w nowy sposób dotrzeć do domu po latach spędzonych na obczyźnie.

- Naprawdę? - upewniał się O'Broin.

- Przecież ci mówię.

Staruszek roześmiał się radośnie.

- Ceadmilefailte są bhaile romhat - powiedział po irlandzku. - Sto tysięcy razy „witaj w domu”!

- Go raibh maith agat - odparł Devlin z szerokim uśmiechem. - Dzięki! - Podniósł torbę, przeskoczył mur i zaczął żwawo iść po łące, pogwizdując cicho przez zęby. Przyjemnie było znaleźć się w domu, choćby na krótko.

Granica w Ulsterze stała wówczas otworem, podobnie jak teraz, dla każdego, kto znał ten teren. Dwie i pół godziny marszu po wiejskich drogach i polnych ścieżkach wystarczyło, by dotarł do hrabstwa Armagh i stanął na brytyjskiej ziemi. Ciężarówka z mlekiem dowiozła go przed szóstą do miasta Armagh. W pół godziny później wsiadał do przedziału trzeciej klasy w porannym pociągu do Belfastu.

Rozdział VII

W środę przez cały dzień padał deszcz, a po południu znad Morza Północnego nadciągnęła mgła, docierając przez bagna do Cley, Hobs End i Blakeney.

Mimo złej pogody Joanna Grey wyszła po obiedzie do ogrodu. Wykopywała ziemniaki na przylegającej do sadu grządce z warzywami, kiedy zaskrzypiała furka. Patch nagle zaskomlał i wyskoczył jak strzała. Kiedy się odwróciła, ujrzała na końcu ścieżki niepozornego i bladego, ale barczystego mężczyznę w czarnym trenczu z paskiem i tweedowej czapce. W lewej ręce trzymał torbę. Nigdy w życiu nie widziała u nikogo tak niesamowicie błękitnych oczu.

- Pani Grey? - zapytał z miękkim, irlandzkim akcentem. - Pani Joanna Grey?

- Zgadza się. - W żołądku ścisnęło ją z emocji. Przez krótką chwilę zabrakło jej tchu.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Rozpalę w sercu płomień zrozumienia, którego nikt nie zgasi.

- Magna est veritas et praevallet.

- Prawda jest wielka i panuje nad wszystkim - uśmiechnął się Liam Devlin. - Chętnie wypiłbym filiżankę herbaty, pani Grey. To była piekielna podróż.

Devlin nie zdołał kupić biletu na poniedziałkowy nocny rejs z Belfastu do Heysham. Sytuacja na trasie do Glasgow była nie lepsza. Ale uprzejmy kasjer skierował go do Larne, gdzie miał więcej szczęścia i dostał się na poranny wtorkowy rejs do Stranraer w Szkocji.

Wojenne ograniczenia w kursowaniu pociągów skazały go na nie kończącą się podróż ze Stranraer do Carlisle, a potem przesiadkę do Leeds. Po długim oczekiwaniu dopiero w środę o świcie miał stamtąd połączenie do Peterborough, gdzie po raz ostatni przesiadł się na lokalny pociąg do Kings Lynn.

Przypominał sobie właśnie to wszystko, kiedy Joanna Grey odwróciła się od kuchenki, na której parzyła herbatę, i zapytała:

- No i jak poszło?

- Nie najgorzej - odparł. - Parę rzeczy mnie zaskoczyło.

- Co na przykład ?

- No, ludzie, ogólna sytuacja. Nie tego się spodziewałem.

Przypomniała mu się zwłaszcza restauracja na stacji w Leeds, przez całą noc pełna wszelkiej maści podróżnych, czekających z nadzieją na jakiś pociąg, i plakat na ścianie ze szczególnie dla niego ironicznym napisem: „Musisz jak nigdy dotąd zadać sobie pytanie: czy moja podróż jest naprawdę konieczna?”. Pamiętał rubaszne poczucie humoru tych ludzi i ogólny optymizm, kontrastujący tak bardzo z tym, co widział ostatnio na głównej stacji kolejowej w Berlinie.

- Są chyba dość pewni, że wygrają tę wojnę - powiedział, gdy pani Grey przyniosła do stołu tacę z herbatą.

- To raj dla głupców - stwierdziła chłodno. - Nigdy niczego się nie nauczą. Widzi pan, zawsze brakowało im organizacji, dyscypliny, jaką Niemcy zawdzięczają Fuhrerowi.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała ostatnio podziurawiona bombami kancelaria Rzeszy i znaczne obszary Berlina, które po bombardowaniach aliantów zamieniły się w kupę gruzów, Devlin miał ochotę zauważyć, że od dawnych dobrych czasów sporo się zmieniło. Z drugiej strony odnosił nieodparte wrażenie, że taka uwaga nie spotkałaby się z życzliwym przyjęciem.

Pił więc herbatę i przyglądał się, jak pani Grey podchodzi do szafki w kącie, otwiera ją i wyjmuje butelkę szkockiej. Dziwiło go, że ta sympatyczna, siwowłosa kobieta w gustownej, tweedowej spódnicy i wysokich butach mogła być tym, kim była.

Nalała szczerze do dwóch szklanek i wzniosła toast.

- Za nasze angielską ekspedycję! - rzekła z błyskiem w oczach. Devlin mógłby jej powiedzieć, że nazywano tak hiszpańską Armadę, ale pamiętając, jak skończyło się to niefortunne przedsięwzięcie, postanowił raz jeszcze powstrzymać się od komentarzy.

- Za naszą angielską ekspedycję - powtórzył uroczyście.

- Dobrze. - Odłożyła szklanę. - Niech mi pan teraz pokaże wszystkie dokumenty. Muszę się upewnić, czy niczego nie brakuje.

Wyjął paszport, zwolnienie z wojska, zaświadczenie wystawione rzekomo przez dawnego dowódcę, podobnej treści list od proboszcza parafii i różne dokumenty dotyczące stanu jego zdrowia.

- Znakomicie - pochwaliła pani Grey. - Te papiery są bardzo dobre. A teraz niech pan posłucha, co dalej. Załatwiłam panu prace u jednego z tutejszych właścicieli ziemskich. To sir Henry Willoughby. Chciał pana poznać zaraz po pańskim przyjeździe, więc załatwimy tę sprawę jeszcze dziś. Jutro rano odstawię pana do Fakenham. To miasto targowe, mniej więcej dziesięć mil stąd.

- Co mam tam robić?

- Zgłosić się na policję. Dostanie pan druczek meldunkowy dla cudzoziemców, który muszą wypełniać wszyscy Irlandczycy. Zażądamy też od pana zdjęcia paszportowego, ale zdobędziemy je bez trudności. Potem będą panu potrzebne karty ubezpieczeniowe, dowód tożsamości, książeczka żywnościowa i kupony na odzież.

Kiedy wyliczała to wszystko na palcach jednej ręki, Devlin uśmiechnął się szeroko.

- Ej, już wystarczy! Zdaje się, że będę miał z tym całe mnóstwo kłopotów. Zostaję tylko trzy tygodnie, do soboty, a potem zniknę stąd tak szybko, jakby mnie w ogóle nie było.

- Trzeba koniecznie załatwić te sprawy - nalegała pani Grey. - Wszyscy to robią i pan też musi. Wystarczy, by jakiś urzędnik w Fakenham albo Kings Lynn zauważył, że czegoś pan nie dopełnił, i wszczął dochodzenie - w jakiej sytuacji się pan wtedy znajdzie?

- W porządku, pani tutaj rządzi - odparł swobodnie Devlin. - A co z tą pracą?

- Będzie pan nadzorcą bagien w Hobs End. Trudno o bardziej odludne miejsce. Jest tam także dom. Nic specjalnego, ale wystarczy.

- A jakie będą moje obowiązki?

- Ma pan pełnić przede wszystkim funkcję leśniczego. Jest tam również system zapór, które trzeba okresowo kontrolować. Dwa lata temu poprzedni nadzorca poszedł do wojska i dotychczas nikt go nie zastąpił. Powinien pan trzymać w ryzach szkodniki. Lisy sieją spustoszenie wśród dzikiego ptactwa.

- I co mam robić? Rzucać w nie kamieniami?

- Nie, sir Henry da panu dubeltówkę.

- To ładnie z jego strony. A co z transportem?

- Zrobiłam, co w mojej mocy. Sir Henry dał się przekonać, że powinien panu przydzielić motocykl. To całkiem uzasadnione, skoro pracuje pan na wsi. Autobusy przestały kursować, więc większość ludzi otrzymuje co miesiąc niewielki przydział benzyny, żeby mogli czasem pozatlatwiać w mieście ważne sprawy.

Na zewnątrz zatrąbił samochód. Pani Grey wyszła do salonu i za moment była z powrotem.

- To sir Henry. Niech się pan nie włącza do rozmowy. Proszę przybrać stosownie służalczą postawę i odpowiadać tylko na pytania. To mu się spodoba. Zaraz go tu przyprowadzę.

Wyszła, a po chwili oczekiwania Devlin usłyszał, jak otwierają się drzwi i pani Grey, udając zdziwioną, wita gościa.

- Jadę właśnie na kolejne zebranie dowództwa w Holt, Joanno - oznajmił sir Henry. - Zastanawiałem się, czy czegoś nie potrzebujesz?

Odpowiedziała o wiele ciszej, więc Devlin nie mógł usłyszeć jej słów. Z kolei sir Henry zniżył głos i rozmawiali tak przez jakiś czas, a potem weszli do kuchni.

Sir Henry był w mundurze podpułkownika Jednostek Obrony Kraju. Baretki odznaczeń, które otrzymał za udział w I wojnie światowej i służbę w Indiach, tworzyły kolorową łatę na piersiach, powyżej lewej kieszeni. Przeniknął Devlina wzrokiem, trzymając jedną rękę za plecami, a drugą gładząc swój sumiasty wąs.

- A więc pan nazywa się Devlin?

Devlin stał przed nim niepewnie, mnąc w rękach tweedową czapkę.

- Chciałbym panu podziękować, sir - odezwał się z przesadnie wyraźnym irlandzkim akcentem. - Pani Grey powiedziała mi, jak wiele panu zawdzięczam. To nadzwyczaj uprzejme.

- Gdzie tam, człowieku - odparł szorstko sir Henry, choć można było zauważyć, że wyprostował się dumnie i stanął w lekkim rozkroku. - Zrobił pan swoje dla starego kraju, prawda? O ile wiem, zdrowo pan oberwał we Francji?

Devlin skwapliwie przytaknął, a sir Henry pochylił się, aby obejrzeć bliznę, którą wyżłobiła mu po lewej stronie czoła kula agenta Irlandzkiego Wydziału Specjalnego.

- O Boże! - powiedział cicho. - Moim zdaniem ma pan cholerne szczęście, że wyszedł pan z tego cało.

- Pomyślałam sobie, że wprowadzę go we wszystko - zaproponowała Joanna Grey. -

Nie masz nic przeciwko temu, Henry? Wiem, że jesteś bardzo zajęty.

- No tak, a zrobiłabyś to, moja droga? - Spojrzał na zegarek. - Za pół godziny powinienem być w Holt.

- Nie ma o czym mówić. Zabiorę go do domku, oprowadzę trochę po moczarach i tak dalej.

- Prawdę mówiąc wiesz pewnie więcej niż ja o tym, co dzieje się w Hobs End. - Zapomniawszy się na moment objął ją w talii, ale szybko cofnął rękę i zwrócił się do Devlina.

- Niech pan nie zapomni zameldować się niezwłocznie na policji w Fakenham. Wie pan wszystko na ten temat?

- Tak, sir.

- Chce mnie pan jeszcze o coś zapytać?

- Co ze strzelbą, sir? - zagadnął Devlin. - O ile wiem, mam trochę polować?

- A, tak. Nie ma problemu. Niech pan wpadnie na farmę jutro po południu, załatwimy to. Może pan też zabrać motocykl. Pani Grey powiedziała już panu o tym, prawda? Proszę pamiętać, że dostanie pan tylko trzy galony benzyny w miesiącu, ale trzeba sobie jakoś radzić. Od wszystkich wymaga się wyrzeczeń. - Znów przyglądał wąs. - Jeden Lancaster, panie Devlin, zużywa dwa tysiące galonów benzyny, żeby dolecieć do zagłębia Ruhry. Wiedział pan o tym?

- Nie, sir.

- No właśnie. Wszyscy musimy być gotowi do poświęceń. - Joanna Grey wzięła go pod ramię.

- Henry, spóźnisz się.

- Tak, rzeczywiście, moja droga. - Skinął głową do Irlandczyka. - No dobrze, panie Devlin. Zobaczymy się jutro po południu.

Devlin przyglądał włosy i zaczekał, aż wyszli przez frontowe drzwi. Dopiero wtedy wszedł do salonu. Patrzył, jak odjeżdża sir Henry, a kiedy Joanna Grey wróciła, zapalał właśnie papierosa.

- Proszę mi coś powiedzieć - odezwał się. - Czy on przyjaźni się z Churchillem?

- O ile wiem, nigdy się nie spotkali. Studley Grange słynie z elżbietańskich ogrodów. Premier wpadł na pomysł, żeby przed powrotem do Londynu spędzić tam w spokoju weekend i namalować jakiś pejzaż. A sir Henry będzie mu nadszakiwał? O tak, już to widzę!

Pani Grey pokręciła głową.

- Sądziłam, że lada chwila zacznie pan wzywać niebiosa. Jest pan złośliwy, panie Devlin.

- Liam - poprawił ją. - Proszę mówić mi po imieniu. To będzie lepiej brzmiało, zwłaszcza jeśli ja będę nadal mówił „pani Grey”. A więc on, mimo swojego wieku, adoruje panią?

- Zdarzają się romanse w jesieni życia.

- Na mój gust on przeżywa już zimę. Z drugiej strony, musi to być cholernie przydatne.

- Powiem więcej, niezbędne - przyznała. - Tak czy inaczej, przynieś torbę, a ja pójdę po samochód i zawiozę cię do Hobs End.

Zimny wiatr przygnał deszcz od morza, a moczary zasnuwała mgła. Kiedy Joanna Grey zatrzymała samochód na podwórku starego domu nadzorcy bagien, Devlin wysiadł i rozejrzał się wokół z zadumą. Było to dziwne, tajemnicze miejsce, którego nastrój sprawiał, że włosy stawały dęba na głowie. Morskie zatoczki i mielizny, wysoki białe trzciny, rozplywające się we mgle, a gdzieś w oddali sporadyczne krzyki ptactwa i uderzenia niewidzialnych skrzydeł.

- Rozumiem teraz, co miała pani na myśli mówiąc, że to odludne miejsce.

Wyjęła klucz spod płaskiego głazu obok frontowych drzwi i otworzyła je, wchodząc na korytarz wyłożony kamiennymi płytami. W powietrzu czuło się wilgoć, a ze ścian odpadała farba. Drzwi po lewej prowadziły do dużej kuchni, połączonej z salonem. Tu także była podłoga z kamiennych płyt, ogromny kominek z odkrytym paleniskiem i maty z sitowia. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowała się żelazna kuchenka i poobijany, stary zlew z pojedynczym kranem. Jedyne meblowanie stanowił duży osnowy stół z dwoma ławami i stary fotel przy kominku.

- Coś pani powiem - oznajmił Devlin. - Wychowałem się w takim właśnie domu w County Down, na północy Irlandii. Żeby to miejsce osuszyć, wystarczy rozpalić solidny ogień.

- Ma jedną wielką zaletę... odosobnienie - powiedziała pani Grey. - Przez cały czas nie spotkasz tu pewnie żywej duszy.

Devlin otworzył torbę i wyjął parę osobistych rzeczy, odzież i trzy czy cztery książki. Potem przesunął palcem po podszewce, żeby znaleźć ukryty zatrask, i odsłonił podwójne dno. W zagłębieniu leżał walther P38, trzyczęściowy sten z tłumikiem oraz kieszonkowy rozmiarów radiotelefon. Było tam również tysiąc funtów w banknotach jednofuntowych i drugie tysiąc w pięciofuntowych. Leżącego w skrytce białego zawiniątka nawet nie rozpakowywał.

- To pieniądze na akcję - wyjaśnił.

- Na zakup samochodów?

- Właśnie. Dostałem adres odpowiednich ludzi.

- Skąd?

- Abwehra ma takie rzeczy w archiwach.

- Gdzie to jest?

- W Birmingham. Myślałem, żeby się tam przejechać w najbliższy weekend. Co powinienem wiedzieć?

Pani Grey siedziała na skraju stołu patrząc, jak przykręca lufę do stena i zakłada łożysko.

- To kawał drogi - stwierdziła. - Jakies trzysta mil w obie strony.

- Oczywiście, na trzech galonach benzyny daleko nie zajadę. Jak to można załatwić?

- Na czarnym rynku jest sporo benzyny. Kosztuje trzy razy więcej. Trzeba tylko wiedzieć, w którym warsztacie się ją kupuje. Komercyjną benzynę barwi się na czerwono, żeby ułatwić policji wykrycie nadużyć, ale można się tego koloru pozbyć, przesączając paliwo przez filtr zwykłej maski gazowej.

Devlin włożył magazynek do stena, sprawdził go, a następnie znów rozebrał broń na części i umieścił na dnie torby.

- Technika to wspinała rzecz - zauważył. - Strzelając z tego na bliską odległość słyszy się tylko trzask rygla. Nawiasem mówiąc, to angielska broń. Alianci naiwnie sądzą, że zrzucili ją dla holenderskiego podziemia. - Wyjął papierosa i włożył do ust. - Co jeszcze powinienem wiedzieć, kiedy wybiorę się w podróż? Co mi grozi?

- Niewiele - odparła pani Grey. - Samochód ma przepisowo zaciemnione światła, nie będzie więc z tym problemu. Drogi, szczególnie poza miastami, są praktycznie puste. Na środku szosy jest na ogół wymalowana biała linia. To pomaga.

- A co z policją czy służbą bezpieczeństwa? Przyglądała mu się obojętnie.

- Och, nie ma się czym przejmować. Wojsko zatrzymałoby cię tylko wtedy, gdybyś próbował wjechać na zamknięty teren. Formalnie biorąc jest tu nadal Strefa Obrony, ale dzisiaj nikt już nie zwraca uwagi na przepisy. Jeśli chodzi o policję, mają prawo cię zatrzymać i wylegitymować albo skontrolować samochód na głównej drodze w ramach kampanii przeciwko marnowaniu benzyny.

Mówiła to niemal z oburzeniem. Pamiętając, jak jest w Niemczech, Devlin czuł nieodpartą pokusę, żeby otworzyć jej nieco oczy. Zapytał jednak tylko:

- Czy to wszystko?

- Tak myślę. Na obszarach zabudowanych szybkość jest ograniczona do dwudziestu

mil na godzinę, no i oczywiście nigdzie nie znajdziesz drogowskazów, ale na początku lata zaczęto już ustawiać na nowo tablice z nazwami miejscowości.

- Jest więc szansa, że obejdzie się bez kłopotów?

- Mnie nikt nie zatrzymuje. Teraz nikogo to już nie obchodzi. - Wzruszyła ramionami.

- Nie ma problemu. W miejscowym ośrodku pomocy społecznej, który prowadzi Żeńska Służba Ochotnicza, mamy wszelkiego rodzaju formularze, jeszcze z czasów, gdy była tu Strefa Obrony. Jeden z nich zezwalał na odwiedzanie krewnych w szpitalu. Wystawię ci takie zaświadczenie. Powiedzmy, że chodzi o brata w szpitalu w Birmingham. To plus twoje zwolnienie z wojska z powodu odniesionych ran powinno zadowolić każdego. W dzisiejszych czasach bohaterowie cieszą się szczególnymi względami.

Devlin szeroko się uśmiechnął.

- Coś pani powiem, pani Grey. Myślę, że razem daleko zajdziemy. - Zaczął szperać w szafce pod zlewem i wrócił z zardzewiałym młotkiem i gwoździem. - Właśnie tego mi trzeba.

- Po co? - zapytała zdziwiona.

Wszedł do środka paleniska i wbił gwoździe z tyłu okopconej belki, na której wspierał się fronton kominka. Następnie zawiesił tam walthera.

- To moja asekuracja. Lubię go mieć pod ręką, tak na wszelki wypadek. A teraz niech mnie pani oprowadzi po gospodarstwie.

Zabudowania były w większości w kiepskim stanie, natomiast stodoła prezentowała się całkiem nieźle. Za nią, na samym skraju bagien, stała jeszcze jedna. Był to zniszczony, bardzo stary budynek, którego mury porastał zielony mech. Devlin z trudem otworzył jedno skrzydło wrót. W środku panował chłód i wilgoć. Najwyraźniej od lat nikt z tej stodoły nie korzystał.

- Jest w sam raz - podsumował Devlin. - Nawet jeśli staruszek Willoughby zechce tu powęszyć, nie przypuszczam, żeby dotarł aż w to miejsce.

- Ma mnóstwo zajęć - wyjaśniła pani Grey. - Sprawy hrabstwa, urząd sędziego, dowodzenie miejscowymi Oddziałami Samoobrony. Ciągłe traktuje to bardzo poważnie. Nie ma zbyt wiele czasu na cokolwiek innego.

- Z jednym wyjątkiem - wtrącił Devlin. - Ten lubieżny dziadyga ma ciągle dość czasu dla pani.

Uśmiechnęła się.

- Tak, to niestety prawda. - Wzięła go pod rękę. - Chodź, pokażę ci miejsce zrzutu.

Poszli przez moczary drogą po grobli. Zaczął padać ulewny deszcz, a wiatr niósł wilgotną woń gnijących roślin. Z mgły wyłonił się klucz dzikich gęsi, jak eskadra

bombowców lecących na akcję, i zaraz zniknął za szarą zasłoną.

Dotarli do sosen, bunkrów, zasypanego piaskiem rowu przeciwczołgowego i ostrzegawczego napisu „Uwaga, miny!”, który Devlin tak dobrze pamiętał z fotografii. Joanna Grey rzuciła kamień w kierunku plaży, a Patch skoczył przez druciane ogrodzenie, by go przynieść.

- Jest pani pewna? - spytał Devlin.

- Całkowicie. - Uśmiechnął się przewrotnie.

- Gdyby coś nie wyszło, niech pani pamięta, że jestem katolikiem.

- Tak jak wszyscy tutaj. Zadbam, żeby cię należycie pochowano. - Przedostał się przez zwoje drutu, zatrzymał na skraju plaży, a potem ruszył przed siebie. Znow przystanął, po czym zaczął biec, zostawiając ślady na piasku, mokrym jeszcze po niedawnym odpływie. Zawrócił, pobiegł z powrotem i ponownie pokonał ogrodzenie.

Było mu tak lekko na duszy, że objął ramieniem panią Grey.

- Miała pani rację, od samego początku. To się uda. Zobaczysz pani. - Spojrzał w morze poprzez zatoczki i ławice piasku, w kierunku ginącego za mgłą półwyspu. - Pięknie tutaj. Pewnie pęka pani serce na myśl, że trzeba będzie to wszystko porzucić.

- Porzucić? - Popatrzyła na niego obojętnie. - O czym ty mówisz?

- Przecież nie może pani tu zostać - stwierdził. - Nie po tym, co się stanie. To chyba oczywiste.

Popatrzyła na półwysep, jakby oglądała go po raz ostatni. To dziwne, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że będzie musiała wyjechać. Zadrżała z zimna, gdy powiał wiatr od morza i zaczęło padać jeszcze intensywniej.

Tego dnia o dziewiętnastej czterdzieści Max Radl, siedząc w swoim gabinecie na Tirpitz Ufer, stwierdził, że ma wszystkiego dość. Od powrotu z Bretanii nie czuł się dobrze, a lekarz, do którego poszedł, był przerażony jego stanem.

- Postępując tak nadal, wykończy się pan, Herr Oberst - stwierdził stanowczo. - Daję panu na to moje słowo.

Radl zapłacił rachunek i odebrał tabletki - trzy różne rodzaje - które, przy odrobinie szczęścia, mogły utrzymać go w formie. Dopóki nie wpadł w ręce wojskowych lekarzy, miał szansę, ale gdyby jeszcze raz to towarzystwo wzięło go w obroty, byłoby po nim. Zanim się zorientuje, wpakują go w cywilne ubranie.

Otworzył szufladę, wyjął buteleczkę z tabletkami i wytrząsnął dwie sztuki do ust. Były to ponoć środki przeciwbólowe, ale dla wszelkiej pewności nalał sobie pół kubka courvoisiera, żeby je popić. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Hofer. Jego opanowana

zwykle twarz wyrażała podniecenie, a oczy błyszczały.

- O co chodzi, Karl? Co się stało? - spytał niespokojnie Radl. Hofer podsunął mu tekst depeszy.

- Właśnie nadeszła, Herr Oberst. Od Szpaka, to znaczy od pani Grey. Dotarł szczęśliwie. Jest teraz u niej.

Radl spojrział na depeszę z pewnym lękiem.

- Mój Boże, Devlin! - wyszeptał. - Dałeś sobie radę. Udało się! Poczuł, że opadło z niego napięcie. Sięgnął do dolnej szuflady i znalazł jeszcze jedną szklanekę.

- Karl, z takiej okazji musimy się napić!

Wstał, pełen dzikiej radości, jakiej nie zaznał od lat, a dokładnie od chwili, gdy ogarnięty niewiarygodnym entuzjazmem nacierał na czele swego oddziału na wybrzeże Francji w lecie 1940 roku.

Podniósł szklanekę i odezwał się do Hofera:

- Wznoszę toast, Karl. Za Liama Devlina i „niech żyje Republika”!

Kiedy Devlin pełnił funkcję oficera sztabowego Brygady Lincoln Waszyngtona w Hiszpanii, uznał motocykl za najbardziej użyteczne narzędzie utrzymania łączności w trudnym, górskim terenie między rozproszonymi oddziałami, którymi dowodził. W Norfolk było zupełnie inaczej, ale jadąc po pustej drodze ze Studley Grange do wioski miał to samo poczucie wolności, urwania się ze smyczy.

Rano bez żadnych trudności otrzymał w Holt prawo jazdy i pozostałe dokumenty. Gdziekolwiek się zjawił, na policji czy na giełdzie pracy, historyjka o byłym piechurze, zwolnionym z wojska ze względu na odniesione rany, działała jak zaklęcie. Różni urzędnicy rzeczywiście wychodzili ze skóry, żeby pozabawić jego sprawy. Było tak, jak mówiono. Podczas wojny wszyscy kochali żołnierzy, a tym bardziej rannych bohaterów.

Motocykl - maszyna typu BSA o pojemności 350 cm³ - był, oczywiście, przedwojenny i pamiętał lepsze czasy. Ale kiedy Devlin zaryzykował i na pierwszej prostej mocno dodał gazu, strzałka szybkościomierza bez trudu skoczyła na sześćdziesiątkę. Zwolnił szybko, przekonawszy się, na co w razie potrzeby może liczyć. Po co miał pakować się w kłopoty? W Studley Constable nie było posterunkowego, ale Joanna Grey ostrzegła go, że pojawia się tam czasem na motocyklu policjant z Holt.

Zjechał do wioski po stromym zboczu wzgórza, mijając stary młyn z kołem wodnym, które jakby wcale się nie obracało. Zwolnił na widok dziewczyny, wiozącej trzy bańki na mleko dwukółką zaprzęzoną w kucyka. Miała na sobie niebieski beret i bardzo stary trenz z czasów I wojny, co najmniej o dwa numery za duży. Zauważył wystające kości policzkowe,

duże oczy i o wiele za szerokie usta. Z dziurawych wełnianych rękawiczek wychodziły jej trzy palce.

- Dzień dobry, panienko - zawołał wesoło, czekając, aż przejedzie przez most. - Niech Bóg wynagrodzi twój trud.

Otworzyła lekko usta, a oczy rozszerzyły się jej ze zdziwienia. Wyglądało, jakby zaniemówiła. Młasnęła tylko językiem, ponaglając kucyka, aby zjechał z mostu i ruszył kłusem na wzgórze za kościołem.

- Cudownie brzydka pastereczko - wyrecytował cicho. - Znów w głowie zawróciłaś mi... - Uśmiechnął się szeroko. - No nie, Liam. Tylko nie to, mój drogi. Nie teraz.

Obrócił motocykl w stronę Studley Arms i nagle zauważył, że z okna ktoś go obserwuje. Był to potężny mężczyzna około trzydziestki, ze zmierzwioną czarną brodą. Miał na sobie czapkę z tweedu i stary dwurzędowy płaszcz.

„Co ja ci takiego zrobiłem, synu?” - pomyślał Devlin. Mężczyzna powiódł wzrokiem za dziewczyną i dwukółką, która pięła się właśnie pod górę obok kościoła, a po chwili patrzył znów na niego. Tego było już za wiele. Devlin postawił motocykl na nóżkach, zdjął dubeltówkę, którą miał zawieszoną na szyi w brezentowym pokrowcu, wcisnął ją pod pachę i wszedł do budynku.

Wewnątrz nie było baru, tylko wygodne, przestronne pomieszczenie, a w nim sufit z nisko zawieszonymi belkami, kilka ław o wysokich oparciach i dwa drewniane stoły. W otwartym palenisku płonęły jasno polana.

W sali były tylko trzy osoby: mężczyzna, który siedział przy kominku i grał na organkach, brodacz stojący koło okna i niski, krępy człowiek w samej koszuli, który mógł mieć dwadzieścia kilka lat, bliżej trzydziestu.

- Niech was Bóg błogosławi - odezwał się Devlin, odgrywając stuprocentowego Irlandczyka.

Położył na stole dubeltówkę w brezentowym pokrowcu. Człowiek w koszuli uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Jestem George Wilde, właściciel gospody. A pan jest pewnie nowym nadzorcą bagien u sir Henry'ego? Słyszeliśmy o panu wszystko.

- Co, tak szybko? - zdziwił się Devlin.

- Wie pan, jak to jest na wsi.

- Czy aby na pewno? - odezwał się opryskliwie olbrzym stojący pod oknem.

- O tak, pochodzę z chłopskiej rodziny - odparł Devlin.

Wilde wydawał się zakłopotany, ale próbował przedstawić swych znajomych.

- To Arthur Seymour, a ten stary satyr przy kominku nazywa się Laker Armsby.

Jak Devlin dowiedział się później, Laker miał pod pięćdziesiątkę, ale wyglądał na więcej. Chodził w strasznych łachmanach, podartej czapce z tweedu, w płaszczu przewiązanym sznurkiem, z zaschniętym błotem na spodniach i butach.

- Zechcecie panowie napić się ze mną?- zaproponował Devlin.

- Nie odmówię - odezwał się Laker Armsby. - Pół kwarty ciemnego piwa dobrze mi zrobi.

Seymour opróżnił swoją flaszkę i rąbnął nią o stół.

- Ja sam płacę. - Podniósł dubeltówkę i ważył ją w ręce. - Dziedzic dba o pana, co? Broń i motocykl... Ciekawe, dlaczego obcy na to zasługuje, skoro niektórzy z nas pracują w majątku od lat i ciągle mają dużo mniej.

- Pewnie jestem po prostu przystojny - stwierdził Devlin.

Oczy Seymoura zapłonęły wściekłością. Wyzierała z nich dzika furia. Chwyił Devlina za poły płaszcza i przyciągnął do siebie.

- Nie naśmiewaj się ze mnie, chłoptasiu. Nigdy tego nie rób, bo rozdepczę cię jak robaka!

- Przestań, Arthur! - powiedział Wilde, chwytając Seymoura za ramię, lecz ten go odepchnął.

- Trzymaj się z daleka i pilnuj swego nosa, to może będziemy żyć w zgodzie. Zrozumiano?

Devlin uśmiechnął się niepewnie.

- Jasne, i przepraszam, jeśli pana uraziłem.

- Tak już lepiej. - Seymour rozluźnił uścisk i poklepał go po policzku. - O wiele lepiej. Tylko na przyszłość pamiętaj o jednym: kiedy ja się zjawiam, ty znikasz.

Wyszedł, a drzwi zamknęły się za nim z hałasem. Laker Armsby zarechotał przesadnie głośno.

- Ależ łajdak z tego Arthura!

George Wilde zniknął na zapleczu i wrócił po chwili z butelką szkockiej i szklankami.

- Trudno o ten towar w dzisiejszych czasach, ale chyba jestem panu winien kolejkę, panie Devlin.

- Liam. - poprawił go. - Mam na imię Liam. Czy on zawsze tak się zachowuje? - spytał, biorąc szklankę whisky.

- Odkąd go znam.

- Kiedy wchodziłem, przejeżdżała tędy dziewczyna na dwukółce z kucykiem. Czy

interesuje się nią jakoś specjalnie?

- Wydaje mu się, że ma u niej szansę - zaśmiał się w kułak Laker Armsby. - Ale nie nie wskóra.

- To Molly Prior - wyjaśnił Wilde. - Mieszka z matką na farmie o parę mil od Hobs End. Gospodarują tam we dwie, odkąd w zeszłym roku umarł jej ojciec. Laker służy im czasem pomocą, kiedy nie ma nic do roboty w kościele.

- Seymour też im trochę pomaga. Przy cięższych pracach.

- I pewnie mu się zdaje, że jest tam gospodarzem? Czemu nie poszedł do wojska?

- To jeszcze jedna drażliwa sprawa. Odrzucili go, bo ma uszkodzone bębniaki w uszach.

- Zapewne odebrał to jako obrazę swej wspaniałej męskości? - stwierdził zgryźliwie Devlin.

Wilde odezwał się zakłopotany, jakby poczuł, że powinien się usprawiedliwić.

- Ja też byłem ranny. W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku pod Narvikiem, kiedy służyłem w Królewskiej Artylerii. Straciłem rzepekę w prawym kolanie, więc wojna szybko się dla mnie skończyła. A tobie, o ile wiem, przydarzyło się to we Francji?

- Tak - odparł spokojnie Devlin. - Pod Arras. Wywieźli mnie przez Dunkierkę na noszach. Nie wiedziałem nawet, co się dzieje.

- A później ponad rok w szpitalach, jak słyszałem od pani Grey? - Devlin skinął głową.

- To wspaniała kobieta. Jestem jej bardzo wdzięczny. Przed laty jej mąż był znajomym mojej rodziny. Gdyby nie ona, nie dostałbym tej pracy.

- To dama - oznajmił Wilde. - Prawdziwa dama. Jest najbardziej lubianą osobą w całej okolicy.

- Jeśli chodzi o mnie - odezwał się Laker Armsby - pierwszy raz oberwałem nad Sommą w tysiąc dziewięćset szesnastym. Służyłem w Gwardii Walijskiej.

- O, nie! - Devlin wyjął z kieszeni szylinga, rzucił go na stół i mrugnął do Wilde'a. - Niech pan mu należe pół kwarty, ale ja się zmywam. Mam coś do załatwienia.

Po dotarciu do drogi, biegnącej wzdłuż morza, Devlin skręcił w pierwszą ścieżkę na grobli, jaką napotkał na północnym krańcu moczarów Hobs End, i pojechał w kierunku sosen. Był rześki, jesienny dzień, chłodny, lecz napawający otuchą. Białe chmury ścigały się po błękitnym niebie. Dodał gazu i popędził po wąskiej ścieżce na grobli. Było to cholernie ryzykowne - jeden niewłaściwy ruch i wylądowałby w bagnie. Właściwie postępował głupio, ale taki ogarnął go nastrój, a poczucie wolności upajało.

Przyhamował, żeby skręcić w następną ścieżkę, i przejeżdżał właśnie przez cały system grobli, kierując się w stronę wybrzeża, gdy z trzciny po prawej, w odległości trzydziestu czy czterdziestu jardów, wyłoniła się nagle postać na koniu. Była to Molly Prior, którą widział we wsi w dwukółce z kucykiem. Koń wspiał się na groblę, a kiedy Devlin zwolnił, dziewczyna pochyliła się nisko, zmuszając wierzchowca do galopu po równoległej ścieżce.

Devlin natychmiast zareagował. Dodał gazu i ruszył ostro naprzód. Błoto spod kół maszyny bryznęło w moczary. Dziewczyna miała tę przewagę, że znajdowała się na grobli prowadzącej wprost do sosen, gdy tymczasem Devlin musiał pokonać cały labirynt ścieżek i nie mógł jej doścignąć.

Była już blisko drzew i kiedy Devlin wyprowadził maszynę ślizgiem z kolejnej grobli i znalazł się wreszcie na prostej, skierowała wierzchowca w moczary skrótem przez trzciny. Koń zachowywał się posłusznie i w parę chwil później wyskoczył z wody i zniknął wśród sosen.

Devlin rozpędził motocykl na ścieżce, wjechał z dużą szybkością na najbliższą wydmę, przeleciał parę metrów w powietrzu, po czym wylądował w miękkim, białym piasku i, podparty kolanem, ześlizgnął się po zboczu.

Molly Prior siedziała pod sosną i gapiła się w morze, opierając brodę o kolana. Ubrana była dokładnie tak jak wtedy, gdy widział ją poprzednio, tyle tylko, że zdjęła beret, odsłaniając krótko ścięte, rudawe włosy. Koń skubał kępkę trawy, która wyrosła na piasku.

Devlin postawił motocykl na nóżkach i usiadł obok niej.

- Ładny mamy dzień, Bogu dzięki. - Odwróciła się i spytała spokojnie:

- Co pana zatrzymało?

Devlin zdjął czapkę, żeby otrzeć pot z czoła, i spojrzał na nią zdumiony:

- Co mnie zatrzymało?... Ty, mała...

W tym momencie dziewczyna uśmiechnęła się. Mało tego, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, a Devlin razem z nią.

- Na Boga, nie zapomnę cię aż do dnia sądu ostatecznego, to więcej niż pewne.

- A cóż to ma niby znaczyć? - Mówiła z wyraźnym, silnym akcentem hrabstwa Norfolk, który wciąż brzmiał dla niego tak obco.

- O, to powiedzonko z moich rodzinnych stron. - Wydobył paczkę papierosów i włożył jednego do ust. - Palisz?

- Nie.

- Tym lepiej dla ciebie. Palenie hamuje wzrost, a ty masz jeszcze młodość przed sobą.

- Mam siedemnaście lat, jeśli chce pan wiedzieć - oznajmiła. - W lutym skończę osiemnaście.

Devlin przytknął zapałkę do papierosa i ułożył się na ziemi z rękami pod głową i czapką nasuniętą na oczy.

- Którego lutego? - spytał.

- Dwudziestego drugiego.

- A, więc jesteś małą rybką, co? To data spod znaku Ryb. Powinniśmy nieźle się rozumieć, bo ja jestem Skorpion. Nawiasem mówiąc musisz uważać, żeby nie wyjść za Pannę. Panny i Ryby nie są w stanie żyć w zgodzie. Weźmy Arthura. Mam nieodparte wrażenie, że jest spod znaku Panny. Na twoim miejscu byłbym ostrożny.

- Arthur? - powiedziała zdziwiona. - Chodzi panu o Arthura Seymoura? Czy pan oszalał?

- Ja nie, ale on chyba tak - odparł Devlin i ciągnął dalej: - Niewinna, czysta, cnotliwa i niezbyt namiętna. Z mojego punktu widzenia wypada żałować, że taka jesteś.

Kiedy obróciła się, żeby spojrzeć na niego z góry, poły starego płaszcza rozchyliły się. Jej pełne i jędrne piersi mieściły się z trudem w bawełnianej bluzce, którą miała na sobie.

- Oj, dziewczyno, jeżeli nie będziesz przestrzegać diety, za rok albo dwa czekają cię spore problemy z wagą.

Oczy jej zabłyśły, zerknęła w dół i instynktownie naciągnęła płaszcza.

- Świnia! - powiedziała, przeciągając jakby to słowo.

A potem spostrzegła, że Devlinowi drgają kąciki ust i schyliła się, żeby zajrzeć pod czapkę.

- Coś takiego, pan się ze mnie śmieje! - krzyknęła, zrywając mu czapkę i rzucając ją na bok.

- A cóż innego mógłbym z tobą robić, Molly Prior? - Zasłonił się ręką. - Nie, nie odpowiadaj!

Usiadła pod drzewem, trzymając ręce w kieszeniach.

- Skąd pan wie, jak się nazywam?

- George Wilde powiedział mi to w gospodzie.

- A, rozumiem. Czy Arthur też tam był?

- Można tak powiedzieć. Odnoszę wrażenie, że traktuje cię jak własność.

- Niech go diabli wezmą! - odparła, unosząc się gniewem. - Nie należę do żadnego mężczyzny!

Devlin leżał na ziemi, a z kącika ust zwisał mu papieros. Spojrzał na nią i uśmiechnął

się.

- Czy ktoś ci już powiedział, że masz zadarty nos? A kiedy się złościsz, usta układają ci się w podkówkę.

Posunął się za daleko, dotykając jakiegoś czulego punktu. Molly zarumieniła się i powiedziała z wyrzutem:

- Wiem, że jestem brzydka, panie Devlin. Zbyt często zdarzało mi się na zabawie w Holt przesiedzieć cały wieczór, bo nikt nie poprosił mnie do tańca, więc wiem, czego się spodziewać. Ale w deszczowy, sobotni wieczór nie wyrzuciłby mnie pan za drzwi, prawda? Tacy są mężczyźni. Lepsze coś niż nic.

Kiedy zaczęła się podnosić, Devlin chwycił ją za kostkę i przewrócił. Opierała się, więc przycisnął ją mocno do ziemi.

- Skąd wiesz, jak się nazywam?

- Niech pan sobie za dużo nie wyobraża. Wszyscy tu pana znają. I wiedzą to, co trzeba.

- Coś ci powiem. - Podniósł się na łokciu i pochylił nad nią. - Nie wiesz o mnie tego, co najważniejsze. Gdybyś mnie znała, wiedziałabyś, że wolę pogodne jesienne popołudnia pod sosnami od deszczowych sobotnich wieczorów. Szkoda tylko, że piasek zawsze wsypuje się tam, gdzie nie powinien. - Molly znieruchomiała. Pocałował ją w usta i odsunął się. - A teraz odejdz stąd, do cholery, bo poniesie mnie szalona namiętność.

Molly złapała beret, zerwała się na nogi i chwyciła konia za uzdę. Odwróciła się z powagą na twarzy, by popatrzeć na Devlina. Gdy jednak wdrapała się na siodło i spiąwszy wierzchowca raz jeszcze spojrzała za siebie, była już uśmiechnięta.

- Słyszałam, że wszyscy Irlandczycy to wariaci. Teraz w to wierzę. W niedzielę wieczorem będę na mszy. Przyjdzie pan?

- Czy na to wyglądam?

Koń przestępował z nogi na nogę, zataczając półkole, trzymała go jednak mocno.

- Tak - odparła z powagą w głosie. - Myślę, że pan na to wygląda. - Popuściła koniowi cugli i ruszyła galopem przed siebie.

- Liam, ty idioto! - mruknął cicho Devlin, ściągając motocykl z nówek, a potem wypychając go w kierunku ścieżki, przez wydmy i między drzewami. - Nigdy niczego się nie nauczysz?

Pojechał z powrotem po głównej grobli, tym razem zachowując rozwagę, i wprowadził motocykl do stodoły. Znalazłszy klucz pod kamieniem obok wejścia, tam gdzie go położył, otworzył sobie drzwi. Postawił dubeltówkę na stojaku w korytarzu, a gdy

rozpinając płaszcz wszedł do kuchni, stanął nagle jak wryty. Na stole zobaczył dzbanek mleka i kilkanaście brązowych jajek w białej misce.

- Najświętsza panienko! - powiedział półgłosem. - Widział kto coś podobnego?

Dotknął ostrożnie miski jednym palcem, ale kiedy odwrócił się w końcu, by zdjąć płaszcz, nie miał wesołej miny.

Rozdział VIII

Po Birmingham hulał zimny wiatr, zacinając deszczem w okno mieszkania Bena Garvalda nad warsztatem w Saltley. W jedwabnym szlafroku, z szalikiem wokół szyi i przyczesanymi starannie ciemnymi, kędzierzawymi włosami, Garvald wyglądał doprawdy imponująco. Złamany nos dodawał mu jakiejś pompatycznej powagi. Przy bliższym kontakcie traciło się jednak to pochlebne wrażenie, gdyż na mięsistym, aroganckim obliczu dały się wyraźnie zauważyć ślady hulaszczego życia.

Ale tego ranka miał większy problem i był wściekły na cały świat. Poprzedniej nocy, o jedenastej trzydzieści, policja miasta Birmingham naraziła go na straty, plądrując niewielkie nielegalne kasyno w budynku na szacownej z pozoru ulicy w Aston. Garvaldowi nie groziło aresztowanie - za to dostawał w końcu pieniądze fikcyjny właściciel. Zajmą się nim później. O wiele poważniejszą sprawą było trzy i pół tysiąca funtów, które skonfiskowała policja ze stolików do gry.

Otworzyły się kuchenne drzwi i weszła dziewczyna w wieku siedemnastu - osiemnastu lat. Miała na sobie różowy, koronkowy peniuar. Jej tlenione blond włosy były rozczochrane, twarz pełna krost, a oczy zapuchnięte od płaczu.

- Potrzebuje pan czegoś jeszcze, panie Garvald? - zapytała niskim głosem.

- Czegoś jeszcze? - oburzył się. - A to dobre! To doprawdy wyśmienite, wzięwszy pod uwagę, że jeszcze niczego, do cholery, od ciebie nie dostałem!

Mówił nie odwracając się do niej. Zainteresował go człowiek na motocyklu, który wjechał właśnie na podwórko i stanął obok jednej z ciężarówek.

Dziewczyna, która poprzedniej nocy nie była w stanie sprostać niektórym dość wyrafinowanym wymaganiom Garvalda, powiedziała ze łzami w oczach:

- Przykro mi, panie Garvald.

Człowiek na dole przeszedł przez podwórko i gdzieś zniknął. Garvald odwrócił się i powiedział do dziewczyny:

- Wyjdź stąd, ubierz się i zjeżdżaj!

Była śmiertelnie przerażona. Trzęsa się ze strachu i wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Ogarnęło go upojne, ekstatyczne poczucie władzy. Chwycił ją za włosy i brutalnie pociągnął.

- I naucz się robić to, co ci każą. Zrozumiano?

Kiedy dziewczyna zmykała, otworzyły się drzwi i wszedł Reuben Garvald, młodszy

brat Bena. Był drobny i wyglądał na schorowanego. Jedno ramię miał nieco wyższe, ale spozierające z bladej twarzy czarne oczy poruszały się nieustannie i zauważały wszystko.

Popatrzył z dezaprobatą na dziewczynę, która zniknęła w drzwiach sypialni.

- Nie powinieneś tego robić, Ben. Nie z taką szmatą jak ona. Jeszcze coś złapiesz.

- Po to wynaleziono penicylinę - stwierdził Garvald. - Czego właściwie chcesz?

- Jakiś typ chce się z tobą widzieć. Przyjechał właśnie na motorze.

- Zauważyłem. O co mu chodzi?

- Nie chciał powiedzieć. To jakiś irlandzki cwaniak. - Reuben trzymał w ręce połówkę pięćofuntowego banknotu. - Powiedział, żebym ci to dał. Mówi, że dostaniesz drugą połowę, jeżeli go przyjmiesz.

Garvald roześmiał się zupełnie szczerze i wyrwał bratu z ręki przedarty banknot.

- To mi się podoba. Tak, zdecydowanie mi odpowiada. - Podeszedł do okna i obejrzał banknot pod światło. - Wygląda na koszerny. - Odwrócił się, szczerząc zęby. - Ciekaw jestem, Reuben, czy ma tego więcej? Przekonajmy się.

Reuben opuścił pokój, a Garvald w wyśmienitym nastroju podeszedł do kredensu i nalał sobie szklaneczkę szkockiej. Mogło się okazać, że ranek nie będzie zupełnie zmarnowany. Być może nawet wyjdzie z tego niezła zabawa. Usadowił się wygodnie w klubowym fotelu pod oknem.

Otworzyły się drzwi i Reuben wprowadził do pokoju Devlina. Był przemoczony do suchej nitki. Płaszcz przesiąkł mu wodą. Zdjął tweedową czapkę i wykręcił ją do pełnej cebulek wazy z chińskiej porcelany.

- Patrz pan tylko - odezwał się.

- No dobra - odparł Garvald. - Wiem, że wy, cholerni Irlandczycy, jesteście stuknięci. Nie musi mi pan tego przypominać. Jak pańskie nazwisko?

- Murphy, panie Garvald - przedstawił się Devlin. - Czyli pyra.

- W to jestem skłonny uwierzyć - stwierdził Garvald. - Proszę zdjąć płaszcz, na miłość boską. Zrujnuje mi pan ten cholerny dywan. To najprawdziwszy axminster. W dzisiejszych czasach zdobycie takiego kosztuje majątek.

Devlin ściągnął ociekający wodą trencz i podał go Reubenowi. Ten był wyraźnie wściekły, ale mimo wszystko wziął od niego płaszcz i ułożył na krześle pod oknem.

- No dobrze, kochasiu - zagaił Garvald. - Nie mam za wiele czasu, więc przejdźmy do rzeczy.

Devlin wytarł dłonie o marynarkę i wyjął paczkę papierosów.

- Podobno robi pan w transporcie - powiedział. - Między innymi.

- Skąd pan to wie?

- Słyszysz się od ludzi.

- No i?

- Potrzebna mi ciężarówka. Trzytonowy wojskowy Bedford.

- Tylko tyle? - Garvald nadal się uśmiechał, ale jego oczy stały się czujne.

- Nie. Potrzebuję jeszcze dzipa, kompresor ze sprzętem do rozpylania i dwa galony farby w kolorze khaki. Oba wozy muszą mieć wojskowe rejestracje.

Garvald głośno się roześmiał.

- Co pan zamierza, utworzyć na własną rękę drugi front, czy coś w tym rodzaju?

Devlin wyjął z wewnętrznej kieszeni na piersiach dużą kopertę i pokazał mu ją.

- W środku jest pięćset funtów gotówką, żeby pan wiedział, że nie marnuję pańskiego czasu.

Garvald skinął głową na brata, który odebrał kopertę, i otworzywszy ją sprawdził zawartość.

- Mówi prawdę, Ben. Same nowe piątki.

Podsunał pieniądze Garvaldowi, który zważył je w ręce, a potem rzucił na stojący przed nim stolik do kawy i usiadł wygodnie.

- Dobrze, pogadajmy. Dla kogo pan pracuje?

- Dla siebie - odparł Devlin.

Garvald nie wierzył mu ani przez chwilę i okazał to, ale nie wdawał się w dyskusję.

- Musi pan mieć na oku jakiś niezły interes, skoro zadaje pan sobie tyle trudu. Może przydałaby się panu pomoc?

- Powiedziałem już, co jest mi potrzebne, panie Garvald - oświadczył Devlin. - Trzytonowy Bedford, dzip, kompresor i dwa galony farby w kolorze khaki. Jeśli nie potrafi mi pan pomóc, zawsze mogę spróbować gdzie indziej.

- Kim ty jesteś, do cholery? - odezwał się ze złością Reuben. - Dostać się tutaj to jedno. Ale nie zawsze łatwo się wychodzi.

- Doprawdy? - zapytał Devlin.

Twarz miał trupio bladą, a kiedy odwrócił się w stronę Reubena, jego niebieskie oczy, chłodne i bez wyrazu, zdawały się utkwione w jakiś odległy punkt w przestrzeni.

Sięgnął po plik banknotów, trzymając lewą dłoń w kieszeni na kolbie walthera. Garvald położył rękę na pieniądzach.

- To będzie pana kosztowało - powiedział cicho. - Okrągłą, ładną sumkę. Powiedzmy, dwa tysiące funciaków.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Devlin rzekł z uśmiechem:

- Założę się, że w młodości ta lewa ręka dobrze panu służyła.

- Nadal służy, chłopcze - Garvald zacisnął pięść. - Jest najlepsza w branży.

- W porządku - skwitował Devlin. - Niech pan dołoży pięćdziesiąt galonów benzyny w wojskowych kanistrach i ubijamy interes.

Garvald wyciągnął rękę.

- Załatwione. Musimy to oblać. Co pan lubi?

- Irlandzką whisky, jeśli pan ma. Najchętniej Bushmills.

- Mam wszystko, chłopcze. Czego dusza zapagnie. - Strzelił palcami. - Reuben, szklaneczkę Bushmills dla naszego przyjaciela. - Reuben zawahał się. Twarz miał zaciętą i złą. - Powiedziałem Bushmills, Reuben - powtórzył Garvald z groźbą w głosie.

Jego brat podszedł do kredensu i otworzył go. Devlin ujrzał dziesiątki butelek.

- Dogadza pan sobie - zauważył.

- Tak trzeba. - Garvald wziął cygaro z pudełka na stoliku do kawy. - Odbierze pan towar w Birmingham czy gdzie indziej?

- Wolałbym gdzieś koło Peterborough, na drodze A 1 - odparł Devlin.

Reuben podał mu szklanę.

- Cholernie wybredny, co?

- Nie, wszystko w porządku - przerwał mu Garvald. - Wie pan, gdzie jest Norman Cross? To jakieś pięć mil za Peterborough, przy drodze A 1. O dwie mile dalej znajduje się warsztat Fogarty'ego. Teraz jest nieczynny.

- Znajdę go - odpowiedział Devlin.

- Kiedy chce pan mieć dostawę?

- W czwartek dwudziestego ósmego i w piątek, dwudziestego dziewiątego. W pierwszy wieczór odbiorę ciężarówkę, kompresor i kanistry, a w następny dzia.

Garvald okazał lekkie zdziwienie.

- Czy to znaczy, że sam pan wszystko organizuje?

- Właśnie.

- No dobrze. O jakiej porze chce pan to mieć?

- Po zapadnięciu zmroku. Powiedzmy dziewiąta, dziewiąta trzydzieści.

- A forsa?

- Zatrzyma pan pięćset funtów a konto. Dołożę siedemset pięćdziesiąt, kiedy dostanę ciężarówkę, i tyle samo za dzia. Muszę mieć w obu wozach listy przewozowe.

- To prosta sprawa - stwierdził Garvald. - Ale trzeba tam wpisać cel dostawy i miejsce

przeznaczenia.

- Sam się tym zajmę, kiedy będę je miał. - Garvald pokiwał głową z namysłem.

- Niech tak będzie. A więc interes ubity. Może jeszcze po jednym?

- Nie, dziękuję - odmówił Devlin. - Muszę pojechać w parę miejsc. Założył mokry trencz i szybko pozapinał guziki. Garvald podniósł się, podszedł do kredensu i wrócił z dopiero co otwartą butelką Bushmills.

- Niech pan to weźmie jako dowód mojej dobrej woli.

- Ani przez chwilę w nią nie wątpiłem - oznajmił Devlin. - Mimo wszystko, dzięki. W zamian mały drobiazg. - Wyjął z kieszeni na piersiach drugą połowę pięćofuntowego banknotu. - To chyba pański.

Garvald wziął banknot i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ma pan piekielny tupet, Murphy, wie pan o tym?

- Już mi to mówiono.

- No dobrze, dwudziestego ósmego spotykamy się w Norman Cross. Odprowadź pana, Reuben. I zachowuj się, jak należy.

Reuben z ponurą miną ruszył do drzwi, otworzył je i wyszedł. Devlin podążył za nim, ale odwrócił się i powiedział do siedzącego już Garvalda.

- Jeszcze jedno, panie Garvald.

- Co takiego?

- Ja dotrzymuję słowa.

- Dobrze wiedzieć.

- Niech pan się też o to postara.

Na jego twarzy nie było już uśmiechu. Spojrzał na Garvalda z posępną miną, wymownie mierząc go wzrokiem, po czym odwrócił się i wyszedł.

Garvald wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie następną szklaneczkę szkockiej, a potem zbliżył się do okna i wyjrzał na podwórze. Devlin ściągnął motocykl z nóżek i zapuścił silnik. Drzwi do pokoju otworzyły się i wszedł Reuben. Odzyskał już całą energię.

- Co w ciebie wstąpiło, Ben? Nic nie rozumiem! Ten Irlandczyk dopiero co wylazł z bagien, ma jeszcze błoto na butach, a ty dajesz mu wchodzić sobie na głowę! Nikomu dotąd nie pozwalałeś na taką impertynencję.

Garvald obserwował, jak Devlin skręca na główną drogę w ulewnym deszczu.

- On coś sobie upatrzył, Reuben - powiedział cicho. - Jakiś smakowity kąsek, mój chłopcze.

- Ale na co mu wojskowe samochody?

- Jest wiele możliwości. Właściwie to może być cokolwiek. Na przykład ten wypadek w Shropshire parę tygodni temu. Jakiś facet przebrany za żołnierza wjeżdża wojskową ciężarówką do wielkiego magazynu Instytutu Sił Zbrojnych i wywozi ładunek szkockiej whisky wartości trzydziestu tysięcy funtów. Wyobraź sobie, ile taki towar byłby wart na czarnym rynku.

- Myślisz, że on szuka czegoś podobnego?

- Na pewno - stwierdził Garvald. - I cokolwiek to jest, przystępuję do spółki, nie pytając go o zdanie. - Pokręcił głową ze zdumieniem. - Wiesz, Reuben, że on mi groził? Mnie! Chyba mu tego nie darujemy, co?

Gdy Koenig skierował łódź torpedową w stronę nisko zarysowanej linii brzegu, zaczynało się już ściemniać, choć było dopiero wczesne popołudnie. Za nimi wisiały na niebie burzowe chmury, czarne, nabrzmiałe, otoczone różową poświatą.

- Znosi się na potężny sztorm, Herr Leutnant - oznajmił Muller, pochylony nad stołem z mapą.

Koenig wyjrzał przez okno.

- Nie zacznie się wcześniej niż za kwadrans. Będziemy już bezpieczni.

Rozległ się złowieszczy grzmot, niebo pociemniało, a załoga, oczekująca na pokładzie, aż ukażą się zarysy docelowej przystani, była dziwnie milcząca.

- Nie mam im tego za złe - stwierdził Koenig. - Cóż to za przeklęte miejsce w porównaniu z St. Helier!

Za linią wydm teren był równinny i pusty, nieustannie omiatany wiatrem. W oddali widać było farmę i hangary lotniska, których czarne sylwetki rysowały się na jasnym tle horyzontu. Wiatr marszczył wodę i Koenig zmniejszył szybkość, gdy zbliżyli się do zatoczki.

- Zastąp mnie teraz, Erich.

Muller przejął ster. Koenig włożył stary pilocki płaszcz, wyszedł na pokład i stojąc przy relingu palił papierosa. Czuł się dziwnie przygnębiony. Już sama podróż była ciężka, a w pewnym sensie jego problemy dopiero się zaczynały. Chodziło, na przykład, o ludzi, z którymi przyjdzie mu pracować. Miało to podstawowe znaczenie. W przeszłości miał już w podobnych okolicznościach przykre doświadczenia.

Niebo jakby się nagle otworzyło i zaczął padać ulewny deszcz. Kiedy przybyli do betonowego nabrzeża, na drodze między wydmami ukazał się gazik. Muller wyłączył silniki i wychylając się przez okno wydawał głośno komendy. Podczas gdy załoga uwijała się, żeby rzucić linę na brzeg, samochód wjechał na molo i stanął. Steiner i Ritter Neumann wysiedli i podeszli do nabrzeża.

- Cześć, Koenig, a więc udało się - oznajmił wesoło Steiner. - Witamy w Landsvoort.

Koenig, który wspinał się właśnie po drabince, był tak zaskoczony, że źle postawił stopę i o mało nie spadł do wody.

- To pan, Herr Oberst? - Po chwili, pojmując nagle sytuację, wybuchnął śmiechem. - A ja się tu zamartwiam, z kim będę musiał pracować!

Wspiął się po drabince i uściśnął Steinerowi rękę.

Było wpół do piątej, kiedy Devlin przejechał przez wieś, mijając Studley Arms. Za mostem usłyszał dźwięk organów. Nie zapadł jeszcze zmrok i światła w oknach kościoła były ledwo widoczne. Joanna Grey powiedziała mu, że wieczorną mszę odprawiano po południu, żeby uniknąć problemów z zaciemnieniem. Wjeżdżając na wzgórze przypomniał sobie słowa Molly Prior. Uśmiechnął się i zatrzymał motocykl koło kościoła. Wiedział, że Molly jest w środku, gdyż zobaczył zaprzęzonego do dwukółki kucyka, który stał cierpliwie, trzymając pysk w worku z pożywieniem. Obok zaparkowane były dwa samochody, ciężarówka bez skrzyni i kilka rowerów.

Kiedy Devlin otworzył drzwi, ojciec Yereker przechodził właśnie przez kościół w towarzystwie trzech chłopców w szkarłatnych sutannach i białych komzach. Jeden z nich niośł wiaderko ze święconą wodą, a Yereker pokrapiał po drodze głowy wiernych, oczyszczając ich z grzechu. - Asperges me - zaintonował. Devlin przemknął wzdłuż nawy po prawej stronie i znalazł miejsce w ławce.

We mszy uczestniczyło najwyżej siedemnastu czy osiemnastu parafian, między innymi sir Henry, kobieta, będąca zapewne jego żoną, i młoda, ciemnowłosa dziewczyna w wieku około dwudziestu lat, która siedziała obok nich, ubrana w mundur Żeńskiej Jednostki Pomocniczej Sił Powietrznych. Musiała to być Pamela Yereker. George Wilde zjawił się w towarzystwie żony, a tuż obok siedział Laker Armsby, wyszorowany, ubrany w białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i staromodny, czarny garnitur.

Molly Prior siedziała po drugiej stronie z matką, sympatyczną kobietą w średnim wieku o miłej twarzy. Molly miała na sobie przystrojony jakimś sztucznymi kwiatami słomkowy kapelusz, którego rondo opadało jej lekko na oczy, oraz kwiecistą, bawełnianą sukienkę, ciasno opiętą u góry i dość krótką u dołu. Starannie złożony płaszcz leżał na ławce.

„Założę się, że nosi tę sukienkę już co najmniej trzy lata” - pomyślał Devlin. W tym momencie obejrzała się nagle i zauważyła go. Nie uśmiechnęła się. Popatrzyła tylko na niego przez krótką chwilę i odwróciła wzrok.

Yereker stał przy ołtarzu w wypłowiałej, różowej kapie, składając ręce do modlitwy na rozpoczęcie mszy.

- Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem...

Uderzył się w piersi, a Devlin, świadom tego, że Molly Prior przygląda mu się z ukosa spod słomkowego kapelusza, z gorliwością włączył się do modlitwy, błagając Najświętszą Marię, zawsze Dziewicę, wszystkich aniołów i świętych oraz zgromadzonych parafian, aby wstawili się za nim do Boga, naszego Pana.

Kiedy Molly przyklękła na podnóżku, zrobiła to jakby w zwolnionym tempie, podnosząc sukienkę o jakieś sześć cali za wysoko. Devlin z trudem powstrzymał się od śmiechu, widząc ten pełen egzaltacji gest. Dość szybko się jednak zreflektował zauważając, że spod filara w głębi nawy obserwuje go wściekłym wzrokiem Arthur Seymour.

Po mszy Devlin pierwszy pospieszył do wyjścia. Siedział już na motorze i był gotowy do odjazdu, kiedy usłyszał wołanie Molly.

- Chwileczkę, panie Devlin! - odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna idzie szybko w jego kierunku z parasolką nad głową, zostawiając matkę o parę kroków za sobą. - Niech się pan tak nie spieszy. Wstydzi się pan czy co?

- Cholernie się cieszę, że przyjechałem - bąknął Devlin. Trudno było powiedzieć, czy się zaczerwieniła, bo zaczynało się już ściemniać. Tak czy inaczej, w tej samej chwili podeszła do nich jej matka.

- To moja mamusia - powiedziała Molly. - A to jest pan Devlin.

- Wszystko o panu wiem - odezwała się pani Prior. - Gdybyśmy mogły w czymś pomóc, proszę tylko powiedzieć. Samotnemu mężczyźnie nie jest lekko.

- Pomyślałyśmy, że może da się pan zaprosić na herbatę - zaproponowała Molly.

Za ich plecami Devlin zauważył Arthura Seymoura, który stał przy cmentarnej bramie i patrzył spode łba.

- To miłe, ale szczerze mówiąc w tej chwili nie nadaję się do składania wizyt.

Pani Prior dotknęła ręką jego ubrania.

- Mój Boże, człowieku, pan jest zupełnie przemoczony! Niech pan wraca do domu i zrobi sobie natychmiast gorącą kąpiel, bo dostanie pan zapalenia płuc.

- Ma rację - przytaknęła z zapalem Molly. - Niech się pan pospieszy i skorzysta z dobrej rady.

Devlin kopnął starter motocykla.

- Uchowaj mnie, Boże, od koszmarnych babskich rządów - stwierdził i odjechał.

O kąpieli nie było co marzyć. Zagrzanie kotła wody w zmywalni naczyń na zapleczu kuchni trwałoby za długo. Devlin znalazł kompromisowe rozwiązanie, rozpalając wielki

ogień z polan w ogromnym kamiennym kominku. Następnie rozebrał się, wytarł szybko ręcznikiem i włożył granatową flanelową koszulę oraz spodnie z ciemnego samodziału.

Był głodny, ale i zbyt zmęczony, by temu zaradzić. Wziął więc szklanekę i butelkę Bushmills, którą dostał od Garvalda, usiadł z książką w starym fotelu i czytał, grzejąc sobie stopy przy kominku. Mniej więcej po godzinie poczuł na karku chłodny powiew. Nie słyszał, jak otworzyły się drzwi, ale wiedział, że Molly jest w pokoju.

- Co cię zatrzymało? - spytał nie odwracając głowy.

- Bardzo to dowcipne. Spodziewałam się lepszego przyjęcia, skoro szłam tu ponad milę przez pola w deszczu i po ciemku, żeby przynieść panu kolację.

Zbliżyła się do kominka. Miała na sobie stary przeciwdeszczowy płaszcz i botki, na głowie chustkę, a w ręce koszyk.

- Przyniosłam zapiekanekę z mięsa i ziemniaków, ale pewnie pan już jadł?

Devlin jęknął głośno.

- Nie mów nic więcej. Wsadź ją do pieca i to jak najszybciej. Położyła koszyk na podłodze, ściągnęła buty i rozpięła płaszcz.

Pod spodem miała sukienkę w kwiatki. Zdjęła chustkę, potrząsając włosami.

- To brzmi lepiej. Co pan czyta?

- Wiersze - powiedział, podając jej książkę. - Niewidomego Irlandczyka nazwiskiem Raftery, który żył bardzo dawno temu.

Zerknęła w świetle kominka na otwartą stronicę książki.

- Ale ja tego nie rozumiem - stwierdziła. - To jakiś obcy język.

- Irlandzki - wyjaśnił Devlin. - Język królów. - Wziął od niej książkę i zaczął czytać:

Anois, teacht on Earraigh, beidh on la dul chun sineadh, is tar eisfeile Bnde, ardochaidh me mo sheol...

...Teraz, w czas wiosny, dni się wydłużają;

Na świętą Brygidę wypłynie ma łódź.

Skoro podróż już pewna, mocniej na nogach staję,

Aż znów niziny Mayo pod stopą będę czuć...

- To piękne - powiedziała Molly. - Naprawdę piękne. - Przysiadła na macie obok niego, opierając się o fotel i lewą ręką dotykając jego ramienia. - Pochodzi pan właśnie stamtąd, z tego Mayo?

- Nie - odparł, z trudem opanowując wzruszenie. - Jestem bardziej z północy, ale Raftery dobrze to oddał.

- Liam - wymówiła jego imię. - Czy to też po irlandzku?

- Tak, proszę pani.

- Co to znaczy?

- William.

Skrzywiła się z dezaprobatą.

- Nie, Liam chyba bardziej mi się podoba. William brzmi tak pospolicie.

Devlin, trzymając w lewej ręce książkę, prawą chwycił ją z tyłu za włosy.

- Jezusie, Józefie i Maryjo, pomóżcie mi! - wyrecytował.

- A cóż to ma niby znaczyć? - zapytała jak uosobienie niewinności.

- To, moja panienko, że jeżeli natychmiast nie wyciągniesz tej zapiekanki z piecyka na talerz, nie będę za nic odpowiadał.

Roześmiała się nagle na całe gardło i przechyliła głowę, opierając ją przez chwilę na jego kolanie.

- Och, naprawdę pana lubię! - oświadczyła. - Wie pan o tym? Spodobał mi się pan, panie Devlin, już przy pierwszym spotkaniu, kiedy siedział pan na tym swoim motocyklu przed gospodą.

Devlin jęknął, zamykając oczy, a Molly wstała, poprawiła sukienkę na biodrach i wyjęła zapiekankę z piecyka.

Kiedy odprowadzał ją przez pola do domu, było już po deszczu, a chmury rozstały się, odsłaniając rozgwieżdżone niebo. Zimny wiatr szarpał konary drzew nad ich głowami i strząsał z gałęzi krople wody, gdy szli polną ścieżką. Devlin niósł na ramieniu dubeltówkę, a Molly trzymała się jego lewej ręki.

Po kolacji rozmawiali niewiele. Poprosiła, żeby przeczytał jej jeszcze parę wierszy, i siedziała przytulona do niego z nogą zgiętą w kolanie. Było o wiele gorzej, niż Devlin mógł sobie wyobrazić. Do niczego mu to nie pasowało. Miał trzy tygodnie, ani dnia więcej, mnóstwo do zrobienia i ani chwili na rozrywkę.

Doszli do otaczającego podwórze muru i przystanęli obok furtki.

- Coś sobie pomyślałam. W środę po południu, jeśli nie ma pan żadnych planów, przydałaby mi się pomoc w stodole. Trzeba poprzestawiać przed zimą trochę sprzętu. Dla mamy i dla mnie jest nieco za ciężki. No i mógłby pan zjeść z nami obiad.

Byłoby grubiaństwem odmówić.

- Czemu nie? - odpowiedział.

Złapała go za szyję, przyciągnęła do siebie i pocałowała z zarliwą, namiętą i spontaniczną zachłannością, która była niewiarygodnie wzruszająca. Używała jakichś lawendowych perfum o bardzo intensywnym zapachu. Pewnie nie było jej stać na nic innego.

Miał zapamiętać tę woń do końca życia.

Przytuliła się do Devlina, a on szepnął jej do ucha:

- Masz siedemnaście lat, a ja jestem bardzo starym trzydziestopięciolatkiem.

Pomyślałaś o tym?

Popatrzyła na niego zamglonymi oczami.

- Och, jesteś cudowny! - oświadczyła. - Taki cudowny! Idiotyczny, banalny zwrot. W innych okolicznościach można by z tego kpić, ale nie w takiej chwili. Nigdy w takiej chwili. Znowu pocałował ją w usta, bardzo delikatnie.

- Idź już!

Weszła i nie próbowała nawet zaprotestować. Idąc przez podwórze obudziła kurczęta. Gdzieś z drugiej strony domu zaszczekał głucho pies i trzasnęły drzwi. Devlin odwrócił się i ruszył w powrotną drogę.

Gdy minął ostatnią łąkę nad główną drogą, zaczęło znowu padać. Wszedł na ścieżkę biegnącą groblą po przeciwnej stronie. Była tam stara drewniana tabliczka z napisem „Farma Hobs End”, której nikomu nie chciało się nawet ściągać. Devlin szedł z trudem, pochylając nisko głowę dla ochrony przed deszczem. Nagle trzciny po prawej stronie zaszeleściły i na ścieżkę wyskoczyła jakaś postać.

Pomimo deszczu niebo było tylko lekko zachmurzone i w świetle księżyca zobaczył przed sobą skulonego Arthura Seymoura.

- Mówiłem ci - odezwał się Seymour. - Ostrzegałem, ale nie zwracasz na to uwagi. Teraz dostaniesz nauczkę.

Devlina w jednej chwili zdjął z ramienia dubeltówkę. Nie była nabita, ale nie miało to znaczenia. Odciągnął kciukiem kurki, które zaskoczyły z głośnym trzaskiem, i przytknął Seymourowi lufę do szyi.

- Niech pan lepiej uważa - odezwał się. - Sam dziedzic pozwolił mi na odstrzał szkodników, a pan znajduje się na jego terenie.

Seymour odskoczył do tyłu.

- Dostanę cię w swoje ręce, zobaczysz. I tę brudną dziwkę. Zapłacicie mi oboje.

Odwrócił się i zniknął w mroku. Devlin zawiesił broń na ramieniu i ruszył dalej w kierunku domu, pochylając nisko głowę, gdyż deszcz przybierał na sile. Seymour był szalony - nie, niezupełnie: po prostu nieodpowiedzialny. Nie przejmował się bynajmniej jego groźbami, ale nagle pomyślał o Molly i poczuł skurcz w żołądku.

- O Boże... - wyszeptał. - Jeżeli on jej coś zrobi, zabiję drania. Zabiję go!

Rozdział IX

Karabinek maszynowy typu sten był prawdopodobnie w czasie II wojny światowej najlepszą produkowaną masowo bronią, w której znajdowała oparcie większość brytyjskiej piechoty. Wyglądał może tandetnie i prymitywnie, za to znosił złe warunki lepiej niż jakakolwiek inna broń tego typu. Dawał się rozłożyć w parę sekund i mieścił się w damskiej torebce albo w kieszeniach płaszcza; z tego powodu okazał się bezcenny dla różnych grup oporu w Europie, dla których Brytyjczycy robili zrzuty. Można było upuścić go w błoto albo nadepnąć na niego, a nadal zabijał równie skutecznie, jak najkosztowniejszy thompson.

Wersję MK IIS opracowano z myślą o jednostkach specjalnych. Wyposażono ją w tłumik, który w zadziwiającym stopniu wyciszał odgłos eksplozji podczas strzału. Słyszało się jedynie trzask rygla, a i to tylko z odległości poniżej dwudziestu jardów.

Egzemplarz, który w środę dwudziestego października o świcie trzymał w rękach sierżant sztabowy Willi Scheid na zaimprovizowanej strzelnicy wśród wydm pod Landsvoort; był prototypowy. W oddali stał rząd tarcz, które imitowały naturalnej wielkości postacie nacierających Angoli. Scheid opróżnił magazynek, strzelając do pierwszych pięciu po lewej stronie. Robiło to niesamowite wrażenie, gdy widziało się, jak kule rozrywają tarcze, a słyhać było jedynie trzask rygla. Steiner i stojący za nim półkolem pozostali członkowie jego niewielkiej grupy szturmowej nie ukrywali zachwytu.

- Znakomita broń! - Steiner wyciągnął rękę i Scheid podał mu stena. - Doprawdy znakomita! - Obejrzał karabin i wręczył go Neumanowi.

Neumann nagle zaklął.

- Cholera, lufa jest gorąca!

- Tak jest, Herr Oberleutnant - potwierdził Scheid. - Musi pan zwrócić uwagę, żeby trzymać tylko za brezentową izolację. Kiedy strzela się długimi seriami, tłumik szybko się nagrzewa.

Scheid był z pułku zaopatrzenia z Hamburga. Drobny, niepozorny człowieczek w stalowych okularach i najbardziej sfatygowanym mundurze, jaki Steinerowi zdarzyło się widzieć. Podszedł do rozłożonej na ziemi plandeki, na której leżały różne rodzaje broni.

- Pistolet maszynowy, z którego będziecie panowie korzystać, to sten w wersji z tłumikiem i bez. Jeśli chodzi o lekką broń maszynową, proponuję brena. Do użytku ogólnego nie jest tak dobry jak nasz MG-czterdzieści dwa, ale nadaje się znakomicie do zadań specjalnych. Można z niego oddać pojedynczy strzał albo krótką serię czterech, pięciu kul,

jest więc bardzo wydajny i strzela wyjątkowo celnie.

- A co z karabinami? - spytał Steiner.

Zanim Scheid zdążył odpowiedzieć, Neumann dotknął ramienia Steinera i pułkownik odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak od strony Ijsselmeer nadlatuje na niewielkiej wysokości Storch i zaczyna zataczać pierwsze koło nad lądowiskiem.

- Przerwę panu na moment, sierżancie - powiedział Steiner i zwrócił się do swoich ludzi. - Od tej chwili będziecie wykonywać polecenia sierżanta Scheida. Macie dwa tygodnie, a kiedy skończy was szkolić, chcę, żebyście umieli rozkładać i składać to wszystko z zamkniętymi oczami. - Spojrzał na Brandta. - Gdyby potrzebował jakiegokolwiek pomocy, ma ją otrzymać, zrozumiano?

Brandt wyprężył się na baczność.

- Tak jest, Herr Oberst!

- Dobrze. - Wydawało się, że Steiner obejmuje wzrokiem każdego z nich z osobna. - Przez większość czasu Oberleutnant Neumann i ja będziemy tam razem z wami. Nie martwcie się. Obiecuję, że już niedługo dowiecie się, o co chodzi.

Brandt dał rozkaz, żeby wszyscy stanęli na baczność. Steiner zasalutował, po czym odwrócił się i poszedł szybkim krokiem w kierunku zaparkowanego w pobliżu gazika. Neumann podążył za nim. Steiner zajął miejsce obok kierowcy, a Neumann usiadł za kierownicą i ruszył. Kiedy zbliżali się do głównej bramy lotniska, pełniący służbę żandarm otworzył metalowe wrota i zasalutował nieporadnie, przytrzymując drugą ręką warczącego psa.

- Któregoś dnia ta bestia się wyrwie - stwierdził Neumann - a pewnie nie wie nawet, po czyjej jest stronie.

Storch wylądował po mistrzowsku. Czterech czy pięciu ludzi z Luftwaffe popędziło mu na spotkanie niewielką ciężarówką. Neumann pojechał za nimi gazikiem i zatrzymał się o parę metrów od samolotu. Steiner zapalił papierosa, czekając, aż Radl wyjdzie z kabiny.

- Ktoś z nim jest - zauważył Neumann.

Steiner zmarszczył brwi, kiedy Max Radl podszedł do niego, radośnie uśmiechnięty.

- Jak leci, Kurt?! - zawołał wyciągając rękę.

Steinera interesował jednak bardziej jego towarzysz, wysoki i elegancki młody człowiek z trupią czaszką SS na czapce.

- Kim jest twój przyjaciel, Max? - zapytał cicho.

Radl uśmiechnął się niezręcznie, dokonując niezbędnej prezentacji.

- Pułkownik Kurt Steiner - Untersturmführer Harvey Preston z Niezależnego Korpusu

Brytyjskiego.

Steiner kazał zamienić stary salon w domu na farmie w centrum dowodzenia akcją. W jednym końcu pokoju ustawiono polowe łóżka dla niego i dla Neumanna, a na stojących pośrodku dwóch dużych stołach leżały mapy i zdjęcia całego rejonu Hobs End i Studley Constable. Była tam również piękna, nie dokończona na razie, trójwymiarowa makieta. Radl pochylił się nad nią z zainteresowaniem, trzymając w ręce szklanekę brandy. Ritter Neumann stał po drugiej stronie stołu, a Steiner chodził tam i z powrotem koło okna, paląc nerwowo papierosa.

- Ta makieta jest naprawdę doskonała - stwierdził Radl. - Kto ją robi?

- Szeregowy Klugl - wyjaśnił Neumann. - Przed wojną był chyba artystą.

Steiner odwrócił się zniecierpliwiony.

- Zajmijmy się najważniejszą sprawą, Max. Naprawdę spodziewasz się, że zabiorę ze sobą tego... to indywiduum?

- To pomysł Reichsführera, nie mój - odparł spokojnie Radl. - W takich sprawach, drogi Kurcie, nie rozkazuję, lecz słucham rozkazów.

- On chyba zwariował!

Radl skinął głową i podszedł do kredensu, żeby nalać sobie koniaku.

- O ile wiem, wygłaszano już takie opinie.

- W porządku - ciągnął Steiner. - Spójrzmy na to z czysto praktycznego punktu widzenia. Żeby akcja się udała, potrzeba grupy bezwzględnie zdyscyplinowanych ludzi, którzy potrafią poruszać się, myśleć i działać jak jeden człowiek, i właśnie takich mamy. Moi chłopcy przeszli już przez piekło. Kreta, Leningrad, Stalingrad i jeszcze parę miejsc po drodze, a ja wszędzie byłem z nimi. Max, są chwile, kiedy nie muszą nawet wydawać rozkazów.

- Przyjmuję to bez zastrzeżeń.

- Więc czy możesz, na Boga, spodziewać się, że będą sprawnie działać w obecności kogoś z zewnątrz, szczególnie kogoś takiego, jak Preston? - Wziął do ręki przyniesione przez Radia akta i potrząsnął nimi. - Pospolity przestępca, pozer, który gra od urodzenia, nawet przed samym sobą. - Rzucił papiery z obrzydzeniem. - Nie wie nawet, co znaczy naprawdę być żołnierzem.

- W tej chwili jest istotniejszy problem, a przynajmniej tak mi się wydaje - wtrącił Ritter Neumann. - On nigdy w życiu nie skakał na spadochronie.

Radl wyjął rosyjskiego papierosa, a Neumann podał mu ogień.

- Zastanawiam się, Kurt, czy nie za bardzo ponoszą cię emocje.

- W porządku - przyznał Steiner. - No więc, jako półkrwi Amerykanin nie cierpię tego wszarza, bo jest zdrajcą i renegatem, ale moja niemiecka krew też się burzy. - Z irytacją pokręcił głową. - Słuchaj, Max, czy ty masz pojęcie, jak wygląda szkolenie skoczka? - Zwrócił się do Neumanna. - Powiedz mu, Ritter.

- Aby dostać odznakę sprawności spadochroniarza, trzeba zaliczyć sześć skoków, a potem skakać przynajmniej sześć razy w roku, jeśli chce się ją utrzymać - wyjaśnił Neumann. - Dotyczy to wszystkich, od szeregowca do oficera. Za skoki dostaje się od sześćdziesięciu pięciu do stu dwudziestu niemieckich marek miesięcznie, zależnie od stopnia.

- No i co?

- Aby tyle zarobić, ćwiczy się przez dwa miesiące na ziemi i skacze samotnie z wysokości sześciuset stóp. Potem następuje pięć skoków grupowych przy różnym świetle, także w ciemnościach i z coraz niższego pułapu. Aż wreszcie przychodzi wielki finał: spadochroniarze wyskakują w warunkach bojowych z dziewięciu samolotów równocześnie na wysokości poniżej czterystu stóp.

- To rzeczywiście imponujące - stwierdził Radl. - Z drugiej strony, Preston musi skoczyć tylko raz, zapewne w nocy, ale na rozległą i bardzo pustą plażę. Idealne miejsce do lądowania, jak sami przyznaliście. Chyba można przeszkolić go wystarczająco na tę jedną okazję?

Neumann odwrócił się zdesperowany do Steinera.

- Co więcej mogę powiedzieć?

- Nic- odparł Radl - ponieważ on i tak polecą. Polecą, bo Reichsfuhrer uważa, że to dobry pomysł.

- Na litość boską - powiedział Steiner. - To niemożliwe, Max, czy tego nie rozumiesz?

- Wracam rano do Berlina - oznajmił Radl. - Jedź ze mną i sam mu to powiedz, skoro tak uważasz. A może wolałbyś dać sobie spokój?

Steiner pobladł.

- Niech cię diabli, Max. Wiesz, że nie mogę tego zrobić, i dobrze wiesz dlaczego. - Przez chwilę słowa nie chciały mu przejść przez gardło. - Mój ojciec... Jak on się czuje? Widziałeś się z nim?

- Nie - powiedział Radl. - Ale Reichsfuhrer kazał cię zapewnić, że masz w tej sprawie jego osobiste gwarancje.

- A cóż to znaczy, do cholery?

Steiner nabrał powietrza i uśmiechnął się ironicznie.

- Wiem jedno. Jeżeli zdołamy porwać Churchilla, którego zresztą osobiście bardzo

cenie - i to nie tylko dlatego, że nasze matki były Amerykankami - możemy równie dobrze wpaść w każdej chwili do siedziby Gestapo na Prinz Albrechtstrasse i dostać w ręce tego gnojka. Prawdę mówiąc, to całkiem niezły pomysł. - Wyszczrzył zęby do Neumanna. - Co o tym sądzisz, Ritter?

- Więc zabierzecie go?- dopytywał się Radl. - To znaczy Prestona?

- O tak, chętnie go zabiorę - oznajmił Steiner. - Ale kiedy to się skończy, będzie żałował, że się urodził. - Zwrócił się do Neumanna. - W porządku, Ritter. Przeprowadź go. Pokażę mu z grubsza, jak wygląda piekło.

Kiedy Harvey Preston pracował w teatrze, grał kiedyś we wspaniałej sztuce „Koniec podróży młodego i dzielnego brytyjskiego oficera w okopach I wojny światowej”. Był nieustraszoną, zmęczoną wojną weteranem, bardziej doświadczonym, niż na to wyglądał, zdolnym patrzeć śmierci w oczy z wymuszonym uśmiechem na twarzy i z podniesioną, przynajmniej symbolicznie, szklanką w prawej ręce. Gdy dach schronu w końcu się zawalał i opadała kurtyna, wystarczyło się pozbierać i wrócić do garderoby, żeby zmyć krew.

Tym razem było inaczej. To wszystko działo się naprawdę, przerażało swymi konsekwencjami i Preston zaczął nagle odczuwać paniczny strach. Nie przestał bynajmniej wierzyć, że Niemcy zdolne są wygrać wojnę. Wierzył w to bez zastrzeżeń. Wolał po prostu ocalić skórę, żeby samemu zobaczyć ten wspaniały dzień.

W ogrodzie było zimno. Przechadzał się niespokojnie tam i z powrotem, paląc papierosa i czekając niecierpliwie, aż ktoś po niego wyjdzie. Miał zszargane nerwy. Wreszcie w kuchennych drzwiach pojawił się Steiner.

- Preston! - zawołał i powiedział po angielsku: - Niech pan wejdzie. - Odwrócił się, nie mówiąc nic więcej. Kiedy Preston znalazł się w salonie, Steiner, Radl i Ritter Neumann stali wokół stołu z mapą.

- Herr Oberst - odezwał się.

- Milczeć! - przerwał lodowatym tonem Steiner. Skinął głową na Radia. - Przekaż mu rozkazy.

- Untersturmführer Harvey Preston z Niezależnego Korpusu Brytyjskiego - powiedział oficjalnym tonem Radl. - Od tej chwili ma pan się podporządkować całkowicie i bez zastrzeżeń poleceniom podpułkownika Steinera z Pułku Spadochroniarzy. To bezpośredni, osobisty rozkaz Reichsführera Heinricha Himmlera. Rozumie pan?

Preston czuł się tak, jakby Radl miał na głowie czarny kaptur, bo jego słowa brzmiały jak wyrok śmierci. Pot wystąpił mu na czoło, gdy zwrócił się do Steinera i wyjąkał:

- Ale, Herr Oberst, ja nigdy w życiu nie skakałem na spadochronie...

- To najmniejsza z pańskich wad - powiedział brutalnie Steiner. - Ale nadrobimy wszystkie braki, może mi pan wierzyć.

- Herr Oberst, muszę zaprotestować... - zaczął Preston, ale słowa Steinera przerwały jego wywód jak cięcie topora.

- Niech się pan zamknie i złączy stopy. W przyszłości proszę tylko odpowiadać na pytania. - Obszedł Prestona, który stał teraz wyprężony na baczność. - Jest pan w tej chwili jedynie balastem. Nawet nie żołnierzem, po prostu efektownym mundurem. Będziemy musieli się przekonać, czy da się to zmienić, prawda? - Zapanowało milczenie. Steiner powtórzył cicho pytanie wprost do lewego ucha Prestona.

- Prawda?

Zabrzmiało to jak jedna wielka groźba.

- Tak jest, Herr Oberst!

- Dobrze. Teraz się rozumiemy. - Znów stanął do niego twarzą. - Punkt pierwszy: w tej chwili w całym Landsvoort nikt z wyjątkiem nas czterech nie wie, w jakim celu organizowana jest ta akcja. Jeśli puści pan farbę i ktoś dowie się o tym, zanim będę gotów wszystko ogłosić, osobiście pana zastrzelę. Zrozumiano?

- Tak jest, Herr Oberst.

- Jeśli chodzi o stopień, na razie nie ma pan żadnego. Porucznik Neumann załatwi panu kombinezon i bluzę spadochroniarza. Będzie pan więc wyglądał tak samo, jak pańscy towarzysze, z którymi przejdzie pan szkolenie. Oczywiście, w pańskim przypadku będą konieczne pewne dodatkowe zadania, ale o tym później. Czy są jakieś pytania?

Oczy Prestona płonęły i z wściekłości ledwo mógł złapać oddech.

- Oczywiście, Herr Untersturmfuhrer - dodał łagodnie Radl - jeśli to pana nie zadowala, zawsze możemy wrócić razem do Berlina i przedstawi pan sprawę osobiście Reichsfuhrerowi.

- Nie mam żadnych pytań - odparł Preston zdławionym szeptem.

- W porządku. - Steiner zwrócił się do Rittera Neumanna. - Wyposażcie go, a potem przekażcie Brandtowi. Później porozmawiamy o jego programie szkolenia. - Skinął głową na Prestona. - Dobra, jest pan wolny.

Preston nie pożegnał się faszystowskim pozdrowieniem, gdyż przyszło mu nagle do głowy, że może to być źle przyjęte. Zasalutował tylko, odwrócił się i odszedł niepewnym krokiem. Ritter Neumann szeroko się uśmiechnął i podążył za nim.

Kiedy drzwi się zamknęły, Steiner stwierdził:

- Teraz naprawdę muszę się czegoś napić. Podszedł do kredensu i nalał sobie koniaku.

- Czy to się uda, Kurt? - zapytał Radl.

- Kto wie? - Steiner uśmiechnął się złowieszczo. - Przy odrobinie szczęścia może złamać nogę podczas treningu. - Wypił łyk brandy.- Tak czy inaczej, zajmijmy się ważniejszymi sprawami. Jak radzi sobie Devlin? Są nowe wiadomości?

W niewielkiej sypialni starego domu na farmie nad bagnami w Hobs End Molly Prior robiła wszystko, żeby wyglądać jak najlepiej w związku z wizytą Devlina, który lada chwila miał przyjechać na obiad. Rozebrała się szybko, stanęła na chwilę w samych majteczkach i staniku przed lustrem wiszącym na drzwiach starej, mahoniowej szafy i spojrzała na siebie krytycznie. Bieliznę miała gustowną i czystą, choć ze śladami licznych reperacji. Cóż, nie było w tym nic złego. Wszyscy tak robili. Kuponów na odzież zawsze brakowało. Liczyło się to, co pod spodem, a pod tym względem nie było źle. Miała ładne, jędrne piersi, okrągłe biodra, kształtne uda.

Położyła rękę na brzuchu i wyobrażając sobie, że to Devlin dotyka ją w ten sposób, poczuła skurcz w żołądku. Otworzyła górną szufladę toaletki, wyjęła jedyną parę wielokrotnie już cerowanych przedwojennych jedwabnych pończoch i włożyła je ostrożnie. Potem wyciągnęła z szafy bawełnianą sukienkę, którą miała na sobie w sobotę.

Kiedy wsuwała ją przez głowę, na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu. Wyrzała przez okno akurat w chwili, gdy na podwórze wjeżdżał stary Morris. Za kierownicą siedział ojciec Yereker. Molly zakłęła pod nosem i pociągnęła za mocno sukienkę, rozdzierając ją trochę na szwie pod pachą. Potem włożyła niedzielne buty na wysokich na dwa cale obcasach.

Schodząc na dół rozczesywała włosy, miejscami splątane, więc krzywiła się z bólu. Yereker był z jej matką w kuchni. Odwrócił się i przywitał ją nadzwyczaj ciepłym uśmiechem.

- Witaj, Molly, jak się masz?

- Mam za mało czasu i za dużo pracy, ojcze. - Przewiązała w pasie fartuch i zapytała matkę: - Czy zapiekanka już gotowa? On lada moment tu będzie.

- A, spodziewacie się gości? - Yereker wstał, podpierając się laską. - Przeszkadzam. Przyszedłem nie w porę.

- Ależ skąd, ojcze - zaproponowała pani Prior. - To tylko pan Devlin, nowy nadzorca Hobs End. Zje z nami obiad, a po południu pomoże trochę w gospodarstwie. Miał pan jakąś ważną sprawę?

Yereker przyjrzał się Molly z namysłem, zwracając uwagę na jej sukienkę i buty. Twarz mu spochmurniała, jakby nie pochwałał tego, co zobaczył. Molly ogarnęła złość.

Opierając lewą rękę na biodrze, popatrzyła na niego wojowniczo.

- Czy ze mną chciał ojciec rozmawiać? - zapytała niepokojąco opanowanym głosem.

- Nie, chciałem zamienić parę słów z Arthurem. Arthur Seymour pomaga wam tutaj we wtorki i środy, prawda?

Zorientowała się natychmiast, że Yereker kłamie.

- Arthur Seymour już tu nie pracuje, ojczu. Sądziłam, że ojciec o tym wie. Czyżby nie powiedział, że go wyrzuciłam?

Yereker był bardzo blady. Nie przyznałby się do tego, ale nie potrafił kłamać jej prosto w oczy.

- Dlaczego tak się stało, Molly? - zapytał tylko.

- Bo nie chciałam, żeby się tu dłużej kręcił.

Yereker spojrzał pytająco na panią Prior. Czują się niezręcznie i wzruszyła tylko ramionami.

- On nie stanowi odpowiedniego towarzystwa ani dla ludzi, ani dla zwierząt.

W tym momencie Yereker popełnił wielki błąd, mówiąc do Molly:

- We wsi panuje przekonanie, że nieładnie go potraktowano. To, że bardziej podoba ci się ktoś obcy, nie jest żadnym wytłumaczeniem. Nie powinnaś tak postąpić z człowiekiem, który cierpliwie czekał i pomagał ci, jak mógł, Molly.

- Człowiekiem?! - zawołała. - Czy to naprawdę człowiek, ojczu? Nigdy tego nie zauważyłam. Mógłby im ojciec powiedzieć, że zawsze wpychał mi łapę pod spódnicę i próbował mnie macać! - Twarz Yerekera była bardzo blada, ale Molly bezlitośnie mówiła dalej. - Oczywiście, ludzie we wsi mogą uważać, że nic się nie stało, skoro postępuje tak ze wszystkimi babami w okolicy, odkąd skończył dwanaście lat, i nikt jakoś nigdy na to nie reagował. A ojciec najwyraźniej nie jest lepszy.

- Molly! - krzyknęła z przerażeniem jej matka.

- Rozumiem - odparła Molly. - Nie wolno obrażać księdza, wygarniając mu prawdę, czy o to ci chodzi? - Spojrzała na Yerekera z pogardą. - Niech mi ojciec nie wmawia, że nic o nim nie wie. Nigdy nie opuszcza niedzielnej mszy, więc z pewnością spowiada go ojciec dość często.

Patrzył na nią zagniewanym wzrokiem. Odwróciła się, słysząc pukanie do drzwi. Poprawiła suknię na biodrach i poszła otworzyć. Za drzwiami nie stał jednak Devlin, lecz Laker Armsby. Kręcił w palcach papierosa, czekając obok traktora z przyczepą pełną rzepy.

- Gdzie mam ci to zrzucić, Molly? - zapytał szczerząc zęby.

- Niech cię diabli, Laker, zawsze wiesz, kiedy przyjechać, co? Do stodoły. Zaczekaj,

lepiej sama ci pokażę, bo zaraz coś pokręcisz.

Ruszyła przez podwórze, stąpając ostrożnie po błocie w eleganckich butach. Laker podążał za nią.

- Wystroiłaś się dzisiaj jak na bal, Molly. Ciekawe, co to za okazja?

- Pilnuj swoich interesów, Laker - odpowiedziała. - I otwórz te drzwi.

Laker pociągnął w górę rygiel i zaczął otwierać jedno skrzydło wielkich wrót stodoły. Za nimi stał Arthur Seymour. Czapkę miał nisko wciśniętą na nieprzytomne z wściekłości oczy, a jego potężne ramiona z trudem mieściły się w starym dwurzędowym płaszczu.

- Daj spokój, Arthur - powiedział ostrożnie Laker.

Seymour odepchnął go na bok i chwycił Molly za przegub prawej ręki, przyciągając ją do siebie.

- Chodź tu, suko. Chcę z tobą pogadać. Laker bezskutecznie próbował go powstrzymać.

- Posłuchaj, Arthur - mówił. - Tak nie można. Seymour uderzył go na odlew w twarz, powodując krwotok z nosa. - Nie wtrącaj się! - krzyknął i pchnął Lakera w błoto. Molly zaczęła się gwałtownie wyrwać.

- Puść mnie!

- O, nie! - powiedział Seymour. Zamknął za sobą drzwi i zasunął rygiel. - Starczy tego, Molly. - Chwycił ją lewą ręką za włosy. - Jeśli będziesz grzeczna, nic ci się nie stanie. Ale muszę dostać to, co dałaś temu cholernemu Irlandczykowi.

Próbował po omacku sięgnąć jej ręką pod sukienkę.

- Śmierdzisz - powiedziała Molly. - Wiesz o tym? Jak stara maciora, która wytarzała się w błocie.

Schyliła się i ugryzła go z całej siły w rękę. Seymour krzyknął z bólu, rozluźniając uścisk, ale gdy próbowała się wyrwać, chwycił ją drugą ręką. Podarł jej sukienkę, zdołała mu jednak uciec i podbiegła do drabiny na poddasze.

Devlin, który wracał właśnie przez pola z Hobs End znalazł się na łące na szczycie wzgórza koło farmy w samą porę, żeby zobaczyć, jak Molly i Laker Armsby idą po podwórzu do stodoły. W chwilę później Laker został stamtąd wypchnięty i upadł plecami w błoto, a wrota zatrzasnęły się. Devlin wyrzucił niedopałek papierosa i zaczął zbiegać po zboczu.

Zanim przeskoczył przez ogrodzenie na podwórze, ojciec Yereker i pani Prior byli już przy stodole. Ksiądz walił w drzwi laską.

- Arthur! - wołał. - Otwórz. Przestań się wygłupiać! - Jedyłą odpowiedzią był krzyk Molly.

- Co się tu dzieje? - dopytywał się Devlin.

- To Seymour - wyjaśnił Laker, trzymając przy nosie zakrwawioną chustkę. - Zamknął się tam z Molly i zaryglował wrota.

Devlin próbował wyważyć je ramieniem, ale zorientował się natychmiast, że tylko traci czas. Słyszając znów krzyk Molly, rozpaczliwie rozejrzał się wokoło i spostrzegł traktor, który Laker zostawił z włączonym silnikiem przy frontowych drzwiach. Devlin w jednej chwili przebiegł przez podwórze, wspiął się na wysokie siodełko za kierownicą i wrzucił bieg, naciskając pedał gazu z taką siłą, że ciągnik ruszył gwałtownie, a przyczepa zakołysała się, sypiąc wokół rzepą jak kulami armatnimi. Yereker, pani Prior i Laker odsunęli się w samą porę, gdyż traktor uderzył we wrota, wepchnął je do środka i dalej parł naprzód.

Devlin wyhamował i zatrzymał ciągnik. Molly była na poddaszu, a Seymour stał na dole, próbując przystawić drabinę, którą widocznie zrzuciła. Devlin wyłączył silnik. Seymour odwrócił się i spojrział na niego dziwnym, nieprzytomnym wzrokiem.

- Dość tego, łajdaku! - odezwał się Devlin. W tym momencie przykuśtykał Yereker.

- Nie, Devlin, niech pan zostawi to mnie! - zawołał i zwrócił się do Seymoura. - Arthur, to nic nie da, prawda?

Seymour nie zwracał na żadnego z nich najmniejszej uwagi. Odwrócił się i zaczął wspinać po drabinie, jakby w ogóle ich tam nie było. Devlin zeskoczył z ciągnika i kopnął drabinę, usuwając mu ją spod nóg. Seymour upadł ciężko na ziemię. Leżał tak przez chwilę, kręcąc głową. Potem spojrzał nieco przytomniejszym wzrokiem.

Kiedy stanął na nogi, ojciec Yereker postąpił krok naprzód i odezwał się:

- Słuchaj, Arthur, mówiłem ci...

Tylko tyle zdążył powiedzieć, gdyż Seymour pchnął go tak mocno, że ksiądz upadł.

- Zabiję cię, Devlin! - krzyknął z furją Seymour i rzucił się, by zmiażdżyć go swymi potężnymi łapami. Devlin zrobił unik i Seymour całą siłą rozpędu wpadł na traktor. Devlin uderzył go z lewej i z prawej w nerki i odskoczył. Seymour zawył z bólu.

Za chwilę znów rycząc ruszył do walki. Devlin zamarkował cios z prawej, a lewą pięścią rąbnął w jego paskudną gębę, rozcinając Seymourowi wargi tak, że trysnęła z nich krew. Dołożył mu jeszcze prawą ręką pod żebra. Brzmiało to jak uderzenie siekiery w drewno.

Pochylił się, żeby uniknąć kolejnego potężnego ciosu Seymoura, i znów grzmotnął go pod żebra.

- Praca nóg, właściwa koordynacja i odpowiednie ciosy - oto tajemnica sukcesu. Nazywaliśmy to Świętą Trójcą, ojczy. Kiedy się człowiek tego nauczy, może być pewien, że

posiądzie ziemię, tak jak ubodzy duchem. Oczywiście, jeżeli od czasu do czasu nie pogardzi odrobiną brudnej roboty.

Kopnął Seymoura w prawe kolano, a kiedy olbrzym zwinął się z bólu, przyłożył mu zgiętą nogą w twarz. Seymour wyleciał przez drzwi na podwórze i upadł w błoto. Potem powoli się podniósł i stał z zakrwawioną twarzą jak oszołomiony byk na środku areny.

Devlin znów do niego przyskoczył.

- Nie wiesz, kiedy przestać, prawda? Ale trudno się temu dziwić, jeśli ktoś ma mózg wielkości ziarnka grochu...

Wysunął prawą nogę, poślizgnął się w błocie i musiał podeprzeć się kolaniem. Seymour uderzył go tak potężnie w czoło, że Devlin runął jak długi na plecy. Molly krzyknęła i podbiegła do nich, rzucając się na Seymoura z pazurami. Odepchnął ją od siebie i podniósł nogę, żeby rozdeptać Devlina. Ale Irlandczyk schwycił go za stopę i wykręciwszy ją, pchnął Seymoura z powrotem w kierunku drzwi do stodoły.

Kiedy ten się odwrócił, Devlin był już przy nim i wcale się nie uśmiechał. Twarz miał bladą z gniewu.

- No dobrze, Arthur. Skończmy z tym. Jestem głodny. - Seymour próbował znów się na niego rzucić. Devlin zwodził go, krążąc po całym podwórzu. Nie okazywał najmniejszej litości i unikając łatwo jego potężnych ciosów, co chwila trafiał mu pięścią w twarz, aż wyglądała jak krwawa maska.

Obok tylnych drzwi stało stare, cynkowe koryto na wodę. Devlin bez pardonu popychał Seymoura w tamtym kierunku.

- A teraz posłuchaj mnie, łajdaku! - oznajmił. - Jeśli jeszcze raz dotkniesz tę dziewczynę, jeśli coś jej zrobisz, to osobiście obedrę cię ze skóry. Rozumiesz? - Znowu grzmotnął go pod żebra, a Seymour jęknął, opuszczając ręce. - Na przyszłość, jeśli będziesz w jakimś miejscu, a ja wejdem, masz wstać i się wynosić. Czy to też pojąłeś?

Prawa ręka Devlina jeszcze dwa razy dosięgnęła nie osłoniętej szczęki Seymoura, który przeleciał przez koryto i upadł na plecy.

Devlin uklęknął i wsadził głowę do wody. Kiedy ją wyjął, aby nabrać powietrza, zobaczył, że Molly przykucnęła obok niego, a ojciec Yereker pochylił się nad Seymourem.

- Mój Boże, Devlin, mógł go pan zabić! - powiedział ksiądz.

- Nie jego - odparł Devlin. - Niestety.

Jakby na poparcie tych słów, Seymour jęknął i próbował się podnieść. W tej samej chwili z domu wyszła pani Prior, trzymając w dłoniach dubeltówkę.

- Niech ojciec go stąd zabierze- zwróciła się do Yerekera. - I proszę mu w moim

imieniu powiedzieć, kiedy przyjdzie do siebie, że jeśli tu jeszcze wróci, żeby niepokoić moją córkę, zastrzelę go jak psa, choćbym miała za to odpokutować.

Laker Armsby zanurzył w korycie stare emaliowane wiadro i oblał Seymoura.

- Proszę, Arthur - oznajmił radośnie. - Nie wątpię, że to twoja pierwsza kąpiel od świętego Michała.

Seymour stęknął i chwycił ręką za brzeg koryta, żeby się podźwignąć.

- Pomóż mi, Laker - poprosił ojciec Yereker i we dwóch zaprowadzili go do Morrisa.

Nagle Devlinowi wydało się, że ziemia usuwa mu się spod nóg, jakby nastąpił odpływ. Zamknął oczy. Usłyszał alarmujący krzyk Molly i poczuł, że podtrzymuje go swym silnym, młodym ramieniem. Potem z drugiej strony pomogła jej matka i razem doprowadziły go do domu.

Ocknął się na kuchennym krześle przy ogniu, z twarzą przyciśniętą do piersi Molly, która przykładła mu do czoła wilgotny ręcznik.

- Teraz mogę już iść. Nic mi nie jest - odezwał się do niej. Spojrzała na niego z góry z zatroskaną twarzą.

- Boże, myślałam, że tym jednym uderzeniem rozwali ci czaszkę.

- To mój słaby punkt - przyznał Devlin. Zdał sobie sprawę, że Molly naprawdę się martwi, i na chwilę spowaźniał. - Po okresach silnego napięcia zdarza mi się mdleć, tracę przytomność. To jakiś psychiczny uraz.

- Co takiego? - spytała zaintrygowana.

- Nieważne - odparł. - Daj mi tylko położyć z powrotem głowę tak, żebym widział twój prawy sutek.

Zaczerwieniła się, kładąc rękę na rozprutym staniku sukienki.

- Ty łobuzie!

- Widzisz - stwierdził. - Jak przychodzi co do czego, nie różnię się wiele od Arthura.

Popukała go delikatnie palcem w czoło.

- Nigdy w życiu nie słyszałam, żeby dorosły mężczyzna wygadywał takie bzdury.

Jej matka wpadła do kuchni, zawiązując czysty fartuch.

- Na Boga, chłopcze, musisz być potwornie głodny po takim wysiłku. Masz już chęć na zapiekankę z mięsa i ziemniaków?

Devlin spojrzał na Molly i uśmiechnął się.

- Bardzo pani dziękuję. Nie skłamię mówiąc, że mam chęć na wszystko.

Dziewczyna stłumiła śmiech, pogroziła mu przed nosem zaciśniętą pięścią i poszła pomóc matce.

Devlin wrócił do Hobs End późnym wieczorem. Na moczarach było cicho i spokojnie, jak przed burzą. Niebo pociemniało, a z daleka dochodził odgłos grzmotów. Poszedł naokoło, żeby sprawdzić śluzy, które regulowały przepływ wody do sieci kanałów, a kiedy wreszcie skręcił na podwórze, zobaczył stojący przy drzwiach samochód Joanny Grey. Miała na sobie mundur Żeńskiej Służby Ochotniczej i oparta o ścianę wpatrywała się w morze. Obok siedział cierpliwie myśliwski pies. Spojrzała na Devlina, kiedy do niej podszedł. Na czole, w miejscu, gdzie wylądowała pięść Seymoura, miał sporego siniaka.

- Wygląda paskudnie - stwierdziła. - Często próbujesz popełnić samobójstwo?

Uśmiechnął się szeroko.

- Powinna pani zobaczyć tamtego faceta.

- Widziałam. - Pokręciła głową. - Musisz z tym skończyć, Liam. - Zapalił papierosa, osłaniając zapałkę dłońmi.

- Z czym?

- Chodzi o Molly Prior. Nie po to tu jesteś. Masz zadanie do wykonania.

- Nie przesadzajmy - odparł. - Na dwudziestego ósmego umówiłem się z Garvaldem, ale przedtem nie mam nic do roboty.

- Nie bądź głupcem. Dobrze wiesz, że ludzie w miejscach takich jak to są na całym świecie podobni. Nie ufają obcym i trzymają się swoich. Nie spodobało im się, że tak postąpiłeś z Arthurem Seymourem.

- A mnie nie podobało się to, co próbował zrobić z Molly. - Devlin zaśmiał się krótko, okazując pewne zdziwienie. - Na miłość boską, kobieto, jeśli prawdą jest połowa z tego, co Laker Armsby opowiadał mi dzisiaj na temat Seymoura, należało zamknąć go już wiele lat temu i wyrzucić klucz. Ma na swoim koncie niezliczone napady na tle seksualnym i okaleczenie przynajmniej dwóch ludzi.

- W takich miejscach nie wzywa się policji. Załatwiają wszystko sami. - Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. - Ale to do niczego nas nie prowadzi. Nie możemy zrażać sobie ludzi, więc bądź rozsądny. Zostaw Molly w spokoju.

- Czy to rozkaz, proszę pani?

- Nie bądź idiotą. Apeluję tylko do twojego zdrowego rozsądku. - Podeszła do samochodu, posadziła psa na tylnym siedzeniu i zajęła miejsce za kierownicą.

- Są jakieś nowiny z frontu urabiania sir Henry'ego? - spytał Devlin, kiedy włączyła silnik.

Zareagowała uśmiechem.

- Nie martw się, trzymam go w pogotowiu. W piątek wieczorem mam znów kontakt

radiowy z Radiem. Dam ci znać, co nowego.

Kiedy odjechała, Devlin otworzył kluczem drzwi i wszedł do domu. W środku zastanawiał się nad czymś przez dłuższą chwilę, a potem zasunął rygiel i udał się do salonu. Zaciągnął zasłonę, rozpałił nieduży ogień i usiadł przed kominkiem ze szklaneczką otrzymanej od Garvalda irlandzkiej whisky.

Czuł się podle, ale może Joanna Grey miała rację. Postąpiłby głupio pchając się w kłopoty. Przez moment pomyślał o Molly, a potem sięgnął zdecydowanie do niewielkiej kolekcji książek po irlandzkie wydanie *The Midnight Court* i próbował skoncentrować się na czytaniu.

Zaczęło padać i deszcz spływał po szybie. Około wpół do ósmej klamka frontowych drzwi zakolatała bezskutecznie. Po chwili zza zasłony rozległo się pukanie w okno i usłyszał, jak Molly woła go cicho po imieniu. Nie przestał czytać, z trudem śledząc tekst w nikłym świetle płomieni. Wkrótce potem Molly odeszła.

Zaklął cicho, ogarnięty szewską pasją. Cisnął książką o ścianę, najwyższym wysiłkiem woli opanowując pragnienie, by podbiec do drzwi, otworzyć je i dogonić dziewczynę. Nalał sobie jeszcze jedną dużą porcję whisky i stanął przy oknie. Poczł się nagle bardziej samotny niż kiedykolwiek, gdy nad moczarami rozszalała się gwałtowna ulewa.

Także w Landsvoort silny wiatr od morza niósł ze sobą siekący, ulewny deszcz, który ciał jak chirurgiczny skalpel. Harvey Preston pełnił wartę przy furtce w ogrodzie starego domu na farmie. Skulił się pod murem, przeklinając Steinera, Radla i Himmlera oraz wszystko, co złożyło się na to, że pierwszy raz w życiu upadł tak nisko.

Rozdział X

Podczas II wojny światowej niemieccy spadochroniarze różnili się pod jednym istotnym względem od swoich brytyjskich kolegów: używali innego typu spadochronów.

Ich niemiecka wersja - odmienna jednak od tej, jaką dysponowali piloci i załogi samolotów Luftwaffe - nie była wyposażona w pasy, tak zwane taśmy nośne, mocujące olinowanie do uprzęży. Olinowanie łączyło w tym przypadku uprzęż bezpośrednio z czaszą. Wymagało to zupełnie innej techniki skoku i z tego względu w niedzielę rano Steiner zorganizował na farmie w Landsvoort, w starej stodole za domem, pokaz typowego brytyjskiego spadochronu.

Jego ludzie stanęli przed nim półkolem. Harvey Preston był w środku, ubrany - tak jak pozostali - w buty i kombinezon skoczka. Steiner stał przodem do nich, a Ritter Neumann i Brandt towarzyszyli mu z dwóch stron.

- Jak już wyjaśniłem, cała akcja opiera się na założeniu, że będziemy uchodzić za polską jednostkę Specjalnych Sił Powietrznych - poinformował Steiner. - Z tego powodu nie tylko będziecie wyposażeni wyłącznie w brytyjski sprzęt - macie też skakać na typowych spadochronach, jakich używają Brytyjczycy. - Zwrócił się do Rittera Neumanna. - Teraz twoja kolej.

Brandt wziął do ręki pokrowiec ze spadochronem i podniósł go w górę.

- Takich spadochronów typu X używa brytyjski desant - wyjaśnił Neumann. - Waży około dwudziestu ośmiu funtów i, jak powiedział Herr Oberst, bardzo różni się od naszych.

Brandt pociągnął za linkę i pokrowiec otworzył się, wyrzucając ze środka czaszę koloru khaki.

- Zauważcie, w jaki sposób olinowanie przymocowane jest do uprzęży za pomocą szelek - objaśnił Neumann. - Taki sam system stosuje Luftwaffe.

- Najważniejsze - wtrącił Steiner - że możecie dzięki temu manipulować spadochronem, zmieniać kierunek lotu, wpływać na sytuację w stopniu, w jakim nie było to możliwe przy spręcie, do którego jesteście przyzwyczajeni.

- Jeszcze jedno - dodał Ritter. - W naszym spadochronie środek ciężkości usytuowany jest wysoko, co oznacza, że można zaplątać się w olinowanie, jeśli nie wyskakuje się w pozycji pochylonej, o czym wszyscy wiecie. Typ X umożliwia skok na stojąco i to właśnie będziemy teraz ćwiczyć.

Skinął głową na Brandta, który powiedział:

- W porządku, stańcie tu wszyscy.

Na drugim końcu stodoły, na wysokości około piętnastu stóp, był stryszek. Przez belkę pod dachem przerzucono linę i przywiązano do niej uprząż spadochronu typu X.

- Trochę prymitywne - oznajmił beztrosko Brandt - ale wystarczy. Skaczecie ze stryszku, a kilku z nas stoi na dole i pilnuje, żeby nikt nie zrobił dziury w klepisku. Kto pierwszy?

- Chyba poproszę o ten zaszczyt - powiedział Steiner - głównie dlatego, że mam coś jeszcze do załatwienia gdzie indziej.

Ritter pomógł mu założyć uprząż, po czym Brandt i czterej inni ludzie chwycili za drugi koniec liny i wciągnęli go na poddasze. Steiner zatrzymał się przez moment na krawędzi stryszku, po czym na znak Rittera wykonał skok. Drugi koniec liny poszybował w górę, pociągając za sobą trzech ludzi, ale Brandt i sierżant Sturm, klęcząc siarczyście, zdołali go przytrzymać. Steiner upadł na klepisko, przeokożółkował jak należy i skoczył na równe nogi.

- W porządku - powiedział do Rittera. - Teraz po kolei. Wystarczy mi czasu, żeby zobaczyć, jak każdy z was to robi. Potem muszę lecieć.

Stanął za całą grupą i zapalił papierosa, podczas gdy Neumann zakładał uprząż. Gdy wciągano Oberleutnanta na poddasze, z głębi stodoły wyglądało to dość przerażająco, ale kiedy Ritter nie popisał się lądowaniem i wyłożył jak długi na plecy, rozległa się salwa śmiechu.

- Widzisz? - usłyszał Werner Briegel od szeregowego Klugla. - Oto skutki ujeżdżania tych przeklętych torped. Herr Leutnant zapomniał wszystkiego, co potrafił.

Następny był Brandt. Steiner obserwował tymczasem uważnie Prestona. Anglik miał bardzo bladą i spoconą twarz. Był wyraźnie przerażony. Trening przebiegał z różnym powodzeniem. W pewnej chwili ludzie trzymający koniec liny źle zrozumieli sygnał i puścili ją w nieodpowiednim momencie, tak że szeregowy Hagl zleciał jak worek ziemniaków z wysokości piętnastu stóp. Pozbierał się jednak, nie doznając żadnego uszczerbku.

Wreszcie przyszła kolej na Prestona. Dobry nastrój nagle prysnął.

Steiner skinął głową na Brandta.

- Wciągnąć go!

Pięciu ludzi chwyciło z zapalem za koniec liny i Preston poszybował w górę, uderzając po drodze o stryszek i kończąc podróż tuż pod dachem. Spuścili go na tyle, by stanął na krawędzi poddasza. Patrzył na nich z góry wściekłymi oczami.

- No dobra, Angliku - zawołał Brandt. - Pamiętaj, co ci powiedziałem. Skacz, kiedy dam znak.

Odwrócił się, żeby udzielić instrukcji ludziom przy linie, gdy nagle Briegel krzyknął ostrzegawczo, widząc, jak Preston leci bezwładnie w dół. Ritter Neumann rzucił się w kierunku liny. Preston zatrzymał się trzy stopy nad ziemią, kołysząc się jak wahadło. Ręce zwisały mu wzdłuż ciała, a głowa opadła na piersi.

Brandt chwycił Anglika pod brodę i spojrział mu w twarz.

- Zemdlął! - oznajmił.

- Na to wygląda - przyznał Steiner.

- Co z nim robimy, Herr Oberst? - spytał Ritter Neumann.

- Ocucić go - odparł spokojnie Steiner - i wciągnąć z powrotem na górę. Próbuje tak długo, aż nauczy się skakać albo złamie nogę. - Zasalutował, powiedział „proszę kontynuować”, po czym odwrócił się i wyszedł.

Kiedy Devlin wszedł do gospody Studley Arms, zastał tam co najmniej kilkunastu mężczyzn. Laker Armsby był jak zwykle przy kominku ze swoją harmonijką, a pozostali siedzieli wokół dwóch dużych stołów i grali w domino. Arthur Seymour wyglądał przez okno, trzymając w ręku kufel piwa.

- Niech będzie pochwalony! - przywitał ich Devlin optymistycznym tonem. Zapanowała kompletna cisza. Wszyscy, z wyjątkiem Seymoura, patrzyli w jego stronę. - Odpowiada się chyba „na wieki wieków”? - stwierdził Devlin. - No dobrze...

Usłyszał za sobą kroki i odwróciwszy się zobaczył, jak George Wilde wyłania się z zaplecza, wycierając ręce w rzeźniczy fartuch. Twarz miał poważną i opanowaną, bez śladu emocji.

- Właśnie zamykałem, panie Devlin - powiedział uprzejmie.

- Jest akurat pora, żeby się napić.

- Niestety nie. Będzie pan musiał stąd wyjść, sir.

W barze panowała zupełna cisza. Devlin włożył ręce do kieszeni i pochylił głowę, lekko się garbiąc. Kiedy znów ją podniósł, Wilde cofnął się mimo woli o krok, gdyż twarz Irlandczyka mocno zbladła, skóra na jego policzkach była napięta, a niebieskie oczy rzucały gromy.

- Ktoś stąd zaraz wyjdzie - oznajmił spokojnie Devlin - ale nie ja.

Seymour odwrócił się od okna. Jedno oko miał nadal zupełnie zamknięte, a spuchnięte wargi były w strupach. Cała twarz wyglądała jak wykrzywiona i pokrywały ją purpurowozielone sińce. Spojrzał tępo na Devlina, po czym odstawił nie dokończony piwo i powlókł się do wyjścia.

Devlin odezwał się ponownie do Wilde'a:

- Teraz się napiję, panie Wilde. Odrobinę szkockiej, bo o irlandzkiej whisky pewnie pan nigdy tutaj nie słyszał, na tym końcu swojego małego światka. I nie dam sobie wmówić, że nie ma pan pod ladą paru buteleczek dla specjalnych gości.

Wilde otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił. Poszedł na zaplecze i wrócił z butelką White Horse i małą szklanką. Nalał jedną porcję i postawił szklankę na półce obok głowy Devlina.

Devlin wyjął garść drobniaków.

- Szyling i sześć pensów - powiedział swobodnie, odliczając pieniądze na sąsiednim stole. - To normalna cena za łyk czegoś mocniejszego. Zakładam, oczywiście, że taki wzorowy, mocny filar Kościoła jak pan nie handluje gorzałą na czarnym rynku.

Wilde nic nie odpowiedział. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Devlin podniósł szklankę, obejrzał jej zawartość pod światło, a potem wylał złoty strumień na podłogę.

- Znakomicie. Całkiem mi to smakowało - powiedział, odstawivszy ostrożnie szklankę na stół.

Laker Armsby zaczął dziko rechotać, na co Devlin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dzięki, Laker. Ciebie też lubię, mój stary - powiedział i wyszedł.

Kiedy Steiner przejeżdżał gazikiem przez lądowisko, w Landsvoort padał ulewny deszcz. Zatrzymał się naprzeciw pierwszego hangaru i pobiegł się w nim schronić. Peter Gericke, ubrany w stary kombinezon, z rękami ubrudzonymi po łokcie smarem, pracował wspólnie z sierżantem z Luftwaffe i trzema mechanikami przy wymontowanym prawym silniku Dakoty.

- Peter, masz chwilę czasu?! - zawołał Steiner. - Chciałbym wiedzieć, jak idą przygotowania.

- Och, wszystko jest w najlepszym porządku.

- Żadnych problemów z silnikami?

- Najmniejszych. To silniki typu Wright Cyclon o mocy dziewięćset koni. Są pierwszorzędne i moim zdaniem mało zużyte. Demontujemy je tylko na wszelki wypadek.

- Masz zwyczaj sam pracować przy silnikach?

- Jak tylko mi pozwalają. - Gericke uśmiechnął się. - Kiedy latałem na tych maszynach w Ameryce Południowej, trzeba było samemu naprawiać silniki, bo nie miał kto tego robić.

- Wszystko gra?

- Myślę, że tak. W przyszłym tygodniu samolot ma być na nowo pomalowany. Nie musimy się z tym spieszyć. Bohmler instaluje zestaw Lichtensteina, będziemy więc mieć

dobrze rozpoznanie radarowe. Pójdzie jak po maśle. Godzinny przelot nad Morzem Północnym i godzina na powrót. Nic specjalnego.

- Samolotem, który ma maksymalną szybkość o połowę mniejszą niż większość myśliwców RAF-u czy Luftwaffe?

Gericke wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym, jak się lata, a nie z jaką prędkością.

- Chcesz mieć próbny lot, prawda?

- Tak.

- Coś mi przyszło do głowy - stwierdził Steiner. - Dobrze byłoby połączyć to z próbnymi skokami. Najlepiej którejs nocy podczas odpływu. Moglibyśmy skorzystać z plaży na północ od piaszczystego mola. Chłopcy będą mieli okazję wypróbować brytyjskie spadochrony.

- Jaką wysokość pan sugeruje?

- Chyba czterysta stóp. Nie chcę, żeby długo byli w powietrzu, a przy tej wysokości nie potrwa to dłużej niż piętnaście sekund.

- Dobrze, że ja nie muszę skakać. Robiłem to tylko trzy razy w życiu i z dużo większej wysokości. - Zadrżał z zimna, gdy zawodzący wiatr przywiał nad lądowisko nowe strugi deszczu. - Co za cholerne miejsce!

- Dobrze spełnia swoje zadanie.

- A na czym ono polega? - Steiner uśmiechnął się.

- Pytasz mnie o to co najmniej pięć razy dziennie. Nigdy nie przestaniesz?

- Chciałbym tylko wiedzieć, o co tu chodzi.

- Może pewnego dnia się dowiesz. To zależy od Radla. Na razie jesteśmy tu, bo jesteśmy.

- A Preston? - zapytał Gericke. - Ciekaw jestem, co nim kieruje? Co skłania człowieka do takiego postępowania?

- Różne powody - odparł Steiner. - Jeśli chodzi o niego, ma elegancki mundur, status oficera. Pierwszy raz w życiu jest kimś, a to wiele znaczy, gdy było się zerem. Co do innych powodów: no cóż, znalazł się tu na osobisty rozkaz Himmlera.

- A pan? - dopytywał się Gericke. - Chodzi o dobro Trzeciej Rzeszy? Oddanie życia za Fuhrera?

Steiner uśmiechnął się.

- Bóg jeden wie. Wojna to tylko kwestia punktu widzenia. Przecież gdyby to mój ojciec był Amerykaninem, a matka Niemką, znalazłbym się po drugiej stronie barykady. Co

do Pułku Spadochroniarzy... wstąpiłem do niego, bo wówczas wydawało mi się to niezłym pomysłem. Po jakimś czasie, oczywiście, człowiek się przyzwyczaja.

- Ja robię to, co robię, bo wolę latać na czymkolwiek niż nie latać wcale - przyznał Gericke. - I pewnie podobnie uważa większość tych chłopaków z RAF-u z drugiej strony Morza Pomocnego. Ale pan... - Pokręcił głową. - Nie bardzo rozumiem. Czyżby traktował pan to tylko i wyłącznie jako grę?

- Kiedyś wiedziałem, ale teraz nie jestem już pewien - odparł Steiner znużonym głosem. - Mój ojciec był żołnierzem ze starej, pruskiej szkoły. Panował tam kult krwi i oręża, ale także honoru.

- A jeśli chodzi o zadanie, które panu zlecono - ciągnął Gericke - o tę akcję w Anglii: nie ma pan żadnych wątpliwości?

- Absolutnie. Możesz mi wierzyć, że to całkowicie uczciwa wojskowa akcja. Sam Churchill nie miałby zastrzeżeń, przynajmniej co do jej założeń. - Gericke próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Steiner położył mu dłoń na ramieniu. - Wiem, są takie dni, kiedy i ja mam ochotę płakać... z powodu nas wszystkich. - Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł w deszcz.

Radl stał naprzeciw biurka w prywatnym gabinecie Reichsführera, podczas gdy Himmler zapoznawał się z jego raportem.

- Znakomicie, Herr Oberst - odezwał się wreszcie. - Doprawdy znakomicie. - Odłożył raport na biurko. - Wygląda na to, że wszystko przebiega nader pomyślnie. Miał pan wiadomości od Irlandczyka?

- Nie, tylko od pani Grey. Taka była umowa. Devlin ma pierwszorzędny radiotelefon. Zdobyliśmy ten sprzęt w brytyjskim Zarządzie Operacji Specjalnych. Dzięki niemu będziemy w kontakcie z nadpływającą łodzią torpedową. W tej fazie akcji Devlin ma odpowiadać za łączność.

- Czy admirał nie zaczął niczego podejrzewać? Nie wie w ogóle o tym, co się dzieje? Jest pan tego pewien?

- Całkowicie, Herr Reichsführer. Wyjeżdżałem do Francji i Holandii, żeby załatwić sprawy Abwehry w Paryżu i Antwerpii albo w Rotterdamie. Jak pan wie, Reichsführer, admirał zawsze pozostawiał mi sporo swobody w prowadzeniu mojego wydziału.

- Kiedy znowu jedzie pan do Landsvoort?

- W najbliższy weekend. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pierwszego lub drugiego listopada admirał wyjeżdża do Włoch. Oznacza to, że będę mógł pozostać w Landsvoort przez ostatnie, decydujące dni przygotowań, no i podczas samej akcji.

- Zapewniam pana, że wyjazd admirała do Włoch nie jest przypadkiem. - Himmler lekko się uśmiechnął. - Zasugerowałem to Fuhrerowi w stosownym momencie. W ciągu pięciu minut był przekonany, że sam wpadł na ten pomysł. - Wziął do ręki pióro. - A więc przygotowania idą dobrze, Radl. Za dwa tygodnie będzie po wszystkim. Niech mnie pan na bieżąco informuje.

Himmler zabrał się z powrotem do pracy. Radl zwilżył wyschnięte ze zdenerwowania wargi, wiedząc, że musi jeszcze o czymś napomknąć.

- Herr Reichsfuhrer. Himmler westchnął ciężko.

- Mam naprawdę sporo pracy, Radl. O co znowu chodzi?

- O generała Steinera, Herr Reichsfuhrer. Czy on... dobrze się czuje?

- Oczywiście - odparł spokojnie Himmler. - Dlaczego pan pyta?

- Pułkownik Steiner - wyjaśnił Radl, czując skurcz w żołądku - bardzo się martwi, rzecz jasna...

- Nie ma powodu - rzekł poważnie Himmler. - Dałem panu osobiste gwarancje, prawda?

- Oczywiście. - Radl wycofał się do drzwi. - Jeszcze raz dziękuję. - Odwrócił się i wyszedł najszybciej jak mógł.

Himmler pokręcił głową, westchnął z irytacją i zajął się ponownie pisaniem.

Kiedy Devlin wszedł do kościoła, kończyła się właśnie msza. Przemknął wzdłuż prawej nawy i usiadł cicho w ławce. Molly klęczała obok matki, ubrana dokładnie tak samo, jak w poprzednią niedzielę. Jej sukienka nie nosiła żadnych śladów brutalnego zachowania Arthura Seymoura. On także był obecny, w tym samym miejscu, które zwykle zajmował. Od razu zauważył Devlina. Niczego po sobie nie okazał, tylko po prostu wstał, przemknął wzdłuż ciemnej nawy i opuścił kościół.

Devlin czekał, patrząc na modlącą się Molly, która klęczała w blasku świec jak uosobienie niewinności. Po chwili otworzyła oczy i odwróciła się bardzo wolno, jakby wyczuwając jego obecność. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę szeroko otwartymi oczami, po czym znów odwróciła głowę.

Devlin opuścił kościół tuż przed końcem mszy i szybko się oddalił. Zanim wyszli pierwsi parafianie, był już przy swoim motocyklu. Siąpił deszcz, podniósł więc kołnierz trencza i czekał, usadowiwszy się na siodelku maszyny. Gdy w końcu Molly pojawiła się z matką na ścieżce, całkowicie go zignorowała. Wsiadły do dwukółki, matka wzięła do rąk lejce i odjechały.

- No tak - powiedział cicho do siebie Devlin. - Trudno mieć jej to za złe.

Kopnął starter motocykla, a potem usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, i zobaczył podążającą w jego kierunku Joannę Grey. Odezwała się niskim głosem:

- Dziś po południu przez dwie godziny siedział u mnie Philip Yereker. Chciał się poskarżyć na ciebie sir Henry'emu.

- Nie mam o to do niego pretensji.

- Nie potrafisz zachowywać się poważnie dłużej niż pięć minut? - zapytała.

- To wymaga zbyt dużego napięcia - odparł. Dalszą rozmowę uniemożliwiło przybycie państwa Willoughby.

Sir Henry był w mundurze.

- No i co, Devlin, jak leci?

- Dobrze, sir - wyrecytował Devlin z irlandzkim akcentem. - Nie wiem, jak panu dziękować za tę wspaniałą możliwość wykazania się.

Zdawał sobie sprawę, że Joanna Grey stoi z tyłu, zaciskając zęby. Ale sir Henry'emu przypadły do gustu jego słowa.

- Dobra robota, Devlin. Cieszy się pan znakomitą opinią. Znakomitą. Proszę dalej tak pracować.

Odwrócił się, żeby porozmawiać z Joanną Grey, a Devlin skorzystał z okazji i odjechał.

Kiedy dotarł do domu, deszcz lał jak z cebra, wstawił więc motocykl do najbliższej stodoły, przebrał się w nieprzemakalne buty i płaszcz, wyciągnął dubeltówkę i wyruszył na bagna. Podczas takiej ulewy należało sprawdzić śluzy, a mozolny marsz w trudnych warunkach mógł oderwać go od myślenia o innych sprawach.

Tak się jednak nie stało. Nie potrafił zapomnieć o Molly Prior. Wciąż widział ją w scenie z poprzedniej niedzieli, gdy klękała do modlitwy jakby w zwolnionym tempie, unosząc do góry sukienkę. Nie mógł odpędzić od siebie tych myśli.

- Najświętsza Panienko i wszyscy święci - powiedział cicho. - Jeżeli tak naprawdę wygląda miłość, Liam, cholernie długo musiałeś czekać, żeby się o tym dowiedzieć.

Wracając do domu po głównej grobli, poczuł w wilgotnym powietrzu intensywny zapach palonego drewna. W półmroku wieczoru widać było światło w oknie, sączące się przez niewielką szczelinę między zasłonami. Kiedy otworzył drzwi, poczuł zapach gotowanej potrawy. Odstawił dubeltówkę do kąta, powiesił nieprzemakalny płaszcz, żeby wysechł, i wszedł do salonu.

Molly klęczała na jednym kolanie obok paleniska, dokładając do ognia następną kawałek drewna. Obejrzała się i popatrzyła na niego z troską.

- Jesteś na pewno przemoczony do suchej nitki.

- Posiedzę pół godziny przed kominkiem, wleję w siebie podwójną whisky i nic mi nie będzie.

Podeszła do kredensu i wyjęła butelkę Bushmills oraz szklanę.

- Nie wylewaj tego na podłogę - poprosiła. - Spróbuj tym razem wypić.

- A więc powiedzieli ci?

- W takim miejscu niczego się nie ukryje. Robię duszoną baraninę z kartoflami i cebulą. Masz ochotę?

- Jak najbardziej.

- Będzie za jakieś pół godziny. - Podeszła do zlewu i sięgnęła po szklane naczynie. - Co się stało, Liam? Dlaczego mnie unikałeś?

Usiadł w starym fotelu, rozkładając szeroko nogi przed kominkiem. Z mokrych spodni parowała woda.

- Myślałem początkowo, że tak będzie najlepiej.

- Dlaczego?

- Miałem swoje powody.

- A co zdarzyło się dzisiaj?

- Wszystko przez tę przekłętą niedzielę. Wiesz, jak to jest.

- Niech cię diabli! - Przeszła przez pokój, wycierając ręce o fartuch i spojrzała na parujące spodnie Devlina.

- Dostaniesz zapalenia płuc, jeżeli się nie przebierzesz. Albo co najmniej reumatyzmu.

- Już nie warto - odparł. - Zaraz idę do łóżka. Jestem zmęczony. Niepewnie wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. Chwycił jej dłoń i pocałował.

- Wiesz, że cię kocham?

Przyjęła to tak, jakby zapaliło się w niej światło. Cała promieniała, rozpierała ją jakaś energia, wydawała się zupełnie odmieniona.

- Cóż, dzięki Bogu. To znaczy, że mogę przynajmniej z czystym sumieniem iść teraz z tobą do łóżka.

- Nie przyniosę ci szczęścia, dziewczyno. Nic z tego nie będzie. Ostrzegam, że nie mamy przed sobą przyszłości. Nad drzwiami tej sypialni powinien być napis: porzućcie nadzieję wszyscy, którzy tu wchodzą.

- Zobaczymy. Przyniosę ci baraninę - oświadczyła i poszła do piecyka.

Później, gdy leżał z Molly w starym mosiężnym łóżku, obejmując ją ramieniem i obserwując cienie na suficie, rzucane przez ogień z kominka, odczuwał radość i wewnętrzny

spokój, jakiego nie zaznał od lat.

Na stoliku po jej stronie łóżka stało radio. Włączyła je, a potem przyłgnęła brzuchem do uda Devlina i westchnęła, zamykając oczy.

- Och, to było cudowne. Moglibyśmy to kiedyś powtórzyć?

- Nie dasz człowiekowi złapać oddechu? - Uśmiechnęła się i przesunęła mu ręką po brzuchu.

- Biedny staruszek. Myślałby kto. Z radia słyhać było piosenkę:

...Gdy przeminą jego dni, Z ulgą wieść powita świat, Że oto z wąsikiem czart pod murawą cicho śpi...

- Będę się cieszyć, kiedy to nastąpi - powiedziała sennie Molly.

- Co?

- Kiedy czart z wąsikiem zaśnie pod murawą. To znaczy Hitler. No bo wtedy wszystko się skończy, prawda? - Przytuliła się do niego mocniej. - Co się stanie z nami, Liam? Wtedy, gdy skończy się wojna?

- Bóg raczy wiedzieć.

Devin leżał, wpatrując się w ogień. Po chwili oddech Molly stał się równomierny i wiedział, że zasnęła. „Gdy skończy się wojna...” Jaka wojna? Od dwunastu lat ciągle gdzieś walczył. Jak mógł to dziewczynie powiedzieć? Owszem, spodobała mu się jej farrna. I przydałby się tam mężczyzna. Boże, jaka szkoda! Przytulił ją mocniej, gdy okna starego domu zadrzały od podmuchów zawodzącego wiatru.

Tymczasem w Berlinie, na Prinz Albrechtstrasse, Himmler siedział nadal przy biurku, przeglądając po kolei dziesiątki sprawozdań i wykazów, dotyczących głównie szwadronów śmierci, które na okupowanych terenach Wschodniej Europy i Rosji zajmowały się likwidacją Żydów, Cyganów, chorych umysłowo i kalek oraz ludzi nie pasujących z różnych powodów do opracowanej przez Reichsführera koncepcji Wielkiej Europy.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i wszedł Karl Rossman. Himmler podniósł na niego wzrok.

- No i jak poszło?

- Przykro mi, Herr Reichsführer, ale nie przyznał się, a próbowaliśmy już wszystkiego. Zaczynam sądzić, że może jest jednak niewinny.

- To niemożliwe. - Himmler pokazał mu kartkę papieru. - Otrzymałem ten dokument dziś wieczorem. To podpisane zeznanie sierżanta artylerii, który przez dwa lata był jego ordynansem i na bezpośredni rozkaz generała - majora Karla Steinera działał w tym czasie na szkodę bezpieczeństwa państwa.

- Więc co mam robić, Herr Reichsführer?

- Wolałbym dostać zeznanie podpisane przez samego generała Steinera. To zamknęłoby sprawę. - Himmler zmarszczył lekko brwi. - Spróbujmy załatwić to psychologicznie. Doprowadźcie go do porządku, wezwijcie lekarza z SS, dajcie mu dobrze zjeść. Wiadomo, jak się to robi. Ktoś popełnił fatalną pomyłkę. Przykro nam, że musimy go jeszcze zatrzymać, ale parę kwestii wymaga nadal wyjaśnienia.

- A co potem?

- Gdzieś po dziesięciu dniach takiego traktowania znowu trzeba się za niego wziąć. Nieoczekiwanie i bez ostrzeżenia. Szok może okazać się pomocny.

- Zrobię, jak pan proponuje, Herr Reichsführer - powiedział Rossman.

Rozdział XI

W czwartek dwudziestego ósmego października, o czwartej po południu, na podwórzu przed domem w Hobs End wjechała Joanna Grey, Devlin robił coś przy motocyklu w stodole.

- Od tygodnia próbuję się z tobą zobaczyć - powiedziała z wyrzutem. - Gdzie się podziewasz?

- Kręcę się po okolicy - oświadczył beztrąsko, wycierając umazane smarem ręce w starą szmatę. - Tu i tam. Mówiłem już, że od czasu spotkania z Garvaldem nie mam nic do roboty, rozglądam się więc w terenie.

- Słyszałam - powiedziała ponuro. - Wozisz się motocyklem z Molly Prior na tylnym siodełku. We wtorek wieczorem widziano was na zabawie w Holt.

- Okazja była bardzo wzniosła - wyjaśnił. - Skrzydła dla zwycięstwa. Pojawił się nawet pani przyjaciel Yereker z płomienną mową na temat tego, jak Bóg pomoże nam zgnieść przeklętych Szwabów. Zabrzmiało to nieco ironicznie, bo w Niemczech wszędzie widywałem napisy „Bóg z nami”.

- Powiedziałam, żebyś dał jej spokój.

- Próbowałem, ale się nie udało. Czego właściwie pani ode mnie chciała? Jestem zajęty. Mam trochę kłopotów z iskrownikiem, a maszyna musi być dzisiejszej nocy w idealnym stanie na wyjazd do Peterborough.

- W Meltham House jest wojsko - oznajmiła pani Grey. - Zjawili się we wtorek wieczorem.

Devlin zmarszczył brwi.

- Meltham House? Czy to tam szkolą się ludzie z jednostek specjalnych?

- Właśnie. To około ośmiu mil od Studley Constable, przy drodze nad morzem.

- Co to za jedni?

- Amerykańscy komandosi.

- Ach, tak... Czy to ma jakieś znaczenie, że tu są?

- Właściwie nie. Jednostki, które odbywają szkolenie, zwykle się stamtąd nie ruszają. To mocno zalesiony obszar, ze słonymi bagnami i dobrą plażą. Trzeba tylko pamiętać, że tam są, nic więcej.

Devlin skinął głową.

- W porządku. Proszę poinformować o tym Radla w następnym komunikacie i w ten sposób spełni pani swój obowiązek. A teraz muszę wracać do pracy.

Pani Grey odwróciła się, żeby pójść do samochodu, ale przystanąła jeszcze na moment.

- Ten Garvald mi się nie podoba.

- Mnie też, ale niech się pani nie martwi, moja droga. Jeśli okaże się świnią, to jeszcze nie dzisiaj, dopiero jutro.

Wsiadła do samochodu i odjechała, a Devlin zabrał się znów za naprawianie motocykla. W dwadzieścia minut później od strony bagien zjawiała się na koniu Molly z koszykiem przytroczonym do siodła. Zeskoczyła na ziemię i przywiązała wierzchowca do metalowego pierścienia w ścianie nad korytem. - Przywiozłam ci zapiekankę.

- Od ciebie czy od mamy? - Rzuciła w niego patykiem, ale zrobił unik. - Będzie musiała poczekać. Dziś wieczorem wychodzę. Włóż mi ją do piecyka. Odgrzeję sobie, kiedy wrócę.

- Mogę jechać z tobą?

- Nie ma mowy. To za daleko. A poza tym załatwiam interesy. - Klepnął ją po siedzeniu. - Marzę o filiżance herbaty, a nawet dwóch, więc niech pani tego domu ruszy się i nastawi czajnik.

Próbował ją złapać, ale wyinknęła się, chwyciła koszyk i pobiegła - do domu. Devlin jej nie gonił. Weszła do salonu i postawiła koszyk na stole. Na jego drugim końcu leżała torba Devlina. Kiedy odwróciła się, żeby podejść do piecyka, potrafiła ją lewą ręką i zrzuciła na podłogę. Torba otworzyła się, wypadły z niej paczki banknotów i części stena.

Przyklękła obok, początkowo oszołomiona, a potem zmrożona nagłą świadomością, że od tej chwili nic już nie będzie tak, jak było.

Usłyszała kroki w drzwiach i spokojny głos Devlina:

- Włóż to wszystko grzecznie na miejsce, dobrze?

Podniosła na niego wzrok. Była blada, ale jej głos zabrzmiał ostro. - Co to jest? Co to znaczy?

- Nic - odparł. - To nie dla małych dziewczynek.

- Ale te wszystkie pieniądze...

Wzięła do ręki plik pięciofuntowych banknotów. Devlin odebrał jej torbę, wepchnął z powrotem do środka pieniądze i broń i włożył na miejsce podwójne dno. Potem otworzył szafkę pod oknem, wyjął z niej dużą kopertę i rzucił w kierunku Molly.

- Numer dziesięć. Dobrze trafiłem?

Otworzyła kopertę, zajrzała do środka i natychmiast na jej twarzy pojawił się lęk.

. - Jedwabne pończochy! Z prawdziwego jedwabiu, i to aż dwie pary! Skąd je, u licha,

wzięteś?

- Och, dostałem od człowieka, którego spotkałem w gospodzie w Fakenham. Wszystko można zdobyć, jeżeli się wie, gdzie szukać.

- Czarny rynek! - zawołała. - A więc w to jesteś zamieszany, tak? W jej oczach pojawiło się coś w rodzaju ulgi. Devlin uśmiechnął się.

- Podoba mi się ten kolor. Mogłabyś teraz zrobić szybko herbatę? Chcę wyjechać przed szóstą, a mam jeszcze robotę przy motocyklu.

Stała przez chwilę niezdecydowana, ściskając w dłoniach pończochy, po czym przytuliła się do niego.

- Liam, wszystko jest dobrze, prawda?

- A czemu miałyby nie być? - Pocałował ją szybko, odwrócił się i odszedł, przeklinając własną głupotę.

Idąc w stronę stodoły czuł w głębi duszy, że coś się jednak stało. Po raz pierwszy dotarło do niego w pełni, jaką krzywdę wyrządza tej dziewczynie. Za parę dni runie cały jej świat. Było to absolutnie nieuniknione i nie mógł temu w żaden sposób zapobiec. Musiał ją zostawić, aby cierpiała w samotności.

Poczuł nagle, że robi mu się niedobrze, i kopnął ze złością drewnianą skrzynkę.

- Ech, ty draniu - wyrzucił z siebie. - Ależ z ciebie cholerny drań, Liam!

Reuben Garvald otworzył drzwiczki w głównej bramie warsztatu Fogarty'ego i wyrzwał na zewnątrz. Deszcz zacinał w splekany beton podwórza, na którym stały samotnie dwie zardzewiałe pompy benzynowe. Reuben zamknął pośpiesznie drzwiczki i wszedł z powrotem do środka.

Warsztat mieścił się w dawnej stodole i był zaskakująco przestronny. Drewniane schody prowadziły na poddasze. Mimo że w jednym rogu stała zdezelowana limuzyna, było tam jeszcze dość miejsca na trzytonowego Bedforda i furgonetkę, które Garvald i jego brat przywieźli z Birmingham. Ben Garvald chodził niecierpliwie tam i z powrotem, od czasu do czasu zabijając w dłonie dla rozrywki. Chociaż miał na sobie gruby płaszcz i szalik, było mu przeraźliwie zimno.

- Chryste, co za buda! - stwierdził ze skargą w głosie. - Nie widać jeszcze tego irlandzkiego skurwysyna?

- Dopiero za kwadrans dziewiąta, Ben - zauważył Reuben.

- Nie obchodzi mnie pieprzona godzina. - Garvald zwrócił się do rosłego, krzepkiego chłopaka w skórzanej lotniczej kurtce, który czytał gazetę, opierając się o ciężarówkę. - Jak nie załatwisz mi tu na jutrzejszą noc jakiegoś ogrzewania, Sammy, oberwę ci jaja.

Zrozumiałeś?

Sammy, który miał długie, ciemne bokobrody i niewzruszoną twarz o dość groźnym wyglądzie, nie wydawał się tym przejęty.

- W porządku, panie Garvald. Zrobi się.

- Załatw to, kochasiu, bo jak nie, odeślę cię z powrotem do wojska. - Poklepał go po twarzy. - Nie miałbyś na to ochoty, prawda?

Wydobył paczkę papierosów Gold Flake i wyciągnął jednego, a Sammy z niewzruszonym uśmiechem podał mu ogień.

- Z pana to jest gość, panie Garvald. Nie byle jaki gość. - Od strony drzwi rozległo się alarmujące wołanie Reubena.

- Wjechał właśnie na podwórze! Garvald szarpnął Sammy'ego za ramię. - Otwórz bramę i wpuść tego skurwiela.

Kiedy Devlin wjeżdżał, do garażu wdarł się silny podmuch wiatru ze strugami deszczu. Oprócz trencza miał na sobie nieprzemakalne getry, starą skórzaną pilotkę i gogle, które kupił w sklepie z używanymi rzeczami w Fakenham. Jego twarz była tak umorusana, że kiedy wyłączył silnik i podniósł gogle, wokół oczu miał wielkie białe koła.

- Paskudna noc, panie Garvald - odezwał się, stawiając motocykl na nóżkach.

- Noce zawsze są paskudne, mój synu - odparł jowialnie Garvald. - Miło cię widzieć. - Wymienili serdeczny uścisk dłoni. - Reubena już znasz, a to Sammy Jackson, jeden z moich chłopaków. Przywiózł ci Bedforda.

Brzmiało to tak, jakby Jackson wyświadczył mu wielką, osobistą przysługę, Devlin odpowiedział więc uprzejmie, starając się, jak zwykle, udawać Irlandczyka.

- Jestem ogromnie wdzięczny. To bardzo ładnie z pana strony - rzekł, ściskając Sammy'emu rękę.

Jackson obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, zdobył się jednak na uśmiech.

- No dobrze - stwierdził Garvald. - Mam jeszcze inne sprawy do załatwienia, a ty też pewnie nie chcesz tracić czasu. Oto twoja ciężarówka. Jak ci się podoba?

Bedford niewątpliwie pamiętał jeszcze lepsze czasy. Wyblakła farba odpryskiwała w wielu miejscach, ale opony były niezłe, a brezentowa plandeka wyglądała na prawie nową. Devlin zajął do skrzyni i zauważył w niej to, o co prosił: wojskowe kanistry, kompresor i puszkę farby.

- Wszystko wedle życzenia. - Garvald poczęstował go papierosem. - Sprawdź paliwo, jeśli chcesz.

- Nie ma potrzeby. Wierzę panu na słowo.

Był pewien, że Garvald nie próbowałby żadnych sztuczek z paliwem. Zależało mu w końcu, żeby wrócił następnego wieczoru. Obszedł wóz i podniósł maskę. Silnik prezentował się całkiem dobrze.

- Spróbuj zapalić - zachęcał Garvald.

Włączył zapłon i nacisnął gaz. Tak jak się spodziewał, silnik zagrał równomiernie. Garvald chciał zapewne dowiedzieć się dokładnie, co Devlin knuje, więc na tym etapie nie podsuwałby mu wybrakowanego towaru, żeby nie popsuć sobie interesów.

Devlin zeskoczył na ziemię i obejrzał ciężarówkę raz jeszcze, zauważając wojskową rejestrację.

- W porządku? - zapytał Garvald.

- Chyba tak. - Delvin z namysłem skinął głową. - Wygląda na to, że ten wóz przeszedł swoje pod Tobrukiem albo gdzie indziej.

- Bardzo możliwe, synu. - Garvald kopnął w oponę. - Ale te maszyny mają mocną konstrukcję.

- Ma pan list przewozowy, o który prosiłem?

- Jasne. Garvald strzelił palcami. - Daj no ten druk, Reuben. Reuben wyjął z portfela kawałek papieru, mówiąc ponurym tonem:

- Kiedy zobaczymy forszę?

- Nie bądź taki, Reuben. Pan Murphy to solidna firma.

- Nie, ma całkowitą rację, musi być coś za coś. - Devlin wyjął z kieszeni na piersiach kopertę i podał ją Reubenowi. - Jest tam siedemset pięćdziesiąt funtów w banknotach po pięć, zgodnie z umową.

Rzucił okiem na druk, który wręczył mu Reuben, i schował go do kieszeni.

- Nie masz zamiaru tego wypełnić? - spytał Ben Garvald. Devlin postukał się wymownie po nosie, robiąc minę cwaniaka.

- Żebyście zobaczyli, dokąd jadę? Ani mi się śni, panie Garvald. Garvald roześmiał się rozbawiony, kładąc Devlinowi rękę na ramieniu.

- Jeżeli ktoś pomoże mi wstawić motor na ciężarówkę, mógłbym już jechać - oznajmił Irlandczyk.

Garvald skinął głową na Jacksona, który opuścił tylną klapę skrzyni Bedforda i znalazł starą deskę. Razem z Devlinem wepchali motocykl na górę i położyli na boku. Devlin zatrzasnął klapę i zwrócił się do Garvalda.

- W porządku, panie Garvald. Jutro o tej samej porze.

- Miło robi się z tobą interesy, synu. - odparł Garvald, znowu ściskając mu dłoń. -

Otwórz bramę, Sammy.

Devlin wgramolił się za kierownicę i włączył silnik, po czym wysunął głowę przez okienko.

- Jeszcze jedno, panie Garvald. Mam nadzieję, że żandarmeria nie będzie mi deptać po piętach?

- Czy zrobiłbym ci taki numer, synu? - Twarz Garvalda rozpromieniła się. - Sam powiedz! - Uderzył dłonią w karoserię ciężarówki. - Do zobaczenia jutro wieczorem. Wszystko tak samo. Czas i miejsce bez zmian. I dostaniesz ode mnie jeszcze jedną butelkę Bushmills.

Devlin odjechał w ciemność, a Sammy Jackson i Reuben zamknęli bramę. Z twarzy Garvalda zniknął uśmiech.

- Teraz wszystko w rękach Freddy'ego.

- A co będzie, jeżeli go zgubi? - spytał Reuben.

- Pozostaje jeszcze jutrzejszy wieczór, nie?- Garvald poklepał go po policzku. - Gdzie jest ta połówka brandy, którą przyniosłeś?

- Zgubić go? - odezwał się Jackson. - Tego gnojka? - Zaśmiał się chrapliwie. - Boże, on by przecież nie trafił sam nawet do toalety.

Ujechawszy ćwierć mili Devlin zobaczył za sobą tak jak się spodziewał przygaszone światła samochodu, który mniej więcej minutę wcześniej wyruszył za nim z bocznej drogi.

Po lewej stronie wyłoniły się z mroku ruiny starego wiatraka. Naprzeciw nich był kawałek otwartej przestrzeni. Devlin wygasił nagle wszystkie światła, skręcił kierownicę, wjechał po ciemku na pusty teren i zatrzymał wóz. Jadący z tyłu samochód minął go, nabierając szybkości. Devlin zeskoczył tymczasem na ziemię, podszedł do ciężarówki od tyłu i wykręcił żarówkę tylnego oświetlenia. Potem usiadł znowu za kierownicą, wyjechał z powrotem na drogę i włączył światła dopiero wtedy, gdy wracał już do Norman Cross.

Ćwierć mili od warsztatu Fogarty'ego skręcił w prawo w boczną drogę o numerze B660, przejechał przez Holme i zatrzymał się piętnaście minut później w pobliżu Doddington, żeby wkręcić z powrotem żarówkę. Wróciwszy do kabiny wyciągnął formularz listu przewozowego i wypełnił go w świetle latarki. Drucek miał pod spodem oficjalną pieczęć jednostki Korpusu Transportu, stacjonującej koło Birmingham, oraz podpis dowódcy, majora Thrusha. Garvald pomyślał o wszystkim. No, chyba niezupełnie. Devlin szeroko się uśmiechnął i wpisał jako cel podróży stację radarów RAF-u w Sheringham, leżącą przy drodze nad morzem dziesięć mil za Hobs End.

Po chwili usiadł ponownie za kierownicą i pojechał dalej. Mijał najpierw Swaffham,

potem Fakenham. Trasę miał starannie opracowaną na mapie. Jechał wygodnie oparty, nie spiesząc się, gdyż z powodu zaciemniających daszków reflektory dawały niewiele światła. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Dysponował mnóstwem czasu. Zapalił papierosa i pomyślał, jak też czuje się Garvald.

Tuż po północy wjechał na podwórze przed domem w Hobs End. Podróż okazała się nader monotonna i chociaż odważył się korzystać prawie wyłącznie z głównych dróg, napotkał na całej trasie zaledwie kilka pojazdów. Podjechawszy do starej stodoły na samym skraju bagien wyskoczył w ulewnym deszczu, żeby otworzyć zamknięte na kłódkę wrota. Następnie rozwarł je i wprowadził ciężarówkę do środka.

Zaciemnienie dwóch okrągłych okienek na poddaszu nie nastęczało żadnych trudności. Zalał dwie lampy naftowe, podkręcił je tak, by dawały wystarczająco dużo światła, i wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nic nie widać. Potem wrócił do środka i zdjął płaszcz.

Rozładował ciężarówkę w ciągu pół godziny. Sprowadził motocykl po starej desce i w ten sam sposób zsunął na ziemię kompresor. Kanistry ułożył w kącie, przykrywając je starą plandeką. Następnie umył ciężarówkę, a kiedy była już wystarczająco czysta, przyniósł przygotowane zawnazs gazety i taśmę klejącą i zabrał się do zasłaniania pkien. Robił to bardzo starannie i z dużą uwagą, a kiedy skończył, poszedł do domu, by zjeść trochę zapiekanki przyniesionej przez Molly i wypić szklankę mleka.

Gdy biegł z powrotem do stodoły, padał wciąż ulewny deszcz, z gniewnym świstem uderzając w powierzchnię moczarów i wypełniając noc różnymi odgłosami. Warunki były wręcz idealne. Nabił kompresor, zalał pompę i przekręcił silnik, po czym złożył sprzęt do rozpylania i rozmieszał trochę farby. Zaczął od kłapy skrzyni, nie spiesząc się, ale szło mu doprawdy znakomicie i w ciągu pięciu minut kłapę pokrywała nowa, błyszcząca powłoka w kolorze khaki.

- Wielkie nieba! - mruknął do siebie. - Dobrze, że nie mam przestępczych skłonności, bo słowo daję, że mógłbym z tego żyć.

Przeszedł na lewą stronę i zabrał się za malowanie bocznych ścian skrzyni.

W piątek wczesnym popołudniem Devlin poprawiał białą farbą numery na ciężarówce, gdy usłyszał nadjeżdżający samochód. Wytarł ręce i szybko wyszedł ze stodoły, ale kiedy dotarł za róg domu, okazało się, że to tylko Joanna Grey. Próbowała właśnie otworzyć frontowe drzwi. W zielonym mundurze Żeńskiej Służby Ochotniczej wyglądała stylowo i zaskakująco młodo.

- W tym stroju zawsze jest pani najlepiej - stwierdził. - Założę się, że starszek Henry

chodzi po ścianach z zachwytu.

Uśmiechnęła się.

- Ty w każdym razie jesteś w niezłym nastroju. Pewnie wszystko dobrze poszło?

- Chce pani zobaczyć?

Otworzył wrota stodoły i wprowadził ją do środka. Bedford, pomalowany świeżo na kolor khaki, prezentował się doprawdy znakomicie.

- O ile mi wiadomo, na pojazdach jednostek specjalnych nie figurują zwykle żadne znaki ani insygnia dywizji. Czy to prawda?

- Prawda - odparła. - Wozy wyjeżdżające z Meltham House nigdy nie były oznakowane. - Dzieło Devlina najwyraźniej zrobiło na niej wrażenie. - Naprawdę dobrze się spisalesz, Liam. Miałeś jakieś problemy?

- Nasłał kogoś, żeby mnie śledził, ale szybko się go pozbyłem. Do wielkiej konfrontacji dojdzie pewnie dziś wieczorem.

- Dasz sobie radę?

- Z tym powinienem. - Podniósł szmaciane zawiniątko, leżące na skrzynce obok pędzli i puszek z farbą, rozwinął je i wyjął mauzera z dość dziwną lufą w kształcie cebuli. - Widziała pani kiedyś coś takiego?

- Raczej nie. - Ważyła broń w lewej ręce z zawodowym zainteresowaniem, po czym spróbowała ją wycelować.

- Używa tego czasem służba bezpieczeństwa SS - wyjaśnił Devlin - ale nie jest to rzecz ogólnie dostępna. To jedyna naprawdę skuteczna ręczna broń z tłumikiem, jaką znam.

- Będziesz zdany wyłącznie na siebie - powiedziała niepewnie.

- Już tak bywało. - Zawinął mauzera z powrotem w kawałek materiału i odprowadził Joannę Grey do drzwi. - Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, około pomocy powinienem wrócić z dżipem. Zaraz rano się u pani zjawię.

- Chyba się nie doczekam.

Jej twarz była spięta i pełna niepokoju. Odruchowo wyciągnęła rękę, a Devlin przytrzymał ją przez chwilę w mocnym uścisku.

- Proszę się nie martwić. Wszystko pójdzie dobrze. Mam dar jasnowidzenia i potrafię przewidywać przyszłość. Tak przynajmniej mówiła moja babcia.

- Ty łotrze! - powiedziała i pochyliła się, całując go w policzek w przyływie sympatii. - Zastanawiam się czasem, jakim cudem jeszcze żyjesz.

- To proste - odparł. - Wszystko dlatego, że nigdy się tym specjalnie nie przejmowałem.

- Mówisz, jakbyś naprawdę tak myślał.

- Do jutra. - Uśmiechnął się uspokajająco. - Będę zaraz rano. Przekona się pani.

Patrzył, jak odjeżdża, a potem kopnięciem zamknął za sobą drzwi do stodoły i włożył do ust papierosa.

- Możesz już wyjść - zawołał.

W chwilę później z sitowia po drugiej stronie podwórza wyłoniła się Molly. Była zbyt daleko, żeby cokolwiek usłyszeć, dlatego pozwolił jej tam zostać. Zamknął wrota na kłódkę, a potem do niej podszedł. Zatrzymał się w odległości jednego jarda, trzymając ręce w kieszeniach.

- Moja najśłodsza Molly - odezwał się łagodnie. - Bardzo cię kocham, ale spróbuj jeszcze raz takich podchodów, a złożę ci tę twoją cielecą skórę tak, że długo popamiętasz.

Rzuciła mu się na szyję.

- Obiecujesz?

- Nie masz za grosz wstydu! - Spojrzała na Liama, ciągle go obejmując.

- Mogę przyjść dzisiaj w nocy?

- Nie możesz, bo mnie tu nie będzie - odparł i dodał, częściowo zgodnie z prawdą: - Jadę do Peterborough załatwić swoje sprawy i wrócę dopiero o świcie. Przystąpił ją palcem w czubek nosa. - I ma to zostać między nami. Nikomu ani słowa.

- Znowu jedwabne pończochy? - spytała. - Czy tym razem szkocka?

- Podobno jankesi płacą pięć funciaków za butelkę.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. - Na jej twarzy malował się niepokój. - Czemu nie możesz być miły i normalny, jak wszyscy?

- Chciałabyś tak szybko wpędzić mnie do grobu? - Obrócił ją w przeciwną stronę. - Idź nastawić czajnik, a jeżeli będziesz grzeczna, pozwolę, żebyś zrobiła coś do zjedzenia.

Uśmiechnęła się przelotnie, odwracając głowę. Wyglądała w tym momencie doprawdy czarująco. Potem pobiegła do domu. Devlin włożył papierosa z powrotem do ust, ale nie starał się nawet go zapalić. Pomruk odległego grzmotu zwiastował kolejną ulewę. „Jeszcze jedna jazda w deszczu”. Westchnął i poszedł przez podwórze w ślad za Molly.

W warsztacie Fogarty'ego panował jeszcze większy ziąb niż poprzedniej nocy, chociaż Sammy Jackson, starając się zapewnić ogrzewanie, porobił dziury w starej puszcze po oleju i rozpalił koks. Dym, jaki przy tym powstawał, był zaiste imponujący. Ben Garvald, który stał obok z opróżnioną do połowy butelką brandy w jednej ręce i plastikowym kubkiem w drugiej, cofnął się gwałtownie.

- Co ty robisz, do cholery? Chcesz mnie otruć?

Jackson, siedzący na skrzynce po drugiej stronie ognia, odłożył trzymaną na kolanach strzelbę z podwójną, odpiłowaną lufą i wstał.

- Przepraszam, panie Garvald. To ten koks. Jest cholernie mokry, w tym cały problem.

Nagle usłyszeli wołanie Reubena, który stał przy drzwiczkach w bramie.

- Już, chyba jedzie!

- Zabierz to z drogi - polecił pospiesznie Garvald. - I pamiętaj, że masz czekać, aż ci powiem. - Nalał jeszcze do plastikowego kubka trochę brandy i uśmiechnął się szeroko. - Chcę mieć z tego przyjemność, Sammy. Postaraj się, żeby tak było.

Sammy włożył dubeltówkę pod leżący obok niego na skrzyni kawałek worka i w pośpiechu zapalił papierosa. Wsłuchiwali się w coraz wyraźniejszy odgłos silnika nadjeżdżającego pojazdu, który jednak minął ich i zniknął gdzieś w mroku nocy.

- Na miłość boską - powiedział z niechęcią Garvald. - To nie on. Która godzina?

Reuben spojrzął na zegarek.

- Punkt dziewiąta. Lada chwila powinien tu być.

Nie mieli pojęcia, że Devlin w istocie już tam był. Stał na deszczu z tyłu budynku przy pozbawionym szyb oknie, które zabito prowizorycznie deskami. Przez szparę nie widział zbyt wiele, obejmował jednak wzrokiem Garvalda i Jacksona, którzy znajdowali się w pobliżu koksownika. No i oczywiście słyszał wszystko, o czym mówiono w ciągu ostatnich pięciu minut.

- Słuchaj, Sammy, póki czekamy, mógłbyś właściwie zrobić coś pożytecznego - odezwał się Garvald. - Wlej do dzipa ze dwa kanistry, żebyś miał na powrót do Brum.

Devlin wycofał się i wy dostał przez podwórze, przechodząc ostrożnie między wrakami kilku samochodów, dotarł do głównej szosy i przebiegł wzdłuż niej ćwierć mili w kierunku bocznej drogi, przy której zostawił motocykl.

Rozpiął poły trencza, wyjął mauzera i sprawdził go w świetle reflektora. Zadowolony z wyniku oględzin wcisnął broń z powrotem, nie zapinając jednak płaszcz, po czym wrócił na siodełko maszyny. Nie odczuwał wcale strachu. Był, co prawda, trochę podekscytowany, ale dzięki temu mógł sprawnie działać. Kopnął starter i wyjechał na drogę.

Tymczasem w warsztacie Jackson skończył właśnie napełniać bak dzipa, gdy wyglądający przez drzwiczki Reuben ponownie się odwrócił i obwieścił podekscytowanym głosem:

- To on! Tym razem na pewno. Właśnie wjechał na podwórze.

- Dobra, otworzymy bramę i wpuścimy go - polecił Garvald.

Dął tak silny wiatr, że wjazd Devlina spowodował potężny przeciąg, skutek którego

palący się koks zaczął trzaskać jak wysuszone drewno. Devlin wyłączył silnik i postawił motocykl na nóżkach. Jego twarz była oblepiona błotem i wyglądała jeszcze gorzej niż poprzedniej nocy. Ale kiedy podniósł gogle, zobaczyli, że jest radośnie uśmiechnięty.

- Witam, panie Garvald.

- Znowu się spotykamy. - Garvald podał mu pół butelki brandy. - Wygląda na to, że łyk czegoś mocniejszego dobrze ci zrobi.

- Nie zapomniał pan o Bushmills?

- Oczywiście, że nie. Reuben, wyciągnij z furgonetki te dwie butelki irlandzkiej whisky dla pana Murphy'ego.

Devlin pociągnął szybko z flaszki łyk brandy, a tymczasem Reuben poszedł do furgonetki i wrócił z dwoma butelkami Bushmills, które oddał bratu.

- Masz, przyjacielu, zgodnie z obietnicą. - Garvald podszedł do dżipa i położył butelki na siedzenie obok kierowcy. - A więc wczoraj wieczorem wszystko poszło gładko?

- Bez najmniejszych problemów - zapewnił go Devlin. Podszedł do dżipa. Jego karoseria, podobnie jak w przypadku Bedforda, wymagała zdecydowanie świeżej warstwy farby, ale poza tym był w porządku. Miał brezentową plandekę u góry, odkryte boki i podpórkę na karabin maszynowy. W odróżnieniu od reszty wozu tablica rejestracyjna było świeżo pomalowana i kiedy Devlin dobrze się jej przyjrzał, zobaczył pod spodem ślady innej rejestracji.

- Jedna sprawa, panie Garvald - odezwał się. - Czy podobny samochód nie zniknął przypadkiem z którejś bazy lotniczej jankesów?

- Słuchaj no, ty... - wtrącił gniewnie Reuben. Devlin przerwał mu.

- Prawdę mówiąc, panie Garvald, wczoraj wieczorem wydawało mi się w pewnym momencie, że ktoś próbuje mnie śledzić. To chyba nerwy. Skończyło się na podejrzeniach.

Obrócił się z powrotem w stronę dżipa i raz jeszcze pociągnął szybki łyk z butelki. Garvald, który dotąd z trudem hamował gniew, nie wytrzymał.

- Wiesz, czego ci trzeba?

- Cóż takiego? - zapytał cicho Devlin. Obrócił się, nadal trzymając butelkę brandy, lecz prawą rękę zaciskał na klapie trencza.

- Lekcji dobrego wychowania, kochasiu - oznajmił Garvald. - Trzeba dać ci nauczkę i ja to zrobię. - Pokręcił głową. - Powinieneś trzymać się swoich bagien.

Zaczął rozpinąć płaszcz.

- Naprawdę, tak pan uważa? - zapytał Devlin. - No dobrze, ale zanim pan zacznie, chciałbym, żeby nasz przyjaciel Sammy powiedział, czy ta strzelba, którą trzyma pod

workiem, jest odbezpieczona. Bo jeżeli nie, będzie w nie lada tarapatach.

W tej jednej sekundzie Ben Garvald uświadomił sobie nagle bez cienia wątpliwości, że popełnił właśnie największy błąd swojego życia.

- Załatw go, Sammy! - krzyknął.

Jackson okazał się nawet szybszy, gdyż zdążył już chwycić leżącą pod workiem dubeltówkę - ale i tak było za późno. Kiedy raptownie odwoził kciukiem kurki strzelby, Devlin zdążył włożyć rękę pod trencz i wyciągnąć broń. Mauzer z tłumikiem wystrzelił prawie bezgłośnie, a kula strzaskała lewe ramię Jacksona, obracając go wokół własnej osi. Drugi strzał, po którym poleciał głową na stojący w kącie wrak samochodu, zgruchotał mu kręgosłup. W przedśmiertnym skurczu zacisnął palec na spuście i dubeltówka wystrzeliła z obu luf w ziemię.

Bracia Garvald zaczęli powoli wycofywać się w kierunku drzwi. Reuben trząsał się ze strachu, a Ben wypatrywał czujnie jakiejś możliwości wyjścia z opresji.

- Ani kroku dalej - nakazał im Devlin. Choć był niewysokiego wzrostu i wyglądał niepozornie w starej pilotce, goglach i zupełnie przemoczonym płaszczu, wydawał się ogromnie niebezpieczny, kiedy tak stał naprzeciwko nich po drugiej stronie ogniska, trzymając w ręku mauzera z pękatym tłumikiem.

- W porządku, popełniłem błąd - odezwał się Garvald.

- Gorzej. Nie dotrzymał pan słowa - stwierdził Devlin. - A w moich rodzinnych stronach mamy doskonały sposób na tych, którzy nas zawodzą.

- Na litość boską, Murphy...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż rozległ się kolejny głuchy odgłos strzału. Kula Devlina rozłupała prawe kolano Garvalda. Ze stłumionym okrzykiem cofnął się aż do drzwi i upadł na ziemię. Zwinął się, ściskając dłońmi kolano, a między palcami tryskała mu krew.

Reuben skulił się, chowając głowę i instynktownie zasłaniając się rękami. Spędził w tej pozycji kilka najgorszych chwil swego życia, a kiedy wreszcie odważył się podnieść wzrok, zobaczył, jak Devlin przystawia do boku dżipa starą deskę. Potem widział, że Irlandczyk wprowadza po niej motocykl i lokuje go z tyłu wozu.

Zrobiwszy to, podszedł do wrót warsztatu i otworzył jedno ich skrzydło. Następnie strzelił palcami na Reubena.

- List przewozowy!

Reuben drżącą ręką wydobył go z portfela i podał mu. Devlin sprawdził szybko, czy dokument jest w porządku, a potem wyjął kopertę i rzucił ją Garvaldowi pod nogi.

- Siedemset pięćdziesiąt funciaków, żeby wyrównać rachunki. Mówiłem panu, że

dotrzymuję słowa. Pan też mógłby kiedyś tego próbować.

Wsiadł do dzipa, nacisnął starter i odjechał w mrok.

- Drzwi! - powiedział Garvald do brata przez zaciśnięte zęby. Zamknij te cholerne wrota, bo inaczej zleca się tu gliny z całej okolicy, żeby sprawdzić, po co palimy światło.

Reuben zrobił, co mu kazano, a potem odwrócił się, żeby ocenić sytuację. W powietrzu unosiła się mgielka niebieskiego dymu i swąd kordytu.

Reuben wzdrygnął się.

- Kim jest ta kanalia, Ben?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. - Garvald ściągnął biały jedwabny szalik, który nosił na szyi. - Zabandażuj tym to cholerne kolano.

Reuben patrzył na ranę oniemiały z przerażenia. Kula karabinu 7.63 mm przeszła na wylot, pozostawiając rozerwaną rzepekę kolanową. Z krwawej miazgi sterczały odłamki białych kości.

- Chryste, Ben, to wygląda fatalnie. Musisz jechać do szpitala!

- Jak cholera. Spróbuj tylko odwieźć mnie na pogotowie z raną postrzałową, to ściągną ci gliniarzy tak szybko, że nie zdążysz się obejrzeć. - Twarz miał zlaną potem. - No już, zabandażuj to. na miłość boską!

Reuben zaczął owijać szalikiem strzaskane kolano.

- Co z Sammym, Ben?

- Zostaw go tam, gdzie jest. Na razie przykryj go tylko brezentem. Jutro możesz poprosić paru chłopaków, żeby go stąd zabrali. - Zaklął, kiedy Reuben zacisnął szalik. - Pospiesz się i uciekajmy stąd.

- Dokąd, Ben?

- Pojedziemy prosto do Birmingham. Możesz mnie zabrać do kliniki w Aston. Tej, którą prowadzi ten hinduski lekarz. Jak on się nazywa?

- Das? O niego ci chodzi? - Reuben pokręcił głową. - On się zajmuje usuwaniem ciąży, Ben. Tobie się nie przyda.

- Jest lekarzem, nie? - stwierdził Ben. - Pomóż mi wstać i wynośmy się stąd.

Devlin wjechał na podwórze w Hobs End pół godziny po północy. Noc była koszmarna; dał porywisty wiatr i padał ulewny deszcz. Kiedy otworzył zamknięte na kłódkę wrota stodoły i wjechał do środka, musiał potem wyteńczyć siły, by ponownie je zamknąć.

Zapalił naftowe lampy i sprowadził motocykl z dzipa. Był zmęczony i potwornie zziębnięty, nie dość jednak zmęczony, by zasnąć. Zapalił papierosa i zaczął chodzić tam i z powrotem, dziwnie nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

W stodole panowała cisza. Jedynie deszcz bębnił o dach i słychać było syczenie naftowych lamp. Nagle w porywie wiatru otworzyły się drzwi i weszła Molly, zamykając je za sobą. Ubrana była w swój stary trencz, botki i chustę na głowie. Wszystko miała przemoczone do suchej nitki i trzęsła się z zimna, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Podeszła do dżipa, ze zdziwieniem unosząc brew.

Wpatrywała się w Devlina w milczeniu.

- Liam? - zagadnęła.

- Obiecałaś - odezwał się. - Miałaś się więcej nie wtrącać. Dobrze wiedzieć, jak dotrzymujesz słowa.

- Przepraszam, ale byłam taka przerażona, a teraz to wszystko... - Wskazała ręką na pojazdy. - Co to ma znaczyć?

- Nic ci do tego - odparł szorstko. - Jeśli o mnie chodzi, możesz się stąd wynosić. Chcesz, zadzwoń na policję. Rób, jak uważasz.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Jej usta poruszały się bezgłośnie.

- No już! - krzyknął. - Tego zdaje się chcesz. Skończ z tym! - Rzuciła mu się w ramiona i wybuchnęła płaczem.

- Nie, Liam, nie odtrącaj mnie! Obiecuję, że nie będę o nic więcej pytać ani mieszać się do twoich spraw, tylko pozwól mi zostać!

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak podle. Trzymając ją w ramionach odczuwał niemal fizyczny wstręt do samego siebie. Ale to pomogło. Był pewien, że Molly nie sprawi mu więcej kłopotów.

Pocałował ją w czoło.

- Jesteś przemarznięta. Idź do domu i rozpal ogień. Przyjdę za parę minut.

Popatrzyła na niego badawczo, a potem odwróciła się i poszła. Devlin westchnął, podszedł do dżipa i wziął do ręki jedną butelkę Bushmills. Wyciągnąwszy korek, pociągnął sobie spory łyk.

- Twoje zdrowie, Liam, mój stary - powiedział z bezgranicznym smutkiem.

Ben Garvald leżał z zamkniętymi oczami na zaścielonym stole w niewielkiej sali operacyjnej kliniki w Aston. Reuben stał obok, a Das - ubrany w nieskazitelnie biały fartuch wysoki Hindus o trupio bladej twarzy - przecinał chirurgicznymi nożyczkami nogawkę spodni.

- Czy to poważna rana? - spytał drżącym głosem Reuben.

- Tak, bardzo - odparł ze spokojem Das. - Potrzebny mu pierwszorzędny chirurg, bo inaczej będzie kaleką. I może się wdać zakażenie.

- Słuchaj no, sakramencki konowale - odezwał się Ben Garvald otwierając oczy. - Na tej szpanerskiej mosiężnej tabliczce na drzwiach jest napisane „internista i chirurg”, zgadza się?

- Tak, panie Garvald - odpowiedział spokojnie Das. - Mam dyplomy uniwersytetów w Bombaju i Londynie, ale nie w tym rzecz. Panu jest potrzebna specjalistyczna pomoc.

Garvald podniósł się na jednym łokciu. Odczuwał silny ból, a twarz miał zlaną potem.

- Posłuchaj mnie, i to uważnie. Trzy miesiące temu zmarła tutaj dziewczyna. Z powodu tak zwanej nielegalnej operacji. Wiem o tym i o wielu innych sprawach. Wystarczy, żeby wsadzić cię za kratki co najmniej na siedem lat, więc jeśli nie chcesz mieć na karku glin, weź się za tę nogę.

Das wydawał się nieporuszony.

- W porządku, panie Garvald, na pana własną odpowiedzialność. Będę musiał pana znieczulić. Rozumie pan?

- Rób, co chcesz, do diabła, byle szybko!

Garvald zamknął oczy. Das otworzył szafkę, wyjął maseczkę z gazy i butelkę chloroformu.

- Będzie pan musiał pomóc - zwrócił się do Reubena. - Proszę dodawać do tamponu po kropli chloroformu, kiedy panu powiem. Poradzi pan sobie?

Reuben skinął tylko głową, zbyt przerażony, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Rozdział XII

Kiedy rankiem następnego dnia Devlin pojechał odwiedzić Joannę Grey, nadal padał deszcz. Postawił motocykl koło garażu i poszedł do drzwi z tyłu domu. Pani Grey natychmiast je otworzyła i wciągnęła go do środka. Była jeszcze w szlafroku. Jej twarz wyrażała napięcie i zdenerwowanie.

- Dzięki Bogu, Liam. - Wzięła w dłonie jego twarz i potrząsnęła nią. - Prawie nie zmrużyłam oka. Od piątej nie śpię, piję tylko na zmianę whisky i herbatę. O tej porze to zabójcza mieszanka. - Ucałowała go serdecznie. - Cieszę się, że cię widzę, łotrze.

Pies radośnie przebierał tylnymi łapami, by i o nim nie zapomniano. Joanna Grey zaczęła krzątać się przy piecu, a Devlin stanął przed paleniskiem.

- Jak poszło? - zapytała.

- Wszystko w porządku.

Celowo nie wdawał się w szczegóły, bo prawdopodobnie nie byłaby zachwycona sposobem, w jaki załatwił sprawę. Obróciła się, okazując zdziwienie.

- Nie próbowali żadnych sztuczek?

- Owszem - odparł. - Ale im to wyperswadowałem.

- Obeszło się bez strzelaniny?

- Nie było potrzeby - odrzekł spokojnie. - Wystarczył im rzut oka na mojego mauzera. Angielski świątek przestępczy nie jest przyzwyczajony do broni palnej. Żyletki są bardziej w ich stylu.

Przyniosła na stół tacę z herbatą.

- Mój Boże, ci Anglicy! Czasem doprowadzają mnie do rozpaczki.

- Mimo wczesnej pory mam ochotę się napić. Gdzie jest whisky? - Poszła, żeby przynieść butelkę i dwie szklanki.

- O tej porze aż nie wypada, ale ja też się napiję. Co robimy dalej?

- Czekamy - odpowiedział. - Muszę przygotować dzipa, ale nic poza tym. Pani będzie musiała do ostatniej chwili wyciskać, co się da, ze starego sir Henry'ego, ale prócz tego pozostaje nam tylko przez najbliższe sześć dni obgryzać paznokcie.

- Sama nie wiem - powiedziała. - Możemy przynajmniej życzyć sobie szczęścia. - Podniosła szklankę. - Niech cię Bóg błogosławi, Liam. Żyj długo!

- Wzajemnie, moja droga.

Podniosła szklankę do ust i spełniła toast. Devlin poczuł nagle tak, jakby ktoś wbijał

mu nóż w brzuch. W tym momencie nie miał już cienia wątpliwości, że ta cała przeklęta sprawa zakończy się najgorzej, jak można sobie wyobrazić.

Pamela Yereker miała w ten weekend trzydziestosześciodzinną przepustkę. Skończyła służbę o siódmej rano, a jej brat przyjechał do Pangbourne, żeby ją przywieźć. Znalazszy się na plebanii zrzuciła natychmiast mundur i przebrała się w bryczesy oraz sweter.

Mimo tego symbolicznego odcięcia się, choć tylko na krótko, od koszmaru codziennego życia w bazie ciężkich bombowców, czuła się nadal podenerwowana i potwornie zmęczona. Po obiedzie pojechała na rowerze drogą wzdłuż morza do odległej o sześć mil farmy Meltham Yale, której dzierżawca, parafianin Yekera, miał trzyletniego ogiera, bardzo potrzebującego ruchu.

Znalazszy się na wydmach za farmą popuściła koniowi cugli i ruszyła galopem po krętej ścieżce, przez splątane cierniste krzaki janowca, pnąc się w stronę zalesionego grzbietu wzgórza. Czuła się wspaniale. Deszcz smagał ją po twarzy i miała w owej chwili wrażenie, że jest znów w innym, bezpieczniejszym miejscu, w świecie dzieciństwa, który skończył się pierwszego września 1939 roku o czwartej czterdzieści pięć rano, kiedy grupa armii „Południe” generała Gerda von Runstedta wkroczyła do Polski.

Wjechała między drzewa, trzymając się starego traktu, wytyczonego przez Zarząd Lasów. Koń zwolnił nieco, zbliżywszy się do szczytu wzgórza. O parę metrów dalej drogę zagradzała zwalona przez wiatr sosna. Sięgała na wysokość najwyżej trzech stóp i ogier przeskoczył ją w biegu. W momencie gdy pokonał przeszkodę, między drzewami po prawej stronie pojawiła się nagle jakaś postać. Koń spłoszył się, a Pamela Yereker wypadła ze strzemion i wylądowała na ziemi. Krzew rododendronu zamortyzował upadek, przez chwilę jednak leżała oszołomiona, próbując złapać oddech i słysząc nad sobą jakieś głosy.

- Krukowski, ty kretynie! - ktoś powiedział. - Chciałeś ją zabić, czy co?

Byli to Amerykanie. Otworzyła oczy i zobaczyła otaczających ją pierścieniem żołnierzy w bojowych bluzach i stalowych hełmach, uzbrojonych po zęby, z twarzami wysmarowanymi maskującą pastą. Obok niej klęczał potężny Murzyn o dobrodusznym wyglądzie z naszywkami sierżanta na ramieniu.

- Wszystko w porządku, panienko? - zapytał troskliwie. Zmarszczyła brwi i pokręciła głową, nagle poczuła się jednak lepiej.

- Kim pan jest?

Dotknął ręką hełmu, jakby salutował.

- Nazywam się Garvey. Sierżant Garvey. Dwudziesta pierwsza Wyspecjalizowana

Jednostka Szturmowa. Stacjonujemy w Meltham House. Jesteśmy tu na dwutygodniowych ćwiczeniach.

W tym momencie nadjechał dżip i zahamował, ślizgając się w błocie. Zauważyła, że za kierownicą siedzi oficer, choć nie była pewna jego rangi, gdyż podczas swej służby wojskowej niewiele miała do czynienia z Amerykanami. Nosił zwykły mundur i furazerkę. Z pewnością nie był ubrany na manewry.

- Co się tu dzieje, do diabła? - zapytał z naciskiem.

- Tę damę zrzucił koń, panie majorze - odparł Garvey. - Krukowski w nieodpowiednim momencie wyskoczył z krzaków.

Major - pomyślała, zaskoczona jego młodym wiekiem. Z wysiłkiem stanęła na nogi.

- Już wszystko w porządku, naprawdę. Zachwiała się, więc major ją podtrzymał.

- Chyba jednak nie. Daleko pani mieszka?

- W Studley Constable. Mój brat jest tam proboszczem. Poprowadził ją do dżipa, wspartą mocno na jego ramieniu.

- Powinna pani pojechać ze mną. W Meltham House mamy wojskowego lekarza. Chciałbym, żeby się upewnił, czy jest pani cała.

Na ramieniu nosił napis RANGERS. Pamiętała z jakiejś lektury, że był to amerykański odpowiednik brytyjskich komandosów.

- W Meltham House?

- Przepraszam, powinienem się przedstawić. Major Harry Kane, przydzielony do Dwudziestej pierwszej Wyspecjalizowanej Jednostki Szturmowej pod dowództwem pułkownika Roberta E. Shafto. Odbywamy tu ćwiczenia.

- Ach, tak - odparła. - Brat mówił mi, że w Meltham coś takiego się dzieje. - Przymknęła oczy. - Przepraszam, trochę mi słabo.

- Proszę się odprężyć. Zaraz tam panią zawiozę.

Miał miły głos. Zdecydowanie. Z jakiegoś absurdałnego powodu zapierało jej dech w piersiach. Oparła się o siedzenie i zrobiła dokładnie to, co kazał.

Pięć akrów ogrodu w Meltham House otaczał typowy dla hrabstwa Norfolk kamienny mur, wysoki na jakieś osiem stóp. Na jego szczycie rozciągnięto drut kolczasty, który stanowił dodatkowe zabezpieczenie. Sam dom w Meltham był skromnym, niewielkim dworkiem z początku XVII wieku. Podobnie jak w przypadku muru użyto do jego budowy dużych ilości łupanego kamienia i konstrukcja budynku, a szczególnie ścian szczytowych, wykazywała typowe dla tego okresu wpływy holenderskie.

Harry Kane i Pamela przechadzali się wśród zarośli, idąc w stronę domu. Już dobrą

godzinę oprowadzał ją po posiadłości, a jej ogromnie się tam podobało.

- Ilu was tu stacjonuje?

- W tej chwili około dziewięćdziesięciu. Większość śpi, oczywiście, pod namiotami, w obozie po drugiej stronie zarośli, tam gdzie pani pokazywałem.

- Dlaczego mnie pan tam nie zabierze? To tajne ćwiczenia, czy coś w tym rodzaju?

- Na Boga, nie! - Zaśmiał się rozbawiony. - Jest pani po prostu zbyt ładna.

Młody żołnierz zbiegł szybko po schodach tarasu i podszedł do nich, elegancko salutując.

- Pułkownik już wrócił, sir. Jest z nim teraz sierżant Garvey.

- Znakomicie, Appleby.

Kane zasalutował, chłopak zrobił to samo, po czym odwrócił się i pobiegł z powrotem.

- Myślałam, że Amerykanie podchodzą do wszystkiego na luzie - stwierdziła Pamela.

Kane szeroko się uśmiechnął.

- Nie zna pani pułkownika Shafto. Słowo „służbista” wymyślono chyba specjalnie dla niego.

Kiedy wchodzili po schodach na taras, przez oszklone drzwi wyszedł oficer. Obserwował ich, uderzając się po kolanie szpicrutą, pełen niespożytej, zwierzęcej energii. Pameli nie trzeba było mówić, kto to jest. Kane zasalutował.

- Pułkownikowi Shafto, pozwoli pan przedstawić sobie pannę Yereker. Robert Shafto miał wówczas czterdzieści cztery lata. Był przystojnym mężczyzną, wyglądającym butnie i pretensjonalnie w lśniących, wysokich butach i bryczesach do konnej jazdy. Na lewe oko miał nasuniętą furazerkę, a dwa rzędy baretek tworzyły kolorową łąkę nad lewą kieszenią bluzy. Najbardziej niezwykły był chyba jednak colt kaliber 45 z perłową rękojeścią, który nosił w otwartej kaburze na lewym biodrze. Dotknął czoła końcem szpicruty i powiedział poważnie:

- Zmartwiła mnie wiadomość o pani wypadku, panno Yereker. Jeśli mógłbym jakoś wynagrodzić pani niezdarność moich ludzi...

- Bardzo pan miły - odparła. - Major Kane był jednak uprzejmy zaproponować, że odwiezie mnie do Studley Constable, jeżeli oczywiście może się pan bez niego obejść. Mój brat jest tam księdzem.

- Będzie to zaledwie drobna przysługa z naszej strony.

Chciała ponownie spotkać się z Kanem, a istniał bodaj tylko jeden pewny sposób, żeby to osiągnąć.

- Jutro wieczorem mamy na plebanii małe przyjęcie - powiedziała. - Bez szczególnej

okazji. Takie spotkanie przyjaciół z kanapkami i czymś do picia. Może pan i major Kane zechcielibyście do nas wpaść? - Shafto zawahał się. Wyglądało na to, że szuka jakiejś wymówki, więc dodała pospiesznie: - Będzie tam sir Henry Willoughby, miejscowy właściciel ziemski. Czy już go pan poznał?

Oczy Shafto zabłysły.

- Nie, nie miałem przyjemności.

- Brat panny Yereker był kapelanem Pierwszej Brygady Spadochronowej - powiedział Kane. - W zeszłym roku lądował z nimi pod Oudna, w Tunezji. Pamięta pan ten desant, pułkownika?

- Oczywiście - odparł Shafto. - To było piekło. Pani brat, młoda damo, musi być dzielny człowiekiem, skoro wyszedł z tego cało.

- Odznaczono go Krzyżem Wojskowym - wyjaśniła. - Jestem z niego bardzo dumna.

- I słusznie. Z przyjemnością wpadnę do pani jutro wieczorem, żeby go poznać. Załatw, co trzeba, Harry. - Ponownie zasalutował szpicrutą. - A teraz proszę o wybaczenie. Muszę wracać do swoich zajęć.

- Zrobił na pani wrażenie? - zapytał ją Kane, kiedy jechali z powrotem jego dżipem drogą wzdłuż morza.

- Sama nie wiem - odparła. - Przyzna pan, że jest postacią dość barwną.

- Określiła to pani stanowczo za delikatnie - stwierdził. - Takich jak Shafto nazywamy w naszej branży pistoletami. To facet, który wyprowadzał kiedyś swoich ludzi z okopów we Flandrii uzbrojony jedynie w laseczkę dowódcy. Jak powiedział pewien francuski generał pod Balaclava: wspaniale, ale co to ma wspólnego z wojną?

- Innymi słowy, myślenie nie jest jego mocną stroną?

- No cóż, z wojskowego punktu widzenia można mu cholernie dużo zarzucić. Nie potrafi słuchać rozkazów - niczych. Waleczny Bobby Shafto, duma piechoty. W kwietniu ubiegłego roku udało mu się wydostać z Bataan, kiedy wkroczyli tam Japończycy. Jedyne problem polegał na tym, że zostawił na miejscu pułk piechoty. W Pentagonie nie mieli zachwyconych min. Nigdzie go nie chciano, więc został wysłany do Londynu, żeby pracować w Sztabie Połączonych Operacji.

- Co mu nie odpowiadało?

- Oczywiście. Wykorzystał to jako szczebel na drodze do chwały. Dowiedział się, że Brytyjczycy mają Jednostkę Szturmową Ograniczonego Zasięgu, której żołnierze bawią się w harcerzyków, robiąc nocne wypadki na drugą stronę Kanału, i doszedł do wniosku, że w armii amerykańskiej powinno istnieć coś podobnego. Niestety, jakiś kretyn w Sztabie Połączonych

Operacji uznał to za dobry pomysł.

- Pan jest innego zdania? - zapytała Pamela. Najwyraźniej unikał odpowiedzi na to pytanie.

- W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy ludzie z Dwudziestej Pierwszej jednostki co najmniej czternaście razy przeprawiali się przez Kanał.

- Aż trudno uwierzyć!

- Dokonali, między innymi - ciągnął dalej - zniszczenia nieczynnej latarni morskiej w Normandii i kilku desantów na nie zamieszkane francuskie wysepki.

- Zdaje się, że nie ma pan o nim najlepszego zdania?

- Za to cała opinia publiczna w Ameryce i owszem. Trzy miesiące temu jakiś korespondent wojenny z Londynu, który nie miał o czym pisać, usłyszał, jak to Shafto wziął do niewoli u wybrzeży Belgii załogę latarniowca. Stanowiło ją sześciu ludzi, a że byli przypadkiem niemieckimi żołnierzami, wyglądało to całkiem niezłe. Zwłaszcza zdjęcie statku, wpływającego szarym świtem do Dover. Widać na nich Shafto, któremu zwisa luźno pasek od hełmu, jego chłopców i odpowiednio wystraszonych jeńców. Scena prosto z planu wytwórni Metro - Goldwyn - Meyer. - Pokręcił głową. - Jak ludzie u nas mogli w to uwierzyć! Komandosi Shafto! Life, Collier's, Saturday Evening Post: pisali o nim wszędzie. Narodowy bohater, odznaczony dwukrotnie Krzyżem za Wzorową Służbę i Srebrną Gwiazdą z Liśćmi Dębu. Ma już wszystko z wyjątkiem Honorowego Medalu Kongresu, a pewnie i ten w końcu dostanie, choćby nawet musiał zabić wielu z nas, żeby to osiągnąć.

- Po co pan wstąpił do tej jednostki, majorze Kane? - zapytała chłodno.

- Miałem dość siedzenia za biurkiem - odparł. - To najważniejszy powód. Zrobiłbym chyba wszystko, byle się stamtąd wydostać. Tak się też stało.

- Nie brał pan więc udziału w żadnej z tych akcji, o których pan wspomniał?

- Nie, proszę pani.

- Proponuję zatem w przyszłości dwa razy się zastanowić, zanim zdyskredytuje pan tak łatwo czyny odważnego człowieka, zwłaszcza patrząc na nie zza biurka.

Zjechał na pobocze drogi i zatrzymał wóz. Odwrócił się do niej, zawadiacko uśmiechnięty.

- Ej, to mi się podoba! Czy mogę zanotować pani słowa i wykorzystać w tej wspaniałej powieści, którą my, dziennikarze, zawsze chcemy napisać?

- Niech pana diabli wezmą, Harry Kane.

Podniosła rękę, jakby chciała go uderzyć, on tymczasem wyjął paczkę Cameli i wytrząsnął z niej jednego papierosa.

- Proszę się poczęstować. To uspokaja nerwy.

Wzięła papierosa i skorzystała z ognia, po czym zaciągnęła się głęboko, patrząc przez słone trzęsawiska w kierunku morza.

- Przepraszam, chyba reaguję zbyt impulsywnie, ale ta wojna stała się dla mnie sprawą bardzo osobistą.

- Z powodu brata?

- Nie tylko. Chodzi o moją pracę. Wczoraj po południu złapałam w czasie służby łączność z pilotem myśliwca. Paskudnie oberwał podczas walki nad Morzem Północnym. Jego Hurricane płonął, a on siedział zatrzaśnięty w kabinie. Krzyczał tak długo, dopóki samolot się nie rozbił.

- Ten dzień tak przyjemnie się zaczął - stwierdził Kane. - I nagle przestał być miły.

Chwycił kierownicę, gdy wtem jej dłoń spoczęła na jego ręce.

- Przepraszam, jest mi naprawdę przykro.

- Nie ma o czym mówić.

W tym momencie na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie. Uniosła rękę.

- Co się stało z pana palcami? Kilka jest wygiętych. Pańskie paznokcie... Mój Boże, Harry, co się stało z twoimi paznokciami?!

- Ach, to... - odparł. - Po prostu mi je wyrwali. - Przyglądała mu się z przerażeniem.

- Czy... czy to byli Niemcy, Harry? - wyszeptała.

- Nie. - Włączył silnik. - Ściślej biorąc, byli to Francuzi, ale działali, oczywiście, po drugiej stronie. To jedno z najsmutniejszych odkryć, jakich dokonałem w życiu: świat składa się z bardzo różnych ludzi.

Uśmiechnął się krzywo i ruszył w drogę.

Wieczorem tego samego dnia stan zdrowia Bena Garvalda, który leżał w separacie kliniki w Aston, zdecydowanie się pogorszył. O szóstej stracił przytomność. W ciągu następnej godziny nikt tego nie zauważył. Dopiero o ósmej przyjechał doktor Das, zaalarmowany telefonicznie przez pielęgniarkę, a w dziesięć minut później wszedł Reuben i zobaczył, co się dzieje.

Na polecenie Bena był jeszcze raz w warsztacie Fogarty'ego, żeby dostarczyć tam karawan i trumnę, którą dostał z zakładu pogrzebowego, należącego - jak wiele innych firm - do braci Garvald. Nieszczęsnego Jacksona spalono właśnie w miejscowym prywatnym krematorium, gdzie także mieli swoje interesy, bynajmniej nie po raz pierwszy pozbywając się tam niewygodnych zwłok.

Twarz Bena była złana potem. Jęczał, przewracając się z boku na bok. W powietrzu

unosił się nieprzyjemny odór zepsutego mięsa. Kiedy Das zdjął opatrunek, Reuben dostrzegł ranę. Odwrócił się z przerażeniem, czując niemal w ustach smak żółci.

- Ben? - odezwał się.

Garvald otworzył oczy. Przez chwilę jakby nie poznawał brata, a potem uśmiechnął się.

- Załatwiłeś, co trzeba, Reuben? Pozbyłeś się go, chłopcze?

- Prochy między prochy, Ben.

Garvald przymknął oczy, a Reuben zwrócił się do Dąsa:

- Czy stan jest ciężki?

- Bardzo. To może być gangrena. Ostrzegałem go.

- O Boże! - powiedział Reuben. - Wiedziałem, że powinien jechać do szpitala.

Ben Garvald otworzył oczy i spojrzał rozgorączkowanym wzrokiem. Chwycił brata za rękę.

- Żadnego szpitala, słyszysz? Co chcesz zrobić? Dać tym przeklętym glinom sposobność, na którą czatują od lat?

Opadł na łóżko, ponownie zamykając oczy.

- Jest tylko jedna szansa - odezwał się Das. - Istnieje lek zwany penicyliną. Słyszał pan o nim?

- Jasne. Podobno leczy wszystko. Na czarnym rynku kosztuje majątek.

- Owszem, w takich przypadkach jak ten potrafi zdziałać cuda. Może pan go zdobyć? Natychmiast. Powiedzmy do wieczora?

- Jeśli tylko jest w Birmingham, będzie go pan miał w ciągu godziny - Reuben podszedł do drzwi i odwrócił się. - Ale jeśli on umrze, pana spotka to samo. Obiecuję.

Wyszedł, zostawiając za sobą rozkołysane drzwi.

W tym samym czasie z lotniska w Landsvoort wystartował samolot typu Dakota, kierując się w stronę morza. Gericke nie tracił ani chwili. Podciągnął maszynę od razu na wysokość tysiąca stóp, zrobił skręt w prawo i zaczął opadać w kierunku wybrzeża. Znajdujący się w samolocie Steiner i jego ludzie byli gotowi. Wszyscy mieli na sobie pełny rynsztunek brytyjskich spadochroniarzy. Także broń i sprzęt zapakowali na sposób brytyjski do przytroczonych worków.

- W porządku - zawołał Steiner.

Wszyscy wstali i umocowali karabińczyki spadochronów do liny wyciągającej czasie. Każdy sprawdził, czy stojący przed nim kolega jest należycie zapięty. Steiner zajął się Harveyem Prestonem, który był ostatni w kolejce. Anglik cały się trząsał. Steiner czuł to, kiedy

zaciskał mu pasy.

- Piętnaście sekund - oznajmił. - Nie macie wiele czasu, zrozumiano? I zapamiętajcie sobie: jeśli ktoś ma zamiar złamać nogę, niech zrobi to tutaj, a nie w Norfolk.

Wszyscy się roześmiali, a Steiner przeszedł na początek szeregu, gdzie Ritter Neumann sprawdził mu pasy. Potem, gdy tylko nad jego głową zamigotało czerwone światło, odsunął drzwi i do samolotu wpadł gwałtowny podmuch wiatru.

Tymczasem Gericke zmniejszył obroty silników i zniżył lot. Trwał odpływ i szerokie, mokre jeszcze, puste plaże lśniły blado w świetle księżyca, ciągnąc się w nieskończoność. Bohmler, siedzący obok Gericke'a, patrzył w skupieniu na wysokościomierz.

- Teraz! - krzyknął Gericke, a Bohmler natychmiast zareagował. Steiner klepnął Rittera po ramieniu, gdy tylko nad jego głową zapaliło się zielone światło. Młody Oberleutnant wyskoczył, a zaraz potem uczynili to po kolei w bardzo szybkim tempie wszyscy pozostali. Jako ostatni skakał Brandt. Preston stał natomiast z otwartymi ustami, gapiąc się w ciemność.

- No, dalej! - krzyknął Steiner, chwytając go za ramię. Preston opierał się, przywierając z całych sił do metalowego wspornika.

Pokręcił głową i poruszył bezgłośnie wargami.

- Nie mogę! - zdołał w końcu wykrztusić. - Nie mogę tego zrobić! Steiner uderzył go na odlew w twarz, chwycił za prawe ramię i pchnął w kierunku otwartych drzwi. Preston zawisnął w nich, zapierając się obydwoma rękami. Steiner przyłożył mu nogę do pośladków i wypchnął go na zewnątrz. Potem umocował zaczep w linę wyciągającą czasze i wyskoczył za Prestonem.

Kiedy skacze się z wysokości czterystu stóp, nie starcza właściwie czasu, żeby odczuwać strach. Preston zdał sobie sprawę, że robi w powietrzu salto, poczuł gwałtowne szarpnięcie, usłyszał uderzenie powietrza o otwartą czaszę spadochronu, a potem już kołysał się pod ciemnym parasolem koloru khaki.

Było to fantastyczne. Błady księżyc na horyzoncie, mokry piasek rozległej plaży, kremowa linia przybrzeżnych fal. Widział całkiem wyraźnie łódź torpedową przy piaszczystym moło i patrzących z niej ludzi. Dalej na plaży widać było szereg opadniętych spadochronów, które składali już pozostali skoczkowie. Spojrzawszy w górę dostrzegł nad sobą po lewej stronie Steinera, a potem wydało mu się, że bardzo szybko spada.

Worek z ekwipunkiem, wiszący dwadzieścia stóp niżej na końcu liny, którą miał przytwierdzoną do pasa, solidnie grzmotnął w piasek, ostrzegając go, żeby był gotowy. Przy lądowaniu Preston uderzył mocno o podłoże - zbyt mocno, jak mu się zdawało -

przekoziółkował i jakimś cudem stanął na nogi. Spadochron falował w górze, wyglądając w świetle księżyca jak biały kwiat.

Zaczął pospiesznie ściągać go na ziemię, tak jak kazano mu to robić, ale nagle zatrzymał się w piasku na czworakach, ogarnięty przemożną radością w poczuciu własnych możliwości, jakiego nie zaznał nigdy dotąd.

- Udało mi się! - krzyknął na cały głos. - Pokazałem tym kanaliom! Udało mi się! Udało się! Udało!

Ben Garvald leżał nieruchomo na łóżku kliniki w Aston. Doktor Das badał mu tętno stetoskopem, a Reuben stał z tyłu i czekał.

- I co z nim? - zapytał z naciskiem.

- Żyje, ale stan jest bardzo ciężki.

Reuben podjął decyzję i postanowił działać. Chwycił Dasa za ramię i pchnął go w stronę drzwi.

- Niech pan jak najszybciej ściągnie karetkę. Zabieram go do szpitala.

- Ale w ten sposób nie obejdziesz się bez policji, panie Garvald - przypomniał mu Das.

- Myśli pan, że się tym przejmuję? - rzekł ochryple Reuben. - Chcę, żeby żył, rozumie pan? To mój brat! A teraz niech się pan ruszy!

Otworzył drzwi i wypchnął Dasa z pokoju. Kiedy odwrócił się w stronę łóżka, miał w oczach łzy.

- Obiecuję ci jedno, Ben - powiedział łamiącym się głosem. - Ten irlandzki skurwiel odpowie za to, choćby miało mnie to kosztować życie.

Rozdział XIII

Jack Rogan miał czterdzieści pięć lat, a od dwudziestu pięciu był policjantem. Niełatwo jest pracować tyle czasu na trzy zmiany, spotykając się w dodatku z niechęcią sąsiadów. Ale taki już jest los policjanta i trudno oczekiwać czegoś innego. Powtarzał to często swojej żonie.

We wtorek drugiego listopada o godzinie dziewiętej trzydzieści znalazł się w swoim biurze w Scotland Yardzie. Właściwie wcale nie powinien był tam przychodzić. Po przesłuchiwaniu przez całą noc członków pewnego irlandzkiego klubu w Muswell Hill miał prawo do paru godzin snu, ale musiał najpierw uporządkować trochę papiery.

Usadowił się właśnie za biurkiem, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jego pomocnik, inspektor-detektyw Fergus Grant. Był młodszym synem emerytowanego pułkownika armii indyjskiej. Ukończył ekskluzywną szkołę w Winchester i szkołę policyjną w Hendon. Był jednym z przedstawicieli nowej generacji, która miała zrewolucjonizować działalność policji. Mimo to ich współpraca dobrze się układała.

Rogan podniósł rękę, jakby chciał się zasłonić.

- Fergus, chcę tylko podpisać kilka listów, napić się herbaty i pójść się przespać do domu. Miałem koszmarną noc.

- Wiem, sir - odparł Grant. - Chodzi o to, że dostaliśmy dość niezwykły raport od policji z Birmingham. Pomyślałem, że może pana zainteresować.

- Konkretnie mnie, czy Sekcję Irlandzką?

- I jedno, i drugie.

- No dobrze. - Rogan odsunął krzesło od biurka i zaczął nabijać fajkę tytoniem ze starego skózanego kapciucha. - Nie jestem w nastroju, żeby to czytać, więc powiedz, w czym rzecz.

- Mówi panu coś nazwisko Garvald, sir? - Rogan znieruchomiał.

- Ben Garvald? Od lat są z nim kłopoty. To najgorszy szubrawiec w Midlands.

- Zmarł dziś o świcie. Dostał gangreny z powodu rany postrzałowej. Za późno przywieźli go do szpitala.

Rogan zapalił zapałkę.

- Znam ludzi, którzy powiedzieliby, że to najlepsza wiadomość ostatnich lat. Ale co to ma wspólnego z nami?

- Postrzelił go jakiś Irlandczyk. W prawe kolano. - Rogan przyglądał mu się.

- A to ciekawe. IRA karze w ten sposób ludzi wchodzących jej w drogę. - Zaklął i upuścił trzymaną w lewej ręce zapalną, która wypaliła się, parząc mu palce. - Jak się nazywał ten Irlandczyk?

- Murphy, sir.

- A jakżeby inaczej. Wiadomo coś więcej?

- Można tak powiedzieć - odparł Grant. - Garvald miał brata, który tak się przejął jego śmiercią, że wszystko wyśpiewał. Byłby gotów naszego drogiego Murphy'ego przybić gwoździami do drzwi.

Rogan skinął głową.

- Zobaczymy, czy zdołamy mu pomóc. O co poszło?

Grant opowiedział mu wszystko szczegółowo, a kiedy skończył, Rogan zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Wojskowa ciężarówka, dzip, farba w kolorze khaki? Co on z tym będzie robił?

- Może chcą zrobić wypad na jakiś obóz wojskowy, żeby zdobyć broń, sir.

Rogan wstał i podszedł do okna.

- W to nie uwierzę, o ile nie będzie niezbitych dowodów. Są w tej chwili mniej aktywni. Nie stać ich na tego rodzaju akcję, dobrze o tym wiesz. - Podszedł z powrotem do biurka. - W Anglii IRA jest załatwiona, a w Irlandii de Yalera internował większość jej członków w Curragh. - Pokręcił głową. - Na obecnym etapie taka operacja nie miałaby sensu. A co mówi brat Garvalda?

- Przypuszczam, zdaje się, że Murphy organizuje napad na magazyny Instytutu Wojskowego, czy coś w tym rodzaju. Wie pan, jak to działa? Wjeżdżają wojskową ciężarówką, przebrani za żołnierzy...

- I wyjeżdżają z ładunkiem szkockiej i papierosów wartości pięćdziesięciu tysięcy funtów. Nic nowego - stwierdził Rogan.

- A więc Murphy jest tylko pospolitym rabusiem? Tak pan to ocenia?

- Zgodziłbym się, gdyby nie ten postrzał w kolano. To wskazuje jednoznacznie na IRA. Czuję, że coś się święci, Fergus. Chyba wpadliśmy na jakiś trop.

- A więc dobrze, sir, co robimy dalej?

Rogan podszedł do okna i stał jakiś czas zastanawiając się nad tym wydarzeniem. Była typowo jesienna pogoda. Nad dachami unosiła się mgła, nadciągająca od strony Tamizy, a z liści jaworów kapały krople deszczu.

Rogan odwrócił się.

- Wiem jedno. Nie chcę, żeby ci z Birmingham spieprzyli nam robotę. Sam się tym

zajmiesz. Wynajmij wóz i jedź tam jeszcze dziś. Zabierz ze sobą kartoteki, zdjęcia, to, co trzeba. Dane wszystkich znanych członków IRA, którzy nie siedzą za kratkami. Może Garvald nam go wskaże.

- A jeżeli nie, sir?

- Wtedy popytamy tutaj. Zwykłymi kanałami. Wydział Specjalny w Dublinie będzie bardzo pomocny. W zeszłym roku zginął od kuli IRA sierżant O'Brien i odtąd nienawidzą ich jeszcze bardziej. Zawsze to gorzej, kiedy ginie swój człowiek.

- W porządku, sir - odparł Grant. - Zabierani się do pracy.

Tego samego dnia o ósmej wieczorem generał Karl Steiner skończył jeść posiłek, który podano mu w pokoju na drugim piętrze budynku przy Prinz Albrechtstrasse. Udko kurczęce, ziemniaki smażone na oliwie - takie, jakie lubił - mieszana sałatka i pół butelki schłodzonego Rieslinga. Nie wierzył własnym oczom. I do tego jeszcze prawdziwa kawa!

Bez wątpienia wiele się zmieniło od ostatniej upiornej nocy, kiedy to stracił przytomność wskutek szoku elektrycznego. Następnego ranka obudził się w czystej pościeli, na wygodnym łóżku. Nie było tego drania Rossmana i jego zbirów z Gestapo. Zjawił się tylko Obersturmbannfuhrer nazwiskiem Zeidler, zupełnie porządny człowiek, chociaż esesman. Był dżentelmenem.

Przepraszał, jak mógł. Zaszła fatalna pomyłka. Ktoś złośliwie dostarczył fałszywych informacji. Sam Reichsfuhrer rozkazał przeprowadzić szczegółowe dochodzenie. Winni zostaną niewątpliwie ujawnieni i ukarani. Wyraził ubolewanie, że Herr General będzie musiał tymczasem pozostać w areszcie, ale jest to kwestia zaledwie paru dni. Był przekonany, że generał wykaże zrozumienie.

I rzeczywiście, Steiner jak najbardziej je wykazał. Nie mieli przeciwko niemu nic konkretnego, same insynuacje. Nie powiedział też ani słowa, mimo tego, co robił z nim Rossmann, tak więc cała sprawa wyglądała na jedną wielką nikczemność z czyjejś strony. Przetrzymywali go jeszcze, żeby mieć pewność, iż nie będzie po nim widać złego traktowania, kiedy wyjdzie z aresztu. Siniaki już prawie zniknęły. Jeśli nie liczyć podkrążonych oczu, wyglądał całkiem dobrze. Dali mu nawet nowy mundur.

Kawa była doprawdy wysmienita. Zaczął nalewać sobie następną filiżankę, kiedy w zamku zazgrzytał klucz i za jego plecami otworzyły się drzwi. Zapanowała niesamowita cisza. Włosy zjeżyły mu się na głowie.

Obrócił się powoli i zobaczył w drzwiach Karla Rossmanna. Miał na sobie kapelusz z opuszczonym rondem i skórzany płaszcz zarzucony na ramiona, a z kącika ust zwisał mu papieros. Po bokach stali dwaj gestapowcy w pełnym umundurowaniu.

- Witam, Herr General - odezwał się Rossman. - Myślał pan, że o panu zapomnieliśmy?

W Steinerze coś jakby pękło. Zrozumiał z przerażeniem swoją sytuację.

- Ty draniu! - wycedził, ciskając filiżankę kawy w głowę Rossmana.

- Bardzo nieładnie - stwierdził Rossman. - Nie powinien pan być tego robić.

Jeden z gestapowców szybko przyskoczył do Steinera i z całej siły uderzył go końcem gumowej pałki w krocze. Generał upadł na kolana, krzycząc przeraźliwie z bólu. Kolejny cios w głowę całkowicie pozbawił go przytomności.

- Do celi - powiedział krótko Rossman i wyszedł.

Dwaj gestapowcy podążyli za nim, chwyciwszy generała za kostki. Ciągnęli go za sobą, twarzą do ziemi, zachowując wojskowy krok nawet wtedy, gdy dotarli już do schodów.

Max Radl zapukał do drzwi gabinetu Reichsführera i wszedł do środka. Himmler stał przed kominkiem, popijając kawę. Odstawił filiżankę i podszedł do biurka.

- Miałem nadzieję, że o tej porze będzie pan już w drodze.

- Wylatuję w nocy do Paryża - oznajmił Radl. - Jak panu wiadomo, Herr Reichsführer, admirał Canaris dopiero dziś rano wyleciał do Włoch.

- Niestety - stwierdził Himmler. - Ma pan jednak i tak sporo czasu. Zdjął binokle i przetaił je ze zwykłą starannością. - Czytałem raport, który dał pan dziś rano Rossmanowi. Co z tymi amerykańskimi komandosami, którzy pojawili się w okolicy? Niech mi pan pokaże to miejsce.

Rozłożył przed sobą mapę sztabową, a Radl wskazał palcem Meltham House.

- Jak pan widzi, Herr Reichsführer, Meltham House leży na północ od Studley Constable, osiem mil wzdłuż wybrzeża. Dwanaście albo trzynaście mil od Hobs End. W ostatnim komunikacie radiowym pani Grey twierdzi, że nie należy spodziewać się z tego kierunku żadnych kłopotów.

Himmler skinął głową.

- Pański Irlandczyk zasłużył chyba na swoje honorarium. Reszta należy do Steinera.

- Nie przypuszczam, żeby zawiódł.

- No tak, byłbym zapomniał - oznajmił oschle Himmler. - Ma w tym w końcu osobisty interes.

- Czy mogę spytać o zdrowie generała - majora Steinera? - zagadnął Radl.

- Widziałem go po raz ostatni wczoraj wieczorem - odparł Himmler, całkowicie zgodnie z prawdą - chociaż muszę wyznać, że on mnie nie widział. Pałaszował właśnie posiłek, złożony ze smażonych ziemniaków, sałatki warzywnej i sporej pieczeni. - Przerwał z

westchnieniem. - Gdybyż ci mięsożercy wiedzieli, jak taka dieta źle wpływa na organizm. Czy pan jada mięso, Herr Oberst?

- Niestety, tak.

- Poza tym wypala pan dziennie sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt tych ohydnych rosyjskich papierosów i pije pan alkohol. Ile brandy wypija pan aktualnie? - Pokręcił głową, starannie układając przed sobą stos papierów. - No cóż, w pańskim przypadku to i tak nie ma większego znaczenia, jak sądzę.

„Czy jest coś, o czym ta świnia nie wie?” - pomyślał Radl.

- Rzeczywiście, Herr Reichsfuhrer.

- O której odlatują w piątek?

- Tuż przed północą. Jeśli dopisze pogoda, lot potrwa godzinę. Himmler natychmiast zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- Pułkowniku Radl, chcę, żeby pan mnie dobrze zrozumiał. Steiner i jego ludzie mają przystąpić do akcji bez względu na pogodę. Tego nie da się przełożyć na następną noc. To okazja, która trafia się raz w życiu. Przez cały czas będzie pan miał łączność z tutejszym dowództwem. Poczynając od piątku rano ma pan zawsze o pełnej godzinie składać mi meldunek, aż do pomyślnego zakończenia operacji.

- Tak jest, Herr Reichsfuhrer.

Kiedy Radl odwrócił się, żeby wyjść, Himmler dodał:

- I jeszcze jedno. Z wielu względów nie informowałem Fuhrera o naszych przygotowaniach. Czasy są ciężkie, Radl, na jego barkach spoczywa przyszłość Niemiec. Chciałbym, żeby miał - jak by to powiedzieć - niespodziankę.

Przez chwilę Radl sądził, że ma do czynienia z szaleńcem. Potem dotarło do niego, że Himmler mówi serio.

- Najważniejsze, żebyśmy nie sprawili mu zawodu - ciągnął dalej Reichsfuhrer. - Jesteśmy teraz wszyscy w rękach Steinera. Proszę mu to uzmysłwić.

- Tak jest, Herr Reichsfuhrer. - Radl stłumił w sobie obłąkańczą ochotę do śmiechu.

Himmler wyrzucił w górę prawą rękę w niezbyt starannym geście faszystowskiego pozdrowienia.

- Heil Hitler!

Radl zrobił coś, co relacjonował później żonie jako najodważniejszy czyn swojego życia: zasalutował po wojskowemu, z wymowną pedanterią, po czym odwrócił się do drzwi i wyszedł najszybciej jak mógł.

Kiedy zjawił się w swoim biurze na Tirpitz Ufer, Hofer pakował mu właśnie rzeczy do

torby. Radl wyciągnął butelkę Courvoisiera i nalał sobie dużą porcję.

- Nic panu nie jest, Herr Oberst? - spytał z niepokojem Hofer.

- Wiesz, Karl, co mi właśnie wyjawiał nasz szacowny Reichsfuhrer? Nie powiedział Fuhrerowi, jak bardzo jesteśmy zaawansowani w przygotowaniach do tej akcji. Chce mu zrobić niespodziankę! Czyż to nie urocze?

- Herr Oberst, na miłość boską... Radl wznosił toast.

- Za naszych towarzyszy, Karl, za tych trzystu dziesięciu żołnierzy, którzy zginęli w Kampanii Zimowej, choć nie jestem pewien, po co. Daj mi znać, gdybyś się tego dowiedział.

- Hofer patrzył na niego oniemiały, na co Radl się uśmiechnął. - W porządku, Karl, już będę grzeczny. Sprawdziłeś, o której mam lot do Paryża?

- O dziesiątej trzydzieści z lotniska Tempelhof. Zamówiłem samochód na dziewiątą piętnaście. Ma pan sporo czasu.

- A późniejszy lot do Amsterdamu?

- Jutro rano, o bliżej nie określonej porze. Chyba około jedenastej, ale nie byli tego pewni.

- Dobrze sobie! Wystarczy trochę niepogody i nie dotrę przed czwartkiem do Landsvoort. Jakie są prognozy meteo?

- Niesprzyjające. Z Rosji nadciąga zimny front.

- Jak zwykle - odparł posepnie Radl. Otworzył szufladę biurka i wyjął zaklejoną kopertę. - To dla mojej żony. Przypilnuj, żeby do niej dotarło. Przykro mi, że nie możesz ze mną lecieć, ale musisz być na miejscu, rozumiesz?

Hofer spojrział na list ze strachem w oczach.

- Herr Oberst, nie myśli pan chyba, że...

- Mój drogi, zacny Karlu - przerwał mu Radl. - Nic nie myślę. Jestem po prostu przygotowany na każdą ewentualność. Jeżeli ta akcja się nie powiedzie, związani z nią ludzie nie będą zapewne - że się tak wyrażę - pożądanymi osobami na dworze. W tym przypadku powinienes utrzymywać, że nie miałeś pojęcia o całej sprawie. To, co zrobiłem, zrobiłem na własną rękę.

- Herr Oberst, proszę... - powiedział ochryple Hofer. W oczach miał łzy.

Radl wyjął drugą szklanke, napełnił ją i poczęstował Hofera.

- Wznieśmy toast. Za co wypijemy?

- Bóg raczy wiedzieć, Herr Oberst.

- A więc ci powiem. Za życie, Karl, za miłość, przyjaźń i nadzieję. - Uśmiechnął się ironicznie. - Wiesz, przyszło mi właśnie do głowy, że Reichsfuhrer nie ma prawdopodobnie

najmniejszego pojęcia o żadnym z tych uczuć. No cóż...

Odchylił głowę do tyłu i jednym haustem opróżnił szklanę.

Jack Rogan, podobnie jak większość wyższych oficerów Scotland Yardu, trzymał w biurze niewielkie polowe łóżko, z którego korzystał wówczas, gdy z powodu nalotów miał trudności z powrotem do domu. Kiedy w środę tuż przed południem wrócił z cotygodniowej odprawy kierowników sekcji u zastępcy komisarza Wydziału Specjalnego, zastał śpiącego na tym łóżku Granta.

Wystawił głowę za drzwi i poprosił dyżurnego o herbatę. Potem lekko szturchnął Granta nogą, podszedł do okna i napełnił tytoniem fajkę. Mgła była gęsta jak nigdy. Specyficznie londyńska, jak trafnie nazwał ją kiedyś Dickens.

Grant podniósł się, poprawiając krawat. Miał wygniecione ubranie i nie ogoloną twarz.

- Powrotna podróż była koszmarem. Co za mgła!

- Dowiedziałeś się czegoś?

Grant otworzył aktówkę, wyjął tekturową teczkę i wyciągnął z niej kartę, którą położył Roganowi na biurko. Była do niej przypięta fotografia Liama Devlina. O dziwo, na zdjęciu wyglądał starzej niż w rzeczywistości. Pod spodem figurowało kilka różnych nazwisk, wypisanych na maszynie.

- To jest Murphy, sir. - Rogan gwizdnął cicho.

- On? Jesteś pewien?

- Tak twierdzi Reuben Garvald.

- Ale to bez sensu - orzekł Rogan. - Kiedy ostatnio o nim słyszałem, miał jakieś kłopoty w Hiszpanii, bo walczył po niewłaściwej stronie. Odsiadywał dożywocie na jakiejś karnej farmie.

- Jak widać, już tego nie robi, sir.

Rogan szybko podniósł się zza biurka i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę z rękami w kieszeniach.

- Wiesz, to jeden z tych nielicznych aktywistów IRA, których nigdy nie spotkałem. Wiecznie tajemnicza postać. I jeszcze te jego cholerne pseudonimy.

- Z akt wynika, że chodził do Kolegium Świętej Trójcy, co katolikom raczej się nie zdarza - poinformował Grant. - Zrobił dyplom z literatury angielskiej. Z dobrą oceną. Biorąc pod uwagę, że jest z IRA, zakrawa to na ironię.

- Tacy właśnie są ci przekłęci Irlandczycy. - Rogan odwrócił się, stukając wymownie palcem w czoło. - Od urodzenia pomieszanie z poplątaniem, wszystko na opak. Spójrz, jego

wuj jest księdzem, on sam ukończył studia uniwersyteckie... i kim się stał? Najbardziej bezwzględny zabójca, jaki działał w ruchu od czasów Collinsa i jego Szwadronu Śmierci.

- No dobrze, sir - stwierdził Grant. - Co z tym teraz zrobimy?

- Przede wszystkim skontaktuj się z Wydziałem Specjalnym w Dublinie. Sprawdź, co tam mają.

- A potem?

- Jeżeli jest tu legalnie, musiał zameldować się na jakimś lokalnym posterunku policji.

To oznacza kartę meldunkową z fotografią.

- Przesłała się je potem do komendy danego rejonu.

- Właśnie. - Rogan kopnął biurko. - Już od dwóch lat walczę, żebyśmy mieli to w centralnej kartotece. Pracuje u nas prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy Irlandczyków i jakoś nikogo to nie obchodzi.

- Trzeba więc będzie przesłać odbitki tego zdjęcia do komisariatów w każdym mieście i hrabstwie i poprosić, żeby ktoś przejrzał wszystkie meldunki. - Grant wziął do ręki kartę. - To potrwa.

- Co innego możemy zrobić? Zamieścić zdjęcie w gazecie z napisem: „Czy ktoś widział tego człowieka?” Chcę wiedzieć, co on knuje, Fergus. Chcę złapać go na gorącym uczynku, a nie spłoszyć.

- Oczywiście, sir.

- No więc, bierz się za to. Dajemy tej sprawie bezwzględne pierwszeństwo. Sklasyfikuj ją jako zadanie dotyczące bezpieczeństwa państwa. W ten sposób ci faceci bardziej gorliwie się tym zajmą.

Grant wyszedł, a Rogan wziął do ręki akta Devlina, usiadł wygodnie i zaczął je studiować.

Z paryskiego lotniska nie startował żaden samolot, mgła była tak gęsta, że kiedy Radl wyszedł na zewnątrz z sali odlotów na Orły, nie widział swojej wyciągniętej ręki. Wszedł z powrotem do środka i zapytał dyżurnego oficera:

- Co z tego będzie?

- Przykro mi, Herr Oberst, ale sądząc z ostatniego komunikatu meteo, do rana nie odleci żaden samolot. A mówiąc szczerze, mogą być dalsze opóźnienia. Ta mgła utrzyma się pewnie przez parę dni. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - Przynajmniej Angole siedzą dzięki temu w domu.

Radl powziął decyzję i sięgnął po torbę.

- Muszę być w Rotterdamie najpóźniej jutro po południu. Gdzie można wynająć

samochód?

W dziesięć minut później podsuwał rozkaz Fuhrera pod nos kapitanowi z jednostki transportowej, człowiekowi w średnim wieku, a po dwudziestu minutach wyjeżdżał wielką, czarną limuzyną marki Citroen przez główną bramę lotniska Orły.

W tej samej chwili sir Henry Willoughby grał w bezika z ojcem Yerekerem i Joanną Grey w salonie jej domu w Studley Constable. Wypił chyba odrobinę za dużo i był w wyśmienitym humorze.

- Zaraz, zaraz... Miałem parę królewską, to daje czterdzieści punktów, a teraz sekwens w atu.

- Ile to jest? - dopytywał się Yereker.

- Dwieście pięćdziesiąt - odparła Joanna Grey. - Z królem i królową dwieście dziewięćdziesiąt.

- Chwileczkę - zauważył Yereker. - Nad królową ma dziesiątkę.

- Ale już to wyjaśniałam - powiedziała Joanna. - W beziku dziesiątka jest starsza od królowej.

Philip Yereker pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nie podoba mi się to. Nigdy nie zrozumie tej przeklętej gry. - Sir Henry roześmiał się rozbawiony.

- To gra dżentelmenów, mój chłopcze. Prawdziwa arystokratka wśród karcianych gier.

- Zerwał się tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, i musiał je podnieść. - Mogę się poczęstować, Joanno?

- Oczywiście, mój drogi - odparła z promiennym uśmiechem.

- Jest pan coś dzisiaj bardzo zadowolony z siebie - zauważył Yereker.

Sir Henry uśmiechnął się szeroko, grzejąc plecy przy kominku.

- Jestem, Filipie, jestem, i mam po temu powody. - Powiedział to wszystko jednym tchem. - Właściwie mogę ci już zdradzić, i tak wkrótce się dowiesz.

„Boże, co za stary głupiec!” - pomyślała Joanna Grey. Przerwała mu pospiesznie, zaniepokojona nie na żarty.

- Henry, czy uważasz, że powinieneś?

- Czemu nie? - odparł. - Komuż mógłbym ufać, jeśli nie tobie i Filipowi? - Zwrócił się do Yerekera. - Rzecz w tym, że w sobotę przyjeżdża tutaj na weekend sam premier.

- Wielkie nieba! Słyszałem, oczywiście, że ma przemawiać w King's Lynn. - Yereker nie ukrywał zdumienia. - Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że zna pan Churchilla, sir.

- Nie znam - przyznał sir Henry. - Po prostu przed powrotem do miasta miał ochotę

spędzić gdzieś spokojny weekend i coś namalować. Słyszał, rzecz jasna, o ogrodach w Studley, bo i któż o nich nie wie? Założono je w roku klęski Armady. Kiedy zapytano mnie z Downing Street, czy może się tu zatrzymać, byłem zachwycony.

- Oczywiście - przytaknął Yereker.

- Musicie, niestety, zachować to dla siebie - oznajmił sir Henry. - Nikt we wsi nie może o tym wiedzieć, dopóki stąd nie wyjedzie. Bardzo na to nalegali. Sami rozumiecie, kwestia bezpieczeństwa. Ostrożności nigdy za wiele.

Był już mocno wstawiony i mówił niewyraźnie.

- Przypuszczam, że będzie miał silną ochronę - powiedział Yereker.

- Wcale nie - odparł sir Henry. - Nie chce żadnego zamieszania. Będą z nim tylko trzy lub cztery osoby. Załatwiłem pluton moich chłopaków z Obrony Kraju, żeby pilnowali terenu wokół majątku, kiedy tu będzie. Ale nawet oni nie wiedzą, o co chodzi. Myślą, że to ćwiczenia.

- Naprawdę? - zdziwiła się Joanna.

- Tak. W sobotę mam jechać do King's Lynn, żeby się z nim spotkać. Wrócimy samochodem. - Odbiło mp się, więc odstawił szklanę. - O, przepraszam na chwilę. Niezbyt dobrze się czuję.

- Proszę - powiedziała Joanna Grey.

Podszedł do drzwi i odwrócił się, kładąc palec na ustach.

- Ani mru, mru!

Kiedy wyszedł, Yereker stwierdził:

- Co za niespodzianka!

- Jest naprawdę nieznośny - oświadczyła Joanna. - Nie powinien mówić ani słowa, a powiedział mi to w takich samych okolicznościach, kiedy za dużo wypił. Oczywiście, czułam się w obowiązku zachować to dla siebie.

- Jasne - odparł. - Miałaś całkowitą rację. - Wstał, sięgając po laskę. - Lepiej odwiozę go do domu. W tym stanie nie powinien prowadzić.

- To bez sensu. - Wzięła go pod rękę i odprowadziła do drzwi. - Musiałbyś iść aż na plebanię po swój samochód. Nie ma potrzeby. Sama go odwiozę.

Pomogła mu włożyć płaszcz.

- Na pewno sobie poradzisz?

- Oczywiście. - Pocałowała go w policzek. - Nie mogę się już doczekać spotkania z Pamelą w sobotę.

Yereker odszedł w mrok, powłócząc nogą. Joanna stała w drzwiach, nasłuchując jego

oddalających się kroków. Było tak cicho i spokojnie, prawie jak na południowoafrykańskich stepach, które pamiętała z dzieciństwa. Dziwne, ale już od lat o nich nie myślała.

Weszła z powrotem do domu i zamknęła drzwi. Sir Henry wyłonił się z toalety na parterze i zmierzał niepewnym krokiem do swojego fotela przy kominku.

- Muszę się zbierać, moja droga.

- Głupstwo - odparła. - Zawsze jest czas, żeby się jeszcze napić. - Wlała mu do szklanki odrobinę szkockiej i usiadła na oparciu fotela, delikatnie gładząc go po szyi. - Wiesz, Henry, marzę o tym, żeby spotkać się z premierem. Chyba niczego na świecie bardziej nie pragnę.

- Naprawdę, moja droga? - Wpatrywał się w nią z głupim wyrazem twarzy.

Uśmiechnęła się i delikatnie musnęła ustami jego czoło.

- No, prawie niczego...

Kiedy Himmler zszedł po schodach do podziemi budynku przy Prinz Albrechtstrasse, panowała tam całkowita cisza. Rossman oczekiwał go na dole. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci i był bardzo blady.

- No i co? - zapytał Himmler.

- Niestety, nie żyje, Herr Reichsfuhrer. - Himmler nie ukrywał niezadowolenia.

- To niewybaczalne zaniedbanie, Rossman. Kazałem panu uważać.

- Proszę darować, Herr Reichsfuhrer, ale zawiniło tu jego słabe serce. Doktor Prager może to potwierdzić. Natychmiast po niego posłałem. Jeszcze tam jest.

Otworzył najbliższe drzwi. Z boku celi stali dwaj gestapowcy, pomocnicy Rossmana, wciąż jeszcze w gumowych rękawicach i fartuchach. Drobny, ale energiczny człowiek w tweedowym garniturze pochylał się nad ciałem, leżącym w kącie na żelaznej pryczy, badając stetoskopem obnażony tors.

Gdy wszedł Himmler, obrócił się i podniósł rękę w faszystowskim pozdrowieniu.

- Herr Reichsfuhrer!

Himmler przyglądał się przez chwilę Steinerowi. Generał był rozebrany do pasa i bosi. Oczy miał częściowo otwarte, nieruchome, wpatrzone w przestrzeń.

- No i co? - zapytał Himmler.

- Serce, Herr Reichsfuhrer. Nie ma wątpliwości.

Himmler zdjął binokle i delikatnie potarł nos. Całe popołudnie cierpiał na ból głowy, który nie przechodził.

- W porządku, Rossman - oznajmił. - Był winien zdrady i spisku na życie samego Fuhrera. Jak pan wie, Fuhrer zarządził ustawową karę za takie przestępstwo i generał - major

Steiner nie może jej uniknąć, nawet po śmierci.

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer.

- Proszę dopilnować, żeby wyrok wykonano. Nie mogę być obecny, bo wezwano mnie do Rastenburga, ale proszę zrobić zdjęcia i pozbyć się ciała, tak jak zwykle.

Wszyscy strzelili obcasami, wymieniając faszystowskie pozdrowienia, i wyszli.

Rogan zapytał zdumiony:

- Gdzie go aresztowano?

Dochodziła piąta i było już dość ciemno, żeby zaciągnąć zasłony do zaciemnienia.

- W domu na farmie koło jeziora Caragh w Kerry, w czerwcu ubiegłego roku, po strzelaninie, w czasie której zabił dwóch policjantów i sam został ranny. Następnego dnia uciekł z miejscowego szpitala i ślad po nim zaginął.

- Dobry Boże, i oni uważają się za policjantów! - powiedział Rogan z rozpaczą w głosie.

- Faktem jest, sir, że Wydział Specjalny z Dublina nie miał z tym nic wspólnego. Zidentyfikowali go dopiero później na podstawie odcisków palców na rewolwerze. Aresztowania dokonał patrol z miejscowych koszar Gardy, poszukujący nielegalnej destylarni. Jest jeszcze coś, sir. W Dublinie mówią, że skontaktowali się z hiszpańskim MSZ, bo nasz przyjaciel miał tam ponoć siedzieć w więzieniu. Hiszpanie nie byli zbyt skorzy do udzielania informacji. Wie pan, jak trudno się z nimi dogadać w takich sprawach. W końcu przyznali, że uciekł z farmy karnej w Grenadzie jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. O ile im wiadomo, dostał się do Lizbony i popłynął do USA.

- A teraz wrócił - stwierdził Rogan. - Pytanie tylko, po co. Miałeś już jakieś wieści z lokalnych posterunków?

- Z siedmiu, sir. Niestety, wszystkie niepomyślne.

- No dobrze. W tej chwili pozostaje nam tylko nadzieja. Gdybyś coś wiedział, natychmiast daj mi znać. O dowolnej porze. Gdziekolwiek będę.

- Tak jest, sir.

Rozdział XIV

Był dokładnie kwadrans po jedenastej w piątkowe przedpołudnie, kiedy Harry Kane, nadzorujący przygotowania oddziału do akcji szturmowej w majątku w Meltham otrzymał pilne wezwanie, żeby natychmiast zameldować się u Shafto. Kiedy dotarł do biura dowódcy, panowało tam spore zamieszanie. Urzędnicy wyglądali na przestraszonych, a sierżant Garvey przechadzał się tam i z powrotem, nerwowo paląc papierosa.

- Co się stało? - zapytał Kane.

- Nie mam pojęcia, panie majorze. Wiem tylko, że jakieś piętnaście minut temu wpadł w szal, kiedy dostał pilny komunikat z głównej kwatery. Wykopał z gabinetu młodego Johnsona. Dosłownie wykopał.

Kane zapukał do drzwi i wszedł do środka. Shafto stał przy oknie, trzymając w jednej ręce szpicrutę, a w drugiej szklanę. Odwrócił się ze złością, ale zaraz potem twarz mu się rozchmurzyła.

- A, to ty, Harry.

- O co chodzi, sir?

- To proste. Tym draniom ze Sztabu Połączonych Operacji, którzy chcieli się mnie pozbyć, w końcu się to udało. Kiedy pod koniec przyszłego tygodnia skończymy ćwiczenia, Sam Williams ma przejąć po mnie dowództwo.

- A pan, sir?

- Wracam do Stanów, jako główny instruktor sztuki wojennej w Fort Benning.

Kopnął kosz na śmieci tak mocno, że przeleciał przez cały pokój.

- Nic pan nie może na to poradzić, sir? - spytał Kane. Shafto naskoczył na niego, jakby wpadł w szal.

- Poradzić?! - Wziął do ręki rozkaz i podetknął Kane'owi pod nos. - Widzisz, kto to podpisał? Sam Eisenhower! - Zgniółł papier w kulkę i wyrzucił. - A wiesz co, Kane? On nigdy nie brał udziału w walce. Ani razu w całej swojej karierze.

Devlin leżał na łóżku w Hobs End, pisząc coś w swoim notatniku. Na dworze lało jak z cebra, a nad moczarami wisiała mgła, niczym wilgotny, czepiający się wszystkiego całun. Drzwi otworzyły się i weszła Molly. Miała na sobie trencz Devlina i niosła tacę, którą położyła na stoliku obok łóżka.

- Proszę, mój królu i panie. Herbata, grzanki, dwa gotowane jajka - cztery i pół minuty, tak jak chciałeś - i kanapki z serem.

Devlin przestał pisać i spojrzał z podziwem na tacę.

- Tylko tak dalej, a może się skuszę, żeby zatrzymać cię na zawsze. Zdjęła trencz. Pod spodem miała tylko majteczki i stanik. Wzięła swój sweter, leżący w nogach łóżka, i włożyła go przez głowę.

- Muszę już iść. Powiedziałam mamie, że wrócę na obiad. - Devlin nalał sobie filizankę herbaty i wziął do ręki notatnik.

- Co to? - Molly otworzyła go. - Wiersze? Uśmiechnął się szeroko.

- Zależy od punktu widzenia.

- To twoje? - spytała, szczerze zdumiona. Otworzyła notatnik na stronie, którą rano zapisał. - Nie został żaden ślad mych kroków tam, gdzie wchodziłem w las o zmroku. - Podniosła wzrok. - To bardzo ładne, Liam.

- Wiem - odparł. - Sama mi ciągle powtarzasz, że jestem cudownym chłopakiem.

- Wiem jedno: chciałabym cię schrupać! - Rzuciła się na niego i pocałowała namiętnie. - Wiesz, jaki dziś dzień? Piąty listopada, tyle że nie możemy mieć ogniska z powodu przekłętego, starego Adolfa.

- Jaka szkoda! - odpowiedział kpiąco.

- Nie przejmuj się. - Ułożyła się wygodnie, obejmując go nogami. - Wpadnę wieczorem, zrobię ci kolację i będziemy mieli własne małe ognisko.

- Nic z tego - odrzekł. - Nie będzie mnie tutaj. Jej twarz spochmurniała.

- Interesy? - Pocałował ją delikatnie.

- Pamiętaj, co obiecałaś.

- W porządku - odparła. - Będę grzeczna. Zobaczymy się rano.

- Nie, chyba nie wrócę wcześniej niż jutro po południu. Umówimy się lepiej, że ja do ciebie wpadnę, zgoda?

Skinęła głową bez entuzjazmu.

- Skoro tak chcesz...

- Chcę.

Pocałował ją i w tej samej chwili na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu. Molly podbiegła do okna i wróciła w pośpiechu, chwytając swoje drelichowe spodnie.

- O Boże, to pani Grey.

- Oto, co znaczy być złapanym na gorącym uczynku - powiedział ze śmiechem Devlin.

Wciągnął sweter, a Molly sięgnęła po płaszcz.

- Idę. Do zobaczenia jutro, przystojniaku. Mogę to zabrać? Chciałabym przeczytać

pozostałe.

Trzymała w ręce jego notatnik z wierszami.

- Boże, ależ ty się lubisz umartwiać - odparł Devlin. Pocałowała go mocno. Odprowadził ją na dwór przez drzwi z tyłu domu, a potem stał i patrzył, jak biegnie wśród sitowia w stronę grobli. Wiedział, że to może być już ostatni raz.

- No cóż - stwierdził cicho. - Tym lepiej dla niej.

Odwrócił się i poszedł otworzyć drzwi, bo Joanna Grey pukała już kilkakrotnie. Spojrzała na niego surowo, kiedy wkładał koszulę do spodni.

- Zauważyłam przed chwilą Molly na ścieżce przy grobli. - Przeszła obok niego. - Naprawdę powinieneś się wstydzić.

- Wiem - odparł, idąc za nią do salonu. - Jestem kawał drania. No cóż, mamy wielki dzień. To chyba uzasadniony powód, żeby się czegoś napić. Zechce mi pani towarzyszyć?

- Nalej mi na samo dno szklanki i ani krztyny więcej - powiedziała surowo.

Przyniósł Bushmills i dwie szklanki, po czym nalał jej i sobie.

- Niech żyje Republika! - powiedział. - Zarówno irlandzka, jak południowoafrykańska. A co słyhać nowego?

- Minionej nocy, tak jak mi kazali, przełączyłam się na inną częstotliwość fal. Nadaję teraz bezpośrednio do Landsvoort. Radl jest tam osobiście.

- Nie odwołali akcji? - zdziwił się Devlin. - Mimo złej pogody? - Pani Grey miała błysk w oczach.

- Choćby się waliło i paliło, Steiner i jego ludzie będą tu około pierwszej.

Steiner zebrał grupę szturmową w swojej kwaterze. Spośród obecnych jedynie Max Radl nie miał brać bezpośredniego udziału w akcji. Nawet Gericke'a nie dopuszczono do odprawy. Wszyscy stali wokół stołu z mapą. Kiedy Steiner odwrócił się w ich stronę od okna, przy którym rozmawiał cicho z Radiem, zapanowało nerwowe podniecenie. Wskazał na zrobioną przez Gerharda Klügla makietę, zdjęcia i mapy.

- No dobrze. Wiecie już wszyscy, dokąd lećcie. Znacie w tym miejscu każdą gałązkę i każdy kamień, bo ćwiczymy to od kilku tygodni. Nie wiecie tylko, co mamy robić, kiedy tam dotrzemy.

Przerwał na moment, spoglądając po kolei na ich twarze, pełne napięcia i wyczekujące. Nawet Preston, który już od jakiegoś czasu wiedział przecież, o co chodzi, wydawał się przejęty dramatyzmem sytuacji.

I wtedy Steiner wszystko im powiedział.

Peter Gericke usłyszał aż z hangaru entuzjastyczne okrzyki.

- Co się tam dzieje, na miłość boską? - odezwał się Bohmler.

- Mnie pytasz? - odparł zgryźliwie Gericke. - Nikt mi tu o niczym nie mówi. - Miara goryczy przepełniła się. - Skoro jesteśmy wystarczająco dobrzy, żeby ryzykować głową, lecąc z tymi facetami, mogliby nam chociaż powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jeżeli to aż takie ważne - powiedział Bohmler- wcale nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. Pójdę sprawdzić radar.

Wdrapał się do samolotu, a Gericke zapalił papierosa i odszedł kawałek dalej, raz jeszcze lustrując Dakotę. Sierżant Witt wspaniale sobie poradził ze znakiem RAF-u. Odwróciwszy się, Gericke zobaczył, że przez lądowisko jedzie w jego kierunku gazik. Za kierownicą siedział Ritter Neumann, obok niego Steiner, a z tyłu Radl. Zatrzymali się w odległości kilku jardów. Żaden z nich nie wysiadał.

- Nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego z życia, Peter - stwierdził Steiner.

- A dlaczego miałbym być? - odparł Gericke. - Spędziłem na tym śmietniku cały miesiąc, harując od rana do wieczora przy maszynie i po co to wszystko? - Wymownym gestem wskazał na mgłę, deszcz i całe niebo. - W takim gównie nawet nie oderwę się od ziemi.

- Och, jesteśmy święcie przekonani, że człowiek twojego formatu będzie w stanie tego dokonać.

Zaczęli wysiadać z gazika, a Ritter z największym trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Hej, co się dzieje? - zapytał wojowniczo Gericke. - O co tu chodzi?

- No cóż, sprawa jest w sumie prosta, ty biedny, nieszczęsny, pokrzywdzony sukinsynu - odezwał się Radl. - Mam zaszczyt poinformować cię, że dostałeś właśnie Krzyż Rycerski.

Gericke wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, a Steiner dodał łagodnie:

- Jak więc widzisz, mój drogi Peter, będziesz miał wreszcie swój weekend w Karinhall.

Koenig pochylił się razem ze Steinerem i Radiem nad stołem z mapą, a główny podoficer Muller stał w dyskretnej odległości, uważnie jednak słuchając.

Młody porucznik mówił:

- Cztery miesiące temu nasza łódź podwodna, dowodzona przez mojego starego przyjaciela Horsta Wengela, storpedowała w pobliżu Hybryd uzbrojony brytyjski trawler. Załogę stanowiło tylko piętnastu ludzi, wziął więc wszystkich do niewoli. Mieli pecha, bo nie zdążyli pozbyć się dokumentów, a były wśród nich interesujące mapy zaminowania wód

wzdłuż brytyjskich wybrzeży.

- To musiał być dla kogoś przełomowy moment - stwierdził Steiner.

- Dla nas wszystkich, Herr Oberst. Najlepszym dowodem są te oto najnowsze mapy z Wilhelmshaven. Widzi pan to miejsce na wschód od zatoki Wash, gdzie miny rozmieszczono równoległe do brzegu, zabezpieczając szlak żeglugi przybrzeżnej? Jest tam wyraźnie zaznaczony korytarz, którym można przepłynąć. Brytyjska marynarka wytyczyła go dla własnych celów, ale jednostki Ósmej Flotyli Łodzi Torpedowych z Rotterdamu już od pewnego czasu bezpiecznie z niego korzystają. Właściwie przy dokładnej nawigacji da się tamtędy płynąć z dużą szybkością.

- Można więc chyba bez przesady powiedzieć, że w takich okolicznościach zaminowany obszar stanowi sam w sobie niezłą osłonę - stwierdził Radl.

- Właśnie, Herr Oberst.

- A jak dostaniecie się ujściem rzeki za półwysep w pobliże Hobs End?

- To rzeczywiście niełatwe, ale Muller i ja przestudiowaliśmy tak dokładnie mapy admiralicji, że znamy je już na pamięć. Znamy wszystkie głębiny i mielizny. Proszę pamiętać, że jeżeli mamy przejąć naszych ludzi o dziesiątej, znajdziemy się tam podczas przyływu.

- Mówił pan, że potrzebujecie ośmiu godzin, żeby dotrzeć na miejsce. To znaczy, że o której pan stąd wyruszy... o pierwszej?

- Mielibyśmy w ten sposób pewien margines czasu na wszelki wypadek. Oczywiście, jak pan wie, to nietypowy statek. W razie potrzeby może odbyć tę podróż i w siedem godzin. Po prostu nie chcę ryzykować.

- Bardzo rozsądnie - stwierdził Radl - ponieważ pułkownik Steiner i ja postanowiliśmy zmienić panu nieco rozkazy. Chcę, żeby był pan w pobliżu półwyspu, gotowy do wzięcia na pokład naszych ludzi o dowolnej porze między dziewiątą a dziesiątą. Ostateczne rozkazy dostanie pan przez radiotelefon od Devlina. Niech pan słucha jego poleceń.

- Tak jest, Herr Oberst.

- Pod osłoną ciemności nie powinno panu grozić żadne szczególne niebezpieczeństwo - powiedział Steiner uśmiechając się. - W końcu to brytyjski statek.

Koenig wyszczerzył zęby, otworzył szafkę pod stołem z mapą i wyjął białą banderę brytyjskiej marynarki.

- No i proszę pamiętać, że zawiesimy to. - Radl skinął głową.

- Od chwili wypłynięcia obowiązuje cisza w eterze. Pod żadnym pozorem nie wolno jej naruszyć, dopóki nie odezwie się Devlin. Zna pan, oczywiście, sygnał wywoławczy?

- Naturalnie, Herr Oberst.

Koenig był nader uprzejmy. Radl poklepał go po ramieniu.

- Tak, wiem, wydaję się panu znerwicowanym starszkiem. Zobaczymy się jutro, zanim wypłyniecie. Niech pan się teraz pożegna z pułkownikiem Steinerem.

Steiner uściskał im obu dłonie.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Chyba tylko: proszę się nie spóźnić, na litość boską!

Koenig zasalutował, jak przystało na marynarza.

- Zobaczymy się na tej plaży, Herr Oberst. Obiecuję. - Steiner uśmiechnął się kwaśno.

- Do diabła, mam nadzieję, że tak będzie. - Odwrócił się i podążył za Radiem.

Kiedy szli do gazika wzdłuż piaszczystego mola, Radl zapytał:

- Powiedz, Kurt, czy to się uda?

W tym samym momencie zza wydm wyłonili się Werner Briegel i Gerhard Klugl. Ubrani byli w poncza, a Briegel miał zawieszoną na szyi zeissowską lornetkę.

- Posłuchajmy ich zdania! - zaproponował Steiner i zawołał po angielsku: - Szeregowy Kunicki! Szeregowy Moczar! Proszę do mnie! - Briegel i Klugl podbiegli bez chwili namysłu. Steiner spokojnie im się przyjrzał, po czym zapytał również po angielsku: - Kto ja jestem?

- Podpułkownik Howard Carter, dowódca Polskiej Samodzielnej Kompanii Spadochronowej w Pułku Specjalnych Sił Powietrznych - odpowiedział natychmiast Briegel poprawną angielszczyzną.

Radl odwrócił się do Steiner a z uśmiechem na ustach.

- To robi wrażenie.

- Co tu robicie? - spytał Steiner.

- Starszy sierżant Brandt... - zaczął Briegel i zaraz się poprawił: - Starszy sierżant Kruczek kazał nam trochę odpocząć. - Zawahał się przez chwilę, a potem dodał po niemiecku: - Szukamy skowronków górniczków, Herr Oberst.

- Górniczków? - zdziwił się Steiner.

- Tak. Dość łatwo je rozpoznać. Mają na głowie i szyi bardzo charakterystyczne czarno-żółte ubarwienie.

Steiner wybuchnął śmiechem.

- Widzisz, mój drogi Maxie? Górniczki! Jak mogłoby się nam nie powieść?

Siły przyrody najwyraźniej jednak sprzysięgły się przeciwko nim. Kiedy zapadł zmrok, większość wschodniej Europy nadal otulała mgła. Gericke od godziny szóstej kontrolował bez przerwy lądowisko w Landsvoort, ale pomimo ulewnego deszczu mgła była

ciągle gęsta.

- Kłopot w tym, że nie ma wiatru - poinformował o ósmej Steinerja i Radla. - Tego nam teraz potrzeba, żeby rozwiać to świństwo. Silnego wiatru.

Nie lepiej wyglądały sprawy w Norfolk, po drugiej stronie Morza Północnego. Joanna Grey siedziała ze słuchawkami na uszach przy odbiorniku radiowym w kryjówce na poddaszu swego domu, wypełniając czas czytaniem pożyczonej od Yerekera książki, w której Winston Churchill opisywał, w jaki sposób uciekł z obozu jenieckiego w czasie wojny burskiej. Była to urzekająca lektura i Joanna musiała niechętnie przyznać, że go podziwia.

Devlin wychodził sprawdzić stan pogody w Hobs End równie często, jak Gericke, nic się jednak nie zmieniało i mgła była ciągle nieprzenikniona. O dziesiątej, po raz czwarty tej nocy, poszedł do grobli na plażę, ale wciąż utrzymywała się taka sama pogoda.

Zapalił w ciemnościach latarkę, po czym pokręcił głową i mruknął pod nosem:

- Dobra pora na brudną robotę, tylko tyle można powiedzieć.

Wydawało się oczywiste, że cała akcja zakończy się niepowodzeniem i trudno było nie dojść do takiego wniosku również w Landsvoort.

- Chcesz powiedzieć, że nie dasz rady wystartować? - zapytał Radl, kiedy młody Hauptmann wrócił do hangaru z kolejnym meldunkiem o pogodzie.

- Z tym nie ma problemu - odparł Gericke. - Mogę startować na ślepo. W tak równinnym kraju nie jest to szczególnie ryzykowne.

Trudności zaczną się po drugiej stronie. Nie mogę tak po prostu wyrzucić tych ludzi, w nadziei, że wszystko dobrze się ułoży. Może się zdarzyć, że będziemy milę od brzegu. Muszę chociaż przez moment widzieć miejsce zrzutu.

Bohmler otworzył małe drzwiczki w jednej z ogromnych bram hangaru i wyjrzał na zewnątrz.

- Herr Hauptmann... - Gericke podążył w jego kierunku.

- O co chodzi?

- Proszę zobaczyć.

Gericke wyszedł za nim, a Bohmler zapalił światło na zewnątrz. Choć było nikłe, pozwalało zobaczyć wirujące w powietrzu nieregularne kłęby mgły. Poczul chłód na policzku.

- Wiatr! - powiedział. - O Boże, mamy wiatr!

Mgła rozstąpiła się nagle i przez chwilę widział dom na farmie. Niewyraźnie, ale jednak.

- Lecimy? - zapytał niecierpliwie Bohmler.

- Tak - odparł Gericke. - I to zaraz. - Odwrócił się i przecisnął z powrotem przez drzwiczki, żeby poinformować Steinera i Radia.

W dwadzieścia minut później, dokładnie o godzinie jedenastej, Joanna Grey wyprostowała się nagle, słysząc brzęczenie w słuchawkach. Rzuciła książkę, sięgnęła po ołówek i zaczęła coś pisać w leżącym przed nią bloku. Komunikat był bardzo krótki i rozszyfrowała go w parę sekund. Przez chwilę wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana, potem potwierdziła odbiór.

Zeszła szybko na dół i zdjęła wiszący za drzwiami kożuch. Pies łąsił się jej do nóg.

- Nie, Patch, nie teraz - powiedziała.

Z powodu mgły musiała jechać ostrożnie i dopiero po dwudziestu minutach znalazła się przed domem w Hobs End. Devlin składał właśnie na kuchennym stole swój arsenał, kiedy usłyszał podjeżdżający samochód. Szybko wziął do ręki mauzera i wyszedł na korytarz.

- To ja, Liam - zawołała Joanna. Otworzył drzwi, a ona wślizgnęła się do środka.

- Co się dzieje?

- Dostałam właśnie wiadomość z Landsvoort. Nadana dokładnie o jedenastej - oznajmiła. - Orzeł wyfrunął.

Patrzył na nią zdumiony.

- Oni powariowali! Na plaży mgła gęsta jak zupa!

- Kiedy jechałam po grobli, zdawało mi się, że trochę rzednie.

Wyszedł pospiesznie, by wyrzucić przez frontowe drzwi. Po chwili był z powrotem, z twarzą pobladłą z przejęcia.

- Od strony morza wieje wiatr, na razie lekki, ale może przybrać na sile.

- Myślisz, że się utrzyma? - zapytała.

- Bóg jeden wie. - Podał jej stena z tłumikiem, który leżał złożony na stole. - Umie pani się z tym obchodzić?

- Oczywiście.

Wziął do ręki wypchany plecak i zarzucił go sobie na ramiona.

- No dobrze, bierzemy się wspólnie do dzieła. Mamy zadanie do wykonania. Jeśli dobrze określiła pani czas, za czterdzieści minut będą lądować na plaży. - Kiedy wyszli na korytarz, zaśmiał się szorstko. - Boże, trzeba im przyznać, że idą na całego.

Otworzył drzwi i oboje wyszli, znikając we mgle.

- Na twoim miejscu zamknąłbym oczy - powiedział kpiąco Gericke do Bohmlera poprzez huk rozgrzewanych silników, sprawdzając je po raz ostatni przed startem. - To będzie przeżycie mrozące krew w żyłach.

Zapalono światła, wyznaczające pas startowy, ale widać było tylko kilka najbliższych. Widoczność nie przekraczała czterdziestu - pięćdziesięciu jardów. Drzwi za ich plecami otworzyły się i Steiner wsunął głowę do kabiny.

- Wszystko gotowe? - spytał Gericke.

- Wszystko i wszyscy. Czekamy na was.

- W porządku. Nie chcę być panikarzem, ale muszę zaznaczyć, że wiele może się zdarzyć i zapewne nie obejdzie się bez niespodzianek.

Zwiększył obroty silników, a Steiner uśmiechnął się szeroko i odparł, przekrzykując potężny huk:

- Świącie w was wierzymy!

Zamknął drzwi i wyszedł. Gericke natychmiast zwiększył moc silników i Dakota ruszyła. Chyba nigdy w życiu nie robił niczego równie przerażającego jak to nurkowanie na oślepie w szarą ścianę mgły. Potrzebował kilkuset jardów pasa startowego, żeby oderwać maszynę od ziemi przy szybkości około osiemdziesięciu mil na godzinę.

Dobry Boże - pomyślał. - Czy nadeszła ta chwila? Czy już wreszcie nadeszła?

Kiedy jeszcze bardziej zwiększył moc, wibracje stały się nie do zniesienia. Ogon podniósł się w górę, gdy tylko przesunął do przodu drążek. Ledwo go dotknął. Maszyna zboczyła w prawo w lekkim podmuchu wiatru, musiał więc nieco skorygować ster.

Ciemność wypełniła się hukami silników. Przy szybkości osiemdziesięciu mil lekko cofnął drążek, ale go nie puszczał. Dopiero wtedy, gdy wyczuł odpowiedni moment, gdy ten dziwny szósty zmysł, będący rezultatem kilku tysięcy przelatanych godzin, powiedział mu, że już czas, pociągnął za drążek i krzyknął: - Teraz!

Bohmler, który czekał w napięciu, trzymając rękę na dźwigni zamykającej podwozie, zareagował błyskawicznie i wciągnął koła. I nagle byli już w powietrzu. Gericke trzymał kurs, lecąc wprost w szarą ścianę mgły i nie chcąc wzbijać się wyżej kosztem zmniejszenia mocy silników. Odczekał najdłużej, jak mógł, zanim odciągnął drążek do samego końca. Na wysokości pięciuset stóp, kiedy wylecieli z mgły, wcisnął nogą pedał prawego steru i skierował maszynę w stronę morza.

Max Radl siedział obok kierowcy w gaziku stojącym koło hangaru i z przerażeniem na twarzy wpatrywał się w zamglone niebo.

- Wielki Boże! - wyszeptał. - Udało mu się!

Pozostał na miejscu jeszcze przez chwilę, nasłuchując milkącego w ciemnościach odgłosu silników, po czym skinął na siedzącego za kierownicą Witta.

- Wracamy na farmę, najszybciej jak się da, sierżancie. Mam sporo pracy.

W Dakocie nie odczuwało się spadku napięcia. Przede wszystkim dlatego, że w ogóle go nie było. Rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami, zachowując spokój jak doświadczeni żołnierze, którzy już tyle razy brali udział w podobnych akcjach, że stało się to ich drugą naturą. Ponieważ nikomu nie wolno było mieć przy sobie niemieckich papierosów, Ritter Neumann i Steiner rozdawali je każdemu z osobna, chodząc po samolocie.

- Niezły pilot z tego Hauptmanna, należy mu to przyznać - stwierdził Altmann. - Trzeba być nie lada asem, żeby wystartować w takiej mgle.

Steiner odwrócił się do Prestona, który siedział na końcu szeregu.

- Papierosa, poruczniku? - zapytał po angielsku.

- Bardzo dziękuję, sir, chętnie zapalę - odparł Preston, wspaniale obcinając końcówki słów, co oznaczało, że znów udaje kapitana gwardii z Coldstream.

- Jak się pan czuje? - spytał półgłosem Steiner.

- Jestem w doskonałym nastroju, sir - odparł spokojnie Preston. - Nie mogę się doczekać, kiedy wyląduję.

Steiner zrezygnował z dalszej rozmowy i oddalił się do kabiny, gdzie Bohmler podawał właśnie Gericke'owi kawę z termosu. Lecieli na wysokości dwóch tysięcy stóp. Kiedy chwilami rozstępowały się chmury, widać było gwiazdy i błądy sierp księżyca. W dole mgła dawała efektowny widok, unosząc się nad morzem niczym dym nad doliną.

- Jak idzie? - spytał Steiner.

- Dobrze. Jeszcze trzydzieści minut. Wiatr jest jednak za słaby. Chyba jakieś pięć węzłów.

Steiner wskazał głową na otchłań w dole.

- Jak myślisz, będzie wystarczająca widoczność, kiedy polecisz niżej?

- Kto wie? - Gericke wyszczerzył zęby. - Może wyląduję razem z wami na tej plaży?

W tej samej chwili Bohmler, pochylony nad zestawem Lichtensteina, sapnął z przejęcia.

- Mam coś, Peter!

Weszli właśnie w krótkie pasmo chmur.

- Co to może być? - spytał Steiner.

- Pewnie nocny myśliwiec, bo jest sam - odparł Gericke. - Módlmy się, żeby to nie był któryś z naszych. Zdmuchnie nas jak świeczkę.

Wyłonili się z chmur i lecieli na tle czystego nieba. Bohmler dotknął ramienia Gericke'a.

- Leci z prawej, jak nietoperz z piekła.

Steiner odwrócił głowę i po kilku chwilach zobaczył wyraźnie dwusilnikowy samolot, wyrównujący lot z ich prawej strony.

- Moskito - oznajmił Gericke i dodał spokojnie: - Miejmy nadzieję, że potrafi z daleka rozpoznać swoich.

Moskito leciał tym samym kursem tylko przez parę chwil, po czym zamachał skrzydłami i z dużą szybkością zrobił skręt w prawo, znikając w gęstych chmurach.

- Widzi pan? - Gericke uśmiechnął się do Steinera. - Trzeba tylko być w porządku. Niech pan lepiej wróci do swoich chłopaków i upewni się, czy są gotowi. Jeśli nic nie nawali, dwadzieścia mil stąd powinniśmy złapać przez radiotelefon kontakt z Devlinem. Wtedy pana zawołam. A teraz niech się pan stąd Wynosi do diabła. Bohmlera czeka niełatwa nawigacja.

Steiner wrócił do głównej kabiny i usiadł obok Rittera Neumanna.

- Już niedługo - oznajmił. Neumann podał mu papierosa.

- Wielkie dzięki - powiedział Steiner. - Właśnie tego potrzebowałem.

Na plaży było zimno, a odpływ odsłonił już dwie trzecie jej powierzchni. Devlin chodził niespokojnie tam i z powrotem, żeby się rozgrzać, trzymając w prawej ręce włączony radiotelefon. Była prawie za dziesięć dwunasta, więc Joanna Grey podążyła w jego stronę, wyszedłszy spod drzew, które chroniły ją przed pokapującym deszczem.

- Muszą być już blisko.

Jakby w odpowiedzi na to radiotelefon zatrzeszczał i rozległ się zadziwiająco wyraźny głos Petera Gericke'a:

- Wędrowiec, tu Orzeł, czy mnie słyszysz?

Joanna Grey chwyciła Devlina za ramię. Odtrącił jej rękę i odezwał się do radiotelefonu:

- Głośno i wyraźnie.

- Jaka pogoda nad gniazdem?

- Słaba widoczność - oznajmił Devlin. - Sto - sto pięćdziesiąt jardów. Coraz chłodniejszy wiatr.

- Dziękuję. Przewidywany czas przylotu: sześć minut. Devlin wepchnął Joannie Grey radiotelefon do ręki.

- Niech pani to potrzyma, dopóki nie oznakują lądowiska.

W plecaku miał tuzin lamp rowerowych. Biegł wzdłuż plaży, kładąc je w rzędzie co piętnaście jardów zgodnie z kierunkiem wiatru i zapalając każdą po kolei. Potem zawrócił i ułożył równoległy szereg w odległości dwudziestu jardów.

Kiedy znalazł się z powrotem u boku Joanny Grey, z trudem chwycił oddech. Wyjął

duży i silny reflektor, po czym ręką otarł pot z czoła.

- Och, ta przeklęta mgła - odezwała się Joanna. - W ogóle nas nie dojrzą. Wiem, że tak będzie.

Pierwszy raz zobaczył, że się łamie. Położył jej rękę na ramieniu.

- Spokojnie, moja droga.

W oddali słychać było stłumiony huk silników.

Dakota była na wysokości tysiąca stóp i nadal zniżała lot, wpadając od czasu do czasu w tuman mgły. Gericke rzucił przez ramię:

- Tylko jeden przelot, więcej nie damy rady, więc postarajcie się.

- Spróbujemy - odparł Steiner.

- Powodzenia, Herr Oberst. Proszę pamiętać, że w Landsvoort mam butelkę zamrożonego Dom Perignona. Wypijemy go wspólnie w niedzielę rano.

Steiner poklepał go po ramieniu i wyszedł z kabiny. Skinął głową do Rittera, żeby wydał rozkazy. Wszyscy wstali, mocując karabińczyki spadochronów do liny wyciągającej czasie. Brandt odsunął wyjściowe drzwi, a kiedy do wnętrza samolotu wdarła się mgła i zimne powietrze, Steiner przeszedł wzdłuż szeregu, sprawdzając osobiście, czy wszyscy są zapięci.

Gericke leciał bardzo nisko, tak nisko, że Bohmler widział białe grzywy fal rozbijających się w mroku. Przed nimi była tylko mgła i ciemność. - No! - szeptał Bohmler, tłukąc zaciśniętą pięścią w kolano. - No, do cholery!

I wtedy, jakby za sprawą jakichś niewidzialnych mocy, nagły podmuch wiatru rozerwał szarą zasłonę mgły, odsłaniając nieco na prawo wyraźnie widoczne w mroku dwa rzędy ustawionych przez Devlina rowerowych lamp.

Gericke skinął głową. Bohmler nacisnął guzik i w kabinie nad głową Steinera zapaliło się czerwone światło.

- Przygotować się! - krzyknął.

Gericke zrobił skręt w prawo, zmniejszył szybkość lotu do stu mil i leciał nad plażą na wysokości trzystu pięćdziesięciu stóp. Zabłyśło zielone światło. Ritter Neumann skoczył w ciemność, za nim Brandt i reszta ludzi. Steiner czuł na twarzy podmuchy wiatru i dolatywał go słony zapach morza. Spodziewał się, że Prestonowi znowu zabraknie odwagi. Anglik wyskoczył jednak bez chwili wahania. Był to dobry znak. Steiner przyczepił karabińczyk do liny u góry i skoczył za Prestonem.

Bohmler wyjrzał przez otwarte drzwi kabiny i dotknął ramienia Gericke'a.

- Już wszyscy, Peter. Pójdę zasunąć drzwi.

Gericke skinął głową i zawrócił w stronę morza. W pięć minut później zatrzeszczał radiotelefon i wyraźny głos Devlina oznajmił:

- Wszystkie pisklęta trafiły bezpiecznie do gniazda. Gericke sięgnął po mikrofon.

- Dziękuję, Wędrowiec. Powodzenia.

- Przekaż to zaraz do Landsvoort - powiedział do Bohmlera. - Radl pewnie od godziny nie może sobie znaleźć miejsca.

Himmler siedział samotnie w gabinecie na Prinz Albrechtstrasse, pracując przy świetle stojącej na biurku lampy. Ogień na kominku płonął słabo i w pokoju było dość chłodno, najwyraźniej jednak nie zwracał na to uwagi, zajęty pisaniem. Dało się słyszeć ostrożne pukanie do drzwi i wszedł Rossman.

Himmler podniósł wzrok.

- O co chodzi?

- Mieliśmy właśnie wiadomość od Radia z Landsvoort, Herr Reichsfuhrer. Orzeł wylądował.

Himmler zachował twarz pokerzysty.

- Dziękuję, Rossman - powiedział. - Niech mnie pan na bieżąco informuje.

- Tak jest, Herr Reichsfuhrer.

Rossman wyszedł, a Himmler powrócił do pracy. W pokoju słyhać było jedynie równomierne skrzypienie jego pióra.

Devlin, Steiner i Joanna Grey stali razem przy stole, przyglądając się leżącej na nim dokładnej mapie okolicy.

- Proszę zobaczyć. Tu, za kościołem Najświętszej Marii Panny - wyjaśnił Devlin - jest miejsce zwane Łąką Staruszki. Należy do kościoła, razem ze stodołą, która stoi teraz pusta.

- Jutro się tam ulokujecie - powiedziała Joanna Grey. - Zobaczysz się pan z ojcem Yerekerem i powie mu, że jesteście na ćwiczeniach i chcecie spędzić noc w stodole.

- Czy na pewno się zgodzi? - spytał Steiner. Joanna Grey przytaknęła.

- Nie ma obawy. Takie rzeczy są na porządku dziennym. Żołnierze, odbywający ćwiczenia albo przymusowe marsze, pojawiają się i znikają. Nikt naprawdę nie wie, kim są. Dziewięć miesięcy temu mieliśmy tu jednostkę Czechów. Nawet ich oficerowie znali tylko parę słów po angielsku.

- I jeszcze jedno. Yereker był kapłanem spadochroniarzy w Tunezji - dodał Devlin. - Kiedy więc zobaczy czerwone berety, będzie wychodził ze skóry, żeby wam pomóc.

- Jeśli chodzi o Yerekera, jeszcze więcej przemawia na naszą korzyść - stwierdziła Joanna. - On wie, że premier ma spędzić weekend w Studley Grange, co bardzo nam się

przyda. Sir Henry wygadał się, kiedy wypił za dużo, będąc u mnie któregoś wieczoru. Oczywiście Yereker przysiągł dochować tajemnicy. Nawet własnej siostrze nie może nic powiedzieć, dopóki ta znakomitość stąd nie wyjedzie.

- A co nam to daje? - spytał Steiner.

- To proste - odparł Devlin. - Gdyby w normalnych warunkach powiedział pan Yerekerowi, że macie podczas weekendu odbywać w tej okolicy jakieś ćwiczenia, przyjąłby to po prostu do wiadomości. Wiedząc jednak, że będzie tutaj incognito Churchill, jak wytłumaczy sobie obecność jednostki szturmowej Specjalnych Sił Powietrznych?

- To jasne - odparł Steiner. - Weźmie nas za jego ochronę.

- Właśnie - przytaknęła Joanna Grey. - Kolejny punkt dla nas. Sir Henry wydaje jutro wieczorem małe przyjęcie na cześć premiera. Przepraszam, dziś wieczorem. - Poprawiła się z uśmiechem. - O siódmej trzydzięci, na osiem osób. Zostałam tam zaproszona. Pójdę tylko po to, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność. Powiem, że wezwano mnie na nocny dyżur do Żeńskiej Służby Ochotniczej. Już się tak zdarzało, więc sir Henry i pani Willoughby przyjmą to bez zastrzeżeń. W ten sposób, rzecz jasna, kiedy skontaktujemy się w pobliżu majątku, będę wam mogła dokładnie opisać, co się tam dzieje.

- Znakomicie - powiedział Steiner. - Cała sprawa wygląda z każdą chwilą lepiej.

- Muszę już iść - oznajmiła Joanna Grey.

Devlin przyniósł jej płaszcz, który Steiner odebrał i pomógł Joannie włożyć.

- Czy o tak wczesnej porze może pani bezpiecznie jeździć sama po okolicy?

- Wielki Boże, oczywiście! - uśmiechnęła się. - Mam prawo korzystać z parku samochodowego Żeńskiej Służby Ochotniczej. Tylko dlatego mam w ogóle dostęp do wozu, ale w zamian muszę być do dyspozycji, jeśli we wsi albo w okolicy zdarzy się jakiś wypadek. Często w środku nocy wiozę kogoś do szpitala. Moi sąsiedzi zdążyli się już do tego przyzwycząić.

Otworzyły się drzwi i wszedł Ritter Neumann. Miał na sobie panterkę i spodnie spadochroniarza, a na czerwonym berecie odznakę Specjalnych Sił Powietrznych, przedstawiającą uskrzydłony sztylet.

- Wszystko w porządku? - zapytał Steiner. Ritter skinął głową.

- Wszyscy mają wygodne miejsca do spania. Skarżą się tylko na brak papierosów.

- No jasne. Wiedziałam, że coś przeoczyłam. Zostały w samochodzie - powiedziała Joanna Grey i pospiesznie wyszła.

Za parę chwil wróciła, kładąc na stole dwa kartony papierosów Players. W każdym kartonie było ich pięćset, w paczkach po dwadzieścia sztuk.

- Matko Boska! - powiedział ze zgrozą Devlin. - Widział kto coś takiego? Przecież to towar na wagę złota! Skąd pani je ma?

- Ze sklepów Żeńskiej Służby Ochotniczej. Widzisz, w ten sposób do moich wyczynów dodałam jeszcze kradzież. - Uśmiechnęła się. - A teraz muszę panów opuścić. Jutro znów się spotkamy, oczywiście przypadkiem, kiedy będziecie we wsi.

Steiner i Ritter Neumann zaszalutowali, a Devlin odprowadził ją do samochodu. Zanim wrócił, obaj Niemcy zdążyli już rozpakować jeden karton papierosów i palili przy kominku.

- Wezmę dwie paczki dla siebie - oznajmił Devlin. Steiner podał mu ogień.

- Pani Grey to niezwykła kobieta. Komu przekazałeś dowodzenie, Ritter? Prestonowi czy Brandtowi?

- Wiem tylko, kto myśli, że dowodzi.

Dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi i wszedł Preston. W panterce, z rewolwerem w kaburze u pasa i w czerwonym berecie, założonym ukośnie nad lewym okiem, wydawał się bardziej przystojny niż kiedykolwiek.

- No proszę! - stwierdził Devlin. - To mi się podoba. Co za wytworność! A jak twoje samopoczucie, synku? Cieszysz się, że znów stoisz na ojczyźnej ziemi, co?

Wyraz twarzy Prestona świadczył, że Devlin przypominał mu coś, co należało zdrapać z buta.

- Już w Berlinie nie wydał mi się pan szczególnie zabawny, Devlin. Tym bardziej teraz. Wolałbym, żeby oszczędził mi pan swoich uprzejmości.

- Boże wielki! - odparł ze zdziwieniem Devlin. - Kogóż ten zuch teraz odgrywa, do cholery?

Preston zwrócił się do Steinera:

- Czy ma pan dalsze rozkazy, sir?

Steiner podniósł dwa kartony papierosów i podał mu je.

- Byłbym zobowiązany, gdyby rozdał pan to ludziom - powiedział poważnie

- Polubią cię za to - wtrącił Devlin.

Preston zignorował go, włożył kartony pod lewą pachę i elegancko zaszalutował.

- Tak jest, sir.

W kabinie Dakoty panował nastrój entuzjazmu. Powrotny lot minął bez żadnych niespodzianek. Byli trzydzieści mil od wybrzeży Holandii, gdy Bohmler otworzył termos i podał Gericke'owi kolejną filiżankę kawy.

- Wróciliśmy cało - stwierdził.

Gericke radośnie przytaknął. Nagle jednak z jego twarzy zniknął uśmiech.

W słuchawkach rozległ się znajomy głos. Był to Hans Berger, kontroler z ich dawnej jednostki, NJG 7.

Bohmler dotknął jego ramienia.

- To Berger, prawda?

- A któż by inny? - odparł Gericke. - Słyszałeś go chyba dość często.

- Kierunek zero - osiem - trzy stopnie. - Głos Bergera zakłócały trzaski w eterze.

- Wygląda na to, że naprowadza na cel nocny myśliwiec - stwierdził Bohmler. - Leci naszym kursem.

- Cel pięć kilometrów.

Nagle głos Bergera zabrzmiał jak uderzenie młotka, wbijającego ostatni gwóźdź do trumny: dosadnie, wyraziście i nieodwołalnie. Gericke poczuł skurcz w żołądku i było to intensywne, niemal zmysłowe doznanie. Wcale się nie bał. Wyglądało to tak, jakby po latach pogoni za śmiercią spoglądał jej teraz w oczy z pewną tęsknotą.

Bohmler chwycił go raptownie za ramię.

- To my, Peter! - wrzasnął. - My jesteśmy celem!

Dakota zakołysała się gwałtownie na boki, kiedy pocisk z działka przebił podłogę kabiny, rozbijając tablicę wskaźników i strzaskując przednią szybę. Szrapnel rozerwał Gericke'owi prawe udo, a silne uderzenie zgruchotało mu lewe ramię. Druga połowa mózgu informowała go dokładnie o tym, co się dzieje. Jeden z jego towarzyszy nadawał z dołu Schraege Musik. Tyle że tym razem to on był jej odbiorcą.

Mocował się z drążkiem, ciągnąc go z całej siły, kiedy Dakota zaczęła spadać. Bohmler, z zakrwawioną twarzą, usiłował stanąć na nogi.

- Skacz! - Gericke przekrzykiwał wycie wiatru, wpadającego do kabiny przez rozbitą szybę. - Długo go nie utrzymam!

Bohmler stał już na nogach i próbował coś powiedzieć. Gericke zaczął bez opamiętania wywijać lewą ręką, trafiając go w twarz. Ból był rozdzierający, krzyknął więc jeszcze raz:

- Skacz! To rozkaz!

Bohmler odwrócił się i ruszył na tył maszyny do wyjścia. Samolot był w opłakanym stanie, w korpusie miał wielkie dziury, a części kadłuba dzwoniły wskutek turbulencji. Bohmler czuł zapach dymu i płonącej nafty. Paniczny strach dodał mu sił, gdy mocował się z uchwytami przy władze.

- Dobry Boże, nie pozwól, żebym się spalił - pomyślał. - Tylko nie to. - Wtedy właśnie włąz puścił. Bohmler zawisnął przez chwilę w powietrzu, po czym runął w ciemność.

Dakota wpadła w korkociąg, unosząc lewe skrzydło. Bohmler przekoziołkował i uderzył z całej siły głową w ogon maszyny, gdy prawą ręką chwycił odruchowo metalowy pierścień. Umierając pociągnął jeszcze za linkę. Spadochron otworzył się jak dziwny, biały kwiat i poniósł go łagodnie w panującą w dole ciemność.

Dakota leciała dalej na coraz mniejszej wysokości. Lewy silnik płonął, a ogień rozprzestrzenił się na całe skrzydło, sięgając już kadłuba. Gericke siedział przy sterach, walcząc nadal o utrzymanie maszyny w powietrzu i nieświadom tego, że ma złamaną w dwóch miejscach rękę.

Oczy zalewała mu krew. Roześmiał się bezmyślnie, wyteżając wzrok, żeby zobaczyć coś przez zasłonę dymu. „Co za idiotyczny koniec”. Teraz już nie pojedzie do Karinhall, nie dostanie Krzyża Rycerskiego. Ojciec będzie rozczarowany. Chociaż ten cholerny krzyż przyznają też pośmiertnie.

Nagle dym się przerzedził i między oparami mgły Gericke zobaczył morze. Nie mógł być daleko od wybrzeży Holandii. W dole płynęły jakieś statki, co najmniej dwa. Pocisk smugowy poleciał łukiem w jego kierunku. Jakaś cholerna łódź torpedowa musiała koniecznie pokazać swoją waleczność. Było to doprawdy śmieszne.

Próbował poruszyć się w fotelu i stwierdził, że poskręcany fragment kadłuba blokuje mu lewą stopę. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo i tak był już zbyt nisko, żeby skakać. Leciał zaledwie trzysta stóp nad powierzchnią morza wiedząc, że z prawej strony ściga go jak chart łódź torpedowa. Strzelała ze wszystkich działek, prując Dakotę pociskami.

- Dranie! - krzyknął Gericke. - Przekłęci dranie! - Znów zaśmiał się cicho i powiedział półgłosem, jak gdyby Bohmler nadal siedział na lewo od niego: - Z kim ja właściwie walczę, do cholery?

Niespodziewanie silny podmuch bocznego wiatru rozwiął dym i Gericke zobaczył, że morze jest najwyżej sto stóp pod nim i pędzi mu na spotkanie.

Wtedy właśnie okazał się znakomitym pilotem, w tym jedynym w życiu momencie, gdy naprawdę miało to znaczenie. Instykt samozachowawczy sprawił, że nagle przybyło mu sił. Pociągnął za dźwignię i mimo potwornego bólu lewej ręki zdołał zmniejszyć obroty silnika i opuścić poszarpane klapy.

Dakota niemal zupełnie wytraciła szybkość i ogon zaczął opadać. Gericke po raz ostatni dodał gazu, żeby wyrównać lot maszyny, kiedy siadała na falach, po czym znów mocno pociągnął za dźwignię.

Samolot trzykrotnie podskoczył, ślizgając się po wodzie jak gigantyczna deska surfingowa, a potem stanął. Płonący silnik zasyczał gwałtownie, kiedy załapała go fala.

Przez chwilę Gericke siedział nieruchomo. Wszystko poszło źle, teoretycznie nie miał szans, a jednak udało mu się, wbrew jakimkolwiek przewidywaniom. Był po kostki w wodzie. Próbował wstać, ale lewą nogę miał w potrzasku. Zdjął wiszący po prawej stronie strażacki toporek i uderzył w powyginany fragment kadłuba i własną stopę, łamiąc sobie przy okazji kostkę. W tym momencie nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Nie był zaskoczony, kiedy ocknął się w pozycji stojącej, mając nogę uwolnioną z potrzasku. Bez najmniejszego kłopotu otworzył właz i niezdarnie skoczył do wody, uderzając po drodze o skrzydło, po czym pociągnął za uchwyt przy kamizelce ratunkowej. Kiedy napełniła się jak należy powietrzem, odbił się nogą od skrzydła maszyny. Starał się od niej oddalić, gdyż zaczynała już tonąć.

Kiedy za jego plecami znalazła się łódź torpedowa, nie raczył się nawet odwrócić. Unosił się na wodzie patrząc, jak Dakota znika pod wodą.

- Dobrze się spisałaś, staruszko. Bardzo dobrze - powiedział.

Za jego plecami wpadł z pluskiem do wody koniec liny i ktoś krzyknął po angielsku, z silnym niemieckim akcentem:

- Łap, Angolu, wciągniemy cię na górę. Teraz nic ci już nie grozi.

Gericke odwrócił się i spojrzał na młodego porucznika niemieckiej marynarki i kilku marynarzy, przychylonych u góry nad relingiem.

- Nic mi nie grozi, tak? - zapytał po niemiecku. - Wy kretyni, jestem po waszej stronie!

Rozdział XV

W sobotę, tuż po dziesiątej rano, Molly jechała konno przez pola w kierunku Hobs End. Nocna ulewa zamieniła się w lekką mżawkę, ale nad moczarami nadal wisiała mgła.

Molly wstała wcześniej i cały ranek ciężko pracowała, karmiąc zwierzęta i dojąc krowy, gdyż Laker Armsby musiał kopać grób. Dość nieoczekiwanie zdecydowała się pojechać na bagna, bo chociaż obiecała Devlinowi, że zaczeka, aż sam do niej wpadnie, myślała z przerażeniem, iż mogło mu się coś przydarzyć. Czarnorynkowym spekulantom groziły zwykle długoletnie wyroki.

Skierowała konia w moczary i podjechała do zabudowań od tyłu, przez ścianę trzciny, pozwalając zwierzęciu wybierać drogę. Błotnista woda sięgała wierzchowcowi do brzucha i wlewała się jej nawet do botków. Nie zważała na to, pochylając się nad szyją konia i usiłując dostrzec coś we mgle. Była przekonana, że czuje zapach palonego drewna. Wtem stodoła i dom zaczęły powoli wyłaniać się z mgły i rzeczywiście zobaczyła unoszący się z komina dym.

Zawahała się, nie wiedząc przez chwilę, co ma zrobić. Liam był w domu. Najwyraźniej wrócił wcześniej, niż zamierzał. Gdyby jednak teraz do niego poszła, pomyślałby, że znowu wtrąca się w nie swoje sprawy. Uderzyła piętami w boki konia i zaczęła zawracać.

W stodole przygotowywano sprzęt do akcji. Brandt i sierżant Altmann nadzorowali montaż ciężkiego karabinu maszynowego browning M2, który instalowano na dźcipie. Preston przyglądał się temu, trzymając ręce za plecami i sprawiając wrażenie, że kieruje całą pracą.

Werner Briegel i Klugl uchyłili jedną z tylnych okiennic i Werner lustrował widoczną część bagien przez zeissowską lornetkę. Zarośla i trzciny rosnące obok grobli były pełne ptaków. Ich różnorodność mogła zadowolić nawet jego. Zobaczył perkozy i pardwy, kulika, świstuna i bernikle.

- Mam niezły okaz - powiedział do Klugla. - Zielony brodziec. Na ogół tylko tędy przelatuje, zwykle jesienią, ale zdarza mu się tu zimować. - Przesunął dalej lornetkę i nagle w polu widzenia pojawiła się Molly.

- Chyba ktoś nas obserwuje.

Brandt i Preston w jednej chwili znaleźli się przy nim. Preston krzyknął „złapię ją!” i odwróciwszy się pobiegł do drzwi.

Brandt próbował go powstrzymać, ale było za późno. Preston w ciągu paru chwil

przebiegł przez podwórze i wpadł w trzciny. Molly odwróciła się, ściągając cugle. W pierwszej chwili pomyślała, że to Devlin. Patrzyła zaskoczona, kiedy Preston chwycił konia za uzdę.

- No dobra, zsiadaj.

Chciał ją złapać, Molly próbowała jednak cofnąć wierzchowca.

- Hej, niech mnie pan zostawi. Nic nie zrobiłam.

Chwycił dziewczynę za prawy przegub i ściągnął z siodła, łapiąc ją w powietrzu.

- Zaraz się przekonamy, dobrze?

Molly zaczęła się wrywać, chwycił ją więc jeszcze mocniej, przerzucił sobie przez ramię i poniósł przez trzciny do stodoły, choć wierzgała nogami i krzyczała.

Devlin już wczesnym świtem był na plaży i sprawdzał, czy przyplływ zatarł wszystkie ślady nocnej akcji. Po śniadaniu poszedł tam znowu ze Steinerem, żeby pokazać mu przynajmniej widoczną we mgle część ujścia rzeki i półwyspu, czyli obszaru, z którego miała ich zabrać łódź. Właśnie stamtąd wracali i byli zaledwie trzydzieści jardów od domu, kiedy z moczarów wyłonił się Preston, niosąc na plecach dziewczynę.

- Co się dzieje? - zainteresował się Steiner.

- To Molly Prior, ta dziewczyna, o której mówiłem.

Devlin zaczął biec i znalazł się na podwórzu w chwili, gdy Preston docierał do wejścia.

- Puść ją, do cholery! - krzyknął. Preston odwrócił się.

- Pana rozkazów nie muszę słuchać.

W tym momencie włączył się jednak Steiner, który wbiegł na podwórze tuż za Devlinem.

- Poruczniku Preston! - zawołał głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Proszę natychmiast uwolnić tę damę!

Preston zawahał się, a potem niechętnie postawił Molly na ziemi. Natychmiast uderzyła go w twarz.

- Trzymaj ręce przy sobie, gnojku - powiedziała z wściekłością. Ze stodoły rozległ się w tym momencie gromki śmiech. Odwróciwszy się, zobaczyła przez otwarte drzwi rząd szeroko uśmiechniętych twarzy, a w głębi ciężarówkę i dżipa z zainstalowanym browningiem. Devlin podszedł do niej, odpychając Prestona.

- Wszystko w porządku, Molly?

- O co chodzi, Liam? - zapytała oszołomiona. - Co się tu dzieje? Odpowiedzią zajął się jednak Steiner, zrobił to niesłychanie gładko.

- Poruczniku Preston - powiedział chłodno. - Proszę natychmiast przeprosić tę młodą damę. - Preston zawahał się, ale Steiner nie żartował. - Natychmiast, poruczniku!

Preston stanął na baczność.

- Pokornie proszę o wybaczenie, madam. Popełniłem błąd - powiedział z lekką ironią, po czym odwrócił się i wszedł do stodoły.

Steiner zasalutował z powagą.

- Nie potrafię wyrazić, jak przykro mi jest z powodu tego niefortunnego incydentu.

- To pułkownik Carter, Molly - wyjaśnił Devlin.

- Z Polskiej Samodzielnej Kompanii Spadochronowej - powiedział Steiner. - Jesteśmy w tej okolicy na taktycznych ćwiczeniach i obawiam się, że porucznik Preston za bardzo bierze sobie do serca troskę o nasze bezpieczeństwo.

Molly wydawała się bardziej oszołomiona niż kiedykolwiek.

- Ależ, Liam... - zaczęła. Devlin wziął ją pod ramię.

- Chodź, złapiemy konia i wsadzimy cię z powrotem na siodło. - Poprowadził ją przed sobą na skraj bagien, gdzie jej wierzchowiec skubał spokojnie kępki trawy.

- Zobacz tylko, co zrobiłaś - skarcił ją. - Czy nie powiedziałem, że masz czekać, aż się odezwę po południu? Kiedy nauczysz się nie wtykać nosa w sprawy, które cię nie dotyczą?

- Nic z tego nie rozumiem - odparła. - Spadochroniarze? Tutaj? Jeszcze ta ciężarówka i dzip, które przemalowałeś...

Ścisnął ją mocno za ramię.

- Molly, na miłość boską, chodzi o kwestię bezpieczeństwa. Nie dotarło do ciebie to, co mówił pułkownik? Jak myślisz, dlaczego porucznik zareagował w ten sposób? Są tutaj z bardzo szczególnych powodów. Dowiesz się tego, kiedy odejdą, ale na razie obowiązują ścisła tajemnica i nie wolno ci nikomu nawet wspomnieć, że ich tu widziałaś. Obiecuj mi to, jeśli mnie kochasz.

Przyglądała mu się, jakby pojmując w końcu, o co chodzi.

- Teraz rozumiem - stwierdziła. - To wszystko, co robiłeś, te nocne wyprawy, i tak dalej. Myślałam, że chodzi o czarny rynek, a ty nie wyprowadzałeś mnie z błędu. Ale myliłam się. Jesteś nadal w wojsku, zgadza się?

- Tak - powiedział, nie całkiem rozmiijając się z prawdą. - Niestety tak.

Jej oczy płonęły.

- Och, Liam, czy wybaczysz mi kiedykolwiek, że brałam cię za nędznego spekulanta, który handluje po knajpach jedwabnymi pończochami i whisky?

Devlin głęboko zaczerpnął powietrza, ale zdobył się na uśmiech.

- Pomyślę nad tym. A teraz idź grzecznie do domu i zaczekaj na mnie, choćby trwało to długo.

- Dobrze, Liam. Będę czekać.

Pocałowała go, objawszy jedną ręką za szyję, po czym wskoczyła na siodło.

- Pamiętaj, ani słowa - przypomniał Devlin.

- Możesz na mnie polegać. - Uderzyła piętami w brzuch konia i ruszyła przez trzciny.

Devlin szybkim krokiem przeszedł z powrotem przez podwórze. Ritter wyszedł tymczasem z domu i stał obok Steinera.

- W porządku? - zapytał porucznik.

Devlin minął go i wpadł do stodoły. Ludzie stali, rozmawiając ze sobą w niewielkich grupkach, a Preston zapalał właśnie papierosa, osłaniając dłońmi płonąca zapalkę. Spojrzał na Devlina z lekkim, ironicznym uśmieszkiem.

- Teraz przynajmniej wszyscy wiemy, co pan porabiał przez kilka ostatnich tygodni. Miło było, Devlin?

Devlin poczęstował go wspaniałym ciosem prawej pięści, który wylądował na policzku Prestona. Anglik runął jak długi, potykając się o czyjaś wystawioną nogę. W tym momencie Steiner chwycił Devlina za ramię.

- Zabiję tego drania! - wycodził przez zęby Devlin.

Steiner stanął przed nim, kładąc obie ręce na ramionach Irlandczyka. Devlina zaskoczyła jego siła.

- Niech pan wraca do domu - powiedział spokojnie. - Ja to załatwię.

Devlin przyglądał mu się z pobladłą z gniewu twarzą zabójcy, zaraz jednak jego oczy straciły złowrogi blask. Odwrócił się i wyszedł, puszczając się biegiem przez podwórze. Preston stanął na nogi, przykładając rękę do twarzy. Panowała kompletna cisza.

- Ten człowiek cię zabije, jak tylko będzie miał okazję, Preston - oznajmił Steiner. - Uważaj. Jeszcze raz się wychylisz, a sam cię zastrzełę, jeżeli on tego nie zrobi. - Skinął głową na Rittera. - Przejmij dowództwo!

Kiedy Steiner wszedł do budynku, Devlin popijał Bushmills. Odwrócił się z niepewnym uśmiechem.

- Boże, o mało go nie zabiłem! Chyba tracę panowanie nad sobą.

- Co z dziewczyną?

- Nie ma powodów do zmartwienia. Jest przekonana, że nadal służę w wojsku i siedzę po uszy w państwowych tajemnicach. - Jego twarz wyrażała pogardę dla samego siebie. - Nazwała mnie swoim cudownym chłopakiem. To cały ja. - Zaczął nalewać sobie kolejną

porcję whisky, zawahał się jednak i zakorkował starannie butelkę. - No dobrze - powiedział do Steinera. - Co dalej?

- Około południa wyruszymy do wioski i przeprowadzimy ćwiczenia. Mam wrażenie, że powinien pan na razie trzymać się od nas z daleka. Możemy spotkać się znów wieczorem, po zmroku, bezpośrednio przed akcją.

- W porządku - zgodził się Devlin. - Po południu Joanna Grey na pewno skontaktuje się z panem we wsi. Niech pan jej powie, że wpadnę do niej przed szóstą trzydzieści. Łódź torpedowa powinna być do dyspozycji między dziewiątą a dziesiątą. Przyniosę ze sobą radiotelefon, będzie więc pan mógł skontaktować się z Koenigiem bezpośrednio z miejsca akcji i ustalić czas spotkania zależnie od sytuacji.

- Świetnie - stwierdził Steiner, a potem dodał jakby z wahaniem: - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Co takiego?

- Chodzi o rozkazy dotyczące Churchilla. Są całkiem wyraźne. Chcieliby mieć go żywego, ale gdyby nie było to możliwe...

- Będzie pan musiał poczęstować go kulą. W czym więc problem?

- Nie byłem pewien, czy panu jest to obojętne.

- Całkowicie - odparł Devlin. - W tym przypadku wszyscy jesteśmy żołnierzami i ponosimy jednakowe ryzyko. Także stary Churchill.

Rogan robił właśnie porządek na biurku w londyńskim gabinecie i myślał już o obiedzie, kiedy ktoś, nie pukając nawet, otworzył drzwi. Był to Grant. Twarz miał napiętą z przejęcia.

- Przysłali nam to właśnie dalekopisem, sir. - Rzucił Roganowi przed oczy kartkę z informacją. - Mamy go.

- Hrabstwo Norfolk, komisariat policji w Norwich - stwierdził Rogan.

- Tam trafiła jego karta meldunkowa, ale on sam jest trochę dalej, na wybrzeżu w północnej części Norfolk, w pobliżu Studley Constable i Blakeney. To wyjątkowo odludne miejsce.

- Znasz te tereny? - spytał Rogan, czytając depezę. .

- Jako dziecko dwa razy spędzałem wakacje w Sheringham, sir.

- A więc nazywa się Devlin i pracuje jako nadzorca bagien u sir Henry'ego Willoughby, miejscowego właściciela ziemskiego. Czeka go spore zaskoczenie. Jak to daleko stąd?

- Jakież sto mil. - Grant pokręcił głową. - Co on, do cholery, kombinuje?

- Wkrótce się dowiemy - odparł Rogan, podnosząc wzrok znad raportu.

- Co robimy dalej, sir? Mam kazać policji w Norfolk, żeby go zatrzymali?

- Oszalałeś? - zapytał ze zdumieniem Rogan. - Nie znasz tych wiejskich policjantów?

To kapuściane łby. Nie, zajmiemy się tym sami, Fergus. Ty i ja. Już od dawna nie wyjeżdżałem na weekend na wieś. Chętnie to zrobię.

- Po obiedzie ma pan być u prokuratora generalnego - przypomniał mu Grant. - Chodzi o materiał dowodowy w sprawie Hallorana.

- Wyjdę stamtąd o trzeciej. Najpóźniej o wpół do czwartej. Weź samochód i czekaj. Pojedziemy tam od razu.

- Czy mam zawiadomić zastępcę komisarza, sir? - Rogan nie ukrywał rozdrażnienia.

- Na litość boską, Fergus, co się z tobą dzieje! On jest przecież w Portsmouth, prawda? Bierz się do roboty!

Nie rozumiejąc, dlaczego potraktowano go tak oschle, Grant powiedział z wysiłkiem:

- Tak jest, sir.

Chwytał już za klamkę, kiedy Rogan dodał:

- I jeszcze jedno, Fergus.

- Słucham, sir.

- Wpadnij do zbrojowni i załatw dwa szybkostrzelne browningi. Ten facet ma zwyczaj najpierw strzelać, a potem pytać, czego od niego chcesz.

Grant głośno przełknął ślinę.

- Zajmę się tym, sir - odparł nieco drżącym głosem, po czym wyszedł.

Rogan odsunął krzesło i podszedł do okna. Zgiął palce obu rąk, cały spięty.

- No, draniu - powiedział cicho. - Zobaczymy, czy jesteś taki dobry, jak mówią.

Tuż przed południem Philip Yereker otworzył drzwi, znajdujące się w głębi holu pod schodami z tyłu plebanii, i zszedł do piwnicy. Odczuwał potworny ból w nodze i przez całą noc prawie nie zmrużył oka. Sam był sobie winien. Lekarz dał mu spory zapas tabletek morfiny, ale Yereker panicznie się bał, żeby nie wpaść w nałóg.

Musiał więc cierpieć. Dobrze chociaż, że na weekend miała przyjechać Pamela. Dzwoniła wczesnym rankiem, nie tylko potwierdzając wizytę, ale także informując go, że Harry Kane zaoferował się przywieźć ją z Pangborne. Yereker mógł w ten sposób zaoszczędzić galon benzyny, a to też nie było bez znaczenia. Poza tym lubił Kane'a. Czuł do niego instynktowną sympatię, co rzadko mu się zdarzało. Dobrze, że Pamela wreszcie kimś się zainteresowała.

Na dole, obok prowadzących do piwnicy schodów, wisiła na gwoździu duża latarka.

Yereker zdjął ją, a potem otworzył stojącą naprzeciwko starą czarną dębową szafę, wszedł do środka i zamknął drzwi. Następnie zapalił latarkę i namacał ukrytą zapadkę. Tylko ściana szafy rozwarła się na oścież, odsłaniając długi, mroczny, lśniący wilgocią korytarz, zbudowany z miejscowego kamienia.

Łączył on plebanię z kościołem, będąc jednym z najlepiej zachowanych w kraju przykładów tego typu konstrukcji, pamiątką z czasów prześladowań katolików pod rządami Elżbiety z dynastii Tudorów. Każdy proboszcz przekazywał informację o jego istnieniu swemu następcy. Dla Yerekera było to po prostu duże udogodnienie.

Wszedł na kamienne schody u wylotu korytarza i przystanął zaskoczony, uważnie nasłuchując. Nie, nie mylił się. Ktoś grał na organach, i to naprawdę dobrze. Pokonał pozostałe schody, otworzył drzwi u góry, stanowiące w istocie część dębowej boazerii w ścianie zakrystii zamknął je za sobą, po czym otworzył właściwe drzwi i wszedł do kościoła.

Idąc między ławkami Yereker zobaczył ze zdziwieniem, że przy organach siedzi komandos w randze sierżanta, ubrany w panterkę spadochroniarza, a obok niego leży czerwony beret. Grał preludium chorału Bacha. Była to muzyka bardzo pasująca do kalendarza, gdyż towarzyszyła zwykle starej pieśni adwentowej Gottes Sohn ist kommen.

Hans Altmann był w siódmym niebie. Cóż za wspaniały instrument i cudowny kościół! Nagle podniósł wzrok i w lusterku nad organami zobaczył Yerekera, który znalazł się w tym momencie przy schodach prezbiterium. Przestał grać i odwrócił się.

- Przepraszam, ojcze, ale nie mogłem się oprzeć. - Rozłożył ręce. - Przy moich... hm... obecnych zajęciach nieczęsto trafia się taka okazja. - Mówił znakomicie po angielsku, choć z wyraźnym akcentem.

- Kim pan jest? - spytał Yereker.

- Sierżant Emil Janowski, ojcze.

- Polak?

- Tak jest. - Altmann skinął głową. - Przyszedłem do ojca z moim dowódcą. Ponieważ ojca nie było, kazał mi tu zaczekać, a sam poszedł na plebanię.

- Znakomicie pan gra - stwierdził Yereker. - Bacha trzeba umieć grać. Myślę o tym z przykrością, ile razy siadam do klawiatury.

- A, więc ojciec też grywa? - zainteresował się Altmann.

- Owszem - potwierdził Yereker. - Bardzo podoba mi się utwór, który pan właśnie grał.

- To mój ulubiony - przyznał Altmann i zaczął grać, równocześnie śpiewając: - Gott, durch deine Gute, wolst uns arme Leute...

- Ależ to pieśń na niedzielę świętej Trójcy! - zdziwił się Yereker.

- Nie w Turynii, ojcie. - W tym momencie zaskrzypiały wielkie dębowe drzwi i wszedł Steiner.

Przeszedł przez kościół, trzymając w jednej ręce skórzaną laseczkę, a w drugiej beret. Jego obcasy dźwięczały na kamiennej posadzce, a kiedy znalazł się blisko Altmanna i Yekera, promienie światła, wpadające do mrocznego wnętrza przez górne okna, nadały jego jasnym, wyblakłym włosom ognistą barwę.

- Ojciec Yereker?

- Zgadza się.

- Jestem Howard Carter, dowódca Polskiej Samodzielnej Kompanii Spadochronowej w Pułku Specjalnych Sił Powietrznych. - Zwrócił się do Altmanna. - Zachowywaliście się jak należy, Janowski?

- Wie pan, pułkowniku, że mam słabość do organów. - Steiner uśmiechnął się szeroko.

- No dobrze, zmykajcie stąd i poczekajcie na zewnątrz z całą resztą. - Altmann wyszedł, a Steiner popatrzył na główną nawę. - To naprawdę piękny kościół.

Yereker przyglądał mu się z zainteresowaniem, zauważając na epoletach kurtki dystynkcje podpułkownika.

- Tak, jesteśmy z niego dumni. Specjalne Siły Powietrzne... Czy pan i pańscy ludzie nie trafiliście przypadkiem w zbyt odległe miejsce? Sądziłem, że można was spotkać raczej na wyspach Grecji i w Jugosławii?

- No cóż, jeszcze z miesiąc temu ja też tak myślałem, ale potem wyższe siły zdecydowały w swej mądrości, żeby odesłać nas do domu na specjalne szkolenie. Określenie „do domu” nie jest zresztą zbyt precyzyjne, bo wszyscy moi chłopcy to Polacy.

- Tacy jak Janowski?

- Wcale nie. On mówi naprawdę dobrze po angielsku. Większość z nich potrafi tylko powiedzieć „cześć” albo „czy wyjdiesz ze mną wieczorem”, nic więcej. Uważają najwyraźniej, że to im wystarczy. - Steiner uśmiechnął się. - Spadochroniarze są często nie lada arogantami, ojcie. Z elitarnymi jednostkami zawsze jest ten problem.

- Wiem - odparł Yereker. - Sam w takiej służyłem. Byłem kapelanem w Pierwszej Brygadzie Spadochronowej.

- Na Boga, naprawdę? - zdziwił się Steiner. - Był ksiądz więc w Tunezji?

- Tak, pod Oudna. Tam zresztą przytrafiło mi się to. - Postukał laską w aluminiową protezę. - A teraz jestem tutaj. - Steiner wyciągnął rękę i uścisnął mu dłoń.

- Miło mi księdza poznać. Nie spodziewałem się czegoś takiego. - Yereker zdobył się

na uśmiech, co należało do rzadkości.

- W czym mogę panu pomóc?

- Proszę nas przenocować, jeśli ksiądz tak uprzejmy. Ma ksiądz tu obok stodołę i zdaje się, że była już wykorzystywana do podobnych celów.

- Jesteście na ćwiczeniach? - Steiner nieznacznie się uśmiechnął.

- Owszem, można tak powiedzieć. Mam ze sobą tylko garstkę ludzi. Pozostali są rozproszeni w północnej części Norfolk. Jutro o określonej godzinie wszyscy mają pognać co sił na umówione miejsce, żeby sprawdzić, jak szybko potrafimy się zebrać.

- Zostajecie więc tylko do rana?

- Właśnie. Oczywiście, postaramy się nie sprawiać kłopotów. Dam pewnie chłopakom parę taktycznych zadań w okolicy wioski, żeby mieli zajęcie. Czy nikomu nie będzie to przeszkadzało?

Stało się dokładnie tak, jak przewidywał Devlin. Philip Yereker uśmiechnął się.

- W Studley Constable już wielokrotnie odbywały się rozmaite manewry, pułkowniku. Wszyscy chętnie wam pomożemy. W miarę naszych możliwości.

Wyszedłszy z kościoła, Altmann ruszył drogą do miejsca, gdzie stał Bedford. Było to obok składającej się z pięciu belek bramy, przy wjeździe na ścieżkę, która prowadziła do stodoły na Łące Staruszki. Koło cmentarnej bramy czekał dżip. Za jego kierownicą siedział Klugl, a Werner Briegel obsługiwał browninga M2.

Werner obserwował przez zeissowską lornetkę kolonię gawronów na bukach.

- Bardzo ciekawe - odezwał się do Klugla. - Chyba przyjrzę się im bliżej. Idziesz ze mną?

Byli sami, mówił po niemiecku i Klugl odpowiedział w tym samym języku.

- Uważasz, że powinniśmy?

- A cóż w tym złego? - odparł Werner.

Wysiadł z samochodu i wszedł przez cmentarną bramę. Klugl niechętnie podążył za nim. Laker Armsby kopał grób w zachodniej części cmentarza. Kluczyli między nagrobkami, a kiedy Laker ich dostrzegł, przerwał pracę i wyjął zza ucha wypalonego do połowy papierosa.

- Dzień dobry - odezwał się Werner. - Laker spojrzał na nich z ukosa.

- Cudzoziemcy, co? Po tych mundurach zem myślał, żeście Brytyjczycy.

- Polacy - wyjaśnił Werner. - Musi pan więc wybaczyć mojemu koledze. Nie mówi po angielsku. - Laker ostentacyjnie kręcił w palcach niedopałek papierosa. Młody Niemiec pojął aluzję i wyciągnął paczkę Playersów. - Niech się pan poczęstuje.

- Nie odmówię. - Lakerowi zabłyśły oczy.

- Niech pan weźmie jeszcze.

Lakera nie trzeba było zachęcać. Włożył jeden papieros za ucho, a drugi zapalił.

- Jak się pan więc nazywa?

- Werner. - Zapanowała niezręczna chwila ciszy, gdy zrozumiał, że popełnił błąd, zaraz jednak dodał: - Kunicki.

- Ach, tak - mruknął Laker. - Zawszem myślałem, że Werner to niemieckie imię. Złapałem kiedyś jeńca we Francji, w 1915. Nazywał się Werner. Werner Schmidt.

- Moja matka była Niemką - wyjaśnił Werner.

- Nie pana wina - odparł Laker. - Nie wybieramy sobie, kto nas wydaje na świat.

- Kolonia gawronów - zmienił temat Werner. - Może mi pan powiedzieć, od jak dawna tu są?

Laker popatrzył na niego zdziwiony, a potem zaczął gapić się na drzewa.

- Znam je od dziecka, tak jest. Interesują pana ptaki, czy co?

- Właśnie - odparł Werner. - To najbardziej fascynujące stworzenia. W odróżnieniu od ludzi rzadko ze sobą walczą, nie znają granic, ich domem jest cały świat.

Laker spojrział na niego jak na wariata i roześmiał się.

- E tam! Kto by się tam przejmował paroma nędznymi, starymi gawronami?

- Naprawdę tak pan o nich myśli, przyjacielu? - spytał Werner. - To prawda, że gawrony występują licznie w całym Norfolk, ale wiele z nich przylatuje późną jesienią i w zimie aż z Rosji.

- Nabiera mnie pan - odrzekł Laker.

- Nie, to prawda. Przed wojną znajdowano w tej okolicy wiele gawronów zaobrączkowanych na przykład w rejonie Leningradu.

- To znaczy, że te stare gałgany, które siedzą mi nad głową, mogły przylecieć aż stamtąd? - spytał Laker.

- Z pewnością.

- Coś takiego!

- A więc w przyszłości, przyjacielu, musi pan traktować te gawrony z Leningradu z szacunkiem, na jaki zasługują bywalcy wielkiego świata - oświadczył Werner.

Ktoś zawołał „Kunicki, Moczar!” Odwróciwszy się zobaczyli, że Steiner stoi z księdzem przed kruchtą kościoła.

- Jedziemy! - krzyknął Steiner. Werner i Klugl pobiegli przez cmentarz z powrotem do dżipa.

Steiner i ojciec Yereker zaczęli razem schodzić po ścieżce. Zatrąbił klakson i od strony wioski wjechał pod górę jeszcze jeden dżip, zatrzymując się przy drodze. Wsiadła z niego Pamela Yereker, ubrana w mundur Żeńskiej Służby Pomocniczej Lotnictwa. Werner i Klugl przyglądali się jej z podziwem, a potem nagle zamarli w bezruchu, kiedy z drugiej strony wozu wyłonił się Harry Kane. Miał na sobie furażerkę, bojową kurtkę i buty spadochroniarza.

Kiedy Steiner i Yereker doszli do bramy, Pamela dołączyła do nich, całując brata w policzek.

- Przepraszam za spóźnienie, ale Harry chciał poznać tę część Norfolk, której jeszcze nie widział.

- I jechaliście naokoło? - zapytał czule Yereker.

- Ale przynajmniej ją tu dowiozłem, ojciec - stwierdził Kane.

- Chciałbym wam obojgu przedstawić pułkownika Cartera z Polskiej Samodzielnej Kompanii Spadochronowej - powiedział Yereker. - Jest ze swoimi ludźmi w tej okolicy na ćwiczeniach. Będą zakwaterowani w stodole na Łące Staruszki. To moja siostra Pamela, pułkownika, i major Harry Kane.

- Dwudziesta Pierwsza Wyspecjalizowana Jednostka Szturmowa - Kane uścisnął Carterowi dłoń. - Stacjonujemy trochę dalej, w Meltham House. Widziałem po drodze pańskich chłopców, pułkownika. Te wasze obłędne czerwone berety są niezawodne. Założę się, że dziewczyny za wami szaleją.

- Zdarzało się - podsumował Steiner.

- Polacy, tak? Mamy u siebie paru chłopców polskiego pochodzenia. Na przykład Krukowski. Jest z Chicago. Tam się urodził i wychował, a jednak mówi po polsku nie gorzej niż po angielsku. To zabawni ludzie. Możemy zrobić sobie jakieś spotkanie.

- Niestety to niemożliwe - odparł Steiner. - Mam specjalne rozkazy. Po południu i w nocy odbywamy ćwiczenia, a jutro ruszamy dalej, żeby połączyć się z innymi oddziałami, którymi dowodzę. Wie pan, jak to jest.

- Oczywiście - potwierdził Kane. - Mam dokładnie taką samą sytuację. - Spojrzał na zegarek. - Prawdę mówiąc, jeżeli za dwadzieścia minut nie będę w Meltham House, pułkownik każe mnie rozstrzelać.

- Tak czy inaczej, miło było pana poznać - powiedział uprzejmie Steiner. - Do widzenia, panno Yereker. Do zobaczenia, ojciec. - Wsiadł do dżipa i dał znak głową Klugłowi, który ruszył, zwalniając hamulec.

- Postaraj się nie zapomnieć, że tu się jeździ lewą stroną, Klugl - powiedział spokojnie

Steiner.

Ściany stodoły miały miejscami trzy stopy grubości. Według tradycji w średniowieczu stanowiła ona część dworku. Odpowiadała z pewnością ich potrzebom. W środku czuć było charakterystyczny zapach starego siana i myszy. W kącie stał połamany wóz, a przez okrągłe, pozbawione szyb okna dużego poddasza wpadało do wnętrza światło.

Bedford pozostał na zewnątrz pod opieką wartownika, dżipa wprowadzono jednak do stodoły. Steiner stanął w nim i zwrócił się do obecnych.

- Na razie wszystko idzie dobrze. Od tej chwili musimy zachowywać się możliwie naturalnie. Przede wszystkim wyciągnijcie połowe kuchnie i ugotujcie obiad. - Spojrzał na zegarek. - To powinno potrwać gdzieś do trzeciej. Potem ćwiczenia w terenie. Po to tu jesteśmy i ludzie będą się tego spodziewać. Podstawy szkolenia taktycznego piechoty: na polach, przy strumieniu, między domami. I jeszcze jedno: uważajcie zawsze, kiedy rozmawiacie po niemiecku. Mówcie cicho. Podczas ćwiczeń w terenie w miarę możliwości dawajcie znaki rękami. Wszelkie rozkazy muszą być, oczywiście, wydawane po angielsku. Łączność telefoniczna tylko w nagłych przypadkach. Podkreślam: naprawdę nagłych. Oberleutnant Neumann przekaże dowódcom drużyn stosowne sygnały wywoławcze.

- Co robimy, jeżeli ludzie będą próbowali z nami rozmawiać? - spytał Brandt.

- Udawajcie, że nie rozumiecie, nawet jeżeli mówicie dobrze po angielsku. Lepsze to, niż gdybyście mieli w coś się wplątać.

W tym momencie Steiner powiedział do Rittera:

- Pozostawiam ci zorganizowanie ćwiczeń w terenie. Dopilnuj, żeby w każdej chwili była przynajmniej jedna osoba mówiąca dobrze po angielsku. Powinieneś być w stanie to zrobić. - Zwrócił się ponownie do wszystkich. - Pamiętajcie, że między szóstą a wpół do siódmej robi się ciemno. Tylko do tego czasu musimy wyglądać na bardzo zajętych.

Zeskoczył z dżipa, wyszedł ze stodoły i dotarłszy do końca ścieżki oparł się o bramę. Joanna Grey pięła się właśnie pod górę na rowerze, z zawieszonym na kierownicy koszykiem, z którego wystawał wielki bukiet kwiatów. Za nią biegł Patch.

- Dzień dobry pani - zsalutował Steiner. Zeskoczyła na ziemię i podeszła bliżej, prowadząc rower.

- Jak idą przygotowania?

- Znakomicie.

Podowała mu rękę, jakby się przedstawiała. Z większej odległości musiało to wyglądać naturalnie.

- A Philip Yereker?

- Jest wyjątkowo uczynny. Devlin miał rację. Moim zdaniem Yereker jest przekonany, że mamy za zadanie ochraniać ważnego gościa.

- Co dalej?

- Zobacz pani, jak bawimy się w wojsko w całej okolicy. Devlin powiedział, że wpadnie do pani o wpół do siódmej.

- Dobrze. - Podała mu rękę na pożegnanie. - Do zobaczenia później.

Steiner zasalutował, odwrócił się i poszedł z powrotem do stodoły. Joanna wsiadła ponownie na rower i pojechała pod górę w kierunku kościoła. Yereker czekał na nią w kruchcie. Oparła rower o ścianę i podeszła do niego z bukietem kwiatów.

- Bardzo ładne - powiedział. - Gdzie je, u licha, zdobyłaś?

- Och, dostałam od znajomej z Holt. To irysy. Oczywiście szklarniowe. Wykazała się okropnym brakiem patriotyzmu. Powinna chyba hodować ziemniaki albo kapustę.

- Bzdura. Nie samym chlebem żyje człowiek. - Dziwne, że potrafił być tak pompatyczny. - Widziałaś sir Henry'ego, zanim wyjechał?

- Tak, wpadł do mnie po drodze. W pełnym umundurowaniu. Wyglądał doprawdy wspaniale.

- A przed wieczorem wróci z naszym dostojnym gościem - stwierdził Yereker. - Kiedyś w jego biografii będzie krótka wzmianka: „Przenocował w Studley Grange”. Mieszkańcy wioski nie mają pojęcia, że oto rozgrywa się tutaj mały epizod historii.

- Tak, pewnie masz rację, jeśli spojrzymy na to w ten sposób. - Uśmiechnęła się uroczo. - No dobrze, postawmy te kwiaty na ołtarzu.

Otworzył przed nią drzwi i weszli do kościoła.

Rozdział XVI

Kiedy brytyjski Big Ben wybił godzinę trzecią, Rogan wyszedł z Królewskiego Pałacu Sprawiedliwości i szybkim krokiem podążył po chodniku do miejsca, gdzie Fergus Grant czekał za kierownicą limuzyny marki Humber. Mimo ulewnego deszczu główny inspektor wsiadł do samochodu w wyśmienitym humorze.

- Wszystko poszło dobrze, sir? - zagadnął Fergus. Rogan uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jeżeli nasz przyjaciel Holloran dostanie mniej niż dziesięć lat, to możesz mówić do mnie „ciociu”. Załatwiłeś te rzeczy, o które prosiłem?

- Są w schowku, sir.

Rogan otworzył schowek i wyjął automatycznego, szybkostrzelnego browninga. Sprawdził magazynek i wcisnął go z powrotem do kolby. Niewiarygodne, jak bardzo ta broń pasowała do ręki. Jak dobrze mu leżała. Ważył ją przez chwilę w dłoni, a potem wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Dobra, Fergus, teraz zajmiemy się naszym przyjacielem Devlinem.

O tej samej porze Molly zbliżała się właśnie do kościoła Najświętszej Marii Panny i Wszystkich Świętych, jadąc konno po polnych drogach. Ponieważ lekko mżyło, założyła stary trencz i obwiązała włosy chustką, przykrywając zarzucony na ramiona plecak kawałkami worka.

Przywiązała konia do jednego z drzew rosnących za plebanią i weszła przez tylną furtkę na przykościelny cmentarz. Idąc w stronę kruchty usłyszała, że u stóp wzgórza ktoś wykrzykuje komendę, przystanęła więc i spojrzała w dół, w kierunku wsi. Do starego młyna nad strumieniem zbliżali się w bojowym szyku komandosi, a ich czerwone berety widać było wyraźnie na tle zielonej łąki. Zobaczyła, że ojciec Yereker, syn George'a Wilde'a, Graham oraz mała Susan Turner stoją na kładce nad tamą, przyglądając się ćwiczeniom. Rozległa się kolejna głośna komenda. Żołnierze padli na ziemię.

Kiedy weszła do kościoła, zastała tam Pamelę Yereker, która klęcząc przy ołtarzu czyściła mosiężne poręcze.

- Cześć, Molly - przywitała ją Pamela. - Przyszłaś pomóc?

- Wiesz, w ten weekend miała porządkować ołtarz moja mama - wyjaśniła Molly zdejmując plecak z ramion - ale jest mocno przeziębiona i uznała, że powinna zostać w łóżku.

Od strony wioski doleciało je słabe echo kolejnego rozkazu.

- Ciagle to samo? - zapytała Pamela. - Jakby nie dość było tej wojny, muszą się jeszcze bawić w te idiotyczne podchody. Mój brat też tam jest?

- Był, kiedy tu wchodziłam.

Twarz Pameli Yereker zachmurzyła się.

- Czasem mnie to zastanawia. Czy on przypadkiem nie żałuje, że nie może już w tym wszystkim uczestniczyć? - Pokręciła głową. - Mężczyźni to dziwne istoty.

Wioska wyglądała na wymarłą. Tylko tu i ówdzie unosił się dym z komina. Dla większości mieszkańców był to dzień pracy. Ritter Neumann podzielił grupę szturmową na trzy drużyny po pięciu ludzi, mające ze sobą łączność telefoniczną. Razem z Harveyem Prestonem rozstawili swoich żołnierzy między domami. Obaj byli dowódcami drużyn. Prestonowi całkiem się to podobało. Przykucnął przy murze obok Studley Arms trzymając w ręce rewolwer i dał swoim ludziom sygnał ręką, żeby szli dalej. George Wilde przyglądał się temu, oparty o ścianę. W drzwiach pojawiła się jego żona, Betty, wycierając ręce o fartuch.

- Czyżbyś znów miał ochotę powalczyć? - Wilde wzruszył ramionami.

- Może.

- Mężczyźni! - powiedziała z niechęcią. - Nigdy was nie zrozumiem.

Grupę na łące tworzyli Brandt, sierżant Sturm, kapral Becker oraz szeregowi Jansen i Hagl. Byli rozstawieni naprzeciwko starego młyna. Nie używano go co najmniej od trzydziestu lat i w miejscach, gdzie brakowało dachówek, dach świecił dziurami.

Potężne koło wodne było zazwyczaj unieruchomione, ale w nocy, gdy strumień przybrał wskutek długotrwałej ulewy, rwąca woda naparła na nie z taką siłą, że blokująca je sztaba, przeżarta już rdzą, musiała pęknąć. Teraz koło znów obracało się z niemiłosiernym skrzypieniem i piskiem, spieniając wodę.

Steiner, który z zainteresowaniem obserwował je z dżipa, odwrócił się, żeby zobaczyć, jak Brandt uczy młodego Jajisena prawidłowego strzelania w pozycji leżącej. Znad tamy przyglądał się temu także ojciec Yereker i dwójka dzieci. Syn George'a Wilde'a, Graham, miał jedenaście lat i ćwiczenia komandosów bardzo go emocjonowały.

- Co oni teraz robią, ojczu? - spytał Yerekera.

- Wiesz, Graham, chodzi o to, żeby trzymać odpowiednio łokcie - wyjaśnił Yereker. - W przeciwnym razie nie można dokładnie wycelować. Widzisz, teraz pokazują, jak czołga się lampart.

Susan Turner była tym wszystkim znudzona. Trudno się dziwić, że pięcioletnią dziewczynkę interesowała bardziej drewniana lalka, którą poprzedniego wieczoru zrobił dla niej dziadek. Była uroczym, jasnowłosym dzieckiem, ewakuowanym z Birmingham. Jej

dziadkowie, Ted i Agnes Turner, prowadzili wiejską pocztę, wielobranżowy sklep i niewielką centralę telefoniczną. Mieszkała u nich już od roku.

Przeszła na drugą stronę kładki i kucnęła na jej krawędzi za barierką. Brudny, spieniony nurt płynął o jakieś dwie stopy od niej. Dziewczynka trzymała lalkę za ruchomą rączkę, kołysząc nią tuż nad powierzchnią strumienia i chichocząc, kiedy woda ochłapywała lalczyste stopy. Potem, uchwyciona barierki, nachyliła się jeszcze bardziej, zanurzając całe nogi lalki w wodzie. Barierka pękła, a dziewczynka z krzykiem wpadła głową w nurt.

Odwróciwszy się, Yereker i chłopiec zdążyli jeszcze zobaczyć, jak spada. Zanim ksiądz zdołał ruszyć się z miejsca, prąd porwał dziewczynkę pod kładkę. Graham, kierując się bardziej instynktem niż odwagą, skoczył za nią. Woda miała zwykle w tym miejscu najwyżej dwie stopy głębokości. W lecie łapał tam kijanki. Ale teraz wszystko było inaczej. Chwytał Susan za poły płaszcza i trzymał je z całej siły. Stopami próbował dosięgnąć dna, ale go nie znalazł. Krzyknął z przerażeniem, kiedy prąd porwał ich w kierunku tamy za kładką.

Yereker, oniemiały z trwogi, nie zdołał nic z siebie wydusić, ale krzyk Grahama zaalarmował natychmiast Steinera i jego ludzi. Kiedy odwrócili się, żeby zobaczyć, co się dzieje, dwójka dzieci przepływała nad ścianą tamy, ześlizgując się po betonowej pochylni do zbiornika wody przy młynie.

Sierżant Sturm ruszył biegiem w kierunku zbiornika, rzucając po drodze swój sprzęt. Nie miał nawet czasu rozpiąć skafandra. Graham nadal kurczowo trzymał Susan, a prąd nieubłaganie unosił dzieci w kierunku młyńskiego koła.

Sturm bez wahania zanurkował i popłynął w ich stronę. Chwytał Grahama za rękę. Brandt skoczył za nim, zanurzając się tylko po pas. Kiedy Sturm złapał Grahama, głowa chłopca znalazła się przez chwilę pod wodą. Wpadł w panikę, zaczął się szarpać i wierzgać nogami, puszczając przy tym Susan. Sturm obrócił chłopca tak, by Brandt mógł go pochwycić, potem popłynął na ratunek dziewczynce. Ocalała dzięki potężnemu prądowi, który utrzymał ją na powierzchni. Krzyczała, kiedy Sturm chwycił ręką jej płaszcz. Przyciągnął ją do siebie i próbował stanąć na nogi. Poszedł jednak pod wodę, a kiedy ponownie się wynurzył, poczuł, że nurt spycha go nieubłaganie w kierunku młyńskiego koła.

Poprzez potężny huk usłyszał czyjś krzyk, odwrócił się i zobaczył, że koledzy wyciągnęli już chłopca na brzeg, a Brandt był znów w wodzie i brnął w jego stronę. Karl Sturm wyteżył wszystkie siły, napiął każdy mięsień i wyrzucił dziewczynkę w powietrze, wprost w objęcia Brandta. W chwilę później porwał go i unióśł potężny prąd. Koło młyńskie zazgrzytało, wciągając go w otchłań.

George Wilde wszedł do gospody po wodę, żeby umyć próg. Wychodził akurat w

chwili, gdy dzieci przepływały nad tamą. Rzucił wiadro, zawołał do żony i pobiegł na drugą stronę drogi w kierunku kładki. Harvey Preston i ludzie z jego drużyny, którzy również widzieli, co się stało, pospieszyli za nim.

Graham Wilde, choć przemoczony do suchej nitki, nie ucierpiał z powodu całej przygody. Podobnie było z Susan, mimo że zanosila się histerycznym płaczem. Brandt wcisnął dziewczynkę Wilde'owi i pobiegł wzdłuż brzegu, żeby pomóc Steinerowi i pozostałym odszukać kolegę w strumieniu za młyńskim kołem. Nagle Sturm wypłynął na powierzchnię w miejscu, gdzie woda była już spokojna. Brandt zanurkował i wyciągnął go.

Z wyjątkiem niewielkiego siniaka na czole nic nie wskazywało na to, by coś mu się stało, ale oczy miał zamknięte, a usta lekko rozchylone. Brandt wyniósł go z wody na rękach i wszyscy natychmiast się przy nim znaleźli. Najpierw Yereker, potem Harvey Preston i jego ludzie, a na końcu pani Wilde, która odebrała Susan z rąk męża.

- Czy nic mu nie jest? - zapytał Yereker.

Brandt rozerwał skafander Sturma i włożył mu rękę pod bluzę, żeby sprawdzić bicie serca. Kiedy dotknął niewielkiego siniaka na jego czole, pod skórę natychmiast napłynęła krew. Ciało i kości były miękkie jak galareta. Brandt zachował jednak dostateczny spokój, by nie zapomnieć, gdzie się znajduje

Podniósł wzrok na Steinera i powiedział poprawną angielszczyzną:

- Przykro mi, sir. Ma zmiądzoną czaszkę.

Przez chwilę słychać było jedynie niesamowite skrzypienie młyńskiego koła. Ciszę przerwał Graham Wilde mówiąc głośno:

- Tato, popatrz na ten mundur. Czy takie noszą Polacy?

Brandt popełnił w pośpiechu fatalny błąd. Pod rozerwanym skafandrem Karl Sturm miał na sobie Fliegerbluse, a na piersi po prawej stronie znaczek z orłem Luftwaffe. W bluzę wszyta była czarno-biało-czerwona baretka Żelaznego Krzyża II klasy. Z lewej strony zdołał mu pierś Krzyż Żelazny I klasy, baretka odznaczenia za Kampanię Zimową, odznaka sprawności spadochroniarza i srebrna odznaka za rany odniesione w walce. Pod skafandrem miał na sobie, zgodnie z zaleceniem samego Himmlera, pełny mundur.

- O Boże! - wyszeptał Yereker.

Niemcy stanęli kołem. Steiner powiedział do Brandta po niemiecku:

- Zabierzcie Sturma do dżipa.

Potem strzelił palcami na Jansena, który niósł jeden z połowych telefonów.

- Daj mi go tutaj. Orzeł Jeden do Orła Dwa - odezwał się do słuchawki. - Zgłoś się.

Ritter był ze swoimi ludźmi z drugiej strony zabudowań, poza zasięgiem ich wzroku.

Odezwał się niemal natychmiast.

- Tu Orzeł Dwa, słyszę cię.

- Orzeł zginął - odpowiedział Steiner. - Spotykamy się zaraz na moście.

Oddał telefon Jansenowi. Betty Wilde zapytała oszołomiona.

- O co chodzi, George? Nic nie rozumiem...

- To Niemcy - odezwał się Wilde. - Widziałem już takie mundury w Norwegii.

- Zgadza się - potwierdził Steiner. - Niektórzy z nas tam byli.

- Ale czego wy chcecie? - dopytywał się Wilde. - To nie ma żadnego sensu. Nie macie tu czego szukać.

- Ty biedny durniu! - wyśmiał go Preston. - Nie wiesz, kto nocuje dziś w Studley Grange? Sam pieprzony Winston Churchill.

Wilde przyglądał mu się ze zdumieniem, a potem zwyczajnie parsknął śmiechem.

- Jesteście chyba stuknięci! W życiu nie słyszałem podobnej bzdury. Prawda, ojcze?

- Niestety, on ma rację. - Yereker wymówił te słowa powoli i z wielkim trudem. - No dobrze, pułkowniku. Zechce pan powiedzieć mi, co dalej? Przede wszystkim te dzieci są zziębnięte na kość.

Steiner zwrócił się do Betty Wilde:

- Pani Wilde, może pani zabrać swojego syna i tę małą do domu. Kiedy chłopiec się przebierze, proszę oddać Susan dziadkom. Prowadzą pocztę i sklep, prawda?

Patrzyła półprzymkniętymi na męża, nadal oszołomiona sytuacją.

- Tak, zgadza się.

Steiner odezwał się do Prestona:

- Na terenie wsi jest tylko sześć telefonów. Wszystkie rozmowy przechodzą przez centralę na pocztę i łączy je pan Turner albo jego żona.

- Mamy przerwać łączność? - zasugerował Preston.

- Nie, to by mogło niepotrzebnie zwrócić uwagę. Jeszcze przyślą nam tu montera. Kiedy dziewczynka zmieni ubranie, niech idzie z babcią do kościoła. Turnera zatrzymaj przy centrali. Gdyby ktoś dzwonił, ma mówić, że dany numer nie odpowiada, czy coś takiego. To powinno na razie wystarczyć. Weź się do roboty i postaraj się nie robić z tego melodramatu.

Preston odwrócił się do Betty Wilde. Susan już nie płakała. Wyciągnął do niej ręce i powiedział promiennie uśmiechnięty:

- Chodź, ślicznotko, wezmę cię na barana. - Dziewczynka odpowiedziała odruchowo pełnym zachwytem uśmiechem. - Proszę tędy, pani Wilde.

Betty Wilde, rzuciwszy mężowi rozpaczliwe spojrzenie, podążyła za Prestonem,

trzymając syna za rękę. Pozostali ludzie z jego drużyny - Dinter, Meyer, Riedel i Berg - szli o parę kroków za nimi.

Wilde powiedział ochryple:

- Jeśli mojej żonie coś się stanie...

Steiner zignorował go. Odezwał się do Brandta:

- Zabierzcie ojca Yereker'a i pana Wilde'a do kościoła i zatrzymajcie ich tam. Becker i Jansen mogą pójść z wami. Hagl, wy idźcie ze mną.

Ritter Neumann i ludzie z jego drużyny dotarli tymczasem do kładki. Preston znalazł się właśnie przy nich i najwidoczniej opowiadał Oberleutnantowi, co się wydarzyło.

- Mam ochotę sprawdzić, czy pan nie blefuje, pułkowniku - odezwał się Philip Yereker. - Gdybym teraz stąd odszedł, nie mógłby pan sobie pozwolić, żeby mnie zastrzelić. Postawiłby pan na nogi całą wieś.

- Steiner odwrócił się w jego stronę.

- W Studley Constable jest szesnaście gospodarstw, ojciec. W sumie mieszka tu czterdzieści siedem osób, a większość mężczyzn jest w dodatku poza domem. Pracują na którejś z kilkunastu farm w promieniu pięciu mil stąd. A poza tym... - Zwrócił się do Brandta:

- Pokażcie mu, jak to działa.

Brandt odebrał od kaprała Beckera sten typu MK IIS, odwrócił się i strzelił z biodra, tnąc kulami powierzchnię zbiornika przy młynie. Fontanny wody trysnęły wysoko w powietrze, ale słychać było jedynie metaliczny trzask przeskakującego rygla.

- Musi ojciec przyznać, że to nadzwyczajna broń - stwierdził Steiner. - W dodatku wynalazek Brytyjczyków. Ale jest jeszcze pewniejszy sposób, ojciec. Brandt może ojcu wbić nóż pod żebra tak skutecznie, że zginie ojciec na miejscu i nawet nie piśnie. Proszę mi wierzyć, że on wie, jak się do tego zabrać. Robił to wiele razy. Potem poprowadzimy ojca razem do dżipa, posadzimy na siedzeniu obok kierowcy i odjedziemy. Czy brzmi to wystarczająco okrutnie?

- Chyba dałem się przekonać - odparł Yereker.

- Świetnie. - Steiner skinął głową na Brandta. - Biercie się do roboty. Będę za parę minut.

Odwrócił się i poszedł w kierunku kładki tak szybkim krokiem, że Hagl musiał biec, by za nim nadążyć. Ritter wyszedł im na spotkanie.

- Niedobrze. Co robimy dalej?

- Zajmujemy wieś. Wiesz, jakie Preston ma rozkazy?

- Tak, powiedział mi. Czego pan od nas oczekuje?

- Poślij kogoś po ciężarówkę, potem przejedźcie przez całą wieś, od domu do domu. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Chcę, żeby za piętnaście - dwadzieścia minut wszyscy byli w kościele.

- A potem?

- Zablokujemy drogi dojazdowe do wsi. Ma to wyglądać elegancko i oficjalnie, ale każdy, kto się tu znajdzie, będzie zmuszony zostać.

- Mam zawiadomić panią Grey?

- Nie, na razie zostaw ją w spokoju. Musi mieć swobodny dostęp do radia. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że jest po naszej stronie, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Sam się z nią później zobaczę. - Uśmiechnął się szeroko. - To ma być precyzyjna akcja, Ritter.

- Już to robiliśmy, Herr Oberst.

- W porządku. - Steiner zasalutował służbiście. - A więc do dzieła. Odwrócił się i ruszył pod górę w kierunku kościoła.

Agnes Turner szlochała, przebijając wnuczkę w salonie mieszkania obok poczty i sklepu. Przy niej siedziała Betty Wilde, trzymając w objęciach Grahama. Szeregowi Dinter i Berg czekali na nie, stojąc po obu stronach drzwi.

- Tak bardzo się boję, Betty - powiedziała pani Turner. - Czytałam o nich takie okropne rzeczy. Mordują i zabijają. Co z nami zrobią?

Ted Turner, siedzący w niewielkim pomieszczeniu za kontuarem poczty, w którym znajdowała się centrala telefoniczna, zapytał z niepokojem:

- Co się dzieje z moją żoną?

- Nic - odparł Harvey Preston. - I nic się jej pewnie nie stanie, dopóki będzie pan dokładnie wykonywał polecenia. Gdyby pan próbował krzyknąć coś do słuchawki, kiedy ktoś zadzwoni, gdyby pan w ogóle próbował jakichś sztuczek... - Wyjął z kabury rewolwer. - Nie będę trzelał do pana, zastrzelę pańską żonę. Proszę mi wierzyć.

- Ty łajdaku! - powiedział starzec. - I ty twierdzisz, że jesteś Anglikiem?

- Lepszym od ciebie, dziadku. - Harvey uderzył go na odlew w twarz. - Zapamiętaj to sobie.

Usiadł z powrotem w kącie, zapalił papierosa i wziął do ręki gazetę.

Molly i Pamela Yereker skończyły porządkowanie ołtarza i ułożyły wszystkie trzciny i trawy z bagien, które Molly przyniosła, żeby zrobić bukiet obok chrzcielnicy.

- Wiem, czego tu jeszcze brakuje - stwierdziła Pamela. - Liści bluszczu. Przyniosę kilka.

Otworzyła drzwi, wyszła przez kruchnę i zerwała dwie czy trzy garście liści z winorośli, która w tym miejscu porastała wieżę. Miała już wejść z powrotem do kościoła, gdy rozległ się pisk hamulców i odwróciwszy się zobaczyła nadjeżdżającego dżipa. Widziała, jak wysiadają z niego jej brat i Wilde, i pomyślała w pierwszej chwili, że komandosi po prostu ich podwieźli. Potem uświadomiła sobie, że barczysty starszy sierżant ma obu joneczny na muszce strzelby, którą trzyma przy biodrze. Było to tak absurdalne, że roześmiały się na głos, gdyby nie widok Beckera i Jansena, którzy przeszli przez cmentarną bramę w ślad za pozostałymi, niosąc ciało Sturma.

Pamela cofnęła się przez uchylone drzwi, wpadając na Molly.

- O co chodzi? - zapytała Molly. Pamela uciszyła ją.

- Nie wiem, ale stało się coś złego, bardzo złego.

W połowie ścieżki George Wilde próbował uciec, ale Brandt, spodziewając się tego, zręcznie go powalił. Pochyliwszy się nad nim, wetknął mu pod brodę wylot lufy swojego M 1.

- Dobra, Angolu, dzielny z ciebie facet. Moje uznanie. Ale jeżeli spróbujesz jeszcze raz, rozwalę ci łeb.

Z pomocą Yekera Wilde podniósł się z ziemi i cała grupa ruszyła w kierunku kruchty. Molly patrzyła w osłupieniu na Pamele.

- Co to ma znaczyć? - Pamela ponownie ją uciszyła.

- Szybko, do środka - powiedziała otwierając drzwi do zakrystii. Kiedy się tam wślizgnęły, zamknęła je i zaryglowała. W chwilę potem usłyszały wyraźne głosy.

- No dobrze, a co teraz? - spytał Yeker.

- Macie czekać na pułkownika - oznajmił Brandt. - Z drugiej strony, mógłby pan równie dobrze wypełnić sobie czas, robiąc co należy dla tego biedaka Sturma. Tak się składa, że był luteraninem, ale moim zdaniem to bez znaczenia. Katolik czy protestant, Niemiec czy Anglik - dla robactwa to wszystko jedno.

- Zanieście go do kaplicy Najświętszej Marii Panny - powiedział Yeker.

Słychać było oddalające się kroki. Molly i Pamela, skulone przy drzwiach, popatrzyły na siebie.

- Czy on powiedział „Niemiec”? - spytała Molly. - To szaleństwo! Rozległ się głuchy odgłos kroków na kamiennych płytach kruchty i otworzyły się ze skrzypieniem zewnętrzne drzwi. Pamela położyła palec na ustach i razem z Molly czekały, co się stanie.

Steiner zatrzymał się obok chrzcielnicy i rozejrzył wokół, uderzając się po udzie laseczką. Tym razem nie pofatygował się, żeby zdjąć beret.

- Ojciec Yeker! - zawołał. - Proszę tutaj. - Podeszedł do drzwi zakrystii i chwycił za

klamkę. Stojące po drugiej stronie dziewczyny cofnęły się z przerażeniem. Kiedy Yereker przekuśtykał przez kościół, Steiner zapytał:

- Te drzwi są zamknięte. Dlaczego? Co tam jest?

Yereker wiedział, że drzwi do zakrystii nigdy nie zamykano, gdyż klucz od nich zaginął przed wielu laty. Ktoś musiał je więc zaryglować od środka. W tym momencie przypomniał sobie, że kiedy wychodził obejrzyć ćwiczenia komandosów, Pamela robiła porządki przy ołtarzu. Wnioski nasuwały się same.

- To drzwi do zakrystii, Herr Oberst - powiedział wyraźnie. - Są tam księgi parafialne, szaty liturgiczne, tego typu rzeczy. Klucz jest, niestety, na plebanii. Przykro mi, że wykazuję taki brak zorganizowania. Pewnie w Niemczech wszystko jest zawsze na swoim miejscu?

- Chodzi ojcu o to, że my, Niemcy, mamy zamiłowanie do porządku? - powiedział Steiner. - To prawda. Ale moja matka była Amerykanką, a do szkoły chodziłem w Londynie. Prawdę mówiąc, przez wiele lat tam mieszkałem. No i co wynika z takiego połączenia?

- Zapewne to, że nie nazywa się pan Carter.

- Faktycznie nazywam się Steiner. Kurt Steiner.

- Skąd pan jest, z SS?

- Macie na tym punkcie jakąś chorobliwą obsesję. Wyobrażacie sobie, że wszyscy niemieccy żołnierze służą w prywatnej armii Himmlera?

- Nie, może tylko tak się zachowują.

- Tak jak sierżant Sturm, na przykład. - Yereker nie znalazł na to odpowiedzi. - Żeby wszystko było jasne: nie jesteśmy z SS - dodał Steiner. - Należymy do Fallschirmjäger. To jednostki elitarne, przy całym szacunku dla waszych „Czerwonych Diabłów”.

- A więc zamierzacie dziś w nocy zamordować w Studley Grange pana Churchilla? - spytał Yereker.

- Tylko jeśli będzie to konieczne - odparł Steiner. - Osobiście wolałbym, żeby przeżył.

- Trochę pokrzyżowały wam się plany? Cała opracowana w szczegółach akcja, i tak dalej...

- Dlatego że jeden z moich ludzi poświęcił życie, by uratować dwoje dzieci z tej wioski. A może nie chce ojciec przyjąć tego do wiadomości? Ciekawe, z jakiego powodu? Czy dlatego, że nie pasuje to do żalostnego obrazu niemieckich żołnierzy jako dzikusów, którzy potrafią tylko mordować i gwałcić? A może chodzi o coś więcej? Może ojciec nienawidzi nas wszystkich dlatego, że to niemiecka kula uczyniła go kaleką?

- Niech pana piekło pochłonie! - powiedział Yereker.

- Papier nie byłby tym zachwycony, ojczu. A wracając do wcześniejszego pytania:

rzeczywiście, plany trochę się nam pokrzyżowały, ale w naszej branży liczy się umiejętność improwizacji. Jako były spadochroniarz musi ojciec o tym wiedzieć.

- Na litość boską, człowieku, przecież to już koniec - stwierdził Yereker. - Straciliście element zaskoczenia.

- Jeszcze nie - odpowiedział spokojnie Steiner. - Jeżeli tylko uda nam się na czas akcji, że się tak wyrażę, odciąć wioskę od świata.

Pomysł wydał się Yerekerowi tak zuchwały, że przez chwilę nie mógł wymówić słowa.

- Przecież to niemożliwe!

- Bynajmniej. Moi ludzie przeczesują właśnie Studley Constable. Za piętnaście - dwadzieścia minut wszyscy obecni we wsi mieszkańcy znajdą się w kościele. Kontrolujemy łączność telefoniczną i drogi. Każdy, kto się tu zjawi, zostanie zatrzymany.

- To się wam nie uda.

- Sir Henry Willoughby opuścił majątek o jedenastej i udał się do King's Lynn, gdzie miał zjeść obiad z premierem. O wpół do czwartej powinni stamtąd wyruszyć dwoma samochodami pod eskortą czterech żandarmów na motocyklach. - Steiner spojrzął na zegarek. - To znaczy mniej więcej o tej porze. Nawiasem mówiąc, premier zażyczył sobie jechać przez Walsingham. Ale proszę mi wybaczyć, pewnie zanudzam ojca tym wszystkim.

- Wygląda na to, że jest pan bardzo dobrze poinformowany.

- Rzeczywiście. Jak więc ojciec widzi, musimy tylko zgodnie z planem poczekać do wieczora, a zdobycz będzie nasza. Mieszkańcy nie muszą się niczego obawiać, jeśli tylko zastosują się do naszych poleceń.

- Nie uda się wam - powtórzył z uporem Vereker.

- No, nie wiem. Robiono już takie rzeczy. Otto Skorzeny wydostał z więzienia Mussoliniego, choć sprawa wydawała się beznadziejna. Sam Churchill określił to jako imponujący wyczyn, kiedy przemawiał w Westminster.

- Raczej w ruinach, które tam pozostały po waszych cholernych nalotach - stwierdził Yereker.

- Berlin też nie wygląda teraz najlepiej - zauważył Steiner. - Może pana Wilde'a zainteresuje fakt, że cztery miesiące temu bomby RAF-u zabiły pięcioletnią córeczkę i żonę człowieka, który zginął dziś, ratując jego syna. - Steiner wyciągnął rękę. - Poproszę kluczyki od wozu. Może nam się przydać.

- Nie mam ich przy sobie - zaczął Yereker.

- Niech mi ojciec zaoszczędzi czasu. Jeżeli będzie to konieczne, każę swoim ludziom

ojca zrewidować.

Yereker niechętnie wyjął kluczyki, a Steiner wsunął je do kieszeni.

- W porządku, wracam do swoich zajęć. - Podniósł głos. - Brandt, dopilnujcie tu wszystkiego. Kiedy Preston was zmieni, zgłóście się do mnie do wioski.

Gdy wyszedł, szeregowy Jansen stanął przy drzwiach ze swoim Ml. Yereker pokuśtykał powoli wzdłuż kościoła, mijając Brandta i Wilde'a, który siedział zgarbiony w jednej z ławek. Sturm leżał naprzeciw ołtarza w kaplicy Najświętszej Marii Panny. Ksiądz stał nad nim przez chwilę, potem uklęknął, złożył ręce i zdecydowanym, ufnym głosem zaczął odmawiać modlitwy za umierających.

Kiedy za Steinerem zatrzasnęły się drzwi, Pamela Yereker stwierdziła:

- A więc to tak.

- Co teraz zrobimy? - powiedziała głucho Molly.

- Przede wszystkim musimy się stąd wydostać.

- Ale jak?

Pamela przeszła przez zakrystię, odszukała ukrytą zapadkę i część boazerii uchyliła się, odsłaniając wejście do korytarza. Wzięła do ręki latarkę, którą brat zostawił na stole. Molly przyglądała się temu ze zdumieniem.

- Chodź - ponaglała ją Pamela. - Musimy uciekać.

Kiedy znalazły się w korytarzu, zamknęła drzwi i poprowadziła ją szybko podziemnym przejściem. Wyszły przez dębową szafę w piwnicy plebanii i wydostały się schodami do holu. Pamela położyła latarkę na stole obok telefonu, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Molly zanoszą się łzami.

- O co chodzi, Molly? - zapytała, dotykając jej dłoni.

- Liam Devlin jest jednym z nich - odparła Molly. - Z całą pewnością. Oni byli u niego. Widziałam ich.

- Kiedy to było?

- Dzisiaj. Chciał, żebym myślała, że nadal jest w wojsku. Że bierze udział w jakiejś tajnej akcji. - Molly wyrwała dłonie z rąk Pameli i zacisnęła je w pięści. - On mnie wykorzystał. Cały czas mnie wykorzystywał. Boże miłosierny, mam nadzieję, że go powieszają!

- Molly, tak mi przykro - powiedziała Pamela. - Wierz mi. Jeżeli to prawda, na pewno się nim zajmą. Ale musimy stąd uciekać. - Spojrzała na telefon. - Nie ma sensu dzwonić na policję ani gdzie indziej, skoro zajęli centralę we wsi. Nie mam nawet kluczyków od samochodu brata.

- Pani Grey ma samochód - przypomniała Molly.

- Oczywiście. - Oczy Pameli zabłyśły z emocji. - Gdybym tylko mogła dostać się do jej domu.

- I co byś zrobiła? W promieniu wielu mil nie ma telefonu.

- Pojechałabym wprost do Meltham House - oświadczyła Pamela. - Stacjonują tam amerykańscy komandosi. Jednostka szturmowa. Daliby Steinerowi i jego bandzie nauczkę. Jak się tu dostałaś?

- Na koniu. Przywiązałam go do drzwi za plebanią.

- Dobrze, niech tam zostanie. Pójdziemy ścieżką przez pole za Hawks Wood i spróbujemy dostać się do pani Grey tak, żeby nas nikt nie zobaczył.

Molly nic nie powiedziała. Pamela pociągnęła ją za rękaw i przebiegłszy przez drogę skryły się za drzewami Hawks Wood.

Ścieżka miała kilkaset lat i biegła wąwozem, dzięki czemu nikt ich nie widział. Pamela pędziła przodem, nie zatrzymując się aż do chwili, gdy dotarły do drzew nad strumieniem za domem Joanny Grey. Przez wodę, przechodziło się po wąskim mostku. Droga wydawała się pusta.

- Dobra, ruszamy - powiedziała Pamela. - Naprzód! - Molly chwyciła ją za rękę.

- Nie idę, rozmyśliłam się.

- Dlaczego?

- Ty spróbuj szczęścia tutaj. Ja wrócę po konia i postaram się wydostać inną drogą. Zwiększy to nasze szanse.

Pamela skinęła głową.

- Słusznie. No dobrze, Molly. - Pocałowała ją odruchowo w policzek. - Tylko uważaj! Oni naprawdę nie żartują.

Molly lekko ją szturchnęła. Pamela przebiegła przez drogę i zniknęła za narożnikiem muru otaczającego ogród. Molly odwróciła się i zaczęła biec z powrotem ścieżką wzdłuż Hawks Wood. „Och, Devlin, ty draniu! - myślała. - Mam nadzieję, że cię ukrzyżują!”

Zanim dotarła na szczyt wzgórza, z oczu zaczęły powoli spływać jej łzy. Było jej smutno i niewiarygodnie źle. Nie sprawdziła nawet, czy na drodze nikogo nie ma. Przebiegła po prostu na drugą stronę i wzdłuż ogrodowego muru doszła do drzew za plebanią. Koń czekał cierpliwie tam, gdzie go przywiązała, skubiąc trawę. Odwiązała go szybko, wdrapała się na siodło i odjechała galopem.

Kiedy Pamela dotarła na podwórze za domem, Morris pani Grey stał przed garażem. Otworzywszy drzwi wozu zobaczyła w stacyjce kluczyki. Gdy próbowała usiąść za

kierownicą, dobiegł ją pełen oburzenia głos.

- Pamela, co ty robisz, u diabła?

W drzwiach stała Joanna Grey. Pamela pobiegła w jej kierunku.

- Przepraszam, pani Grey, ale stało się coś strasznego. Ten pułkownik Carter i jego ludzie, którzy są na ćwiczeniach w wiosce, wcale nie należą do Specjalnych Sił Powietrznych. On nazywa się Steiner, a oni są niemieckimi spadochroniarzami i chcą porwać premiera!

Joanna Grey wciągnęła ją do kuchni i zamknęła drzwi. Patch łasił się jej do nóg.

- Uspokój się - powiedziała. - To jakaś niewiarygodna historia. Przecież premiera tutaj nie ma.

Sięgnęła do kieszeni wiszącego za drzwiami płaszcza.

- Tak, ale ma przyjechać wieczorem - odparła Pamela. - Sir Henry przywiezie go z King's Lynn.

Joanna odwróciła się, trzymając w ręce automatycznego walthera.

- Nie traciłaś czasu, prawda? - Sięgnęła ręką za siebie, otwierając drzwi do piwnicy. - Zejdź na dół.

Pamela stała jak rażona piorunem.

- Pani Grey, nic nie rozumiem...

- A ja nie mam czasu na wyjaśnienia. Powiedzmy, że w tej sprawie stoimy po przeciwnych stronach barykady i na tym poprzestańmy. A teraz zejdź na dół. Jeżeli będę zmuszona, zastrzelę cię bez namysłu.

Pamela zeszła po schodach. Patch popędził przodem, a Joanna Grey podążyła za nią. Zapaliła na dole światło i otworzyła drzwi naprzeciw schodów. Za nimi było ciemne pomieszczenie, pozbawione okien i pełne rupieci.

- Wejdz do środka.

Patch, biegając wokół swojej pani, znalazł się w pewnej chwili między jej nogami. Potknąwszy się o niego, oparła się o ścianę. Pamela pchnęła ją z całej siły w kierunku drzwi. Upadając do tyłu, Joanna Grey wystrzeliła do niej z bliskiej odległości. Pamela, na wpół oślepiąca wybuchem i czująca się tak, jakby ktoś przytknął jej nagle do skroni rozpalony do czerwoności pogrzbacz, zdołała jednak zatrzasnąć Joannie drzwi przed nosem i zaryglować je.

Rana postrzałowa powoduje ogromny szok, który paraliżuje przez chwilę cały system nerwowy. Wlokąc się po schodach do kuchni, Pamela miała beznadziejne poczucie nierealności otaczającego ją świata. Oparła się o komodę, żeby nie upaść, i spojrzała w lustro.

Pocisk wyłobił po lewej stronie czoła wąską bruzdę, spod której widać było kość. O dziwo, rana prawie wcale nie krwawiła, a kiedy dotknęła jej lekko czubkiem palca, nie poczuła bólu. „To przyjdzie później”.

- Muszę dotrzeć do Harry'ego - powiedziała na głos. – Muszę dotrzeć do Harry'ego.

Potem, poruszając się jak we śnie, wsiadła do Morrisa i odjechała Iwórze. Miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Steiner, który szedł właśnie drogą, zobaczył odjeżdżający samochód i pomyślał oczywiście, że prowadzi go Joanna Grey. Zaklął pod nosem, zawrócił i poszedł z powrotem w kierunku mostu, gdzie czekał na niego dziup.

Zamontowany w wozie karabin maszynowy obsługiwał Werner Briegel, a za kierownicą siedział Klugl. Kiedy Steiner dotarł na miejsce, od strony kościoła nadjechał Bedford. Ritter Neumann stał na stopniach obok kabiny ciężarówki, trzymając się drzwi. Zeskoczył na ziemię i zameldował:

- W kościele jest w tej chwili dwadzieścia siedem osób, Herr Oberst, w tym dwoje dzieci. Sześciu mężczyzn i dziewiętnaście kobiet.

- Dziesięcioro dzieci pomaga przy żniwach - powiedział Steiner. - Devlin twierdził, że we wsi mieszka czterdzieści siedem osób. Jeżeli policzymy Turnera, który siedzi w centrali, i panią Grey, zostaje ośmiu ludzi, którzy z pewnością za jakiś czas się tu zjawią. Przypuszczam, że są to głównie mężczyźni. Odnalazłeś siostrę Yerekerę?

- Na plebanii jej nie ma, a gdy zapytałem go, gdzie ona się podziewa, kazał mi iść do diabła. Kilka kobiet okazało się bardziej skłonnych do Współpracy. Wygląda na to, że kiedy Pamela Yereker jest w domu, ma zwyczaj w sobotę po południu jeździć konno.

- Ją też trzeba więc będzie przypilnować - stwierdził Steiner.

- Widział się pan z panią Grey?

- Niestety nie. - Steiner wyjaśnił mu, co się stało. - Popełniłem duży błąd. Powinienem był pójść za twoją radą i pozwolić ci do niej pojechać. Mam tylko nadzieję, że wkrótce wróci.

- Może pojechała spotkać się z Devlinem?

- Słusznie. Warto to sprawdzić. Tak czy inaczej, będziemy musieli go zawiadomić, co się tu dzieje. - Uderzył laseczką w otwartą dłoń.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i ze sklepu Turnera wyleciało przez szybę wystawową krzesło. Steiner i Ritter Neumann wyciągnęli swoje browningi i przebiegli na drugą stronę drogi.

Przez większą część dnia Arthur Seymour wycinał drzewa z niewielkiej plantacji na farmie, leżącej na wschód od Studley Constable. Zarabiał sprzedając drzewo na wsi i w

okolicy. Właśnie tego ranka pani Turner poleciła mu zająć się plantacją. Kiedy skończył, napelnił polanami dwa worki, położył je na ręczny wózek i poszedł przez pola do wioski, docierając w końcu na podwórze za sklepem Turnera.

Wszedł bez pukania, otwierając sobie kopniakiem kuchenne drzwi. Z zarzuconym na ramie workiem drewna stanął nagle twarzą w twarz z Dinterem i Bergiem, którzy popijali kawę, siedząc na skraju stołu. Byli nawet bardziej zaskoczeni niż Seymour.

- Hej, co tu się dzieje? - zapytał.

Dinter wycelował w Seymoura przewieszzonego przez piersi stena, a Berg wziął do ręki swój M1. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Harvey Preston. Patrzył na Seymoura, podpierając się pod boki.

- O Boże! - powiedział. - Prawdziwa dwunożna małpa! W ciemnych, szalonych oczach Seymoura coś drgnęło.

- Licz się ze słowami, żołnierzyku.

- W dodatku potrafi mówić! - dodał Preston. - Cudom nie ma końca. No dobrze, dołączcie go do pozostałych.

Odwrócił się, żeby wejść z powrotem do centrali, ale w tym momencie Seymour cisnął worek z drewnem w kierunku Dintera i Berga i rzucił się na Prestona, zaciskając mu rękę na gardle i wbijając kolano w plecy. Warczał jak pies. Berg zerwał się na nogi i rąbnął Seymoura w nerki kolbą swojego M1. Olbrzym zawył z bólu, puścił Prestona i runął na Berga z taką siłą, że wlecieli przez otwarte drzwi do sklepu, demolując gablotę z wystawionymi towarami.

Berg upuścił broń, ale zdołał stanąć na nogi i cofnąć się. Seymour ruszył w jego kierunku, zmiatając z lady stosy puszek i pudełek. Z gardła dobywał mu się głuchy pomruk. Berg chwycił krzesło, na którym pani Turner siedziała zwykle za ladą. Kiedy Seymour wytrącił mu je w powietrzu, wyleciało przez szybę wystawową. Berg wyciągnął bagnet, na co Seymour cały się skulił.

W tym momencie do akcji włączył się Preston, zachodząc go od tyłu z karabinem Berga w rękach. Podniósłszy wysoko broń, z całej siły uderzył Seymoura kolbą w tył głowy. Seymour wrzasnął i odwrócił się na pięcie.

- Ty parszywa, wielka małpo! - krzyknął Preston. - Trzeba cię będzie nauczyć manier, co?

Walnął Seymoura kolbą w żołądek, a kiedy olbrzym zgiął się wpół, uderzył go ponownie w kark. Seymour runął do tyłu, a padając na ziemię, usiłował się czegoś chwycić i zwałił na siebie półkę i wszystko, co na niej leżało.

W tym momencie Steiner i Ritter Neumann wtargnęli do sklepu z bronią gotową do strzału. Panował tam nieopisany bałagan. Wszędzie było pełno rozmaitych puszek, cukru i mąki. Harvey Preston oddał Bergowi karabin. W drzwiach pojawił się Dinter. Szedł nieco chwiejającym krokiem, a po czole płynęła mu strużka krwi.

- Znajdźcie jakiś sznur - poradził Preston - i zwiążcie go, bo następnym razem możecie mieć mniej szczęścia.

Staruszek Turner tkwił w drzwiach centrali telefonicznej, patrząc ze łzami w oczach na zdemolowany lokal.

- Kto za to wszystko zapłaci?

- Wyślij rachunek do Winstona Churchilla. Może ci się poszczęści - Powiedział brutalnie Preston. - Pomówię z nim, jeśli chcesz. Wstawię się za tobą.

Staruszek osunął się na krzesło obok pulpitu centrali, prezentując obraz nędzy i rozpacz.

- W porządku, Preston - odezwał się Steiner. - Nie będziesz mi już tutaj potrzebny. Idź do kościoła i zabierz ze sobą ten okaz z za lady. Zluzuj Brandta. Powiedz mu, żeby zameldował się u Oberleutnanta Neumanna. - Co z centralą telefoniczną?

- Przyślę tu Altmanna. Mówi dobrze po angielsku. Tymczasem niech Dinter i Berg mają wszystko na oku.

Seymour zaczął się poruszać i próbując uklęknąć, stwierdził ze zdziwieniem, że ma związane na plecach ręce.

- Wygodnie? - Preston dał mu kopniaka w pośladek, a potem postawił go na nogi. - No, mało, spróbuj, czy potrafisz chodzić.

Mieszkańcy wioski siedzieli, jak im kazano, w kościelnych ławkach i nie wiedząc, co ich czeka, rozmawiali cicho ze sobą. Większość kobiet nie ukrywała przerażenia. Yereker chodził między nimi, starając się nieść pociechę. Kapral Becker, ze stenem w rękach, trzymał straż przy schodach prezbiterium, a szeregowy Jansen stał przy drzwiach. Żaden z nich nie mówił po angielsku.

Kiedy Brandt wyszedł, Harvey Preston znalazł w dzwonnicy pod wieżą długi sznur, związał Seymourowi nogi w kostkach, a potem odwrócił go i zawłókł twarzą do ziemi do kaplicy Najświętszej Marii Panny. Rzucił go tam obok zwłok Sturma. Seymour miał otarty i zakrwawiony policzek. Na jego widok rozległy się stłumione okrzyki przerażenia, zwłaszcza wśród kobiet.

Preston, nie zwracając na nie uwagi, kopnął Seymoura w żebra.

- Ostudzę cię trochę, zanim stąd odejdziesz, obiecuję ci to.

Yereker pokuśtykał w jego kierunku i chwyciwszy go za ramię, obrócił w swoją stronę.

- Niech pan zostawi tego człowieka.

- Człowieka? - Preston roześmiał mu się w twarz. - To nie człowiek, to przedmiot. - Yereker schylił się, usiłując dotknąć Seymoura, ale Preston odepchnął go i wyciągnął rewolwer. - Odmawia ojciec wykonywania poleceń, czy tak?

Jedna z kobiet z trudem powstrzymała się od krzyku. Gdy Preston odciągnął kurek, zapanowała nieznośna cisza. Czas zatrzymał się na chwilę. Yereker przeżegnał się, a Preston znów się roześmiał i opuścił rewolwer.

- Wiele to księdzu pomoże.

- Co z pana za człowiek? - spytał Yereker. - Dlaczego pan tak postępuje?

- Co za człowiek? - odparł Preston. - To proste. Należę do specjalnego gatunku ludzi. Do grupy najlepszych żołnierzy, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi. To jednostka Waffen SS, w której mam zaszczyt służyć w randze Untersturmführera.

Przeszedł wzdłuż ławek, odwrócił się przy schodach prezbiterium i rozpiął skafander, zdjął go z siebie. Pod spodem miał mundur, którego kołnierz zdobiły naszywki z trzema lampartami. Na lewym rękawie widać było znak orła, a poniżej plakietkę z brytyjską flagą i srebrno-czarne oznaczenia na mankietach.

Laker Armsby, siedzący obok George'a Wilde'a, pierwszy zauważył:

- Patrzcie, on ma na rękawie brytyjską flagę!

Yereker podszedł bliżej, marszcząc brwi. Preston wyciągnął rękę.

- Tak, to prawda. Ale niech ksiądz przeczyta napis na mankiecie.

- Britisches Freikorps - odczytał głośno Yereker i bacznie mu się przyjrzał. - Niezależny Korpus Brytyjski?

- Tak, cholerny głupcze. Nie rozumiesz? Czy nikt z was tego nie pojmuje? Jestem Anglikiem, tak jak wy, tyle że walczę po właściwej stronie. Po jedynie słusznej stronie.

Susan Turner zaczęła płakać. George Wilde wyszedł z ławki, przeszedł powoli, bez pośpiechu, wzdłuż kościoła i stanął przed Prestonem.

- Ze Szwabami jest chyba cholernie kiepsko, skoro musieli wygrzebać spod jakiegoś kamienia takie indywiduum.

Preston strzelił do niego z bliska. Kiedy Wilde upadł z zakrwawioną twarzą na schody pod krucyfiksem, zawieszonym na belce, w kościele rozpętało się istne piekło. Kobiety krzyczały histerycznie. Preston wystrzelił ponownie, tym razem w powietrze.

- Nie ruszać się z miejsc!

Zaległa martwa cisza, jaką powoduje paralizujący strach. Yereker przyklęknął nieudolnie na jedno kolano i obejrzał Wilde'a, który jęczał, kiwając na boki głową. Betty Wilde przebiegła między ławkami knęła obok męża. Za nią podążył jej syn.

- Wyjdzie z tego, Betty. Miał szczęście - zapewnił ją Yereker. - zobacz, kula drasnęła tylko policzek.

W tym momencie w drugim końcu świątyni otworzyły się z hałasem i do środka wszedł z browniegiem w ręce Ritter Neumann. Wbiegł między ławki do kościoła i przystanął.

- Co się tu dzieje?

- Niech pan spyta swojego kolegę z SS - zaproponował Yereker. Ritter rzucił okiem na Prestona, a potem przyklęknął na jedno kolano i obejrzał Wilde'a.

- Nie dotykaj go, ty... ty przekłeta niemiecka świni! - odezwała się Betty.

Ritter podał jej połowy opatrunek, który wyjął z kieszeni bluzy.

- Niech go pani opatrzy. Nic mu nie będzie. - Wstał i odezwał się do Yerekera: - Należymy do Fallschirmjager, ojczy, i jesteśmy z tego dumni. Jeżeli zaś chodzi o tego dzentelmena... - Odwrócił się i jakby od niechcienia uderzył Prestona z całej siły browniegiem w twarz. Anglik krzyknął z bólu i upadł na podłogę.

Znowu otworzyły się drzwi i do kościoła wbiegła Joanna Grey.

- Herr Oberleutnant! - zawołała po niemiecku. - Gdzie jest pułkownik Steiner? Muszę z nim pomówić!

Miała umazaną błotem twarz i brudne ręce. Neumann poszedł jej na spotkanie.

- Tu go nie ma. Pojechał zobaczyć się z Devlinem. A co się stało?

- Joanna? - odezwał się Yereker. Brzmiało to jak pytanie, ale w jego głosie był zarazem lęk, jakby obawiał się potwierdzenia swoich podejrzeń.

Nie zwracając na niego uwagi, powiedziała do Rittera:

- Nie wiem, co tu się działo, ale jakieś trzy kwadransy temu zjawiała się u mnie Pamela Yereker i wiedziała już o wszystkim. Chciała wziąć mój samochód, żeby wezwać komandosów z Meltham House.

- I co?

- Usiłowałam ją zatrzymać, ale zamknęła mnie w piwnicy. Udało mi się wydostać dopiero pięć minut temu. Co teraz zrobimy?

Yereker położył jej dłoń na ramieniu i obrócił ją twarzą do siebie.

- Czy to znaczy, że jesteś z nimi?

- Tak - odparła zniecierpliwiona. - Daj mi teraz spokój, dobrze? Jestem zajęta. - Odwróciła się z powrotem do Rittera.

- Ale dlaczego? - Yereker nie dawał za wygraną. - Nie rozumiem. Jesteś przecież Brytyjką...

W tym momencie stała się agresywna.

- Brytyjką?! - krzyknęła. - Wywodzę się z Burów, do cholery! Z Burów! Jak można nazywać mnie Brytyjką? Obrażasz mnie tym określeniem!

Twarze zebranych wyrażały niekłamanie przerażenie. Dla wszystkich było jasne, że Philip Yereker przeżywa katusze.

- O Boże! - wyszeptał. Ritter wziął Joannę Grey za rękę.

- Niech pani szybko wraca do domu. Proszę skontaktować się przez radio z Landsvoort, zawiadomić Radia o sytuacji i mieć nadajnik w pogotowiu.

Skinęła głową i pospiesznie wyszła. Ritter stał w miejscu, po raz pierwszy w swojej wojskowej karierze nie mając pojęcia, jak się zachować. „Co my teraz zrobimy, do cholery?” - pomyślał. Ale nie znalazł odpowiedzi. Nie potrafił jej znaleźć bez Steinera.

- Ty i Jansen zostaniecie tutaj - powiedział do kaprała Beckera i wyszedł szybkim krokiem.

W kościele zapanowała cisza. Yereker powlókł się między ławkami, czując nieopisane zmęczenie. Wszedł po schodach prezbiterium i odwrócił się do wiernych.

- W takich chwilach pozostaje człowiekowi tylko modlitwa - oznajmił. - I bardzo często nam ona pomaga. Klękniemy wszyscy.

Przeżegnał się, złożył ręce i zaczął głośno się modlić, dobitnym i niezwykle spokojnym głosem.

Rozdział XVII

Harry Kane nadzorował właśnie ćwiczenia z terenowej taktyki w lesie za farmą Meltham, kiedy doręczono mu rozkaz Shafto, że ma natychmiast zameldować się z oddziałem w budynku. Kane kazał sierżantowi - Teksąńczykowi z Fort Worth, który nazywał się Hustler - zebrać i przyprowadzić ludzi, a sam poszedł przodem.

Kiedy dotarł na miejsce, przybywały tam już drużyny odbywające ćwiczenia w różnych częściach majątku. Ze stajni na zapleczu dochodził odgłos rozgrzewanych silników. Na wysypanym żwirze podjeździe przed domem stało już rzędem kilka dżipów.

Ich załogi zaczęły sprawdzać sprzęt i karabiny maszynowe. Z pierwszego pojazdu zeskoczył oficer, kapitan nazwiskiem Mallory.

- Co się tu wyrabia, na litość boską? - spytał Kane.

- Nie mam zielonego pojęcia- odparł Mallory. - Otrzymuję rozkazy i wykonuję je. Wiem tylko, że on pilnie chce pana widzieć. - Szeroko się uśmiechnął. - Może chodzi o Drugi Front.

Kane wbiegł na schody. W biurze panowała gorączkowa krzątanina. Sierżant Garvey chodził tam i z powrotem pod drzwiami gabinetu Shafto, nerwowo paląc papierosa. Na widok Kane'a rozchmurzył się.

- Co się dzieje, do cholery?- dopytywał się Kane. - Mamy rozkazy, żeby się stąd zabierać, czy co?

- Niech pan mnie nie pyta, majorze. Wiem tylko, że jakieś piętnaście minut temu pańska znajoma zjawiała się tutaj w bardzo kiepskim stanie i od tej chwili wszystko się zmieniło.

Kane otworzył drzwi i wszedł do środka. Shafto, w bryczesach i butach do konnej jazdy, stał obok biurka, tyłem do wejścia. Kiedy się odwrócił, Kane zobaczył, że łąduje swego colta z perłową rękojeścią. Zaszła w nim nieopisana zmiana. Wyglądał, jakby przepływał przez niego prąd elektryczny, oczy błyszczały mu jak w gorączce, a twarz miał bladą z emocji.

- Trzeba szybko działać, majorze. To coś dla mnie. - Sięgnął po pas i kaburę.

- Co się dzieje, sir? - spytał Kane. - Gdzie jest panna Yereker?

- W mojej sypialni. Dostała środki uspokajające. Jest w szoku.

- Ale co się stało?

- Postrzelono ją w głowę. - Shafto sprawnie zapiął pas, opuszczając nisko kaburę na

prawym biodrze. - A za spust pociągnęła przyjaciółka jej brata, pani Grey. Niech pan ją sam zapyta. Mogę dać panu tylko trzy minuty.

Kane otworzył drzwi do sypialni. Shafto wszedł za nim. Okna były częściowo zasłonięte, a Pamela leżała w łóżku, przykryta po szyję kocami. Była blada i wyglądała na poważnie chorą. Głowę miała owiniętą w bandażem, który przesiąknął już krwią.

Kiedy Kane podszedł do niej, otworzyła oczy i przyglądała mu się z uwagą.

- Harry?

- Wszystko w porządku. - Usiadł na skraju łóżka.

- Nie, posłuchaj mnie! - Podniosła się na posłaniu i pociągnęła go za rękaw. Kiedy mówiła, jej głos był jakiś nieobecny i daleki. - O wpół do czwartej pan Churchill i sir Henry Willoughby wyruszają z King's Lynn do Studley Grange. Będą przejeżdżać przez Walsingham. Musisz go zatrzymać!

- Dlaczego muszę? - spytał łagodnie Kane.

- Bo jeżeli tego nie zrobisz, schwyta go pułkownik Steiner i jego ludzie. Czekają teraz we wsi. Uwięzili wszystkich mieszkańców w kościele.

- Steiner?

- Człowiek, który przedstawił ci się jako pułkownik Carter. I jego ludzie, Harry. To nie Polacy. To niemieccy spadochroniarze.

- Ależ Pamela! - zaproponował Kane. - Spotkałem Cartera. Jest tak samo Anglikiem, jak ty Angielką.

- Nie, jego matka była Amerykanką, a on chodził do szkoły w Londynie. Nie rozumiesz? To wszystko wyjaśnia. - W jej głosie pobrzmiwała rozpacz. - Podśledzałam, jak Steiner rozmawiał w kościele z moim bratem. Ukryłam się razem z Molly Prior. Kiedy wydostałyśmy się z kościoła, każda z nas poszła inną drogą. Pobiełam do Joanny, ale okazało się, że ona jest z nimi. Strzeliła do mnie, a ja... zamknęłam ją w piwnicy. - Zmarszczyła brwi, próbując się skoncentrować. - A potem zabrałam jej samochód i przyjechałam tutaj.

Nagle opuściła ją cała energia, jakby ktoś zdjął z jej ramion wielki ciężar, który była w stanie utrzymać tylko dzięki ogromnej sile woli. Teraz przestało to mieć znaczenie. Opadła na poduszkę i zamknęła oczy.

- Ale jak wydostałaś się z kościoła, Pamela? - spytał Kane. Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego półprzytomnym, błędnym wzrokiem.

- Z kościoła? Och... zwyczajnie. - Mówiła ledwo dosłyszalnym szeptem. - A potem poszłam do Joanny i ona mnie postrzeliła. - Znow zamknęła oczy. - Harry, jestem taka

zmęczona...

Kane wstał i wyszedł za Shafto do sąsiedniego pokoju.

- No i co o tym myślisz?- powiedział Shafto, poprawiając furazerkę przed lustrem. - Przede wszystkim ta Grey to niezła k.....

- Kto został zawiadomiony? Trzeba by zacząć od Ministerstwa Wojny i dowództwa we wschodniej Anglii, a potem... Shafto natychmiast mu przerwał.

- Masz pojęcie, ile czasu spędziłbym przy telefonie, zanim te zasiedziałe urzędasy w sztabie uzgodniłyby, czy mam rację, czy nie? - Uderzył pięścią w stół. - Nie, na Boga! Sam załatwię tych Szwabów, tu i teraz. Mam do tego odpowiednich ludzi. Wykonać jeszcze dziś! - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - To osobiste motto Churchilla. Powiedziałbym, że pasuje do sytuacji.

Kane pojął wówczas, w czym rzecz. Shafto musiało się wydawać, że bogowie mu sprzyjają. Nie tylko nie zaprzeczając kariery, ale wręcz zaczynał ją robić. Będzie człowiekiem, który uratował życie Churchillowi! Dokona wyczynu, który trafi do podręczników historii. Niech no tylko Pentagon spróbuje teraz odmówić mu generalskich szlifów, a ludzie wyjdą na ulice, żeby zaprotestować.

- Proszę posłuchać, sir - nalegał Kane. - Jeżeli Pamela mówi prawdę, ta sprawa może się okazać wyjątkowo poważna. Pozwolę sobie z całym szacunkiem zauważyć, że brytyjskie Ministerstwo Wojny nie będzie zachwycone...

Shafto znów uderzył pięścią w biurko.

- Co cię napadło? Może ci chłopcy z Gestapo spisali się lepiej, niż im się wydaje? - Odwrócił się nerwowo w stronę okna, lecz zaraz potem patrzył znów na Kane'a, uśmiechając się jak pełen skruchy sztubak. - Przepraszam, Harry, nie chciałem tego powiedzieć. Oczywiście, masz rację.

- W porządku, sir. Co robimy? Shafto spojrzał na zegarek.

- Czwarta piętnaście. To znaczy, że premier jest już blisko. Wiemy, którądy nadjeżdża. Byłoby nieźle, gdybyś wziął dzipa i wyjechał mu na spotkanie. Sądząc z tego, co mówiła dziewczyna, powinieneś być w stanie dogonić go za Walsingham.

- Zgadza się, sir. Tutaj możemy mu przynajmniej zapewnić sto dziesięć procent bezpieczeństwa.

- Właśnie. - Shafto usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę telefonu. - A teraz ruszaj i zabierz ze sobą Garveya.

- Rozkaz, pułkowniku.

Otwierając drzwi, usłyszał, jak Shafto mówi:

- Połączcie mnie z dowódcą Okręgu Wschodniej Anglii. Z nim osobiście i z nikim innym!

Kiedy drzwi się zamknęły, Shafto zdjął wskazujący palec lewej ręki z widełek telefonu. W słuchawce zatrzeszczał głos operatora centrali.

- Życzy pan sobie czegoś, pułkowniku?

- Tak, dajcie mi tu natychmiast kapitana Mallory'ego. - Mallory zjawił się u niego w ciągu czterdziestu pięciu sekund.

- Potrzebuje mnie pan, pułkowniku?

- Tak, pana i czterdziestu ludzi gotowych do drogi w ciągu pięciu minut. Osiem dżipów powinno wam wystarczyć. Niech pan poupycha do nich ludzi.

- Tak jest, sir. - Mallory zawahał się, łamiąc jedną ze swoich świętych zasad. - Czy mogę zapytać, co pan zamierza, pułkowniku?

- No cóż, można to ująć w ten sposób - powiedział Shafto. - Przed nocą będzie pan majorem... albo pan zginie.

Mallory wyszedł z przyspieszonym tętnem, a Shafto skierował się do stojącej w kącie szafki, z której wyjął butelkę bourbona, i napełnił do połowy szklaneczkę. Deszcz uderzał o szyby. Stał przy oknie, popijając bourbon bez pośpiechu. W ciągu dwudziestu czterech godzin będzie zapewne najbardziej znanym człowiekiem w Ameryce. Nadszedł jego dzień. Był o tym święcie przekonany.

Gdy w trzy minuty później wyszedł z budynku, dżipy stały w rzędzie, załadowane ludźmi. Mallory rozmawiał z najmłodszym oficerem w jednostce, podporucznikiem o nazwisku Chalmers. Stanęli na baczność, a Shafto zatrzymał się na szczycie schodów.

- Zastanawiacie się, o co w tym wszystkim chodzi. Więc wam powiem. Jakies osiem mil stąd jest wioska o nazwie Studley Constable. Macie ją wyraźnie zaznaczoną na mapach. Większość z was słyszała zapewne, że Winston Churchill wizytował dzisiaj bazę RAF-u koło King's Lynn. Nie wiecie jednak, że dzisiejszą noc ma spędzić w Studley Grange. I tu cała sprawa zaczyna być interesująca. W Studley Constable odbywa ćwiczenia szesnastu ludzi z Polskiej Samodzielnej Kompanii Spadochronowej Specjalnych Sił Powietrznych. Trudno ich nie zauważyć w tych pięknych czerwonych beretach i panterkach. - Ktoś się roześmiał. Shafto przerwał, aż zapanowała ponownie absolutna cisza. - Mam dla was nowiny. Ci faceci to szkopy. Niemieccy spadochroniarze, którzy chcą dobrać się do Churchilla. Przygwoździmy ich do ściany. - Ciszy nie przerywał najdrobniejszy szmer. Shafto powoli skinął głową. - Jedno wam mogę obiecać, chłopcy. Jeżeli to dobrze rozegracie, jutro będzie o was głośno od Kalifornii do Maine. A teraz szykujcie się do drogi.

Zahuczały włączone silniki i zrobił się ruch. Shafto zszedł po samochód i odezwał się do Mallory'ego:

- Niech pan dopilnuje, żeby po drodze zapoznali się z mapami. Kiedy tam dotrzemy, nie będzie czasu na żadne wymyślne instrukcje. - Mallory pospiesznie się oddalił, a Shafto powiedział do Chalmersa:

- Pilnuj tu wszystkiego, chłopcze, dopóki nie wróci major Kane. - Poklepał go po ramieniu. - Nie bądź taki zawiedziony. Pan Churchill przyjedzie razem z nim. Musimy go przecież ugościć. - Wskoczył do pierwszego dżipa i skinął na kierowcę. - Dobra, synu, jedziemy.

Ruszyli sprzed domu z wyciem silników. Wartownicy otworzyli pospiesznie ogromną wjazdową bramę i konwój skręcił na drogę. Dwieście jardów dalej Shafto dał ręką znak, żeby się zatrzymali, i kazał kierowcy stanąć obok najbliższego słupa telefonicznego. Odwrócił się do sierżanta Hustlera, który siedział z tyłu.

- Dajcie mi tego thompsona.

Hustler podał mu broń. Shafto odbezpieczył ją, wycelował i ostrzelał wierzchołek słupa, zamieniając w drzazgi jego poprzeczne belki. Zerwane przewody rozprysnęły się, tnąc powietrze.

Shafto oddał thompsona Hustlerowi.

- To chyba załatwi na razie sprawę wszelkich niepożądanych telefonów. - Uderzył dłonią w bok pojazdu. - Dobra, jedziemy, jedziemy, jedziemy!

Garvey prowadził dżipa jak szalony, pędząc po wąskich, polnych drogach z taką szybkością, jakby zakładał, że z przeciwnej strony nie może nic nadjechać. Mimo to prawie się spóźnili, bo gdy pokonywali ostatni odcinek trasy przed wjazdem na szosę do Walsingham, niewielki konwój mignął im u wylotu drogi. Na przedzie jechało dwóch żandarmów na motocyklach, za nimi dwie limuzyny marki Humber, a z tyłu jeszcze dwóch motocyklistów.

- To on! - krzyknął Kane.

Dżip wyskoczył na główną drogę. Garvey nadepnął z całej siły na gaz. Dogonili konwój w ciągu paru chwil. Kiedy za nim pędzili, obaj żandarmi z tyłu odwrócili głowy. Jeden z nich dał im ręką znak, żeby się nie zbliżali.

- Sierżancie, dodajcie gazu i wyprzedźcie ich - powiedział Kane. - A jeśli nie da się ich zatrzymać inaczej, macie moje pozwolenie, żeby staranować ten wóz na przedzie.

Dexter Garvey wyszczerzył zęby.

- Coś panu powiem, majorze. Jeśli to się nie uda, skończymy za murami Leavenworth

tak błyskawicznie, że nie zorientuje się pan nawet, jaki dziś dzień.

Zjechał na prawo, mijając motocyklistów, i zrównał się z limuzyną. Kane nie widział człowieka na tylnym siedzeniu, gdyż zasłonki w oknach były zaciągnięte na tyle, aby nikt nie zaglądał do środka. Kierowca, ubrany w granatowy uniform szofera, z niepokojeni spojrzał w bok, a siedzący przy nim człowiek w szarym garniturze wyciągnął rewolwer.

- Podjedźcie do następnego - rozkazał Kane i Garvey zrównał się z pierwszą limuzyną, naciskając na klakson.

Jechało w niej czterech ludzi. Dwóch z nich nosiło wojskowe mundury. Obaj byli w randze pułkownika, a jeden miał czerwone naszywki oficera sztabowego. Ten drugi odwrócił się z niepokojem i Kane zobaczył, że to sir Henry Willoughby. Rozpoznali się natychmiast. Kane krzyknął do Garveya:

- W porządku, jedźcie dalej. Chyba teraz się zatrzymają. Garvey przyspieszył, wyprzedzając żandarmów na czele konwoju.

Z tyłu trzykrotnie zatrąbił klakson. Był to najwyraźniej umówiony sygnał. Kiedy Kane obejrzał się, samochody przystawały właśnie na skraju drogi. Garvey zahamował, a Kane wyskoczył z dżipa i pobiegł z powrotem wzdłuż szosy.

Żandarmi wycelowali w niego swoje steny, zanim jeszcze znalazł się blisko nich, a człowiek w szarym garniturze - zapewne osobista ochrona premiera - zdążył już wysiąść z drugiej limuzyny, trzymając w ręku rewolwer.

Z pierwszego samochodu wysiadł pułkownik z czerwonymi naszywkami oficera sztabowego. Sir Henry, w mundurze Wojsk Obrony Kraju, był tuż przy nim.

- Majorze Kane! - powiedział zdeorientowany sir Henry. - Co pan tu robi, u licha?

Pułkownik ze sztabu odezwał się lakonicznie:

- Nazywam się Corcoran. Jestem szefem wywiadu przy dowództwie Okręgu Wschodniej Anglii. Zechce pan wyjaśnić, o co chodzi, sir?

- Premier nie może jechać do Studley Grange - powiedział Kane. - Wioskę zajęli niemieccy spadochroniarze i...

- Wielki Boże! - przerwał mu sir Henry. - W życiu nie słyszałem podobnej bzdury...

Corcoran uciszył go gestem ręki.

- Czy może pan to sprecyzować, majorze?

- Wielkie nieba! - krzyknął Kane. - Chcą schwytać Churchilla, tak jak Skorzeny wy dostał Mussoliniego, czy pan tego nie rozumie? Jak mam was przekonać, do diabła? Czy nikt nie chce słuchać?

W tym momencie usłyszał za sobą czyjś głos; głos, który był mu dobrze znany:

- Ja pana wysłucham, młody człowieku. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Harry Kane odwrócił się powoli i nachylił do tylnego okna limuzyny. Był wreszcie twarzą w twarz z samym Winstonem Churchillem.

Kiedy Steiner próbował dostać się do domu w Hobs End, zastał drzwi zamknięte. Poszedł do stodoły, ale tam także nie było śladu Irlandczyka.

- Herr Oberst, nadjeżdża - krzyknął Briegel.

Devlin jechał motocyklem przez labirynt wąskich ścieżek na groblach. Skręcił na podwórze, postawił maszynę na nóżkach i podniósł gogle.

- Za bardzo się pan afiszuje, pułkowniku.

Steiner wziął go pod ramię i poprowadził w kierunku muru. W kilku zdaniach przedstawił mu sytuację.

- No cóż- zakończył. - Co pan o tym sądzi?

- Czy jest pan pewien, że pańska matka nie była Irlandką?

- Jej matka była. Devlin skinął głową.

- Mogłem się domyślać. No cóż, kto wie? Może jeszcze nam się uda. - Uśmiechnął się. - Wiem jedno. Do dziewiątej wieczorem obgryzę paznokcie do krwi.

Steiner wskoczył do dżipa i dał znak Klugłowi.

- Będziemy w kontakcie.

Molly stała obok swego konia w lesie na wzgórzu po drugiej stronie drogi i widziała, jak Devlin wyjmuje klucz i otwiera frontowe drzwi. Miała zamiar się z nim spotkać, pełna desperackiej nadziei, że może się jednak omyliła, ale widok Steinera i jego dwóch ludzi w dżipie rozwiął wszelkie złudzenia.

Pół mili przed Studley Constable Shafto zatrzymał kolumnę gestem ręki i wydał rozkazy.

- Pamiętajcie, żadnych wyskoków. Musimy zadać im cios, i to potężny, zanim zorientują się, co się dzieje. Kapitanie Mallory, niech pan weźmie trzy dżipy i piętnastu ludzi. Jedźcie na wschód od wsi, tymi polnymi drogami, które są zaznaczone na mapie. Potem zróbcie koło, aż wydostaniecie się na drogę do Studley Grange, na północ od młyna. Sierzancie Hustler, kiedy dotrzemy na skraj wsi, macie wysiąść i razem z kilkunastoma ludźmi pobiec w kierunku kościoła tą ścieżką w wąwozie przez Hawks Wood. Wszyscy inni zostają ze mną. Zablokujemy drogę obok domu tej Grey.

- Mamy ich więc w garści, pułkowniku - stwierdził Mallory.

- Jak cholera. Kiedy wszyscy będą na miejscach, dam wam sygnał przez polowy telefon. Wchodzimy wtedy do akcji i szybko się z nimi rozprawiamy.

Zapadła cisza. Przerwał ją sierżant Hustler.

- Niech pan wybaczy, pułkowniku, ale czy nie przydałoby się małe rozpoznanie? - Próbował się uśmiechnąć. - Jak słyszę, ci niemieccy spadochroniarze to nie nowicjusze.

- Hustler - powiedział chłodno Shafto. - Jak jeszcze raz zakwestionujecie mój rozkaz, wróćcie do stopnia szeregowca, i to tak szybko, że zapomnicie własnego imienia! - Prawy policzek zadrgał mu nerwowo, kiedy lustrował uważnie twarze zebranych podoficerów.- Czyżby wszystkim zabrakło odwagi?

- Oczywiście, że nie, sir - zapewnił go Mallory. - Jesteśmy z panem, pułkowniku.

- To i dobrze - powiedział Shafto - bo idę właśnie do nich z białą flagą.

- Chce pan ich więc namówić, żeby się poddali, sir?

- Mam to gdzieś, kapitanie. Jak ich zagadam, zajmiecie swoje pozycje. Od momentu kiedy wejdem na ten śmietnik, będziecie mieli dokładnie dziesięć minut, więc nie traćmy czasu.

Devlin poczuł się głodny. Odgrzał trochę zupy, usmażył jajko i włożył je między dwie grube kromki chleba, który upiekła dla niego Molly. Usiadł w fotelu przy kominku i zaczął jeść. Poczawszy na policzku chłodny powiew, zorientował się, że ktoś otworzył drzwi. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Molly koło siebie.

- A, jesteś? - powiedział wesoło. - Chciałem coś przekąsić, zanim pójde cię szukać. - Pokazał jej kanapkę. - Wiesz, że to wynalazek nie byle kogo, tylko pewnego lorda?

- Ty draniu!- zawołała.- Ty brudny wieprzu! Wykorzystałeś mnie! Rzuciła się na niego, jakby chciała wydrapać mu oczy. Chwycił ją za przeguby dłoni, próbując powstrzymać atak.

- O co chodzi? - zapytał z naciskiem. W głębi duszy znał jednak odpowiedź.

- Wiem już wszystko. Ten człowiek nie nazywa się Carter, tylko Steiner. On i jego ludzie to cholerni Niemcy, którzy chcą dostać w swoje ręce pana Churchilla. A ty jak się nazywasz? Założę się, że nie Devlin.

Odepchnął ją od siebie, żeby pójść po Bushmilles i szklanę.

- Nie, Molly, nazywam się inaczej. - Pokręcił głową. - Nie zamierzałem cię w to w żaden sposób wplątywać, moja kochana. Przypadkiem stanęłaś mi na drodze.

- Ty przekłety zdrajco!

Odezwał się z rozpaczą w głosie:

- Jestem Irlandczykiem, Molly, a to oznacza, że różnię się od ciebie tak samo, jak Niemiec od Francuza. Jestem cudzoziemcem. Nie można nas utożsamiać tylko dlatego, że oboje - choć z różnym akcentem - mówimy po angielsku. Kiedy się tego wreszcie nauczycie?

W jej wzroku pojawiło się niezdecydowanie, ale powtórzyła z uporem: - Zdrajca!

Na tle pobladłej twarzy Devlina jego oczy wydawały się intensywnie niebieskie. Podbródek miał wysunięty do przodu.

- Nie jestem zdrajcą, Molly. Jestem żołnierzem Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Sprawa, której służę, znaczy dla mnie równie wiele, co twoja dla ciebie.

Czuła w tym momencie, że musi go zranić, musi zadać mu ból, i miała na to sposób.

- No cóż, niewiele ci z tego przyjdzie ani twojemu przyjacielowi Steinerowi. Jest skończony... albo będzie niebawem. A ty zaraz potem.

- O czym ty mówisz?

- Pamela Yereker była ze mną w kościele, kiedy on i jego ludzie przyprowadzili tam jej brata i George'a Wilde'a. Podслуchałyśmy wystarczająco dużo, żeby poleciała jak na skrzydłach do Meltham po tych jankeskich komandosów.

Chwycił ją za ramiona.

- Kiedy to było?

- Idź do diabła!

- Powiedz mi, do cholery! - potrząsnął nią brutalnie.

- Przypuszczam, że już tam są. Gdyby wiatr wiał we właściwym kierunku, usłyszałbyś pewnie strzelaninę, więc nic już na to, do diaska, nie poradzisz, chyba że zwiejesz, póki masz jeszcze okazję.

Puścił ją, mówiąc z przekąsem:

- Pewnie, tak byłoby najrozsądniej, tyle że to nie w moim stylu.

Włożył czapkę i gogle, a potem trencz, który ściągnął paskiem.

Podszedł do kominka i sięgnął pod plik starych gazet za koszem z drwami. Leżały tam dwa ręczne granaty, które dał mu Ritter Neumann. Uzbroidł je i włożył ostrożnie za pazuchę. Do prawej kieszeni włożył mauzera, wydłużył też pasek od stena, zawieszając go sobie na szyi w taki sposób, by był niemal na wysokości pasa, dzięki czemu mógł, w razie potrzeby, strzelać z niego jedną ręką.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Molly.

- W dolinie śmierci, Molly ukochana, wjechało ludzi sześcuset... i tym podobne bzdury, które powtarzają od lat Brytyjczycy. - Nalał sobie szklanekę Bushmills i zobaczył na twarzy dziewczyny wyraz zdumienia. - Myślałaś, że ucieknę, gdzie pieprz rośnie, i zostawię Steinera w potrzebie? - Pokręcił głową. - Mój Boże, dziewczyno, a już myślałem, że mnie trochę znasz.

- Nie możesz tam jechać. - W jej głosie pobrzmiwała teraz panika. - Liam, będziesz bez szans. - Chwyciła go za rękę.

- Och, ale muszę to zrobić, króliczku. - Pocałował ją w usta i zdecydowanie odepchnął od siebie. Odwrócił się w drzwiach. - Jeśli chcesz wiedzieć, napisałem do ciebie list. Nie jest długi, niestety, ale gdyby cię to interesowało, znajdziesz go na kominku.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Molly stała bez ruchu jak skamieniała. Odgłos zapuszczanego silnika i odjeżdżającego motocykla zdawał się docierać do niej z innego świata.

Znalazła list i otworzyła go pospiesznie.

Moja najukochańsza Melly! Jak powiedział kiedyś pewien mędrzec, zaszła we mnie głęboka zmiana i wszystko jest inaczej, niż było. Trafiłem do Norfolk, żeby wykonać tu pewne zadanie, a nie zakochać się - pierwszy i ostatni raz w życiu - w brzydkiej, wiejskiej dziewczynie, która powinna wiedzieć, w co się pakuje. Wiesz już zapewne na mój temat wszystko, co najgorsze, ale postaraj się nie myśleć o mnie źle. To, że muszę cię opuścić, jest wystarczającą karą. Poprzestańmy na tym. Jak mówią w Irlandii, przeżyliśmy te dwa najważniejsze dni. Liam.

Molly miała w oczach łzy. Odczytywane słowa stały się niewyraźne. Wetknęła list do kieszeni i wyszła z domu chwiejnym krokiem. Koń przywiązany był do żelaznego pierścienia w murze. Odwiązała go pospiesznie i wdrapała się na grzbiet. Potem popędziła wierzchowca do galopu, uderzając go po szyi zaciśniętą pięścią. Wyjechawszy z grobli przecięła szosę, przeskoczyła przez żywopłot i najkrótszą drogą przez pola pognała do wioski.

Otto Brandt siedział na murku na moście i jakby nigdy nie palił papierosa.

- A więc co robimy, uciekamy?

- Dokąd? - Ritter spojrział na zegarek. - Za dwadzieścia piąta. Najpóźniej o wpół do siódmej powinno być ciemno. Jeśli doczekamy do tego czasu, moglibyśmy wymknąć się stąd jakoś po dwóch, trzech i dotrzeć przez pola do Hobs End. Może niektórym z nas udałoby się dostać na łódź.

- Możliwe, że pułkownik wymyśliłby coś innego - odezwał się sierżant Altmann.

Brandt skinął głową.

- Słusznie, tylko że go tu nie ma, więc wydaje mi się, że na razie powinniśmy raczej przygotować się do walki.

- Co wiąże się z pewną istotną kwestią - stwierdził Ritter. - Walczymy wyłącznie jako niemieccy żołnierze. To było ustalone od samego początku. Moim zdaniem czas już skończyć z pozorami.

Zdjął czerwony beret i skafander spadochroniarza, pod którym miał na sobie Fliegerbluse. Wyciągnął z kieszeni na biodrze Schiff, czyli furazerkę Luftwaffe, i nasadził ją

na głowę pod odpowiednim kątem.

- W porządku - powiedział do Brandta i Altmanna. - To dotyczy wszystkich, więc lepiej nie zwlekajcie.

Joanna Grey obserwowała całą scenę z okna sypialni i widok munduru Rittera sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Widziała, jak Altmann wchodził na pocztę. W chwilę później wyszedł stamtąd pan Turner. Minął most i zaczął iść pod górę do kościoła.

Ritter miał nie lada dylemat. Na ogół w podobnych okolicznościach nakazałby natychmiastowy odwrót, ale pozostawało pytanie, które zadał wcześniej Brandtowi: dokąd? Dwunastu ludzi, wliczając w to jego samego, musiało upilnować więźniów i utrzymać kontrolę nad wioską. To było niewykonalne. „Podobnie jak akcja na kanale Alberta i pod Eban Emael”. Tak powiedziałby Steiner. Uświadomił sobie, i to nie po raz pierwszy, jak bardzo z biegiem lat przywykł znajdować oparcie w Steinerze.

Spróbował ponownie wywołać go przez polowy telefon.

- Orzeł Jeden, zgłoś się - powiedział po angielsku. - Tu Orzeł Dwa.

Nie było odzewu. Oddał telefon szeregowemu Haglowi, który leżał na moście pod osłoną muru z lufą brena wystawioną przez otwór ściekowy, mając w zasięgu ognia spory obszar. Obok siebie ułożył starannie zapasowe magazynki. On również pozbył się czerwonego beretu i skafandra spadochroniarza. Miał na sobie Schiff i Fliegerbluse, pozostał jednak w spodniach o ochronnych barwach.

- Nic z tego, Herr Oberleutnant? - zapytał, a potem nagle znieruchomiał. - Zdaje mi się, że słyszę dżipa.

- Tak, ale jedzie z zupełnie niewłaściwego kierunku - odparł ponuro Ritter.

Przeskoczył przez mur obok Hagla, odwrócił się i zobaczył dżipa, wyłaniającego się zza narożnika domu Joanny Grey. Na końcu anteny radiowej powiewała biała chustka. W wozie siedział tylko kierowca. Ritter wyszedł zza muru i czekał, trzymając ręce na biodrach.

Shafto nie chciało się zakładać hełmu i był nadal w swej furażerce. Wyjął z kieszeni koszuli cygaro i włożył je między zęby, wyłącznie dla efektu. Zapalił je bez pośpiechu, po czym wysiadł z dżipa i ruszył przed siebie. Zatrzymał się jakieś dwa jardy od Rittera i przypatrywał mu się, stojąc w rozkroku.

Ritter zauważył naszywki na jego kołnierzu i służbiście zasalutował.

- Panie pułkowniku!

Shafto zasalutował także. Dostrzegł dwa Żelazne Krzyże, baretkę za Kampanię Zimową, srebrną odznakę za rany odniesione w walce, bojowe odznaczenie za wyróżniający się udział w akcjach naziemnych i odznakę sprawności spadochroniarza. Zrozumiał, że ten

młody człowiek o wyglądzie żółtodzioba to zaprawiony w boju weteran.

- A więc koniec z udawaniem, Herr Oberleutnant? Gdzie jest Steiner? Niech mu pan powie, że chciałby z nim rozmawiać pułkownik Robert E. Shafto, dowódca Dwudziestej Pierwszej Wspecjalizowanej Jednostki Szturmowej.

- Ja tu dowodzę, Herr Oberst. Musi pan rozmawiać ze mną. Shafto dostrzegł lufę brena, wystającą przez otwór ściekowy w murku, potem przeniósł wzrok w kierunku poczty i na pierwsze piętro Studley Arms z otwartymi na oścież dwoma oknami sypialni. Ritter zapytał uprzejmie:

- Coś jeszcze, pułkowniku, czy też zobaczył pan już dostatecznie dużo?

- Co się stało ze Steinerem? Zostawił was tutaj, czy co? - Ritter nie odpowiadał, więc Shafto mówił dalej: - No dobrze, synu. Wiem, ile masz ze sobą ludzi, i jeżeli będę musiał ściągnąć tu swoich chłopców, nie wytrzymacie nawet dziesięciu minut. Może okażesz się rozsądny i rzucisz ręcznik na ring?

- Bardzo mi przykro - odparł Ritter - ale, prawdę mówiąc, wyjeżdżałem w takim pośpiechu, że zapomniałem włożyć go do torby.

Shafto strzepnął popiół z cygara.

- Dziesięć minut. Tylko tyle wam daję. Potem wchodzimy.

- A ja daję panu dwie minuty, pułkowniku - powiedział Ritter - żeby wyniósł się pan stąd do diabła, zanim moi ludzie otworzą ogień.

Rozległ się metaliczny szczęk odbezpieczanej broni. Shafto spojrział w górę na okna i rzekł ponuro:

- W porządku, synku, sam tego chciałeś.

Rzucił cygaro, wdepnął je starannie w ziemię, po czym podszedł z powrotem do dżipa i usiadł za kierownicą. Kiedy odjeżdżał, sięgnął po mikrofon polowego radia.

- Tu Cukier Jeden. Dwadzieścia sekund. Odliczam. Dziewiętnaście, osiemnaście, siedemnaście...

Doliczył do dwunastu, kiedy mijał dom Joanny Grey, a przy dziesięciu zniknął za zakrętem drogi.

Joanna obserwowała go z okna sypialni, gdy odjeżdżał, po czym odwróciła się i weszła do gabinetu. Otworzyła zamaskowane drzwi do kryjówki na poddaszu, zamknęła je za sobą i przekreśliła klucz w zaniku. Poszła po schodach na górę, usiadła przy radiu, wyjęła z szuflady luger i położyła go na stole, w zasięgu ręki. To dziwne, ale mimo zaistniałej sytuacji wcale nie odczuwała strachu. Sięgnęła po butelkę szkockiej, a kiedy nalewała sobie do szklanki dużą porcję, na dworze zaczęła się strzelanina.

Pierwszy dżip drużyny Shafto wyskoczył zza narożnika, wyjeżdżając na prostą. Znajdowało się w nim czterech ludzi. Dwóch stojących z tyłu obsługiwało maszynowego browninga. Kiedy mijali ogród koło domu sąsiadów Joanny Grey, Dinter i Berg podnieśli się równocześnie. Dinter trzymał na ramieniu lufę brena, a Berg strzelał. Długa seria zwała z nóg obsługę browninga. Dżip przeskoczył przez pobocze i przeokołkował, lądując do góry kołami w strumieniu.

Następny dżip zjechał gwałtownie w bok, zataczając łuk na porośniętym trawą brzegu, i niewiele brakowało, a wpadłby również do wody. Berg przesunął lufę brena, strzelając nadal krótkimi seriami. Jeden z ludzi obsługujących kaem wypadł z dżipa, zanim pojazd, z rozbitą przednią szybą, znalazł schronienie za rogiem.

Dinter i Berg nauczyli się na gruzach Stalingradu, że w takich sytuacjach istota sukcesu polega na tym, by uderzyć i szybko zniknąć. Wyszli natychmiast przez kutą z żelaza bramę i pod osłoną żywopłotów, wyznaczających granice ogrodów za domami, udali się z powrotem w kierunku poczty.

Shafto, który widział pogrom swoich ludzi, stojąc na wzniesieniu w lesie koło drogi, zazgrzytał zębami z wściekłości. Stało się nagle oczywiste, że Ritter pozwolił mu zobaczyć dokładnie tyle, ile jego zdaniem powinien był ujrzeć.

- Do cholery, ten bękart chciał wpuścić mnie w maliny - powiedział cicho.

Ostrzelany przed chwilą dżip zatrzymał się na poboczu drogi przed wozem numer trzy. Kierowca miał paskudnie rozciętą twarz. Sierżant nazwiskiem Thomas zakładał mu prowizoryczny opatrunek. Shafto krzyknął do niego:

- Na litość boską, sierżancie, czym wy się teraz zabawiacie? W ogrodzie o dwa domy stąd stoi za murem kaem. Weźcie trzech ludzi i zajmijcie się nim!

Krukowski, który stał za nim z połowym telefonem, wyraźnie się skrzywił. „Pięć minut temu było nas trzynastu. Teraz zostało dziewięciu. Co on wyprawia, do cholery?”

Z drugiej strony wsi dochodziły odgłosy ostrej strzelaniny. Shafto podniósł do oczu lornetkę, ale zobaczył jedynie zakręt drogi za mostem i dach młyna, wystający zza ostatnich zabudowań.

Strzelił palcami. Krukowski podał mu telefon.

- Mallory, słyszysz mnie? - Mallory odpowiedział błyskawicznie:

- Tak jest, pułkowniku.

- Co się tam u góry dzieje, do diabła? Spodziewałem się już waszego triumfalnego powrotu.

- Ustawili cekaem w młynie na pierwszym piętrze. Wali jak cholera. Załatwili nam

jednego dżipa. Blokuje teraz przejazd. Straciłem już czterech ludzi.

- Wiec strać jeszcze paru - wrzasnął do telefonu Shafto. - Dostań się tam, Mallory. Wykurzcie ich ogniem. Za wszelką cenę!

Kiedy Shafto próbował skontaktować się z drugą drużyną, strzelanina przybrała jeszcze bardziej na sile.

- To wy, Hustler?

- Mówi Hustler, pułkowniku. - Jego głos był ledwo słyszalny.

- Spodziewałem się, że o tej porze zobaczę was już na wzgórzu koło kościoła.

- Nie poszło nam łatwo, pułkowniku. Pojechaliśmy najpierw przez pola, tak jak pan mówił, i utknęliśmy w bagnie. Teraz zbliżamy się dopiero do południowego krańca Hawks Wood.

- Więc pospieszcie się, na litość boską! - Oddał telefon Krukowskiemu.

- Chryste! - powiedział rozgoryczony. - Na nikim nie można polegać. Kiedy przychodzi co do czego i trzeba coś porządnie zrobić, zawsze sam muszę wszystkiego dopilnować!

Ześlizgnął się do rowu w momencie, gdy wrócił sierżant Thomas i trzech ludzie, których zabrał ze sobą.

- Nie ma o czym meldować, panie pułkowniku.

- Jak to nie ma o czym meldować?

- Nikogo tam nie znaleźliśmy, sir, tylko to. - Thomas pokazał całą garść łusek kalibru .303.

Shafto wytrącił mu je gwałtownie z ręki na ziemię.

- Dobra, niech oba dżipy pojedą przodem. Przydzielę dwóch ludzi do każdego browninga. Chcę, żeby ten most był do przebycia. Macie położyć taką zaporę ogniową, żeby nawet źdźbło trawy nie mogło się podnieść.

- Ale, panie pułkowniku... - próbował mu przerwać Thomas.

- A wy weźcie czterech ludzi i idźcie za domy. Macie uderzyć od tyłu na tę pocztę koło mostu. Krukowski zostanie ze mną. - Walnął z całej siły dłonią w maskę dżipa. - A teraz jazda!

Otto Brandt miał ze sobą w młynie kaprała Walthera, Meyera i Riedla. Miejsce nadawało się idealnie do obrony: stare, kamienne mury miały około trzech stóp grubości, a dębowe drzwi na dole były zaryglowane i wzmocnione metalowymi sztabami. Okna na pierwszym piętrze dawały znakomite pole ostrzału i Brandt kazał tam ustawić brena.

W dole płonął ciągle dżip, blokując drogę. Jeden człowiek był nadal w środku, dwaj

inni leżeli rozciągnięci w rowie. Brandt załatwił dżipa osobiście. Początkowo nie dawał znaku życia, pozwalając, by nacierający Mallory i jego ludzie znaleźli się bliżej, i dopiero w ostatniej chwili rzucił z okna na poddaszu dwa granaty. Skutki były katastrofalne. Amerykanie, ukryci za żywopłotem przy drodze, odpowiedzieli zmasowanym ogniem, ale ponieważ strzelali do potężnych kamiennych murów, dało to znikome rezultaty.

- Nie mam pojęcia, kto nimi dowodzi, ale nie zna się na rzeczy- zauważył Walther, ładując ponownie swoje M1.

- A co ty byś zrobił? - zapytał Brandt, kierując lufę brena na cel i wypuszczając krótką serię.

- Przepływa tędy strumień, prawda? Z tamtej strony nie ma okien. Powinni zająć nas od tyłu.

Brandt podniósł rękę. - Przerwać ogień!

- Dlaczego? - spytał Walther.

- Bo i oni przestali strzelać. Czyżbyś tego nie zauważył? Zapanowała grobowa cisza.

Brandt powiedział półgłosem:

- To chyba niemożliwe, ale bądźcie gotowi.

W chwilę później rozległ się bojowy okrzyk i Mallory, razem z ośmioma czy dziewięcioma ludźmi, wyskoczył z ukrycia i pobiegł do następnego rowu, strzelając po drodze z biodra. Zakrawało to na szaleństwo, mimo że zza żywopłotu ubezpieczały ich ogniem browningów załogi dwóch ocalałych dźlpów.

- Mój Boże! - odezwał się Brandt. - Czy im się wydaje, że są nad Sommą?

Niemal od niechcenia posłał długą serię w kierunku Mallory'ego i zabił go na miejscu. Kiedy wszyscy Niemcy otworzyli ogień, padło jeszcze trzech ludzi. Jeden z nich zdołał się podnieść i dotrzeć chwiejnym krokiem za najbliższy żywopłot, w ślad za wycofującymi się kolegami.

Korzystając z chwili spokoju, Brandt sięgnął po papierosa.

- To już siedmiu. Nawet ośmiu, jeżeli liczyć tego, który dowlókl się za żywopłot.

- To szaleńcy - podsumował Walther. - Samobójcy. Dlaczego tak im się spieszy?

Przecież wystarczyłoby zaczekać.

Kane i pułkownik Corcoran siedzieli w dżipie, stojącym na szosie dwieście jardów od bramy wjazdowej do Meltham House, i patrzyli na strzaskany słup telefoniczny.

- Wielki Boże! - odezwał się Corcoran. - To nie do wiary! Po co on to zrobił, do diabła?

Kane mógłby mu to wyjaśnić, ale się powstrzymał.

- Nie wiem, pułkowniku - odparł. - Może chodziło o bezpieczeństwo. Na pewno pilno mu było dobrać się do tych spadochroniarzy.

Z głównej bramy wyłonił się dżip i podjechał w ich kierunku. Za kierownicą siedział Garvey. Zatrzymał się z zatroskaną twarzą.

- Dostaliśmy właśnie wiadomość przez radio.

- Od Shafto? - Garvey pokręcił głową.

- Niech pan sobie wyobrazi, że od Krukowskiego. Chciał rozmawiać osobiście z panem, majorze. Mają tam niezły kocioł. Twierdzi, że wdepnęli w sam środek. Naokoło pełno trupów.

- A Shafto?

- Krukowski był wyraźnie wzburzony. Powtarzał w kółko, że pułkownik zachowuje się jak szaleniec. Nie wszystko, co mówił, miało sens.

„Dobry Boże - pomyślał Kane - chce wziąć ich szarżę, z proporcami trzepoczącymi na wietrze”.

- Chyba powinienem tam pojechać, pułkowniku - powiedział do Corcorana.

- Też tak myślę - odparł Corcoran. - Zostawi pan, oczywiście, odpowiednią ochronę premierowi.

Kane zwrócił się do Garveya.

- Jakie wozy mamy jeszcze w bazie?

- Białego skauta i trzy dżipy.

- Dobrze, weźmiemy je, a do tego dwudziestu ludzi. Za pięć minut bądźcie gotowi do drogi, sierżancie.

Garvey wykręcił sprawnie dżipa i szybko odjechał.

- Zostaje panu w ten sposób dwudziestu pięciu ludzi, sir - powiedział Kane do Corcorana. - Czy to wystarczy?

- Razem ze mną dwudziestu sześciu - odparł Corcoran. - To w sam raz, zwłaszcza że przejmę, oczywiście, dowództwo. Już pora, żeby ktoś przywołał was, mieszkańców kolonii, do porządku.

- Wiem, sir - stwierdził Harry Kane włączając silnik. - Od czasu Bunker Hill jesteśmy pełni kompleksów.

Puścił sprzęgło i ruszył w drogę.

Rozdział XVIII

Steiner był jeszcze dobre półtorej mili od wioski, kiedy usłyszał po raz pierwszy natarczywe brzęczenie elektronicznego sygnalizatora w polowym telefonie Graumana. Ktoś próbował się z nim połączyć, ale odległość była zbyt duża, by dało się go usłyszeć.

- Dodaj gazu - powiedział do Klugla. - Coś jest nie w porządku. Kiedy byli milę od celu, odległy terkot ręcznej broni potwierdził jego najgorsze obawy. Odbezpieczył stena i spojrzał na Wenera.

- Miej broń w pogotowiu. Możesz jej potrzebować.

Klugl rozpedził dżipa do maksymalnej szybkości, dociskając do oporu pedał gazu.

- Szybciej, do cholery! Szybciej! - krzyczał Steiner.

Brzęk telefonu zamilkł, kiedy więc zbliżyli się do wioski, Steiner próbował sam nawiązać kontakt.

- Tu Orzeł Jeden. Orzeł Dwa, zgłoś się.

Nie było odpowiedzi. Spróbował ponownie - z podobnym skutkiem.

- Może są zbyt zajęci, Herr Oberst - stwierdził Klugl.

W chwilę później znaleźli się trzysta jardów na zachód od położonego na wzgórzu kościoła, wjeżdżając na szczyt przez wrzosowisko Garrowby. Rozciągał się stamtąd widok na całą okolicę. Steiner podniósł do oczu lornetkę. Zobaczył młyn, a za nim ludzi Mallory'ego. Przesuwając lornetkę zauważył amerykańskich komandosów, schowanych za żywoplotami na tyłach poczty i Studley Arms. Ritter i młody Hagl siedzieli za mostem, przyparci do muru silnym ogniem maszynowych browningów, strzelających z dwóch ocalałych dżipów drużyny Shafto. Jeden z nich ustawiono przy murze ogrodu Joanny Grey, dzięki czemu obsługa karabinu mogła strzelać z góry, mając zarazem dobrą osłonę. W drugim dżipie zastosowano tę samą technikę, korzystając z muru sąsiedniego domu.

Steiner spróbował ponownie nawiązać kontakt przez polowy telefon.

- Tu Orzeł Jeden. Czy mnie słyszycie?

Jego głos dotarł przez trzeszczącą słuchawkę do ucha Riedla, który siedział w młynie na pierwszym piętrze, i korzystając z tego, że strzelanina na chwilę ucichła, włączył radiotelefon.

- To pułkownik - krzyknął do Brandta, po czym odezwał się do słuchawki. - Tu Orzeł Trzy z młyna. Gdzie pan jest?

- Na wzgórzu nad kościołem - powiedział Steiner. - Co u was? Przez pozbawione szyb

okna wleciało kilka kul, odbijając się rykoszetem od ściany.

- Daj mi go! - zawołał Brandt, rozplaszczony na podłodze za swoim brenem.

- Jest na wzgórzu - oznajmił Riedel. - Może pan być spokojny, że Steiner wyciągnie nas z tego gówna. - Podczołgał się do drzwi na poddaszu, które wychodziły na młyńskie koło, i otworzył je jednym kopnięciem.

- Wracaj! - zawołał Brandt.

Riedel przykucnął, żeby wyrzeć na zewnątrz. Zaśmiał się nerwowo i podniósł do ust radiotelefon.

- Widzę was, Herr Oberst, jesteście...

Na zewnątrz rozległ się jazgot broni maszynowej. Przez dziurę w tyle czaszki Riedla bryzgnęła na ścianę krwawa miazga. Zleciał z poddasza głową w dół, kurczowo zaciskając w ręce połowy telefon.

Brandt rzucił się do otwartych drzwi i wyrzwał ostrożnie na zewnątrz. Riedel spadł na młyńskie koło. Obracało się nadal, ciągnąc go w dół, w spienioną wodę. Kiedy wykonało pełny obrót, Riedla już nie było.

Stojący na wzgórzu Werner dotknął ramienia Steinera.

- W dole, Herr Oberst, w lesie po prawej. Żołnierze.

Steiner przesunął lornetkę. Patrząc z wysokości wzgórza mógł obserwować środkowy odcinek ścieżki, biegnącej wąwozem przez Hawks Wood. Szli po niej sierżant Hustler i jego ludzie.

Steiner podjął decyzję i zaczął działać.

- Wygląda na to, że znów jesteśmy Fallschirmjäger, chłopcy.

Odrzucił czerwony beret, odpiął pas z browniegiem w kaburze, a potem zdjął skafander spadochroniarza. Pod spodem miał Fliegerbluse z Krzyżem Rycerskim i Liśćmi Dębu pod szyją. Wyjął z kieszeni furazerkę i nacisnął ją mocno na czoło. Klugl i Werner poszli za jego przykładem.

- No dobrze, chłopcy, teraz nasz wielki występ. Prosto ścieżką przez las, potem na drugą stronę strumienia, żeby zamienić parę słów z tymi facetami z dżipów. Jeżeli się pospieszycie, Klugl, powinno wam się udać. A potem do Oberleutnanta Neumanna. - Spojrzał na Wenera. - I nie przerywajcie ognia. Za nic w świecie.

Kiedy zbliżali się już do kościoła, dżip jechał z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Przed kruchtą stał kapral Becker. Cofnął się zaniepokojony. Steiner dał mu znak ręką, a Klugl skrzywił dżipem na ścieżkę prowadzącą przez Hawks Wood.

Podskoczyli na niewielkim wzniesieniu, wpadli w zakręt między stromymi ścianami

wąwozu i zaraz potem, w odległości najwyżej dwudziestu jardów, zobaczyli Hustlera i jego ludzi, rozstawionych po obu stronach drogi. Werner zaczął strzelać z bliska, mając zaledwie kilka sekund na i wycelowanie, zanim wjechali w nich dżipem. Amerykanie próbowali ocalić życie, wspinając się na strome ściany wąwozu. Przednie koło wozu podskoczyło, przejeżdżając kogoś. Pomknęli dalej, pozostawiając za sobą sierżanta Horace'a Hustlera i jego siedmiu ludzi, martwych lub umierających.

Dżip pojawił się jak błyskawica u wylotu leśnego traktu. Klugl zgodnie z rozkazem pędził dalej przez szeroką na cztery stopy kładkę nad strumieniem, łamiąc jak zapalki poręcze z nie ociosanych pali i na pełnym gazie wjechał po skarpie na szosę. Kiedy wóz przeskakiwał przez krawędź drogi, wszystkie cztery koła oderwały się od ziemi.

Dwaj ludzie obsługujący karabin maszynowy w dżipie, który stał ukryty za murem ogrodu Joanny Grey, odwrócili gwałtownie swego browninga, ale było już za późno, gdyż Werner długą serią z automatu zwałił ich z nóg.

Dzięki temu jednak, że zginęli, załoga drugiego dżipa, ustawionego przy murze sąsiedniego ogrodu, zyskała dwie czy trzy bezcenne sekundy - sekundy, które wyznaczały granicę między życiem i śmiercią. Odwrócili browninga i strzelali już, gdy Klugl zakręcił i zaczął jechać z powrotem w kierunku mostu.

Teraz przyszła kolej na Amerykanów. Przymykając obok nich, Werner puścił krótką serię i trafił jednego z kaemistów, ale drugi nadal strzelał z browninga. Kule podziurawiły dżipa Niemców, rozbijając przednią szybę. Klugl krzyknął przeraźliwie i osunął się na kierownicę. Dżip zjechał gwałtownie z drogi i uderzył w mur na skraju mostu. Przez chwilę jakby na nim zawisł, a potem przewrócił się wolno na bok.

Klugl leżał skulony wewnątrz dżipa. Werner przykucnął obok niego. Na zranionej odłamkiem szkła twarzy miał krew. Spojrzał na Steinera.

- Nie żyje, Herr Oberst - powiedział, patrząc dzikim wzrokiem. Sięgnął po stena i próbował wstać. Steiner powstrzymał go.

- Weź się w garść, chłopcze. On zginął, ale ty żyjesz. - Werner machinalnie skinął głową.

- Tak, Herr Oberst.

- Ustaw tego browninga i nie daj im wytchnąć.

Odwróciwszy się, Steiner zobaczył Rittera Neumanna, który wyczołgał się zza muru, trzymając w rękach breń.

- Musieliście zrobić tam niezłe piekło.

- Jedna z ich drużyn szła lasem w kierunku kościoła - powiedział Steiner. - Niezłe ich

urządziliśmy. Co z Haglem?

- Załatwili go, niestety. - Neumann wskazał głową na wystające zza muru buty Hagla.

Werner ustawił tymczasem browninga obok dżipa i zaczął strzelać krótkimi seriami.

- No dobrze, Herr Oberleutnant - odezwał się Steiner. - Co właściwie chcieliście mi powiedzieć?

- Za godzinę powinno być ciemno - oznajmił Ritter. - Myślałem, żeby przeczekać do tego czasu i wymknąć się stąd po dwóch, trzech. Pod osłoną nocy moglibyśmy przycząić się na bagnach w Hobs End i dostać mimo wszystko na łódź, jeśli Koenig przybędzie zgodnie z planem. Tak czy inaczej, nie uda nam się już podejść naszego staruszka. - Zawahał się, dodając z zakłopotaniem: - To daje nam przynajmniej jakąś szansę.

- Jedyńą - powiedział Steiner. - Ale nie tutaj. Myślę, że pora znów się przegrupować. Gdzie są wszyscy?

Ritter zorientował go z grubsza w sytuacji, a kiedy skończył, Steiner skinął głową.

- Po drodze tutaj udało mi się nawiązać łączność z tymi z młyna. Wywołałem przez radiotelefon Riedla i całą lawinę ognia. Skontaktuj się z Altmannem i jego chłopakami, a ja spróbuję połączyć się z Brandtem.

Werner osłaniał Ritтера, kiedy Oberleutnant przebiegał na drugą stronę drogi. Steiner starał się wywołać Brandta przez radiotelefon, ale nic z tego nie wyszło. Kiedy Neumann wyłonił się z budynku poczty z Altmannem, Dinterem i Bergiem, koło młyna wybuchła ostra strzelanina.

Przykucnęli za murem mostu.

- Brandt nie odpowiada - oznajmił Steiner. - Bóg jeden wie, co się dzieje. Chcę, żebyście schronili się wszyscy w kościele. Idąc wzdłuż żywopłotu będziecie mieli dobrą osłonę przez większą część drogi. Przejmujesz dowodzenie, Ritter.

- A co z panem?

- Postrzelam trochę z browninga, żeby ich zająć, a potem pójdę za wami.

- Ale, Her Oberst... - zaczął Ritter. Steiner nie dał mu dokończyć.

- Żadnego ale. Dzisiaj ja będę odgrywał bohatera. A teraz wynoście się stąd wszyscy do diabła. To rozkaz!

Ritter zawahał się, ale tylko przez moment. Skinął na Altmanna, po czym przemknął obok dżipa i przebiegł przez most, chowając się za murem. Steiner przycupnął za brownikiem i zaczął strzelać.

Aby znaleźć się pod osłoną żywopłotu po drugiej stronie mostu, należało pokonać pas wolnej przestrzeni, szeroki najwyżej na dwadzieścia pięć stóp. Ritter, przyklękając na kolanie,

powiedział:

- Nie możemy wyskakiwać pojedynczo, bo kiedy ten facet przy kaemie zobaczy pierwszego z nas, będzie już czekał na następnych. Jak wam powiem, biegniemy wszyscy razem.

W chwilę później wyskoczył z ukrycia i popędził na drugą stronę drogi, pokonując otwartą przestrzeń i wpadając za żywoplot. Altmann deptał mu po piętach, a pozostali biegli za nimi. Amerykański kapral, który obsługiwał browninga na drugim końcu wsi, nazywał się Bleeker. W lepszych czasach był rybakiem w Cape Cod. W owym momencie tracił niemal przytomność z bólu, gdyż tuż pod prawym okiem utkwiał mu odłamek szkła. Pałał nienawiścią do Shafto za to, że znalazł się w takim położeniu, ale gotów był wyładować się na kimkolwiek. Zobaczywszy przebiegających przez drogę Niemców obrócił browninga, ale spóźnił się. Wściekły i zawiedziony, wygarnął serię w żywoplot.

W chwilę przedtem przebiegający tamtędy Berg potknął się i upadł, a Ditner odwrócił się, żeby mu pomóc.

- Daj rękę, ofermo - powiedział. - Znowu chodzisz jak łajza.

Berg podniósł się i wtedy obaj zginęli przeszyeci kulami, które poszarpały żywoplot i rzuciły ich na łąkę w ostatnich, obłąkańczych płasach. Werner odwrócił się z krzykiem, ale Altmann chwycił go za ramię i popchnął za Ritterem.

Brandt i Meyer zobaczyli, co zdarzyło się na łące, przez znajdujące się nad młyńskim kołem drzwi poddasza.

- A więc sprawa jest jasna - stwierdził Meyer. - Wygląda na to, że zostaniemy tu na zawsze.

Brandt patrzył, jak Ritter, Altmann i Briegel biegli z wysiłkiem wzdłuż długiego żywoplotu, a potem przedostali się przez mur na dziedziniec kościoła.

- Udało im się - powiedział. - Cudom nie ma końca.

Poszedł do Meyera, który siedział oparty o skrzynię na środku podłogi. Dostał postrzał w żołądek. Spod rozchylonej bluzy widać było tuż pod pępkiem paskudną ranę o spuchniętych, sinych brzegach.

- Niech pan spojrzy - powiedział. Miał na twarzy krople potu. - Przynajmniej nie tracę krwi. Matka zawsze powtarzała, że mam piekielne szczęście.

- Zauważyłem to. - Brandt włożył Meyerowi papierosa do ust, ale zanim zdążył go zapalić, na zewnątrz znowu zaczęła się strzelanina.

Shafto przycupnął pod ścianą ogrodu przed domem Joanny Grey, wstrząśnięty nowinami, jakie przyniósł mu właśnie jeden z niedobitków drużyny Hustlera. Wyglądało to

na totalną katastrofę. W niewiele ponad pół godziny co najmniej dwudziestu dwóch ludzi zostało zabitych lub rannych. Więcej niż połowa grupy, którą miał pod swoją komendą. Konsekwencje tego były zbyt przerażające, by się nad nimi zastanawiać.

Krakowski, przykucnąwszy za nim z polowym telefonem, odezwał się:

- Co zamierza pan zrobić, pułkowniku?

- Jak to, co ja zamierzam zrobić? - spytał Shafto. - Jak przychodzi co do czego, wszystko zwała się na mnie. Starczy zostawić robotę innym, ludziom bez poczucia dyscypliny i obowiązku, i oto skutki.

Oparł się o mur i popatrzył w górę. W tym właśnie momencie zza zasłony w sypialni wyjrzała Joanna Grey. Cofnęła się natychmiast, ale było już za późno. Shafto warknął groźnie.

- Mój Boże, Krakowski, ten przeklęty, zakłamany babsztyl jest jeszcze w domu!

Wskazał na okno u góry, zrywając się na nogi.

- Nikogo nie widzę, sir- powiedział Krakowski.

- Zaraz zobaczysz, chłopcze! - krzyknął Shafto, wyciągając colta z perłową rękojeścią.

- Chodźmy! - zawołał i pobiegł ścieżką w kierunku wejścia.

Joanna Grey zamknęła na klucz zamaskowane drzwi i weszła szybko po schodach do kryjówki na poddaszu. Usiadła przy radiu i zaczęła nadawać na częstotliwości Landsvoort. Słyszała hałasy na dole. Shafto otwierał gwałtownie drzwi i przewracał meble, przetrząsając cały dom. Był już bardzo blisko, gdyż odgłosy jego kroków dochodziły z gabinetu. Usłyszała wyraźnie, jak wchodząc na schody krzyknął z furją:

- Ona musi gdzieś tu być! Z dołu dobiegł go głos:

- Hej, pułkowniku, w piwnicy był zamknięty pies. Pędzi teraz do pana na górę jak nietoperz z piekła.

Joanna Grey sięgnęła po luger i odbezpieczyła go, nie przerywając nadawania. Shafto stał z boku schodów, kiedy Patch śmignął obok niego. Wszedł za psem do gabinetu i zobaczył, jak drapie boazerię w kącie.

Przyjrzał się jej szybko i zauważył od razu niewielką dziurkę od klucza.

- Jest tutaj, Krukowski! - W jego głosie brzmiała dzika, prawie szaleńcza radość. - Mam ją!

Oddał z bliska trzy strzały w okolice dziurki od klucza. Posypały się drzazgi, zamek puścił i drzwi same otworzyły się na oścież, akurat w chwili, gdy do pokoju wszedł Krukowski z gotowym do strzału M1.

- Spokojnie, sir.

- Jestem spokojny, do cholery. - Shafto zaczął wchodzić po schodach, trzymając przed sobą colta. Patch przemknął obok. - Wylaż stamtąd, suko!

Kiedy wystawił głowę nad podłogę, Joanna Grey strzeliła mu między oczy. Zwalił się po schodach z powrotem do gabinetu. Krukowski wystawił za róg lufę swojego M1 i opróżnił magazynek na osiem naboń w takim tempie, że brzmiało to jak jedna nieprzerwana seria. Zaskowyczał pies, rozległ się odgłos padającego ciała, a potem zapanowała cisza.

Devlin podjechał pod kościół w chwili, gdy Ritter, Altmann i Werner Briegel biegli między nagrobkami w kierunku kruchty. Skręcili w jego stronę, kiedy zatrzymał się koło cmentarnej bramy.

- Mamy poważne kłopoty - oznajmił Ritter. - A pułkownik jest jeszcze koło mostu.

Devlin spojrzał w dół na wieś, gdzie Steiner nadal strzelał z browninga z uszkodzonego dżipa. Ritter chwycił go za ramię i wskazał na coś ręką.

- Mój Boże, niech pan patrzy, co tam jedzie!

Devlin odwrócił się i na zakręcie drogi za domem Joanny Grey zobaczył białego skauta i trzy dżipy. Dodał gazu, uśmiechając się szeroko.

- No tak, jeżeli tam od razu nie pojedę, potem może być za późno. Popędził po zboczu i skręcił ślizgiem na Łąkę Staruszki. Przejechał tylko parę jardów po ścieżce, a potem wybrał najkrótszą drogę przez pole w kierunku kładki nad tamą. Kilka razy maszyna odrywała się od ziemi, podskakując na kępach trawy. Ritter obserwował Devlina spod cmentarnej bramy, nie mogąc się nadziwić, że ten nie spada z siodełka.

Nagle Oberleutnant odruchowo uskoczył, kiedy kula odłupała kawałek drewna obok jego głowy. Schował się za mur razem z Wernerem i Altmannem. Odpowiedzieli ogniem, kiedy pozostali przy życiu żołnierze z drużyny Hustlera, przegrupowawszy się w końcu, dotarli na skraj lasu naprzeciwko kościoła.

Devlin przemknął przez kładkę i wjechał na leśny trakt po drugiej stronie. Był pewien, że koło drogi są jacyś ludzie. Wyciągnął z płaszcza jeden z granatów i wyrwał zębami zawleczkę. Nagle wyjechał z lasu. Na skraju stał na trawie dżip, a siedzący w nim ludzie odwrócili się zaniepokojeni.

Rzucił za siebie granat jakby od niechcienia i wyjął następny. Kiedy pierwszy eksplodował, cisnął drugi w kierunku żywopłotu po lewej, za którym kryli się jeszcze amerykańscy komandosi. Potem pojechał dalej drogą obok młyna i skręcił za róg, zatrzymując się z poślizgiem koło mostu, gdzie Steiner nadal siedział skulony przy kaemie. Steiner nie odezwał się ani słowem. Po prostu wstał i trzymając browninga w obu rękach opróżnił jedną długą serią magazynek, strzelając z taką zaciekłością, że kapral Bleeker w

panice szukał schronienia za ogrodowym murem. W tej samej chwili Steiner odrzucił browninga na bok i wskoczył na tylne siodełko motocykla. Devlin ruszył z kopyta, skręcił na most i zaczął pięć się pod górę, gdy zza narożnika domu Joanny Grey wyłonił się biały skaut. Harry Kane podniósł się i zobaczył, jak odjeżdżają.

- A cóż to było, do cholery? - zapytał Garvey.

Kapral Bleeker wypadł z dżipa i z zakrwawioną twarzą podszedł chwiejnym krokiem w ich kierunku.

- Czy jest tu gdzieś lekarz, sir? Straciłem chyba prawe oko. Nic nie widzę.

Ktoś wyskoczył, żeby go podtrzymać, a Kane przyglądał się pobojowisku we wsi.

- Pomyłony, tępy sukinsyn - wyszeptał. Krukowski wyszedł przez furtkę od frontu i zasalutował.

- Gdzie pułkownik? - spytał Kane.

- Nie żyje, sir. Jest w tym domu, na górze. Zastrzeliła go dama, która tu mieszkała.

Kane pospiesznie wyszedł z wozu.

- Gdzie ona jest?

- Ja... ja ją zabiłem, majorze- odparł Krukowski ze łzami w oczach. Kane nie potrafił nic na to odpowiedzieć. Poklepał Krukowskiego po ramieniu i poszedł ścieżką w kierunku domu.

Kiedy Devlin i Steiner dotarli na szczyt wzgórza, Ritter i jego dwaj towarzysze nadal ostrzeliwali zza muru ukrytych w lesie Amerykanów. Irlandczyk wrzucił luz, zdjął nogę z gazu i z rozpędu skręcił w odpowiednim momencie, by przemknąć przez bramę na ścieżkę prowadzącą do kruchty. Ritter, Altmann i Werner wycofywali się spokojnie pod osłoną nagrobków i w końcu dotarli bezpiecznie do przedsionka kościoła, nie ponosząc dalszych strat.

Drzwi otworzył im kapral Bleeker. Kiedy weszli do środka, zatrzęsął je i zaryglował. Na zewnątrz z nową siłą rozgorzała strzelanina. Mieszkańcy wsi skupili się w jednym miejscu, zdenerwowani i zatrwożeni. Philip Yereker, z twarzą pobladłą z wściekłości, pokuśtykał Devlinowi na spotkanie.

- Jeszcze jeden przekłety zdrajca! - Devlin szeroko się uśmiechnął.

- No, proszę- powiedział. - Jak to miło znaleźć się znów wśród przyjaciół.

W młynie panował spokój.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Walther.

- Taki już jesteś - skwitował Brandt. Nagle zmarszczył brwi. - Co się dzieje?

Usłyszeli nadjeżdżający pojazd. Brandt usiłował wyrzeć na drogę przez drzwi w

poddaszu, ale natychmiast znalazł się pod obstrzałem. Wycofał się, po czym zapytał:

- Jak tam Meyer?

- Chyba nie żyje.

Brandt sięgnął po papierosa, nasłuchując odgłosu zbliżającego się pojazdu.

- I pomyśleć tylko - powiedział. - Kanał Alberta, Kreta, Stalingrad... a gdzie wypadło nam skończyć tę podróż? W Studley Constable. - Zapalił papierosa.

Biały skaut jechał co najmniej czterdziestką, kiedy Garvey skręcił gwałtownie kierownicę i samochód, rozbijając wrota, wpadł do młyna. Kane stał z tyłu wozu i strzelał z przeciwlotniczego browninga w drewnianą podłogę poddasza. Potężne pociski kaliber .50 przebijały z łatwością deski, rozrywając je na strzępy. Słyszał okrzyki bólu, ale ostrzeliwał całą podłogę tak długo, aż pojawiły się w niej ogromne, prześwitujące dziury.

W jednym z otworów ukazała się zakrwawiona ręka. Zapanowała zupełna cisza. Garvey wziął od jednego z ludzi thompsona, zeskoczył na ziemię i wszedł na górę po drewnianych schodkach w rogu. Wrócił prawie natychmiast.

- Już po wszystkim, majorze.

Harry Kane był błądy, ale całkowicie nad sobą panował.

- W porządku - odparł. - A teraz do kościoła.

Molly dotarła na wrzosowisko Garrowby akurat w momencie, gdy na wzgórze wjeżdżał dżip z przywiązaną do anteny białą chusteczką. Zatrzymał się przy cmentarnej bramie. Wysiedli z niego Kane i Dexter Garvey. Kiedy szli ścieżką przez kościelny dziedziniec, Kane odezwał się cicho:

- Patrzcie uważnie, sierżancie. Postarajcie się zapamiętać to miejsce.

- Tak jest, panie majorze.

Drzwi kościoła otworzyły się i z kruchty wyszedł Steiner. Devlin stał za nim, oparty o ścianę, paląc papierosa. Harry Kane służbiście zaszalutował.

- Spotkaliśmy się już, pułkowniku.

Zanim Steiner zdążył odpowiedzieć, Philip Yereker odepchnął stojącego przy drzwiach Beckera i kuśtykając podszedł do nich.

- Panie Kane, gdzie jest Pamela? Nic się jej nie stało?

- Wszystko w porządku, ojciec - odparł Kane. - Została w Meltham House.

Yereker odwrócił się do Steinera ze ściągniętą gniewem, mocno pobladałą twarzą. W oczach miał błysk triumfu.

- Ładnie was urządziła, prawda, Steiner? Gdyby nie ona, mogło wam się udać.

Steiner odpowiedział spokojnie:

- To dziwne, jak różnie postrzegamy sprawy w zależności od punktu widzenia. Sądziłem, że przegraliśmy, ponieważ niejaki Karl Sturm poświęcił życie, aby uratować dwoje dzieci. - Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Kane'a. - Co mogę dla pana zrobić?

- To chyba oczywiste. Poddać się. Dalszy rozlew krwi jest bezcelowy. Ludzie, których zostawił pan w młynie, nie żyją. Pani Grey również.

Yereker chwycił go za ramię.

- Pani Grey zginęła? Jak to się stało?

- Zabiła pułkownika Shafto, kiedy próbował ją aresztować, a potem sama została zastrzelona. - Yereker odszedł z wyrazem cierpienia na twarzy, Kane powiedział zaś do Steinera: - Został pan zupełnie sam. Premier jest w Meltham House z obstawą, jakiej w życiu jeszcze nie miał. To już koniec.

Steiner pomyślał o swoich ludziach. Brandt, Walther, Meyer, Gerhard Klugl, Dinter i Berg... Skinął głową. Był bardzo blady.

- Kapitulacja na honorowych warunkach?

- Żadnych warunków! - Yereker krzyknął tak głośno, jakby wzywał niebiosa. - Ci ludzie przybyli tutaj w brytyjskich mundurach. Czy muszę panu o tym przypominać, majorze?

- Ale w nich nie walczyli - wtrącił Steiner. - Walczyliśmy tylko jako niemieccy żołnierze, w niemieckich mundurach. Jako Fallschirmjäger. Wszystko inne było zgodne z regułami „ruse de guerre”.

- I stanowiło bezpośrednie naruszenie Konwencji Genewskiej - powiedział Yereker - która nie tylko wyraźnie zakazuje noszenia w czasie wojny munduru wroga, ale również przewiduje za to karę śmierci. Steiner dostrzegł wyraz twarzy Kane'a i lekko się uśmiechnął.

- Niech się pan nie przejmuj, majorze. To nie pańska wina. Te reguły gry, i co tam jeszcze... - Odwrócił się do Yerekera. - No cóż, ojciec, ten twój Bóg ma bardzo gniewne oblicze. Zdaje się, że chciałby ojciec zatańczyć na moim grobie.

- Niech cię piekło pochłonie, Steiner! - Yereker wychylił się do przodu i podniósł laskę, by go uderzyć, potknął się jednak o poły długiej sutanny, a upadając uderzył głową o krawędź nagrobka.

Garvey przyklęknął obok niego i pobieżnie go obejrzał.

- Stracił przytomność - oznajmił podnosząc wzrok. - Ktoś powinien go jednak zbadać. We wsi mamy dobrego lekarza.

- Oczywiście, zabierzcie go - odparł Steiner. - Zabierzcie ich wszystkich.

Garvey spojrział na Kane'a, a potem podniósł Yerekera i zaniósł go do dziupa.

- Uwolni pan mieszkańców wioski?

- To chyba oczywiste, skoro następne starcie wydaje się nieuniknione. - Steiner sprawiał wrażenie lekko rozbawionego. - Czyżby pan sądził, że zrobimy z nich zakładników albo ruszymy do walki, pędząc przed sobą kobiety? Jak barbarzyńscy Hunowie? Przykro mi, ale sprawię panu zawód. - Odwrócił się. - Wypuście ich, Becker. Wszystkich.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i mieszkańcy wioski zaczęli zwartą grupą opuszczać kościół. Na czele szedł Laker Armsby. Prawie wszystkie kobiety, wychodząc pośpiesznie, zносиły się płaczem. Betty Wilde z Grahamem szła na końcu, a Ritter Neumann podtrzymywał jej męża, który wyglądał na oszołomionego i chorego. Garvey przybiegł z powrotem i chwycił go pod ramię. Betty Wilde wzięła za rękę Grahama i odwróciła się do Rittera.

- Nic mu nie będzie, pani Wilde - uspokoił ją młody Oberleutnant. - Przykro mi z powodu tego, co się stało. Proszę mi wierzyć.

- Nie ma o czym mówić - odparła. - To nie pańska wina. Mógłby pan coś dla mnie zrobić? Proszę mi powiedzieć, jak pan się nazywa.

- Neumann - odpowiedział. - Ritter Neumann.

- Dziękuję - odrzekła krótko. - Przepraszam za to wszystko, co mówiłam. - Odwróciła się do Steinera. - I chcę podziękować panu i pańskim ludziom za Grahama.

- To dzielny chłopiec - stwierdził Steiner. - Bez wahania skoczył do wody. Do tego trzeba odwagi, a odwaga nigdy nie przestaje być w modzie.

Chłopiec wpatrywał się w niego.

- Dlaczego jest pan Niemcem? - zapytał. - Czemu nie jest pan po naszej stronie?

Steiner roześmiał się w głos.

- Niech go pani lepiej stąd zabierze, zanim zupełnie mnie przekabaci - powiedział do Betty Wilde.

Wzięła chłopca za rękę i pośpiesznie odeszła. Za murem schodziła ze wzgórza gromada kobiet. W tym momencie z leśnego traktu Hawks Wood wyłonił się biały skaut. Kiedy stanął, jego działko przeciwlotnicze i cekaem zostały wycelowane w stronę kościoła.

Steiner pokiwał głową z grymasem na twarzy.

- A więc, majorze, ostatnia odsłona. Niech rozpocznie się bitwa. - Zasalutował i wszedł z powrotem do kruchty, gdzie stał Devlin, przysłuchujący się bez słowa całej ich rozmowie.

- Chyba nigdy dotąd nie był pan taki milczący - stwierdził Steiner. Devlin uśmiechnął się szeroko.

- Prawdę mówiąc, przychodzą mi do głowy tylko słowa „na pomoc!” Czy mogę pójść się pomodlić?

Molly, mając na wrzosowisku dogodny punkt obserwacyjny, zobaczyła, jak Devlin znika ze Steinerem w kruchcie, i serce skoczyło jej do gardła. „O Boże - pomyślała. - Muszę coś zrobić!” Zerwała się na równe nogi w tej samej chwili, gdy kilkunastu amerykańskich komandosów, z potężnym czarnoskórym sierżantem na czele, wyskoczyło z lasu na drogę, na tyle daleko od kościoła, by nie było ich widać. Pobiegli z powrotem wzdłuż muru i przez boczną furtkę dostali się do ogrodu przy plebanii.

Nie weszli jednak do budynku. Przekradli się przez mur na cmentarz, podchodząc do kościoła od strony wieży, i zaczęli się posuwać w kierunku kruchty. Potężny sierżant niósł na ramieniu zwój liny. Molly widziała, jak uchwyciwszy się rynny na kościelnej kruchcie podciągnął się w górę, a potem wdrapał się po winorośli na blaszany dach, który był o piętnaście stóp wyżej. Kiedy tam dotarł, rozwinął linę i rzucił jeden jej koniec na dół. Pozostali Amerykanie zaczęli wspinać się za nim.

Molly, podjąwszy nagle decyzję, wskoczyła na siodło i popędziła konia przez wrzosowisko, skręcając w las za plebanią.

W kościele było bardzo zimno. Panujący mrok rozjaśniały tylko płomyki świec i czerwona lampka sanktuarium. Zostało ich ośmiu: oprócz Devlina, Steiner i Ritter, Werner Briegel, Altmann, Jansen, kapral Becker oraz Preston. Był tam również, o czym żaden z nich nie wiedział, Arthur Seymour, który - pozostawiony własnemu losowi przez umykających z kościoła ludzi - leżał nadal ze związanymi rękami i nogami obok Sturma w mrocznej kaplicy Najświętszej Marii Panny. Udało mu się oprzeć plecami o ścianę, a teraz próbował uwolnić przeguby rąk, wbijając dziwny, pełen wściekłości wzrok w Prestona.

Steiner sprawdził drzwi na wieżę i do zakrystii. Wyglądały na zamknięte. Potem zajrzał za zasłonę u stóp wieży. Liny dzwonów, nie używanych od 1939 roku, biegły w górę do otworów położonej na wysokości trzydziestu stóp drewnianej podłodze.

Steiner zawrócił i podszedł do swoich ludzi.

- No cóż, mogę wam tylko zaproponować dalszą walkę.

- To absurd! - odezwał się Preston. - Jak możemy walczyć? Oni mają ludzi i sprzęt. Kiedy zaczną na dobre, nie utrzymamy się tutaj nawet przez dziesięć minut.

- To całkiem proste - stwierdził Steiner. - Nie mamy wyboru. Jak słyszeliście, zgodnie z Konwencją Genewską naraziliśmy się na poważne ryzyko nosząc brytyjskie mundury.

- Walczyliśmy jako niemieccy żołnierze - upierał się Preston. - W niemieckich mundurach. Sam pan tak twierdził.

- To śliska sprawa - odparł Steiner. - Nawet mając dobrego obrońcę bałbym się o swoją głowę. Lepiej teraz zginąć od kuli, niż stanąć potem przed plutonem egzekucyjnym.

- Nie wiem, o co ci właściwie chodzi, Preston - odezwał się Ritter. - Ciebie i tak czeka z pewnością londyńskie więzienie w Tower. Obawiam się, że Anglicy nigdy nie darzyli szczególnymi względami zdrajców. Powieszą cię tak wysoko, że nawet kruki do ciebie nie dolecą.

Preston usiadł ciężko na ławce, chwytając się rękami za głowę. Nagle zabrzmiały organy i usłyszeli wołanie Hansa Altmanna, który siedział wysoko nad stallami chóru:

- To preludium do chorału Jana Sebastiana Bacha. Szczególnie stosowne w naszej sytuacji, bo nosi tytuł „Dla umierających”.

Popłynęła muzyka, a śpiew Altmanna wypełnił cały kościół. - Ach wie nichtig, ach wiefluchtig... Ach, jak zwodnicze, ach, jak krótkie są mijające dni...

Nagle w jednym z okien głównej nawy trzasnęła szyba. Altmann, powalony serią z automatu, spadł z krzesła między stalle chóru. Werner odwrócił się skulony, strzelając ze stena. Jeden z Amerykanów runął z okna głową w dół i wylądował między dwoma ławkami. W tej samej chwili rozbito jeszcze kilka okien i kościół zalała lawina pocisków. Werner dostał w głowę, kiedy biegł wzdłuż południowej nawy. Upadł twarzą do ziemi, nie zdążywszy nawet krzyknąć. Z góry ktoś strzelał bez opamiętania z thompsona.

Steiner podczołgał się do Wenera i odwrócił go, a potem ruszył dalej, przemykając chyłkiem na schody prezbiterium, by sprawdzić, co z Altmannem. Wrócił przez południową nawę, chowając się za ławkami, gdyż strzelanina nie ustawała.

Devlin podczołgał się do niego.

- Jak tam?

- Altmann i Briegel nie żyją.

- Ale jatka! - powiedział Irlandczyk. - Jesteśmy bez szans. Ritter dostał w nogi, a Jansen nie żyje.

Steiner podczołgał się razem z nim na tył kościoła. Ritter leżał za ławkami, zawiązując sobie na udzie połowy opatrunek. Obok niego przycupnęli Preston i kapral Becker.

- W porządku, Ritter? - spytał Steiner.

- Zabraknie im odznaczeń dla rannych, Herr Oberst. - Ritter wyszczerzył zęby w uśmiechu, najwyraźniej jednak bardzo cierpiał.

Z góry nadal strzelano, Steiner wskazał więc głową na ledwo widoczne w półmroku wejście do zakrystii i powiedział do Beckera:

- Spróbuj przestrzelić te drzwi. Tutaj nie pociągniemy długo, to pewne.

Becker skinął głową i nisko pochylony zniknął w półmroku za chrzcielnicą. Kiedy sten z tłumikiem zaczął strzelać, słychać było tylko ów dziwny metaliczny trzask poruszającego się rygla. Pchnięte nogą drzwi zakrystii otworzyły się na oścież.

Strzelanina ustała nagle i z góry rozległo się wołanie Garveya:

- Ma pan już dosyć, pułkowniku? To jest jak strzelanie do ryb w beczce i wolałbym tego nie robić, ale jeżeli nas zmusicie, wyniesiemy was stamtąd nogami do przodu.

W tym momencie Preston załamał się, skoczył na równe nogi i podbiegł do chrzcielnicy.

- Wychodzę! Mam już dość!

- Ty draniu! - krzyknął Becker, wyskakując z półmroku przed drzwi zakrystii i trzasnął Prestona w skroń kolbą karabinu. U góry zaterkotał thompson. Była to tylko krótka seria, ale Becker, trafiony w plecy, wleciał głową w zasłony u podnóża wieży. Umierając chwycił się lin, jakby mogło mu to ocalić życie, i gdzieś w górze, po raz pierwszy od lat, zabrzmiał donośny głos dzwonu.

Znów zapadła cisza, a po chwili Garvey zawołał:

- Pięć minut, pułkowniku!

- Lepiej zabierajmy się stąd - powiedział półgłosem Steiner do Devlina. - W zakrystii będziemy bezpieczniejsi.

- Jak długo? - spytał Devlin.

Nagle usłyszeli ciche, tajemnicze skrzypienie. Wyteżywszy wzrok

Devlin zobaczył, że ktoś stoi u wejścia do zakrystii, której uszkodzone drzwi raptownie się otworzyły. Znajomy głos wyszeptał: - Liam?

- O Boże! - powiedział do Steinera. - To Molly! Jak ona się tu znalazła, do diabła? - Podczołgał się do niej po podłodze i po chwili był już z powrotem. - Chodźmy! - powiedział, biorąc Rittera pod lewe ramię. - Ta mała pomoże nam się stąd wydostać. Postawmy go na nogi i ruszajmy, póki ci faceci na dachu jeszcze czekają.

Prowadząc Rittera między sobą, przemknęli chyłkiem do zakrystii. Molly czekała obok ukrytych w boazerii drzwi. Kiedy przez nie przeszli, zamknęła je, a potem poprowadziła ich w dół po schodach i wzdłuż korytarza.

Kiedy wyszli do holu na plebanii, było tam zupełnie cicho.

- Co dalej? - zapytał Devlin. - Ritter jest w takim stanie, że nie zajdziemy z nim daleko.

- Z tyłu na dziedzińcu stoi samochód ojca Yereker - powiedziała Molly.

Steiner, coś sobie nagle przypomniawszy, włożył rękę do kieszeni.

- A ja mam do niego kluczyki.

- Niech pan będzie rozsądny - odezwał się Ritter. - Jak tylko włączy pan silnik, zaraz zwali się tu chmara Amerykanów.

- Z tyłu jest brama - powiedziała Molly. - A obok żywopłotu biegnie polna droga. Wspólnymi siłami możemy popchnąć tego Morrisa jakieś dwieście jardów. To nic wielkiego.

Znajdowali się o sto pięćdziesiąt jardów dalej, na skraju pierwszej łąki, kiedy w kościele znów rozgorzała strzelanina. Dopiero wówczas Steiner włączył silnik i trzymając się polnych dróg, które wskazywała Molly, pojechał w kierunku nadmorskiej szosy.

Kiedy ukryte drzwi w zakrystii zamknęły się z lekkim trzaskiem, w kaplicy Najświętszej Marii Panny coś się poruszyło. Arthur Seymour, uwolniwszy ręce z więzów, podniósł się z podłogi. Nie czyniąc hałasu powłókł się wzdłuż północnej nawy. W lewej ręce trzymał zwój liny, którą Preston związał mu nogi.

W kościele było już zupełnie ciemno. Jedyne oświetlenie stanowiły świece przy ołtarzu i lampka sanktuarium. Seymour nachylił się nad Prestonem, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha, a następnie podniósł go i zarzucił na swe potężne ramię. Potem odwrócił się i poszedł wzdłuż głównej nawy w kierunku ołtarza.

Siedzący na dachu Garvey zaczynał się już niepokoić. W kościele panowały takie ciemności, że nie było kompletnie nic widać. Strzelił palcami, żeby podano mu polowy telefon, i połączył się z Kane'em, który siedział przy bramie w białym skaucie.

- Cicho tu jak w grobowcu, panie majorze. Wcale mi się to nie podoba.

- Spróbujcie puścić serię. Zobaczymy, co będzie - odparł Kane. Garvey wetknął w okno lufę thompsona i zaczął strzelać. Nie było reakcji. Wtem żołnierz z prawej strony chwycił go za ramię.

- Panie sierżancie, tam koło ambony chyba ktoś się rusza. Garvey zaryzykował i zapalił latarkę. Młody szeregowiec po jego prawej krzyknął z przerażenia. Garvey szybko przesunął snop światła wzdłuż północnej nawy, a potem zameldował przez telefon:

- Nie wiem, co się dzieje, majorze, ale niech pan lepiej wchodzi do akcji.

W chwilę później seria z thompsona strzaskała zamek w głównych drzwiach. Otworzyły się z łoskotem, a Harry Kane z kilkunastoma gotowymi do akcji komandosami wbiegł do środka. Nie znaleźli jednak ani Steinera, ani Devlina. Był tam tylko Arthur Seymour. Klęczał w pierwszej ławce i w migotliwym świetle świec wpatrywał się w potwornie spuchniętą twarz Harveya Prestona, powieszoną za szyję na belce.

Rozdział XIX

Premier zarezerwował dla siebie bibliotekę, której okna wychodziły na taras z tyłu domu w Meltham. Kiedy Harry Kane wyszedł stamtąd o wpół do ósmej, Corcoran już na niego czekał.

- No i co powiedział?

- Bardzo go to zainteresowało - odparł Kane. - Chciał znać szczegóły całej potyczki. Zdaje się, że jest pełen podziwu dla Steinera.

- Tak jak my wszyscy. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie on się teraz podziewa. I gdzie jest ten pieprzony Irlandczyk.

- Na pewno nigdzie w pobliżu domu, w którym mieszkał. Przed pójściem do biblioteki dostałem przez radio raport od Garveya. Wygląda na to, że kiedy poszli sprawdzić dom Devlina, czekało tam już na niego dwóch inspektorów z Wydziału Specjalnego.

- Wielki Boże! - powiedział Corcoran. - Jak oni, u licha, do niego dotarli?

- Policja robiła jakieś dochodzenie. Tak czy inaczej, jest mało prawdopodobne, żeby się tam teraz pojawił. Garvey został w okolicy i organizuje blokadę nadmorskiej szosy, ale to wszystko, co możemy zrobić, dopóki nie dostaniemy posiłków.

- Niech mi pan wierzy, drogi chłopcze, że już nadchodzą - zapewnił Corcoran. - Odkąd wasi ludzie naprawili linie telefoniczne, miałem kilka dłuższych rozmów z Londynem. W ciągu najbliższych dwóch godzin całe północne Norfolk powinno zostać otoczone szczelnym kordonem wojska. Do rana na prawie całym tym obszarze zacznie praktycznie obowiązywać stan wyjątkowy. I tak już będzie, dopóki nie złapią Steinera.

Kane pokiwał głową.

- Nie ma mowy, żeby zdołał zbliżyć się do premiera. Obstawiałem drzwi i taras. Po ogrodzie kręci się ponad dwudziestu zamaskowanych ludzi z thompsonami w rękach. Powiedziałem im wyraźnie, że mają najpierw strzelać, a potem zastanowimy się, jak wyjaśnić ewentualne wypadki.

Otworzyły się drzwi i wszedł młody kapral, niosąc dwie zapisane na maszynie kartki papieru.

- Mam już kompletne listy, jeśli chce je pan zobaczyć, majorze. Wyszedł, a Kane rzucił okiem na pierwszą kartkę.

- Poprosili ojca Yerekera i kilku mieszkańców wsi o zidentyfikowanie poległych Niemców.

- Jak czuje się ksiądz? - spytał Corcoran.

- Przeżył wstrząs, ale poza tym chyba nic mu nie jest. Twierdzą, że nie brakuje nikogo, z wyjątkiem Steinera, jego zastępcy Neumanna, no i oczywiście Irlandczyka. Pozostałych czternastu zginęło.

- Chciałbym wiedzieć, jak udało im się uciec, do cholery.

- No cóż, po przestrzeleniu drzwi schronili się w zakrystii, żeby Garvey i jego ludzie nie mogli trafić ich z dachu. Moim zdaniem Pamela i Molly Prior wychodziły przez ten podziemny korytarz w takim pośpiechu, że sekretne przejście pozostało nie domknięte.

- O ile wiem, panna Prior robiła słodkie oczy do tego łajdaka Devlina - powiedział Corcoran. - Może ma z tym coś wspólnego?

- Nie sądzę. Pamela twierdzi, że ta mała była naprawdę wzburzona z powodu całej sprawy.

- Przypuszczam - odparł Corcoran. - A co ze stratami po waszej stronie?

Kane spojrzał na drugą listę.

- Łącznie z Shafto i kapitanem Mallory: dwudziestu jeden zabitych i ośmiu rannych. - Pokręcił głową. - Z czterdziestu osób. Będzie piekielna afera, kiedy to się rozejdzie.

- Jeżeli się rozejdzie.

- Jak to?

- Londyn dał już jasno do zrozumienia, że nie należy temu nadawać rozgłosu. Przede wszystkim nie chcą niepokoić ludzi. Niech pan pomyśli: niemiecka jednostka Fallschirmjäger ląduje w Norfolk, żeby porwać premiera. W dodatku są cholernie bliscy osiągnięcia celu. A co z tym Niezależnym Korpusem Brytyjskim? Anglicy w SS! Może pan sobie wyobrazić, jak to wyglądałoby w gazetach? - Wzdrygnął się na samą myśl. - Sam bym tego drania powiesił.

- Całkiem pana rozumiem.

- Proszę na to spojrzeć z punktu widzenia Pentagonu. Najbardziej elitarna amerykańska jednostka szturmowa trafiła na garstkę niemieckich spadochroniarzy i traci siedemdziesiąt procent żołnierzy!

- Sam już nie wiem - Kane pokręcił głową. - Trudno oczekiwać, że ludzie będą milczeć.

- Jest wojna, Kane - stwierdził Corcoran. - A w czasie wojny ludzi można zmusić do posłuchu. To dość oczywiste.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał młody kapral.

- Znowu dzwoni Londyn, panie pułkowniku.

Corcoran wyszedł pospiesznie, a Kane podążył za nim. Kiedy znalazł się za

frontowymi drzwiami i minął stojących na schodach wartowników, zapalił ukrytego w dłoni papierosa. Padał ulewny deszcz i było bardzo ciemno, spacerując jednak po tarasie przed domem czuł zapach wiszącej w powietrzu mgły. Może Corcoran miał rację? Mogło stać się tak, jak mówił. Podczas wojny świat jest wystarczająco szalony, by uwierzyć we wszystko.

Kane zszedł po schodach i w tej samej chwili ktoś chwycił go od tyłu za szyję, wbijając kolano w plecy. W ciemnościach błysnął nóż. Jakiś głos powiedział:

- Nazwisko i stopień.

- Major Kane.

Na moment zapaliło się światło latarki.

- Proszę wybaczyć, sir. Kapral Bleeker.

- Powinniście leżeć w łóżku, Bleeker. Jak oko?

- Założyli mi pięć szwów, majorze, ale wszystko będzie w porządku. Pójdę dalej, jeśli pan pozwoli.

Zniknął w mroku, a Kane, patrząc za nim, powiedział cicho:

- Chyba już nigdy, do końca moich dni, nie nauczę się rozumieć bliźnich.

Według komunikatu biura prognoz, w rejonie Morza Północnego wiatr wiał z siłą trzech - czterech stopni, padał ulewny deszcz, a mgła miała utrzymać się do rana. Łódź torpedowa przybyła o czasie. Przed ósmą mieli już za sobą zaminowany akwen i płynęli głównym szlakiem żeglugowym wzdłuż wybrzeża.

Muller stał za sterem. Koenig podniósł wzrok znad mapy, na której wyznaczał pieczołowicie kurs statku.

- Jesteśmy dziesięć mil na wschód od półwyspu Blakeney, Erich. Muller skinął głową, wpatrując się w ciemność za dziobem statku.

- Ta mgła wcale nam nie pomaga.

- No, nie wiem - odparł Koenig. - Może jeszcze zmienisz zdanie, zanim wrócimy.

Drzwi otworzyły się raptownie i wszedł Teusen, główny radiotelegrafista. Trzymał w ręku depezę.

- Wiadomość z Landsvoort, Herr Leutnant.

Wyciągnął rękę. Koenig odebrał komunikat i przeczytał go w świetle lampy nad stołem z mapą. Wpatrywał się w tekst przez dłuższą chwilę, a potem zgniótł kartkę w prawej dłoni.

- O co chodzi? - spytał Muller.

- Orzeł zginął. Reszta to tylko słowa.

Przez chwilę panowało milczenie. Deszcz bębnił w okno.

- A jakie rozkazy dla nas? - spytał Muller.

- Postępować według własnego uznania. - Koenig pokręcił głową. - I pomyśleć tylko: pułkownik Steiner, Ritter Neumann, wszyscy ci wspaniali ludzie...

Po raz pierwszy od dzieciństwa miał ochotę się rozplakać. Otworzył drzwi i wpatrywał się w ciemność. Deszcz smagał go po twarzy.

- Oczywiście zawsze istnieje szansa, że któremuś z nich się uda - powiedział ostrożnie Muller. - Jednemu albo dwóm... Wie pan, jak to jest.

Koenig zatrzasnął drzwi.

- To znaczy, że mimo wszystko chcesz tam płynąć? - Muller nie musiał nawet odpowiadać. Koenig odwrócił się do Teusena. - Ty także?

- Znamy się od dawna, Herr Leutnant - odparł Teusen. - Jeszcze nigdy nie pytałem, dokąd płyniemy.

Koeniga ogarnęło radosne podniecenie. Poklepał Teusena po plecach.

- W porządku, wyślij więc wiadomość.

W ciągu południa i wieczoru stan Radia stopniowo się pogarszał, mimo nalegań Witt nie chciał jednak położyć się do łóżka. Od ostatniego komunikatu Joanny Grey nie ruszył się z pokoju łączności. Leżał w starym fotelu, który przyniósł mu Witt, i czekał, aż radiooperator nawiąże kontakt z Koenigiem. Ból w klatce piersiowej nie tylko się wzmógł, ale objął również lewą rękę. Nie był głupcem i dobrze wiedział, o czym to świadczy. Nie miało to jednak znaczenia. Nic już nie miało znaczenia.

Pięć minut przed ósmą radiooperator odwrócił się z triumfalnym uśmiechem na ustach.

- Złapałem ich, Herr Oberst. Wiadomość przyjęta i zrozumiana.

- Dzięki Bogu! - powiedział Radl, próbując otworzyć papierośnicę. Palce odmawiały mu jednak posłuszeństwa i Witt musiał mu pomóc.

- Został tylko jeden, Herr Oberst - oznajmił, wyjmując nietypowy rosyjski papieros i wkładając Radlowi do ust.

Radiooperator zapisywał coś zapamiętałe w notesie. Po chwili wyrwał kartkę i odwrócił się.

- Jest odpowiedź, Herr Oberst.

Radl miał dziwne zawroty głowy i zaburzenia wzroku.

- Niech pan to przeczyta, Witt - poprosił.

- Mimo wszystko udajemy się do gniazda. Pisklęta mogą potrzebować pomocy. Życzę szczęścia. - Witt był wyraźnie skonsternowany. - Po co on to dodał, Herr Oberst?

- Bo bystry z niego chłopak i domyśla się, że będę potrzebował szczęścia nie mniej niż on. - Pokręcił powoli głową. - Skąd biorą się ci nasi chłopcy? Tyle ryzykują, poświęcając wszystko i właściwie po co? Witt wydawał się zakłopotany.

- Herr Oberst, proszę... Radl uśmiechnął się.

- Drogi przyjacielu, wszystko, co dobre, wcześniej czy później się kończy, tak jak ten mój ostatni rosyjski papieros. - Odwrócił się do radiooperatora i zebrał się w sobie, żeby załatwić coś, co odkładał już co najmniej od dwóch godzin. - Połącz mnie z Berlinem.

Za Hobs End, po drugiej stronie głównej drogi, stał na skraju lasu przy wschodniej granicy Prior Farm rozsypujący się wiejski domek. Można tam było ukryć Morrisa.

Kwadrans po siódmej Devlin i Steiner zostawili Rittera pod opieką Molly i poszli lasem na ostrożny rekonesans. Właśnie wtedy zobaczyli, że Garvey i jego ludzie jadą groblą w kierunku wiejskiego domku. Wycofali się przez las i przycupnęli pod osłoną muru, by zastanowić się nad sytuacją.

- Nie za dobrze się dzieje - stwierdził Devlin.

- Nie ma potrzeby wracać na farmę. Można przejść pieszo przez bagno i zdążyć w porę na plażę - zauważył Steiner.

- Po co? - Devlin westchnął. - Muszę przyznać się do czegoś strasznego, pułkowniku. Wychodziłem w tak cholernym pośpiechu, że zostawiłem radiotelefon na dnie torby z ziemniakami, która wisi za drzwiami w kuchni.

Steiner zaśmiał się cicho.

- Nie ma pan sobie równych, przyjacielu. Bóg musiał chyba od razu zniszczyć formę, z której pana wyjął.

- Wiem - powiedział Devlin. - Piekielnie ciężko z tym żyć. Ale wracając do naszej sytuacji: bez radiotelefonu nie mogę skontaktować się z Koenigiem.

- Sądzi pan, że inaczej nie przypłynie?

- Taka była umowa. Mieli czekać na nasz meldunek między dziewiątą a dziesiątą. I jeszcze jedno. Joanna Grey - bez względu na to, co się z nią stało - mogła wysłać jakąś wiadomość do Landsvoort. Jeżeli Radl przekazał ją Koenigowi, on i jego chłopcy są już być może w drodze do domu.

- Nie - odparł Steiner. - Nie sędzę. Koenig przypłynie. Nawet jeśli nie dostanie pańskiego sygnału, będzie na tej plaży.

- Niby dlaczego?

- Bo tak mi powiedział - odparł po prostu Steiner. - Jak pan więc widzi, można sobie poradzić bez radiotelefonu. Nawet jeśli Amerykanie przeczeszą teren, nie będą zawracali

sobie głowy plażą, bo jak wynika ze znaków, jest zaminowana. Dotarłszy tam w porę można przy obecnym poziomie morza przejść co najmniej ćwierć mili wzdłuż ujścia rzeki.

- Z Ritterem? W jego stanie?

- Potrzebny mu tylko kij i ramię, na którym mógłby się oprzeć. W Rosji szedł kiedyś przez trzy dni osiemdziesiąt mil po śniegu z kulą w prawej nodze. Kiedy człowiek wie, że pozostając w jakimś miejscu zginie, koncentruje cały wysiłek na tym, by ruszyć w drogę. Zaoszczędzicie sporo czasu, wychodząc Koenigowi naprzeciw.

- Nie idzie pan z nami. - Było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

- Chyba pan wie, przyjacielu, dokąd muszę pójść. - Devlin westchnął.

- Zawsze uważałem, że należy każdemu pozwolić iść do piekła wybraną przez siebie drogą, ale w pańskim wypadku mam ochotę zrobić wyjątek. Nawet się wspan do niego nie zbliży. Kręci się przy nim więcej żołnierzy niż much przy słoiku dżemu w upalny dzień.

- Mimo wszystko muszę spróbować.

- Dlaczego? Sądzi pan, że pomoże w ten sposób swojemu ojcu? Nie ma się co łudzić. Powiedzmy to sobie szczerze. Nie jest pan w stanie mu pomóc, jeżeli ten stary skurwysyn z Prinz Albrechtstrasse zadecyduje inaczej.

- Tak, zapewne ma pan rację. Myślę, że zawsze byłem tego samego zdania.

- Dlaczego więc pan to robi?

- Bo nie umiem inaczej.

- Nie rozumiem.

- Chyba jednak pan rozumie. A ta gra, w której pan uczestniczy? Trąbki na wietrze, trójkolorowa flaga trzepocząca dumnie szarym świtem? Niech żyje Republika! Proszę przypomnieć sobie Wielkanoc 1916 roku. Ale niech mi pan powie jedno, przyjacielu. Czy w sumie panujecie nad przebiegiem tej gry, czy też ona was opętała? Możecie ją przerwać, kiedy chcecie, czy musi już zawsze trwać? Trencze, thompsony, życie za Irlandię - aż do dnia, gdy kończy się w rynsztoku z kulą w plecach?

- Bóg to wie, ale nie ja - odparł ochryple Devlin.

- A ja wiem, przyjacielu. A teraz powinniśmy chyba wrócić do naszych. Niech pan im, oczywiście, nie mówi nic o moich planach. Z Ritterem mogłyby być kłopoty.

- W porządku - odparł niechętnie Devlin.

Wrócili po ciemku do zniszczonego domu, gdzie Molly zmieniała właśnie Ritterowi opatrunek na udzie.

- Jak się czujesz? - spytał Steiner.

- Świetnie - odparł Ritter, ale kiedy Steiner przyłożył mu rękę do czoła, było mokre od

potu.

Molly podeszła do Devlina, który schował się przed deszczem w rogu pod murem, paląc papierosa.

- Kiepsko z nim - stwierdziła. - Moim zdaniem potrzebny mu lekarz.

- Równie dobrze można posłać po grabarza - powiedział Devlin. - Nim się nie przejmuj. Teraz martwię się o ciebie. Po dzisiejszej nocy możesz mieć poważne kłopoty.

Było jej to dziwnie obojętne.

- Nikt nie widział, jak wyprowadzałam cię z kościoła. Nikt nie udowodni, że to zrobiłam. Myślą pewnie, że siedzę zmoknięta na wrzosowisku i wypłakuję oczy, dowiedziawszy się prawdy o swoim kochanku.

- Na litość boską, Molly!

- Powiedzą: biedna, głupia kurewka. Poparzyła sobie palce i dobrze jej tak, bo nie należy ufać obcym.

- Nawet ci nie podziękowałam - powiedział z zakłopotaniem.

- Nieważne. Nie zrobiłam tego dla ciebie, tylko dla siebie. - Pod wieloma względami była prostą dziewczyną i było jej z tym dobrze. Teraz jednak, bardziej niż kiedykolwiek, chciała wyrazić dokładnie to, co myśli. - Kocham cię, co wcale nie oznacza, że podoba mi się to, kim jesteś i co zrobiłeś, albo że przynajmniej to rozumiem. Te dwie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego. Miłość to osobna sprawa. Ma swoje własne miejsce. Z tego właśnie powodu pomogłam ci dzisiaj wydostać się z kościoła. Nie dlatego, że było to słuszne czy niesłuszne. Po prostu nie potrafiłabym żyć ze świadomością, że stałam z boku i pozwoliłam ci zginąć. - Uwolniła się z jego objęć. - Sprawdzę lepiej, jak się czuje porucznik.

Odeszła w kierunku samochodu, a Devlin z wysiłkiem przełknął ślinę. Czyż to nie było dziwne? Usłyszał najwspanialszą w życiu mowę od dziewczyny, którą można by wysławiać pod niebiosa, a chciało mu się płakać w poczuciu tragicznie marnowanej szansy.

Dwadzieścia po ósmej Devlin i Steiner ponownie przeszli przez las. Dom na bagnach pogrążony był w mroku, ale na głównej drodze usłyszeli przyciszone głosy i zobaczyli niewyraźne zarysy jakiegoś pojazdu.

- Podejźmy trochę bliżej - szepnął Steiner.

Doszli do muru, odgradzającego las od drogi, i wyrzeli. Padał ulewny deszcz. Na szosie, po obu stronach, stały dwa dżipy, a kilku amerykańskich komandosów kryło się pod drzewami. Garvey zapalił zapałkę, osłaniając ją dłońmi, i w nikłym świetle widać było przez moment jego twarz.

Steiner i Devlin wycofali się.

- To ten wielki Murzyn - powiedział Steiner. - Starszy sierżant, który był z Kanem. Czeka ją na pana.

- Dlaczego nie w domu?

- Tam pewnie też ma swoich ludzi. W ten sposób pilnuje równocześnie drogi.

- To bez znaczenia - stwierdził Devlin. - Możemy przejść przez szosę trochę dalej i dostać się na plażę piechotą, tak jak pan mówił.

- Będzie wam łatwiej, jeśli uda się odwrócić ich uwagę.

- W jaki sposób?

- Przejadę skradzionym wozem tę blokadę na drodze. Nawiasem mówiąc, przydałby mi się pański trencz, jeżeli zgodzi się pan na bezzwrotną pożyczkę.

Devlin nie widział w ciemności jego twarzy i doszedł nagle do wniosku, że wcale mu na tym nie zależy.

- Do cholery, Steiner, niech więc pan idzie do piekła własną drogą - powiedział znużonym głosem. Ściągnął z ramienia stena, a potem zdjął płaszcz i podał go Steinerowi. - W prawej kieszeni jest mauzer i dwa zapasowe magazynki.

- Dzięki. - Steiner zdjął furazerkę i włożył ją do środka swej Fliegerbluse. Założył trencz i przewiązał go paskiem. - A więc wszystko się kończy. Tu się chyba rozstaniemy.

- Niech mi pan tylko coś powie - poprosił Devlin. - Czy warto było? Czy to miało jakikolwiek sens?

- No, nie! - Steiner zaśmiał się beztrosko. - Dość już tego filozofowania, proszę! - Wyciągnął rękę na pożegnanie. - Niech pan znajdzie to, czego pan szuka, przyjacielu.

- Już znalazłem i znowu zgubiłem - stwierdził Devlin.

- A więc odtąd nic się już naprawdę nie liczy - powiedział Steiner. - To niebezpieczna sytuacja. Będzie pan musiał uważać. - Odwrócił się i poszedł z powrotem do zburzonego domu.

Wyciągnęli Rittera z samochodu i dopchali wóz do miejsca, skąd polna droga zaczynała opadać w kierunku bramy z pięciu belek, za którą była już szosa. Steiner pobiegł na dół i otworzył ją. Wyrwał z płotu drąg długości sześciu stóp i wróciwszy dał go Ritterowi.

- Będzie dobry? - spytał.

- Tak - odparł dzielnie Ritter. - Już idziemy?

- Ty idziesz, ja nie. Na szosie są Amerykanie. Odwrócę trochę ich uwagę, kiedy będziecie tamtędy przechodzić. Później do was dołączę.

Ritter chwycił go za ramię, a w jego głosie był paniczny strach.

- Nie, Kurt, nie pozwolę ci tego zrobić!

- Poruczniku Neumann - odezwał się Steiner. - Jesteście niewątpliwie najlepszym żołnierzem, jakiego znam. Od Narwiku do Stalingradu nie zaniedbywaliście nigdy swoich obowiązków ani nie sprzeciwialiście się moim rozkazom. Nie mam najmniejszego zamiaru teraz wam na to pozwalać.

Ritter próbował się wyprostować, opierając się na dragu.

- Jak pan sobie życzy, Herr Oberst - odrzekł oficjalnie.

- W porządku - powiedział Steiner. - Proszę już iść, panie Devlin. I powodzenia.

Otworzył drzwiczki samochodu. Ritter zawołał cicho:

- Herr Oberst!

- Słucham?

- To zaszczyt służyć pod pańskimi rozkazami, sir.

- Dziękuję, Herr Oberleutnant.

Steiner wsiadł do Morrisa, zwolnił hamulec i samochód zaczął toczyć się w dół po polnej drodze.

Devlin i Molly przeszli przez las, prowadząc między sobą Ritтера, i zatrzymali się koło niskiego muru.

- Na ciebie już pora, dziewczyno - szepnął Devlin.

- Odprowadzę cię na plażę. Liam - powiedziała stanowczo.

Nie było czasu na dyskusję, gdyż o czterdzieści jardów dalej rozległ się na szosie odgłos silnika samochodu i zapaliły się przyciemnione światła Morrisa. Jeden z Amerykanów wyjął spod peleryny czerwoną latarkę i zamachał nią. Devlin oczekiwał, że Steiner przejedzie nie zatrzymując się, on jednak, o dziwo, zwolnił. Ryzykował z premedytacją, aby ściągnąć na siebie wszystkich żołnierzy. Był na to tylko jeden sposób. Poczekał, aż Garvey się zbliży, trzymając lewą rękę na kierownicy, a w prawej ściskając mauzera.

Podszedłszy do niego, Garvey powiedział:

- Przepraszam, ale musi się pan wylegitymować.

Zapalił trzymaną w lewej ręce latarkę, wyławiając z ciemności twarz Steinera. Rozległ się pojedynczy, głuchy wystrzał z mauzera. Mimo że Steiner celował z bliska, kula przeszła o dobre dwa cale od głowy Garveya. W jednej chwili nacisnął na gaz i z piskiem opon popędził naprzód.

- Do cholery, to był Steiner! - krzyknął Garvey. - Gonić go! Wszyscy rzucili się równocześnie do samochodów. Dżip Garveya ruszył najpierw, drugi pozostał znacznie w tyle. Wycie silników rozpląnęło się w mroku.

- No dobrze, uciekajmy stąd - stwierdził Devlin. Wspólnie z Molly pomógł Ritterowi

przedostać się przez mur, a potem wyszli razem na drogę.

Morris pochodził z roku 1933 i jeździł nadal tylko z tego powodu, że podczas wojny brakowało nowych samochodów. Miał zupełnie zużyty silnik i choć Yerekerowi służył wystarczająco dobrze, Steiner nie mógł być z niego zadowolony. Mimo że dociskał do oporu pedał gazu, strzałka szybkościomierza utknęła na czterdziestce i w żaden sposób nie chciała przesunąć się dalej.

Miał tylko parę minut, a może nawet mniej, bo gdy zastanawiał się, czy nie zatrzymać wozu i nie uciec w las, siedzący w pierwszym dzipie Garvey zaczął strzelać z browninga. Steiner pochylił się nad kierownicą. Kule podziurawiły karoserię samochodu, a przednia szyba rozsypała się na drobne kawałki.

Morris zjechał na prawą stronę, staranował drewniane barierki i stoczył się po zboczu porośniętym młodymi jodłami. Dzięki drzewkom wytracał szybkość. Steiner otworzył drzwiczki i wyskoczył z samochodu. Po chwili stanął na nogi i zniknął w ciemnym lesie. Morris zjechał tymczasem w bagno i zaczął tonąć.

Na szosie zatrzymał się z piskiem opon dzip. Garvey wyskoczył pierwszy i zbiegł szybko po zboczu z latarką w ręce. Kiedy dotarł do bagna, dach Morrisa zniknął właśnie w mętnej wodzie.

Zdjął hełm i zaczął rozpinąć pas, ale Krukowski, który przybiegł tuż za nim, chwycił go za ramię.

- Niech pan nawet o tym nie myśli. To nie zwykła woda. W niektórych miejscach bagno jest tak głębokie, że człowiek cały się zapada.

Garvey powoli skinął głową.

- Tak, chyba macie rację.

Poświecił latarką po powierzchni mętnej wody, z której dobywały się bańki powietrza, a potem odwrócił się i wspinał na zbocze, by złożyć meldunek przez radio.

Kane i Corcoran jedli kolację w wykwintnym salonie od frontu, kiedy kapral z pokoju łączności przybiegł do nich z depeszą. Kane rzucił na nią okiem, a potem pchnął kartkę po błyszczącym blacie stołu.

- Mój Boże. On jechał w tę stronę, czy pan to rozumie? - Corcoran z dezaprobatą zmarszczył brew. - Cóż za śmierć dla takiego człowieka!

Kane skinął głową. Powinien być zadowolony, a odczuwał dziwne przygnębienie.

- Powiedźcie Garveyowi, żeby pozostał na miejscu - polecił kapralowi. - Niech z bazy wyślą tam jakiś wóz pomocy drogowej. Chcę, żeby wyciągnęli ciało pułkownika Steinera.

Kiedy kapral wyszedł, Corcoran zapytał:

- A co z tym drugim i z Irlandczykiem?

- Chyba nie ma potrzeby się martwić. Pokażą się, ale nie tutaj. - Kane westchnął. - Sądzę, że w sumie była to indywidualna akcja Steinera. Tego typu ludzie nigdy nie wiedzą, kiedy trzeba się poddać.

Corcoran podszedł do szafki i nalał dwie duże porcje whisky. Jedną szklankę podał Kane'owi.

- Nie wznoszę toastu, bo chyba wiem, co pan czuje. Dziwne, że odbiera się to jako osobistą stratę.

- Właśnie.

- Chyba już za długo biorę udział w tej grze. - Corcoran wzdrygnął się i opróżnił szklankę. - Powie pan premierowi, czy ja mam to zrobić?

- Sądzę, że to pański przywilej, sir. - Kane zdobył się na uśmiech. - Ja zawiadomię żołnierzy.

Kiedy wyszedł frontowymi drzwiami, z nieba lały się strugi deszczu. Stał na ganku u szczytu schodów i zawołał: - Kapralu Bleeker!

Za parę chwil Bleeker wyłonił się z mroku i wbiegł po schodach. Jego bojowy skafander był zupełnie przemoknięty, hełm lśnił od wilgoci, a ciemny maskujący krem na twarzy rozmywał się z powodu deszczu.

- Garvey i jego chłopcy złapali Steinera na szosie nad morzem - oznajmił Kane. - Przekażcie to dalej.

- Więc już po wszystkim - stwierdził Bleeker. - Wycofujemy się, sir?

- Nie, ale możecie teraz zwolnić wartowników. Zorganizujcie to w ten sposób, żeby każdy miał trochę czasu na gorący posiłek, i tak dalej.

Bleeker zbiegł po schodach i zniknął w mroku. Major przez dłuższy czas nie ruszał się z miejsca, patrząc w zamyśleniu na padający deszcz. W końcu odwrócił się i wszedł do środka.

Kiedy Devlin, Molly i Ritter Neumann zbliżali się do domu w Hobs End, panowały tam zupełne ciemności. Zatrzymali się przy murze i Devlin szepnął:

- Na mój gust wygląda dość spokojnie.

- Nie warto ryzykować - wyszeptał Ritter. Devlin uparł się jednak, myśląc o radiotelefonie.

- Byłoby cholernie głupio nie skorzystać, skoro nikogo tu nie ma. Idźcie dalej groblą. Dogonię was.

Umknął im, zanim zdążyli zaprotestować. Przebiegł ostrożnie przez podwórze,

nasłuchując przy oknie. Wszędzie było cicho. Słyszał tylko padający deszcz. W żadnej szczelinie nie dostrzegł światła. Frontowe drzwi otworzyły się z lekkim skrzypieniem, gdy tylko je dotknął. Wszedł do holu z odbezpieczonym staniem.

Drzwi do salonu były otwarte na oścież. W dogasającym ogniu na palenisku żarzyły się jeszcze ostatnie węgle. Wszedł do środka i natychmiast zrozumiał, że popełnił fatalny błąd. Drzwi zatrzasnęły się za nim, a na szyi poczuł wylot lufy browninga. Ktoś wyszarpnął mu z ręki stana.

- Ani kroku dalej - powiedział Jack Rogan. - Dobra, Fergus, rozpatrzmy się trochę w sytuacji.

Fergus Grand przytknął zapaloną zapalniczkę do knota naftowej lampy i założył z powrotem szklaną osłonę. Rogan pchnął Devlina kolanem w plecy tak, że ten przeleciał przez pokój.

- Zobaczymy, coś ty za jeden.

Devlin odwrócił głowę, oparty nogą o palenisko. Rękę położył na obramowaniu kominka.

- Chyba się nie znamy.

- Główny inspektor Rogan, inspektor Grant z Wydziału Specjalnego.

- Sekcja Irlandzka, prawda?

- Zgadza się, synu. I nie pytaj o żaden nakaz rewizji, bo złoję ci skórę. - Rogan usiadł na skraju stołu, trzymając browninga na udzie. - Wiesz, podobno strasznie krnąbrny z ciebie chłopak.

- Naprawdę? - odparł Devlin, przesuwając się bliżej do kominka. Wiedział, że jeśli nawet chwyci walthera, będzie miał bardzo nikłą szansę. Bez względu na to, co robił Rogan, Grant wolał nie ryzykować i trzymał go cały czas na muszce.

- Tak, wy naprawdę przysparzacie mi kłopotów - stwierdził Rogan. - Dlaczego nie trzymacie się tych swoich bagien, skoro tam jest wasze miejsce?

- To jest myśl - odparł Devlin. Rogan wyjął kajdanki z kieszeni płaszcza.

- Podejdź bliżej.

W tym momencie rzucony w zaciemnione okno kamień roztrzaskał szybę. Obaj policjanci odwrócili się zaalarmowani. Devlin sięgnął po walthera, który wisiał na gwoździu z tyłu belki podtrzymującej fasadę kominka. Postrzelony w głowę Rogan spadł ze stołu, ale w tej samej chwili Grant już się odwracał. Potężny strzał trafił Irlandczyka w prawe ramię. Devlin opadł na klubowy fotel, ale nie przestał strzelać i roztrzaskał młodemu inspektorowi lewą rękę, a potem wpakował mu jeszcze kulę w lewe ramię.

Grant osunął się po ścianie na podłogę. Był w silnym szoku i patrzył nieprzytomnie na Rogana, leżącego po drugiej stronie stołu. Devlin podniósł browninga i włożył go sobie za pas. Potem podszedł do drzwi, zdjął torbę na zakupy i wysypał z niej na podłogę ziemniaki. W niewielkim brezentowym worku na dnie leżał radiotelefon i parę innych drobiazgów. Zarzucił go sobie na ramię.

- Dlaczego i mnie pan nie zabije? - odezwał się słabym głosem Fergus Grant.

- Jesteś sympatyczniejszy niż tamten - odparł Devlin. - Na twoim miejscu, synu, znalazłbym sobie lepsze zajęcie.

Wyszedł w pośpiechu. Kiedy otworzył frontowe drzwi, zobaczył pod ścianą Molly.

- Dzięki Bogu! - zawołała, zamknął jej jednak usta ręką i pociągnął za sobą. Dotarli do muru, gdzie czekał Ritter.

- Co się stało? - zapytała Molly.

- To, że zabiłem człowieka, a drugiego zraniłem - powiedział Devlin. - Byli detektywami z Wydziału Specjalnego.

- I ja ci w tym pomogłam?

- Owszem - odparł. - Pójdiesz już, Molly, dopóki jeszcze możesz? Odwróciła się od niego gwałtownie i zaczęła biec wzdłuż grobli. Devlin wahał się przez moment, a potem, nie mogąc się powstrzymać, pobiegł za nią. Dogonił ją o parę jardów dalej i pochwycił w ramiona. Objęła go za szyję i namiętnie pocałowała. Odepchnął ją od siebie, mówiąc:

- Idź już, dziewczyno, i niech cię Bóg prowadzi.

Odwróciła się bez słowa i pobiegła w mrok. Devlin podszedł z powrotem do Rittera Neumanna.

- To niezwykła dziewczyna - stwierdził Oberleutnant.

- Tak, można by tak powiedzieć - odparł Devlin. - Ale byłoby to stwierdzenie wyjątkowo nieadekwatne. - Wyjął z worka radiotelefon i włączył odpowiedni kanał. - Orzeł do Wędrowca. Orzeł do Wędrowca. Zgłoś się.

Na mostku łodzi torpedowej, gdzie umieszczono odbiornik, jego głos zabrzmiał tak wyraźnie, jakby dochodził zza drzwi. Koenig sięgnął błyskawicznie po mikrofon, czując przyspieszone bicie serca.

- Orzeł, tu Wędrowiec. Co z tobą?

- Dwa pisklęta są jeszcze w gnieździe - odparł Devlin. - Czy możecie przypląć natychmiast?

- Jesteśmy w drodze - odpowiedział Koenig. - Wyłączam się. - Powiesił mikrofon z powrotem na haku i odezwał się do Mullera:

- W porządku, Erich, od tej chwili cisza w eterze. Wywieś białą banderę. Wchodzimy do akcji.

Kiedy Devlin i Neumann dotarli do lasu, Irlandczyk obejrzał się i zobaczył światła samochodu, który zjeżdżał z głównej drogi na groblę.

- Kto to może być - spytał Ritter.

- Bóg raczy wiedzieć - odparł Devlin.

Garvey, czekający na szosie o dwie mile dalej na wóz pomocy drogowej, postanowił wysłać drugiego dzipa do dwóch detektywów z Wydziału Specjalnego.

Devlin chwycił Rittera pod ramię.

- Chodźmy, synu, lepiej stąd zmykać. - Zaklął nagle, czując w ramieniu palący ból, gdyż szok zaczął już ustępować.

- Dobrze się pan czuje? - spytał Ritter.

- Krwawię jak zarzynany wieprz. Oberwałem w ramię, ale teraz to nieważne. Nic tak nie leczy ran jak morska podróż.

Minęli tablicę ostrzegawczą, przeszli ostrożnie przez kolczaste druty i znaleźli się na plaży. Ritterowi przy każdym stąpieniu ból zatykał dech w piersiach. Wspierał się ciężko na drągu, który dał mu Steiner, ale ani razu się nie potknął. Przed nimi rozciągała się szeroka i gładka plaża. Wiatr pędził tumany mgły. Nagle zaczęli iść po wodzie. Początkowo sięgała im tylko do kostek, wyżej jedynie w zagłębieniach dna.

Przystanęli na chwilę, żeby się rozejrzeć. Devlin rzucił okiem za siebie i zobaczył migocące w lesie światełka.

- Chryste! - powiedział. - Czy oni nigdy nie przestaną?

Brnęli plażą w kierunku ujścia rzeki. Wraz z przyplływem podnosił się poziom wody. Najpierw sięgała im do kolan, potem do ud. Zagłębili się już znacznie w ujście rzeki, kiedy Ritter jęknął nagle i upadł na kolano, upuszczając kij.

- Nie dam rady, Devlin. Złamało mnie. Nigdy w życiu nie czułem takiego bólu.

Devlin przykucnął obok niego i ponownie podniósł do ust radiotelefon.

- Wędrowiec, tu Orzeł. Czekamy w ujściu rzeki ćwierć mili od brzegu. Sygnalizuję nasze położenie.

Wyjął z brezentowego worka świecąca kulę sygnalizacyjną, jeszcze jeden prezent, który Abwehra zawdzięczała brytyjskiemu Zarządowi Operacji Specjalnych, i uniósł ją w górę na prawej dłoni. Spojrzał w kierunku brzegu, ale gęstniejąca mgła przesłoniła wszystko.

W dwadzieścia minut później woda sięgała mu już do piersi. Nigdy w życiu nie odczuwał takiego zimna. Stał w rozkroku na mieliźnie, lewą ręką podtrzymując Rittera, a w

prawej unosząc wysoko świecącą kulę sygnalizacyjną. Ciągłe trwał przyplływ.

- To nie ma sensu - szepnął Ritter. - Nic nie czuję. Koniec ze mną. Już dłużej nie mogę.

- Jak powiedziała pani O'Flynn do biskupa - zażartował Devlin. - No, chłopcze, nie poddawaj się w takiej chwili. Co by na to powiedział Steiner?

- Steiner? - Ritter zakaszłał, zakrztusiwszy się słoną wodą, która dostała mu się do ust.
- On by przepłynął wplaw.

Devlin zmusił się do śmiechu.

- I tak trzeba, synu. Uśmiechnij się. - Zaczai śpiewać na cały głos. - „I walczą w górach w zielonych mundurach dzielni chłopcy Sarsfielda”.

Nagle nad głową przewaliła mu się fala i obaj pogrążyli się w wodzie. „Chryste - pomyślał - to już koniec”. Kiedy ich jednak minęła, dotykał jeszcze nogami dna, a w prawej ręce trzymał nadal sygnalizacyjną kulę. Tyle tylko, że woda sięgała mu do brody.

Teusen pierwszy dostrzegł światło z lewej burty i natychmiast pobiegł na mostek. W trzy minuty później łódź torpedowa wynurzyła się z mroku i ktoś oświetlił obu mężczyzn latarką. Rzucono sieć, po której zeszło czterech marynarzy. Pomocne dłonie zajęły się troskliwie Ritterem Neumannem.

- Uważajcie na niego - ostrzegł Devlin. - Jest w kiepskim stanie. Kiedy w parę chwil później sam przeszedł przez reling i upadł, przyklęknął obok niego Koenig, przykrywając go kocem.

- Niech pan się napije, panie Devlin - rzekł podając mu butelkę.

- Cead mile Failte - odparł Devlin. Koenig pochylił się nad nim.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Nic dziwnego. To irlandzki, język królów. Powiedziałem tylko: witam sto tysięcy razy.

Koenig uśmiechnął się w ciemności.

- Cieszę się, że pana widzę, Devlin. To prawdziwy cud.

- Jedyny, jaki ma pan szansę dzisiaj zobaczyć.

- Czy to pewne?

- Jak wieko trumny. Koenig podniósł się.

- A więc odpływamy. Przepraszam na chwilę.

Wkrótce łódź torpedowa zawróciła i popędziła po falach. Devlin odkorkował butelkę i powąchał, co jest w środku. Rum. Nie był to jego ulubiony trunk, wypił jeden spory łyk, a potem, opierając się o reling rufy, popatrzył w kierunku lądu.

Molly usiadła nagle na łóżku w sypialni swego domu na farmie, a potem przeszła przez pokój i rozsunała zasłony. Otworzywszy okna na oścież wystawiła głowę na deszcz. Wypełniło ją cudowne uczucie uniesienia i ulgi. W tej właśnie chwili łódź torpedowa wypłynęła poza półwysep i skierowała się na pełne morze.

Himmler, obłożony jak zwykle stertą akt, pracował przy świetle stojącej na biurku lampy w swym gabinecie na Prinz Albrechtstrasse, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Rossman.

- Słucham - odezwał się Himmler.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Herr Reichsfuhrer, ale nadeszła właśnie wiadomość z Landsvoort. Orzeł zginął.

Na Himmlerze nie zrobiło to żadnego wrażenia. Odłożył powoli pióro i wyciągnął rękę.

- Proszę mi to pokazać. - Rossman podał mu depeszę, a Himmler przeczytał ją do końca. Po chwili podniósł wzrok. - Mam dla pana zlecenie.

- Słucham. Herr Reichsfuhrer.

- Proszę wziąć dwóch najbardziej zaufanych ludzi, polecieć natychmiast do Landsvoort i aresztować pułkownika Radla. Dopilnuję, żeby wcześniej dostał pan wszelkie niezbędne pełnomocnictwa.

- Oczywiście, Herr Reichsfuhrer. O co jest oskarżony?

- O zdradę stanu. Na początku wystarczy. Natychmiast po powrocie proszę się zameldować.

Rossman wyszedł z gabinetu, a Himmler wziął do ręki pióro i zaczął znowu pisać.

Tuż przed dziewiątą kapral żandarmerii George Watson zjechał motocyklem na pobocze szosy dwie mile na południu od Meltham House i postawił maszynę na nóżkach. Przebywszy całą drogę z Norwich w ulewnym deszczu był - mimo długiego kurierskiego płaszcza - przemoczony do suchej nitki, zziębnięty na kość i potwornie głodny. W dodatku się zgubił.

Otworzył mapnik w świetle reflektora i pochylił się, żeby sprawdzić, gdzie jest. Nagle podniósł wzrok dostrzegając, że po prawej stronie coś się poruszyło. Zobaczył człowieka ubranego w trencz.

- Dzień dobry - odezwał się do niego przybysz. - Zgubił się pan?

- Próbuję znaleźć Meltham House - odparł Watson. - Jechałem całą drogę z Norwich w tym przeklętym deszczu. Pozdejnowali, cholera, drogowaskazy, a te wsie niczym się nie różnią.

- Pokażę panu, gdzie to jest - powiedział Steiner.

Watson pochylił się, żeby ponownie obejrzeć mapę w świetle reflektora, lecz w tym momencie dostał mauzerem w kark i upadł w kałużę wody. Steiner zdjął mu przez głowę kurierską torbę i sprawdził szybko jej zawartość. Wewnątrz znajdował się tylko jeden list, dokładnie opieczetowany i oznaczony jako „pilny”. Jego adresatem był pułkownik Corcoran w Meltham House.

Steiner chwycił Watsona pod pachy i odciągnął na bok. Kiedy wyłonił się z mroku w parę chwil później, miał na sobie długi kurierski płaszcz przeciwdeszczowy, kask z goglami i skórzane rękawice. Założył przez głowę kurierską torbę, ściągnął motocykl z nóżek, kopnął starter i odjechał.

Na skraju szosy ustawiono reflektor. Zamontowana na wozie pomocy drogowej wciągarka zaczęła się obracać, wydobywając Morrisa z bagna na brzeg. Garvey został na szosie i czekał.

Prowadzący akcję kapral otworzył drzwiczki samochodu. Zajrzał do środka, po czym popatrzył w kierunku szosy.

- Nic tu nie ma.

- Co ty wygadujesz, do cholery? - krzyknął Garvey, zbiegając szybko po zboczu między drzewami.

Zaglądnął do Morrisa, ale kapral nie mylił się. W samochodzie było sporo cuchnącego błota, trochę wody, lecz ani śladu Steinera.

- O Boże! - powiedział Garvey, pojmując nagle, co to oznacza. Odwrócił się, wspiął na zbocze i złapał za mikrofon nadajnika w dziupie.

Steiner zrobił skręt i zatrzymał się przed zamkniętą bramą Meltham House. Stojący po drugiej stronie amerykański komandos poświecił latarką i zawołał: - Sierzancie!

Sierżant Thomas wyszedł z wartowni i zbliżył się do bramy. Steiner siedział na motocyklu z twarzą zasłoniętą kaskiem i goglami.

- O co chodzi? - zapytał Thomas.

Steiner otworzył kurierską torbę, wyjął list i przytknął go do kraty.

- Przesyłka z Norwich do pułkownika Corcorana.

Thomas skinął głową, a stojący obok komandos otworzył bramę.

- Proszę jechać prosto, do głównego wejścia. Wartownik wprowadzi pana do środka.

Steiner ruszył naprzód, nie dojechał jednak do frontowych drzwi, lecz skręcił w bok, trafiając ostatecznie na parking za domem. Stał obok zaparkowanej ciężarówki, wyłączył silnik i postawił motocykl na nóżkach. Zawróciwszy poszedł ścieżką w kierunku ogrodu. Po

przejściu paru jardów schował się między rododendrony.

Zdjął kask, płaszcz przeciwdeszczowy i rękawice, po czym założył wyciągniętą zza Fliegerbluse niemiecką furazerkę. Poprawił Krzyż Rycerski pod szyją i ruszył dalej z gotowym do strzału mauzerem.

Chcąc rozpoznać sytuację przystanął na skraju ogrodu, nad którym wznosił się taras. Zaciemnienie nie było zbyt dokładne. Z kilku okien sączyło się przez szpary światło. Zrobił krok do przodu i w tym momencie czyjś głos zapytał: - To ty, Bleeker?

Steiner chrząknął. Jakaś ledwie widoczna postać ruszyła w jego kierunku. Mauzer, który trzymał w prawej ręce, wystrzelił niemal bezgłośnie. Amerykanin, z przerażeniem chwytając oddech, zwałił się na ziemię. W tej samej chwili ktoś rozsunął zasłony i taras u góry oświetliła smuga światła.

Steiner spojrzał tam i zobaczył premiera, który stał przy balustradzie, paląc cygaro.

Kiedy Corcoran wyszedł z pokoju premiera, Kane czekał na niego.

- Jak on się miewa? - spytał.

- Dobrze. Wyszedł właśnie na taras zapalić ostatnie cygaro, a potem położy się spać.

Przeszli do holu.

- Nie spałby pewnie zbyt dobrze, gdyby usłyszał moje nowiny, więc poczekamy z tym do rana - oznajmił Kane. - Wyciągnęli z bagien tego Morrisa, ale nie ma w nim Steinera.

- Chce pan powiedzieć, że uciekł? - spytał Corcoran. - Skąd pan wie, że gdzieś tam nie leży? Mógł wypaść, z samochodu, czy coś takiego.

- Niewykluczone - odparł Kane. - Ale na wszelki wypadek podwajam strażę.

Otworzyły się frontowe drzwi i wszedł sierżant Thomas. Rozpiął płaszcz, żeby otrząsnąć go z deszczu.

- Wzywał mnie pan, majorze?

- Tak - potwierdził Kane. - Kiedy wydobyli samochód, nie było w nim Steinera. Nie będziemy ryzykować i podwajamy strażę. Przy bramie wszystko w porządku?

- Nic się tam nie dzieje, od kiedy wyjechał wóz pomocy drogowej. Przepuścili tylko tego żandarma z Norwich z przesyłką dla pułkownika Corcorana.

Corcoran wpatrywał się w niego, marszcząc brwi.

- Nic o tym nie wiem. Kiedy to było?

- Jakieś dziesięć minut temu, sir.

- O Boże! - zawołał Kane. - To on! Ten sukinsyn jest tutaj! - Odwrócił się, wyszarpując z kabury automatycznego colta, i pobiegł w kierunku drzwi biblioteki.

Steiner wchodził powoli po schodach na taras. W ciemnościach unosił się zapach

dobrego hawańskiego cygara. Kiedy postawił nogę na ostatnim stopniu, pod podeszwą zazgrzytał żwir. Premier odwrócił się błyskawicznie i zobaczył go.

Wyjął z ust cygaro. Jego nieprzeniknione oblicze nie zdradzało żadnych emocji, kiedy powiedział:

- Oberstleutnant Kurt Steiner z Fallschirmjager, jeśli się nie mylę?

- Panie Churchill - Steiner zawahał się przez moment. - Przykro mi, ale muszę spełnić swój obowiązek, sir.

- A więc na co pan czeka? - odparł spokojnie premier.

Steiner uniósł lufę mauzera, ale w tym samym momencie zafalowały zasłony i wypadł zza nich Kane, strzelając bez opamiętania. Gdy pierwsza kula trafiła Steinera w prawe ramię, zatoczył się bezwładnie. Druga ugodziła go w serce, powodując natychmiastową śmierć i upadek przez balustradę.

W chwilę później na tarasie zjawił się Corcoran z rewolwerem w ręce, a z mroku położonego w dole ogrodu wybiegli komandosi, przystając półkolem.

Światło z otwartych drzwi padało na Steinera. Pod szyją miał Krzyż Rycerski, a prawą rękę nadal zaciskał kurczowo na rękojeści mauzera.

- To dziwne - rzekł premier. - Trzymał już palec na spuście... i zawahał się. Ciekawe dlaczego?

- Może odezwało się w nim jego amerykańskie pochodzenie, sir? - zastanawiał się Kane.

- Bez wątpienia możemy powiedzieć - podsumował premier - że był znakomitym żołnierzem i dzielnym człowiekiem. Proszę się nim zająć, majorze. - Odwrócił się i wszedł z powrotem do pokoju.

Rozdział XX

Kiedy wróciłem do Studley Constable, minął już prawie rok od dnia, w którym dokonałem owego zdumiewającego odkrycia na cmentarzu przy kościele Najświętszej Marii Panny i Wszystkich Świętych. Przyjechałem tym razem na zaproszenie ojca Philipa Yerekera. Otworzył mi młody ksiądz, mówiący z irlandzkim akcentem.

Yereker siedział w fotelu w swoim gabinecie, przed buzującym na kominku ogniem. Nogi miał owinięte pledem. Nie było wątpliwości, że jest umierający. Spod napiętej skóry na twarzy wystawały wszystkie kości, a jego oczy pełne były bólu.

- Cieszę się, że pan przyjechał.

- Przykro mi, że zastaję księdza w tak złym zdrowiu - odparłem.

- Mam raka żołądka. Nic na to nie można poradzić. Biskup był tak dobry, że pozwolił mi zostać tu do końca i przysłał ojca Damiana, żeby zajął się parafią. Ale nie dlatego prosiłem pana o przybycie. Podobno miał pan pracowity rok?

- Nie bardzo rozumiem - odparłem. - Kiedy byłem tu ostatnio, nie chciał ksiądz powiedzieć ani słowa. Prawdę mówiąc, zostałem stąd wyrzucony.

- To bardzo proste. Przez wiele lat znałem tę historię zaledwie w połowie. Stwierdziłem nagle, że chciałbym zaspokoić swoją ciekawość i dowiedzieć się całej reszty, nim będzie za późno.

Opowiedziałem mu więc wszystko, bo nie było żadnego powodu, by to ukrywać. Kiedy skończyłem, na trawę za oknem padał już cień, a w pokoju panował półmrok.

- To niezwykle - stwierdził. - Jakim cudem zdołał się pan tego wszystkiego dowiedzieć?

- Proszę mi wierzyć, że nie miałem dostępu do żadnych oficjalnych źródeł. Rozmawiałem po prostu z ludźmi, z tymi, którzy jeszcze żyją i mieli ochotę mówić. Największym sukcesem było dotarcie do obszernego pamiętnika, który napisał człowiek odpowiedzialny za zorganizowanie całej akcji, pułkownik Max Radl. Wdowa po nim mieszka do dzisiaj w Bawarii. Chciałbym jednak wiedzieć, co zdarzyło się później tutaj.

- Próbowano za wszelką cenę zatuszować całą sprawę. Wszystkich mieszkańców wioski przesłuchiwał wywiad i służby bezpieczeństwa. Powoływano się na ustawę o tajemnicy państwowej. Zupełnie zresztą niepotrzebnie. To osobliwi ludzie. Nieszczęście zbliża ich do siebie, a obcych traktują wrogo, jak sam się pan przekonał. Uznali, że to, co się wydarzyło, jest wyłącznie ich sprawą, która nikogo nie powinna obchodzić.

- A co z Seymourem?

- Właśnie. Wie pan, że zginął w zeszłym roku, w lutym?

- Nie.

- Którejś nocy wracał po pijanemu z Holt. Zjechał z nadmorskiej szosy w bagno i utonął.

- A co się działo z nim po wydarzeniach w kościele?

- Zamknięto go dyskretnie w szpitalu psychiatrycznym. Spędził tam osiemnaście lat. Zwolniono go w końcu, kiedy zostały zliberalizowane przepisy dotyczące zaburzeń psychicznych.

- Ale jak ludzie we wsi mogli znieść jego obecność?

- Był spokrewniony z co najmniej połową rodzin w tej okolicy. Betty, żona George'a Wilde'a, to jego siostra.

- Wielki Boże - odrzekłem. - Nie wiedziałem o tym.

- W pewnym sensie zmowa milczenia stanowiła też dla Seymoura swoiste zabezpieczenie.

- Jest jeszcze inna możliwość - stwierdziłem. - Niewykluczone, że jego potworny czyn padał cieniem na nich wszystkich. Był czymś, co należało ukrywać, a nie ujawniać.

- Możliwe.

- A jak było z nagrobkiem?

- Żołnierze z jednostki inżynierskiej, których przysłano tutaj, żeby zrobili we wsi porządek, naprawili szkody, i tak dalej, wrzucili wszystkie ciała do zbiorowej mogiły na cmentarzu. Grób był, oczywiście, anonimowy i powiedziano nam, że tak ma pozostać.

- Ale ksiądz miał inne zdanie?

- Nie tylko ja. My wszyscy. Wojenna propaganda, chociaż potrzebna, oddziaływała też szkodliwie. Każdy film o wojnie, jaki oglądało się w kinie, każda książka czy gazeta przedstawiały przeciętnego niemieckiego żołnierza jako bezlitosnego i dzikiego barbarzyńcę. Ci ludzie byli jednak inni. Graham Wilde żyje do dziś, Susan Turner wyszła za mąż i ma troje dzieci. Nie byłoby to możliwe, gdyby jeden z żołnierzy Steinera nie zginął, ratując im życie. Proszę też nie zapominać, że pozwolił ludziom wyjść z kościoła.

- A więc postanowiono zrobić potajemnie nagrobek?

- Właśnie. Nie było to trudne. Stary Ted Turner był emerytowanym kamieniarzem. Położono kamień, który poświęciłem podczas prywatnej mszy. Potem, jak pan wie, zasłoniliśmy go, by pozostał niewidoczny dla osób postronnych. Preston też tam leży, ale na płycie nie ma o nim wzmianki.

- Wszyscy się na to zgodziliście?

Zdobył się na chłodny uśmiech, co mu się raczej rzadko zdarzało.

- Powiedzmy, że był to rodzaj pokuty. Steiner mówił o tańczeniu na jego grobie i miał rację. Tamtego dnia nienawidziłem go. Mógł równie dobrze zginąć z mojej ręki.

- Dlaczego? - spytałem. - Czy dlatego, że jest ksiądz kaleką z powodu niemieckiej kuli?

- Tak mi się wydawało aż do dnia, w którym upadłem na kolana i poprosiłem Boga, żeby pomógł mi spojrzeć prawdzie w oczy.

- Joanna Grey? - zapytałem cicho.

Cień padał mu na twarz i nie mogłem dostrzec jej wyrazu.

- Częściej wysłuchuję spowiedzi, niż ją czynię, ale cóż, nie myli się pan. Uwielbiałem Joannę Grey. Nie, nie chodziło o żadną prymitywną namiętność. Nigdy nie znałem równie wspaniałej kobiety. Wiadomość o roli, jaką odegrała w tej sprawie, była dla mnie nieopisanym szokiem.

- I w pewnym sensie obarczał ksiądz winą Steinera?

- Tak by to można psychologicznie uzasadnić. - Westchnął ciężko. Minęło już tyle czasu. Ile pan miał lat w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku? Dwanaście, trzynaście? Pamięta pan, jak wtedy było?

- Nie bardzo. Nie to, o czym ksiądz myśli.

- Ludzie byli zmęczeni, bo wojna zdawała się nie mieć końca. Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jaki to byłby straszny wstrząs dla morale narodu, gdyby historia o Steinerze i jego ludziach ujrzała światło dzienne? Niemieccy spadochroniarze lądują w Anglii i o mały włos nie porywają samego premiera?

- Co więcej, wystarczyło tylko nacisnąć na spust, by odstrzelić mu głowę.

Przytaknął, a potem spytał:

- Nadal chce pan to opublikować?

- A dlaczego nie?

- Po prostu nic takiego się nie zdarzyło. Nie ma już żadnego nagrobka, kto więc potwierdzi, że kiedykolwiek istniał? Znalazł pan jakiś oficjalny dokument na potwierdzenie swojej historii?

- Właśnie nie - odparłem beztrąsko. - Ale rozmawiałem z wieloma ludźmi i powiedzieli mi w sumie tyle, że brzmi to dość przekonująco.

- Możliwe. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Przeoczył pan tylko jedną bardzo istotną kwestię.

- Cóż takiego?

- Należało zajrzeć do którejkolwiek z dwudziestu paru książek o historii wojny i sprawdzić, co robił Winston Churchill w tamten weekend. Może było to jednak zbyt proste i oczywiste.

- No dobrze - odparłem. - Niech mi ksiądz powie.

- Szykował się właśnie do wypłynięcia na pokładzie HMS „Renown” na konferencję w Teheranie. Po drodze zatrzymał się w Algierze, gdzie odznaczył generałów Eisenhowera i Alexandra specjalnymi medalami za walki w Północnej Afryce, a potem przybył na Maltę. O ile sobie przypominam, było to siedemnastego listopada.

Zapanowała nagle zupełna cisza.

- Kim był tamten człowiek? - zapytałem.

- Nazywał się George Howard Foster. W branży nazywano go Wielkim Fosterem.

- W branży?

- Na scenie, panie Higgins. Foster grał w rewii. Był aktorem charakterystycznym. Wojna stała się dla niego wybawieniem.

- Jak to?

- Nie tylko świetnie naśladował premiera. Był nawet do niego podobny. Po bitwie pod Dunkierką wprowadził do programu specjalny numer, coś w rodzaju wielkiego finału przedstawienia. „Mam do ofiarowania tylko krew, pot i łzy. Będziemy bić się z nimi na plażach...” Widownia była zachwycona.

- I wywiad zaangażował go do pracy?

- Tylko na szczególne okazje. Jeżeli chce się wysłać premiera na morze, gdzie istnieje duże zagrożenie ze strony niemieckich łodzi podwodnych, warto, żeby pokazał się publicznie w innym miejscu. - Yereker uśmiechnął się. - Tamtej nocy zagrał swoją rolę po mistrzowsku. Wszyscy uwierzyli, oczywiście, że to Churchill. Tylko Corcoran znał prawdę.

- No dobrze - powiedziałem. - A gdzie Foster jest teraz?

- Zginął w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, razem ze stu ośmioma innymi osobami, kiedy bomba zniszczyła niewielki teatr w Islington. Jak więc pan widzi, pańskie wysiłki były bezcelowe. Ta historia się naprawdę nie zdarzyła. Tak jest lepiej dla wszystkich.

Zaniósł się kaszlem, który wstrząsnął całym jego ciałem. Otworzyły się drzwi i weszła zakonnica. Pochyliła się nad nim i coś szepnęła.

- Przepraszam - powiedział Yereker. - To było męczące popołudnie. Powinienem chyba odpocząć. Dziękuję, że pan przyjechał i uzupełnił moje wiadomości.

Znów zaczął kaszleć, wyszedłem więc najszybciej jak mogłem. Młody ksiądz Damian odprowadził mnie uprzejmie do drzwi. Dałem mu w progu swoją wizytówkę.

- Jeśli jego stan się pogorszy... - zawahałem się. - Wie ksiądz, o czym myślę? Będę wdzięczny za wiadomość.

Zapaliłem papierosa i oparłem się o kamienny mur obok cmentarnej bramy. Zamierzałem, oczywiście, sprawdzić fakty, ale nie miałem cienia wątpliwości, że Yereker mówił prawdę. Czy to jednak cokolwiek zmieniało? Spojrzałem w kierunku kruchty, gdzie Steiner stanął tamtego wieczoru przed laty twarzą w twarz z Harrym Kane'em. Myślałem o tym, jak na tarasie w Meltham House zawahał się w ostatniej chwili, co okazało się dla niego tak zgubne w skutkach. „A nawet gdyby nacisnął wtedy spust, na nic by się to nie zdało”.

Devlin powiedziała by: jak na ironię... Słyszałem niemal jego śmiech. No cóż, nie potrafiłbym znaleźć na zakończenie lepszych słów niż te, które wyrzekł aktor, tak dobrze grający swą rolę owej tragicznej nocy.

„Bez wątpienia możemy powiedzieć, że był znakomitym żołnierzem i dzielnym człowiekiem”. Niech to wystarczy. Odwróciłem się i odszedłem w deszcz.